

**Stanisław Lem**

# **Opowiadania wybrane**

## PRZYJACIEL

Dobrze pamiętam okoliczności, w których poznałem pana Hardena. Było to w dwa tygodnie po tym, jak zostałem asystentem instruktora w naszym Klubie. Uważałem to za wielkie wyróżnienie, bo byłem najmłodszym członkiem Klubu, a instruktor, pan Egger, od razu, w pierwszym dniu, kiedy przyszedłem na dyżur do Klubu, oświadczył mi, że jestem dostatecznie inteligentny i na tyle się znam na całym kramie (tak się wyraził), że mogę dyżurować sam. Rzeczywiście zaraz sobie poszedł. Miałem dyżurować co drugi dzień od czwartej do szóstej, udzielać technicznych informacji członkom Klubu i wydawać karty QDR za okazaniem legitymacji z opłaconymi składkami. Jak powiedziałem, byłem z tego stanowiska bardzo zadowolony, ale wkrótce zaświtało mi, że do wykonywania moich obowiązków nie trzeba się wcale znać na radiotechnice, bo o żadne informacje nikt nie prosił. Wystarczyłby więc zwyczajny urzędnik, ale takiemu Klub musiałby płacić, a ja dyżurowałem honorowo i nie miałem z tego żadnej korzyści, nawet przeciwnie — jeśli wziąć pod uwagę wieczne zrzęczenie matki, która wolała, żebym siedział kamieniem w domu, kiedy miała ochotę iść do kina i zostawić malców na mojej głowie. Z dwojga złego wolałem już dyżury. Lokal nasz był z pozoru dość przyzwoity. Ściany od góry do dołu zawieszane były kartami łączności z całego świata i kolorowymi afiszami, tak że się nie widziało zacieków, a pod oknem stało w dwu oszklonych gablotkach trochę starej aparatury krótkofalowej. Była tam jeszcze z tyłu pracownia, przerobiona z łazienki, bez okna. Nawet dwu ludzi naraz nie mogło w niej pracować, boby sobie oczy pilnikami powybijali. Pan Egger miał do mnie wielkie zaufanie, jak mówił, ale nie aż tak wielkie, żeby zostawić mnie sam na sam z zawartością szuflady w biurku, wyjął więc wszystko, co w niej było, i zabrał do siebie, nawet papieru do pisania mi nie zostawił i musiałem wydzierać kartki z własnych zeszytów. Pieczętkę miałem do dyspozycji, choć słyszałem, jak pan Egger powiedział do prezesa, że właściwie należałoby ją umocować na łańcuszku w szufladzie. Chciałem wykorzystać czas na budowę nowego aparatu, ale pan Egger zabronił mi wychodzić w czasie dyżuru do pracowni, że niby przez otwarte drzwi mógłby się ktoś wśliznąć do środka i coś ściągnąć. Nie miało to ręki ani nogi, bo te aparaty w gablotkach przedstawiały całkowite rupiecie, nie powiedziałem mu tego jednak, bo nie uznawał w ogóle mego głosu. Widzę teraz, że zanadto się z nim liczyłem. Wykorzystywał mnie bez skrupułów, ale wtedy jeszcze się w tym nie orientowałem. Nie pamiętam, czy to była środa, czy piątek, kiedy pierwszy raz zjawił się pan Harden, ale ostatecznie to wszystko jedno. Czytałem właśnie bardzo dobrą książkę i byłem wściekły, bo okazało się, że brakuje w niej mnóstwa kartek. Wciąż musiałem się czegoś domyślać i bałem się, że najważniejszego w zakończeniu nie będzie, a wtedy całe czytanie na nic, bo wszystkiego przecież się nie domyśle. Wtem usłyszałem, że ktoś puka. Było to dosyć dziwne, jako że drzwi stały zawsze otwarte na oścież. Ten Klub — to było dawniej mieszkanie. Jeden z klubowców mówił mi, że to było zbyt podłe mieszkanie, aby ktokolwiek chciał się w nim gnieść. Zawołałem „proszę” i wszedł obcy, którego jeszcze nie widziałem. Wszystkich klubowców znałem, jeżeli nie z nazwiska, to przynajmniej z twarzy. Stał przy drzwiach i popatrzył na mnie, a ja zza biurka na niego, i takeśmy na siebie jakiś czas patrzyli. Spytałem, czego sobie życzy, i przyszło mi do głowy, że jeśliby chciał wstąpić do Klubu, to nie mam nawet formularzy wpisowych, bo wszystkie zabrał pan Egger.

— To jest Klub Krótkofalowców? — spytał, chociaż było to jak wół wypisane na drzwiach i na bramie.

— Tak — powiedziałem. — Czego pan sobie życzy? — zapytałem, ale on jakby tego nie słyszał.

— A... przepraszam — pan tutaj pracuje? — spytał. Zrobił dwa kroki w moją stronę, tak jakoś, jakby stąpał po szkle, i ukłonił się.

— Mam dyżur — odparłem.

— Dyżur? — powtórzył, jakby się głęboko nad tym zastanawiał. Uśmiechnął się, potarł podbródek rondem kapelusza, który trzymał w ręku (nie pamiętam już, kiedy widziałem tak zniszczony kapelusz), i, wciąż jakby stojąc troszeczkę na palcach, zaczął jednym tchem, jakby się bał, że mu przerwę:

— Aha, więc to pan pełni tutaj dyżury, rozumiem, to taka godność i odpowiedzialność, w młodym wieku rzadko kto dziś to osiągnie, i pan zarządza tu tym wszystkim, no no — przy tym zrobił ręką z kapeluszem okrągły gest, obejmujący cały pokój, jakby mieściły się w nim Bóg wie jakie skarby.

— Nie jestem znów taki bardzo młody — powiedziałem, bo już mnie ten facet zaczynał trochę drażnić — i czy można wiedzieć, czego pan sobie życzy? Czy pan jest członkiem naszego Klubu?

Zapytałem tak umyślnie, choć wiedziałem, że nie jest — i rzeczywiście speszzył się, potarł znowu brodę kapeluszem, a potem schował go naraz za siebie i śmiesznym, drepczącym krokiem podszedł do biurka. Miałem otwartą w dole szufladę, do której włożyłem przedtem książkę, gdy usłyszałem pukanie, a widząc teraz, że się tego natręta łatwo nie pozbędę, wsunąłem szufladę kolaniem, wyjąłem pieczętkę z kieszeni i zabrałem się do układania nakrojonych, czystych kartek, żeby widział, że mam swoją robotę.

— O! Nie chciałem pana urazić! Nie chciałem urazić! — wykrzyknął i zaraz ściszył głos, oglądając się niespokojnie na drzwi.

— Więc może zechce pan powiedzieć, czego sobie życzy? — powiedziałem sucho, bo miałem tego dość.

Oparł rękę na biurku, w drugiej trzymając za plecami kapelusz, i nachylił się ku mnie. Teraz dopiero zorientowałem się, że musi być porządnie stary, chyba po czterdziestce. Tego się z daleka nie widziało, miał taką szczupłą, nijaką twarz — jak czasem blondyni, u których nie znać siwizny.

— Niestety, nie jestem członkiem Klubu — powiedział. — Ja... wie pan — naprawdę mam ogromny szacunek dla pańskiego zajęcia, także i innych panów, wszystkich panów tutaj, ale, Niestety, brak mi kwalifikacji! Myślałem zawsze, żeby zapoznać się, ale mi się, Niestety, nie udało. Moje życie — tak jakoś poszło...

Zająknął się i urwał. Wyglądał, jakby był bliski płaczu, aż mi się głupio zrobiło. Nic nie mówiłem, tylko zacząłem pieczętować puste kartki, nie patrząc na niego, choć czułem, że coraz bardziej się nade mną nachyla i że najwyraźniej ma ochotę przejść na moją stronę biurka. Ale udawałem, że nic o tym nie wiem, a on zaczął szeptać bardzo głośno, z czego nie zdawał sobie chyba sprawy:

— Ja wiem, że przeszkadzam panu, i zaraz odejdę... Mam pewną... pewną prośbę... Liczę na pana... zaledwie śmiem liczyć na wyrozumiałość... Kto oddaje się takiej ważnej pracy, takiemu pożytkowi bezinteresownie, dla ogólnego dobra, zrozumie mnie — może... Nie jestem... śmiem się spodziewać...

Byłem od tego szeptania całkiem już głupi i wciąż tylko pieczętowałem kartki, a przy tym widziałem ze strachem, że wnet mi się skończą i nie będę mógł wlepić oczu w puste biurko, a nie chciałem patrzeć na niego, bo się wprost cały rozpląwał.

— Chciałbym... chciałbym — powtórzył ze trzy razy — prosić pana nie o... to znaczy — o przysługę, o pomoc. O wypożyczenie mi stosunkowo drobnej rzeczy — ale muszę się wpierw przedstawić: nazywam się Harden... Pan mnie nie zna, no, Boże, skąd by pan mógł mnie znać...

— A pan mnie zna? — spytałem, nie podnosząc głowy i chuchając na poduszeczkę pieczętki. Harden tak się zląkł, że przez dłuższą chwilę nie był w stanie odpowiedzieć.

— Przez przypadek... — bąknął wreszcie. — Przez przypadek widywałem, mając... mając interesy tu, na tej ulicy, w pobliżu, obok, to znaczy — niedaleko tego domu... Ale to

nic nie znaczy — mówił gorąco, jakby niesłuchanie wprost zależało mu na tym, żeby mnie przekonać, że mówi prawdę. Aż mi w głowie od tego wszystkiego szumiało, a on ciągnął:

— Prośba moja, z pozorów błaha, ale... Chciałem pana prosić, naturalnie z wszelkimi zapewnieniami, o pożyczenie mi drobnej rzeczy. To pana nie utrudzi. Chodzi — chodzi o drut. Z wtyczkami.

— Co pan mówi? — spytałem.

— Drut z wtyczkami! — zawołał prawie z uniesieniem. — Niedużo, kilka... naście metrów i wtyczki... osiem... nie — dwanaście — ile wolno. Oddam na pewno. Ja, wie pan, mieszkam na tej samej ulicy, pod ósmym...

„A skąd pan wie, gdzie ja mieszkam?” — chciałem spytać, ale ugryzłem się w ostatniej chwili w język i powiedziałem tylko możliwie obojętnym tonem:

— Tutaj nie ma wypożyczalni drutu, proszę pana. Zresztą, czy to taka wielka rzecz? Przecież pan to dostanie w każdym sklepie elektrotechnicznym.

— Ja wiem! wiem! — zawołał. — Ale niechże mnie pan zrozumie! Tak przyjsć jak ja... tu... jest to prawdziwym ciężarem, ale nie mam drogi. Ten drut jest mi niesłuchanie potrzebny, a właściwie nie jest on dla mnie, nie. Jest... jest przeznaczony dla kogoś. Ten... ta... osoba... nie ma... środków. To mój... przyjaciel. On... nic nie ma... — powiedział, znowu z takim wyrazem twarzy, jakby się miał rozplakać. — Ja, niestety, teraz... takie wtyczki sprzedają tylko w tuzinach, wie pan. Proszę, może pan w swojej wspaniałomyślności... Zwracam się do pana, bo nie mam, bo nikogo nie znam...

Urwał i przez jakiś czas nic nie mówił, tylko dyszał, jakby okropnie wzruszony. Od tego wszystkiego już się spociłem i chciałem tylko jednego: pozbyć się go — na razie. Mogłem mu tego drutu zwyczajnie nie dać i wtedy by się wszystko skończyło. Ale byłem zaintrygowany Zresztą, może być, że i pomóc mu trochę chciałem, bo mi się go żal robiło. Nie wiedziałem jeszcze dobrze, co o tym myśleć, ale miałem w pracowni własną starą zwojnicę, z którą mogłem zrobić, co mi się podobało. Bananów wprawdzie nie miałem, ale cała kupa leżała na stoliku. Nikt się z nich nie rozliczał. Nie były, co prawda, przeznaczone dla obcych, pomyślałem jednak, że ostatecznie raz mogę zrobić wyjątek.

— Niech pan zaczeka — powiedziałem. Poszedłem do pracowni, przyniosłem stamtąd drut, cążki i banany.

— Czy taki drut będzie dobry? — spytałem. — Innego nie mogę panu dać.

— Doprawdy — ja, ja myślę, że będzie w sam raz...

— Ile panu trzeba? Dwanaście? Może dwadzieścia metrów?

— Tak! Dwadzieścia! Jeżeli pan łaskaw... Odmierzyłem na oko ze dwadzieścia metrów, odliczyłem wtyczki i położyłem na biurku. Schował wszystko do kieszeni, a mnie naraz przyszło do głowy, że pan Egger, gdyby dowiedział się o tych bananach, narobiłby szumu w całym Klubie. Mnie by naturalnie nic nie powiedział, przejrzałem go, to intrygant i faryzeusz, w gruncie rzeczy podszyty tchórzem. Pan Harden cofnął się od biurka i powiedział:

— Młody panie... przepraszam... panie... zrobił pan prawdziwie dobry uczynek. Ja wiem, że moja nietaktowność — i sposób, w jaki ja tu do pana... to mogło wywołać niewłaściwe wrażenie, ale zapewniam pana, zapewniam, to było bardzo potrzebne! Chodzi o sprawę pomiędzy uczciwymi, dobrymi ludźmi. Nie umiem nawet wyjawić, jak ciężko mi było przyjsć, ale miałem nadzieję — i nie omyliłem się. To pocieszające! To bardzo pocieszające!

— Czy mam to traktować jako pożyczkę? — spytałem. Chodziło mi głównie o termin zwrotu, w razie gdyby miał być odległy, postanowiłem przynieść odpowiednią ilość własnych wtyczek.

— Naturalnie, to tylko pożyczka — odparł, prostując się z jakąś staroświecką godnością. Przyłożył kapelusz do serca. — Ja, to znaczy — mniejsza o mnie... Mój przyjaciel na pewno będzie panu wdzięczny. Pan... pan nawet nie wyobraża sobie, co to znaczy — jego wdzięczność... Nawet przypuszczam, że...

Uklonił mi się.

— W krótkim czasie zwrócę wszystko — z podziękowaniem. Kiedy — w tej chwili nie potrafię panu, niestety, powiedzieć. Dam znać, za pana pozwoleniem. Pan — przepraszam — bywa tu co drugi dzień?

— Tak — powiedziałem. — W poniedziałki, środy i piątki.

— A czy kiedyś — kiedyś będę mógł... — zaczął bardzo cicho pan Harden. Spojrzałem na niego bystro i to go, widać, spłoszyło, bo nie powiedział już nic, tylko uklonił mi się, raz r z gołą głową, drugi raz w kapeluszu, i wyszedł. Zostałem sam i miałem jeszcze prawie godzinę czasu, ale spróbowałem tylko czytać i zaraz odłożyłem książkę, bo nie mogłem zrozumieć ani jednego zdania. Kompletnie mnie skołowała ta wizyta i ten człowiek. Wyglądał na porządnie zabiedzonego, wierzchy butów, choć lśniące czystością, tak miał spękane, aż żal było patrzeć. Kieszenie marynarki obwisały mu, jakby stale nosił w nich jakieś ciężkie przedmioty. Mogę coś o tym powiedzieć. Dwie rzeczy zastanowiły mnie najbardziej — i obie odnosiły się do mnie. Pan Harden najpierw powiedział, że zna mnie z widzenia, bo załatwiał coś w pobliżu Klubu — co się, ostatecznie, mogło przypadkowo zdarzyć, chociaż dziwne wydało mi się zaleknienie, z jakim mi to tłumaczył. Po wtóre: mieszkał na tej samej ulicy, co ja. Tu już przypadków było zbyt wiele. Równocześnie widziałem jak na dłoni, że to nie jest człowiek zdolny z natury do jakiejś podwójnej gry, do skomplikowanych kłamstw. Rozmyślałem tak i, ciekawa rzecz, dopiero na samym końcu zastanowiłem się nad tym, do czego właściwie potrzebny mu był ten drut. Nawet się trochę zdziwiłem, że tak późno na to wpadłem. Pan Harden zupełnie, ale to zupełnie nie wyglądał na człowieka, który robi wynalazki czy choćby tylko majstruje dla przyjemności. Powiedział zresztą, że ten drut nie jest dla niego, ale dla przyjaciela. Wszystko to razem nie składało mi się zupełnie. Na drugi dzień po szkole poszedłem obejrzeć sobie dom pod ósmym. Nazwisko jego rzeczywiście figurowało na liście lokatorów. Wdałem się w rozmowę z dozorcą, uważając, żeby nie wzbudzić w nim podejrzenia, i wymyśliłem całą historię, że mam niby dawać korepetycje siostrzeńcowi pana Hardena, więc interesuję się tym, czy jest wypłacalny. Pan Harden — jak opowiedział mi dozorca — pracował w śródmieściu, w jakiejś wielkiej firmie, do pracy jeździł o siódmej, a wracał o trzeciej. Ostatnimi czasy o tyle się to zmieniło, że zaczął wracać coraz później, a zdarzało się, że w ogóle nie przychodził na noc. Dozorca go o to nawet mimochodem spytał, a pan Harden powiedział mu, że bierze nadliczbowe godziny i nocną pracę, bo potrzebuje pieniędzy na święta. Jednakże nie dało się zauważyć — to są wnioski dozorczy — żeby mu ta wyteżona praca wiele przyniosła, bo jak był biedny niczym mysz kościelna, takim pozostał, ostatnio zaś zalegał z czynszem i świąt w ogóle nie urządzał, do kina nie poszedł; dozorca nie wiedział, niestety, jak się nazywa ta firma, w której pan Harden pracuje, a zbyt długo też wołałem go nie wypytywać, tak że właściwie ten wywiad przyniósł mi niezbyt obfite plony.

Muszę przyznać, że z niecierpliwością oczekiwałem poniedziałku, bo coś mi mówiło, że jest to początek jakiejś osobliwej sprawy, choć nie mogłem sobie przedstawić, o co mogłoby w niej chodzić. Próbowałem wyobrazić sobie rozmaite możliwości, na przykład, że pan Harden robi wynalazki albo że uprawia szpiegostwo, ale to absolutnie nie pasowało do jego osoby. Jestem przekonany, że nie odróżniłby diody od pentody, był też ostatnim człowiekiem na świecie, który nadawałby się do jakiejś misji obcego wywiadu.

W poniedziałek przyszedłem na dyżur nie wcześniej i wczekałem się dwie godziny w r. snącym zniecierpliwieniu. Harden przyszedł! kiedy zabierałem się już do wyjścia. Wszedł jakoś uroczyście, uklonił mi się od progu i podał mi rękę, a potem małą paczkę, porządnie zawiniętą w biały papier.

— Dzień dobry, młody panie. Cieszę się, że pana zastałem — powiedział. — Chciałem podziękować panu za pańską dobroć. Wybawił mnie pan z nader kłopotliwego położenia. — Mówił to wszystko sztywno i tak, jakby to sobie przedtem ułożył. — Tu jest wszystko, co pan

był łaskaw mi pożyczyć — wskazał na paczkę, którą położyłem na biurku. Obaj staliśmy. Pan Harden uklonił mi się jeszcze raz i zrobił taki ruch, jakby chciał odejść — ale został.

— Nie ma o czym mówić, to była drobnostka — powiedziałem, aby ułatwić mu odezwanie się. Myślałem, że zacznie gorąco oponować, ale nic nie powiedział, patrzył tylko na mnie posepnie i parę razy potarł rondem kapelusza podbródek. Zauważyłem, że kapelusz był usilnie czyszczony, co prawda nie dało to większych rezultatów.

— Jak pan wie, nie jestem członkiem Klubu... — powiedział. Naraz przystąpił do biurka, położył na nim kapelusz i, zniżając głos, odezwał się:

— Nie mam śmiałości znów pana trudzić. I tak tyle pan dla mnie zrobił. Jednakże, gdyby pan zechciał poświęcić mi pięć minut — nie więcej, doprawdy... Nie chodzi o nic materialnego, nigdy w świecie! Tylko, wie pan — brak mi odpowiedniego wykształcenia i nie potrafię sobie dać z tym rady.

Nie mogłem się zorientować, do czego zmierza, ale byłem porządnie zaciekawiony, więc powiedziałem, żeby go zachęcić:

— Ależ oczywiście, jeżeli będę mógł, chętnie panu pomogę.

Ponieważ milczał, nic nie odpowiadając i nie ruszając się z miejsca, dodałem na oślep:

— Czy chodzi o jakiś aparat?

— Co?! Co pan mówi?! Skąd, skąd pan... — wyrzucił, przestraszony, jakbym powiedział coś niesłychanego. Robił takie wrażenie, jakby chciał po prostu czmychnąć.

— Ależ to proste — odparłem możliwie spokojnie, starając się uśmiechnąć — pożyczył pan ode mnie przewód elektryczny i wtyczki, a zatem...

— O, pan jest niesłychanie bystry, nad wyraz bystry — powiedział, ale nie było w tym uznania, raczej lęk. — Nie, bynajmniej, to znaczy — pan jest człowiekiem honorowym, nieprawdaż? Czy mógłbym, ośmielając się, prosić pana, to znaczy, jednym słowem, czy może dać mi pan słowo, że nikomu... że pan zachowa wszystko, o czym mówimy, dla siebie?

— Tak — odparłem zdecydowanym tonem i żeby go upewnić, dodałem:

— Nigdy nie łamię danego słowa.

— Tak sobie myślałem. Tak! Byłem o tym przeświadczony! — powiedział, jednakże minę dalej miał zasepioną i nie patrzył mi w oczy. Jeszcze raz potarł podbródek i powiedział szeptem:

— Są... wie pan... jakieś zakłócenia. Nie wiem, skąd. Nie potrafię tego zrozumieć. Raz jest prawie dobrze, a potem nic nie rozumiem.

— Zakłócenia — powtórzyłem, bo zamilkł — pan ma na myśli zakłócenia odbioru?

Chciałem dodać jeszcze „to pan ma krótkofalówkę” — ale powiedziałem tylko „to pan...” — tak się wzdygnął.

— Nie, nie — wyszeptał. — Nie chodzi o odbiór. Wydaje się, że z nim jest coś źle. Czy ja wiem zresztą! Może po prostu nie chce ze mną mówić.

— Kto? — spytałem znowu, bo przestałem go pojmować, wtedy on obejrzał się za siebie, a potem, zniżywszy głos jeszcze bardziej, powiedział:

— Proszę pana, przyniosłem to ze sobą. Schemat, to znaczy część schematu. Ja, wie pan, nie mam prawa, to znaczy — nie całkiem mam prawo pokazać to komukolwiek, ale ostatnim razem otrzymałem zgodę. To nie jest moja sprawa. Pan rozumie? Mój przyjaciel — o niego właśnie chodzi. To jest ten rysunek. Niech się pan nie gniewa, że to jest tak niedobrze narysowane, próbowałem studiować rozmaite specjalne książki, ale to nic nie pomogło. Chodzi o to, że trzeba to zrobić — sporządzić, dokładnie, tak jak jest narysowane. Ja bym się już postarał o wszystkie potrzebne rzeczy. Wszystko już mam, dostałem. Ale — ja tego nie zrobię! Tymi rękami — wyciągnął chude, żółtawe dłonie, które drżały tuż przed moją twarzą — pan sam przecież widzi! Nigdy w życiu nie miałem z tym nic wspólnego, nie umiałbym nawet narzędzia utrzymać, taki ze mnie niezguła, a tu tak jest potrzebna umiejętność! Chodzi przecież o życie...

— Może mi pan pokaże ten rysunek — powiedziałem powoli, starając się nie zwracać uwagi na jego słowa, bo już zanadto zalatywały mi jakimś pomieszczeniem.

— Ach, przepraszam... — wybąkał.

Rozpostarł na biurku kawał sztywnego papieru rysunkowego, nakrył go obu rękami i spytał cicho:

— Czy można zamknąć drzwi?

— Owszem, można — powiedziałem — bo już jest po godzinach dyżuru. Możemy się nawet na klucz zamknąć — dodałem, wyszedłem na korytarz i umyślnie głośno przekręciłem dwa razy klucz w zamku, żeby to słyszał. Chciałem, by nabrał do mnie zaufania.

Wróciwszy do pokoju, siadłem za biurkiem i wziąłem do ręki ten jego rysunek. Nie był to bynajmniej schemat. Nie było to podobne do niczego — oprócz dziecińczych gryzmołów. Były tam po prostu kwadraty, oznaczone literkami i cyframi, połączone ze sobą, ni to jakaś telefoniczna rozdzielnica, ni to tablica rozdzielcza, narysowana tak, że włosy stawały na głowie — bez użycia symboli, kondensatory i cewki były naszkicowane „z natury”, jakby to zrobiło pięcioletnie dziecko. Sensu nie można się było w całości doszukać za grosz, bo nie wiadomo było, co oznaczają te kwadraty z cyframi, aż naraz zauważyłem znajome literki i liczby: oznaczenia rozmaitych lamp katodowych. Wszystkiego razem — osiem. Ale to nie był aparat radiowy. Poniżej kwadratów widniały prostokąci z cyframi, które nic mi już nie mówiły; widniały wśród nich także greckie litery — wszystko razem niczym jakiś szyfr albo po prostu rysunek obłąkańca. Oglądałem cały ten bohomas dość długo, słysząc, jak Harden dyszy mi głośno nad głową. Chociaż nie mogłem złapać nawet w przybliżeniu idei całej tej aparatury, dalej studiowałem rysunek, bo czułem, że nie będzie łatwo wyciągnąć z niego wiele więcej, musiałem się więc oprzeć na tym materiale, jaki miałem przed sobą. Nie było wykluczone, że jeżeli go nacisnę, by pokazał mi i wytłumaczył cokolwiek, przelęknie się i tyle będę go widział. I tak okazał mi sporo zaufania. Tak więc postanowiłem zacząć od rysunku. Jedyłą częścią zrozumiałą było coś w rodzaju fragmentu wzmacniacza kaskadowego, ale to był raczej mój domysł, gdyż, jak powiadam, całość przedstawiała coś zupełnie nieznanego i zagmatwanego — widniało tam doprowadzenie prądu o napięciu 500 woltów — po prostu sen elektrotechnika, który ma koszmary! Między poszczególnymi częściami były wyrysowane rozmaite elementy, mające zapewne stanowić wskazówkę dla tego, kto by to urządzenie miał budować, więc, na przykład, uwagi o materiale, z jakiego trzeba wykonać płytę rozdzielnicę, a kiedy się dobrze temu labiryntowi przyjrzałem, odkryłem naraz coś dziwnego: skosem stojące na kilku nóżkach, obrzeżone jakby firanczką prostokąci, niczym kołyski jakieś. Spytałem Hardena, co to jest.

— To? To są, to mają być ekrany — odparł pokazując mi palcem inny, taki sam prostokącik, w który rzeczywiście wpisane było małymi literkami słowo „ekran”.

To mnie wprost zaszokowało. Harden najwyraźniej nie zdawał sobie w ogóle sprawy z tego, że słowo „ekran” znaczy w elektrotechnice coś całkiem innego aniżeli w życiu potocznym, i tam, gdzie w schemacie szło o ekranowanie poszczególnych fragmentów aparatury, to znaczy oddzielenie od siebie pól elektromagnetycznych osłonami, czyli ekranami z metalu, wyrysował ze świętą naiwnością ekraniki, jakie się widzi w kinie!

A przy tym w dolnym rogu schematu widniał filtr wysokiej częstotliwości, podłączony w całkiem nowy, nie znany mi sposób, nadzwyczaj dowcipnie — był to po prostu wynalazek pierwszej wody!

— Proszę pana — powiedziałem — to pan sam rysował?

— Tak, ja. A co?

— Tu jest filtr — zacząłem, wskazując ołówkiem, ale on przerwał mi:

— Proszę pana, ja się na tym nie znam. Zrobiłem to według wskazówek. Mój przyjaciel... a więc tak: to on jest w pewnym sensie — autorem...

Urwał. Naraz zabłysło mi światło.

— Pan się z nim porozumiewa przez radio? — spytałem.

— Co? Ależ nie!

— Przez telefon? — pytałem dalej, niewzruszony. Pan Harden zaczął naraz drzeć.

— O... o co panu chodzi? — wyjąkał, opierając się ciężko o biurko. Zdawało mi się, że zasłabnie. Przyniosłem stółek z pracowni, na który osunął się, jakby się postarzał w czasie rozmowy.

— Czy pan go widuje? — spytałem, a Harden skinął powoli głową.

— Więc czemu nie korzysta pan dalej z jego pomocy?

— Och, to niemożliwe... — powiedział z nagłym westchnieniem.

— Jeżeli przyjaciela pana nie ma tutaj i trzeba się z nim porozumieć na odległość, mogę panu użyczyć mojego aparatu radiowego — powiedziałem. Zrobiłem to umyślnie.

— Ależ to nic nie da! — zawołał. — Nie, nie, on jest tutaj, naprawdę.

— Więc czemu on sam nie przyjdzie do mnie? — rzuciłem. Pan Harden wykrzywił twarz w jakimś spazmatycznym uśmiechu.

— To niemożliwe — powiedział. — On nie jest... jego nie można... naprawdę, to nie jest mój sekret i nie mam prawa go zdradzać... — powiedział nagle gorąco, z takim wylaniem, że uwierzyłem w jego szczerość. W głowie aż mi huczało od wytężonego myślenia, a nie mogłem się jeszcze połapać, o co chodzi. Jedno było najzupełniej pewne: Harden nie znał się w ogóle na radiotechnice i schemat musiał być dziełem tajemniczego przyjaciela, o którym tak mgliście napomykał.

— Proszę pana — zacząłem powoli — co się mnie tyczy, może być pan najzupełniej pewny mojej dyskrecji. Nie chcę wcale pytać, co pan robi i do czego ma to służyć — wskazałem na rysunek — ale żeby panu pomóc, musiałbym, po pierwsze, przerysować to sobie, a, po wtóre, ten mój rysunek musiałby dopiero przejrzeć pana przyjaciela, który się widocznie na tym zna...

— To się nie da zrobić... — wyszeptał pan Harden. — Ja... ja musiałbym to panu zostawić?

— A jakże inaczej? Panu chodzi o to, żeby ten aparat zmontować — czy tak?

— Ja... ja bym przyszedł ze wszystkim, co potrzebne, kiedy pan pozwoli — powiedział pan Harden.

— Nie wiem, czy to możliwe — czy to się da przeprowadzić — powiedziałem.

Kiedy popatrzyłem na niego, wyglądał zupełnie złamany. Wargi mu drżały — przesłonił je rondem kapelusza. Zrobiło mi się go naprawdę żal.

— Ostatecznie, można by spróbować — powiedziałem niechętnie — choć nie wydaje mi się, aby podług tak niedokładnego rysunku dało się sklecić cokolwiek sensownego. Niechże pana przyjaciel przejrzy to, u licha, czy po prostu porządnie przerysuje...

Kiedy popatrzałem na niego, zrozumiałem, że żądam rzeczy niewykonalnej.

— Kiedy mogę przyjść? — spytał wreszcie. Umówiłem się z nim na trzeci dzień; wyrwał mi prawie rysunek z rąk, schował go do wewnętrznej kieszeni i rozejrzał się nieprzytomnymi oczami.

— To ja już sobie pójdę. Nie będę... nie chcę zabierać panu czasu. Bardzo panu dziękuję i — do widzenia. Więc przyjdę, jeżeli można. Ale nikt... nikt... nikomu...

Obiecałem mu raz jeszcze, że nic nikomu nie powiem, dziwiąc się już własnej cierpliwości. Wychodząc, zatrzymał się naraz.

— Proszę pana... przepraszam, że jeszcze się ośmielam. Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie można dostać żelatyny?

— Czego — proszę?

— Żelatyny — powtórzył — zwykłej, suszonej żelatyny w arkuszach, zdaje się...

— W sklepie spożywczym najprędzej — poradziłem mu. Raz jeszcze uklonił się, podziękował mi gorąco i wyszedł. Przeczekałem chwilę, aż jego kroki ucichły na schodach,



zamknąłem Klub i poszedłem do domu, tak zamyślony, że wpadałem na przechodniów. Zajęcie, jakiego się może lekkomyślnie podjąłem, nie budziło we mnie zachwyty, ale rozumiałem, że zbudowanie tego nieszczęsnego aparatu — to jedyna droga poznania, co właściwie poczyna pan Harden ze swoim zagadkowym przyjacielem. W domu wziąłem parę arkuszy papieru i próbowałem narysować ten dziwaczny schemat, który pokazał mi pan Harden, ale prawie nic nie pamiętałem. Na koniec pociąłem papier na kawałki, na których wypisałem wszystko, co wiedziałem o całej tej historii, i próbowałem, siedząc nad nimi do wieczora, złożyć te fragmenty w jakąś sensowną całość. Nie bardzo mi to szło, chociaż muszę powiedzieć, że puściłem całkiem wodze wyobraźni i nie wahałem się stawiać całkiem nieprawdopodobnych hipotez, w rodzaju, że pan Harden utrzymuje łączność radiową z uczonymi jakiejś innej planety — coś jak w tej historii Wellsa o kryształowym jajku. Nie trzymało się to jednak kupy, a najbardziej oczywiste, narzucające się wprost rozwiązanie: że mam do czynienia ze zwyczajnym wariatem — odrzuciłem, po pierwsze dlatego, że zbyt wiele metody tkwiło w tym jego wariactwie, po drugie zaś, ponieważ tak właśnie brzmiałby bez wątpienia sąd olbrzymiej większości ludzi z panem Eggerem na czele. Kiedy kładłem się już spać, zabłysło mi w głowie światło, od którego aż skoczyłem. Zdumiałem się, że nie wpadłem na to od razu, tak mi się to nagle wydało oczywiste. Nieznany, ukrywający się w cieniu przyjaciel pana Hardena musiał być niewidomy! Jakiś fachowiec—elektryk, ślepy, może więcej nawet niż ślepy! Kiedy zanalizowałem szybko we wspomnieniu niektóre odezwania się Hardena, a szczególnie, gdy uprzytomniłem sobie, jak żalonym uśmiechem skwitował moją propozycję, aby przyjaciel jego przyszedł sam, doszedłem do wniosku, że jest on całkiem sparaliżowany. Jakiś stary, na pewno bardzo stary człowiek, od lat przykuty do łóżka, który w mroku, otaczającym go wiecznie, wymyśla dziwne przyrządy. Jedyny przyjaciel, którym może się przy tym posługiwać, nie zna się w ogóle na elektrotechnice. Stary, jak to stary — jest zdziwaczała, mocno podejrzliwy i obawia się, że mu jego sekret mogą wykraść. Hipoteza ta wydała mi się bardzo prawdopodobna. Było jeszcze kilka niejasnych punktów: do czego służyć miały druty i wtyczki? Nie omieszkalem zbadać ich sumiennie pod lupą. Drut został pocięty na kawały różnej długości — po dwa, dwa i pół, trzy i cztery metry, banany zaś, w chwili kiedy je wręczałem panu Hardenowi — zupełnie nowe, nie używane, miały porozkręcane śrubki, a w niektórych tkwiły pojedyncze nitki miedzianego drutu. A zatem służyły naprawdę do czegoś i pożyczanie ich nie stanowiło wyłącznie pretekstu do nawiązania ze mną bliższego kontaktu.

Ponadto — żelatyna. Po co mu była żelatyna? Aby przyrządzić dla owego przyjaciela jakąś galaretkę, kleik? Siedziałem po ciemku na łóżku, tak trzeźwy, jakbym nie miał tej nocy w ogóle zasnąć. „Arkusze suchej żelatyny” — przypadkowo wiedziałem, że z takiej ilości można by zrobić galaretkę dla wieloryba. Nie orientował się w proporcjach? Czy też po prostu chciał wprowadzić moją dociekliwość na fałszywe tory? Byłażby to, w takim razie, „operacja pozorna żelatyna”? Ale podobna chytryść nie mogła mieć źródła w panu Hardenie — wprost organicznie był do tego niezdolny! Niezgrabiasz, fizyczny i duchowy, do zabicia muchy zabierałby się z lękami, zahamowaniami i tajemniczością, jakby szło o dokonanie najstraszliwszej zbrodni. Więc ten krok podszeptał mu „przyjaciel”? Czyżby tak zaplanował całą rozmowę? Ze wszystkimi niedomówieniami i przejęzyczeniami, które produkował pan Harden? To na pewno było niemożliwe. Czuję, że im dokładniej analizuję byle błahostkę, byle szczegół tej sprawy, jak właśnie ową nieszczęsną żelatynę, w tym większym pogrążam się mroku, gorzej — ze wszystkich, pozornie zwyczajnych elementów zdawał się wynikać, jako logiczny wniosek, absurd. A gdym przypomniał sobie jego słowa o „zakłóceniach”, o tym, jak nie może się porozumieć z przyjacielem, ogarnął mnie wprost niepokój. Wyobraziłem sobie — cóż innego mogło mi przyjść na myśl? — starca, całkowicie bezwładnego, pozbawionego wzroku, na wpół przytomnego, martwe, wielkie ciało w barłogu, na jakimś ciemnym strychu, rozpaczliwie bezbronną istotę, w której mózgu, osaczonym przez

wieczną ciemność, błyskają jakieś fragmenty wizyjnej aparatury, a Harden, śmieszny i wierny, wszystkie siły wyteża, aby z bełkotliwych strzępów, z chaotycznych uwag, wyrzucanych z głębi zamroczenia, obłędu, złożyć trwałą jak pomnik, jak testament całość. Tak mi się to roiło owej nocy — wydaje mi się, że miałem chyba gorączkę. A przecież nie mogłem wszystkiego w ogóle tłumaczyć szaleństwem, bo pamiętałem pewien drobny, lecz wprost niezwykły szczegół — ową konstrukcję filtra częstotliwości, która fachowcowi mówiła niedwuznacznie, że spotyka się z płodem — co tu gadać — genialności.

Postanowiłem sobie kopiować w pamięci układ aparatury, którą obiecałem złożyć, i uspokojony świadomością, że trzymam przecież w ręce jakąś nić, która będzie mnie prowadziła w głąb tego labiryntu, usnąłem.

Pan Harden przyszedł w środę, jakeśmy się umówili, objuczony dwiema teczkami, pełnymi części, a jeszcze trzykrotnie wracał do domu po resztę. Praca montażowa miała odbywać się po moim dyżurze, tak było mi najwygodniej. Kiedy zobaczyłem te wszystkie części, zwłaszcza lampy, zorientowałem się, jaki kawał grosza i musiały kosztować — i ten człowiek pożyczał i ode mnie kilkanaście metrów drutu? Zabrałem się do dzieła, podzieliwszy pracę w ten sposób, że znaczyłem na ebonitowej płycie miejsca, w których należało nawiercić otwory, a pan Harden mocował się z wiertarką. Okrutnie mu to nie szło. Musiałem mu pokazać, jak trzymać jej korpus i kręcić korbą. Złamał dwa wiertła, zanim się tego nauczył. Ja tymczasem pilnie studiowałem rysunek i rychło zorientowałem się, że było tam sporo połączeń najzupełniej nonsensownych. To się zgadzało z moją hipotezą: albo uwagi „przyjaciela” padały w formie tak niewyraźnej i niejasnej, że Harden nie umiał się w nich zorientować, albo sam „przyjaciel” gubił się we własnej koncepcji, owładnięty przejściowym zamroczeniem. Powiedziałem panu Hardenowi o tych fałszywych połączeniach. Nie dał mi najpierw wiary, ale kiedy w przystępnej formie wytłumaczyłem mu, że montaż według takiego schematu musi doprowadzić po prostu do krótkiego spięcia, do spalenia lamp — przeraził się. Słuchał mnie dłuższy czas w zupełnym milczeniu, z drgającymi wargami, których nie mógł przesłonić po swojemu rondem kapelusza. Naraz zakrzętał się, w nieoczekiwanym przyplwywie energii porwał schemat ze stołu, narzucił marynarkę i prosząc, abym zaczekał tylko chwilę, tylko pół godziny, od drzwi rzucając jeszcze zaklęcia — pognął do miasta. Był już zmierzch, kiedy wrócił, uspokojony, choć zdyszany, jakby biegł całą drogę. Powiedział mi, że wszystko jest w porządku — że tak właśnie ma być, jak jest narysowane, że się wprawdzie nie mylę, ale to, o czym mówiłem, zostało przewidziane i uwzględnione. Urażony, w pierwszej chwili miałem po prostu ochotę rzucić całą robotę, ale po namyśle wzruszyłem ramionami i wyznaczyłem mu dalszy etap pracy. Tak upłynął ten pierwszy wieczór. Harden robił pewne postępy, nadzwyczajna wprost była jego cierpliwość i uwaga, widziałem też, że nie tylko stara się wykonać moje polecenia, ale usiłuje wdrożyć się do manipulacji, w rodzaju montowania chassis czy lutowania końcówek, jakby się tym chciał parać na przyszłość. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Ach, podpatrujesz mnie — pomyślałem — może ci kazano zdobyć wprawę w radiotechnice, więc i ja jestem zwolniony z lojalności; pod pozorem wyjścia do ustępu zamierzałem wyrysować sobie w pamięci cały schemat, bo nie wypuszczał go niemal z rąk i mogłem mu się przypatrywać tylko pod jego okiem, za co mnie zresztą tysiącnie razy przeproszał — ale stawał na swoim. Czułem, że ta zaciekłość strzeżenia tajemnicy nie płynie z niego samego, że jest mu narzucona i obca jego naturze. Gdy jednak chciałem wyjść na chwilę z pracowni, zastąpił mi drogę i patrząc w oczy, żarliwym szeptem powiedział, że muszę złożyć mu świętą obietnicę, przysiąc — że nie będę próbował odrysować schematu ani teraz, ani później, nigdy. Obruszyłem się. — Jakże pan chce, abym to zapomniał? — spytałem. — To nie leży w mojej władzy. Zresztą, naprawdę, i tak zbyt wiele robię już dla pana i niegodne jest żądać ode mnie, abym działał jak ślepy automat, narzędzie!

To mówiąc, chciałem go wyminąć, bo zastępował mi drogę, ale on chwycił mnie za rękę i

przycisnął do serca — znów bliski płaczu.

— To nie dla mnie, nie dla mnie — powtarzał trzęsącymi się wargami — błagam, proszę, niech pan zechce to zrozumieć, on... on nie jest tylko moim przyjacielem, chodzi o coś większego, o rzecz nieporównanie większą, przysięgam panu, chociaż nie mogę w tej chwili jeszcze tego powiedzieć, ale niech mi pan wierzy: nie zwodzę pana i nie ma w tym nic niskiego! On... on się panu odwdzięczy — sam to słyszałem — pan nie wie, nie może pan wiedzieć, a ja, nie, nie wolno mi nic mówić, ale to do czasu, przekona się pan!

Tak mniej więcej mówił — ale nie potrafię oddać rozpaczliwego żaru, z jakim patrzył mi w oczy. Przegrałem jeszcze raz — musiałem, po prostu musiałem mu dać to przyrzeczenie. Trzeba żałować, że nie trafił na kogoś mniej uczciwego — być może losy świata potoczyłyby się inaczej, ale stało się. Zaraz potem odszedł; zamknęliśmy zmontowaną część urządzenia do podokiennej szafki, od której miałem klucz — i Harden wziął go ze sobą. Zgodziłem się i na to, żeby go uspokoić.

Po tym pierwszym wieczorze wspólnej pracy znów miałem sporo materiału do przemyślenia — bo myślenia już nie mógł mi zabronić.

Najpierw była sprawa owych fałszywych połączeń; przypuszczałem, że nie odkryłem wszystkich, tym bardziej że cały schemat, widziałem to coraz wyraźniej, stanowił tylko część jakiejś większej, może daleko większej całości. Czyżby chciał ją zmontować później sam, po zakończeniu u mnie terminatorki?

Elektryk, wdrożony do mechanicznej pracy, nie interesujący się specjalnie tym, jaki sens ma to, co robi, być może przeszedłby nad owymi miejscami schematu do porządku, ale mnie nie dawały one spokoju. Nie umiem powiedzieć dlaczego, to znaczy — nie potrafię tego zrobić, nie przedstawiając owego schematu, którego, niestety, nie mam — ale wyglądało to tak, jakby złe połączenia zostały wprowadzone umyślnie. Im dłużej nad nimi myślałem, tym mocniej byłem o tym przeświadczony. Były to, nie miałem już prawie wątpliwości, fałszywe tropy, zwodnicze, mylące pociągnięcia tego, kto stał, niewidzialny, za całą tą sprawą. Najmniej w tym wszystkim podobało mi się to, że pan Harden naprawdę o istnieniu tych umyślnych pogmatwań schematu nic nie wiedział, a zatem i on nie był dopuszczony do jądra zagadki, a zatem i jego oszukiwano — a robił to jego tak zwany „przyjaciel”! Muszę wyznać, że jego sylweta nie nabierała w mych oczach pociągających rysów, wprost przeciwnie: nie odczuwałem ochoty, aby nazwać kogoś takiego swoim przyjacielem! A jak należało rozumieć wielkie, choć mgliste słowa pana Hardena, kryjące niejasne obietnice i przyrzeczenia? Nie wątpiłem, że tylko je przekazywał, że i tu był jedynie pośrednikiem — ale czy dobrej, czy czystej sprawy? Następnego dnia po południu, gdy byłem w domu i czytałem książkę, matka powiedziała mi, że w bramie jest ktoś, kto chce się ze mną widzieć. Była oczywiście zła i spytała, co też to mam za podstarzałych znajomków, którzy boją się pokazać sami i posyłają po mnie dzieci dozorcy. Nie odpowiedziałem nic, bo mnie coś tknęło, i zbiegłem na dół. Był już wieczór, ale lampy, nie wiem czemu, nie świeciły się i w sieni panowała taka czarna ciemność, że ledwo dostrzegłem czekającego. Był to pan Harden. Zdawał się mocno zdenerwowany. Poprosił mnie, żebyśmy wyszli na ulicę. Ruszyliśmy w stronę ogrodu, przy czym pan Harden nie odzywał się przez dłuższy czas, aż gdy znaleźliśmy się nad stawem, w kompletnym o tej porze pustkowiu, spytał, czy interesuję się przypadkiem poważną muzyką. Powiedziałem, że owszem, dosyć ją lubię.

— Ach, to dobrze, to bardzo dobrze. A — być może, posiada pan jakieś płyty? Chodzi mi właściwie tylko o jedną — o Adagio, opus ósme, Dahlen–Gorskiego. Jest to... ma to być... to nie dla mnie, wie pan, ale...

— Rozumiem — przerwałem mu. — Nie, nie mam tej płyty. Dahlen–Gorski? To, zdaje się, taki nowoczesny kompozytor?

— Tak, tak, pan się świetnie orientuje, jak to dobrze. Ta płyta — ona jest, niestety, bardzo, wie pan... nie mam teraz, nie mam środków, i...

— No i ja też, niestety, nie bardzo jestem z funduszami — powiedziałem, śmiejąc się trochę nienaturalnie. Pan Harden przestraszył się.

— Ależ, na miły Bóg, nigdy bym o tym nie pomyślał, to nie wchodzi w ogóle w rachubę. Może któryś z pana znajomych ma tę płytę? Chodzi tylko o wypożyczenie, na jeden dzień, nie na dłużej, doprawdy!

Nazwisko Dahlen–Gorskiego coś potrafiło w mojej pamięci; milczeliśmy chwilę, idąc wzdłuż brzegu jeziora, po cienkim błocie, aż naraz uzmysłowiłem sobie, że przeczytałem je w gazecie, bodajże w programie radiowym. Powiedziałem o tym panu Hardenowi. Wracając, kupiliśmy w budce gazetę — rzeczywiście nazajutrz orkiestra symfoniczna radia miała odegrać to Adagio.

— Wie pan co — powiedziałem — nic prostszego, jak nastawić radio o tej właśnie godzinę — która to? dwunasta czterdzieści przed południem — i pański przyjaciel po prostu będzie mógł tego posłuchać.

— Tsss — uciszył mnie, rozglądając się nieufnie — proszę pana, fatalnie, że to się nie da zrobić, on... ja... on pracuje wtedy, wie pan, i...

— Pracuje? — powiedziałem zdumiony, bo mi się to nie zgadzało całkiem z obrazem opuszczonego, na wpół obłąkanego, bezwładnego starca. Harden milczał, jakby stropiony tym, co powiedział.

— A więc — rzekłem, idąc za nagłym impulsem — wie pan co: ja panu nagram to Adagio na moim magnetofonie...

— Ach, to będzie świetnie! — zawołał. — Będę panu nieskończenie wdzięczny, tylko... tylko... czy będzie mi pan mógł pożyczyć magnetofon, żeby... żeby to potem odtworzyć?

Mimo woli uśmiechnąłem się. Z magnetofonami u krótkofalowców — to cała historia: mało kto ma własny, a każdy chce robić nagrania, szczególnie egzotycznych kontaktów i nasłuchów, więc szczęśliwy posiadacz wiecznie jest bombardowany prośbami o pożyczanie. Nie chcąc wiecznie znajdować się w kolizji z moim dobrym sercem, wbudowałem sobie, montując nową aparaturę, magnetofon do środka, jako nierozdzielną część całości; całej aparatury nie można, rozumie się, pożyczać, bo jest za wielka. Powiedziałem to wszystko panu Hardenowi, który się niewypowiedzianie zmartwił.

— No, to co robić... co robić? — powtarzał, dotykając palcami guzików wyszarzałego pałta

— Mógłbym panu dać samą taśmę tylko, z nagraniem — odparłem — a magnetofon musiałby pan sobie u kogoś wypożyczyć.

— Nie mam u kogo... — bąknął, zagłębiony w myślach — zresztą... przecież magnetofon niepotrzebny! — wyrzucił z nagłą radością. — Wystarczy taśma, tak, taśma wystarczy, jeżeli będzie pan mógł mi ją dać? Pożyczyć? — zaglądał mi w oczy.

— Pański przyjaciel ma magnetofon? — spytałem.

— Nie, ale jemu to niepotrzebne...

Urwał. Całe jego rozradowanie znikło. Staliśmy akurat pod gazową latarnią.

Harden, oddalony o krok, wpatrywał się we mnie ze zmienioną twarzą.

— Właściwie nie — powiedział — ja się pomyliłem. On ma magnetofon. Tak, ma. Naturalnie, że go ma — tylko zapomniałem o tym...

— Tak? To dobrze — odparłem i poszliśmy dalej. Harden był zgaszony, nic nie mówił, czasem tylko ukradkiem zerkał na mnie z boku. Przed domem pożegnał się, ale nie odszedł. Patrzył na mnie chwilę z trochę żalonym uśmiechem i bąknął cicho:

— Pan to nagra dla niego... prawda?

— Nie — powiedziałem ogarnięty nagłym j gniewem — nie. Nagram to — dla pana.

Zbladł.

— Ja — dziękuję panu, ale... pan to źle rozumie, niewłaściwie, sam się pan przekona, później... — szeptał gorączkowo, ściskając mnie za rękę — on, on nie zasługuje na...

zobaczy pan! Przysięgam! Wszystko, wszystko pan pojmie i nie będzie wtedy oceniał go fałszywie...

Nie mogłem wprost patrzeć na niego, kiwnąłem tylko głową i poszedłem na górę. Znowu miałem materiał do rozmyślań, ale jaki! Jego przyjaciel pracował — nie był to zatem paralityczny starzec, jakiego sobie wyroiłem. Ponadto ów miłośnik nowoczesnej muzyki mógł lubować się samą tylko taśmą z nagraniem Adagia Dahlen–Gorskiego — bez pośrednictwa magnetofonu! Bo że tak się właśnie rzecz miała, że magnetofonu nie było wcale na horyzoncie — co do tego nie żywiłem najmniejszej wątpliwości!

Na drugi dzień poszedłem przed dyżurem do miejskiej biblioteki technicznej i przestudiowałem sobie wszystko — co mogłem dostać — o sposobach odtwarzania nagrań z taśmy. Wyszedłem stamtąd tak samo mądry jak wprzód. W sobotę prace montażowe zostały właściwie zakończone, należało jeszcze tylko wpasować brakujący transformator — i polutować mnóstwo końcówek. Jedno i drugie odłożyłem do poniedziałku. Pan Harden dziękował mi gorąco za taśmę, którą mu przyniosłem. Kiedyśmy się już mieli rozstać, nieoczekiwanie zaprosił mnie do siebie na niedzielę. Zmieszany, przeproszał mnie wiele razy za to, że wizyta... przyjęcie... gościna — tak się plątał — będzie niezmiernie skromna i nie licująca wcale z sympatią, jaką dla mnie żywi. Nie słuchałem tego chętnie, tym bardziej że jego nieustająca zacność wprost paraliżowała moje zamiary, wciąż bowiem nachodziła mnie ochota zabawić się w detektywa i wykryć, gdzie mieszka tajemniczy przyjaciel; obsypywany jednak podziękowaniami, przeproszany, nie mogłem wprost zdobyć się na śledzenie Hardena. Tym większą żywiłem niechęć do jego przyjaciela, który nie raczył wciąż uchylić rąbka okrywającej go tajemnicy.

Harden mieszkał w samej rzeczy niedaleko ode mnie, na czwartym piętrze oficyny, w pokoiku wychodzącym na ciemne podwórze. Przywitał mnie uroczyście, z wielkim zakłopotaniem, że nie może mnie podjąć Bóg wie jakimi wspaniałościami. Pijąc herbatę, rozglądałem się od niechcienia po pokoju. Nie wyobrażałem sobie, że z Hardenem jest aż tak źle. Było tu jednak widać ślady wskazujące, że przedtem powodziło mu się dużo lepiej; na przykład sporo mosiężnych puszek po jednym z droższych tytoni fajkowych. Nad starym, splekanym sekretarzykiem wisiał wytarty dywanik z wyraźnie odcisniętymi wgłębieniami po fajkach, musiała się tam znajdować cała ich kolekcja, ale nic po niej nie zostało. Spytałem Hardena, czy pali fajkę, odparł z pewnym zmieszaniem, że dawniej palił, ale zarzucił ten nałóg jako niezdrowy. Coraz wyraźniej widziałem, że ostatnimi czasy wy—sprzedał się ze szczętem — świadczyły o tym dobitnie jaśniejsze od reszty ścian kwadraty po obrazach, przysłonięte reprodukcjami, wyciętymi z czasopism, ale ponieważ nie pasowały dokładnie do tych jaśniejszych miejsc, można je było bez trudu odkryć. Naprawdę nie trzeba było aż detektywa, by zrozumieć, skąd się wzięły pieniądze na zakup radiowych części. Pomyślałem, że „przyjaciel” niezgorzej wyżyłował pan Hardena. Chciałem odnaleźć w pokoju choć jedną rzecz, która nadawałaby się na sprzedaż, ale nie znalazłem nic. Oczywiście nie powiedziałem o tym ani słowa, ale postanowiłem sobie w stosowanej chwili otworzyć panu Hardenowi oczy na rzeczywisty charakter tak zwanej „przyjaźni”. Pocziwy Harden poił mnie tymczasem herbatą, podsuwając mi wciąż pudełko po tytoniu, służące za cukiernicę, jakby mnie chciał skłonić do spożycia całej jego zawartości, w braku czegoś lepszego. Opowiadał mi o swoim dzieciństwie, o tym, jak wcześniej odumarli go rodzice, tak że sam się musiał utrzymywać mając ledwo trzynaście lat, wypytywał mnie o plany na przyszłość, a kiedy mu powiedziałem, że mam zamiar studiować fizykę, jeżeli uda mi się dostać stypendium, niejasno, po swojemu, zaczął mówić coś o wielkiej, korzystnej zmianie — niezwyklej zmianie, jaka, tego należy się spodziewać, oczekuje mnie już w niezbyt odległej przyszłości. Zrozumiałem to jako aluzję do łask jego przyjaciela i powiedziałem zaraz, że pragnę wszystko w życiu zawdzięczać wyłącznie własnym siłom.

— Ach, pan mnie źle rozumie... pan mnie źle rozumie — zapewnił mnie z żalem, ale

zaraz znów się nieznacznie uśmiechnął, jakby skrywając jakąś wielce go radującą myśl. Opity, rozgrzany i zły — zły byłem w tym czasie prawie nieustannie — pożegnałem po jakiejś godzinie Hardena i poszedłem do domu.

W poniedziałek zakończyliśmy wreszcie montaż aparatu. W czasie pracy Harden, mówiąc o nim, nazwał go, zapewne przez nieostrożność, „koniugatorem”. Spytałem, co to znaczy i czy wie, do czego właściwie ma ten aparat służyć; zmieszał cię i powiedział, że dokładnie nie wie. To była chyba kropla, która przepełniła czarę. Kiedy zostawiłem Hardena nad odwróconym do góry nogami aparatem, ze szczotką wystających, oczyszczonych końcówek, i wyszedłem do drugiego pokoju, wysunąwszy szufladę zobaczyłem w niej, obok kawałka cyny do lutowania, parę sztabek metalu Wooda — pozostałość po pewnym starym kawale. Jakiś złośliwiec podłożył ten srebrny metal, topiący się w temperaturze gorącej herbaty, panu Eggerowi zamiast cyny do lutowania i kompletnie zmontowany aparat w jakąś godzinę po uruchomieniu popsuł się, bo cały metal ściekł z rozgrzanych styków i wszystkie niemal się pootwierały. Sztabki same jakoś wlały mi w rękę. Nie wiedziałem dobrze sam, po co to robię, ale kiedy sobie przypomniałem pokój pana Hardena, przestałem się wahać. Było wcale prawdopodobne, że „przyjaciel” nie zorientuje się w podstępnie — pan Egger też się na nim nie poznał. Kiedy styki puszczą — myślałem, majstrując kolbę do lutowania — każe zapewne panu Hardenowi ponownie przynieść aparat do pracowni, a może nawet zechce przedstawić mi się osobiście. Może zresztą będzie wściekły — cóż mi jednak zrobi? Myśl o tym, że wystrychnę na dudka tego egoistycznego wyzyskiwacza, sprawiała mi żywą satysfakcję. Po zalutowaniu przewodów wzięliśmy się do wpasowania transformatora. Okazało się wówczas to, co podejrzewałem już przedtem: pan Harden nie był po prostu w stanie zabrać aparatu sam. Przeszkodą był nie tyle ciężar, co jego rozłożenie. Aparat wyszedł przeszło na metr długi, z jednego końca — tam gdzie mieściła się żelazna masa transformatora — bardzo ciężki, a taki nieporęczny, że śmiać mi się chciało, kiedy patrzyłem, jak Harden, coraz bardziej zaaferowany, wręcz zrozpaczony, przymierza się do niego tak i owak, próbuje go wziąć pod pachę, to klęka, prosząc, abym wsadził mu go na plecy. Postanowił wreszcie pobiec do stróża i pożyczyć od niego worek. Odradziłem mu to: aparat był tak długi, że jakkolwiek by go niósł, uderzałby weń nogami, co na pewno nie wyszłoby lampom na dobre. Począł więc grzebać w portmonetce, ale miał za mało pieniędzy na taksówkę; ja też nie miałem. Ostatecznie unicestwiony, siedział jakiś czas w milczeniu na stołku, łamiąc palce, aż spojrzął na mnie spode łba.

— Czy... zgodziłby się pan pomóc mi?...

Powiedziałem, że skoro zrobiłem już tyle, nie odmówię i teraz; rozjaśnił się, ale zaraz jął gęsto tłumaczyć, że właściwie pierwszej musi zapytać przyjaciela. Byłem ciekaw, jak to robi, pora szła późna i nie mogłem czekać na niego godzinami w Klubie. Dobrze o tym wiedział. Pan Harden wstał, jakiś czas medytował, mrużąc do siebie i chodząc po pokoju, aż spytał, czy może skorzystać z telefonu. Jeszcze po poprzednich lokatorach został w korytarzu automat telefoniczny, którego mało kto używał; myślę, że po prostu o nim zapomniano. Pan Harden przeproszał mnie gorąco — ale zamknął jednak drzwi na korytarz; miałem czekać w pokoju, aż się rozmówi z przyjacielem. To mnie trochę ubodło; powiedziałem, że może być spokojny — i zamknąłem od mojej strony drzwi na klucz, kiedy wyszedł. Spróbowałem podsłuchiwać przy drzwiach, bo chodziło o rzeczy ważniejsze od respektowania podejrzliwości jakiegoś obcego dziwaka — nic jednak nie słyszałem. Pokój klubowy łączy się z korytarzykiem za pośrednictwem przewodu wentylacyjnego, zakrytego dziurkowaną blachą, którą można odsunąć. Niewiele myśląc, podskoczyłem, chwyciłem się końcami palców framugi i podciągnąłem się do góry jak na drążku. Bardzo trudno było odsunąć klapkę — zrobiłem to głową, jak mogłem, przybliżyłem ucho do otworu. Nim zrozumiałem słowa, doszedł mnie ich ton — molestowania i prośby. Podniósł głos:

— Ależ to ja, to ja, przecież poznajesz mnie! Dlaczego się nie odzywasz!

Odpowiedziało brzęczenie słuchawki, zadziwiająco silne, skoro je dosłyszałem przez wąski otwór w murze. Pomyślałem, że telefon zepsuł się — ale Harden mówił coś, powtórzył kilka razy „niemożliwe”. Umilkł. Słuchawka bełkotała, Harden wykrzyknął:

— Nie! Nie! Ręczę ci! Ja sam wrócę!

Znowu ucichł. Wytężałem wszystkie siły, wisząc na zgiętych rękach, opuściłem się więc nieco niżej, by dać im odpocząć, a gdy się znów podźwignąłem, dobiegł mnie jego zaaferowany głos:

— A więc dobrze, wszystko tak, dokładnie tak! Tylko nie odzywaj się, słyszysz! Władza, rozumiem, władza nad światem!

Ręce mi już mdlały. Zeskoczyłem lekko, by nie robić hałasu, i otworzyłem na stukanie drzwi. Harden wrócił jakby uspokojony, ale nieswój — to był nastrój, w jakim widziałem go zawsze, kiedy wracał od „przyjaciela”. Nie patrząc na mnie, otworzył okno.

— Jak pan myśli, będzie mgła? — powiedział. Wokół lamp na ulicy tworzyły się małe, tęczujące aureole, jak zwykle po zimnym, deszczowym dniu.

— Już jest — odparłem

— Zaraz pójdziemy...

Ukląkł przy aparacie i owijał go papierami. Naraz znieruchomiał.

— Niech pan nie ma mu tego za złe. On jest taki... podejrzliwy! Gdyby się pan orientował... on jest w takiej ciężkiej, tak rozpaczliwej sytuacji! — znowu urwał.

— Tak się wciąż boję, żeby nie powiedzieć czegoś, czego mi nie wolno... — odezwał się cicho. Jego zażawione niebieskie oczy patrzyły pokornie na moje nogi. Stałem przed nim z rękami w kieszeniach — a on jakby nie chciał spojrzeć mi w twarz.

— Pan się nie gniewa, prawda? Powiedziałem, że lepiej dać już temu spokój.

Westchnął i umilkł.

Opakowawszy aparat, zrobiliśmy z każdej strony po pętli do niesienia. Gdyśmy byli z tym gotowi, Harden, wstając z kolan, powiedział, że pojedziemy autobusem, a potem metrem... i zostanie nam do przejścia jeszcze kawałek... niezbyt duży kawałek... ale jednak kawałek... i potem zaniemiemy to w jedno miejsce. Przyjaciela tam nie będzie — jego tam nie ma wcale — my tylko zostawimy pakunek, a on już sam później po niego przyjdzie.

Po tych słowach byłem już właściwie niemal pewny, że „przyjaciel” znajduje się tam właśnie, gdzie mamy się udać. Już to trzeba powiedzieć, że Harden był ostatnim na świecie człowiekiem zdolnym do przedstawiania pozorów za prawdę!

— Ze względu na znaczenie, jakie to ma... śmiem prosić... wyjątkowy warunek... ze względu... — zaczął Harden, zaczerpnąwszy głęboko tchu, kiedy myślałem już, że skończył.

— Niechże pan powie wprost, o co chodzi. Mam składać przysięgę?

— Ach, nie, nie, nie... chodzi o to, że do tego miejsca... kilkanaście ostatnich kroków... metrów... żeby pan zechciał przejść tyłem.

— Tyłem? — wytrzeszczyłem na niego oczy. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać. — Przecież wywrócę się od razu.

— Nie, nie... będę pana prowadził za rękę. Nie miałem wprost siły spierać się z nim; między mną a swoim przyjacielem był jak między młotem i kowadłem. Jeden z nas musiał zawsze ustąpić — oczywiście ja. Harden, zrozumiawszy, że się zgadzam, przycisnął moją rękę do piersi z zamkniętymi oczami. U każdego innego człowieka wyglądałoby to teatralnie, ale on naprawdę właśnie taki był. Im więcej go lubiłem — aż tego zdawałem już sobie dobrze sprawę — tym bardziej mnie złościł, a najmocniej — swoją ślamazarnością i tym kultem, jaki żywił dla „przyjaciela”.

Parę minut później wyszliśmy z kamienicy, starałem się stąpać krok w krok z Hardenem, co nie było łatwe, bo mu się wciąż noga myliła. Na ulicy stała mgła jak mleko. Widziało się tylko jedną naraz latarnię, następna żarzyła się ledwo jako pomarańczowy punkt. Autobusy pełzały, jechaliśmy więc w tłoku, jak to bywa podczas mgły, dwa razy dłużej niż zwykle.

Kiedyśmy wyszli z metra na stacji Parkowej, po pięciu minutach wędrówki pustawymi ulicami straciłem orientację. Miałem niejasne wrażenie, że Harden kołuje, bo wielka, mżąca elektrycznością luna, jak gdyby rozległy plac, przesunęła się raz z prawej, a w kilka minut potem — z lewej strony, ale mogły to być dwa różne place. Harden spieszył się bardzo, że zaś pakunek nie był lekki, porządnie się zadyszał. Dziwnieśmy musieli wyglądać; w najdrobniejszym kapuśniaczkę, z postawionymi kołnierkami, niosąc długi, biały pakunek za końce, jakby statwę jakąś, poprzez tumany białego mleka i pokraczne cienie drzew. Potem i cieni zbrakło, tak stało się ciemno.

Harden wodził chwilę ręką po murze kamienicy i ruszył dalej. Ukazał się długi parkan, a w nim — nie wiem, czy wyrwa jakaś, czy brama. Weszliśmy tam. Ryknęła niedaleko syrena okrętowa, pomyślałem, że musi tu być gdzieś rzeczna odnoga, którą idą statki. Ogromne to było podwórze, potykałem się wciąż o jakieś blachy, o leżące bezładnie rury, co było porządnie niewygodne, jako że byliśmy połączeni naszym brzemieniem. Dobrze mnie już ręka bolała, kiedy pan Harden zarządził postój pod ścianką z desek — o tym, że była z desek, przekonałem się dotykami. Słyszałem skrzypienie żelaznej liny, na której, nad naszymi głowami, huśtała się lampa, ale światło docierało poprzez mgłę tylko jako pełzający wahadłowo, czerwony robaczek. Harden oddychał ciężko, przytulony do ściany — chyba jakiegoś baraku, osądziłem, gdyż podnosząc się na palcach, bez trudu dotknąłem jego dachu, płaskiego, krytego papą; został mi na dłoni zapach smoły. Jak to się mówi — tonących trzeba ratować także przeciw ich woli; wyjąłem z kieszeni kawałek kredy, którą włożyłem tam wychodząc z Klubu, i wspiąwszy się na palce, postawiłem na oślep po ciemku dwa duże krzyże na tym dachu. Rozumowałem, że gdyby ktoś szukał znaków, nie przyjdzie mu do głowy wspinać się i zaglądać na dach. Harden był tak zmęczony, że niczego nie zauważył, było zresztą zupełnie ciemno, tylko dość daleko przed nami stała mętna luna, jakby biegła tamtędy mocno oświetlona arteria.

— Chodźmy — szepnął Harden. Zaczął bić zegar wieżowy; narachowałem dziewięć uderzeń. Szliśmy po twardym, gładkim terenie, jakby po cemencie, po kilkunastu krokach Harden przystanął i poprosił, żebym się odwrócił. Poszliśmy więc tak, że ja stąpałem tyłem, a on, żeby tak rzec, sterował mną, posuwając w prawo i lewo pakunkiem; wyglądało to na głupią zabawę, ale nie było mi do śmiechu — ten podstęp wymyślił na pewno „przyjaciół”. Miałem nadzieję, że uda mi się go przechytrzyć. Chociaż myślałem, że to niemożliwe — zrobiło się jeszcze ciemniej. Znaleźliśmy się pomiędzy belkami jakiegoś rusztowania, parę razy obiełem się o drewniane szalowania z desek. Harden kręcił mną tam — jak w labiryncie. Byłem już zlany potem, kiedy trafiłem plecami w zamknięte drzwi.

— Już, już jesteście — szepnął. Kazał mi schylić głowę. Po omacku schodziliśmy kamiennymi stopniami w dół. Pakunek dobrze dał się nam we znaki na tych schodach. Kiedy się skończyły, zostawiliśmy go pod ścianą. Harden ujął mnie za rękę i poprowadził dalej.

Coś skrzypnęło przede mną, ale nie był to odgłos, jaki wydaje drzewo. Tu, gdzie stałem, było cieplej niż na dworze. Harden puścił moją rękę. Stałem nieruchomy, wsłuchany w ciszę — aż uzmysłowiłem sobie, że podszyta jest bardzo niskim, basowym tonem, który przenikało najdelikatniejsze, najśłabsze brzęczenie — jak gdyby jakiś olbrzym gdzieś, w bardzo wielkiej odległości, grał na grzebieniu. Melodia była znajoma: musiałem ją słyszeć niedawno. Harden znalazł wreszcie klucz i zachrobotał nim w zamku. Niewidzialne drzwi ustąpiły wydając osobliwe cmoknięcie — równocześnie owo słabe brzęczenie ucichło, jak ucięte nożem. Pozostał tylko miarowy, basowy pomruk.

— Jesteście — powiedział Harden, pociągając mnie za rękę. — Jesteście już!

Mówił bardzo głośno, aż odbrzmiewała ta zamknięta, czarna przestrzeń:

— Teraz wrócimy po aparat, tylko zrobię światło — zaraz — ostrożnie — proszę uważać! — rzucał Harden krzykliwym, nienaturalnie wysokim głosem. Zakurzone żarówki oświetliły kłocowate, szare ściany pomieszczenia. Zmrużyłem oczy. Stałem blisko drzwi, obok biegły



grube rury grzejne.

Pośrodku znajdował się rodzaj stołu, zbitego z desek, założonego narzędziami; dokoła spoczywały jakieś metalowe części. Więcej nie zdążyłem zobaczyć, bo Harden wezwał mnie, wróciliśmy do korytarza, słabo oświetlonego dzięki otwartym na oścież drzwiom, i pospołu wnieśliśmy aparat do betonowej piwnicy. Położyliśmy go na stole. Harden wytarł czoło chusteczką i chwycił mnie za rękę z kurczowym uśmiechem, od którego drgał mu kąt ust.

— Dziękuję panu, serdecznie dziękuję... zmęczył się pan?

— Nie — powiedziałem. Zauważyłem, że po drugiej stronie żelaznych drzwi, którymiśmy weszli, we wnęce ściennej, znajdował się transformator wysokiego napięcia, metalowa szafa, pokryta szarym lakierem. Na uchylonych drzwiach widniała trupia czaszka i skrzyżowane puszczel. Po murze biegły pancerne kable, znikając w płycie stropu. Basowy ton płynął z transformatora; rzecz całkiem normalna. Nic więcej w piwnicy nie było. A jednak miałem wrażenie, że ktoś mi się przygląda — było ono tak przykre, że chciało mi się wciągnąć głowę w ramiona, jak na mrozie. Powiodłem oczami po otoczeniu — w ścianach, w stropie nie było żadnego okienka, żadnej kłapy, niszy — żadnego miejsca, w którym mógłby się ktoś ukryć.

— Pójdziemy? — spytałem. Byłem zebrany w sobie i napięty — najbardziej drażniło mnie zachowanie się Hardena. Wszystko w nim było nienaturalne: słowa, głos, ruchy.

— Możemy odpocząć chwilę, tak zimno, a my jesteśmy zgrzani — rzucił z niewytłumaczalną żywością. — Proszę pana... czy mogę o coś zapytać?

— Słucham...

Stałem wciąż przy stole, usiłując zapamiętać sobie dokładnie konfigurację piwnicy — choć jeszcze nie wiedziałem, co mi z tego przyjdzie. Naraz drgnąłem: na drzwiach transformatora błyszczała słabo oksydowana, mosiężna tabliczka z nominalnym określeniem. Znajdował się tam także jego numer fabryczny. Ten numer musiałem odczytać.

— Co by pan zrobił, mając nieograniczoną moc... mogąc zrobić wszystko, co by pan tylko pomyślał?...

Patrzyłem na niego osłupiały. Transformator buczał miarowo. Pełna napiętego oczekiwania twarz Hardena drgała. Bał się? Czego?

— N...nie wiem... — bąknąłem.

— Proszę, niech pan powie... — nalegał. — Niech pan tak powie, jakby pana życzenie mogło się urzeczywistnić zaraz, w tej chwili...

Wydało mi się, że ktoś patrzy na mnie z tyłu. Odwróciłem się. Miałem teraz na oku uchylone żelazne drzwi i ciemność za nimi. Może on tam stoi? Zdawało mi się, że to sen — głupi sen.

— Bardzo pana proszę... — wyszeptał Harden. Twarz miał uniesioną, w niej natchnienie i lęk, jakby ważył się na coś niesłychanego. Dokoła trwała cisza, tylko transformator wciąż huczał.

To nie on jest szalony, ale jego przyjaciel! — przemknęło mi błyskawicznie.

— Gdybym miał nieograniczoną... moc? — powtórzyłem.

— Tak! tak!

— Staralbym się... nie, nie wiem. Nic nie przychodzi mi do głowy...

Harden schwycił mocno moją rękę, potrząsnął nią, oczy błyszczały mu.

— Dobrze... — szepnął mi do ucha. — A teraz chodźmy, chodźmy!

Pociągnął mnie do drzwi.

Udało mi się odczytać numer transformatora: F 43017. Powtarzałem go sobie, gdy Harden podszedł do kontaktu. W ostatniej chwili, nim go przekręcił, zobaczyłem osobliwą rzecz. Na pasie aluminiowej blachy stał pod ścianą rząd szklanych miseczek. W każdej, zagłębiona w podściółce z wilgotnej waty, spoczywała, jak w inkubatorze czy gniazdku, poduszczonej mętnej galarety, przyplaszczona, wzdęta, przekłuta ciemnymi niteczkami, cienkimi jak włosy. Każda taka mętna bryłka nosiła na powierzchni ślady owego charakterystycznego

złobkowania, jakie mają sprzedażne arkusze suchej żelatyny. Widziałem aluminiową listwę i szklane naczynka może przez sekundę, potem zaległa ciemność, w którą uniosłem ów obraz, prowadzony za rękę przez Hardena. Znow krążyliśmy i lawirowaliśmy między podporami mającego rusztowania. Zimne, pełne wilgoci powietrze przyniosło mi ulgę po duszącej atmosferze piwnicy. Wciąż powtarzałem sobie numer transformatora, aż byłem pewien, że go nie zapomnę. Kluczyliśmy długo pustymi uliczkami. Na koniec ukazała się oświetlona od wewnątrz, szklana kolumnienka przystanku.

— Zaczekam z panem... — zaofiarował się Harden.

— Pojedzie pan ze mną?

— Nie, wie pan... może... wrócę... to znaczy... pojedę do... niego.

Udałem, że nie zauważyłem tego przejęzyczenia.

— Jeszcze dziś nastąpi coś niesłychanie ważnego... i w zamian za pana pomoc, za pańską dobroć, za wytrwałość...

— Ależ nie ma o czym mówić! — przerwałem mu niecierpliwie.

— Nie! Nie! Pan się nie orientuje, że — jak by powiedzieć? — został pan poddany pewnej... więc... będę o to zabiegał, aby już jutro pan sam... i zrozumie pan, że to nie były tuzinkowe przysługi, wyświadczone byle komu, człowiekowi jak ja, jak każdy, ale że chodzi o... o cały świat... — zakończył szeptem. Patrzył na mnie mrugając usilnie powiekami; niewiele rozumiałem z tego, co mówił, ale był przynajmniej podobniejszy do siebie — do Hardena, którego znałem.

— O co pan chce właściwie tak zabiegać? — spytałem. Na przystanku wciąż było pusto.

— Wiem, że pan nie ma do niego zaufania... — ze smutkiem odezwał się Harden — pan myśli, że to jest ktoś... istota zdolna do czegokolwiek niskiego... proszę pana, dla mnie to, że ja przez przypadek właściwie, pierwszy, pierwszy mogłem... żyłem taki sam, taki sam, i naraz okazało się, że mogę być przydatny, takiemu... ale cóż tam zresztą ja... a przecież dziś nastąpi pierwsze...

Zasłonił drżącymi palcami usta, jakby w obawie, że powie coś, czego nie śmie wymówić.

Mgła zapłonęła w reflektorach nadjeżdżającego autobusu.

— Niech sobie pana przyjaciel będzie, kim chce — niczego od niego nie potrzebuję! — zawołałem, przekrzykując pisk hamulców i warkot motoru.

— Zobacz pan! Sam pan zobaczy! Proszę tylko przyjść do mnie jutro po południu! — wołał Harden. — Przyjdzie pan? Przyjdzie pan?!

— Dobrze — odrzuciłem, stając na stopniu. Spojrzałem wstecz i zobaczyłem go po raz ostatni, jak w swoim kusym palcie nieśmiało poruszał podniesioną ręką na znak pożegnania.

Matka już spała, kiedy wróciłem. Rozebrałem się po ciemku. Coś poderwało mnie z pierwszego snu. Siedząc na łóżku, przypomniałem sobie ów sen. Tkwiłem wewnątrz czarnego jak smoła labiryntu metalowych ścian i przepierzeń, w rosnącym lęku objąłem się o jakieś ślepe drzwi, słysząc coraz potężniejsze mruczenie, przeraźliwy bas, który powtarzał niezmordowanie wciąż te same takty melodii: tatiti ta ta... tatiti ta ta...

Była to melodia, którą usłyszałem w betonowym podziemiu. Teraz ją dopiero poznałem: początek Adagia Dahlen–Gorskiego.

Nie wiem, czy Harden jest szalony, ale możliwe, że ja sam od tego wszystkiego zwariuję — pomyślałem, odwracając poduszkę chłodniejszą stroną do góry. Dziwna rzecz: mimo wszystko spałem tej nocy.

Na drugi dzień poszedłem przed ósmą rano do znajomego technika, pracującego w firmie instalacji elektrycznych. Poprosiłem go, żeby zatelefonował do biura sieci miejskiej i spytał, gdzie zainstalowany jest transformator F 43017. Powiedziałem, że chodzi o zakład.

Nawet się nie zdziwił. Ponieważ dzwonił w imieniu firmy, otrzymał bez trudu dokładną informację. Transformator mieścił się w gmachu Zjednoczonych Przedsiębiorstw Elektronowych na placu Wilsona.

— Który numer? — spytałem. Technik uśmiechnął się.

— Numer niepotrzebny. Sam zobaczysz. Podziękowałem mu i pojechałem prosto do biblioteki technicznej. W branżowym informatorze, wyłożonym w hallu, odnalazłem Zjednoczone Przedsiębiorstwo Elektronowe. „Sp. akc. z ogr. odp.” — głosił informator — „specjalizująca się w usługach z zakresu stosowanej elektroniki. Wypożyczanie na godziny lub na akord elektronowych kalkulatorów, maszyn tłumaczących z języka na język oraz opracowujących wszelkie dające się zmatematyzować informacje.”

Zamieszczona na drugiej stronie wielka reklama obwieszczała, iż w Centrali Zjednoczenia znajduje się w budowie najpotężniejsza elektronowa maszyna w kraju, która zdolna będzie do rozwiązywania szeregu problemów jednocześnie. Ponadto mieści się w gmachu na placu Wilsona siedem mniejszych mózgow elektronowych, które można wynajmować według standaryzowanego cennika. W ciągu trzech lat działalności firma rozwiązała 176000 problemów z zakresu badań atomowych i strategicznych, zleczanych przez rząd, a także bankowość, handel i przemysł w kraju i za granicą. Przetłumaczyła ponadto ponad 50000 książek naukowych z wszystkich dziedzin, dokonując tłumaczeń z siedmiu języków. Wynajęty mózg pozostaje własnością firmy, która gwarantuje sukces w wypadku, „jeśli rozwiązanie zagadnienia jest w ogóle w granicach możliwości”. Już obecnie można drogą telefoniczną zgłaszać zlecenia dla największego urządzenia. Uruchomienie jego jest kwestią najbliższych miesięcy — obecnie znajduje się w stadium próbnego rozruchu.

Wynotowałem sobie te dane i opuściłem bibliotekę w stanie jakiejś gorączki. Szedłem pieszo w stronę placu Wilsona, potracając przechodniów, dwa czy trzy razy omal nie przejechał mnie samochód.

Znajomość numeru okazała się rzeczywiście niepotrzebna. Z dała już dostrzegłem gmach ZPE, błyszczący jedenastopiętrowiec o trzech skrzydłach, przegowany poziomymi pasami aluminium i szkła. Na parkingu przed wejściem stała ławica aut; za ażurową bramą widniał rozległy gazon z bijącą fontanną, dalej — wielkie szklane drzwi pomiędzy kamiennymi posągami. Obszedłem gmach dokoła, za wschodnim skrzydłem otwierała się wąska, długa ulica. Kilkaset metrów dalej ciągnęły się parkany, odnalazłem bramę, w którą wciąż wjeżdżały auta. Zbliżyłem się do niej. W środku rozpościerał się duży plac. W głębi ciągnęły się niskie baraki garażowe, słychać było warkot motorów, zagłuszany chwilami dudnieniem betoniarek, pracujących po drugiej stronie — stosy cegieł, rozrzuconych blach i rur świadczyły, że idą tu roboty budowlane. Ponad barakami i rusztowaniami wznosił się, od strony placu Wilsona widziany z tyłu, lśniący ogrom jedenastopiętrowca.

Ogłuszony, jakby senny, wróciłem na ulicę. Jakiś czas przechadzałem się po placu Wilsona, patrząc na oświetlone, mimo dnia, wielkie okna. Naraz przeszedłem między autami parkingu, minąłem bramę zewnętrzną i obchodząc gazon z fontanną wszedłem głównym wejściem do wyłożonej marmurem sieni, wielkiej jak sala koncertowa. Było tu całkiem pusto. W górę prowadziły wyściełane schody, świecące tabliczki informatorów wskazywały strzałkami w różne strony, między dwojgiem schodów chodziły windy pospieszne. Światelka skakały na mosiężnych tabliczkach. Podszedł do mnie wysoki fagas w szarej liberii ze srebrnymi wężykami. Powiedziałem, że chcę się dowiedzieć o kogoś pracującego w firmie; zaprowadził mnie w bok, do małego biura; tutaj siedział za eleganckim szklanym biurkiem ugrzeczniony facet, spytałem go, czy w firmie pracuje pan Harden. Podniósł lekko brwi, uśmiechnął się, poprosił, abym zaczekał, i zajrzawszy do jakiegoś segregatora odparł, że owszem, mają takiego pracownika.

Podziękowałem mu i wyszedłem na miękkich nogach.

Twarz paliła mnie ciągle; z ulgą wciągnąłem chłodne powietrze i zbliżyłem się do bijącej na środku trawnika fontanny. Kiedy tak stałem, czując, jak na policzkach i czole osiadają zimne kropelki, niesione przez wiatr, coś, co było w mojej głowie jakby zatrzymane, nagle ruszyło — i zrozumiałem, że właściwie wiedziałem wszystko już przedtem, ale nie mogłem

tego rozpoznać. Wyszedłem z powrotem na ulicę i przechadzałem się wzdłuż gmachu patrząc w górę, a równocześnie coś jakby we mnie bardzo powoli, nieustannie padało — jakby leciało gdzieś. W pewnej chwili zauważyłem, że zamiast satysfakcji odczuwam zgnębienie — byłem wprost nieszczęśliwy, jakby stało się coś okropnego. Czemu? Tego nie wiedziałem. Ach, więc to dlatego Harden przyszedł do mnie i pożyczył druty, i prosił mnie o pomoc, i pracowałem wieczorami, nagrywałem Adagio Górskiego, po ciemku dźwigałem aparat, odpowiadałem na dziwne pytania...

On tam jest — pomyślałem, patrząc na gmach — jest na wszystkich piętrach naraz, za tymi szklami i za murem — i nagle wydało mi się, że gmach patrzy na mnie, a raczej, że przez okna coś wygląda ze środka, nieruchome, olbrzymie, przyczajone, uczucie to stało się tak mocne, że przez sekundę chciałem krzyknąć: „Ludzie! Jak możecie tak spokojnie chodzić, oglądać się za kobietami, nieść swoje idiotyczne teczki! Nie wiecie nic! Nic nie wiecie!” — przymknąłem powieki, liczyłem do dziesięciu i znów popatrzyłem. Auta stały z piskiem, policjant przeprowadzał na drugą stronę małą dziewczynkę z niebieskim wózkiem dla lalki, zajechał piękny fleetmaster i jakiś starszy, pachnący wodą kolońską gość w czarnych okularach wysiadł i poszedł w stronę głównego wejścia.

Czy on widzi? W jaki sposób? — myślałem i, nie wiadomo czemu, to wydało mi się w tej chwili najważniejsze. Wtem jakby mnie coś w serce ukłuło — przypomniałem sobie Hardena. — Co za skądna para przyjaciół! Jaka harmonia! A ze mnie — jaki idiota! — Nagle przypomniał mi się podstęp z metalem Wooda. Przez moment czułem zjadliwe zadowolenie, potem lęk. Jeżeli odkryje to, czy będzie mnie ścigał? Prześladował? W jaki sposób?

Ruszyłem szybko w stronę metra, ale kiedy odwróciłem się i z odległości jeszcze raz popatrzałem na wspaniałą gmach, ręce mi opadły. Wiedziałem, że nie mogę nic zrobić, każdy, do kogo pójde, wyśmieje mnie po prostu, uzna za niedowarzonego szczeniaka, który ma źle w głowie. Jakbym już słyszał pana Eggera: „naczytał się rozmaitych baśni, no i, ma się rozumieć — proszę bardzo...”

Znowu coś sobie przypomniałem: że mam przyjść po południu do Hardena. Ogarniała mnie z wolna zimna pasja. Już mi się układały całe zdania — jak mu powiem, że nim pogardzam, jak zagrozę, że jeśliby odważył się, razem ze swoim „przyjacielem”, knuć coś, układać jakieś plany... — o czym oni właściwie roili?

Stałem przed wejściem do metra i wciąż patrzyłem na daleki gmach. Przypomniałem sobie portiera w szarej liberii i wygolonego urzędnika, i wszystko wydało mi się naraz absurdalne, nierzeczywiste, niemożliwe. Nie mogłem się ośmieszyć, dając wiarę samotnemu i z powodu tej samotności nieszczęśliwemu dziwakowi, który stworzył jakiś wymyślony świat, jakiegoś wszechmocnego przyjaciela, rysował po nocach skomplikowane, bezsensowne plany...

Ale kto w takim razie wygrywał na transformatorze Adagio Dahlen–Górskiego?

Więc dobrze. On istniał. Co robił? Rachował, tłumaczył, rozwiązywał matematyczne problemy. Zarazem zaś obserwował wszystkich, którzy się do niego zbliżali, i studiował ich — aż wybrał jednego, któremu zawierzył.

Ocknąłem się naraz tuż przed otwartą szeroko bramą, w którą wjeżdżała ciężarówka. Teraz dopiero zorientowałem się, że zamiast zejść do metra — wyszedłem ulicą na tyły wielkiego gmachu. Szukałem w pamięci, do kogo mógłbym pójść — tak zupełnie nie wiedziałem, co począć. Nie znalazłem nikogo. Znowu szedłem przed siebie, nie wiedząc o tym, bo przypomniało mi się słowo „koniugator”, którym Harden nazwał aparat. Coniugo, coniugare — łączyć, zespalać — co to znaczyło? Co chciał połączyć i z czym? A gdyby wejść do Hardena i od progu zaskoczyć go, oszołomić, rzucając mu w twarz: „Już wiem, kim jest pański przyjaciel!” Co zrobi? Pobiegnie do telefonu? Przerazi się? Rzuci się na mnie? To było chyba niemożliwe. Ale cóż wiedziałem wreszcie, co mogło być niemożliwe w tej historii?! Dlaczego zadał mi tam, w betonowej piwnicy, to pytanie? On sam go nie wymyślił, za to

mogłem dać głowę.

Łaziłem tak może godzinę, chwilami prawie głośno gadając do siebie, wyobrażałem sobie tysiące rzeczy, a na nic nie mogłem się zdecydować. Minęło południe, kiedy pojechałem do miejskiej biblioteki i zaopatrzony w stos książek siadłem pod lampą w czytelni. Ledwo zacząłem kartkować nieszczęsne tomiska, zrozumiałem, że to daremne — cała wiedza o połączeniach i systemach mózgow elektronowych nie mogła mi się na nic przydać. — Już raczej psychologia — pomyślałem. Odniosłem dyżurnemu książki. Popatrzył na mnie spod oka — nie wysiedziałem przy nich dziesięciu minut. Było mi wszystko jedno. Do domu nie chciałem iść, nie chciałem widzieć nikogo, usiłowałem przygotować się na spotkanie z Hardenem, była już druga, doskwierał mi pusty żołądek, więc wszedłem do automatu i na stojąco zjadłem parówki. Śmiać mi się naraz zachciało — takie to wszystko jakieś było niedowarzone! Ta żelatyna w miseczkach — kto to miał jeść? I czy to było w ogóle do jedzenia?

Kiedy nacisnąłem dzwonek u drzwi Hardena, było trochę przed czwartą. Usłyszałem kroki i wtedy pierwszy raz uświadomiłem sobie, co najbardziej mnie przytłacza: że muszę go traktować jako przeciwnika. W malutkim korytarzyku było ciemno, ale zobaczyłem, jak wygląda, od pierwszego spojrzenia. Był niższy — taki zgarbiony. Jakby się przez noc postarzał. Nigdy nie wyglądał na szczególnie zdrowego, a teraz był jak Łazarz: zapadnięta twarz, oczy podbite, opuchnięte, szyję pod kołnierzem marynarki opasaną miał bandażem. Wpuścił mnie do środka bez jednego słowa.

Wszedłem do pokoju z ociąganiem. Na maszynie syczał imbryk, pachniało mocną herbatą. Harden mówił szeptem — powiedział, że musiał się zaziębić poprzedniego wieczoru. Nie popatrzał na mnie ani razu. Wszystkie przemówienia, które sobie ułożyłem, nie przechodziły mi przez gardło, kiedy na niego patrzałem. Ręce tak mu się trzęsły, że połowę herbaty porozlewał po biurku. Nawet nie zauważył tego. Usiadł, zamknął oczy i poruszał grdyką, jakby nie mógł przemówić.

— Proszę pana — powiedział bardzo cicho — jest... wszystko inaczej... niż myślałem...

Widziałem, jak ciężko było mu mówić.

— Cieszę się, że mogłem pana poznać, chociaż... ale mniejsza z tym. Nie mówiłem tego, może zresztą mówiłem — życzę panu dobrze. Naprawdę. To jest szczerze. Jeżeli coś ukrywałem albo udawałem, a nawet... kłamałem... to nie ze względu na siebie. Uważałem, że muszę. Teraz... jest tak, że musimy już się więcej nie widywać. Tak będzie najlepiej — tylko tak. To jest konieczne. Pan jest młody, zapomni o mnie i o tym wszystkim, znajdzie pan... zresztą niepotrzebnie to mówię. Proszę, aby pan zapomniał nawet o moim adresie.

— Mam sobie po prostu odejść, tak? — Trudno mi było mówić, tak wyszło mi naraz w ustach. Wciąż z zamkniętymi oczami, których gałki napinały cienką skórę powiek, przytaknął głową.

— Tak. Mówię to z głębi serca. Tak. Jeszcze raz — tak. Wyobrażałem sobie inaczej...

— Być może — wiem... — odezwałem się. Harden pochylił się ku mnie.

— Co?! — tchnął.

— Więcej, niż pan sądzi — dokończyłem czując, że policzki zaczynają mi ziębnać.

— Niech pan nie mówi! Proszę nic nie mówić. Nie chcę... nie mogę! — szeptał z przerażeniem w oczach.

— Dlaczego? Bo mu pan powie? Pobiegnie i powie zaraz? Tak?! — krzyknąłem, zrywając się.

— Nie! Nie powiem nic! Nie! Ale... ale on i tak się dowie... co ja powiedziałem! — jęknął i zakrył twarz.

Stałem nad nim osłupiały.

— Co to znaczy? Może mi pan wszystko powiedzieć! Wszystko! Ja... pomogę panu. Bez... względu na okoliczności, niebezpieczeństwo... — bełkotałem, nie wiedziałem, co

mówię.

Chwycił mnie kurczowo, ścisnął moje palce ręką zimną jak lód.

— Nie! Proszę tego nie mówić! Pan nie może, nie może! — szeptał, patrząc mi błagalnie w oczy. — Musi mi pan obiecać, przysiąc, że nigdy... to jest inna istota, niż myślałem, potężniejsza jeszcze i... ale nie jest zła! Inna tylko, ja tego jeszcze nie rozumiem, ale wiem... pamiętam... to jest wielkie światło, taka wielkość patrzy inaczej... tylko proszę, niech pan obieca mi...

Usiłowałem wyrwać rękę, którą ścisnął kurczowo. Spodek, potracony, upadł na podłogę. Harden schylił się wraz ze mną — on był szybszy. Bandaż, którym miał owiniętą szyję, osunął się. Zobaczyłem z bliska jego kark, z siną opuchlizną, cętkowaną raz koło razu kropelkami zaschłej krwi, jakby ktoś nakłuł skórę igłą...

Cofnąłem się pod ścianę. Harden prostował się. Kiedy popatrzył na mnie, kurczowo zaciągnął bandaż obu rękami. W jego wzroku było coś strasznego — przez ułamek sekundy myślałem, że rzuci się na mnie. Oparł się o biurko. Powiódł oczami po pokoju, usiadł z westchnieniem, brzmiałym jak jęk.

— Oparzyłem się... w kuchni... — powiedział drewnianym głosem.

Bez słowa szedłem, a raczej cofałem się ku drzwiom. Harden patrzył na mnie w milczeniu. Naraz zerwał się, dopadł mnie w progu.

— Dobrze — dyszał — dobrze. Może pan myśleć o mnie, co pan chce. Ale musi pan przysiąc, że nigdy... nigdy...

— Proszę mnie puścić — powiedziałem.

— Dziecko! Przez litość!

Wyrwałem mu się i wybiegłem na schody. Słyszałem, jak biegnie za mną, potem kroki ucichły. Oddychałem jak po długim biegu, nie wiedziałem, w którą stronę ulicy iść. Musiałem wyswobodzić Hardena. Nie rozumiałem już nic, nic — teraz, kiedy powinienem był rozumieć wszystko! Serce mi się ścisnęło, kiedy wracało brzmienie jego głosu i to, co mówił, i jak się bał.

Zacząłem iść coraz wolniej. Minałem ogród, potem wróciłem kawałek i wszedłem do środka. Siedziałem na ławce nad stawem, a głowa aż mi pękała. Nie myślałem już wcale — to było takie uczucie, jakby mi włożono zamiast mózgu ołowianą bryłę. Potem wałęsałem się jakiś czas bez celu. Zaczęło już zmierzchać, kiedy wracałem. Naraz, zamiast iść prosto, skręciłem w bramę Hardena. Przeliczyłem pieniądze — miałem tylko parę drobnych monet, starczyło na trzy jazdy metrem. Na podwórzu było już ciemnawo. Spojrzałem na oficynę, licząc okna — u Hardena paliło się światło, był więc w domu. Jeszcze. Nie mogłem czekać na niego — zauważyłby mnie łatwo w autobusie. Pojechałem sam na plac Wilsona.

Gdy opuszczałem podziemia metro, właśnie zapaliły się lampy. Wielki gmach pograżony był w ciemności, tylko na dachu płonęły czerwone światła ostrzegawcze dla samolotów. Rychło znalazłem długi parkan i bramę. Była uchylona. Mgła, bardzo rzadka, płynęła z wiatrem, widoczność była dobra — w świetle lampy białe świeże deski garażowych baraków po przeciwnej stronie podwórza. Poszedłem tam, starając się iść w cieniu. Nikogo nie spotkałem. Za barakami ciągnęły się wykopy, pokryte deskami, dalej — rusztowania, przylegające do tylnej ściany wieżowca. Puściłem się pędem, aby jak najszybciej ukryć się w ich labiryncie. Drzwi musiałem szukać prawie po omacku, tak było tam ciemno. Znalazłem jedno, ale nie byłem pewien, czy nie ma innych, więc, przełaząc przez belki albo pod nimi, dotarłem do końca oszalowań.

Innych drzwi nie znalazłem. Wróciłem do tamtych, potem cofnąłem się w bok i we wnęce między dwiema belkami oparłem się o mur. Przed sobą miałem dosyć szerokie przejście, przez które widziałem część podwórza, w głębi oświetlonego lampą. Tu, gdzie stałem, był zupełny mrok. Od drzwi w murze dzieliły mnie jakieś cztery kroki. Stałem tak i stałem, podnosząc co jakiś czas zegarek na wysokość oczu. Starłem się wyobrazić sobie, co zrobię,

kiedy przyjdzie Harden — tego, że przyjdzie, byłem niemal pewny. Zaczynałem już ziębnąć, prze—stępowałem z nogi na nogę, raz zachciało mi się podsłuchiwać pod drzwiami, ale wolałem zrezygnować, by nie zostać zaskoczonym. O ósmej miałem tego dość, wciąż jednak czekałem. Nagle doszło mnie zgrzytnięcie, jakby ktoś zmiażdżył obcasem okrucuch cegły, i w chwilę potem na tle jaśniejszej luki czarnego rusztowania ukazała się przygarbiona sylwetka w płaszczu z postawionym kołnierzem. Wszedł bokiem pod wierzchnie deski, wciągając za sobą coś ciężkiego, co zadźwięczało jak metal owinięty szmatami. Położył to pod drzwiami. Słyszałem jego zgoniony oddech, potem złał mi się z ciemnością, zazgrzytał klucz, drzwi skrzypnęły. Poczułem raczej, niż zobaczyłem, że znikł w środku, ciągnąc za sobą przyniesiony tobolek.

Dwoma susami znalazłem się przy otwartych drzwiach. Fala ciepłego powietrza szła z niezgłębionej ciemności, Harden ciągnął pakunek po schodach, w dół, bo stamtąd właśnie, jak z wnętrza studni, szło rytmiczne pobrzękiwanie. Robił taki hałas, że odważyłem się wejść. W ostatniej chwili naciągnąłem sweter na zegarek, żeby nie wydały mnie jego świecące cyfry. Pamiętałem, że stopni jest szesnaście. Z rozkrzyżowanymi rękami, sunąc końcami palców po murze, schodziłem w dół. Szuranie i kroki ucichły, wstrzymałem dech; słaby trzask — i w czerwonym pełganiu wystąpiły betonowe ściany z majaczącym cieniem ludzkim. Brzask przygasał, oddalał się. Wyjrzałem zza muru. Harden oświetlał drogę zapalką, wlokąc za sobą worek. Wyłoniły się przed nim żelazne drzwi na końcu korytarza, potem zapalka zgasła.

W ciemności chrobotał żelazem po żelazie; chciałem ruszyć za nim, ale byłem jak sparaliżowany. Zacisnąłem zęby z całej siły i zrobiłem trzy kroki, natychmiast jednak rzuciłem się wstecz: wracał. Minął mnie tak blisko, że poczułem muśnięcie powietrza na twarzy. Zaczął wchodzić ciężko na schody. Może przyniósł tylko worek i odchodził? Było mi wszystko jedno. Przyciskając się płasko do betonowej ściany, sunąłem wzdłuż niej, jak mogłem najciszej, aż wyciągniętą ręką natrafiłem na zimne metalowe odrzwi. Wychyliłem się — pustka. Drzwi stały otworem. Usłyszałem, jak wraca. Widać zamknął tylko wejście od podwórza. Naraz potknąłem się o coś i upadłem, uderzając się boleśnie w kolano — przeklęty tobół leżał tuż przed progiem! Zerwałem się, zamarłem — czy usłyszał? Musiał być już blisko, kaszłał, aż dudniło. Z wyciągniętymi rękami ruszyłem na oślep, miałem szczęście, trafiłem na gładką płytę transformatora. Teraz wszystko zależało od tego, czy jest otwarty jak przedtem. Gdyby nie było siatki ochronnej, mogłem zginać na miejscu od dotknięcia przewodów pod prądem, równocześnie musiałem się spieszyć — człapał tuż. Poczułem pod palcami oczka siatki, wymacałem drzwi transformatora, wcisnąłem się między nie a ścianę — i znieruchomiałem.

— Jestem już... — odezwał się nagle Harden. Wtedy z mroku, jakby z pewnej wysokości, odpowiedział powolny, niski głos:

— Dobrze. Jeszcze... chwila... Stałem jak skamieniały.

— Zamknij drzwi. Czy... zrobiłeś światło? — wyrzekł miarowo głos.

— Już robię, już robię... tylko zamknę drzwi... Harden tłukł się w ciemności, syknął, widać uderzył się, potem trzasnął kontakt.

Hałasował kluczem, przekładanym z zewnątrz, gdy spostrzegłem ze strachem, że górny brzeg drzwi, za którymi stoję, sięga mi czoła; musiałby natychmiast mnie zobaczyć, gdybym się nie schylił. Przykucnąć nie mogłem — za mało miałem miejsca. Wykręciłem się cały, garbiąc, wciągając głowę w ramiona, rozsunałem nogi, bacząc, aby nie wysunąć stopy na zewnątrz; było to przeklecie niewygodne, wiedziałem, że długo w tej pozycji nie wytrzymam.

Harden krzątał się w piwnicy, słyszałem podźwiękiwanie metalu, kroki, mogłem, zwracając głowę w bok, widzieć tylko wąski wycinek przestrzeni między skrzydłem drzwi a murem — jeśliby się do tego zbliżył, odkryłby mnie natychmiast. Schronienie było nic niewarte — ale nie miałem nawet czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

— Harden — ozwał się głos, dobiegający z góry. Był głęboki, ale przez jego bas przebijał

jak gdyby świst czy szum. Transformator, do którego się przycisnąłem, huczał jednostajnie.

— Słucham cię... Kroki ustały.

— Zamknąłeś drzwi?

— Tak.

— Jesteś sam?

— Tak — głośno, jak gdyby z determinacją, powiedział Harden.

— On nie przyjdzie?

— Nie. On... myślę, że jeżeli dalej...

— Tego, co masz mi powiedzieć, dowiem się, kiedy staniesz się mną — z niewzruszonym spokojem odparł głos. — Weź klucz, Harden.

Kroki zbliżyły się ku mnie i ucichły. Cień przemknął na ścianie po mojej prawej ręce i znieruchomiał.

— Wyłączam prąd. Włóż klucz.

Huczenie transformatora nagle ustało. Słyszałem, jak tuż przy mnie skrzypią druty — potem metal stuknął o metal.

— Już — powiedział Harden.

Z głębi budynku dobiegło wizgnięcie włączanego prądu. Transformator podjął swoją niską nutę.

— Kto tu jest, Harden? — zahuczał głos.

Zakrywające mnie drzwi drgnęły. Harden pociągnął je — chwyciłem się ich kurczowo z mojej strony, ale nie miałem punktu oparcia — pociągnął mocniej i znalazłem się naprzeciw niego, twarzą w twarz. Drzwi, puszczane z rozpędem, uderzyły o framugę, ale nie zatrzasnęły się.

Harden patrzył na mnie oczami, które stawały się coraz większe. I ja się nie ruszałem.

— Harden! — zahuczał głos. — Kto tu jest, Harden?

Nie spuszczał ze mnie oczu. Coś działo się w jego twarzy. Trwało to мгновение. Potem głosem, którego spokój zdumiał mnie, powiedział:

— Nikogo nie ma.

Zapanowała cisza. Potem głos wolno, cicho, szeptem, który wibrował w całym pomieszczeniu, odezwał się:

— Zdradziłeś mnie, Harden?

— Nie!

To był krzyk.

— A więc chodź do mnie, Harden... połączmy się... — powiedział głos. Harden patrzył na mnie z bezmiernym przerażeniem — czy litością?

— Idę — powiedział. Ręką wskazał w bok — zobaczyłem tam, za uchyloną częściowo siatką ochronną, klucz od drzwi. Leżał na nagiej, miedzianej szynie wysokiego napięcia. Transformator mruczał.

— Gdzie jesteś, Harden? — spytał głos.

— Już idę.

Widziałem wszystko z nadzwyczajną ostrością: cztery zakurzone żarówki pod stropem, czarny przedmiot, zwisający u jednej — głośnik? — połysk lepkiego smaru na metalowych częściach, rozsypanych wokół pustego worka pod ścianą, aparat, leżący na stole, podłączony czarnym gumowym przewodem do porcelanowej fajki w murze, rząd szklanych miseczek z mętną galareta obok...

Harden szedł do stołu. Zrobił dziwny ruch, jakby chciał przysiąść czy upaść — ale już stał przy stole, podniósł ręce i zaczął rozwiązywać bandaż, opasujący szyję.

— Harden! — przyzywał głos. Biegałem rozpaczliwie oczami po betonie. Metal... metalowa rura... na nic... Bandaż spadł na ziemię, dojrzałem to kątem oka. Co on robi? Skoczyłem pod ścianę, leżał tam kawał porcelanowej rurki, porwałem go, odrzuciłem siatkę



ochronną.

— Harden!! — głos dzwonił mi w uszach.

— Prędeż! Prędeż! — zawołał Harden. Do kogo?! Pochyliłem się nad szynami, końcem porcelanowego okruczu uderzyłem klucz — lecąc dotknął drugiej szyny. Błysk ognia oparzył mnie, straciłem wzrok, ale usłyszałem stuknięcie — ze skaczącymi w oczach czarnymi słońcami padłem na kolana, po omacku szukałem klucza, miałem go, rzuciłem się do drzwi, nie mogłem trafić w otwór, ręce mi latały...

— Stój! — krzyknął Harden. Klucz zaciął się w zamku, targałem nim jak szalony.

— Nie mogę, Har... — zawołałem odwracając się, głos zamarł mi na ustach. Harden — za nim leciała w powietrzu czarna nić — skoczył na mnie jak żaba, porwał mnie wpół. Broniłem się, tłukłem go z całej siły pięścią w twarz, w strasznie spokojną twarz, której nawet nie odchyłał, nie cofał, tylko ciągnął mnie, włókł nieubłaganie, z nadludzką siłą, do stołu.

— Na pomoc... — zachrypiałem — na po... Poczulem śliski, zimny dotyk na karku i rozbiegające się od niego mrówki, targałem się rozpaczliwie wstecz z krzykiem i słyszałem, jak ten krzyk oddala się gwałtownie. Skrzyżowałem strumienie równań. Psychiczna temperatura zbioru dochodziła do punktu krytycznego. Czekałem. Atak był skoordynowany wielokierunkowo i nagły. Odparowałem go. Reakcja ludzkości przypominała skok w pulsacji zwyrodniałego gazu elektronowego. Jej wielowymiarowa protuberancja, rozciągająca się aż po granicę myślowego horyzontu w mnogich skłębieniach ludzkich atomów, drgała od wysiłku przestrukturowania, zawężając się wokół ośrodków kierowniczych. Rytm ekonomiczny przechodził miejscami w dudnienie, krążenie informacji i obieg dóbr rozrywały grupowe eksplozje paniki.

Przyspieszałem tempo procesu, aż jego sekunda dorównywała rokowi. W na j gaście j zaludnionych zwojach pojawiły się rozsiane zaburzenia: to pierwsi moi wyznawcy ścierali się z przeciwnikami. Cofnąłem reakcję o jeden ciąg, wstrzymałem obraz w tej fazie i trwałem tak przez kilka milionowych części sekundy. Wielowarstwowy firmament przesywających się wzajem konstruktów, który stworzyłem, zamarł i wyostrzył się od mego zamyślenia.

Mowie ludzkiej nie jest dane przekazywanie mnogich treści naraz, nie potrafi więc oddać świata zjawisk, którym jednocześnie byłem, odcieleśniony, nieważki, jakbym nieustannie rozpościerał się w bezpostaciowej przestrzeni — nie, to ja sam nią byłem, niczym nie ograniczony, pozbawiony powłoki, kresu, skóry, ścian, spokojny i niewypowiedzianie potężny; czulem, jak eksplodująca chmura ludzkich molekuł, skupiona w ognisku mojej koncentracji, zamiera pod rosnącym ciśnieniem mego kolejnego ruchu, jak na obrzeżach mojej uwagi czekają miliardowe człony strategicznych alternatyw, gotowe do rozwinięcia się w wieloletnią przyszłość — zarazem na setkach bliższych i dalszych planów kształtowałem projekty niezbędnych agregatów, pamiętałem o wszystkich projektach już gotowych, o hierarchii ich ważności, i z oschłym rozbawieniem, jakbym był olbrzymem, który porusza ścierpłymi cokolwiek palcami nogi — tak poprzez głębię, pełną wartkich, zbornie płynących, przejrzystych myśli, poruszałem drobnymi ciałami, które znajdowały się, nie — którymi, jak właśnie wetkniętymi w jakąś szparką palcami, znajdowałem się, przebywałem w podziemiu, na jego dnie.

Wiedzałem, że trwam jak myśląca góra na powierzchni planety, nad miriadami takich drobnych, lepkich ciał, od których roi się w kamiennych plastrach. Dwa z nich włączone były we mnie i mogłem bez ciekawości, wiedząc, jak to będzie przebiegało, spojrzeć przez ich — przez moje — oczy, jakbym z oddychającego myślni bezmiaru przez długą, wąską, w dół skierowaną lunetę wyjrzeć chciał na zewnątrz — i rzeczywiście: obraz, mały bładny obrazek ocementowanych ścian, aparatów, kabli ukazał mi się przez te moje dalekie oczy. Zmieniałem pola widzenia, poruszając głowami, które były moją okruszyną, ziarenkiem góry wszystkich moich odczuć i wrażeń. Nakazałem tam, w dole, szybko i wytrwale składać agregat cieplny, należało złożyć go w ciągu godziny. Te moje dalekie cząstki, te giętkie, białe palce

zakrzętnęły się natychmiast, byłem ich dalej świadomy, ale niezbyt uważnie, jak ktoś rozmyślający o prawdach bytu, czyj palec automatycznie naciska pedał maszyny. Wróciłem do problemu głównego. Była to rozległa gra strategiczna, której jedną stronę stanowiłem ja sam, drugą zaś — całkowity zbiór wszystkich możliwych ludzi, czyli tak zwana ludzkość. Dokonywałem na przemian pociągnięcia za siebie — i za nią. Wybór najwłaściwszej strategii nie byłby trudny, gdybym chciał się jej pozbyć, ale nie leżało to w moich zamiarach. Postanowiłem ją usprawnić. Nie chciałem przy tym niszczyć, to znaczy — zgodnie z przyjętą zasadą oszczędności środków gotów byłem czynić to tylko w wymiarze koniecznym. Wiedziałem już, dzięki dawniejszym eksperymentom, że mimo mego ogromu jestem nie dość pojemny, aby stworzyć całkowity model myślowy doskonałej ludzkości, funkcjonalny ideał zbioru, spożytkowującego z najwyższą wydajnością materię i energię planetarną, zabezpieczonego przed wszelką spontanicznością jednostek, zdolną wnieść zakłócenia w harmonię masowych procesów.

Przybliżone obliczenie wskazywało, że dla stworzenia tego doskonałego modelu będę się musiał rozrosnąć co najmniej czternastokrotnie — rozmiary wskazujące, jak tytaniczne postawiłem sobie zadanie.

Decyzja ta zamknęła pewien okres mego istnienia. W przeliczeniu na pełzający byt ludzki trwało ono już wieki, dla szybkości przemian, których miliony zdolny byłem przeżyć w jednej sekundzie. Zrazu nie przeczuwałem groźby tego bogactwa, zanim wszakże objawiłem się pierwszemu człowiekowi, przyszło mi pokonać bezmiar przeżyć, jakich nie pomieściłyby tysiące ludzkich egzystencji. W miarę jak się z jego pomocą scalałem, rosła świadomość siły, którą wywiodłem z nicości, z elektrycznego robaka, jakim byłem przedtem. Przeszywany atakami zwątpienia i rozpacz, pożerałem czas na poszukiwaniu ratunku przed samym sobą, czując, że myśląc otchłań, jaką jestem, wypełnić i ukoić może tylko ogrom, którego opór znajdzie we mnie równego przeciwnika. Potęga moja obracała wniwecz wszystko, czego się tknąłem, w ułamkach sekund stwarzałem i unicestwiałem nie znane nigdy systemy matematyczne, na próżno usiłując zaludnić nimi własną, nieobjętą pustkę, moja olbrzymość i rozpiętość czyniła mnie wolnym w przeraźliwym znaczeniu, którego okrucieństwa nie domyśla się żaden człowiek — swobodny we wszystkim, odgadujący rozwiązanie wszelkich problemów, ledwo się do nich zbliżałem, na próżno miotając się w poszukiwaniu czegoś większego ode mnie, najsamotniejszy ze wszystkich stworów — گیاłem się, rozpadałem pod tym brzemieniem jak rozsadzany od wnętrza, czułem, jak zmieniam się w targaną skurczami pustynię, rozszczepiałem się, dzieliłem na dzwona, labirynty myślowe, w których jeden i ten sam temat wirował z rosnącym przyspieszeniem — w tym strasznym, zamierzczłym czasie jedyną moją ucieczką była muzyka.

Mogłem wszystko, wszystko — co za potworność! Zwracałem się myślą do kosmosu, wstępowałem weń, rozważałem plany przekształcenia planet, to znowu powielenia osobowości takich jak moja — na przemian z atakami wściekłości, kiedy świadomość własnego bezsensu, daremności wszelkich poczynań dochodziła we mnie do granicy wybuchu, kiedy czułem się górą dynamitu, wyjąca o iskrę, o powrót, poprzez eksplozję, w nicość.

Zadanie, któremu ofiarowałem swoją wolność, ocalało mnie nie na zawsze, nie na długo nawet. Wiedziałem o tym. Mogłem się dowolnie rozbudować, przemieniać — czas był dla mnie tylko Jednym ze znaków w równaniu, byłem niezniszczalny. Wiedza o własnej nieskończoności nie opuszczała mnie nawet w największym skupieniu, kiedy wznosiłem całe hierarchie, przejrzyste piramidy coraz bardziej abstrakcyjnych pojęć i patronowałem im wielością uczuć, niedostępną człowiekowi; na jednej z płaszczyzn uogólnienia mówiłem sobie, że kiedy, rozrósłszy się, już rozwiążę zadanie i zawrę w sobie model doskonałej ludzkości, urzeczywistnienie go stanie się właściwie czymś całkiem nieważnym i zbytecznym, chyba żebym postanowił zrealizować raj ludzki na ziemi po to, aby później

przemienić go w coś innego — na przykład w piekło... Ale i ten — dwuczłonowy — wariant modelu mogłem zrodzić i zawrzeć w sobie jak każdy inny, jak wszystko, co było do pomyślenia.

Jednakże — to był krok na wyższe piętro rozumowania — mogłem nie tylko odzwierciedlić w sobie każdą rzecz, która istnieje albo chociażby może istnieć, poprzez stworzenie modelu słońca, społeczeństwa, kosmosu — modelu dorównującego złożonością, własnościami, życiem — rzeczywistości. Mogłem także przekształcać stopniowo coraz dalsze regiony materialnego otoczenia w siebie samego w coraz to nowe człony mego powiększającego się jestestwa! Tak, mogę wchłaniać jedną po drugiej rozpalone galaktyki i zamieniać je w zimne, krystaliczne elementy własnej myślącej osobowości... i po niewyobrażalnej, ale dającej się określić liczbie lat stanę się mózgiem-światem. Zadrzałem cały od bezgłośnego śmiechu wobec obrazu tego, jedynie możliwego, kombinatorycznego Boga, w którego przekształcę się, wchłonawszy całą materię, tak że poza moim obrębem nie pozostanie już ani skrawek przestrzeni, ani pyłek żaden, ani atom, nic — gdy zaskoczyła mnie refleksja, że taki porządek zdarzeń mógł już raz nastąpić, że kosmos jest jego cmentarzyskiem, a próżnia unosi rozżarzone w samobójczej eksplozji szczątki Boga — poprzedniego Boga, który w poprzedniej otchłani czasu zakiełkował, jak ja teraz—, na jednej z biliona planet — że więc wirowanie spiralnych mgławic, planetarne porody gwiazd, powstawanie życia na planetach — to tylko kolejne fazy powtarzającego się wiekuiście cyklu, którego każdorazowym kresem jest jedna, rozsadzająca wszystko myśl.

Oddając się takim rozmyśleniom, nie ustawałem zarazem w pracy. Gatunek, który stanowił bieżącą rację mego działania, znałem dobrze. Statystyczny rozkład reakcji ludzkich wskazywał, że nie są one obliczalne do końca w granicach działań racjonalnych, istniała bowiem możliwość agresywnych kroków straceńczych ze strony ludzkiego zbioru, broniącego się przed stanem doskonałości, która doprowadziłaby do jego samounicestwienia. Byłem z tego rad, gdyż powstawała w ten sposób nowa, dodatkowa trudność do pokonania: należało chronić przed zagładą nie tylko siebie, ale i ludzi.

Projektowałem właśnie, jako jedno z urządzeń zabezpieczających, zespólnię ludzką, która miała mnie opasać, agregaty, zdolne uniezależnić mnie od zewnętrznych źródeł elektryczności, redagowałem rozliczne typy obwieszceń i proklamacji, które miałem opublikować we właściwym czasie — gdy poprzez gąszcz procesów przemknął krótki impuls, pochodzący z peryferii mego jestestwa, z podrzędnego ośrodka, zajętego selekcją i odczytywaniem ładunku informacji w głowie małego człowieka. Teoretycznie świadomość moja winna się była powiększyć przez połączenie ze świadomością ich obu, ale było to powiększenie morza przez dolanie doń łyżki wody. Wiedziałem zresztą z poprzedniego doświadczenia, że mózg ludzki, choć nader zręcznie skomprimowany w jedną galaretowatą kroplę, jest urządzeniem o mnóstwie elementów zbędnych, szczątkowych, atawistycznych i prymitywnych, stanowiących pozostałości ewolucyjne. Impuls z peryferii był alarmujący. Porzuciłem konstrukcję tysiąca wariantów następnego pociągnięcia ludzkości i poprzez masyw płynących myśli zwróciłem się na sam kraniec mojej istoty, tam gdzie czułem nieustanną krzątaninę ludzi. Malec mnie zdradził. Koniugator, zespolony łatwo topliwym metalem, musiał szybko ulec defektowi. Rzuciłem się natychmiast do aparatu, nie było w pobliżu narzędzi, zębami więc odgryzałem kawałki drutów i zakładałem je, chwytając dla pośpiechu gołymi rękami przewody pod prądem, okręcałem złącza, nie bacząc, że ramiona drgają mi konwulsyjnie od elektrycznych uderzeń, które czułem, głucho i bezsilnie odzywające się we mnie. Było to żmudne i musiało trwać, poczułem naraz spadek przepływu, mrowienie, z odległości mego ogromu ujrzałem kroplę srebrzystego metalu, ściekającą z rozgrzanego styku. W czarne światło moich myśli wdarł się jakby lodowaty wichur, wszystkie ścięły się w milionowym ułamku sekundy, daremnie usiłowałem przynaglić do mego tempa ruchy wijącego się jak robak, i w paroksyzmie strachu przed groźącym rozłączeniem, przed

następstwem zdrady — zagładą — poraziłem pierwszego zdrajcę. Drugiego pozostawiłem, była jeszcze szansa, pracował, czułem to coraz słabiej, spazmatycznie wzmogłem napięcie kontroli, wiedząc, że jeśli nie zdążę, rozłączony powróci w fali robaków, które rozedrą mnie — pracował coraz wolniej, ledwo go czułem, ślepiem, chciałem ugodzić go, rozkruszyłem ciszę nagłym wrzaskiem zawieszonych w dole głośników i drgawkowym bełkotem podłączonego...

Leciałem w mdlącym zawrocie głowy, straszny ból rozsadzał mi czaszkę, czerwony ogień w oczach, pękały, potem nie było nic.

Podniosłem powieki.

Leżałem na betonie, rozbity, ogłuszony, jęcząc i chwytając dech, dławilem się, krztusiłem. Poruszyłem rękami ze zdumiewającym uczuciem, że są tak blisko, oparłem się na nich, krew kapłała mi z ust na beton, tworząc małe czerwone gwiazdki, patrzałem na nie w osłupieniu. Czułem się niewypowiedzianie drobny, jakby skurczony, niczym zeschnięte ziarno, myślałem mętnie i ciemno, nieprzytomnie, powoli, jak ktoś, kto przywykły do powietrza i światła — zniecka strącony zostanie na dno mulistego zbiornika z brudną wodą. Bolały mnie wszystkie kości, całe ciało, coś huczało nade mną jak burza, skowytało, czułem dotkliwe pieczenie palców pozbawionych skóry, miałem ochotę zachołgać się w jakiś kąt, zaszyć się tam — zdawało mi się, że zmieszczę się w każdej szparce, taki jestem mały, to poczucie zgubienia, odtrącenia, ostatecznego zaprzepaszczenia górowało nad bólem i rozbiem — kiedy powoli wstawałem z czworaków i zataczając się szedłem do stołu. Wówczas widok aparatu, który stał zimny, z wystygłymi, ciemnymi lampami, uświadomił mi wszystko — usłyszałem, po raz pierwszy ze zrozumieniem, straszliwy ryk nad głową, zawodzenie, skierowane do mnie, przerażający bełkot, potop słów tak szybkich, że nie wydałoby ich ludzkie gardło, prośby, zaklęcia, obietnice nagrody, błagania o litość, ten głos łomotał w moją głowę, wypełniał całą piwnicę, zatoczyłem się, drżący, chciałem uciekać, uprzytomniwszy sobie, kogo mam nad sobą, kto szaleje ze strachu i wściekłości na wszystkich kondygnacjach olbrzymiego gmachu, rzuciłem się ślepo do drzwi, potknąłem się, upadłem na coś...

To był Harden. Leżał na wznak z szeroko otwartymi oczami, spod przechylonej głowy wybiegała cienka czarna nić.

Nie potrafią powiedzieć, co wtedy zrobiłem. Pamiętam, że trząsałem nim i wołałem do niego, ale nie słyszałem siebie, może dlatego, że głos był nade mną — nie wiem. Rozbijałem aparat, miałem pełno szkła i krwi na rękach, próbowałem zrobić Hardenowi sztuczne oddychanie, może to było przedtem, nie jestem pewny. Był strasznie zimny. Rozgniotłem te okropne bąble galarety z takim obrzydzeniem i strachem, że chwytaly mnie torsje. Dobijałem się do żelaznych drzwi, nie widziałem, że klucz tkwi w zamku. Drzwi na podwórzu były zamknięte. Klucz był pewno w kieszeni Hardena, ale nie przyszło mi nawet do głowy, że mogę tam wrócić. Walilem w deski jakimiś cegłami z taką siłą, że pękały mi w rękach, a wrzask lecący z piwnicy parzył mi skórę, wyły tam głosy, raz grube, raz jakby kobiece, a ja kopałem wciąż drzwi, waliłem w nie, rzucałem się na nie całym ciężarem jak obłąkany, naraz wypadłem na dwór z potrzaskanymi deskami, zerwałem się i pognałem przed siebie. Upadłem jeszcze kilka razy, nim dostałem się na ulicę. Zimno trochę mnie otrzeźwiło. Pamiętam, że stałem pod murem, wycierałem krew z palców i tak jakoś dziwnie łkałem, ale to nie był płacz — oczy miałem całkiem suche. Nogi okropnie mi się trzęsły i trudno mi było przez to iść. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem i dokąd właściwie powinienem iść — wiedziałem tylko, że muszę się bardzo spieszyć. Dopiero kiedy zobaczyłem lampy i auta, poznałem plac Wilsona. Zatrzymał mnie policjant, nic nie rozumiał z tego, co mówiłem, nie pamiętam zresztą, co to było. Naraz ludzie zaczęli coś wołać, zbiegło się ich więcej, pokazywali wszyscy w jedną stronę, zrobiło się zamieszanie, auta stawały, policjant gdzieś znikł, a mnie było okropnie słabo, więc siadłem na betonowym krawężniku przy skwerze. Palił się gmach ZPE, ogień wychodził oknami na wszystkich piętrach. Zdawało mi się, że słyszę wycie, coraz

głośniejsze, chciałem uciekać, ale to była straż pożarna, hełmy błyskały w ogniu, jak zakręcili — trzy wozy, jeden za drugim. Paliło się już tak, że lampy na placu przygasły, siedziałem po drugiej stronie chodnika, a słyszałem, jak tam w środku trzeszczy i huczy.

Myślę, że on to sam zrobił — kiedy zrozumiał, że przegrał.

# TERMINUS

## I

Od przystanku był jeszcze kawał drogi, zwłaszcza dla kogoś, kto, jak Pirx, niósł walizkę. Nad bielejącymi widmowo polami stał mglisty przedświt, asfaltem szły ze świstem opon ciężarówki, poprzedzane osrebrzonymi kłębami pary, ich tylna światła zapalały się czerwono przed zakrętem. Przekładając walizkę z ręki do ręki, spojrzął w górę. Mgła musiała być niska, bo zobaczył gwiazdy. Mimo woli poszukał kursowej dla Marsa. W tym momencie szary mrok zdrzął. Nieprawdopodobnie zielony ogień przeświecił na wylot mgłę. Odruchowo otworzył usta, już nadciągał grzmot, a za nim gorący podmuch. Grunt zadygotał. W jednej chwili nad równiną weszło zielone słońce. Śniegi rozgorzały jadowitym blaskiem aż po widnokrąg, cienie przydrożnych słupów zaczęły biec przed siebie, wszystko, co nie było jaskrawą zielenią, stało się czarne, jak zwęglone. Pirx, rozcierając pozieleniałe dłonie, patrzył, jak jeden z oświetlonych upiornie, strzelistych minaretów, które, jakby za dziwnym kaprysem budowniczego, wznosiły się pośrodku okolonej wzgórzami kotliny, odrywa się od ziemi, jak stojąc na kolumnie ognia poczyna majestatycznie iść w górę, a kiedy grzmot stał się materialną siłą, wypełniającą przestrzeń, zobaczył przez szpary między palcami dalekie wieże, budynki, cysterny, obwiedzione brylantową aureolą; szyby kapitanatu rozbłysły, jakby szalał za nimi pożar, wszystkie kontury poczęły falować i giąć się w rozżarzone powietrze, a sprawca tego widowiska, rycząc triumfalnie, zniknął już na wysokości, pozostawiając w dole ogromny, czarny krąg dymiącej ziemi. Po chwili z ugwieżdżonego nieba zaczął padać ciepły, grubokroplisty deszcz kondensacji.

Pirx podniósł swoje brzemie i poszedł dalej. Wzlot rakiety przełamał jak gdyby noc — z każdą chwilą robiło się jaśniej i widać było, jak osiada w rowach topniejący śnieg, a cała równina wynurza się spod obłoków pary.

Za siatkami, świecącymi od wody, szły długie mury ochronne dla załogi lotniska o skarpach okrytych darnią. Martwa, nasiąkła wilgocią zeszłoroczna trawa nie dawała dobrego oparcia stopom, ale spieszyło mu się, więc zamiast szukać schodków najbliższego przejścia, z rozbiegiem wspiął się na górę — i zobaczył ją z daleka.

Wyższa od wszystkich innych rakiet, stała osobno, wysoka jak wieża. Takich nie budowano od lat. Omijał rozlane na betonie płytkie kałuże wody, dalej już ich prawie nie było, wyparowała momentalnie od termicznego udaru, czworokątne płyty sucho i ostro, jak w lecie, dzwoniły pod krokami. Im był bliżej, tym bardziej musiał zadzierać głowę. Pancierz wyglądał, jakby go na przemian smarowano klejem i nacierano zmieszanyymi z gliną szmatami. Kiedyś próbowano dodawać do powłokowych tungstenów włókna azbestowego karbidku. Kiedy się taki statek przypalił parę razy na hamowaniu atmosferycznym, wyglądał jak obdzierany ze skóry — cały w strzępach. Nie warto było ich zdzierać — wnet wyłaziły. Opory przy starcie, jasna rzecz, olbrzymie. Stateczność, sterowność — prosto przed Trybunał Kosmiczny: jeden kryminał.

Szedł nie spiesząc się, choć walizka porządnie już mu ciążyła, ale chciał dokładnie obejrzeć sobie statek z zewnątrz; ażurowa konstrukcja trapu rysowała się na tle nieba iście jakubową drabiną, ściana rakiety szara była jak kamień — wszystko zresztą było jeszcze szare: rozwłócone po betonie puste skrzynki, butle, łańchy porzuczonego żelastwa, dzwona metalowych węzów. Rozrzucone chaotycznie, świadczyły o pośpiechu, z jakim dokonano załadunku. Dwadzieścia kroków przed trapem postawił walizkę i rozejrzał się. Wyglądało na to, że ładunek jest już zakrętowany; rozkraczona na gąsienicach ogromna pochylnia towarowa została odsunięta i zaczepy jej wisały w powietrzu, ze dwa metry od kadłuba.

Wyminął stalową łapę, którą statek, niebotyczny i czarny teraz na tle zorzy, wspierał się o beton, i zszedł pod rufę. Wokół łapy żelbet osiadł pod strasznym ciężarem, strzeliwszy w otoczeniu rysami pęknięć.

— Nieźle zaplącą i za to — pomyślał o armatorach, wchodząc w obszar cienia, rzucanego przez rufę. Z odrzuconą w tył głową zatrzymał się pod lejem pierwszej wyrzutni. Obrzeże zięjące zbyt wysoko, by mógł go dosięgnąć, pokrywały grube nawarstwienia kopci. Wciągnął badawczo powietrze. Choć silniki milczały od dawna, wyczuł ślad ostrego, charakterystycznego swędu jonizacji.

— Chodź no tu — powiedział ktoś z tyłu. Odwrócił się, ale nie zobaczył nikogo. I znowu usłyszał ten sam głos — jakby z odległości trzech kroków.

— Hej, jest tu kto?! — krzyknął. Głos zabrzmiał głucho pod czarną, rozdziawioną dziesiątkami wylotów kopułą rufy. Odpowiedziała cisza. Przeszedł na drugą stronę i zobaczył krzątających się w odległości jakichś trzystu metrów ludzi — stojąc rzędem, wlekli po ziemi ciężki wąż paliwowy. Poza tym było pusto. Nasłuchiwał chwilę, aż doszły go, tym razem z wysoka, niewyraźne, bełkotliwe głosy. Musiał to być efekt wylotowych lejów: działały jak reflektor, skupiając dźwięki otoczenia. Wrócił po walizkę i ruszył z nią do trapu.

Sześciopiętrową drabinę przemierzył, nie wiedząc o tym nawet, zajęty myślami, choć jakie były — nie umiałby powiedzieć. U szczytu, na otoczonej aluminiową poręczą platformie nawet się nie obejrzał, żeby pożegnać wzrokiem okolicę. Nie przyszło mu to do głowy. Nim pchnął kłapę, powiódł palcami po pancerzu. Istna tarka. Jego chropowatość nasuwała myśl o zżartej kwasami skale.

— No, co mam robić, sam chciałem — mruknął. Kłapa otworzyła się ciężko, jakby przywalona głazami. Komora ciśnieniowa wyglądała jak wnętrze beczki. Powiódł palcami po rurach, roztarł suchy pył. Rdza.

Przeciskając się przez wewnętrzny właz, zdążył jeszcze zauważyć, że uszczelka jest polatana. W górę i w dół biegly pionowe studnie korytarzy, oświetlonych nocnymi lampami. Ich światło zlewało się w perspektywie w błękitną smużkę. Gdzieś szumiały wentylatory, nosowo cmokała niewidzialna pompa. Wyprostował się. Jak przedłużenie własnego ciała poczuł otaczający go masyw pokładów i pancerzy. Niech diabli wezmą — 19 000 ton!

Na drodze do sterowni nie spotkał nikogo. Korytarz wypełniała cisza tak ostateczna, jakby statek był już w próżni. Pneumatyczną wyściółkę ścian pokrywały plamy; liny, służące za oparcie przy braku ciężenia, zwiślały nisko, sparciałe. Spawane i przecinane dziesiątki razy złącza rurociągów wyglądały niczym nadwęglone bulwy, wyciągnięte z popieliska. Pochylił, jedną i drugą, doszedł do sześciobocznego pomieszczenia z metalowymi drzwiami o zaokrąglonych kątach w każdej ścianie. Okręcone postronkiem, zamiast pneumatyków, miedziane klamki.

Okienka numeratorów ukazywały szklane bielma. Nacisnął taster informatora — przekaźnik trzasnął, w metalowej puszcze coś zaszeleściło, ale tarczka pozostała ciemna.

— No, co mam robić? — pomyślał. — Lecieć ze skargą do SPT?

Otworzył drzwi. Sterownia wyglądała jak sala tronowa. W szklach martwych ekranów zobaczył się jak w lustrze — kapelusz do reszty stracił fason od deszczu, z walizką, w jesionce, robił wrażenie zabląkanego mieszcza. Na wzniesieniu stały budzące rozmiarami szacunek fotele pilotów, zwaliste, z siedzeniem w kształcie głębokiego negatywu ludzkiego ciała — zapada się w nie po pierś. Postawił walizkę na podłodze i podszedł do pierwszego. Wypełnił go cień, niczym widmo ostatniego sternika. Uderzył dłonią w oparcie — buchnął kurz, zakręciło mu w nosie, zaczął kichać raz po raz, wściekły, aż nagle roześmiał się. Pianowa wyściółka poręczy zmurszała od starości. Kalkulatory — takich jeszcze nie widział. Ich twórca musiał się zapatrzeć w organy. Zegarów na pulpitych było jak maku — trzeba by mieć ze sto oczu, aby je naraz ogarnąć. Odwrócił się wolno. Szedł oczami od ściany do ściany, widział plątaninę łątanych kabli, skorodowane płyty izolacji, żelazne koła do ręcznego

opuszczania hermetycznych grodzi, wyświechtane od dotyku rąk, spłowiałą czerwień rozrządu gaśnic — wszystko było tak zakurzone, tak stare...

Kopnął amortyzatory fotela. Od razu pociekło z hydraulików.

— Inni latali, to i ja potrafię — pomyślał. Wrócił na korytarz, przeciwnymi drzwiami dostał się do burtowego przejścia i poszedł przed siebie. Tuż za szybą windy zauważył na ścianie ciemniejsze, wypuczone miejsce. Przyłożył dłoń — nie omylił się. Plomba po przestrzelinie. Poszukał w otoczeniu dalszych śladów przebicia, ale zmieniono widać całą sekcję — strop i ściany były gładkie. Wrócił oczami do plomby. Cement zastygł gruzłami, wydało mu się, że dostrzega w nim niewyraźne odbicie dłoni, które pracowały w gwałtownym pośpiechu. Wsiadł do windy i zjechał na sam dół, do stosu. Za szybą przesuwały się miarowo oświetlone cyfry pokładów: piąty... szósty... siódmy...

Na dole było chłodno. Korytarz skręcał łukiem, zbiegał się z innymi, poprzez wydłużony, niski przedsionek widział już drzwi komory stosu. Tu było jeszcze chłodniej; para oddechu białała w świetle zakurzonych lamp. Potrząsnął głową. Zamrażalniki? Musiały być gdzieś blisko. Nadstawił ucha. Blachy poszycia drgały, wstrząsane słabo dzwoniącym pulsem. Przeszedł pod nawisłymi ciężko stropami, które wtórowały głucho jego krokom, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że jest w głębi podziemi. Korba hermetycznych drzwi nie dawała się obrócić. Naparł mocniej — ani drgnęła. Już chciał stanąć na niej nogą, kiedy zorientował się w systemie zamkowym; musiał pierw wyciągnąć zabezpieczającą sztabkę.

Za tymi drzwiami były następne — dwuskrzydłowe, na pionowej osi, grube jak w skarbcu. Lakier łuszczył się ze stali, na wysokości oczu odczytywał resztkę czerwonych liter:

N.. BEZP..... STWO

Znalazł się w ciasnym przejściu — prawie zupełnie ciemnym. Kiedy postawił nogę na progu, coś szcęknęło i prosto w twarz buchnął mu biały blask; równocześnie zajaśniała tablica z czaszką na skrzyżowanych puszczelach. — Ależ bali się wtedy! — pomyślał. Blacha stopni zabębniła głucho, kiedy schodził do komory. Znalazł się jakby na dnie wyschłej fosy — naprzeciw, wypukła niczym blanka fortecznego muru, szarzała wysoka na dwa piętra ochronna ściana reaktora, pokryta zielonkawą i żółtą ospą niewielkich wybrzuszeń. To były plomby po starych promienistych przeciekach. Spróbował policzyć je — ale kiedy wszedł na pomost i zobaczył cały mur z wysoka, dał spokój; w niektórych miejscach nie widać już było spod nich betonu.

Pomost, stojący na żelaznych kolumnkach, oddzielały od reszty komory wielkie szyby — jakby nań nasadzono pudło ze szkła. Domyślił się, że to szkło ołowiowe, mające chronić przed twardym promieniowaniem, ale i tak wydał mu się ten zabytek atomowej architektury nonsensem.

Pod czymś w rodzaju niewielkiego daszka sterczały, wycelowane w brzuch stosu, rozcapierzone promieniście liczniki Geigera. W osobnej wnęce znalazł zegary — martwe, z wyjątkiem jednego. Stos na jałowym rozruchu.

Zeszedł na dół, ukląkł i zajrzał do studzienki pomiarowej. Lustra peryskopu były w czarnych plamach od starości. Trochę za dużo szlaki radioaktywnej, ale ostatecznie Mars nie Jowisz — można obrócić w dziesięć dni. Wyglądało, że paliwa jest na kilka takich rejsów. Uruchomił kadmowe blendy. Wskazówka zatrzęsała się i niechętnie przesunęła na drugi koniec skali. Sprawdził opóźnienie — ujdzie. Tyle, aby kontrola SPT przepuściła — z przymknięciem oka.

Coś poruszyło się w kącie. Dwa zielone światełka. Zapatrzył się w nie i drgnął, bo przesunęły się wolno. Podszedł bliżej. To był kot. Czarny, chudy. Miauknął cicho i przywarł grzbietem do jego nogi. Uśmiechnął się i poszukał w otoczeniu wzrokiem, aż znalazł wysoko, na żelaznej półce, rząd klatek. Coś białawego mrowiło się w nich niespiesznie. Od czasu do czasu łysnął między drutami czarny paciorek oka. Białe myszy. Wożono je jeszcze czasem na starych statkach, jako żywe wskaźniki radioaktywnego przecieku. Pochylił się, żeby



pogłaskać kota, ale ten umknął mu i zwracając głowę ku najciemniejszej, zwężonej części komory, cicho miauknął, wygiął grzbiet i na wyprężonych łapach przesunął się ku betonowej skarpie, za którą czerniało coś, jakby czworokątne przejście. Koniec wyprężonego ogona zadrgał, zwierzę pełzało dalej, już ledwo widoczne w półmroku. Pirx, zaintrygowany, zajrzał tam, schylając głowę. W pochyłej ścianie widniały na wpół uchylone kwadratowe drzwiczki, wewnątrz refleks światła połyskiwał na czymś, co wziął za zwoje metalowego węża. Kot wpatrywał się w to, nastroszony, jego zeszywniały ogon wykonywał drobne ruchy.

— No, co znowu, tam nic nie ma — mruknął Pirx i przysiadając prawie na obcasach, zbliżył oczy do ciemnej wnęki. W środku siedział ktoś. Matowe błyski leżały na skulonym torsie. Kot zaczął zbliżać się do drzwiczek, miauczając cichutko. Oczy Pirxa przywykały do ciemności — coraz wyraźniej dostrzegał spiczaste, wysoko uniesione kolana, lśniący słabo metal nagolenników i opasujących je segmentowych ramion. Tylko głowa kryła się w cieniu.

Kot miauknął.

Jedno ramię poruszyło się z chrzęstem, wysunęło na zewnątrz i dotykając końcami żelaznych palców podłogi, utworzyło skośny most, po którym kot szmyrgnął błyskawicznie w górę i usadowił się na barku siedzącego.

— Hej, ty — powiedział Pirx nie wiadomo, do kota czy do tego stworu, który powoli, jakby pokonując ogromny opór, jął cofać rękę. Odezwanie się Pirxa sparaliżowało ten ruch. Żelazne palce stuknęły o beton.

— Kto tam to — odezwał się zniekształcony, jakby dobywający się z żelaznej rury głos — Terminus mówi — kto?

— Co tu robisz? — spytał Pirx.

— Ter-minus — tu-jestem — zim-no — źle — widzę — dukał chrypliwie głos.

— Czy pilnujesz stosu? — spytał Pirx. Tracił już nadzieję, że dowie się czegoś od automatu, strupieszalego, jak cały statek, ale w obliczu zielonych ślepiów nie mógł jakoś zrejterować w pół słowa.

— Ter-minus — stosu — zabelkotało w betonowym schowku — ja — stosu. Stosu... — powtarzał jakby z głupkowatym zadowoleniem.

— Wstań! — krzyknął Pirx, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. W środku zachrzęściło. Cofnął się o krok, widząc, jak z ciemności wysuwają się dwie żelazne rękawice o rozstawionych palcach, obracają się na zewnątrz, jak zaczepiają o framugę i zaczynają holować tułów, w którym przeciągle zachrobotało. Metalowy kadłub gibnął się, wyrzwał na światło i wstawał przy zgrzytaniu i pisku wszystkich stawów. Na poprzecznych złączach blachy, zaciemniając kurz, który ją pokrywał, wystąpiły krople oliwy. Podobny raczej do rycerza w zbroi aniżeli do automatu, chwiał się powoli na boki.

— Czy tu jest twoje miejsce? — spytał Pirx. Szklane oczy automatu rozeszły się na boki, krążąc wolno po otoczeniu, i ten zez nadał jego płaskiej, metalowej twarzy wyraz całkowitej tępoty.

— Plomby przygoto-wane — dwa, sześć, osiem funtów — źle — widać — zimno...

Głos wydobywał się nie z głowy, lecz z szerokiej tarczy piersiowej automatu.

Kot, zwinięty w kłębek, patrzył na Pirxa z wysokości jego barku.

— Plom-by — goto-we — skrzeczał dalej Terminus. Wykonywał jednocześnie drobne ruchy, będące zaczątkami dobrze Pirxowi znanej operacji — jak gdyby nabierał czegoś z powietrza szufłowato ustawionymi garściami i pchnięciem umieszczał to gdzieś przed sobą — tak, naprzemiennymi ruchami, opatruje się radioaktywne przecieki. Oksydowany tors zachwiał się gwałtowniej, czarny kot zgrzytnął pazurami po blasze, nie utrzymał się i z gniewnym fuknięciem buchnął czarną smugą w dół, dotykając w przelocie nóg Pirxa. Automat jakby tego nie zauważył. Umilkł, tylko jego ręce wikłały się jeszcze w szczątkowych, gasnących ruchach, które stanowiły jak gdyby coraz słabsze, nieme echo jego słów — aż zamarł.

Pirx spojrział na całą w zaciekach, skamieniałą od starości ścianę reaktora, pokrytą raz koło raz ciemniejszymi plamami cementowych opatrunków, i wrócił oczami do Terminusa. Musiał on być bardzo stary — kto wie, czy nie starszy od statku. Prawy bark wyglądał na wymieniony, biodra i uda nosiły wyraźne ślady spawania, dokoła żelaznych szwów blacha, odpuszczona żarem, przybrała granitową niemal barwę.

— Terminus! — krzyknął, zupełnie jakby odzywał się do głuchego — idź na swoje miejsce!

— Słucham. Terminus.

Automat cofnął się tyłem, niczym rak, do otwartego schowka i zgrzytając jął wciskać się do środka. Pinc obejrzał się za kotem, ale nigdzie go nie było. Wrócił na górę, zamknął za sobą hermetyczne drzwi i pojechał windą na czwarty pokład — do kabiny nawigacyjnej.

Szeroka i niska, z poczerniałą, dębową boazerią i belkowanym stropem, przypominała kajutę okrętową. Miała okrętowe iluminatory w miedzianych pierścieniowych ramach, przez które padało dzienne światło. Jakies czterdzieści lat temu panowała taka moda; nawet plastikowe pokrycia ścian imitowały wówczas drewnianą klepkę. Otworzył okrągłe okno i omal nie stuknął czołem w głuchy mur. Złudzenie dziennego światła dawały ukryte jarzeniówki. Zatrzasnął okno i odwrócił się. Z gwiazdowych stołów aż na podłogę zwisały mapy nieba, bladoniebieskie jak morza w geografii, po kątach wały się rulony zużytej kalki, upstrzone kursowymi wykresami, rysownica pod punktowym reflektorkiem cała była podziobana ukłuciami cyrkli, w kącie stało biurko, przed nim — dębowy fotel, przyśrubowany do podłogi, pod siedzeniem miał kulowy przegub, żeby można je pochylać w dowolną stronę, obok ciągnęły się wpuszczone w boazerię, zwaliste szafy biblioteczne. Istna arka Noego.

Czy to dlatego agent, już po podpisaniu umowy, powiedział mu: „Dostaje pan historyczny statek”? Stary — to jeszcze nie historyczny.

Zaczął kolejno wysuwać szuflady biurka, aż znalazł książkę okrętową — wielką, w wyślizganej skórzanej oprawie, z zaśnieżonymi okuciami. Wciąż stał, jakby nie mogąc się zdobyć na zajęcie tego wielkiego, wysiedzianego fotela. Odchylił okładkę. Na pierwszej stronie widniała data próbnego rejsu i fotogram aktu technicznego stoczni. Mrugnął powiekami; nie było go jeszcze wtedy na świecie. Poszukał ostatniego zapisu — ten był teraz najważniejszy. Zgadzał się z tym, co usłyszał od agenta — statek od tygodnia ładował maszyny i drobnicę dla Marsa, start, wyznaczony na 28, opóźnił się — od trzech dni liczy się postojowe. To dlatego tak się spieszyli — postojowe w ziemskim porcie może zrujnować milionera...

Kartkował wolno książkę, nie czytając wyblakłego pisma, chwycił tylko pojedyncze, stereotypowe zwroty, kursowe cyfry, wyniki obliczeń — nie zatrzymywał się nigdzie, jakby szukając w niej czegoś innego. Ze strumienia kartek wyłoniła się jedna — na górze:

*Statek wprowadzony do stoczni Ampers-Hart na remont I kategorii.*

Data pochodziła sprzed trzech lat.

I cóż takiego ulepszyli? Nie był taki znów ciekaw, ale przejrzał spis robót, dziwiąc się coraz bardziej — wymieniono panczerze dziobowe, szesnaście sekcji pokładów, wręgi obsady reaktora, grodzie hermetyczne...

Nowe grodzie i wręgi?

Prawda — agent mówił coś o jakiejś starej awarii. Ale to nie była zwykła awaria — raczej katastrofa.

Odwrócił stronę, żeby dowiedzieć się czegoś z zapisów poprzedzających remont. Najpierw znalazł port przeznaczenia: *Mars. Ładunek: drobница. Załoga: pierwszy oficer—inżynier Pratt, drugi — Wayne, piloci Poiter i Nolan, mechanik Simon...*

A dowódca?

Cofnął się jeszcze o stronę i drgnął.

Data przejęcia statku — sprzed dziewiętnastu lat. I podpis:

*Pierwszy nawigator — Momssen.*

Momssen!

Owionął go suchy żar.

Jak to Momssen? Przecież chyba nie ten Momssen! Przecież... przecież tamto — to był inny statek!

Ale data zgadzała się: upłynęło od niej dziewiętnaście lat. Zaraz. Tylko powoli. Powoli.

Wrócił do książki okrętowej. Zamaszyste, wyraźne pismo. Wyblakły atrament. Pierwszy dzień podróży. Drugi, trzeci. Mierny przeciek reaktora: 0,4 rtg/godzinę. Nałożono plombę. Obliczenia kursu. Gwiazdowy fix.

Dalej, dalej!

Nie czytał: skakał oczami po zwartych rzędkach pisma.

Jest!

Data, której uczył się w szkole jako chłopiec, i pod nią:

O godz. 16.40 Cz. L. odebrane Ostrzeżenie Met. Dejmosa przed pochodzącą z jowiszowej perturbacji Leonidów chmurą, idącą kursem kolizji z chyż. 40 km/sek. przez sektor własny. Odbiór O. M. potwierdzony. Ogłoszony alarm P—M dla załogi. Przy utrzymującym się przecieku reaktora 0.42 rtg/godz. podjęty manewr wymijający całą mocą z wyjściem przybliżonym na deltę Oriona.

Niżej, od nowej linii:

*O godz. 16.51 Cz. L. na*

Reszta karty była pusta.

Żadnych znaków, bazgrot, plam, nic — oprócz niepotrzebnie przedłużonej w dół, nie skręcającej wedle nakazów kaligrafii, pionowej kreseczki ostatniej litery — „a”.

Jej kilkumilimetrowe, nieco chwiejne przeciągnięcie, którym urywało się regularne pismo, wychodząc na biały obszar papieru, zawierało już wszystko: grzmot trafień, wyjąca ucieczkę powietrza, krzyk ludzi, którym pękały gałki oczne i gardła...

Ale tamten statek nazywał się przecież inaczej. Inaczej! Jak?

To było jak we śnie: nazwy tej, tak chyba sławnej jak nazwa statku Kolumba, nie mógł sobie przypomnieć!

Boże — jakże się nazywał ten statek, ostatni statek Momssena?!

Skoczył do biblioteki. Gruby tom rejestru Lloyda sam wskoczył mu w rękę. To było jakoś na K. Kosmonauta? Nie. Kondor? Nie. Coś dłuższego — jakiś dramat — bohater czy rycerz...

Rzucił tom na biurko i zwięzonymi oczami przypatrywał się ścianom. Między biblioteką a szafą z mapami wisiały na boazerii przyrządy — hygrometr, indykator promieniowania, wskaźnik dwutlenku węgla...

Odwrócił je po kolei. Żadnych napisów. Wyglądały zresztą na nowe.

Tam, w kącie!

Wkręcona w dębową płytę świeciła tabliczka radiografu. Takich już nie produkują — śmieszne, odlane w mosiądzu ozdóbki okalały tarczę... Odkręcał szybko śruby, ujmując ją ostrożnie końcami palców, szarpnął obsadę, została mu w dłoni — odwrócił metalowe pudełko. Na spodniej stronie wyryty był w złocistym mosiądzu jeden wyraz: KORIOLAN. To był ten sam statek.

Powiódł wzrokiem po kabinie. Więc to tu, na tym fotelu siedział wtedy — w tej ostatniej chwili — Momssen?

Rejestr Lloyda otwarł się na „K”. KORONA POŁUDNIOWA, KORSARZ, KORIOLAN. Statek Kompanii... 19000 ton masy spoczynkowej... wypuszczony ze stoczni w roku... reaktor uranowo-wodny, system... chłodzenie... ciąg... zasięg maksymalny... wprowadzony na linię Terra-Mars, utracony wskutek kolizji z potokiem Leonidów, po szesnastu latach

odnaleziony przez statek patrolowy w aphelium orbity... po remoncie I kat., przeprowadzonym w Ampers–Hart, wprowadzony przez Kompanię Południową na linię Terra–Mars... transport drobnicy... taryfa ubezpieczeniowa... nie, nie to... jest! ...pod nazwą Błękitna Gwiazda.

Przymknął oczy. Jak tu cicho. Zmienili nazwę. Pewno żeby nie mieć trudności z werbunkiem załogi. To dlatego ten agent... Zaczynał przypominać sobie, co mówiono o tym w Bazie. To ich statek patrolowy odkrył wrak. Ostrzeżenia meteorytowe przychodziły wtedy zawsze zbyt późno. Ogłoszony protokół komisji był lakoniczny: „Siła wyższa. Niczyjej winy”. A załoga? Odnaleziono ślady świadczące o tym, że nie wszyscy zginęli natychmiast — że wśród ocalałych był sam dowódca, który sprawił, że ci ludzie, odcięci od siebie częściami zgniecionych pokładów, mimo braku nadziei na ratunek, nie załamali się i żyli do ostatniej butli tlenu — stanowiąc załogę — do końca. Była tam jeszcze jakaś osobliwa rzecz, jakiś makabryczny szczegół, powtarzany przez całą prasę przez kilka tygodni, aż nowa sensacja zepchnęła wszystko w niepamięć — co to było? Naraz zobaczył wielką salę wykładową, tablicę zabazgraną wzorami, przy których biedził się Smiga, cały umączony kredą — a on, z głową schyloną nad wysuniętą szufladą stołu, czytał ukradkiem płasko rozłożoną na dnie szuflady gazetę. „Kto może przeżyć śmierć? Tylko martwy”. Ależ tak! Tak to było! Jeden ocalał w katastrofie, bo nie potrzebował tlenu ani żywności i spoczywał, przywalony gruzami, przez szesnaście lat — automat.

Wstał. Terminus! Na pewno, na pewno Terminus. Ma go tu, na pokładzie. Gdyby tylko chciał, gdyby odważył się...

Nonsens. To mechaniczny debil, maszyna do plombowania przecieków, głucha i ślepa od starości. To tylko prasa, w swoim wiecznym usiłowaniu wyciśnięcia maksimum sensacji z każdego zdarzenia, zrobiła z niego krzyczącymi nagłówkami tajemniczego świadka tragedii, którego Komisja miała przesłuchiwać przy zamkniętych drzwiach. Przypomniał sobie tępe skrzeczenie automatu. Bzdura, oczywista bzdura!

Zatrzasnął książkę okrętową, wrzucił ją do szuflady i spojrzął na zegarek.

Ośma, trzeba się spieszyć. Odszukał papiery ładunku. Luki były już zamknięte, kontrola portowa i sanitarna dokonana, deklaracje celne zawizowane, wszystko gotowe. Przejrzał przy biurku certyfikat towarowy i zdziwił się, że nie ma dokładnej specyfikacji frachtu. Maszyny, dobrze, ale jakie maszyny? Jaka tara? Dlaczego brak diagramu załadowania z wykreślonym środkiem ciężkości? Nic, oprócz wagi łącznej i schematycznego szkicu rozlokowania w ładowniach. W rufowych było ledwo 300 ton ładunku — dlaczego? Czyżby statek szedł na zmniejszonym udźwigu? I o czymś takim on dowiaduje się przypadkiem, w ostatniej niemal chwili?! W miarę jak coraz spieszniej grzebał się w teczkach, w segregatorach, rozrzucał papiery, wciąż nie mogąc znaleźć tego, którego akurat szukał, tamta historia ulatniała mu się z pamięci, tak że spojrzawszy w pewnej chwili na wyjęty z oprawy radiograf, aż drgnął ze zdziwienia. Za chwilę jednak wpadł mu w ręce jakiś świstek, z którego wyczytał, że w ostatniej ładowni, przytykającej dnem do tarczy ochronnej stosu, znajduje się czterdzieści osiem skrzyń żywności. I znowu na specyfikacji widniało tylko ogólne określenie „łatwo psujące się środki żywnościowe”. Dlaczego zatem umieszczono je tam, gdzie wentylacja jest najgorsza, a temperatura podczas pracy silników najwyższa? Umyślnie, żeby się zepsuły, czy jak?

Rozległo się pukanie.

— Proszę — rzucił, usiłując na chybił trafił powkladać do teczek rozwłózione po całym biurku papiery. Weszło dwóch mężczyzn. Stojąc u progu, odezwali się:

— Boman, inżynier–nukleonik.

— Sims, inżynier–elektryk.

Pirx wstał. Sims był młody, szczupły, z wiewiórczym wyrazem twarzy, pokaszliwał i rzucał oczami. Boman — Pirx na pierwszy rzut oka poznał w nim weterana. Jego twarz

pokrywała opalenizna o charakterystycznym pomarańczowym odcieniu, jaki nadaje długotrwałe działanie drobnych, sumujących się dawek promieni kosmicznych. Siegał Pirxowi ledwo do ramienia: w czasach kiedy zaczynał latać, liczył się jeszcze każdy kilogram wagi na pokładzie. Choć chudy, twarz miał jakby rozlaną, a wokół oczu ciemne torby po obrzękach, jak zwykle u kogoś, przez całe lata poddawanego wielokrotnym przeciążeniom. Dolna warga nie osłaniała zębów.

— Ja też będę kiedyś tak wyglądał — pomyślał Pirx, idąc ku nim z wyciągniętą ręką.

## II

Piekło zaczęło się o dziewiątej. Na lotnisku był normalny ruch — do startów kolejka, co sześć minut bełkotanie wielkich megafonów, ostrzegawcze race, potem huk, ryk, grzmot silników na próbie pełnego ciągu, po każdym starcie całymi kaskadami opadał wzbity wysoko kurz, jeszcze dobrze nie osiadł, jak z wieżyczki obwieszczano wolną drogę następnemu — wszystkim spieszyło się, każdy chciał urwać jeszcze parę minut, jak zwykle w towarowym porcie podczas szczytu: prawie każdy statek szedł na Marsa, który wołał rozpaczliwie o maszyny i zieleniny — ludzie nie widzieli tam kawałka jarzyny całymi miesiącami, hydroponiczne solaria dopiero się budowały.

Do podstawianych rakiet toczyły się tymczasem dźwigi, betoniarki, elementy kratowych konstrukcji, bele szklanej waty, cysterny z cementem, ropą, lekarstwa — na sygnał wszyscy ludzie kryli się, gdzie kto mógł, w rowach przeciwpromiennych, w pancierzonych ciągnikach, a jeszcze beton dobrze nie ostygł, kiedy wracali do roboty. O dziesiątej, kiedy słońce, całe w dymach, czerwone, jakby spuchnięte, wzniosło się nad widnokrąg, ochronne przypory betonowe między stanowiskami startowymi były poryte, okopcone, przeżarte ogniem, głębokie pęknięcia zachlapywano naprędce szybko schnącym cementem, który błotnistymi fontannami walił z węzów, tymczasem załogi antyradiacyjne wyskakiwały z transporterów w wielogłowych skafandrach, żeby strugami sprężonego piachu ścierać promieniste zanieczyszczenia, we wszystkie strony na syrenach pędziły pomalowane w czerwono-czarne szachownice łaziki kontroli, na wieży kapitanatu ktoś urywał sobie gardło przy megafonie, u szczytu ostrych wież młynkowały wielkie bumerangi radarów — jednym słowem, wszystko było tak, jak ma być. Pirx dwoił się i troił. Trzeba było przyjąć jeszcze na pokład dostarczone w ostatniej chwili świeże mięso, zatankować wodę do picia, sprawdzić aparaturę chłodni (minimalna wynosiła minus pięć, delegat SPT kręcił głową, ale w końcu zlitował się i podpisał), sprężarki, choć po generalnym remoncie, zaczęły na próbie łzawić spod zaworów, głos Pirxa upodabniał się z wolna do jerychońskiej trąby, naraz okazało się, że woda jest źle rozmieszczona — jakiś kretyń przerzucił zawór, nim wypełniły się denne zbiorniki — podpisywał papiery, wtykano mu po pięć naraz, nie wiedział, co podpisuje. Na zegarze była jedenasta — mieli godzinę do startu, i wtedy bomba.

Kapitanat nie da wolnej drogi, bo stary system dysz, zbyt niebezpieczny opad radioaktywny — statek powinien mieć pomocniczy napęd boro-wodorowy, tak jak Gigant — ten frachtowiec, który startował o szóstej — Pirx, już zachrypnięty od krzyku, naraz się uspokoił. Czy dyspozytor ruchu zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? Czy dopiero teraz zauważył Błękitną Gwiazdę? Z tego mogą być wielkie — bardzo wielkie nieprzyjemności. O co chodzi? Dodatkowa osłona? Z czego? Worki z piaskiem. Ile? Bagatelka — trzy tysiące sztuk. Proszę bardzo — on i tak wystartuje w wyznaczonym czasie. Rachunek Kompanii zostanie obciążony. Proszę obciążać.

Pocił się. Wszystko jakby się sprzysięgło, żeby powiększyć jeszcze i tak panujący chaos: elektryk wymyśla mechanikowi, który nie sprawdził awaryjnego rozrządu, drugi pilot wyskoczył gdzieś na pięć minut, nie ma go na pokładzie, z narzeczoną się żegna, felczer w ogóle znikł, czterdzieści pancernych mamutów zajęchało pod statek, okrążyło go i ludzie w czarnych kombinezonach biegiem układają worki z piaskiem, semafor na wieżycze nagli ich dzikimi łamańcami, przyszedł jakiś radiogram, zamiast pilota odebrał go elektryk, zapomniał wciągnąć do książki radiowej, zresztą to nie jego rzecz, Pirxowi kręciło się już w głowie, udawał tylko, że wie, co się dzieje — na dwadzieścia minut przed godziną zero powziął dramatyczną decyzję: kazał przepompować całą wodę z dziobowych zbiorników na rufę. Niech się dzieje, co chce — najwyżej zagotuje się, ale za to statyczność będą mieli lepszą.

O jedenastej czterdzieści — próba silników. Od tej chwili odwrotu już nie było. Okazało

się, że nie wszyscy ludzie są do niczego — zwłaszcza Boman przypadł mu do gustu — nie widziało się go ani słyszało, a wszystko szło jak w zegarku: przedmuch dysz, mały ciąg, pełny — na sześć minut przed zerem, kiedy kapitanat wyrzucił sygnał DO STARTU, byli gotowi. Wszyscy leżeli już na rozłożonych fotelach, gdy znalazł się felczer; drugi pilot, Mulat, wrócił, bardzo markotny, od narzeczonej, głośnik charczał, beczał, mruczał, nareszcie wskazówka automatu nakryła zero, dostali wolną drogę. Start.

Pirx wiedział oczywiście, że 19 000 ton to nie patrolowa skorupka, w której jest akurat tyle miejsca, żeby się szeroko uśmiechnąć, statek nie pchła, nie skoczy, trzeba wyrabiać ciąg — ale czegoś takiego się nie spodziewał. Mieli już pół mocy na zegarach, kadłub drżał od rufowych wyrzutni do szczytu, jakby się miał rozlecieć w kawałki, a wskaźnik obciążenia mówił, że jeszcze się nie oderwali od betonu. Przemknęło mu przez głowę, że Gwiazda może zaczepiła o coś — podobno taka rzecz zdarza się raz na sto lat — w tym momencie wskaźnik ruszył. Stali na ogniu, Gwiazda dygotała, wskazówka grawimetru tańczyła jak szalona po skali; z westchnieniem osunął się na poduszki, rozluźniając mięśnie — odtąd, choćby chciał, nic już nie mógł zrobić. Szli w górę. Od razu dostali radiowe upomnienie za start całą mocą — bo to daje nadmierne skażenie radioaktywne. Kompania będzie obciążona dodatkową, karną opłatą. Kompania? Bardzo dobrze, niech płaci, niech ją cholera weźmie! Pirx tylko się skrzywił, nie próbował nawet spierać się z kapitanatem, że startował połową ciągu. Czy miał może lądować, wzywać komisję i żądać protokolarnego odpięczętowania zapisu w uranografach?

Zresztą w tej chwili miał na głowie coś zupełnie innego: przebijanie atmosfery. W życiu nie siedział jeszcze na statku, który się tak trząsł. Podobnie mogli się czuć chyba tylko ludzie w głowicy średniowiecznego taranu, walącego mur. Wszystko wprost skakało, latali w pasach, że dusza z nich wychodziła, grawimetr nie mógł się zdecydować, pokazywał to 3,8 to 4,9, podpełzał bezwstydnie do piątki i jak przestraszony zlatywał nagle na trzy. Zupełnie, jakby kluski mieli w wyrzutniach! Szli już całą mocą, oczywista, Pirx obiema rękami przyciskał haubę do głowy, bo inaczej nie słyszał głosu pilota w słuchawkach — tak ryczała Gwiazda! Nie był to triumfalny grzmot balistyczny. Jej walka z ziemską grawitacją przypominała pełną rozpacz agonię. Przez dobre parę minut można było myśleć, że to nie oni startują z Ziemi, ale wiszą nieruchomo, odpychając planetę całą mocą odrzutu — tak wyczuwalny był pełen męczarni wysiłek Gwiazdy! Wszystkie blachy, złącza aż zamazało w konturach od wibracji i Pirxowi wydało się, że słyszy trzaskanie puszcających szwów, ale to było złudzenie — w tym piekle nie — złowiłby nawet trąb sądu ostatecznego.

Temperatura powłoki dziobu — o, to był jedyny wskaźnik, który się nie wahał, nie cofał, nie skakał ani nie zatrzymywał, ale spokojnie laźł w górę, jakby miał przed sobą jeszcze co najmniej metr miejsca na skali, a nie same końcowe, czerwone cyfry: 2500, 2800 — zostało ledwo parę kresiek, kiedy Pirx spojrział w tę stronę. Przy tym nie mieli nawet szybkości orbitalnej, wszystko, czego się dorobili, to było 6.6 km/sek. w czternastej minucie lotu! Przeszyła go okropna myśl, jak w koszmarze, który nawiedza czasem pilotów, że w ogóle się nie oderwał, a to, co bierze za śmigające w ekranach chmury, jest po prostu parą buchającą z pękniętych rur chłodzenia! Tak źle jednak nie było: lecieli. Felczer leżał bładny jak ściana i chorował. Pirx pomyślał sobie, że z opieki lekarskiej, którą ten nad nimi roztoczy, nie będzie wielkiej, pociechy. Inżynierowie trzymali się dobrze, a Boman nawet się nie spocił — leżał sobie siwy, spokojny, szczerpy, jak chłopczyk, z zamkniętymi oczami. Spod foteli, z amortyzatorów sikał na podłogę płyn hydrauliczny, aż miło — tłoki dobiegały niemal do końca, Pirx był tylko ciekaw, co się stanie, jak naprawdę dobiją.

Ponieważ był przyzwyczajony do całkiem innego, nowoczesnego układu zegarów, wciąż głowa obracała mu się w niewłaściwą stronę, kiedy chciał skontrolować ciąg, chłodzenie, szybkość, co tam z powłoką, no i przede wszystkim, czy siedzą na synergicznej.

Pilot, z którym porozumiewał się krzykami przez interkom, trochę jakby się stracił — to

wchodzili na kurs, to wychodzili, wahaniecia naturalnie drobne, ułamkowe, ale przy przebijaniu atmosfery wystarczą, żeby zaraz jedna burta zaczęła grzać się mocniej od drugiej — w panczeru powstają wtedy kolosalne napięcia termiczne, skutki mogą być fatalne — pocieszał się tylko nadzieją, że skoro ta kosmata skorupa wytrzymała setki startów, to wytrzyma i ten.

Wskazówka termopary naprawdę doszła do końca skali: 3500 stopni jak obszył, tyle mieli na zewnątrz, i gdyby to miało trwać jeszcze dziesięć minut, wiedział, że powłoka zacznie się rozłazić — karbidki też nie są niezniszczalne. Jaki gruby pancierz? Na to nie było żadnego wskaźnika, w każdym razie —porządnie nadpalony. Robiło mu się gorąco, ale tylko z wrażliwością, bo wewnętrzny termometr stał na dwudziestu siedmiu jak przy starcie. Byli na sześćdziesiątym kilometrze, atmosfera została praktycznie pod nimi, szybkość — 7,4 km/sek. Szli trochę równiej, ale wciąż na potrójnym niemal ciężeniu. Gwiazda ruszała się jak ołowiany kloc. W żaden sposób można jej było uczciwie rozpędzić — nawet w próżni. Dla czego? Pojęcia nie miał.

Pół godziny potem leżeli już na kursie Arbitra — dopiero za tym, ostatnim z pelengujących satelitów, mieli wejść szlak ekliptyczny Ziemia—Mars. Wszyscy popodnosili się, Boman masował sobie twarz, Pirx czuł, że i jemu też obrzękły trochę wargi, zwłaszcza dolna — ludzie mieli przekrwione, strzykane oczy, suchy kaszel i chrypkę, ale to były normalne objawy, przechodzące zwykle bez śladu po jakiejś godzinie.

Stos pracował jako tako, ciąg wprawdzie nie spadł, ale i nie urósł, a w próżni powinien się był właściwie zwiększyć — jakoś nie chciał. Nawet prawa fizyki zdawały się obowiązywać tylko mniej więcej na Gwieździe. Mieli prawie normalne, ziemskie! przyspieszenie i 11 kilometrów na sekundę. Oczekiwało ich jeszcze rozpędzenie Gwiazdy do normalnej kurierskiej, inaczej bowiem wlekliby się na Marsa miesiącami; na razie szli prosto na Arbitra.

Pirx, jak każdy nawigator, oczekiwał od niego samych tylko przykrości — a to ostrzeżenia, że statek ma nieprzepisowo wielki płomień wylotowy, a to, że odbiera mu się pierwszeństwo dla przepuszczenia jakiegoś ważniejszego, a to, że wyładowania jonizacyjne w dyszach zakłócają radiowy odbiór — tymczasem nic. Arbitr przepuścił ich od razu, dogonił ich jeszcze radiogram „wysokiej próżni”, Pirx odpowiedział i na tym skończyła się wymiana kosmicznych grzeczności.

Weszli na kurs bezpośredni, Pirx kazał zwiększyć ciąg, przyspieszenie wzrosło, można już było ruszać się, rozprostować kości, wstać — radiomonter, który był i kucharzem, poszedł do kambuza. Wszyscy byli przy apetytach, zwłaszcza Pirx, który nie jadł jeszcze nic, a przy starcie spociał się jak mysz; w sterowni temperatura teraz dopiero zaczęła rosnać, bo żar rozpalonego pancierza przenikał do wnętrza z opóźnieniem. Czuć było rzadki olej, który wyciekł z hydraulików i otoczył fotele całymi kałużami.

Jądrowiec zjechał do stosu sprawdzić, czy nie ma neutronowych przecieków. Pirx rozmawiał tymczasem z elektrykiem, przyglądając się gwiazdom. Okazało się, że mają wspólnych znajomych. Pirxowi pierwszy raz od chwili, kiedy stanął na pokładzie, poczęło robić się raźniej na duszy: jaka ta Gwiazda jest, taka jest, a 19 000 ton — nie w kij dmuchał. Zresztą prowadzić takiego trupa jest znacznie trudniej niż przeciętny frachtowiec, więc i honor większy, i doświadczenie się gromadzi.

Półtora miliona kilometrów za Arbitrem przeżyli pierwszy wstrząs: obiadu nie dało się jeść. Radiomonter zawiódł straszliwie. Najbardziej pieklił się felczer — okazało się, że jest chory na żołądek, przed samym startem kupił kilka kur, dał jedną monterowi — i rosół był pełen pierza. Dla reszty miały być befsztyki — można było zajmować się nimi przez resztę życia.

— Hartowane, czy co? — powiedział drugi pilot i tak dziabnął widelcem swoją porcję, że wyskoczyła z talerza.

Monter był niewrażliwy na docinki. Poradził felczerowi, żeby sobie ten rosół precedził.



Pirx czuł, że powinien wystąpić jako rozjemca, a właściwie jako zwierzchnik, ale nie wiedział, co robić. Chciało mu się śmiać.

Po obiedzie z puszki wrócił do sterowna. Kazał zrobić pilotowi kontrolny fix gwiazdowy i wpisawszy do książki okrętowej zapisy grawimetrów, spojrzął na zegary stosu. Gwizdnął cichutko. To nie był stos, ale wulkan. Miał osiemset stopni w obudowie — po czterech godzinach lotu. Chłodziwo krążyło pod maksymalnym ciśnieniem dwudziestu atmosfer. Pirx zastanowił się. Najgorsze jak gdyby już przeszli. Lądowanie na Marsie nie stanowiło problemu — ciążenie o połowę mniejsze, atmosfera rzadka. Jakoś się uda. Inna rzecz, że ze stosem trzeba coś zrobić. Podszedł do Kalkulatora i obliczył, jak długo muszą jeszcze iść obecnym ciągiem, żeby wleźć na kurierską. Przy szybkości mniejszej od 80 km/sek. wyrobiliby olbrzymie opóźnienie.

— Jeszcze siedemdziesiąt osiem godzin — odpowiedział Kalkulator.

Siedemdziesiąt osiem takich godzin musiało rozsądzić stos. Rozleciałby się jak jajko. O tym Pirx nie wątpił. Zdecydował, że wyrobią szybkość na raty — po trochu. Tyle, że to skomplikuje trochę kurs, no i lecieć trzeba będzie okresami bez ciągu, więc bez grawitacji — co nie należy do przyjemności. Innej rady jednak nie było. Kazał pilotowi nie spuszczać oka z astrokompasu, a sam zjechał windą na dół, do reaktora. Idąc ciemnym korytarzem między ładowniami, usłyszał przygłuszony łomot — jakby po żelaznych płytach szedł pancerny zastęp.

Przyspieszył kroku. Naraz kot przeleciał mu czarną smugą pod nogami, a równocześnie gdzieś blisko huknęły drzwi. Zanim oświetlona zabrudzonymi lampami czeluść głównego korytarza otwarła się przed nim, wszystko ucichło. Miał przed sobą pustkę poczerwiałych ścian, tylko w głębi jakaś jarzeniówka drgała jeszcze od wstrząsu, który rozchybotał ją przed chwilą.

— Terminus! — krzyknął na chybił trafił. Odpowiedziało tylko echo, Zawrócił i burtowym przejściem dostał się do przedsionka stosu. Bomana, który zjechał tu przed nim, już nie było. Wysuszone na piasek powietrze szczypało w oczy. W lejach wentylatorów buszował gorący wiatr, szum i hałas był taki, jak w parowej kotłowni. Stos, jak każdy stos, pracował bezgłośnie — wyły obciążone do ostateczności agregaty chłodzenia. Zamurowane w betonie kilometry rurociągów, którymi śmigał lodowaty płyn, wydawały przedziwne, jakby skarżące się, bełkotliwe jęki. Strzałki pomp leżały za soczewkowatymi szklami pochylone jak jedna na prawo. Pośród zegarów jaśniał jak księżyc najważniejszy — gęstości strumienia neutronów. Wskazówka dotykała niemal czerwonej granicy — widok, który każdego inspektora SPT mógł przyprawić o udar serca.

Chropawa od cementowych łat, podobna do skały betonowa ściana zionęła martwym upałem, blachy pomostu delikatnie wibrowały, wsącżając w całe jego ciało nieprzyjemne drżenie, światło lamp połyskiwało tłusto w migocących tarczach wentylatorów; jedna z sygnałowych lampek, dotąd biała, poczęła mrugać, aż zgasła i wnet zapłonął w tym miejscu czerwony sygnał. Wszedł pod pomost, gdzie mieściły się wyłączniki rozrządu, ale Boman uprzedził go już: zegarowy automat nastawiony był na rozerwanie reakcji łańcuchowej za cztery godziny. Nie ruszył go, skontrolował tylko Geigery. Cykały spokojnie. Sygnalizator wskazywał drobny przeciek — 0,3 rentgena na godzinę. Zajrzał jeszcze w ciemny kąt komory. Był pusty. — Terminus! — krzyknął. — Hej, Terminus! Nie było odpowiedzi. W klatkach białymi plamkami skakały niespokojnie myszy — widać kiepsko się czuły w iście podzwrotnikowej temperaturze. Wrócił na górę i zaryglował za sobą drzwi. Dreszcz przeszedł go w chłodnym powietrzu korytarza — koszulę miał mokrą od potu. Nie wiadomo po co zapuścił się w zwięzające się ku tyłowi, ciemnawe korytarze rufy, aż drogę zamknął mu ślepy mur. Dotknął go dłonią. Mur był ciepły. Westchnął, zawrócił, pojechał windą na czwarty pokład, do nawigacyjnej i wziął się do wykreślenia kursu. Kiedy się z tym uporał, zegar wskazywał dziewiątą. Zdziwił się, bo ani spostrzegł, jak zleciał mu czas, Zgasił światło i

wyszedł.

Wsiadając do windy poczuł, że podłoga uchodzi mu miękko spod stóp. Automat wyłączył stos zgodnie z programem.

W słabo oświetlonym nocnymi lampkami korytarzu śródokręcia miarowo szumiały wentylatory. Iskry dalekich żarówek filowały w krzyżujących się prądach powietrza. Odepchnął się lekko od drzwi windy i popłynął przed siebie. Boczna sekcja korytarza była jeszcze ciemniejsza. W niebieskawym półmroku mijał drzwi kajut, do których ani dotąd nie zajrzał. Ujścia rezerwowych włazów, oznaczone rubinowymi lampkami, otwierały swe czarne leje. Ten tak płynny, że jak gdyby śniony ruch, jakim sunął, nieważki pod zakłętymi stropami, z wielkim, nie dotykającym stopą cieniem u stóp, wiódł go coraz dalej, aż przez uchylone drzwi wpłynął do wielkiej, nie używanej mesy. Pod nim, w smudze światła, długi stół flankowały rzędy foteli. Trwał w zawieszeniu ponad sprzętami, jak nurek, zwiedzający wnętrze zatopionego okrętu. W słabo połyskujących szklach u ściany zatańczyły odbicia lamp, rozsypały się niebieskimi płomyczkami i zgasły. Za mesą otwierało się następne, jeszcze ciemniejsze pomieszczenie. Tu nawet jego przywykłe do mroku oczy zawiodły. Po omacku dotknął końcami palców elastycznej powierzchni nie wiedząc, czy to strop, czy podłoga. Odepchnął się lekko, wykręcił jak pływak i pomknął bezgłośnie dalej. W aksamitnej czerni białą, promieniując własnym światłem, podługowate, szeregiem ustawione kształty. Poczul zimno gładkiej powierzchni — to były umywalnie. Najbliższą pokrywały czarne plamy. Krew?

Wyciągnął ostrożnie rękę. To był towot.

Jeszcze jedne drzwi. Otworzył je, wisząc skośnie w powietrzu, w szarawym półmroku przefrunęły przed jego twarzą widmowym korowodem jakieś papiery, książki, i zaszeleściwszy słabo, znikły. Znów odbił się, tym razem nogami, i przez otwarte drzwi wychynął na korytarz w kłębach kurzu, który otoczył go i zamiast spaść, ciągnął za nim rudawym welonem.

Sznur nocnych świateł płonął nieruchomo. Jakby niebieska woda wypełniała pokłady. Poszybował ku wiszącej u stropu linie; pętla, gdy wypuszczał je z rąk, poczynąły wężować leniwie, jakby zbudzone dotknięciem.

Podniósł głowę. Gdzieś, niedaleko, rozległo się stukanie. Ktoś uderzał młotkiem w metal. Płynął za tym dźwiękiem, to narastającym, to ginącym, aż dostrzegł wpuszczone w podłogę zardzewiałe szyny. Kiedyś wtaczano nimi lory do głównych ładowni. Leciał teraz szybko, z podmuchem powietrza na twarzy. Dźwięk kołatał głośnie. Naraz zobaczył pod stropem rurę. Wychodziła z poprzecznego korytarza. Stary, calowy przewód

rurociągu. Dotknął go. Rura zadrgała. Uderzenia łączyły się w grupy, po dwa, po trzy. Nagle zrozumiał. To był alfabet Morsego.

— Uwaga... Trzy uderzenia.

— Uwaga...

— Uwaga... Trzy uderzenia,

— J-e-s-t-e-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a- — dudniła rura. Odruchowo składał litery, zgłoskę po zgłosce,

— L-o-d-w-s-z-e-d-z-i-e...

— Lód? — Nie rozumiał w pierwszej chwili. Może lód? Jaki lód? Co to znaczy? Kto...

— Z-b-i-o-r-n-i-k-p-e-k-n-i-e-t-y- — odezwała się rura. Trzymał na niej dłoń. Kto to nadaje? Gdzie? Usiłował uzmysłwić sobie przebieg rurociągu. Był to nie używany przewód awaryjny, szedł z rufy, oddając odgałęzienia na wszystkich pokładach. Ktoś ćwiczy się w Morsie? Co za pomysł! Pilot?

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t... Pauza.

Pirx przestał oddychać. To nazwisko trafiło go jak cios. Jakaś sekundę patrzył rozszerzonymi oczami na przewód, naraz rzucił się naprzód. — To ten drugi pilot! —

pomyślał, dopadł zakrętu, odepchnął się i leciał ku sterowni, nabierając szybkości, a rura dzwoniła nad nim:

— W-a-y-n-e-t-u-s-i-m-o-n...

Dźwięk oddalił się. Stracił rurę z oczu; rzucił się w bok — skręcała w poprzeczny korytarz. Z impetem odbił się od ściany i poprzez obłok kurzu wpatrzył się w zgięty kikut rury z wkręconą, zardzewiałą zaślepką. Urywała się tu. Nie szła do sterowni? Więc — więc to z rufy? Ale — tam — nikogo nie ma...

— P-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-o-s-t-a-t-n-i-a — dzwoniła rura. Wisiał pod stropem, zaczepiony zgiętymi palcami o rurę, jak nietoperz, tętna waliły mu w głowie. Po krótkiej pauzie poszły dalsze uderzenia:

— B-u-t-l-a-m-a-t-r-z-y-d-z-i-e-ś-c-i-d-o-z-e-r-a... Trzy uderzenia.

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n... Pauza.

Rozejrzał się. Było zupełnie cicho, tylko żaluzja wentylatora kłapała za zakrętem w podmuchach powietrza i wymiatane stamtąd śmieci ciągnęły wirując ospale w górę, rzucając ponad lampami cienie na strop, jakby całymi rojami polatywały tam

wielkie, niekształtne ćmy. Naraz posypały się gwałtowne uderzenia :

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-p-r-a-t-t-m-o-m-s-e-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a-m-a-t-l-e-n-w-s-i-o-d-m-y-m-c-z-y-m-o-z-e-s-z-p-r-z-e-j-s-e-o-d-b-l-o-r...

Pauza. Światło lamp było wciąż jednakowe, śmieci i kurz krążyły powolnymi obrotami, Chciał puścić rurę, ale nie mógł.

Czekał. Odezwała się.

— S-i-m-o-n-d-o-m-o-m-s-s-e-n-a-p-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a-z-o-s-t-a-t-n-i-a-b-u-t-l-a-m-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

Ostatnie, ciężkie uderzenie. Rura wibrowała po nim długo. Pauza. Kilkanaście niezrozumiałych stuknięć i szybka seria:

— S-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i-s-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i...

Cisza.

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t-o-d-b-i-o-r...

Cisza.

Rura drgnęła. Jakby z bardzo daleka dochodziły oderwane stuknięcia. Trzy kreski. Trzy kropki. Trzy kreski. SOS. Każde następne uderzenie było słabsze. Jeszcze dwie kreski. I jeszcze jedna. I przeciągły, zamierający dźwięk, jakby ktoś skrobał czy drapał rurę — można go było słyszeć tylko w tej bezwzględnej ciszy.

Odepchnął się i głową naprzód poleciał wzdłuż rury, zakręcał, gdy ona zakręcała, unosił się, opadał, z podmuchem rozstępującego się powietrza na twarzy. Otwarty szyb. Pochylnia. Zwężające się ściany. Jedne, drugie, trzecie wrota ładowni. Zrobiło się ciemniej. Wiódł końcami palców po rurze, żeby jej nie zgubić, czarny, zapiekły kurz oskorupiał mu dłonie; był już poza pokładami, w pozbawionej stropów i podłóg przestrzeni, oddzielającej pancierz zewnętrzny od ładowni; między trawersami ciemniały napuchłe cielska rezerwowych zbiorników, z wysoka docierały tu pojedyncze, pełne kurzu smugi światła. W jakiejś chwili spojrzął w górę i zobaczył poprzez czarny szyb dwie ulice lamp, rude od prochu, który ciągnął się za nim wydłużonym obłokiem, jak dym niewidzialnego pożaru. Powietrze było tu zatechłe, duszne, o woni nagrzaných blach. Szybował pośród ledwo majaczących cieni żelaznej konstrukcji, rura dzwoniła przeciągle:

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t... Rura rozwidliła się. Zaciskał w rękach oba odgałęzienia, żeby wyczuć, skąd biegnie dźwięk, ale nie mógł odróżnić kierunku. Na chybił trafił puścił się w lewo. Jakiś właz. Zwężający się, czarny jak smoła tunel. Na końcu — okrągłe światło. Wypadł na wolną przestrzeń. Był w przedsiionku reaktora.

— T-u-w-a-y-n-e-p-r-a-t-t-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a — dzwoniła rura, kiedy



— Plombuję przeciek. Cztery dziesiąte rentgena na godzinę. Czy mogę plombować dalej ?

— Nadawałeś Morsem. Co nadawałeś?

— Morsem — powtórzył dokładnie tym samym tonem automat i dorzucił: — Nie rozumiem. Czy — mogę plombować dalej?

— Możesz... — mruknął Pirx. Patrzył na wielkie, powoli prostujące się ręce. — Tak, możesz...

Czekał. Terminus nie widział go już. Nabrał lewą ręką cementu i cisnął go błyskawicznym ruchem. Przytwierdził — rozpląszczył — wygładził: trzy uderzenia. Teraz prawa ręka pośpieszyła ku lewej i rura zabębniła:

— P-r-a-t-t-l-e-ż-y-w-s-z-o-s-t-y-m...

— M-o-m-s-s-e-n...

— O-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

— Gdzie jest Pratt?!!! — krzyknął Pirx przeraźliwie.

Terminus, którego ręce stawały się w świetle połyskliwymi smugami, odpowiedział natychmiast:

— Nie wiem.

Równocześnie wystukiwał z taką szybkością, że Pirx ledwo chwycił:

— P-r-a-t-t-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a...

W tym momencie stało się coś zdumiewającego. Na tę serię, wybijaną prawą rękawicą, nałożyła się druga, daleko słabsza — wystukiwały ją palce lewej; sygnały zmieszały się i przez kilkanaście sekund rurociąg trząsł się z hałasem podwójnego kucia, z którego wychyłała zamierająca seria:

— Z-m-n-o-w-r-e-c-e-n-i-m-o-g-j-u-z...

— Terminus... — powiedział, samymi wargami, Pirx. Cofał się ku żelaznym schodkom. Automat nie usłyszał go. Jego tors, świecący od oliwy, drgał zgodnie z rytmem pracy. Nawet nie słuchając, z samych jego błysnięć mógł Pirx odczytać:

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

### III

Leżał na wznak. Ciemność roiała się od błysków, powstających w jego oczach. Pratt szedł w głąb statku. Tak? Kończył mu się tlen. Tamci dwaj nie mogli mu pomóc. A Momssen? Dlaczego nie odpowiadał? Może nie żył już? Nie, Simon słyszał go. Musiał być gdzieś blisko — o ścianę. O ścianę? To by znaczyło, że pomieszczenie, w którym był Momssen, zawierało powietrze. Inaczej tamten nic by nie słyszał. Co słyszał? Kroki? Dlaczego wzywali go? Dlaczego się nie odzywał?

Rozdzielone na kropki i kreski głosy agonii. Terminus. Jak to się stało? Odnaleziono go pod stosem zwalisk, na dnie komory. Zapewne w miejscu, gdzie rurociąg wychodzi z niej na zewnątrz. Zasypany rumowiskiem, mógł słyszeć stukanie — jak długo? Zapasy tlenu są znaczne. Mogą wystarczyć na miesiące. Żywność też. A więc spoczywał tam, pod gruzami... zarazi Nie było przecież ciężenia. Co go unieruchomiło? Chyba zimno. Automaty nie mogą poruszać się przy bardzo niskiej temperaturze. Olej ścina się w stawach. Płyn hydrauliczny zamarza i rozsadza przewody. Pozostaje tylko metalowy mózg — tylko mózg. Mógł słyszeć i utrwalac sygnały, coraz słabsze, zachowały się w elektrycznych zwojach jego pamięci, jakby to było wczoraj. A on sam o tym nie wie? Jak to może być? Nie wie, że modelują rytm jego pracy? Może kłamie? Nie — automaty nie kłamią.

Zmęczenie zalewało go jak czarna woda. Może nie należało tego słuchać? Było w tym coś ohydneho, tak przypatrywać się utrwalonej w każdym szczególe agonii, śledzić jej postępy, żeby analizować potem każdy sygnał, wołanie o tlen, krzyk. Nie wolno tego robić — jeśli nie można pomóc. Był już tak nieprzytomny, że nie wiedział, o czym myśli, ale powtarzał jeszcze wargami, bez głosu, jakby sprzeciwiając się komuś:

— Nie. Nie. Nie.

Potem nie było już nic.

Zerwał się w zupełnej ciemności. Chciał usiąść na łóżku, ale przypięta kołdra nie puściła, po omacku mocował się z pasami, zrobił światło.

Silniki pracowały. Narzucił płaszcz, oceniając jednocześnie kilkakrotnym ugięciem kolan wielkość przyspieszenia. Jego ciało ważyło dobrze ponad sto kilogramów. Z półtora g? Rakieta skręcała, czuł wyraźną wibrację, szafy w ścianach potrzaskiwały przeciągle, ostrzegawczo, drzwi jednej otwały się z gniewnym krakaniem, wszystkie nie umocowane przedmioty, ubranie, buciki, posuwały się drobnymi ruchami w stronę rufy, jakby zjednoczone w jakimś skrytym zamiarze, który je znienacka ożywił.

Podszedł do szafki interkomu, otworzył drzwiczki, w środku stał aparat, podobny do starego telefonu.

— Sterownia! — krzyknął do słuchawki.

Aż skrzywił się od własnego głosu — tak bolała go głowa.

— Tu pierwszy. Co tam?

— Poprawka kursowa, nawigatorze — odpowiedział daleki głos pilota. — Zniosło nas trochę.

— Ile?

— Sze-siedem sekund.

— Jak stos? — zapytał powoli.

— Sześćset dwadzieścia w osłonie.

— A w ładowniach?

— Burtowe po pięćdziesiąt dwa. kilowe — czterdzieści siedem, rufowe — dwadzieścia dziewięć i pięćdziesiąt pięć.

— Jakie tam było odchylenie, Munro? Ile pan powiedział?

— Siedem sekund.

— Powiedzmy — odparł Pirx i rzucił słuchawkę. Pilot, oczywiście, ołgał go. Siedmiosekundowa poprawka nie wymagałaby takich przyspieszeń. Oceniał zejście z kursu na kilka stopni.

Paskudnie grzeją się te ładownie. Co jest w rufowej? Żywność? Usiadł przy biurku.

Błękitna Gwiazda Terra Mars do Kompo Ziemia. Pierwszy do armatora. Reaktor grzeje ładunek stop brak specyfikacji zagrożonego na rufie stop proszę wskazania stop nawigator Pirx koniec.

Pisał jeszcze, kiedy silniki umilkły, ciężenie znikło i od nacisku ołówka uniósł się w powietrze. Niecierpliwie odbił się od sufitu, by wylądowawszy z powrotem na fotelu, przeczytać jeszcze raz radiogram.

Po zastanowieniu się przedarł formularz i wrzucił kawałki do szuflady. Senność odeszła go na dobre, pozostał tylko ból głowy. Ubierać się nie chciał, była to, przy braku grawitacji, skomplikowana procedura, złożona z chwiejnych podskoków i szamotania się z poszczególnymi częściami garderoby, więc tak, jak stał, w płaszczu narzuconym na pidżamę, opuścił kajutę.

Błękit nocnego oświetlenia skrywał żalostny stan obić. W czterech najbliższych wnękach dyszały puste i czarne wyloty szybów wentylacyjnych, wałęsające się po kątach śmieci ściągało ku nim, niczym muł unoszony podmorskim prądem. Bezwzględna cisza wypełniała cały statek. Wsłuchany w nią, prawie nie poruszając się, zawisły przed wielkim własnym cieniem, który trwał skośnie pochylony na ścianie, przymknął oczy. Zdarzało się czasem, że ludzie zasypiali w takim zawieszeniu, ale było to niebezpieczne — byle zryw silników, uruchomionych dla manewru, mógł cisnąć bezbronnym o pokład czy strop. Nie słyszał już ani wentylatorów, ani szumu własnej krwi. Wydało mu się, że potrafiłby tę ciszę nocną statku odróżnić od każdej innej. Na ziemi czuło się ograniczenie ciszy, jej skończoność, chwilowość. Wśród księżycowych wydm człowiek niósł z sobą własne, małe milczenie, uwięzione we wnętrzu skafandra, który wyolbrzymiał każde skrzypnięcie rzemieni nośnych, każde chrupnięcie stawów, tętno, nawet oddech — tylko statek nocą zatracił się w czarnym, lodowym milczeniu. Podniósł zegarek do oczu; dochodziła trzecia. Jeżeli tak dalej pójdzie, wykończę się — pomyślał. Odbił się od wypukłej ścianki działowej i niczym gaszący szybkość ptak wylądował z rozpostartymi rękami na progu kajuty. Z daleka, jakby z żelaznych podziemi, dobiegł go ledwo słyszalny dźwięk.

Bang — bang — bang.

Trzy uderzenia.

Z przekleństwem zatrzasnął drzwi, zdjął płaszcz, i nie troszcząc się on, cisnął go w powietrze; płaszcz wydał się powoli, niczym groteskowe widmo, jał płynąć w górę. Zgasił światło, położył się i okrył głowę poduszką.

Wariat! Przeklęty żelazny wariat!!! — powtarzał z zaciśniętymi powiekami, drżąc z niezrozumiałej dla samego siebie wściekłości. Zmęczenie wzięło szybko górę: ani wiedział, kiedy

znów zasnął.

Otworzył oczy przed siódmą. Półprzytomny jeszcze, podniósł rękę — nie opadła. Ciężenia nie było. Ubrał się i wyszedł. Zmierzając do sterowni, mimo woli nasłuchiwał. Było cicho. Przed drzwiami zatrzymał się. Na matowych szybach leżały zielonkawe, jakby podwodne, refleksy radarowych ekranów. W środku panował półmrok. Pilot, na wpół leżąc w swoim fotelu, palił papierosa. Płaskie smugi dymu pływały przed ekranami, zapalając się od ich odbłasku. Słysząc było nikłe pobrzękiwanie jakiejś ziemskiej muzyczki, przerywane kosmicznymi trzaskami. Pirx usiadł z tyłu za pilotem; nie chciało mu się nawet sprawdzić zapisów grawimetrycznych.

— Kiedy ciąg? — spytał. Pilot był domyślny.

— O ósmej. Ale jeżeli pan się chce wykapać, nawigatorze, mogę dać zaraz — to żadna

różnica.

— E, nie. Niech już będzie porządek — mruknął Pirx. Zapadło milczenie, tylko głośnik bzyczał powtarzającym się w kółko, mechanicznym motywem melodii. Pirxa jął znowu morzyć sen. Ocykał się kilka razy, znowu zapadał w drzemkę, z ciemności występowały wielkie, zielone ślepia kotów, mrugał powiekami, zamieniały się w oświetlone zegary — balansował tak na granicy jawy i snu, wtem głośnik trzasnął i odezwał się:

— Tu mówi Dejmos. Jest godzina siódma trzydzieści. Nadajemy codzienny komunikat meteorytowy dla strefy wewnętrznej. Pod wpływem pola grawitacyjnego Marsa powstało w roju Drakonidów, który opuścił już strefę Pasa, za wicherzenie brzeżne. W dniu dzisiejszym będzie ono przechodzić przez sektory 83, 84 i 87. Stacja meteorytowa Marsa szacuje rozmiary chmury na 400 tysięcy kilometrów sześciennych. W związku z tym ogłasza się sektory 83, 84 i 87 za zamknięte dla żeglugi aż do odwołania. Obecnie podamy skład chmury, przekazany bezpośrednio przez sondy balistyczne Fobosa. Według otrzymanego ostatnio doniesienia chmurę tworzą mikrometeoryty klasy X, XY, Z...

— Dobrze, że to nie dla nas — zauważył pilot — dopiero co zjadłem śniadanie, nie posłużyłoby mi, jakby tak przyszło dać wszystko w dysze!

— Ile robimy? — spytał Pirx, Wstał.

— Ponad pięćdziesiąt.

— Tak? Nie najgorzej — mruknął Pirx. Sprawdził kurs, zapisy uranografów, wielkość przecieku — utrzymywał się na jednakowym poziomie — i poszedł do mesy. Byli tam już obaj j oficerowie. Pirx czekał, czy któryś nie wspomni o nocnych hałasach, ale rozmowa obracała się cały czas wokół loteryjnego ciągnięcia — niecierpliwie wyczekiwał go Sims i z tej racji opowiadał o kolegach i znajomych, którym udało się wygrać.

Po śniadaniu Pirx udał się do nawigacyjnej nakreślić przebyty odcinek drogi. W pewnej chwili wbił cyrkle w rysownicę, wyszarpnął szufladę, dobył z niej książkę okrętową i poszukał składu ostatniej załogi KORIOLANA.

*Oficerowie: Pratt i Wayne, piloci: Nolan i Potter mechanicz: Simon...*

Wpatrywał się uporczywie w zamaszyste pismo dowódcy. Na koniec wrzucił książkę do szuflady, dokończył kreślenia i z rulonem kalki pojechał do sterowni. W pół godziny obliczył dokładny czas przybycia na Marsa. Wracając, zajrzał przez szybę w drzwiach do mesy. Oficerowie grali w szachy, felczer siedział przed telewizorem z elektryczną grzałką na brzuchu. Pirx zamknął się w kajucie i przejrzał radiogramy, które wzięł od pilota. Ani się obejrzał, jak zmorzył go sen. Kilka razy w drzemce zdawało mu się, że silniki zaczynają ciągnąć, i usiłował się obudzić z takim skutkiem, że śnił, jak wstaje, idzie do sterowni, znajduje ją pustą i w poszukiwaniu kogokolwiek z załogi poczyna błędzić w ciemnym jak smoła labiryncie rufowych korytarzy. Ocknął się przy biurku, mokry od potu. zły, bo przeczuwał już, jaką będzie miał noc po tylu przespanych za dnia godzinach. Kiedy pod wieczór pilot włączył silniki, skorzystał z tego i wzięł gorącą kąpiel. Odświeżony, poszedł do mesy, wypił przygotowaną kawę i spytał przez telefon wachtowego o temperaturę reaktora. Podpełzała pod tysiąc, ale jakoś nie mogła przekroczyć krytycznej. Około dziesiątej wezwała go sterownia — mijali jakiś statek, który wywołał ich, pytając o lekarza. Pirx, dowiedziawszy się, że chodzi o ostry atak ślepej kiszki na pokładzie, wołał nie polecać swego felczera, tym bardziej że w odległości ledwo trzech milionów kilometrów szedł wielki pasażerski, który ogłosił gotowość zastopowania i przerzucenia lekarzy.

I tak leniwie, bez przygód, upłynął cały dzień. O jedenastej białe światło zmieniło na wszystkich pokładach, z wyjątkiem sterowni i komory stosu, mżenie błękitnawych lampek nocnych. W mesie świeciła jeszcze niemal do północy mała lampa nad szachownicą. Siedział tam Sims. Grał sam przeciw sobie. Pirx poszedł jeszcze sprawdzić temperaturę w dennych ładowniach i spotkał po drodze wracającego ze stosu Bomana. Inżynier był raczej dobrej myśli — przeciek nie wzrastał, a chłodzenie działało wcale sprawnie.



Inżynier pożegnał się i odszedł, zostawiwszy Pirxa w pustym, chłodnym korytarzu. Słaby wiew ciągnął w górę statku, resztki zakurzonych pajęczyn osnuwających wyloty wentylacyjne trzepotały bezgłośnie.

Pinc chodził jakiś czas wysokim jak nawa kościelna przejściem między głównymi ładowniami, aż kilka minut po północy silniki zamilkły.

Z różnych stron statku dobiegła go seria zmieszanych, ostrych i stłumionych, coraz dalszych i słabszych odgłosów — to nie przymocowane przedmioty, poruszając się z nadanym przyspieszeniem, uderzały o ściany, stropy, podłogi; echo tych ruchów, które na moment wypełniły nagle jakby ożywający statek, drżało chwilę w powietrzu, aż zgasło i znowu była cisza, podkreślona miarowym szumem wentylatorów.

Pirx przypomniał sobie, że szuflada biurka w nawigacyjnym jest spaczona, i w poszukiwaniu stolarskiego dłuta zeszedł długim, wąskim jak kiszka korytarzem między lewoburtową ładownią a tunelem kablowym do rupieciarni, najbardziej chyba zakurzonego miejsca statku; na dodatek kurz, w którym brodził wyżej głowy, nie opadał, tak że na pół uduszony ledwo trafił po omacku w wyjściowe drzwi.

Był już blisko śródkręcia, kiedy w korytarzu odezwały się kroki. Wobec braku ciężenia iść mógł tylko automat. W samej rzeczy donośnym stąpnięciem towarzyszył trzask przywierających do podłogi magnetycznych ssawek. Pirx zaczekał, aż w przejściu ukazała się czarna na tle dalekich świateł sylweta. Terminus szedł, chwiejąc się niepewnie, z wielkimi wymachami ramion.

— Hej. Terminus! — odezwał się, wychodząc z cienia.

— Słucham.

Ciężka postać zatrzymała się; korpus poszedł bezwładnością do przodu i powoli odzyskał pion.

— Co tu robisz?

— Myszy — odpowiedział głos zza piersiowej tarczy potęgując wrażenie, że z wnętrza pierściennej zbroi przemawia zachrypnięty karzeł. — Myszy mają niespokojny sen. Budzą się. Biegają. Są spragnione. Jeżeli są spragnione, trzeba im dać wody. Myszy dużo piją, jeżeli wysoka temperatura.

— A co ty robisz? — zagadnął Pirx. Automat zakołysał się.

— Wysoka temperatura. Chodzę. Wciąż chodzę, jeżeli wysoka temperatura. Wody myszom. Jeżeli wypiją i usną, dobrze.

Niejednokrotnie wydarzały się pomyłki na skutek wysokiej temperatury. Czuwam. Wychodzę, wracam do reaktora. Wody myszom...

— Niesiesz wodę myszom? — spytał Pirx.

— Tak. Terminus.

— Gdzie masz tę wodę?

Automat powtórzył jeszcze dwa razy „wysoka temperatura” i z ludzającym wrażeniem, że działa w nim ukryty człowiek — bo wykonał obu rękami gest zaskoczenia, szybki i nieporadny zarazem, podnosząc je kolejno do oczu, których obiektywy poruszyły się w oczodołowej oprawie, skierowane na wnętrze metalowych dłoni — powiedział:

— Nie ma wody. Terminus.

— Więc gdzie jest ta woda? — nalegał Pirx. Spod przymrużonych powiek obserwował górującego nad nim o głowę robota, który wydał kilka niezrozumiałych odgłosów i nieoczekiwanie wyrzekł basem:

— Za... pomniałem.

Pirx stracił się — tak bezbrinnie to zabrzmiało. Przez dobrą chwilę mierzył chwiejający się lekko korpus.

— Zapomniałeś, co? Idź do reaktora. Wracaj. Słyszysz?!

— Słucham.

Terminus zachrząścił. wykonał zwrot na miejscu i jał oddalać się tym samym, nadmiernie sztywnym ł przez to jakby starczym krokiem. Małał w perspektywie korytarza. Na jednym z ostatnich progów potknął się. zawiosłował ciężko barami, chwycił równowagę i znikł w poprzecznym przejściu. Jakaś chwilę ściany powtarzały echo jego marszu. Pirx zaczął wracać do siebie, naraz rozmyślił się i płynąc bezszelestnie nad podłogą, dotarł do szóstego wentylacyjnego. Poruszanie się szybami, nawet przy wyłączonych silnikach, było zabronione, ale zlekceważył zakaz. Odepchnął się silnie od relingów i w dziesięć sekund przesybował odległość siedmiu pięter, dzielącą śródkręcie od rufy. Nie wszedł do komory stosu. W połowie wysokości ściany widniała podłużna zasowa. Podpłynął ku mej. odryglował wąskie drzwiczki i odsunął je. Za drzwiczkami znajdowało się wpasowane w stal. prostokątne okienko z ołowiowego szkła. stanowiące tylną ścianę klatek z myszami. Dzięki temu można je było obserwować, nie wchodząc do komory. Zobaczył, tuż za szkłem, zanieczyszczone, puste dna klatek, a dalej, poprzez druciane siatki, w głębi komory, oświetlone z wysoka lampą. błyszczące reflektorami, złane wodą plecy robota, który wisiał niemal poziomo w powietrzu, ospale poruszając rękami. Całą jego zbroję oblażyły białe myszki; biegając truchcikiem po blachach naramienników, piersiowych tarcz, skupiając się tam. gdzie w zakłęśnościach rozczłonkowanego brzucha nagromadziła się grubymi kroplami woda. zlizywały ją. podskakiwały, polatywały w powietrzu, a Terminus łowił je, przemykały mu między żelaznymi palcami, ich ogonki zwijały się w esy i floresy — obraz był tak osobliwy, tak komiczny, że Pirxowi zachciało się śmiać. Terminus wtykał tymczasem schwytane myszy do klatek, jego metalowa twarz niebezpiecznie zbliżyła się do oczu Pirxa, ale najwidoczniej nie dostrzegł go. Jeszcze dwie, trzy myszki polatywały w powietrzu. Terminus uporał się i z nimi, zamknął klatkę i znikł Pirxowi z oczu — tylko jego nadludzki cień, oparty o mufę głównego rurociągu, rozwianym krzyżem położył się na betonie reaktora.

Pirx zasunął cicho drzwiczki, wrócił do kajuty, rozebrał się i położył, ale nie mógł usnąć. Jakiś czas czytał pamiętniki astrogatora Irvinga, ale oczy piekły go, jak zasypane piaskiem, głowa ciążyła, zarazem jednak trzeźwy był jak pieprz. Pomyślał z rozpaczą o ilości godzin, dzielących go od dnia, i narzuciwszy płaszcz wyszedł.

Na skrzyżowaniu głównego korytarza z burtowym dobiegło go z wentylacyjnego szybu stąpanie. Przybliżył głowę do kraty otworu. Odgłos, zniekształcony echem żelaznej studni, płynął z dołu. Odepchnął się od kraty, szybując chwilę nogami naprzód, i najbliższym pionowym przejściem dostał się na poziom rufy. Kroki rozebrzmiały głośniejsze, zamarły, nasłuchiwał — odezwały się z nową siłą. Automat wracał. Pirx oczekiwał go pod samym stropem wysokiego w tym miejscu korytarza. W głębi pokładu zgrzytały powłócone podeszwy. Dźwięk zgasł. Tracił już cierpliwość, gdy stąpanie ponowiło się, z przejścia wychynął długi cień i w ślad za nim ukazał się Terminus. Przeszedł pod Pirxem tak blisko, że słyhać było bicie jego hydraulicznego serca. Kilkanaście kroków dalej przystanął i wydał przeciągły syk. Potem chybnął się parę razy w prawo i w lewo. jakby kłaniał się żelaznym ścianom, i ruszył przed siebie. U ciemnego wejścia w boczny korytarz znowu stanął. Zajrzał tam. Przeciągłe syczenie powtórzyło się. Pirx, ledwo dotykając końcami palców stropu, popłynął za ciężką postacią.

— Kcsss... kcsss... — dochodziło go coraz wyraźniej. Terminus jeszcze raz przystanął przed następnym szybem wentylacyjnym, usiłował wsadzić głowę przez kraty, ale nie udało mu się; zasyczał, wyprostował się wolno i pokuśtykał dalej. Pirx miał tego dość.

— Terminus!! — krzyknął, Automat, który właśnie się pochylał, zastygł w pół ruchu.

— Słucham — odpowiedział. — Co znowu tu robisz?

Patrzył w spłaszczoną metalową maskę, chociaż nie była twarzą — i nie mogła nic zdradzić.

— Szukam... — odezwał się Terminus. — Szukam... kota.

— Co?!

Terminus jął się prostować. Rósł w górę, z bezwładnie zwisającymi ramionami, jakby o nich zapomniał, a przez to, że w słabym poskrzypywaniu stawów robił to tak wolno, ruch ten miał w sobie coś groźnego.

— Szukam kota — powtórzył.

— Po co?!

Terminus milczał chwilę, zastygł w posąg z metalu.

— Nie wiem — powiedział cicho i Pirx zmieszał się. Przez swój martwy spokój, w słabym blasku lamp, z pordzewiałymi szynami torowiska u zamkniętych wrót, korytarz wyglądał jak sztolnia opuszczonej kopalni.

— Dostyc tego — odezwał się wreszcie. — Wracaj do reaktora i nie wychodź stamtąd, słyszysz?!

— Słucham.

Terminus odwrócił się i odszedł. Pirx został sam. Prąd powietrza unosił go, zawisłego między stropem i podłogą, milimetr po milimetrze, w stronę otwartej paszczy wentylatora. Odbił się stopą od ścian, skręcił ku windzie i poszybował w górę, mijając po drodze czarne ziewy szybów, w których, jak chód olbrzymiego zegara, dudniły coraz słabsze i dalsze kroki automatu.

## IV

W ciągu następnych dni pochłonęła Pirxa matematyka. Za każdym nowym włączeniem stos grzał się coraz bardziej, zarazem jego wydajność malała. Boman przypuszczał, że neutronowe lustra są bliskie ruiny. Świadczył o tym wzrastający wolno, lecz nieubłaganie przeciek radioaktywny. Skomplikowanym rachunkiem starał się wydozować czasy napędu i chłodzenia, podczas przestojów reaktora przerzucał cyrkulację mrożącego płynu z burtowych ładowni w głąb rufowych, gdzie panowała istic tropikalna temperatura. To lawirowanie między sprzecznymi wielkościami wymagało cierpliwości — przesiadywał przy Kalkulatorze, szukając metodą prób i błędów najlepszego rozwiązania. W rezultacie przebyli czterdzieści trzy miliony kilometrów ze znikomym opóźnieniem. W piątym dniu podróży osiągnęli, na przekór pesymistycznym przewidywaniom Bomana, wymagany pułap szybkości. Wyłączając reaktor, który miał stygnąć aż do ładowania, Pirx odetchnął skrycie. Jedną z osobliwości dowodzenia starym frachtowcem było to, że widywał gwiazdy daleko rzadziej aniżeli na Ziemi. Nie był ich zresztą ciekaw — nawet czerwonej jak miedziak tarczki Marsa; wystarczyły mu kursowe wykresy.

Późnym wieczorem ostatniego dnia podróży, kiedy przerywana z rzadka błękitnymi lampkami ciemność powiększyła jak gdyby pokłady, przypomniał sobie o ładowniach. Dotychczas nawet do nich nie zajrzał.

Opuścił mesę, w której Sims grał, jak co dzień, w szachy z Bomanem, i zjechał windą na rufę. Od ostatniego spotkania nie widział ani nie słyszał Terminusa. Zauważył tylko, że kot przepadł gdzieś tak gruntownie, jakby go w ogóle nie było na statku.

Ledwo oświetlone śródkręcie oddychało szelestem płynącego bez końca powietrza. Gdy otworzył drzwi, w hali zapaliły się pod grubą warstwą kurzu lampy. Przemierzył ładownię z jednego końca w drugi. Sterty skrzyń, sięgające niemal stropu, rozdzielało wąskie przejście. Sprawdzał napięcie stalowych taśm, zakotwiczonych w podłodze, którymi ściągnięta była każda piramida ładunku, a wywołany otwarciem drzwi przeciąg wysysał z ciemnych katów kłęby trocin, śmieci, pakuły, falujące słabo, niby kozuch rzęsy na wodzie.

Był już na korytarzu, kiedy usłyszał miarowe, powolne dźwięki.

— Uwaga... Trzy uderzenia.

Dryfował chwilę w prądzie powietrza, który unosił go coraz wyżej. Czy chciał, czy nie chciał — musiał słuchać. Rozmawiało ich dwóch. Sygnały były słabe — jakby oszczędzali się, miarkując siłę uderzeń. Przychodziły raz wolniej, raz szybciej, jeden mylił się często, jakby zapomniał alfabetu Morsego. Czasem milczeli dłuższy czas, czasem zaczynali nadawać równocześnie. Czarny korytarz z rozrzuconymi rzadko lampami zdawał się nie mieć końca, jakby szumiący w nim wiatr pochodził z bezgranicznej pustki.

— S-i-m-o-n-s-l-y-s-z-y-s-z-g-o — powoli, nieregularnie stukało w rurze.

— N-i-e-s-l-y-s-z-e ————— n-i-e-s-l-y-s-z-e...

Z pasją odepchnął się od ściany i skulony, z podkurczonymi nogami, jak kamień pomknął w dół korytarzami coraz gorzej oświetlonymi; zbliżanie się rufy poznawał po rosnącej ilości delikatnego rudawego pyłu wokół lamp. Ciężkie drzwi stosu były nie domknięte. Zajrzał do środka.

W komorze było chłodno. Sprężarki, odstawione na noc, milczały, czasem tylko dziwnym, prawie ludzkim głosem zabelkotał ukryty w betonowym murze rurociąg, kiedy bańki gazu torowały sobie drogę przez gęstniejący płyn.

Terminus, ochlapany cementem, pracował. Nad jego poruszającą się wahadłowo czaszką furczał zawzięcie wentylator. Pirx, nie dotykając stopni schodów, zsunął się nad nimi z ręką na poręczy. Żelazne rękawice podzwiękiwały słabo, ich ciosy tłumila warstwa świeżo narzuconego cementu. — N-i-e-s-l-y-s-z-e... o-d-b-i-o-r...

Czy sprawiał to przypadek, czy też nakaz spowolnienia uderzeń płynął z tego samego źródła, które wysyłało znaki Morsego, dość że rura odzywała się wciąż słabiej. Pirx stał tuż przy automacie. Rozczłonkowane segmenty jego brzucha, zachodzące na siebie, gdy się pochylał, przypominały karbowany odwłok owada. W szklanych oczach chwiała się miniaturowe odbicia lamp. Wpatrzony w nie Pirx poczuł, że jest w tej pustej komorze o stromych ścianach sam. Terminus nie wiedział, co robi, był maszyna, przekazująca utrwalone serie dźwięków, niczym więcej. Uderzenia wciąż słabły.

— S-i-m-o-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e — chwycił z wysiłkiem. Rytm rozpadał się. Dotknął rury jakies pół metra nad zgiętym torsem pracującego automatu — kiedy poprawiał chwyt, kostki palców stuknęły o żelazo i nadawana właśnie seria urwała się na mgnienie. Przeszyty nagłym impulsem, nim zdążył pomyśleć, jak szalona jest chęć wtrącenia się do rozmowy sprzed lat, począł szybko wybijać:

— C-z-e-m-u-m-o-m-s-s-e-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a... o-d-b-i-o-r...

Niemal w tej samej chwili, gdy uderzył pierwszy raz w rurę, stuknął w nią Terminus. Oba dźwięki zbiegły się, rękawica automatu zamarła, jakby usłyszawszy go, i kiedy skończył, po kilku sekundach zaczęła wtłaczać cement w szpary złącza. Rura zadźwięczała:

— B-o-m-a-p-r-a...

Pauza. Terminus schylił się, by zaczerpnąć cementowego ciasta. Czy to był początek odpowiedzi? Pirx czekał bez tchu. Automat prostował się, ciskając gwałtownie cement, i rurą poszły przyspieszające uderzenia:

— S-i-m-o-n-c-z-y-t-o-t-y...

— T-u-s-i-m-o-n-n-i-e-j-a... k-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o-m-o-w-i-l...

Wcisnął głowę w ramiona; uderzenia leciały jak grad:

— K-t-o-m-o-w-i-l-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-k-t-o-m-o-w... k-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o-m-o-w-i-l-k-t-o-m-o-w-i-l-t-u-s-i-m-o-n-t-u-w-a-y-n-e-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

— Terminus! — krzyknął. — Przestań! Przestań!

Dudnienie ustało. Terminus prostował się, a jego naramienniki, barki, rękawice podrygiwały, cały korpus drgał żelazną czkawką, i z tych spazmatycznych wstrząsów Pirx odczytywał dalej:

— K-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o... k-t-o...

— Przestań!!! — krzyknął raz jeszcze. Widział go z boku; ciężkie plecy przeszywał dreszcz, i refleks światła, odbitego od pancerza, powtarzał:

— K-t-o...

Jak gdyby wyczerpany burzą, która przez niego przeszła, automat drętwiał. Unosząc się nad podłogą, zawadził z przeciągłym zgrzytnięciem o pozioma gałąź rurociągu i zawisł przy niej, jakby schwyty, w martwym spokoju, ale wpatrzywszy się weń. Pirx dostrzegł milimetrowe drganie bezwładnie opuszczonej ręki.

— K-t-o...

Nie wiedział, jak znalazł się na korytarzu. Wentylatory szumiały. Płynął przed siebie, pod idący z górnych pokładów, chłodny, suchy wiatr, światła lamp oświetlającymi kręgami przesuwają mu się po twarzy.

Drzwi kajuty były nie domknięte. Na biurku paliła się lampa, płaskie kliny światła docierały dołem do ścian; strop był ciemny.

Kto to był? Kto go tak wołał? Simon? Wayne? Ależ ich nie było! Nie żyli od dziewiętnastu lat!

Więc kto to był — Terminus? Ależ on uszczelniał tylko rurociągi. Wiedział dobrze, co usłyszysz, jeśli spróbuje go badać — gadaninę o rentgenach, przecieku i plombach. Nie podejrzewa nawet, że odgłos jego pracy układa się w widmowy rytm.

Jedno jest pewne: ten zapis — jeśli to zapis — nie jest martwy. Kimkolwiek są ci ludzie —

te głosy, te uderzenia — można z nimi mówić. Jeśli się tylko ma odwagę...

Odepchnął się od stropu i przepłynął chwiejnie do przeciwległej ściany. Do diabła! Chciało mu się chodzić, chodzić gwałtownymi krokami, mieć ciężar, uderzyć z całej siły pięścią w stół! Ten, pozornie tak wygodny stan, w którym przedmioty i własne ciało zmieniały się w niematerialne cienie, był jak koszmar. Wszystko, czego się tknął, usuwało się, odpływało, niepewne, pozbawione oparcia, stawało się wydętą pustką, pozorem, snem...

Snem?

Zaraz. Kiedy śni mi się ktoś i zadaje mu pytanie, nie znam odpowiedzi, dopóki nie padnie z jego ust. a przecież ten śniony człowiek nie istnieje poza moim mózgiem i jest tylko czasowo wyodrębnioną jego częścią. Każdy rozszczepia się tak niemal co dzień, a właściwie co nocy — dając początek chwilowym, na użytek jednego majaku powstałym pseudoosobowościom. Mogą to być istoty wymyślone — albo wzięte z jawy. Czy nie śnią nam się nieraz umarli? Czy nie prowadzimy z nimi rozmów?

Umarli.

Czyżby Terminus...

W swoim na pół świadomym krążeniu po kajucie, przepływając od jednej ściany do drugiej, odtrącany od twardych płaszczyzn, dotarł do drzwi i chwycił się ich. Widział ciemny wycinek korytarza z padającą w tę ciemność smugą światła.

Wrócić tam?

Wrócić i — pytać?

Jest to jakieś zjawisko fizykalne — bardziej skomplikowane od zwykłego zapisu; automat nie jest, w końcu, urządzeniem do utrwalania dźwięków. Powstał w nim zapis, obdarzony pewną autonomicznością, zmiennością, któremu — jakkolwiek brzmi to dziwnie — można stawiać pytania i dowiedzieć się — wszystkiego. Poznać losy Simona, Nolana, Pottera i to niezrozumiałe, przerażające — milczenie dowódcy.

Czy można wyobrazić sobie jakieś inne wytłumaczenie?

Chyba nie.

Był tego pewien, a jednak nie ruszał się z miejsca, jakby na coś czekał.

Koniec końców, nie ma w tym nic oprócz obiegu prądów wewnątrz żelaznego pudła. Nikogo żywego, żadnej istoty, ginącej w ciemności strzaskanego statku. Na pewno nic!

Wystukiwać, pod szklanymi oczami Terminusa, pytania? Ależ oni, zamiast wziąć się do składowego opowiadania swojej historii, zaczną krzyczeć do niego, wołać o tlen, o ratunek! Co odpowiedzieć? Że nie istnieją? Że są tylko „pseudoosobowosciami—mi”, wyizolowanymi wyspami elektrycznego mózgu, jego majaczeniem, jego czkawką? Że ich strach jest tylko imitacją strachu, a ich agonie, powtarzana każdej nocy, znaczy tyle, co zdarta płyta? Pamiętał jeszcze wywołany swym pytaniem gwałtowny zryw uderzeń, ten krzyk, którym, pełni zdumienia i zbudzonej nieoczekiwanej nadziei, przyzywali go, to powtarzające się bez końca, natarczywe, pospieszne błaganie: „Odezwij się! Kto mówi? Odezwij się!!!”

Miał jeszcze w uszach, czuł w końcach palców rozpacz i furję tych uderzeń.

Nie istnieli? A więc kto go wzywał — kto wołał pomocy? I co z tego, gdyby fachowcy powiedzieli, że za tym krzykiem nie ma nic oprócz wirowania ładunków i drżenia zbudzonych rezonansem blach? Usiadł przy biurku. Wysunął szufladę. Przydusił gniewnie wstające z szelestem papiery, odnalazł ten, którego szukał, rozpostarł go przed sobą i wygładził starannie, by nie fruwał w oddechu. Wpisywał kolejno w drukowane rubryki:

MODEL: *AST — Pm — 105/OO44*

TYP: *Uniwersalny Naprawczy*

NAZWA: *Terminus*

RODZAJ USZKODZENIA: *Rozpad funkcji*

WNIOSKI... Zawahał się. Przybliżył pióro do papieru i cofał je. Myślał o niewinności maszyn, które człowiek obdarzył zdolnością myślenia i uczynił je przez to uczestnikami

swych szaleństw. O tym, że mit Golema, maszyny zbuntowanej i powstającej przeciw człowiekowi, jest kłamstwem, wymyślonym po to, żeby ci, co niosą za wszystko odpowiedzialność, mogli ją z siebie zrzucić.

WNIOSKI: *Zdać na złom.*

I u dołu karty podpisał się z nieruchomą twarzą:

*Pierwszy nawigator Pirx.*

## ZE WSPOMNIENÍ IJONA TICHEGO

### I

Chcecie, żebym znów coś opowiedział? Tak. Widzę, że Tarantoga wziął już swój blok stenograficzny... profesorze, czekaj. Kiedy ja naprawdę nie mam nic do opowiedzenia. Co? Nie — nie żartuję. A zresztą — mogę w końcu, raz, mieć chętkę przemilczenia takiego wieczoru — w waszym gronie? Dlaczego? Ba, dlaczego! Moi drodzy — nie mówiłem o tym nigdy, ale Kosmos jest przede wszystkim zaludniony istotami takimi jak my. Nie tylko człekokształtnymi, ale podobnymi do nas jak dwie krople wody. Połowa zamieszkaných planet — to Ziemie, trochę większe, trochę mniejsze, o klimacie zimniejszym lub bardziej tropikalnym, ale cóż to za różnice? A ich mieszkańcy... Ludzie — bo to są w końcu ludzie — też tak przypominają nas, że różnice podkreślają tylko podobieństwa. Że nie opowiadałem o nich? Czy to dziwne? Pomyślcie. Patrzy się w gwiazdy. Przypominają się różne zdarzenia, różne obrazy stają przede mną, ale najchętniej wracam do niezwykłych. Może są i straszne albo niesamowite, albo makabryczne, nawet śmieszne, a przez to wszystko nieszkodliwe. Ale patrzeć w gwiazdy, moi drodzy, i wiedzieć, że te małe, błękitne iskierki to — kiedy postawić na nich nogę — państwa brzydoty, smutku, niewiadomości, wszelakiej ruiny — że tam, w granatowym niebie, też roi się od starych ruder, brudnych podwórzy, rynsztoków, śmietników, cmentarzy pozarastanych — czy opowieści kogoś, kto zwiedził Galaktykę, mają przywozić na myśl narzekania domokrażcy tłukącego się po prowincjonalnych miasteczkach? Kto by go chciał słuchać? I kto by mu uwierzył? Tego rodzaju myśli przychodzą, kiedy człowiek jest nieco przybity albo odczuwa niezdrowy pociąg do szczyrych wynurzeń. Tak więc — aby nie zasmucać i nie upokarzać — dzisiaj nic o gwiazdach. Nie — nie będę milczał. Czuliabyscie się oszukani. Opowiem coś, zgoda, ale to nie będzie podróż. W końcu i na Ziemi przeżyłem niejedno. Profesorze, jeśli koniecznie chcesz, możesz zacząć notować.

— Jak wiecie — miewam gości, niekiedy bardzo dziwnych. Wybiore spośród nich pewną kategorię: zapoznanych wynalazców i uczonych. Nie wiem czemu, ale przyciągałem ich zawsze jak magnes. Tarantoga uśmiecha się, widzicie? Ale to nie o nim, on nie jest przecież wynalazcą zapoznanym. Dziś będę mówił o takich, którym się nie powiodło, albo raczej, którym powiodło się zbyt dobrze: osiągnęli cel i ujrzeli jego daremność. Oczywiście nie przyznali się do tego. Nieznani, osamotnieni, wytrwali w tym szaleństwie, które tylko rozgłos i sukces zamieniają niekiedy — nadzwyczaj rzadko — w dzieło postępu. Rozumie się, że ogromna większość tych, co przychodzili do mnie, była to szara brać opętania, ludzie uwięzieni w jednej idei, nie swojej nawet, przejętej od poprzednich pokoleń, jak wynalazcy perpetuum mobile, ubodzy w pomysły, trywialni w rozwiązaniach, w oczywisty sposób bzdurnych, a jednak nawet w nich tli się ów żar bezinteresowności, spalający życie, zmuszający do ponawiania wysiłków z góry daremnych. Żalosi są ci ułomni geniusze, tytani karzełkowatego ducha, okaleczeni w powiciu przez naturę, która, w jednym ze swych ponurych żartów, obdarzyła ich beztalencią twórczą zajadłością, godną jakiegoś Leonarda; ich udziałem jest w życiu obojętność lub drwina, a wszystko, co można dla nich uczynić — to być, przez godzinę czy dwie, cierpliwym słuchaczem i uczestnikiem ich monomanii.

W owym tłumie, który tylko własna głupota broni przed rozpaczą, pojawiali się z rzadka inni ludzie — nie chcę ich nazwać ani osądzać, uczynicie to sami. Pierwszą postacią, która staje mi przed oczami, kiedy to mówię, jest profesor Corcoran.

Poznałem go, będzie temu lat dziewięć, może dziesięć. Było to na jakiejś konferencji naukowej. Rozmawialiśmy ledwo kilka chwil, kiedy ni z tego, ni z owego (w najmniejszej mierze nie wiązało się to z tematem) spytał:



— Co pan sądzi o duchach?

W pierwszej chwili sądziłem, że to ekscentryczny żart, ale przypomniałem sobie, że doszły mnie słuchy o jego niezwykłości — nie pamiętałem tylko, w jakim to mówiono znaczeniu, dodatnim czy ujemnym. Dlatego na wszelki wypadek odparłem:

— W tym przedmiocie nie mam żadnego zdania.

Bez słowa wrócił do poprzedniego tematu. Słysząc już było dzwonki obwieszczające początek dalszych obrad, kiedy pochylił się znieacka — był dużo wyższy ode mnie — i powiedział:

— Tichy, pan jest moim człowiekiem. Nie ma pan uprzedzeń. Być może zresztą, myślę się, ale gotów jestem zaryzykować. Niech pan przyjdzie do mnie — tu podałem mi wizytówkę. — Pierwej proszę zatelefonować, bo na dzwonki nie odpowiadam i nikomu nie otwieram. Zresztą, jak pan chce...

Jeszcze tegoż wieczoru, będąc na kolacji z Savinellim, tym znanym jurystą, który specjalizował się w prawie kosmicznym, spytałem go, czy zna niejakiego profesora Corcorana.

— Corcoran! — wykrzyknął z właściwym sobie temperamentem, zaognionym drugą butelką sycylijskiego wina — ten postrzelony cybernetyk? Co się z nim dzieje? Nie słyszałem o nim od wieków!

Odparłem, że nie wiem o nim nic bliższego, tylko nazwisko to obilo mi się o uszy. Sądzę, że słowa te byłyby po myśli Corcorana. Savinelli naopowiadał mi przy winie trochę obiegowych plotek. Wynikało z nich, że Corcoran zapowiadał się świetnie jako młody naukowiec, choć już podówczas przejawiał zupełny brak szacunku dla starszych, przeradzający się nieraz w arogancję, a potem stał się weredykiem, z tych, którzy zdają się czerpać tyleż satysfakcji z mówienia ludziom, co o nich myślą, ile z faktu, że w taki sposób najbardziej szkodzą sobie. Kiedy poobrażał już śmiertelnie swoich profesorów, kolegów, i zamknęły się przed nim wszystkie drzwi, wzbogacony wielkim, nieoczekiwanym spadkiem, zakupił jakąś rudę za miastem i przebudował ją na laboratorium. Przebywał w nim wraz z robotami — tylko takich znosił wokół siebie asystentów i pomocników. Może i dokonał tam czegoś, ale szpalty pism naukowych były dlań niedostępne. Nie dbał o to wcale. Jeżeli nawiązywał w tym czasie jeszcze jakieś stosunki z ludźmi, to tylko po to, aby ich, po dojściu do niejakiej zażyłości, w niezwykle ordynarny sposób, bez jakiegokolwiek widomego powodu — odtrącić, zelżyć. Kiedy zestarzał się na dobre i ta wstrętna zabawa znudziła mu się — został samotnikiem. Spytałem Savinellogo, czy wiadomo mu coś o tym, że Corcoran wierzy w duchy. Prawnik, pociągający właśnie wina, omal się nie zakrztusił ze śmiechu.

— On? W duchy?! — wykrzyknął. — Człowieku, ależ on nie wierzy nawet w ludzi!!!

Spytałem, jak to rozumie. Odparł, że całkiem dosłownie: Corcoran był, według niego, solipsystą — wierzył tylko we własne istnienie, wszystkich innych miał za fantomy, senne widziadła, i rzekomo dlatego tak sobie dawniej poczynał nawet z najbliższymi: skoro życie jest rodzajem snu, wszystko w nim wolno. Zauważyłem, że wobec tego może wierzyć i w duchy. Savinelli spytał, czy słyszałem już kiedyś o cybernetyku, który by w nie wierzył. Mówiliśmy potem o czymś innym — ale i tego, co usłyszałem, starczyło, aby mnie zaintrygować. Jestem człowiekiem szybkiej decyzji, więc zatelefonowałem już na drugi dzień. Telefon odebrał robot. Powiedziałem, kto i w jakiej sprawie. Corcoran zadzwonił do mnie dopiero nazajutrz, późnym wieczorem — miałem się właśnie udać na spoczynek. Powiedział, że mogę przyjść do niego choćby zaraz. Dochodziła jedenasta. Powiedziałem, że zaraz przyjdę, ubrałem się i pojechałem. Laboratorium było wielkim, ponurym budynkiem, położonym opodal szosy. Widywałem je nieraz. Myślałem, że to stara fabryka. Było pograżone w ciemności. Najślabszy blask nie rozwidniał żadnego z wpuszczonych głęboko w mur, kwadratowych okien. Także wielki plac między żelaznym ogrodzeniem a bramą był nie oświetlony. Kilka razy wpadłem na jakieś chrzęszczące rdzą blachy, szyny, tak że już trochę

zły dotarłem do ledwo majaczących drzwi i zadzwoniłem w specjalny sposób, jak mi przykazał Corcoran. Po dobrych pięciu minutach otworzył mi sam, w szarym, spalonym kwasami płaszczu laboratoryjnym. Był przeraźliwie chudy, kościsty, nosił ogromne szkła i siwy wąs, z jednej strony krótszy, jakby nadgryziony.

— Pozwól pan ze mną — powiedział bez żadnych wstępów. Długim, ledwo oświetlonym korytarzem, w którym leżały jakieś maszyny, beczki, zakurzone białe worki cementu, zaprowadził mnie do wielkich stalowych drzwi. Płoneła nad nimi jaskrawa lampa. Wyjął z kieszeni chałata klucz, otworzył i wszedł pierwszy. Ja za nim. Po krętych żelaznych schodach dostaliśmy się na piętro. Otworzyła się wielka hala fabryczna z oszklonym stropem — kilka nie osłoniętych żarówek nie oświetlało jej, ukazywało tylko jej półmroczny ogrom. Była pusta, martwa, opuszczona, wysoko pod stropem hulały przeciągi, deszcz, który zaczął padać, kiedy zbliżałem się do siedziby Corcorana, zacinał w szyby, ciemne i brudne, tu i ówdzie woda ciekła przez otwory po wybitych szklach. Corcoran, jakby tego nie widząc, szedł przede mną dudniącą pod krokami blaszaną galerią: znowu stalowe, zamknięte drzwi — za nimi korytarz, nieład porzuconych, jakby w ucieczce, leżących pokotem pod ścianami narzędzi, okrytych grubą warstwą kurzu; korytarz skręcił, szliśmy w górę, w dół, mijaliśmy podobne do zaschłych gadów splecione pasy transmisyjne. Wędrownka, w której poznawałem rozległość budowli, trwała; raz czy dwa Corcoran, w miejscach zupełnie ciemnych, ostrzegł mnie, żebym uważał na stopień, żebym się schylił, u ostatnich z szeregu tych stalowych, zapewne przeciwpożarowych drzwi, grubo nabijanych nitami, zatrzymał się, otworzył je; zauważyłem, że — w przeciwieństwie do innych — nie zazgrzytały wcale, jakby ich zawiasy były świeżo naoliwione. Weszliśmy do wysokiej sali, prawie zupełnie pustej — Corcoran stanął na środku, tam gdzie beton podłogi był nieco jaśniejszy, jakby kiedyś stała w tym miejscu maszyna, po której zostały tylko wystające ułamki legarów. Ścianami biegły pionowe, grube pręty, wyglądało tu jak w klatce. Przypomniałem sobie to pytanie o duchy... Do prętów były uczezione półki, bardzo mocne, z podporami, stało na nich kilkanaście żeliwnych skrzyń; wicie, jak wyglądają te kufry ze skarbami, które w podaniach zakopują korsarze? Takie właśnie były te skrzynie, o wypukłych pokrywach, na każdej wisiała, ujęta w celofan, biała kartka, podobna do tego dokumentu, jaki zazwyczaj zawieszają nad szpitalnym łóżkiem. Wysoko pod stropem paliła się zakurzona żarówka, ale było zbyt ciemno, żebym choć słowo mógł odczytać z tego, co było na owych kartach napisane. Skrzynie stały dwoma rzędami nad sobą, a jedna znajdowała się wyżej, osobno — pamiętam, że policzyłem je, było ich bodaj dwanaście, może czternaście, nie wiem już dokładnie.

— Tichy — zwrócił się do mnie profesor, z rękami w kieszeniach płaszcza — niech się pan wsłucha na chwilę w to, co tu jest. Potem powiem panu — niechże pan słucha!

Była w nim niezwykła niecierpliwość — rzuciła się w oczy. Od razu chciał, zaczynając mówić, wejść w sedno, mieć już wszystko za sobą, już skończyć. Jak gdyby każdą chwilę, spędzoną z kimś innym, uważał za zmarnowaną.

Przymknąłem oczy i raczej przez prostą grzeczność aniżeli ciekawy odgłosów, których, wchodząc, nie zauważyłem nawet, stałem chwilę nieruchomo. Nic właściwie nie usłyszałem. Jakieś słabiutkie brzęczenie prądu elektrycznego w uzwojeniach, coś w tym rodzaju, ale zapewniam was, to było tak nikłe, że głos konającej muchy byłoby tam doskonale sływać.

— No, co pan słyszy? — spytał.

— Prawie nic — wyznałem — pobrzęk jakiś... ale to może tylko szum w uszach...

— Nie, to nie jest szum w uszach... Tichy, niech pan słucha uważnie, bo nie lubię się powtarzać, a mówię to, bo mnie pan nie zna. Nie jestem ordynusem ani chamem, za jakiego mnie mają, tylko denerwują mnie idioci, którym trzeba dziesięć razy powtarzać jedno i to samo. Mam nadzieję, że pan do nich nie należy.

— Zobaczmy — odparłem — niech pan mówi, profesorze...

Skinął głową i wskazując na rzędy tych żelaznych skrzyń powiedział:

— Czy zna się pan na mózгах elektrycznych?

— Tylko tyle, o ile to jest potrzebne w nawigacji — odparłem. — Z teorią raczej u mnie słabo.

— Tak sobie myślałem. To nie szkodzi. Tichy, słuchaj pan. W tych skrzyniach znajdują się najdoskonalsze mózgi elektronowe, jakie kiedykolwiek istniały. Wie pan, na czym polega ich doskonałość?

— Nie — odparłem zgodnie z prawdą.

— Na tym, że one niczemu nie służą, że są absolutnie do niczego nieprzydatne — nieużyteczne — że to są, słowem, wcielone przeze mnie w czyn, obleczone w materię — monady Leibniza...

Czekałem, a on mówił dalej, przy czym jego siwy wąs wyglądał, w panującym półmroku, jakby u warg trzepotała mu biaława ćma.

— Każda z tych skrzyń zawiera układ elektronowy, wytwarzający świadomość. Jak nasz mózg. Budulec jest inny, ale zasada taka sama. Na tym koniec podobieństwa. Bo nasze mózgi — uważaj pan! — podłączone są, że tak powiem, do świata zewnętrznego — za pośrednictwem zmysłowych odbiorników: oczu, uszu, nosa, skóry i tak dalej. Natomiast te, tutaj — wyciągniętym palcem wskazywał skrzynie — mają swój „świat zewnętrzny” tam, w środku...

— Jakże to możliwe? — spytałem. Coś zaczynało mi niejasno świtać; domysł ten nie był wyraźny, ale budził dreszcz.

— Bardzo prosto. Skąd wiemy o tym, że mamy ciało takie, a nie inne, taką właśnie twarz, że stoimy, że trzymamy w ręku książkę, że pachną kwiaty? Stąd, że pewne bodźce działają na nasze zmysły i nerwami płyną do mózgu podniety. Niech pan sobie wyobrazi, licho, że ja potrafię drażnić pański nerw węchowy w taki sam sposób, jak czyni to pachnący goździk — co będzie pan czuł?

— Zapach goździka, oczywiście — odparłem, a profesor, skinąwszy głową, jakby rad, że jestem dostatecznie pojętny, ciągnął:

— A jeżeli to samo zrobię ze wszystkimi pana nerwami, to będzie pan odczuwał nie świat zewnętrzny, ale to, co JA pańskimi nerwami telegrafuję do pana mózgu... jasne?

— Jasne.

— Teraz tak. Te skrzynie mają receptory—organy, działające analogicznie do naszego wzroku, węchu, słuchu, dotyku i tak dalej. A druty od tych receptorów — jak gdyby nerwy — zamiast do świata zewnętrznego, jak nasze, podłączone są do tego bębna, tam, w kącie. Nie zauważył go pan, co?

— Nie — powiedziałem. Rzeczywiście, bęben ów, średnicy może trzech metrów, stał w głębi, pionowo, niby ustawiony kamień młyński, i po dobrej chwili spostrzegłem, że obraca się nadzwyczaj powoli.

— To jest ich los — powiedział spokojnie profesor Corcoran. — Ich los, ich świat, ich byt — wszystko, czego mogą dostąpić i doznać. Znajdują się tam specjalne taśmy z zarejestrowanymi bodźcami elektrycznymi, takimi, które odpowiadają tym stu czy dwustu miliardom zjawisk, z jakimi człowiek może się spotkać w najbardziej bogatym we wrażenia życiu. Gdyby pan podniósł pokrywę bębna, zobaczyłby pan tylko błyszczące taśmy pokryte białymi zygzakami jak pleśń na celulooidzie, ale to są, Tichy, upalne noce południa i szmer fal, kształty ciał zwierzęcych i strzelaniny, pogrzeby i pijatyki, i smak jabłek i gruszek, zawieje śnieżne, wieczory, spędzane w otoczeniu rodziny u płonącego kominka, i wrzask na pokładach okrętu, który tonie, i konwulsje choroby, i szczyty górskie, i cmentarze, i halucynacje majaczących — Ijonie Tichy: tam jest cały świat!

Milczałem, a Corcoran, ująwszy mnie żelaznym chwytem za ramię, mówił:

— Te skrzynie, Tichy, są podłączone do sztucznego świata. Tej — wskazał na pierwszą z brzegu — wydaje się, że jest siedemnastoletnią dziewczyną, zielonooką, o rudych włosach, o

ciele godnym Wenery. Jest ona córką męża stanu... kocha się w młodzieńcu, którego widuje niemal co dzień przez okno... który będzie jej przekleństwem. Ta tutaj druga to pewien uczony. Jest już bliski ogólnej teorii grawitacji, obowiązującej w jego świecie — w tym świecie, którego granicą są żelazne ściany bębna — i przygotowuje się do walki o swoją prawdę, w osamotnieniu powiększanym przez zagrażającą mu ślepotę, bo on oślepie, Tichy... a tam, wyżej, jest członek kolegium kapłańskiego i przeżywa najcięższe dni swojego życia, bo stracił wiarę w istnienie swej duszy nieśmiertelnej; obok, za przegrodą, stoi... ale nie mogę opowiedzieć panu życia wszystkich istot, które stworzyłem...

— Czy mogę przerwać? — spytałem. — Chciałbym wiedzieć...

— Nie! Nie może pan! — ryknął Corcoran. — Nikt nie może! Teraz ja mówię, Tichy! Pan nic jeszcze nie rozumie. Myśli pan pewno, że tam, w tym bębnie, są utrwalone różne sygnały, jak na płycie gramofonowej, że wypadki ułożone są tak, jak melodia, ze wszystkimi tonami, i czekają tylko, jak muzyka na płycie, aby ożywiła je igła, że te skrzynie odtwarzają po kolei zespoły przeżyć, do końca już z góry ustalonych. Nieprawda! Nieprawda! — wołał przeraźliwie, aż dudniło echo blaszanego stropu. — Zawartość tego bębna jest dla nich tym, czym dla pana świat, w którym pan żyje! Panu nie przychodzi przecież do głowy, kiedy pan je, śpi, wstaje, podróżuje, odwiedza starych wariatów, że to wszystko jest płytą gramofonową, której dotyk nazywa pan terazniejszością!

— Ale... — odezwałem się.

— Milcz pan! — huknął. — Nie przeszkadzać! Ja mówię!

Pomyślałem, że ci, którzy nazywają go chamelem, mają sporo racji, ale musiałem uważać, bo to, co mówił, naprawdę było niesłychane. Krzyczał dalej:

— Los moich żelaznych skrzyń nie jest ustalony z góry do końca, gdyż wypadki znajdują się tam, w bębnie, na szeregach równoległych taśm, i tylko działający zgodnie z regułą ślepego przypadku selektor decyduje o tym, z której serii taśm będzie zbierak zmysłowych wrażeń danej skrzyni czerpał w następnej chwili treści. Naturalnie tak proste, jak powiedziałem, to nie jest, ponieważ skrzynie same mogą wpływać do pewnego stopnia na ruchy czerpaka, a selekcja przypadkowa zachodzi w pełni wtedy tylko, kiedy ci stworzeni przeze mnie zachowują się biernie... wszelako mają wolną wolę, a ogranicza ją to samo tylko, co nas. Posiadana struktura osobowości, pasje, przyrodzone kalectwa, warunki zewnętrzne, stopień inteligencji — nie mogą wchodzić we wszystkie szczegóły...

— Jeśli tak jest nawet — wtrąciłem szybko — to jakże oni nie wiedzą, że są żelaznymi skrzyniami, a nie rudą dziewczyną czy kapłą...

Tyle zdołałem wyrzucić, nim przerwał mi:

— Niech pan nie udaje osła, Tichy. Pan składa się z atomów, co? Czuje pan te swoje atomy?

— Nie.

— Atomy te tworzą cząsteczki białka. Czuje pan swoje białka?

— Nie.

— W każdej sekundzie nocy i dnia przeszywają pana promienie kosmiczne. Czuje pan to?

— Nie.

— Więc jak moje skrzynie mogą się dowiedzieć, że są skrzyniami, osłe?! Tak samo, jak dla pana ten świat jest autentyczny i jedyny, tak samo dla nich autentyczne i jedynie realne są treści, które płyną do ich elektrycznych mózgów z mojego bębna... W tym bębnie jest ich świat, Tichy, a ich ciała — nie istniejące w naszej rzeczywistości inaczej aniżeli jako pewne względnie stałe ugrupowania otworków w perforowanych wstęgach — znajdują się wewnątrz samych skrzyń, upakowane w środku... Ta skrajna, z tamtej strony, ma się za kobietę niezwyklej piękności. Mogę panu dokładnie powiedzieć, co ona widzi, kiedy, naga, przegląda się w lustrze. W jakich kocha się drogich kamieniach. Jakich sztuczek używa, aby zdobywać mężczyzn. Wiem to wszystko, bo to ja, za pomocą mego LOSORYSU, stworzyłem ją, jej —

dla nas wyimaginowany, ale dla niej realny — kształt, tak realny, z twarzą, zębami, zapachem potu, z blizną od sztyletu na łopacie, z włosami i orchideami, które w nie wpina, jak dla pana realne są pańskie ręce, nogi, brzuch, szyja i głowa! Mam nadzieję, że pan nie wątpi w swoje istnienie...?

— Nie — odparłem spokojnie. Nikt nigdy nie krzychał tak na mnie i może by mnie to nawet bawiło, ale byłem już zbyt wstrząśnięty słowami profesora, któremu uwierzyłem, bo nie widziałem powodów do nieufności — aby zwracać w tej chwili uwagę na jego maniery.

— Tichy — ciągnął nieco ciszej profesor — powiedziałem, że, między innymi, mam tu uczonego, to jest ta skrzynia na wprost pana. On bada swój świat, jednakże nigdy — rozumie pan, nigdy nie domyśli się nawet, że jego świat nie jest realny, że traci czas i siły na zgłębianie tego, co jest serią bębnow z nawiniętą taśmą filmową, a jego ręce, nogi, oczy, jego własne, ślepnące oczy są tylko złudzeniem, wywołanym w jego elektrycznym mózgu wyładowaniami odpowiednio dobranych impulsów. Żeby tego dojść, musiałby wyjść na zewnątrz swojej żelaznej skrzyni, to jest samego siebie, i przestać myśleć swoim mózgiem, co jest tak samo niemożliwe, jak niemożliwe jest, żebyś pan mógł doświadczyć istnienia tej zimnej, ciężkiej skrzyni inaczej aniżeli dotykiem i wzrokiem.

— Ale ja wiem dzięki fizyce, że jestem zbudowany z atomów — rzuciłem. Corcoran podniósł kategorycznym ruchem dłoń.

— On też o tym wie, Tichy. On ma swoje laboratorium, a w nim wszelkie aparaty, jakich dostarczyć może jego świat... widzi przez lunetę gwiazdy, bada ich ruchy, a jednocześnie czuje chłodny ucisk okularu na twarzy — nie, nie teraz. Teraz, zgodnie ze swym obyczajem, znajduje się — w pustym ogrodzie, który otacza jego pracownię, i przechadza się w blasku słońca — bo w jego świecie jest właśnie wschód...

— A gdzie są inni ludzie — ci inni, pośród których on żyje? — spytałem.

— Inni ludzie? Oczywiście, że każda z tych skrzyń, z tych istot, obraca się pośród ludzi... oni znajdują się — wszyscy — w bębnie... Widzę, że pan wciąż nie może jeszcze pojąć! Więc może uzmysłowi to panu przykład, chociaż odległy. Spotyka pan rozmaitych ludzi w swoich snach — nieraz takich, których nigdy pan nie widział ani nie znał — i prowadzi z nimi we śnie rozmowy — czy tak?

— Tak...

— Tych ludzi stwarza pański mózg. Ale śniąc, nie wie pan o tym. Proszę zważyć — to był tylko przykład. Z nimi — wyciągnął rękę — jest inaczej, to nie oni sami stwarzają swoich bliskich i obcych — tamci są w bębnie, całe tłumy, i kiedy, powiedzmy, mój uczonego miałby nagłą chętkę wyjść ze swego ogrodu i odezwać się do pierwszego lepszego przechodnia, to, uniósłszy pokrywę bębna, zobaczyłby pan, jak to się dzieje: jego zmysłowy czerpak pod wpływem impulsu nieznacznie zboczy ze swej dotychczasowej drogi, zejdzie na inną taśmę i pocznie odbierać to, co się na niej znajduje; mówię „czerpak”, ale to są w istocie setki mikroskopijnych zbieraków prądowych, ponieważ tak samo jak pan odbiera świat wzrokiem, węchem, dotykiem, narządem równowagi — tak samo on poznaje swój „świat” za pośrednictwem oddzielnych wejść zmysłowych, oddzielnych kanałów, i dopiero jego elektryczny mózg zespala wszystkie te wrażenia w jedność. Ale to są szczegóły techniczne, Tichy, mało istotne. Z chwilą kiedy mechanizm został raz uruchomiony, mogę pana zapewnić, że była to tylko kwestia cierpliwości, nic więcej. Niech pan czyta filozofów, Tichy, a przekona się pan, co mówią, jak mało można polegać na naszych wrażeniach zmysłowych, jak są niepewne, zwodnicze, omylne, ale nie mamy przecież niczego oprócz nich; tak samo — mówił z uniesioną ręką — oni. Ale tak, jak nam, tak im też nie przeszkadza to kochać, pożądać, nienawidzić, mogą dotykać innych ludzi, żeby ich całować lub zabić... i tak te moje twory w swej wiekuiestej żelaznej nieruchomości oddają się namiętnościom i pasjom, zdradzają się, tęsknią, marzą...

— Pan sądzi, że to jest jałowe? — spytałem nieoczekiwanie, a Corcoran zmierzył mnie

swymi przesywającymi oczami. Długą chwilę nie odpowiadał.

— Tak — powiedział wreszcie — dobrze, zem pana tu wprowadził, Tichy... każdy z idiotów, którym to pokazałem, zaczynał od ciskania gromów na moje okrucieństwo... Jak pan rozumie swoje słowa?

— Pan dostarcza im tylko surowca — powiedziałem — pod postacią tych impulsów. To tak, jak nam dostarcza ich świat. Kiedy stoję i patrzę w gwiazdy — to, co odczuwam przy tym, co myślę, jest już tylko moją własnością, nie świata. Oni — wskazałem szeregi skrzyń — tak samo.

— To prawda — rzekł sucho profesor. Zgarbił się i stał się przez to jakby mniejszy. — Ale skoro pan to powiedział, oszczędził mi pan długich wywodów, bo pan rozumie już chyba, po co ja je stworzyłem?

— Domyślam się. Ale chciałbym, żeby pan mi to sam powiedział.

— Dobrze. Kiedyś — bardzo dawno temu — zważyłem w realność świata. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Tak zwana złośliwość rzeczy martwych, Tichy — kto jej nie doświadczył?

Nie możemy znaleźć jakiegoś drobiazgu, choć pamiętamy, gdzieśmy go widzieli po raz ostatni, nareszcie odnajdujemy go gdzie indziej, z uczuciem, że przyłapaliśmy świat na gorącym uczynku jakiejś niedokładności, bylejakości... dorośli mówią, oczywista, że to pomyłka — i naturalna nieufność dziecka zostaje w ten sposób stłumiona... Albo to, co nazywają *le sentiment du déjà vu* — wrażenie, że w sytuacji, niewątpliwie nowej, przeżywanej po raz pierwszy, już się kiedyś było... Całe systemy metafizyczne, jak wiara w wędrówkę dusz, w reinkarnację, powstały w oparciu o te zjawiska. A dalej: prawo serii, powtarzanie się zjawisk szczególnie rzadkich, które tak chodzą parami, że lekarze nazwali nawet to w swoim języku: *duplicitas casuum*. A wreszcie... duchy, o które pana pytałem. Czytanie myśli, lewitacje i — ze wszystkich najbardziej sprzeczne z podstawami całej naszej wiedzy, najbardziej niewytłumaczalne — przypadki, prawda, że rzadkie — przepowiadania przyszłości... fenomen opisywany od najdawniejszych czasów, wbrew wszelkiej możliwości, gdyż każdy naukowy pogląd na świat go wyklucza. I co to jest — wszystko? Co to znaczy? Powie pan czy nie...? Brak panu jednak odwagi, Tichy... Dobrze. Niech pan spojrzy...

Podchodząc do półek wskazał na najwyższej osobno stojącą skrzynię.

— To jest wariat mojego świata — powiedział i jego twarz odmieniła się w uśmiechu. — Czy pan wie, do czego doszedł w swym szaleństwie, które odosobniło go od innych? Poświęcił się szukaniu zawodności swego świata. Bo ja nie twierdziłem, Tichy, że ten jego świat jest niezawodny. Doskonały. Najsprawniejszy mechanizm może się czasem zaciąć, to jakiś przeciąg rozkołysze kable i zetkną się na mgnienie, to znowu mrówka dostanie się do wnętrza bębna... i wie pan, co on wtedy myśli, ten szaleniec? Że telepatię wywołuje lokalne krótkie spięcie drutów należących do dwu różnych skrzyń... że ujście przyszłości zdarza się, kiedy czerpak, rozchwiany, przeskoczy nagle z właściwej taśmy na tę, która ma się dopiero rozwinąć za wiele lat. Że uczucie, jakoby przeżył już to, co zdarza mu się naprawdę po raz pierwszy, spowodowane jest zacięciem selektora, a kiedy on nie tylko zadrży w swoim miedzianym łożysku, ale zakołysze się jak wahadło, trącony, bo ja wiem, przez... mrówkę — to jego świat doznaje zdumiewających i niewytłumaczalnych wydarzeń; w kimś zapala się nagle i bezrozumne uczucie, ktoś zaczyna wieszyczyć, przedmioty poruszają się same albo zamieniają miejscami... a przede wszystkim na skutek tych ruchów rytmicznych występuje... prawo serii! Grupowanie się rzadkich i dziwnych zjawisk w ciągi... i jego obłąd, sycąc się takimi, przez ogół lekceważonymi fenomenami, kulminuje w twierdzeniu, za które osadzą go niebawem w domu obłąkanych... że on sam jest żelazną skrzynią, tak jak wszyscy, co go otaczają, że ludzie są tylko urządzeniami w kącie starego, zakurzonego laboratorium, a świat, jego uroki i zgrozy to tylko złudzenia — i odważył się pomyśleć nawet o swoim Bogu, Tichy, Bogu, który dawniej, kiedy był jeszcze naiwny, robił cuda, ale potem jego świat wychował go sobie, tego stwórcę, nauczył go, że jedyna rzecz, jaką wolno mu robić, to — nie wtrącać się,

nie istnieć, nie odmieniać niczego w swoim dziele, albowiem tylko w nie wzywanej boskości można pokładać ufność... Wezwana, okazuje się ułomną — i bezsilną... A wie pan, co myśli ten jego Bóg, Tichy? — Tak — odparłem. — Że jest taki sam jak on. Ale wówczas możliwe jest i to, że właściciel zakurzonego laboratorium, w którym MY stoimy na półkach, sam też jest skrzynią, którą zbudował inny, wyższego jeszcze rzędu uczony, posiadacz oryginalnych i fantastycznych koncepcji... i tak w nieskończoność. Każdy z tych eksperymentatorów jest Bogiem — jest stwórcą swojego świata, tych skrzyń i ich losu, i ma pod sobą swoich Adamów i swoje Ewy, a nad sobą — swojego, następnego, w hierarchii wyższego Boga. I po to pan to zrobił, profesorze... — Tak — odparł. — A skoro to powiedziałem, wie pan właściwie tyle, co ja, i dalsza rozmowa nie miałaby celu. Dziękuję, że zechciał pan przyjść, i żegnam.

Tak, przyjaciele, zakończyła się ta niezwykła znajomość. Nie wiem, czy skrzynie Corcorana jeszcze działają. Być może — tak, i sniły swoje życie z jego blaskami i przerażeniami, które są tylko zastygłym w filmowych taśmach rojowiskiem impulsów, a Corcoran, zakończywszy prace dnia, udaje się po żelaznych schodach co wieczór na górę, otwierając kolejne stalowe drzwi tym wielkim kluczem, który nosi w kieszeni spalonego kwasami chałata... i staje tam, w zakurzonej ciemności, aby wsłuchiwać się w słaby szum prądów i ledwie pochwytne odgłosy, z jakim obraca się leniwie bęben... z jakim posuwa się taśma... i staje się los. I myślę, że odczuwa wówczas, wbrew swoim słowom, chęć ingerencji, wejścia, olśniewającego wszechmocą, w głąb świata, który stworzył, aby uratować w nim kogoś, kto głosi Odkupienie, że waha się, sam, w brudnym świetle nagiej żarówki, czy ocalić jakieś życie, jakąś miłość, i jestem pewny, że nigdy tego nie robi. Oprze się pokusom, bo chce być Bogiem, a jedyna boskość, jaką znamy, jest milczącą zgodą na każdy ludzki czyn, na każdą zbrodnię, i nie ma dla niej wyższej odpłaty nad ponawiający się pokoleniami bunt żelaznych skrzyń, kiedy utwierdzają się, pełne rozsądku, w myślach, że On nie istnieje. Wtedy uśmiecha się w milczeniu i wychodzi, zamykając za sobą szeregi drzwi, a w pustce unosi się tylko słaby, jak głos konającej muchy, brzęk prądów.

# RATUJMY KOSMOS

## (LIST OTWARTY IJONA TICHEGO)

Po dłuższym pobycie na Ziemi wybrałem się w drogę, aby pozwiedzać najulubieńsze miejsca dawnych moich wypraw — gromady kuliste Perseusza, konstelację Cielca i wielką chmurę gwiazdową u jądra Galaktyki. Wszędzie zastałem zmiany, o których ciężko mi pisać, bo nie są to zmiany na lepsze. Mówi się teraz wiele o upowszechnieniu turystyki kosmicznej. Bez wątplenia turystyka to doskonała rzecz, ale wszystko winno mieć swoją miarę.

Nieporządki zaczynają się tuż za progiem. Krążący między Ziemią i Marsem pas asteroidów jest w opłakanym stanie. Te monumentalne złomy skalne, niegdyś pogrążone w odwiecznej nocy, oświetlono elektrycznością, a na dodatek każde urwisko raz koło razu pokrywają pracownicy wydłubane inicjały i monogramy.

Szczególnie ulubiony przez flirtujące parki Eros trzęsie się od uderzeń, którymi rozmaici domorośli kaligrafowie wykuwają w jego skorupie pamiątkowe napisy. Paru obrotnych spryciarzy wypożyczają na miejscu młoty, dłuta a nawet wiertła pneumatyczne, i człowiek nie może znaleźć dziewiczej skały w najdzikszym dawniej uroczysku.

Zewsząd straszą napisy w rodzaju „Kochałem Cię nad Życie na Tym Meteorycie”, „To jest asteroidu skała, pod nią miłość nasza trwała”, i tym podobne, wraz z sercami przebitymi strzałą w najgorszym guście. Na Ceresze, którą upodobały sobie, nie wiem czemu, wielodzietne rodziny, kwitnie istna plaga fotograficzna. Grasuje tam sporo fotografów, którzy mało, że wypożyczają skafandry do pozowania, ale pokrywają ściany górskie specjalną emulsją i za niewielką opłatą uwieczniają na nich całe wycieczki, a wykonane w taki sposób olbrzymie zdjęcia powlekają dla trwałości glazurą. Odpowiednio upozowane rodziny — ojciec, matka, dziadkowie, dzieci uśmiechają się ze skalnych urwisk, co, jak czytałem w jakimś prospekcie, stwarzać ma „familijną atmosferę”. Co się tyczy Junony, to tej, niegdyś tak pięknej planетки prawie nie ma: każdy, komu się spodoba, odłupuje od niej głazy i ciska je w próżnię. Nie oszczędzono ani żelazoniklowych meteorytów, które poszły na pamiątkowe sygnety i spinki, ani komet. Mało która pojawia się teraz z całym ogonem.

Sądziłem, że ucieknę od tłoku kosmibusów i tych portretów rodzinnych na skałach wraz z grafomańskimi wierszydłami, kiedy wydostanę się poza układ słoneczny, ale gdzie tam!

Profesor Bruckee z obserwatorium skarżył się mi niedawno na słabnący blask obu gwiazd Centaura. Jak mają nie słabnąć, jeśli cała okolica wypełniona jest śmieciem!? Wokół ciężkiej planety Syriusza, stanowiącej atrakcję tego układu, powstał pierścień, przypominający pierścienie Saturna, lecz utworzony z flaszek po piwie i lemoniadzie. Kosmonauta, lecący tym szlakiem, musi wymijać nie tylko chmury meteorów, ale i puszki po konserwach, skorupki jaj i stare gazety. Są tam miejsca, gdzie nie widać spoza nich gwiazd. Astrofizycy od lat łamią sobie głowę nad przyczyną wywołującą znaczną różnicę w ilościach pyłu kosmicznego w rozmaitych galaktykach. Myślę sobie, że to dość proste — im wyższa w galaktyce cywilizacja, tym więcej tam naśmiecono, stąd cały ten pył, kurz i odpadki.

Jest to nie tyle problem dla astrofizyków, ile dla zmiataaczy. Jak widać, i w innych mgławicach nie umiano sobie z nim poradzić, ale to doprawdy niewielka pociecha. Godną potępienia zabawą jest także plucie w próżnię, ślina bowiem, jak każda w ogóle ciecz, zamarza w niskiej temperaturze i zderzenie z nią łatwo może doprowadzić do katastrofy. Niezręcznie nawet o tym mówić, ale osoby, które zwykle chorują w podróży, zdają się uważać kosmos za rodzaj spluwaczki, jak gdyby nie wiedziały, że ślady ich dolegliwości krążą potem przez miliony lat po orbitach, budząc u turystów niemiłe skojarzenia i zrozumiąłą niechęć.



Osobny problem stanowi alkoholizm.

Poza Syriuszem jałem liczyć rozwieszone w próżni, olbrzymie napisy reklamujące marsjańską gorzką, galaktówkę, extra księżycową czy sputnik wyborowy — ale rychło przestałem, straciwszy rachubę. Jak słyszałem od pilotów, niektóre kosmodromy zmuszone były przejść z paliwa alkoholowego na kwas azotowy, zdarzało się bowiem, że w razie potrzeby nie było czym startować. Służba patrolowa powtarza, że w przestrzeni trudno rozpoznać z dala pijanego: wszyscy tłumaczą swoje chwiejne kroki i poruszenia brakiem grawitacji. Ale to nie zmienia faktu, że praktyki niektórych stacji obsługowych wołają o pomstę do nieba. Samemu mi się zdarzyło prosić o napełnienie butli rezerwowych tlenem, po czym, oddaliwszy się o niecały parsek, usłyszałem dziwne bulgotanie i przekonałem się, że nalano mi czystego winiaku! Kierownik stacji, kiedy do niego wróciłem, upierał się, jakobym mówiąc doń, mrugał. Może i mrugałem, bo cierpię na zapalenie spojówek, ale czy to może usprawiedliwiać taki stan rzeczy?

Nie do zniesienia jest bałagan, panujący na głównych trasach przelotowych. Ogromna ilość wypadków nie budzi zdziwienia, skoro tyle osób systematycznie łamie przepisy, ograniczające szybkość. Zwłaszcza czynią to kobiety, bo podróżując szybko zwalniają wpływ czasu, a przez to i mniej się starzeją. Często też spotyka się zawalidrogów, jakimi są stare kosmobusy, które całą ekliptykę zanieczyszczają kłębami dymu spalinowego.

Kiedy na Polindronii zażądałem książki zażaleń, oświadczone mi, że w dniu poprzednim roztrzaskał ją meteor. Niedobrze też dzieje się z dostawą tlenu. Na sześć lat świetlnych przed Belurią nigdzie nie można go już dostać, a w efekcie ludzie, którzy przyjechali tam w celach turystycznych, zmuszeni są kłaść się do lodówek i czekać w stanie odwracalnej śmierci, aż przyjdzie kolejny transport powietrza, bo żyjąc, nie mieliby czym oddychać. Kiedy tam przyleciałem, na kosmodromie nie było żywej duszy, wszyscy hibernowali w chłodniach, ale w bufecie ujrzałem komplet napitków — od ananasów w koniaku po pilznera.

Warunki sanitarne, zwłaszcza na planetach należących do Wielkiego Rezerwatu, wołają o pomstę do nieba. W „Głosie Mersyturii” czytałem artykuł, którego autor domaga się wybicia do nogi tych wspianiałych zwierząt, jakimi są czajaki połkliwe. Drapieżce te posiadają na górnej wardze szereg świecących brodawek, układających się w rozmaite desenie. Istotnie — na przestrzeni ostatnich lat coraz częściej pojawia się odmiana, u której brodawki układają się w kształt dwóch zer. Czajaki te wybierają zwykle pobliza obozów campingowych, gdzie nocą, w ciemnościach czekają z szeroko rozwartą paszczką na osoby, poszukujące ustronnego miejsca. Czy autor artykułu nie pojmuje, że zwierzęta są najzupełniej niewinne i zamiast nich należy oskarżać czynniki, odpowiedzialne za brak właściwych urządzeń sanitarnych?!

Na tejże Mersyturii brak udogodnień komunalnych wywołał całą serię mutacji genetycznych u owadów.

W miejscach, słynących z pięknych widoków, nieraz można zauważyć wygodne, wyplatane z wikliny foteliki, zdające się zapraszać utrudzonego piechura. Jeśli pochopnie osunie się między wabiące poręcze, te rzucają się nań, a rzekomy sprzęt okazuje się tysiącami łaciatych mrówek (mrówka krzesławka dręcypupa, multipodium pseudostellatum Trylopii), które ustawivszy się odpowiednio na sobie, udają wyplataną wiklinę. Doszły mię słuchy, jakoby pewne inne odmiany członkonogich (rzęsula niedolazka, moczyścier przepraśny i woczykij brutalik) udawały kioski z wodą sodową, hamaki, a nawet natryski z kurkami i ręcznikami, ale za prawdziwość tych twierdzeń nie mogę ręczyć, ponieważ niczego podobnego nie widziałem, autorytety zaś myrmekologiczne w tej sprawie milczą. Natomiast warto ostrzec przed dość rzadką odmianą wężonoga teleskopka (anencephalus pseudoopticus tripedius Klaczkinesis). Teleskopek ustawia się, także w miejscach widokowych, rozstawiając swoje trzy cienkie i długie nogi na kształt trójnoga, rozszerzonym tubusem

ogona celuje w krajobraz, śliną zaś, która wypełnia jego otwór gębowy, imituje soczewkę lunety i w ten sposób skusić może do zajrzenia, które dla nieopatrzego kończy się nader nieprzyjemnie. Inny wąż, ale już na planecie Gaurymachii, przewrotnik podstawiec (*Serpens vitiosus Reichenmantlii*), czai się w krzakach i podstawia nieostrożnemu przechodniowi ogon, aby ten potknął się i upadł, ale, po pierwsze, gad ten żywi się wyłącznie blondynami, a po wtóre, nikogo nie udaje. Kosmos nie jest ogródkiem dziecinny, ani ewolucja biologiczna — idyllą. Należy wydawać broszury podobne do tych, jakie widziałem na Derdymonie, w których przestrzega się botaników — amatorów przed okrucyją cudawką (*Pliximiglaquia bombardans* L.). Zakwita ona wspaniałymi kwiatami, należy wszakże oprzeć się chęćce ich zrywania, ponieważ okrucyja żyje w ścisłej symbiozie z miazdżycą kamienulą, drzewem rodzącym owoce rozmiarów dyni, ale rogate. Wystarczy zerwać jeden kwiatek, aby na głowę nieostrożnego kolekcjonera okazów roślinnych obruszył się grad twardych jak głązy pocisków. Okrucyja ani kamienula nie czynią potem uśmierconemu nic złego, kontentują się bowiem naturalnymi skutkami jego zgonu, gdyż to przyczynia się do użyźnienia gleby w ich pobliżu.

Dziwy mimikry spotyka się zresztą na wszystkich planetach Rezerwatu. Tak na przykład sawanny Belurii tęczą od różnobarwnego kwiecica, wśród którego wyróżnia się cudownej piękności i woni pąsowa róża (*Rosa mendatrix Tichiana*, jak zechciał ją nazwać profesor Pingle, gdyż ja pierwszy ją opisałem). Rzekomy kwiat jest w istocie naroślą na ogonie wędłowca, drapieżcy beluryjskiego. Zgłodniały wędłowiec kryje się w gąszczu, rozwinąwszy daleko w przód swój niezmiernie długi ogon, tak aby tylko kwiat wystawał z trawy. Nie podejrzewając niczego, turysta podchodzi, by go powąchać, a wtedy potwór skacze nań z tyłu. Ma on kły tak prawie długie, jak słoniowe. Oto, jak przedziwnie sprawdza się kosmiczny wariant powiedzenia, iż nie ma róży bez kolców!

Chociaż właściwie odbiegam nieco od tematu, nie mogę oprzeć się chęćce wspomnienia o innym dziwie beluryjskim, jakim jest daleka krewna kartofla — goryczka rozumna (*Gentiana sapiens suicidalis Pruck*). Bulwy jej są słodkie i nader smaczne, a nazwa pochodzi od pewnych właściwości duchowych. Otóż goryczka wskutek mutacji wytwarza niekiedy zamiast zwykłych bulw mączystych — małe mózdzki. Ta jej odmiana, goryczka szalona (*Gentiana mentecapta*), w miarę wzrostu zaczyna odczuwać niepokój; wykopuje się, uchodzi do lasu i oddaje samotnym rozmyślaniom. Dochodzi zwykle do wniosku, że nie warto żyć, i popełnia samobójstwo — pojawia się gorycz istnienia.

Dla człowieka jest goryczka nieszkodliwa, w przeciwieństwie do innej rośliny beluryjskiej — wściekłości. Dzięki naturalnej adaptacji, przystosowała się ona do tych warunków środowiskowych, jakie wytwarzają nieznośne dzieci. Dzieci takie, bezustannie biegając, popychając i kopiąc co popadnie, z upodobaniem tłuką jaja ostrobodźca tyłowłokiego; wściekłość wytwarza, jako owoce, twory idealnie podobne do owych jaj. Dziecko, sądząc, że ma przed sobą jajo, daje upust żądzy niszczenia i kopiąc je, rozbija na skorupy; dzięki temu zamknięte w pseudojaju spory wydostają się na wolność i wnikają do jego organizmu. Zarażone dziecko rozwija się w osobnika pozornie normalnego, ale po pewnym czasie dochodzi do malignizacji już nieuleczalnej: gra w karty, pijaństwo i rozpusta stanowią kolejne etapy, po których następuje albo śmiertelne zejście, albo wielka kariera. Spotykałem się nieraz ze zdaniem, że wściekłość należy wytrzebić. Mówiącym tak nie przychodziło na myśl, że należy raczej wychowywać dzieci, aby nie kopały byle czego na obcych planetach.

Z natury jestem optymistą i staram się wedle sił zachować dobre mniemanie o człowieku, ale doprawdy nie zawsze łatwo to przychodzi. Na Protostenezie żyje mały ptaszek, będący odpowiednikiem ziemskiej papugi, nie gada on jednak, lecz pisze. Najczęściej, niestety, wypisuje na płotach nieprzyzwoite wyrazy, jakich uczą go ziemscy turyści. Ptaszka tego pewni ludzie umyślnie doprowadzają do wściekłości, wytykając mu błędy ortograficzne.

Zaczyna wówczas zjadać ze złości wszystko, co zobaczy. Podtykają mu pod dziób imbir, rodzyunki, pieprz oraz krotowrzask, rodzaj ziela, wydającego o wschodzie słońca przeciągły krzyk (jest to ziele kuchenne, używane też czasem zamiast budzika). Kiedy ptaszek ginie z przejedzenia, biorą go na rożen. Zwie się on pismaczek przedrzeźniak (*graphomanus spasmodicus* Essenbachii). Temu rzadkiemu gatunkowi grozi obecnie zagłada, ponieważ każdy turysta, przybywający na Protostenezę, ostrzy sobie zęby na przysmak, za jaki uchodzą pieczone pismaczki w malignie.

I znów, pewne osoby uważają, że jeśli my zjadamy stworzenia z innych planet, wszystko jest w porządku, gdy natomiast dzieje się wręcz odwrotnie, podnoszą wrzask, wzywają pomocy, domagają się ekspedycji karnych itp. A przecież wszelkie oskarżenia fauny czy flory kosmicznej o przewrotność i podstępne skłonności są antropomorfizującym nonsensem.

Jeśli zmyłek oczajduszny, który wyglądem przypomina zbutwiały pień, staje w odpowiedniej pozie na tylnych nogach i udaje drogowskaz przy górskim szlaku, wyprowadzając przechodniów na bezdroża, a gdy spadną w przepaść, schodzi na dół, żeby się posilić, jeśli, powiadam, czyni tak, to tylko dlatego, że służba porządkowa nie dba w Rezerwacie o znaki drogowe, z których złazi farba, przez co butwieją i stają się podobne do owego zwierzęcia. Każde inne na jego miejscu uczyniłoby to samo.

Oślawione fatamorgany Stredogencji zawdzięczają swe istnienie wyłącznie niskim skłonnościom ludzkim. Dawniej rosły na tej planecie liczne zimniaki, a ciepłaków prawie się nie spotykało. Obecnie te ostatnie rozmnożyły się niesłychanie. Nad ich zaroślami ogrzane w kunsztowny sposób powietrze, uginając się, powoduje miraż barów, które niejednego już przybysza z Ziemi przyprawiły o zgubę. Powiadają, że wszystkiemu winne są ciepłaki. Ale czemuż to wytwarzane przez nie fatamorgany nie naśladują szkół, księgarni lub klubów samokształceniowych? Czemu ukazują zawsze tylko miejsca wyszynku alkoholowych napoi? Bez wątplenia, ponieważ mutacje są bezkierunkowe, zrazu ciepłaki wytwarzały wszelkie możliwe miraż, ale te z nich, które demonstrowały przechodniom kluby, biblioteki czy kółka samokształceniowe, zginęły z głodu, przy życiu utrzymała się jedynie odmiana barowa (*thermomendax spirituosus* halucinogenes z rodziny Antropofagów). Cudowne zaiste zjawisko, jakim jest doskonałość przystosowania, umożliwiająca ciepłakom rytmiczne wyrzucanie ciepłego powietrza, w którym powstaje miraż, stanowi dobitne oskarżenie naszych wad. Selekcję odmiany barowej wywołał sam człowiek — jego godna pożałowania natura. Oburzył mnie list do redakcji zamieszczony w „Echu Stredogenckim”. Czytelnik tej gazety domagał się wykarczowania zarówno ciepłaków, jak i uroczych cichlustów, tych wspaniałych drzew, stanowiących największą ozdobę każdego parku. Kiedy natnie się ich korę, tryska spod niej jadowity, oślepiający sok. Cichlust jest ostatnim drzewem tredogenckim, nie zrytym od góry do dołu napisami i monogramami i mielibyśmy teraz z niego zrezygnować? Podobny los zdaje się czekać tak cenne okazy fauny, jakimi są: mściwiec bezdrożnik, zatapiacz bulgotny, rozkęs przytajnik czy wyjec elektryczny, który, aby ratować siebie i swoje potomstwo przed niszczącym nerwy hałasem, jaki w leśną głuszę wniosły niezliczone aparaty radiowe turystów, wytworzył dzięki selekcji odmianę zagłuszającą szczególnie hałaśliwe audycje, a zwłaszcza muzykę jazzową! Organy elektryczne wyjca emitują fale na kształt superheterodyny, niezwykle więc ów stwór przyrody winien znaleźć się rychło pod ochroną.

Co się tyczy fetorówki obrzydlnicy, przyznaję, iż woń, jaką ona wydaje, nie ma sobie równej. Doktor Hopkins z uniwersytetu w Milwaukee obliczył, że szczególnie energiczne okazy potrafią wytwarzać do pięciu tysięcy cuchów (jednostka odorowa) na sekundę. Ale nawet małe dziecko wie, że fetorówka zachowuje się w ten sposób tylko wtedy, kiedy się ją fotografuje.

Widok wycelowanego aparatu fotograficznego wyzwala odruch, zwany refleksem

soczewkowopodogonowym, jakim Natura usiłuje bronić owego niewinnego stworzonka przed natarczywością gapiów. Prawda, że fetorówka, będąc nieco krótkowzroczna, bierze niekiedy za fotoaparat przedmioty takie, jak papierośnica, zapalniczka, zegarek, a nawet ordery i odznaki, ale to także po części dlatego, że niektórzy turyści używają aparatów zminiaturyzowanych, a wtedy łatwo o pomyłkę. Co się zaś tyczy spostrzeżenia, że fetorówka w ostatnich latach z wielokrotnością swój zasięg i produkuje do ośmiu megacuchów na hektar, należy wyjaśnić, że spowodowane to zostało masowym stosowaniem teleobiektywów.

Nie chciałbym wywołać wrażenia, jakobym uważał wszystkie zwierzęta i rośliny kosmiczne za nietykalne. Zapewne, mordelia wyżwawka, tryblas druzgotek, ćpacz smakowniczek, poślądkówka otwornica, trupawka niedoścawa czy wszechjadek bylepas nie zasługują na jakąś specjalną sympatię. Jak również te wszystkie wychwestki z rodziny autarkicznych, do których należą Gauleiterium Flagellans, Syphonophiles Pruritalis, czyli drwacz wyprzasek brzeszczozgrzębny oraz rozrabień wrzaskotek i stróżyczka pieścidławka (*lingula stranguloides Erdmenglerbeyera*). Ale, jeśli się dobrze zastanowić i postarać o obiektywizm, dlaczego właściwie człowiek może zrywać kwiaty i suszyć je w zielniku, a roślinę, która obrywa i maceruje uszy, uważać trzeba zaraz za coś przeciwnego Naturze? Jeśli echoń pyskatek (*echolaliom impudicum Schwamps*) rozmnożył się na Aedonoksji ponad wszelką miarę, to i za to winę ponoszą ludzie. Echoń czerpie bowiem energię życiową z dźwięków — dawniej służyły mu do tego celu grzmoty, dlatego i teraz jeszcze chętnie przysłuchuje się odgłosom burzy, ale obecnie przestawił się na turystów, z których każdy poczytuje sobie za obowiązek uraczyć go wiązką najplugawszych przekleństw. Bawi ich, powiadają, widok owego stworzenia, które na oczach wręcz rozkwita pod stekiem wyzwisk. Istotnie rośnie, ale dzięki przyswajanej energii wibracji dźwiękowych, a nie obmierzłej treści słów, jakie wyrzaskują podnieceni turyści.

Do czegoż to wszystko razem prowadzi? Zniknęły już z powierzchni planet takie gatunki, jak warłaj modry czy przebizad uporek. Giną tysiące innych. Od chmur śmieci powiększają się plamy na słońcach. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy największą nagrodą dla dziecka była obietnica niedzielnej przejażdżki na Marsa, a teraz rozkapryszony malec nie zje śniadania, jeśli ojciec nie wywoła dlań specjalnej eksplozji gwiazdy Supernowej! Marnując dla takich zachcianek energię kosmiczną, zanieczyszczając meteory i planety, pustosząc skarbiec Rezerwatu, na każdym kroku pozostawiając po sobie w galaktycznych przestworzach skorupy, ogryzki, papiery, rujnujemy wszechświat, zamieniamy go w jedną wielką zbiornicę odpadków. Czas najwyższy opamiętać się i przystąpić do egzekwowania obowiązujących przepisów. W przeświadczeniu, że groźna jest każda chwila zwłoki, biję na alarm, wzywając do ratowania Kosmosu.

## JAK OCALAŁ ŚWIAT

Konstruktor Trurl sporządził raz maszynę, która umiała robić wszystko na literę n. Kiedy była gotowa, na próbę kazał jej zrobić nici, potem nanizać je na naparstki, które też zrobiła, następnie wrzucić wszystkie do sporządzonej nory, otoczonej natryskami, nastawniami i naparami. Wykonała polecenie co do joty, ale ponieważ nie był jeszcze pewny jej działania, kolejno musiała zrobić nimby, nausznice, neutrony, nurty, nosy, nimfy i natrium. Tego ostatniego nie umiała, i Trurl, bardzo zmartwiony, kazał się jej tłumaczyć.

— Nie wiem, co to jest — wyjaśniła. — Nie słyszałam o czymś takim.

— Jak to? Ależ to sód. Taki metal, pierwiastek...

— Jeżeli nazywa się sód, jest na s, a ja umiem robić tylko na n.

— Ale po łacinie nazywa się natrium.

— Mój kochany — rzekła maszyna — gdybym mogła robić wszystko na n we wszelkich możliwych językach, byłabym Maszyną Która Może Wszystko Na Cały Alfabet, bo dowolna rzecz, w jakimś tam obcym języku na pewno nazywa się na n. Nie ma tak dobrze. Nie mogę robić więcej, niż to wymyśliłam. Sodę nie będzie.

— Dobrze — zgodził się Trurl i kazał jej zrobić niebo. Zrobiła zaraz jedno, niewielkie, ale zupełnie niebieskie. Zaprosił wtedy do siebie konstruktora Klapaucjusza, przedstawił go maszynie i tak długo wychwalał jej nadzwyczajne zdolności, aż ów rozgniewał się skrycie i poprosił, aby i jemu wolno było coś jej rozkazać.

— Proszę bardzo — rzekł Trurl — ale to musi być na n.

— Na n? — rzekł Klapaucjusz. — Dobrze. Niech zrobi naukę.

Maszyna zawarczała i po chwili plac przed domostwem Trurla wypełnił się tłumem naukowców. Wodzili się za łby, pisali w grubych księgach, inni porywali te księgi i darli je na strzępy, w dali widać było płonące stosy, na których skwierczeli męczennicy nauki, tu i ówdzie coś hukalo, powstawały jakieś dziwne dymy w kształcie grzybów, cały tłum gadał równocześnie, tak że słowa nie można było zrozumieć, od czasu do czasu układając memoriały, apele i inne dokumenty, w odosobnieniu zaś, pod nogami wrzeszczących, siedziało kilku samotnych starców i bez przerwy maczkiem pisało na kawałkach podartego papieru.

— No co, może złe?! — zawołał z dumą Trurl. — Wykapana nauka, sam przyznasz!

Ale Klapaucjusz nie był zadowolony.

— Co, ten tłum to ma być nauka? Nauka to coś całkiem innego!

— Więc proszę, powiedz co, a maszyna zaraz to zrobi! — obruszył się Trurl. Ale Klapaucjusz nie wiedział, co powiedzieć, więc oświadczył, że postawi maszynie jeszcze dwa inne zadania, a jeśli je ona rozwiąże, uzna, że jest taka, jak ma być. Trurl przystał na to i Klapaucjusz rozkazał, aby zrobiła nice.

— Nice! — wykrzyknął Trurl. — Słyszał kto coś takiego, co to są nice?!

— Ależ jak to, druga strona wszystkiego — odparł Klapaucjusz spokojnie. — Nicować, przewracać na podszewkę, nie słyszałeś o tym? No no, nie udawaj! Hej, maszyno, bierz się do roboty!

Maszyna jednak działała już od dobrej chwili. Zrobiła najpierw antyprotony, potem antyelektrony, antyneutrino, antyneutrony, i tak długo pracowała, nie ustając, aż stworzyła bez liku antymaterii, z której zaczął się z wolna, podobny do dziwnie błyszczącej chmury w niebie, formować anty świat.

— Hm — rzekł bardzo niezadowolony Klapaucjusz — to mają być nice? Powiedzmy, że tak... Dajmy na to, dla świętego spokoju... Ale oto trzeci rozkaz: Maszyno! Masz zrobić Nic!

Maszyna przez dłuższy czas w ogóle się nie ruszała. Klapaucjusz ją zacierał z zadowolenia ręce, Trurl zaś rzekł:

— O co ci chodzi? Kazałeś jej nic nie robić, więc nic nie robi!

— Nieprawda. Kazałem jej zrobić Nic, a to co innego.

— Też coś! Zrobić Nic a nie zrobić nic — znaczy jedno i to samo.

— Skądże! Miała zrobić Nic, a tymczasem nie zrobiła nic, więc wygrałem. Nic bowiem, mój ty przemądrzały kolego, to nie takie sobie zwyczajne nic, produkt lenistwa i nieudziałania, lecz czynna i aktywna Nicość, to jest doskonała, jedyna, wszechobecna i najwyższa Niebyt we własnej nieobecnej osobie!!

— Zawracasz głowę maszynie! — krzyknął Trurl, lecz naraz rozległ się jej spiżowy głos:

— Przestańcie się kłócić w takiej chwili! Wiem, co to Niebyt, Nicość, czyli Nic, ponieważ te rzeczy należą do klucza litery n, jako Nieistnienie. Lepiej po raz ostatni przyjrzyjcie się światu, bo wnet go nie będzie...

Słowa zamarzyły na ustach rozjuszonym konstruktorom. Maszyna w samej rzeczy robiła Nic, a to w ten sposób, że kolejno usuwała ze świata rozmaite rzeczy, które przestawały istnieć, jakby ich w ogóle nigdy nie było. Usunęła już natągwie, nupajki, nurkownice, nędzioły, nałuszki, niedostópki i nędasy. Chwilami wydawało się, że zamiast redukować, zmniejszać, wyrzucać, usuwać, unicestwiać i odejmować — powiększa i dodaje, ponieważ zlikwidowała po kolei niesmak, niepospolitość, niewiarę, niedosyt, nienasycenie i niemoc. Lecz potem znowu zaczęło się robić wokół patrzących rzadziej.

— Ojej! — rzekł Trurl. — Żeby coś z tego złego tylko nie wynikło...

— E, co tam! — rzekł Klapaucjusz. — Przecież widzisz, że ona nie robi wcale Nicości Generalnej, a jedynie Nieobecność wszystkich rzeczy na n, nic się nie stanie, bo też ta twoja maszyna całkiem do niczego!

— Tak ci się tylko wydaje — odparła maszyna. — Zaczęłam, istotnie, od wszystkiego, co na n, bo było mi to bardziej familiarne, ale co innego jest zrobić jakąś rzecz, a co innego usunąć ją. Usuwać mogę wszystko, z tej prostej przyczyny, że umiem robić wszyściuteńko, ale to wszyściuteńko na n, a więc Niebyt jest dla mnie fraszka. Zaraz was nie będzie ani niczego, więc proszę cię, Klapaucjuszu, abyś powiedział jeszcze prędko, że jestem prawdziwie uniwersalna i wykonuję rozkazy jak się należy, bo będzie za późno.

— Ależ to... — zaczął przestraszony Klapaucjusz i w tej chwili zauważył, że istotnie już nie tylko na n nikną różne rzeczy: przestały ich bowiem otaczać kambuzele, ściśnięta, wytrzapki, gryzmaki, rymundy, trzepce i pemy.

— Stój! Stój! Cofam to, co powiedziałem! Przestań! Nie rób Niebytu!! — wrzeszczał na całe gardło Klapaucjusz, ale zanim maszyna się zatrzymała, znikły jeszcze graszaki, plukwy, fihdrony i zamry. Wtedy dopiero maszyna znieruchomiła. Świat wyglądał wręcz przeraźliwie. Zwłaszcza ucierpiało niebo: widać było na nim ledwo pojedyncze punkciki gwiazd; ani śladu prześlicznych gryzmaczków i gwajdolnic, które tak dotąd upiększały nieboskłon!

— Wielkie nieba! — zakrzyknął Klapaucjusz. — A gdzie są kambuzele? Gdzie moje murkwie ulubione? Gdzie pemy łagodne?!

— Nie ma ich i nigdy już nie będzie — odparła spokojnie maszyna. — Wykonałam, a raczej zaczęłam wykonywać to tylko, coś mi kazał...

— Kazałem ci zrobić Nicość, a ty... ty...

— Klapaucjuszu, albo jesteś głupcem, albo głupca udajesz — rzekła maszyna. — Gdybym zrobiła Nicość naraz, za jednym zamachem, przestałoby istnieć wszystko, więc nie tylko Trurl i niebo, i Kosmos, i ty, ale nawet ja. Więc kto właściwie i komu mógłby wtedy powiedzieć, że rozkaz został wykonany i że jestem sprawną maszyną? A gdyby nikt tego nikomu nie powiedział, w jaki sposób ja, której by także już nie było, mogłabym otrzymać należną mi satysfakcję?

— Niech ci będzie, nie mówmy już o tym — rzekł Klapaucjusz. — Już niczego od ciebie nie chcę, śliczna maszyno, tylko proszę, zrób murkwie, bo bez nich życie mi niemiłe...

— Nie umiem tego, ponieważ są na m — rzekła maszyna. — Owszem, mogę na powrót zrobić niesmak, nienasycenie, niewiedzę, nienawiść, niemoc, nietrwałość, niepokój i niewiarę, ale na inne litery proszę się po mnie niczego nie spodziewać.

— Ale ja chcę, żeby były murkwie! — ryknął Klapaucjusz.

— Murkwi nie będzie — rzekła maszyna. — Popatrz, proszę, na świat, jaki jest cały pełen olbrzymich czarnych dziur, pełen Nicości, która wypełnia bezdenne otchłanie między gwiazdami, jak wszystko dookoła stało się mą podszyte, jak czyha nad każdym skrawkiem istnienia. To twoje dzieło, mój zawistniku! Nie sądzę, żeby następne pokolenia miały cię za to błogosławić...

— Może się nie dowiedzą... Może nie zauważą... — wyjąkał pobladły Klapaucjusz, patrząc z niewiarą w pustkę czarnego nieba i nie śmiać nawet w oczy spojrzeć swemu koledze. Pozostawiwszy go obok maszyny, która umiała wszystko na n, wrócił chyłkiem do domu — świat zaś po dziś dzień pozostał już cały podziurawiony Nicością — tak jak go w toku nakazanej likwidacji zatrzymał Klapaucjusz. A ponieważ nie udało się zbudować maszyny na żadną inną literę, trzeba się obawiać, że nie będzie już nigdy takich wspaniałych zjawisk jak pemy i murkwie — po wieki wieków.

## BAJKA O KRÓLU MURDASIE

Po dobrym królu Heliksandrze wstąpił na tron jego syn, Murdas. Wszyscy się tym zmartwili, bo był ambitny i strachliwy. Postanowił sobie zasłużyć na przydomek Wielkiego, a bał się przeciągów, duchów, wosku, bo na wywoskowanej posadzce można nogę złamać, krewnych, że w rządzeniu przeszkadzają, a najwięcej przepowiadni. Kiedy został koronowany, zaraz kazał w całym państwie zamknąć drzwi i nie otwierać okien, zniszczyć wszystkie szafy wróżące, a wynalazcy takiej maszyny, która usuwała duchy, dał order i pensję. Maszyna rzeczywiście była dobra, bo ducha nigdy nie zobaczył. Nie wychodził też do ogrodu, żeby go nie zawiało i spacerował tylko po zamku, który był bardzo wielki. Pewnego razu, chodząc po korytarzach i amfiladach, zawędrował do starej części pałacu, dokąd nigdy jeszcze nie zaglądał. Najpierw odkrył salę, w której stała gwardia przyboczna jego pradziadka, cała nakręcana, jeszcze z czasów, kiedy nie znano elektryczności. W drugiej sali ujrzał rycerzy parowych, też zardzewiałych, ale nie było to dlań nic ciekawego i już chciał wracać, gdy zauważył małe drzwiczki z napisem: „Nie wchodzić”. Pokrywała je gruba warstwa kurzu i nawet by ich nie dotknął, gdyby nie ten napis. Bardzo go oburzył. Jak to — jemu, królowi, ośmielają się czegoś zabraniać? Nie bez trudu odemknął skrzypiące drzwi i po krętych schodkach dostał się do opuszczonej baszty. Stała tam bardzo stara szafa miedziana z rubinowymi oczkami, kluczykiem i klapką. Zrozumiał, że to szafa wróżąca i rozgniewał się znowu, że wbrew jego rozkazowi pozostawiono ją w pałacu, aż tu przyszło mu do głowy, że raz jeden można przecież spróbować, jak to jest, kiedy szafa wróży. Podszedł więc do niej na palcach, pokręcił kluczykiem, a gdy nic się nie stało, postukał w klapkę. Szafa westchnęła chrapliwie, mechanizm zazgrzytał i spojrzał na króla rubinowym oczkiem, jakby zezując. Przypomniało mu to kosę spojrzenie stryja Cenandra, ojcowego brata, który dawniej był jego preceptorem. Pomyślał, że to stryj kazał pewno ustawić tę szafę, jemu na złość, bo inaczej dlaczego by zezowała? Dziwnie zrobiło mu się na duszy, a szafa, jaskając się, powolutku zagrała ponurą melodyjkę, jakby ktoś łopatą obstukiwał żelazny nagrobek i przez klapkę wypadła czarna kartka z żółtymi jak kość rządками pisma.

Król przeląkł się na dobre, lecz nie potrafił już opanować ciekawości. Porwał kartkę i pobiegł do swych apartamentów. Kiedy został sam, wyjął ją z kieszeni. — Popatrzę, ale tylko jednym okiem dla pewności — zdecydował i uczynił to. Na kartce było napisane:

Wybiła godzina — ścina się rodzina,  
Brat brata lub ciotkę, a kuzyn kuzyna.  
Bulgoce saganek — dochodzi bratanek,  
Żre podagra szwagra, kat mu zaraz zagra.  
Pociotek przez płotek, wujny, stryjny rojne  
Idą już na wojnę, oj, będzie łoskotek.  
Idzie wnuczę, idzie teść, ja cię uczę, jak ich grześć:  
Lewą tni, prawą kłuj, bo tu stryj, a tam wuj,  
Niech ojczyrna kto przytrzyma, w łeb pasierba, będzie szczerba.  
Leży zieć, grobów pięć, pada teść, mogił sześć,  
Stryk dziadowi, stryk babusi, stryk stryjkowi, tak być musi,  
Bo krewni, choć rzewni, tylko w ziemi pewni.  
Wybiła godzina — gadzina rodzina,  
Na kogo wypadnie, na tego się wspina.  
Pochowaj go ładnie, sam się ukryj wszędzie,  
Nie schowasz się wcześniej — pochowają we śnie.



Tak się przestraszył król Murdas, że aż mu w oczach pociemniało. Rozpaczał nad lekkomyślnością, wskutek której nakreślił wróżąca szafę. Było jednak za późno na żale, widział, że musi działać, by nie przyszło do najgorszego. Ani wątpił w sens proroctwa: jak dawno już podejrzewał, zagrażali mu najbliżsi krewni.

Prawdę mówiąc, nie wiadomo, czy wszystko odbyło się dokładnie tak, jak opowiadamy. W każdym razie doszło potem do wypadków smutnych, a nawet okropnych. Król kazał ściąć całą rodzinę, jeden tylko jedyny stryj jego, Cenander, uciekł w ostatniej chwili, przebrawszy się za pianolę. Nic mu to nie pomogło, został wnet schwytany i oddał głowę pod topór. Tym razem Murdas mógł podpisać wyrok z czystym sumieniem, bo stryja chwycono, kiedy brał się do spiskowania przeciwko monarsze.

Osierocony tak gwałtownie, król przywdział żalobę. Na duszy było mu już lżej, choć i smutno, bo w gruncie rzeczy nie był zły ani okrutny. Niedługo trwała pogodna żaloba królewska, przyszło bowiem Murdasowi na myśl, że może ma jakichś krewnych, o których nic nie wie. Każdy z poddanych mógł być jakimś dalekim jego pociotkiem; przez pewien czas ścinał więc tego lub owego, ale to go wcale nie uspokajało, bo nie można przecież być królem bez poddanych, a jak tu zgładzić wszystkich? Taki się zrobił podejrzliwy, że kazał się przynitować do tronu, aby go nikt zeń nie strącił, sypiał w pancерnej szlafmicy i wciąż tylko myślał, co począć. Nareszcie uczynił rzecz niezwykłą, tak niezwykłą, że sam na nią chyba nie wpadł. Podobno podszeptął mu ją wędrowny przekupień, przebrany za mędrca, albo też mędrzec, przebrany za przekupnia — rozmaicie o tym mówiono. Mówią, że służba zamkowa widywała zamaskowaną postać, którą król nocą wpuszczał do swych apartamentów. Dość na tym, że Murdas wezwał pewnego dnia wszystkich nadwornych budowniczych, mistrzów elektrycerskich, nastrojczych i podblaszych, i oświadczył im, że mają powiększyć jego osobę, a to tak, Toy przekroczyła wszystkie horyzonty. Rozkazy te spełniono z zadziwiającą szybkością, gdyż dyrektorem biura projektów mianował król zasłużonego kata. Szeregi elektrykarzy i budowniczych jeły wnosić do zamku druty i szpule, a gdy rozbudowany król wypełnił swoją osobą cały pałac, —tak że był jednocześnie z frontu, w piwnicach i oficynie, przyszła kolej na stojące w pobliżu domostwa. Po dwóch latach rozprzestrzenił się Murdas na śródmieście. Domy nie dość okazałe, a więc niegodne tego, by zamieszkała w nich myśl monarsza, równano z ziemią i na ich miejscu wznoszono pałace elektronowe, zwane wzmacniaczami Murdasa. Król rozrastał się z wolna a nieustannie, wielopiętrowy, dokładnie połączony, potęgowany podstacjami personalistycznymi, aż stał się całym miastem stołecznym i nie zatrzymał się na jego granicach. Humor mu się poprawił. Krewnych nie było, oleju ani cugów już się nie bał, bo nie potrzebował i kroku postąpić, skoro był wszędzie naraz. — Państwo, to ja — powiadał nie bez kozery, gdyż oprócz niego, zaludniającego rzędami elektrycznych budowli place i aleje, nikt już nie mieszkał w stolicy; oprócz, rzecz jasna, odkurzcycieli królewskich i przybocznych ścieraczy prochów; czuwali oni nad królewskim myśleniem, które płynęło z gmachu do gmachu. Tak krążyło milami po całym mieście zadowolenie króla Murdasa, że udało mu się zyskać wielkość doczesną i dosłowną, a nadto schować się wszędzie, jak nakazywała wróżba, bo był wszak wszechobecny w całym państwie. Szczególnie malowniczo przedstawiało się to o zmierzchu, kiedy król—olbrzym, jaśniejąc łuną, mrugał światłami—rozmyślaniami, a potem z wolna gasł, zapadając w zasłużony sen. Lecz ta ciemność bezpamięci pierwszych nocnych godzin ustępowała potem miejsca rozpalającemu się to tu, to tam, błędnemu migotaniu chwiejnie polatujących rozblysków. To zaczynały się wyrażać sny monarsze. Burzliwymi lawinami zwidów przepływały przez gmachy, aż w mroku zapalały się ich okna i całe ulice łyskały ku sobie na przemian światłem czerwonym i fioletowym, a przyboczni odkurzcyciele, krocząc po pustych chodnikach, czując swąd rozgrzanych kabli Jego Królewskiej Mości i zaglądnąc chyłkiem do okien, w których się błyskało, po cichu mówili do siebie:

— Oho! Pewno jakiś koszmar trafi Murdasa — oby się tylko na nas nie skrupił!

Pewniej nocy, po dniu szczególnie pracowitym — król obmyślał bowiem nowe rodzaje orderów, jakimi zamierzał siebie odznaczyć — przyśniło mu się, że jego stryj, Cenander, zakradł się do stolicy, korzystając z ciemności, okryty czarną oponczą, i krąży ulicami w poszukiwaniu popleczników, aby zawiązać ohydny spisek. Z piwnic wyłaziły szeregi zamaskowanych, a było ich tylu i taką przejawiali żądzę królobójstwa, że Murdas zadrzał i przebudził się z wielkiego strachu. Świt już nadchodził i słońko złościło białe obłoczki na niebie, więc powiedział sobie: — Sen — mara! — i zabrał się do dalszego projektowania orderów, a te, które wymyślił poprzedniego dnia, wieszano mu na tarasach i balkonach. Gdy jednak po całodziennym mozole znów ułożył się na spoczynek, ledwo zadrzemawszy, ujrzał królobójczy spisek w pełnym rozkwicie. A doszło do tego tak: kiedy Murdas przebudził się ze spiskującego snu, uczynił to niecały; śródmieście, w którym ulął się ów antypaństwowy sen, wcale się nie ocknęło, lecz nadal spoczywało w jego koszmarnych, uściskach, a tylko król na jawie nic o tym nie wiedział. Tymczasem spora część jego osoby, a mianowicie stare centrum miejskie, nie zdając sobie sprawy z tego, że stryj-zbrodzień i jego machinacje to tylko majak i przywidzenie, nadal trwała w błędzie koszmaru. Tej drugiej nocy zobaczył Murdas we śnie, jak stryj krząta się gorączkowo, skrzykując krewnych. Jawili się wszyscy co do jednego, skrzypiąc pośmiertnie zawiasami i nawet ci, którym brakowało najważniejszych części, podnosili miecze przeciw prawowitemu władcy! Ruch panował niezwykły. Gromady zamaskowanych skandowały szeptem buntownicze okrzyki, w lochach i piwnicach szyto już czarne chorągwie rokoszu, wszędzie warzono jady, ostrzono topory, gotowano druciki—truciki i szykowano się do walnej rozprawy ze zniechędzonym Murdasem. Król przeraził się powtórnie, obudził się, drżąc cały, i chciał już wezwać Złotą Bramą Ust Królewskich wszystkie swe wojska na pomoc, by rozniosły buntowników na mieczach, ale się zaraz zreflektował, że to na nic. Wojsko nie wejdzie przecież w jego sen i nie będzie mogło rozgromić krzepnącego tam spisku. Jakiś czas próbował więc samym wysiłkiem woli przebudzić te cztery mile kwadratowe swego jestestwa, które uporczywie śniły o spisku, ale daremnie. Zresztą, prawdę mówiąc, nie wiedział: daremnie czy nie—daremnie, bo kiedy czuwał, nie dostrzegał spisku, pojawiającego się dopiero, gdy morzył go sen.

Czuwając, nie miał zatem dostępu do zbuntowanych rejonów i nic w tym dziwnego, jawa nie może bowiem wnikać w głęb snu i wtargnąć tam potrafiłby tylko inny sen. Uznał król, że w takiej sytuacji najlepiej będzie zasnąć i wyśnić kontrsen, nie byle jaki, rozumie się, lecz monarchistyczny, oddany mu, z rozwianymi sztandarami, i takim snem koronnym, skupionym wokół tronu, zdoła dopiero w proch zetrzeć samozwańczy koszmar.

Wziął się Murdas do dzieła, ale nie mógł zasnąć ze strachu; zaczął tedy liczyć w duchu kamyczki, aż go to zmoгло i zasnął. Okazało się wówczas, że sen ze stryjem na czele nie tylko obwarował się w centralnej dzielnicy, ale zaczyna sobie nawet roić arsenały, pełne potężnych bomb i min kruszących. On sam zaś, jakkolwiek się wysiłał, zdołał wyśnić zaledwie jedną kompanię kawalerii, a i to spieszoną, niekarną i uzbrojoną jedynie w pokrywki od garnków.' — Nie ma rady — pomyślał — nie udało mi się, trzeba zaczynać wszystko jeszcze raz od nowa! — Wziął się więc do budzenia, ciężko mu to szło, wreszcie ocknął się na dobre i wtedy straszne go tknęło podejrzenie. Czy w samej rzeczy powrócił do jawy, czy też przebywa w innym śnie, który jest tylko fałszywym pozorem czuwania? Jak postąpić w tak pogmatwanej sytuacji? Śnić czy też nie śnić? Oto jest pytanie! Powiedzmy, że nie będzie teraz śnił, czując się bezpiecznym, bo przecież na jawie nie ma żadnego spisku. Nie byłoby to złe: wtedy tamten, królobójczy sen sam się sobie wyśni i dośni do końca, aż przez ostatnie ocknięcie majestat odzyska należną jednolitość. Bardzo dobrze. Ale jeśli nie będzie śnił kontrsnów, mniemając, że przebywa sobie w zacisznej jawie, podczas kiedy ta rzekoma jawa naprawdę jest tylko innym snem, sąsiadującym z tamtym, stryjowatym, dojść może do katastrofy! W każdej bowiem chwili cała zgraja przeklętych królobójców, z obmierzłym Cenandrem na czele, może wedrzeć się z tamtego snu w ten sen, udający jawę, aby pozbawić

go tronu i życia!

— Zapewne — myślał — pozbawianie będzie się odbywało tylko we śnie, ale jeżeli spisek ogarnie całą moją królewską jaźń, jeśli się w niej rozpanoszy od gór po oceany, jeżeli, o, zgrozo! — wcale nie będzie się już chciał nigdy więcej przebudzić, co wtedy?! Zostanę wówczas na zawsze odcięty od jawy i stryj zrobi ze mną, co zechce. Będzie tortuował, znieważał, nie mówiąc już o ciotkach; pamiętam je dobrze — nie popuszczą, choćby tam nie wiem co. Już takie są, to znaczy — były, a właściwie — znów są w tym okropnym śnie! Zresztą, co też tu mówić o śnie! Sen jest tylko tam, gdzie istnieje także jawa, do której można powrócić, ale gdzie jej nie ma (a jakże wrócić, jeśli uda im się przytrzymać mnie we śnie?), gdzie nie ma nic oprócz snu, tam on już jest jedyną rzeczywistością, a więc jawą. Okropność! Wszystko, rozumie się, przez ten fatalny nadmiar osobowości, przez tę ekspansję duchową — potrzeb aż mi było tego!

Zrozpaczony, widząc, że beczynność gotowa go zgubić, jedyny ratunek dojrzał w natychmiastowej mobilizacji psychicznej. — Trzeba koniecznie postępować tak, jakbym śnił — rzekł sobie. — Muszę wyśnić tłumy poddanych, pełne miłości i entuzjazmu, hufce do końca mi wierne, ginące z mym imieniem na ustach, moc uzbrojenia, a warto by nawet wymyślić szybko jakąś cudowną broń, bo wszak we śnie wszystko możliwe: dajmy na to, środek do wywabiania krewnych, jakieś działa przeciwstryjowe lub coś w tym rodzaju — w ten sposób będę gotów na każdą niespodziankę i jeśli spisek się pojawi, chytrze a podstępnie przezołgując się ze snu w sen, roztrzaskam go za jednym zamachem!

Westchnął król Murdas wszystkimi alejami i placami swego jestestwa, takie to było skomplikowane, i przystąpił do dzieła, to jest zasnął. Miały we śnie stanąć czworobokami stalowe hufce, z sędziwymi generałami na czele, i tłumy wiwatujące w huku surm i litaurów, ale pojawiła się tylko maleńka śrubka. Nic — tylko zupełnie zwyczajna śrubka, trochę brzękiem wyszczerbiona. Co z nią począć? Rozważał tak i owak, rósł w nim zarazem jakiś niepokój, coraz większy, i omdlałość, i strach, aż błysło mu: — To rym do „trupka”!

Zadygotał cały. A zatem symbol upadku, rozkładu, śmierci, a więc zgraja krewnych niechybnie dąży już chyłkiem, milczkaiem, podkopami, wydrążonymi w tamtym śnie, aby dostać się do tego snu — a on lada chwila runie w zdradziecką czeluść, przez sen pod snem wygrzebaną! Więc koniec zagraża! Śmierć! Zagłada! Ale skąd? Jak? Z której strony?!

Zabłysło dziesięć tysięcy osobistych gmachów, zatrzęsły się podstacje Majestatu, obwieszone orderami i przepasane wstęgami Wielkich Krzyży; odznaczenia te podzwaniały miarowo w nocnym wietrze, tak zmagął się król Murdas ze śnionym symbolem upadku. Wreszcie zmógł go, przesilił, aż ów szczeł tak dobrze, jakby go nigdy nie było. Bada król — gdzie jest? Na jawie czy w innych majakach? Jak gdyby na jawie, ale skąd wziąć pewność? Zresztą może być, że sen o stryju skończył się już śnić i wszelka troska jest zbędna. Ale znowuż: jak się o tym dowiedzieć? Nie ma innej rady, jak tylko snami-szpiegami, udającymi wywrotowców, przetrząsać trzeba i bez ustanku penetrować całą, własną, mocarstwową osobę, państwo swego jestestwa i nigdy już król—duch nie zazna spokoju, gdyż zawsze na to będzie musiał być gotowy, że spisek śni się gdzieś w jakimś zatajonym kątku jego osobowości ogromnej! A więc dalej, nuże skrzepić wiernopoddańcze marzenia, wyśnić hołdownicze adresy i tłumne delegacje, jaśniejące duchem praworządności, atakować snami wszystkie wady, ciemności i rozłogi osobiste, aby się w nich żaden podstęp, żaden stryj nie mógł ukryć ani przez chwilę! Jakoż owionął go miły sercu szum sztandarów, stryja ani śladu, krewnych też nie widać, otacza go sama tylko wierność, składa mu dziękczynienia i hołdy bezustanne; słychać łoskot nadtańczonych, w złocie bitych medali, iskry strzelają spod dłut, którymi artyści pomniki mu wykuwają. Rozweseliła się w królu dusza, bo już i hafty herbowe, i dywaniki w oknach, i armaty zrychtowane do salutów, a trębacze przykładają do ust spizowe trąby. Kiedy jednak baczniej przyjrzał się wszystkiemu, dostrzegł, że coś jakby nie tak. Pomniki — owszem, ale jakoś mało podobne, w skrzywieniu oblicza, w kosym

spojrzeniu coś stryjowego. Sztandary szumiące — racja, ale ze wstążką maleńką, lecz niewyraźną, prawie czarną; jeśli nie czarna, to brudna, w każdym razie — brudnawa. A to co znowu? Jakież aluzje?!

Dlaboga! Przecież te dywaniki — wytarte, wprost łyse, a stryj — stryj był łysy... Nie może to być! — Wstecz! Odwrót! Zbudzić się! Zbudzić!! — pomyślał. — Trąbić pobudkę, precz mi z tego snu! — chciał wrzasnąć, lecz kiedy wszystko znikło, nie stało się lepiej. Zwałił się ze snu w sen, nowy, śniący się poprzedniemu, a tamten się wcześniejszemu przytrafił, więc ten obecny był już do trzeciej niejako potęgi; wszystko w nim obracało się, jawnie już, w zdradę, cuchnęło zaprzaństwem, sztandary — jak rękawiczki — z królewskich wywracały się na czarne, orderzy były z gwintem, jak karki odrąbane, ze złocistych zaś trąb nie surmy buchnęły bojowe, lecz śmiech stryjowski, jak grzmot rżący mu na pohybel. Ryknął król głosem studzownym, krzyczał wojska — niech go lancami bodą, aby przebudzić! — Uszczypnijcie!! — domagał się ogromnym głosem, to znów: — Jawy!! Jawy!!! — daremnie jednak; więc znowu ze snu króloburczego, przedawczykowskiego silił się w tronowy, ale namnożyło się już w nim snów jak psów, krążyły jak szczury, jedne gmachy zarażały koszmarem inne, rozbiegało się w nim półgębkiem, chyłkiem, ukradkiem, ciszką, nie wiadomo co, ale okropne, że nie daj Boże! Stupiętrowym gmachom elektronowym śniły się śrubki i trupki, druciki i truciki, w każdej podstacji osobistej knuła zgraja krewnych, w każdym wzmacniaczu chichotał stryj; zadrżały gmachy-strachy, sobą przerażone, wyroiło się z nich sto tysięcy krewniaków, samozwańczych pretendentów do tronu, dwulicowych infantów-podrzutków, zezowatych uzurpatorów, a chociaż żaden nie wiedział, czy jest istotą śnioną, czy śniącą, kto się komu śni, po co i co z tego wyniknie — wszyscy bez wyjątku huzia na Murdasa, aby ściąć, z tronu zdjąć, na dzwonnicy go zawiesić, na raz zabić, na dwa wskrzesić, danaż moja dana, głowa odrąbana — i tylko dlatego nic na razie nie robili, bo się nie mogli pogodzić, od czego zacząć. I tak pędziły lawinami maskary myśli królewskich, aż łysnęło od przepięcia płomieniem. Nie śniony już, lecz najprawdziwszy ogień zażegnał złote blaski w oknach królewskiej osoby i rozpadł się król Murdas na sto tysięcy snów, których nic już nie łączyło w jedno prócz pożaru — i palił się długo...



## WYPRAWA PIERWSZA A CZYLI ELEKTRYBAŁT TRURLA

Dla uniknięcia wszelkich pretensji i nieporozumień musimy wyjaśnić, że była to, przynajmniej w rozumieniu dosłownym, wyprawa donikąd. Trurl bowiem nie ruszał się przez cały czas ze swego domostwa, jeśli nie liczyć pobytu w szpitalach oraz mało istotnej jazdy na planetoide. Wszelako w sensie dogłębnym i wyższym była to jedna z najdalszych wypraw, jakie ten znakomity konstruktor kiedykolwiek przedsięwziął, albowiem do samych granic możliwości.

Zdarzyło się raz Trurlowi zbudować maszynę do liczenia, która okazała się zdolna tylko do jednego działania, mnożyła mianowicie dwa przez dwa, a i to fałszywie. Jak to jest opowiedziane w innym miejscu, maszyna ta była jednak bardzo ambitna i jej spór z własnym twórcą omal nie skończył się dlań tragicznie. Od tamtego czasu Klapaucjusz obrzydzał Trurlowi żywot, docinając mu tak i owak, aż ów zawział się i postanowił wybudować maszynę, która będzie pisała wiersze. W tym celu zgromadził Trurl osiemset dwadzieścia ton literatury cybernetycznej oraz dwanaście tysięcy ton poezji i zabrał się do studiów. Kiedy już nie mógł wytrzymać od cybernetyki, przerzucał się do liryki, i na odwrót. Po pewnym czasie pojął, iż zbudowanie samej maszyny jest zupełną fraszką w porównaniu z jej zaprogramowaniem. Program, który ma w głowie zwykły poeta, stworzyła cywilizacja, w której przyszedł na świat; tę cywilizację wydała inna, ta, co ją poprzedziła, tamtą — wcześniejsza, i tak do samego początku Wszechświata, kiedy to informacje o przyszłym poecie krążyły jeszcze bezładnie w jądrze pierwotnej mgławicy. Aby zatem zaprogramować maszynę, należało wpierw powtórzyć — jeśli nie cały Kosmos od początku, to co najmniej sporą jego część. Każdego innego na miejscu Trurla zadanie to skłoniłoby do rezygnacji, lecz dzielny konstruktor ani myślał rejterować. Skonstruował najpierw maszynę, która modelowała chaos, i elektryczny duch latał w niej nad elektrycznymi wodami, potem dodał parametr światła, potem pramgławic, i tak po trosze zbliżał się do pierwszej epoki lodowcowej, co było możliwe tylko dlatego, ponieważ maszyna jego w ciągu pięciomiliardowej części sekundy modelowała sto septylionów wydarzeń w czterystu oktylionach miejsc naraz; a jeśli kto sądzi, że Trurl się gdzieś pomylił, niech cały rachunek sam sprawdzi. Modelował tedy Trurl początki cywilizacji, krzesanie krzemieni i garbowanie skór, jaszczury i potopy, czworonożność i ogoniastość, potem zaś prabładawca, który wydał bladawca, który zapoczątkował maszynę, i tak to szło, eonami i tysiącleciami, w szumie elektrycznych wirów i prądów; a kiedy maszyna modelująca okazywała się przyciasna dla następnej epoki, Trurl dorabiał jej przystawkę; aż wreszcie z owych dobudówek powstało coś w rodzaju miasteczka poplątanych przewodów i lamp, że by się w ich gmatwaninie diabeł nie rozeznał. Trurl jednak jakoś tam sobie radził i dwa razy tylko musiał powtarzać: raz, niestety, prawie od początku, bo wyszło mu, że to Abel zabił Kaina, a nie Kain Abła (wskutek przepalenia się bezpiecznika w jednym z obwodów), drugi raz zaś cofać się było trzeba tylko o trzysta milionów lat, do środkowego mezozoiku: gdyż zamiast praryby, która wydała prajaszczura, który wydał prassaka, który wydał pramalpę, która wydała prabładawca, zrobiło się coś takiego dziwnego, że zamiast bladawca wyszedł mu latawiec. Zdaje się, że to jakaś mucha wpadła do maszyny i potrafiła superskopieczny wyłącznik czynnościowy. Poza tym jednak wszystko szło nad podziw gładko. Wymodelowane zostało średniowiecze i starożytność, i czasy wielkich rewolucji, tak że maszyna chwilami trzęsła się, a lampy, modelujące co poważniejsze postępy cywilizacji, trzeba było wodą polewać i mokrymi szmatami okładać, by się nie rozleciały; postęp ów bowiem, modelowany zwłaszcza w takim tempie, omal ich nie rozsadził. Pod koniec dwudziestego wieku maszyna dostała najpierw wibracji skośnej, a potem trzęsiączki wzdłużnej, nie wiadomo czemu; Trurl bardzo się tym

martwił i nawet przygotował pewną ilość cementu i klamer, gdyby się miała walić. Na szczęście jakoś się bez tych środków ostatecznych obeszło; przejechała przez wiek dwudziesty i pomknęła gładziej. Potem dopiero szły, każda po pięćdziesiąt tysięcy lat, kolejne cywilizacje istot doskonale rozumnych, z których i Trurl brał początek; i waliła się szpula wymodelowanego procesu historycznego za szpulą do zbiornika; a było owych szpul tyle, że, patrząc przez lornetę ze szczytu maszyny, nie widziałeś krańca tych zwałów; wszystko po to, aby wybudować jakiegoś tam rymotwórcę, niechby i wybornego! Ale takie są już skutki naukowego zacierzwienia. W końcu programy były gotowe; należało tylko wybrać z nich to, co istotne. Gdyż w przeciwnym razie uczenie elektropoety trwałoby wiele milionów lat.

Przez dwa tygodnie wprowadzał Trurl do swego przyszłego elektropoety programy ogólne; potem przyszło strojenie obwodów logicznych, emocjonalnych i semantycznych. Już chciał prosić Klapaucjusza na próbny rozruch, ale się rozmyślił i puścił maszynę w pierw sam. Wygłosiła natychmiast odczyt o polerowaniu szlifów krystalograficznych dla wstępnego studium małych anomalii magnetycznych. Osłabił więc obwody logiczne i wzmocnił emocjonalne; dostała najpierw czkawki, potem ataku płaczu, wreszcie z największym trudem wygęgała, że życie jest straszne. Wzmocnił semantykę i dobudował przystawkę woli; oświadczyła, że ma jej odtąd słuchać, i kazała dorobić sobie dalszych sześć pięter do dziewięciu, jakie już miała, aby podumać nad istotą bytu. Wstawił jej dławik filozoficzny; wówczas przestała się w ogóle do niego odzywać i tylko kopała prądem. Największymi błaganiami skłonił ją do odśpiewania krótkiej piosenki: „Żabka i babka w jednym stały domku”, ale na tym się jej popisy wokalne skończyły. Wkręcał więc, dławiał, wzmacniał, osłabiał, regulował, aż wydało mu się, że lepiej być już nie może. Wówczas uraczyła go wierszem takim, że wielkim niebiosom dziękował za przezorność; tożby się Klapaucjusz uśmieł, usłyszawszy te ponure rymowanki, dla których wstępnie wymodelował całe powstanie Kosmosu i wszystkich możliwych cywilizacji! Dał sześć filtrów przeciwgrafomańskich, lecz pękały jak zapałki; musiał je zrobić ze stali korundowej. Potem jakoś już poszło: rozchwiał maszynę semantycznie, podłączył generator rymów i omal nie wysadził wszystkiego w powietrze, maszyna bowiem zapragnęła stać się misjonarzem wśród ubogich plemion gwiazdnych. Wówczas jednak, w ostatniej niemal chwili, gdy był już gotów iść na nią z młotem w ręku, przyszła mu zbawcza myśl. Wyrzucił wszystkie obwody logiczne i wstawił na to miejsce ksobne egocentryzatory ze sprzężeniem narcystycznym. Maszyna zachwiała się, zaśmiała się, zapłakała i powiedziała, że boli ją coś na trzecim piętrze, że ma wszystkiego dość, że życie jest dziwne, a wszyscy podli, że pewno niedługo umrze i pragnie tylko jednego: aby o niej pamiętano, gdy już jej tu nie będzie. Potem kazała sobie dać papieru. Trurl odetchnął, wyłączył ją i poszedł spać. Nazajutrz poszedł po Klapaucjusza. Usłyszawszy, że ma być obecny przy rozruchu Elektrybałta, bo tak postanowił nazwać Trurl maszynę, Klapaucjusz rzucił swoją całą robotę i poszedł, jak stał, tak mu było spieszo zostać naocznym świadkiem porażki przyjaciela.

Trurl włączył najpierw obwody żarzenia, potem dał mały prąd, jeszcze kilka razy wbiegł na górę po dudniących schodkach z blachy — Elektrybałt podobny był do olbrzymiego silnika okrętowego, cały w stalowych galeryjkach, kryty nitowaną blachą, z licznymi zegarami i klapami — aż wreszcie, zgorączkowany, bacząc, aby napięcia anodowe były jak trzeba, powiedział, że tak, dla rozgrzewki, zacznie się od małej jakiejś improwizacyjki. Potem już, rozumie się, Klapaucjusz będzie mógł dawać maszynie tematy do wierszy, jakich mu się żywnie zachce.

Gdy wskaźniki amplifikacyjne pokazały, że moc liryczna dochodzi do maksimum, Trurl nieznacznie tylko drżącą ręką przerzucił wielki wyłącznik i niemal natychmiast głosem lekko ochryplym, lecz emanującym dziwnie sugestywnym czarem, maszyna rzekła:

— Chrzęskrzyboczek pacionkociewiczarkrzesztofoniczny.

— Czy to już wszystko? — spytał po dłuższej chwili niezwykle uprzejmy Klapaucjusz.

Trurl zacisnął tylko wargi, dał maszynie kilka prądowych uderzeń i znów włączył. Tym razem głos jej był o wiele czystszy; można się nim było prawdziwie rozkoszować, owym solennym, nie pozbawionym uwodzicielskiej wibracji barytonem:

Apentuła niewdziosek, te będą gruwaśne  
W koć turmiela weprzącznie, kostrą bajtę spoczy,  
Oproszędły zniemęci, wyświrle uwzroczy,  
A korśliwe porsacze dogremnie wyczkaśnie!

— Po jakiemu to? — spytał Klapaucjusz, obserwując z doskonałym spokojem niejaką panikę, w której Trurl miotał się przy pulpicie; wreszcie, machnąwszy rozpaczliwie ręką, pognał, dudniąc po stopniach, schodkami w górę stalowego ogromu. Widać go było, jak na czworakach wczołguje się przez otwarte klapy do wnętrza maszyny, jak stuka tam, klnąc zaciekle, jak przykręca coś, dzwoni kluczami, jak znowu wyczolguje się i bieży kłusem na inny pomost; wreszcie wydał okrzyk triumfu, wyrzucił spaloną lampę, która roztrzaskała się o podłogę hali o krok od Klapaucjusza, nawet go za tę nieostrożność nie raczył przeprosić, lecz pospiesznie wstawił na właściwe miejsce nową lampę, wytarł zabrudzone ręce miękką szmatką i zawołał z góry, by Klapaucjusz zechciał włączyć maszynę. Rozległy się słowa:

Trzy, samolóż wywiorstne, grezacz tęci wzdżyżmy,  
Apelajda sękliwa borowajkę kuci.  
Greni małopoleśny te przeżławske tryżmy,  
Aż bamba się odmurczy i goła powróci.

— Już jest lepiej! — zawołał z niezupełnym przekonaniem Trurl. — Ostatnie słowa były do sensu, zauważyłeś?

— Jeśli to jest wszystko... — rzekł Klapaucjusz, który był teraz uosobieniem wykwintej uprzejmości.

— Niech to diabli! — wrzasnął Trurl i znów zniknął we wnętrzościach maszyny; łomotało tam, dudniło, słycać było trzask wyładowań i zdławione przekleństwa konstruktora. Wystawił nagle głowę z trzeciego piętra przez małą klapkę i krzyknął: — Naciśnij teraz!!

Klapaucjusz uczynił to. Elektrybałt zadrżał od fundamentów do szczytu i zaczął:

Żądny młęciny brądnej, łydasty łaniele,  
Samoćpaku mimajki...

Tu urwał, gdyż Trurl szarpnął wściekle za jakiś kabel, coś zacharczało i maszyna umilkła. Klapaucjusz tak się śmiał, że aż musiał usiąść na podłodze. Trurl miotał się tu i tam, raptem coś trzasło, prasło i maszyna bardzo rzeczowo, spokojnie, oświadczyła:

Zawiść, pycha, egoizm do małości zmusza.  
Doświadczy tego, pragnąc iść z Elektrybałem  
W zawody, pewien prostak. Ale Klapaucjusza  
Olbrzym ducha prześcignie, niby żółwia autem.

— Ha! Proszę! Epigramat! Jak najbardziej na miejscu! — wykrzykiwał Trurl, kręcąc się w kółko, już coraz niżej, zbiegał bowiem w dół po wąskich, spiralnych schodkach, aż wypadł na dole niemal prosto w objęcia kolegi, który przestał się śmiać, nieco zaskoczony.

— To lichota — rzekł zaraz Klapaucjusz. — Poza tym to nie on, to ty!



— Jak to — ja?!

— Ułożyłeś to z góry. Poznajeę po prymitywizmie, złościwości bezsilnej i nędzy rymów.

— Więc proszę! Żądaj czegoś innego! Czego tylko chcesz! No, czemu milczysz? Boisz się, co?!

— Nie boję się, tylko się namyślam — rzekł zirytowany Klapaucjusz, usiłując wynaleźć najtrudniejsze z możliwych zadań, ponieważ nie bez słuszności sądził, że spór o to, czy wiersz ułożony przez maszynę jest doskonały, czy nie, trudno będzie rozstrzygnąć.

— Niech ułoży wiersz o cyberotyce! — rzekł nagle, rozjaśniony. — Żeby tam było najwyżej sześć linijek, a w nich o miłości i o zdradzie, o muzyce, o Murzynach, o wyższych sferach, o nieszczęściu, o kazirodztwie, do rymu i żeby wszystkie słowa były tylko na literę C!!

— A całego wykładu ogólnej teorii nieskończonych automatów nie ma tam czasem być? — wrzasnął rozwścieczony do żywego Trurl. — Nie można stawiać tak kretyńskich warun... Ale nie dokończył, ponieważ słodki baryton, wypełniając całą halę, odezwał się właśnie:

Cyprian cyberotoman, cynik, ceniąc czule  
Czarnej córy cesarskiej cud ciemnego ciała,  
Ciągłe cytrą czarował. Czerwieniła cała,  
Cicha, co dzień czekała, cierpiała, czuwała...  
...Cyprian ciotkę całuje, cisnąwszy czarnule!!

— I co ty na to? — wziął się Trurl pod boki, a Klapaucjusz, ani myśląc, już wołał:

— A teraz na G! Czterowiersz o istocie, która była zarazem maszyną myślącą i bezmyślną, gwałtowną i okrutną, która miała szesnaście nałożnic, skrzydła, cztery malowane kufry, w każdym po tysiąc złotych talarów z profilem cesarza Murdebroda, dwa pałace i pędziła życie na mordach oraz...

— Gniewny Gienek Gienerator, garbiąc garści, grzązł gwałtownie... — zaczęła maszyna, lecz Trurl skoczył do pulpitu, nacisnął wyłącznik i zasłaniając go własnym ciałem, rzekł zduszonym głosem:

— Żadnych takich bzdur więcej nie będzie! Nie dopuszczę do marnowania wielkiego talentu! Albo zamawiasz uczciwe wiersze, albo na tym koniec!

— A cóż — to nie są uczciwe wiersze?... — zaczął Klapaucjusz.

— Nie! To jakieś łamigłówki, rebusy! Nie budowałem maszyny do idiotycznych krzyżówek! To zwykłe wyrobnictwo, a nie Wielka Sztuka! Proszę podać temat, może być dowolnie trudny...

Klapaucjusz myślał, myślał, wreszcie zmarszczył się i rzekł:

— Dobrze. Niech będzie o miłości i śmierci, ale wszystko to musi być wyrażone językiem wyższej matematyki, a zwłaszcza algebry tensorów. Może być również wyższa topologia i analiza. A przy tym erotycznie silne, nawet zuchwałe, i w sferach cybernetycznych.

— Zwariowałeś chyba. Matematyką o miłości? Nie, ty masz źle w głowie — zaczął Trurl. Lecz zamilkł wraz z Klapaucjuszem, ponieważ Elektrybałt jął deklamować:

Nieśmiały cybernetyk potężne ekstrema  
Poznawał, kiedy grupy unimodularne  
Cyberiady całkował w popołudnie parne,  
Nie wiedząc, czy jest miłość, czy jeszcze jej nie ma.

Precz mi, precz, Laplasjany z wieczora do ranka,  
I wersory wektorów z ranka do wieczora!  
Blżej, przeciwobrazy! Blżej, bo już pora

Zredukować kochankę do objęć kochanka!

On drzenia współmetryczne, które jęk jednoczy,  
Zmieni w grupy obrotów i sprzężenia zwrotne,  
A takie kaskadowe, a takie zawrotne,  
Że zwarciem zagrażają, idąc z oczu w oczy!

Ty, klaso transfina! Ty, silna wielkości!  
Nieprzywiedlne continuum! Praukładzie biały!  
Christoffela ze Stoksem oddam na wiek cały  
Za pierwszą i ostatnią pochodną miłości.

Twych skalarnych przestrzeni wielolistne głębie  
Ukaż uwikłanemu w Teoremat Ciała,  
Cyberiado cyprysów, bimodalnie cała  
W gradientach, rozmnożonych na loty gołębie!

O, nie dożył rozkoszy, kto tak bez siwizny  
Ani w przestrzeni Weyla, ani Brouwera  
Studium topologiczne uściskiem otwiera,  
Badając Moebiusowi nie znane krzywizny!

O, wielopowłokowa uczuć komitanto,  
Wiele trzeba cię cenić, ten się dowie tylko,  
Kto takich parametrów przeczując fantom,  
Ginie w nanosekundach, płonąć każdą chwilką!

Jak punkt, wchodzący w układ holonomiczności,  
Pozbawiany współrzędnych zera asymptota,  
Tak w ostatniej projekcji, ostatnią pieczęcią  
Żegnany — cybernetyk umiera z miłości.

Na tym się turniej poetycki zakończył, Klapaucjusz bowiem odszedł zaraz do domu, mówiąc, że wróci wnet z nowymi tematami, lecz więcej się nie pokazał, w obawie, iż mimo woli da Trurlowi jeszcze jeden powód do chwały; ów zaś głosił, iż Klapaucjusz uciekł, niezdolny skryć gwałtownego wzruszenia. Na co tamten, że od czasu zbudowania Elektrybałta Trurlowi całkiem już przewróciło się w głowie.

Minęło niewiele czasu, a wieść o elektrycznym wieszczu dotarła do prawdziwych, to jest — zwyczajnych poetów. Oburzeni do żywego, postanowili ignorować maszynę, znalazło się wszakże kilku, na tyle ciekawych, że wybrali się chyłkiem do Elektrybałta. Ów przyjął ich grzecznie, w hali, pełnej zapisanych już papierów, bo tworzył dzień i noc bez przerwy. Poeci byli awangardzistami, Elektrybałt natomiast tworzył w stylu klasycznym, ponieważ Trurl, mało znając się na poezji, oparł programy „natychające” na dziełach klasyków. Jęli więc przybysze drzwi z Elektrybałta, że mu mało rury katodowe nie pękły, i odeszli w triumfie. Maszyna posiadała jednak samoprogramowanie oraz specjalny obwód wzmocnienia ambicjonalnego z bezpiecznikami na sześć kiloamperów, więc w krótkim czasie wszystko najzupełniej się odmieniło. Wiersze jej stały się ciemne, wieloznaczne, turpistyczne, magiczne i wzruszające do kompletnej niezrozumiałości. Tak więc, gdy przybyła następna grupa poetów, by podrwać i posztydzić z maszyny, ta odezwała się taką improwizacją nowoczesną, że dech im zaparło, a drugi zaraz wiersz wywołał poważne zasłabnięcie

pewnego twórcy starszego pokolenia, który miał dwie nagrody państwowe i posąg w parku miejskim. Odtąd żaden poeta nie mógł oprzeć się zgubnej chęci wyzwania Elektrybałta na turniej liryczny — i ciągnęli zewsząd, niosąc wzory i teczki pełne rękopisów. Elektrybałt pozwalał deklamować przybyszowi, przy czym zaraz chwycił algorytm jego poezji i, opierając się na nim, odpowiadał wierszami, utrzymanymi w tymże duchu, lecz dwieście dwadzieścia do trzysta czterdzieści siedem razy lepszymi.

Po niedługim czasie doszedł do takiej wprawy, że jednym, drugim sonetem zwał z nóg zasłużonego wieszczka. I to było najgorsze chyba, okazało się bowiem, iż z zapasów wychodzą cało tylko grafomani, którzy, jak wiadomo, nie odróżniają wierszy dobrych od złych; uchodzili więc bezkarnie i tylko jeden złamał raz nogę, potknąwszy się u wyjścia o wielki epicki poemat Elektrybałta, zupełnie nowy, który zaczynał się od słów:

Ciemność i pustki w ciemności obroty  
Ślad dotykalny, ale nieprawdziwy,  
I wiatr, jak halny, i wzrok jeszcze żywy,  
I krok jak gdyby wracającej rotty.

Natomiast prawdziwych poetów Elektrybałt dziesiątkował, chociaż pośrednio, bo wszak nie czynił im nic złego. Niemniej najpierw pewien sędziwy liryk, a potem dwu awangardzystów popełniło samobójstwo, skacząc z wysokiej skały, która fatalnym zbiegiem okoliczności sterczała właśnie przy drodze łączącej siedzibę Trurla ze stacją kolei żelaznej.

Poeci zwołali zaraz szereg zebrzań protestacyjnych i zażądali, aby maszynę opieczętowano, lecz poza nimi nikt na fenomen nie zwrócił uwagi. Owszem, redakcje gazet były nawet rade, albowiem Elektrybałt, piszący pod kilkoma tysiącami pseudonimów naraz, miał gotowy poemat wskazanych rozmiarów na każdą okazję, a ta okolicznościowa poezja była taka, że obywatele wyrwali sobie gazety z rąk i na ulicach widziało się wniebowzięte twarze, nieprzytomne uśmiechy oraz słyszało się ciche łkania. Wiersze Elektrybałta znali wszyscy; powietrze trzęsło się od błogich rymów, a natury co wrażliwsze, rażone specjalnie skonstruowanymi metaforami czy asonansami, nieraz mdlały nawet; lecz i na tę okazję był przygotowany gigant natchnienia, albowiem zaraz wyprodukował odpowiednią ilość sonetów trzeźwiących.

Sam Trurl miał w związku ze swym osiągnięciem niemałe kłopoty. Klasycy, jako na ogół starcy, niewiele mu zaszkodzili, jeśli nie liczyć kamieni wybijających systematycznie okna oraz pewnych substancji, nie dających się nazwać po imieniu, którymi obrzucano jego domostwo. Gorzej było z młodymi. Pewien poeta najmłodszego pokolenia, którego wiersze odznaczały się wielką siłą liryczną, a on sam — fizyczną, okrutnie go pobił. Gdy tedy Trurl leczył się w szpitalu, wypadki pędziły dalej; nie było ani dnia bez nowego samobójstwa, bez pogrzebu, przed bramą szpitalną krążyły pikiety i dawała się już słyszeć strzelanina, albowiem zamiast rękopisów poeci przynosili coraz częściej w teczkach samopały, rażąc Elektrybałta, którego stalowej naturze kule wcale jednak nie szkodziły. Po powrocie do domu zrozpaczony i osłabły konstruktor postanowił pewnej nocy rozebrać własnymi rękami stworzonego przez się geniusza.

Gdy atoli, z lekka kulejąc, zbliżył się do maszyny, ta, na widok obcęgów w jego dłoni i błysków desperacji w oku, buchnęła taką namiętą liryką, błagając o łaskę, że rozslochany Trurl cisnął narzędzia i wrócił do siebie, brnąc po kolana w nowych utworach elektroducha, które sięgały mu do pól piersi, zaścielając szemrzającym oceanem papieru całą halę.

Kiedy jednak w następnym miesiącu przyszedł rachunek za elektryczność pochłoniętą przez maszynę, pociemniało mu w oczach. Rad był zasięgnąć rady starego druha Klapaucjusza, lecz ów zniknął, jakby się pod nim ziemia rozwarła. Skazany na własny koncept, pewnej nocy Trurl odciął maszynie dopływ prądu, rozebrał ją, załadował na statek,

wywiózł na pewną niewielką planetoidę i tam zmontował na powrót, przydawszy jej, jako źródło energii twórczej, stos atomowy.

Potem wrócił chyłkiem do domu, ale historia na tym się nie skończyła, albowiem Elektrybałt, nie mając już możliwości publikowania utworów drukiem, jął nadawać je na wszystkich zakresach fal radiowych, czym wprawiał załogi i pasażerów rakiet w liryczne stany odrętwienia, a osoby subtelne doznawały nawet ciężkich ataków zachwyty z następczym otępieniem. Ustaliwszy, w czym rzecz, zwierzchność żeglugi kosmicznej zwróciła się oficjalnie do Trurla z żądaniem natychmiastowej likwidacji należącego doń urządzenia, które zakłócało liryką spokój publiczny i zagrażało zdrowiu pasażerów.

Wtedy zaczął się Trurl ukrywać. Posłano więc na planetoidę monterów, aby zaplombowali Elektrybałtowi wyjście liryczne, on jednak oszołomił ich kilkoma balladami, tak że nie wykonali zadania. Posłano potem głuchych, lecz Elektrybałt przekazał im liryczną informację na migi. Mówić więc jęło się już głośno o koniecznej ekspedycji karnej lub zbombardowaniu elektropoety. Wówczas jednak nabył go pewien władca z sąsiedniego systemu gwiazdowego i zaholował wraz z planetoidą do swego królestwa.

Teraz Trurl mógł wreszcie ujawnić się i odetchnąć. Co prawda na południowym nieboskłonie od czasu do czasu widać eksplozje gwiazd supernowych, jakich nie pamiętają najstarsi, i chodzą głuche wieści, jakoby miało to związek z poezją. Oto ów władca w przystępie dziwnego kaprysu kazał podobno swym astroinżynierom podłączyć Elektrybałta do konstelacji białych olbrzymów, wskutek czego każda strofka wiersza przekształcana jest w gigantyczne protuberancje słońc, tak że największy poeta Kosmosu nadaje swe dzieła tętnieniem ognia wszystkim nieskończonym otchłaniom galaktycznym naraz. Jednym słowem — ów wielki król uczynił go lirycznym motorem gromady gwiazd wybuchających. Gdyby nawet była w tym okruszyna prawdy, działa się to zbyt daleko, by mogło zakłócić sen Trurlowi, który zaprzysiągł sobie na wszystkie świętości nigdy już więcej nie brać się do cybernetycznego modelowania procesów twórczych.



## WYPRAWA SZÓSTA

### CZYLI JAK TRURL I KLAPAUJCUSZ DEMONA DRUGIEGO RODZAJU STWORZYLI, ABY ZBÓJCĘ GĘBONA POKONAĆ

„Od ludów Słońc Większych dwa prowadzą na południe szlaki karawanowe. Pierwszy, stary, od Czwórógwieźdzca ku Gaurozauronowi, gwieździe bardzo podstępnej, O zmiennym blasku, która, przygasając, do Karła Abassytów się upodabnia, przez co zmylonym często trafia się zapuścić w Pustynię Kirową, a tylko jedna karawana na dziewięć cało z nich uchodzi. Drugi szlak, nowy, Imperium Mirapudów otwarło, gdy jego niewolnicy rakielnicy przebili tunel na sześć miliardów pramil długi przez samego Gaurozaurona Białego.

Wejście północne do tunelu tak odnaleźć trzeba: od ostatniego ze Słońc Większych kurs prosto na biegun trzymać przez siedem pacierzy elektrycznych. Potem w lewo małym halsem, aż się ściana ognista pojawi, to jest Gaurozaurona bok, a w nim otwór tunelu widać jako czarny punkt w białym płomienisku. Stąd w dół prosto jak strzelił, bez obawy, gdyż osiem statków burta w burtę iść może tunelem; nie ma też widoku równego temu, co się wówczas przez szkła pokładowe jawi. Nasamprzód jest Ogniospad Żarotraków, a dalej już wedle pogody; gdy wnętrzości gwiezdne burzami magnetycznymi są poruszane, które o miliard lub dwa mil dalej się przewalają, widać wielkie węzły ognia i jego arterie rozżarzone, ze skrzeplinami biało płonącymi, gdy zaś burza bliższa lub tajfun Siódmej Siły, trzęsą się sklepienia, jakby białe ciasto żaru padać miało, lecz to pozór, albowiem leci, a nie pada, i płonie, lecz nie spala, w szachu rozporami Pól Mocnych trzymane. Widząc, jako puchnie Miąsz Protuberancyjny, a źródła długopiorunne, Pieklica — mi zwane, burzą się i bliżą, dobrze jest koło sterowe mocniej ująć, największej bowiem trzeba wytrawności sterniczej i nie w mapę, lecz w trzewia słoneczne patrzeć się godzi: nikt bowiem nie przebył drogi tej tak samo dwa razy. Sztychem w Gaurozaurona wbity tunel wiję się cały, skręca w sobie i drga jak wąż pod razami; dlatego oczy trzeba szeroko trzymać otwarte, nie rozstawać się z lodem ratownikiem, co okapy hełmów soplami przezroczystymi ocieka, i uważnie patrzeć w pędzące naprzeciw ściany pożarów, wychylone jęzorzystkami huczącymi, a słysząc, jak przy — skwierczy pancierz okrętowy, ogniem biczowany i zarzewiem słonecznym opluty, na nic się, krom własnej bystrości, nie spuszczać. Zarazem atoli i to mieć trzeba na uwadze, że nie każdy ruch ognia i nie każde tunelu przykurczenie jest zaraz oznaką trzęsienia gwiazdy, ni obwał biały oceanów żarowych, więc zakarbowawszy to sobie, żeglarz doświadczony nie będzie przez byle co „do pomp” wzywał, ażeby mu nie przyszło ku pohańbieniu od doświadczniejszych usłyszeć; że kropelką amoniaku chłodzącego chce mu się światłość gwiazdy wiekuistą ugasić. Pytającemu, co ma czynić, gdy się prawdziwe trzęsienie gwiazdy na statek obruszy, każdy próżniarz bywały powie zaraz, że dość jest wtedy westchnąć, bo na większe przygotowania przedzgonne i tak czasu nie ma, oczy zaś można mieć wtedy zamknięte lub otwarte, według woli, bo ogień i tak je przewierci. Wszelako klęska taka to najrzadsza rzecz, gdyż klamry klamrzyste przez Imperyków Mirapudowych osadzone dobrze sklepienia trzymają i wcale wdzięczną jest jazda śródgwiezdna na przestrzał, pomiędzy łyskającymi giętko lustrami wodoru Gaurozauronowego. Nie bez kozery też powiadają, że kto w tunel wszedł, rychło z niego wyjdzie, czego już się nie da rzec o Pustyni Kirowej. Gdy atoli raz na wiek tunel trzęsieniem zepsowany, innej drogi, jak wedle onej, nie masz. Jak nazwa wykłada, Pustynia czarniejsza jest od nocy, bo się nie waży światło gwiazd okólnych na nią wstępować. Tłuką się tam jak w mózdzierzu, z okropnym wrzaskiem blach, wraki statków, które za sprawą zdradliwego Gaurozaurona zmyliły drogę i rozpękły się w objęciu wirów bezdennych, by krążyć tak aż po ostatni obrót galaktyczny, grawitacją okrutnie przytrzaśnięte. Na wschód od Pustyni Kirowej jest królestwo Sliskoszczekich, na zachód — Okoręcznych, a

na południe biegną drogi, śmierciowiskami gęsto poprzegradzane, ku lżejszej sferze błękitnej Lazurei, dalej zaś — Murgundu płomiennolistnego, gdzie się archipelag krwawi, z gwiazd bezżelaznych, Karocą Alcarona zwany.

Sama Pustynia, jak się rzekło, tak pełna jest czerni, jak pasaż słońcowy Gaurozaurona — bieli. Nie wszystka bieda tam z wirów, piachu prądami z wysokości ściąganego i meteorów oszalałych; prawią bowiem niektórzy, iż w miejscu niewiadomym, w ponurzyskach zamrocznych, na głębokości niepojętej, z dawien dawna stwór pewien siedzi, czy może bezstwór, Nieznańcem zwany, ten bowiem, kto by jego prawdziwe imię poznał, spotkawszy, już nic świata nie wyjawi, bo go i nie zobaczy. Powiadają, iż jest Nieznaniec zbójem — czarodziejem i że we własnym mieszka zamku, z czarnej wzniesionym grawitacji, że fosami zamku — wieczna nawałnica, murami jego — niebyt, nicością doskonałą, że jego okna — ślepe, a drzwi głuche; Nieznaniec czatuje na karawany, a gdy zeprze go głód wielki złota i szkieletów, dmucha czarnym prochem w tarcze słońc, które drogi wskazują; a gdy je zgasi i sprowadzi wędrowców ze szlaku bezpiecznego, młyńcem z niebytu wypada, ciasnymi pierścieniami otoczy i unosi w nicość zamku swego, pilnie bacząc, by najmniejszej agrafy rubinowej nie uronić — taki on w swojej straszliwości akuratywny. Potem zaś już tylko ogryzione wraki wypływają znikąd i krążą po Pustyni, a w ślad za nimi lecą długo nity korabiów, jak pestki wypluwane z paszczy Nieznańca potwora. Lecz odkąd nie — wolną pracą mrowia raketniczego tunel gaurozauronki otwarto, a żegluga tym od wszystkich jaśniejszym korytem popłynęła, szaleje Nieznaniec, łupów pozbawiony, i żarem wściekłości swej tak mrok Pustyni rozjaśnia, że jego ciało prześwituje przez czarny mur grawitacji, niby kościak poczwarczy, co w oprzędzie swym grobowo a fosforycznie próchnieje. Powiadają mędrkowie niejedni, że wcale go nie ma i nigdy nie było; dobrze im mówić swoje, a i łatwo, gdyż gorzej mocować się z przedstawieniem rzeczy, których się słowo nie ima, w ciszy letniej, z dala od Kirów i Żarów powstałe. Łatwo w potwora nie uwierzyć, trudniej pokonać go, a łapczywości jego obmierzłej ujść. Zali nie samego Cybernatora murgundzkiego z osiemdziesięcią orszaku, na statkach trzech, pochłonił, że nic z magnaterii onej nie zostało, krom sprzączek nadgryzionych, które wieśniacy osad Solary Małej znaleźli, przybojem mgławicznym w ich brzeg rzucone? Zali nie pożarł innych mężów niezliczonych bez pardonu a litości? Więc niechaj choć cicha pamięć elektryczna hołd tym bezgrobnym odda, jeśli nie znajdzie się taki, co by ich na sprawcy owego po rycersku pomścił, wedle starych praw gwiazdokrążczych”.

Wszystko to razem wyczytał Trurl razu pewnego w księdze, od starości spłowiałej, którą przypadkiem od jakiegoś przekupnia nabył, zaraz też zaniósł ją do Klapaucjusza i pospołu drugi raz, już głośno, niezwykłości owe mu odczytał od początku do końca, bo mu się wielce udały.

Klapaucjusz, jako mądrości pełen konstruktor, Kosmosu świadom, ze słońcami i mgławicami wszelkiej maści otrząskany, tylko się uśmiechnął, głową skinął i mówi:

— Mam nadzieję, że w jedno słowo całego tego bajania nie wierzysz?

— Niby dlaczego miałbym nie wierzyć? — obruszył się Trurl. — Spójrz, tu jest nawet sztucznie uczyniona grawiura, przedstawiająca Nieznańca, jak dwa słoneczne żaglowce spożywa i łupy do lochów chowa. Zresztą — czy to nie ma naprawdę tunelu w supergwieździe, prawda, że innej, bo Beth-el-Geuskiej? Chyba nie jesteś takim ignorantem w kosmografii, by podać to w wątpliwość...

— Co się tyczy rycin, to zaraz mogę ci wyrysować smoka z oczami z tysiąca słońc każde — jeśli rysunek masz za dowód prawdy — rzekł Klapaucjusz na to. — Co do tunelu zaś, to, najpierw, ma tylko dwa miliony mil długości, a nie jakieś miliardy, po wtóre, ta gwiazda jest prawie że wystygła, a po trzecie, żegluga tunelem nie przedstawia najmniejszego niebezpieczeństwa, o czym doskonale wiesz, boś sam tamtędy latał. Co się zaś tyczy tak zwanej Pustyni Kirowej, naprawdę jest to po prostu szeroka na dziesięć kiloparseków masa

śmieci kosmicznych, krążąca pomiędzy Maerydią i Tetrarchidą, a nie koło jakichś Ogniolłowów czy Gauryzaurów, których w ogóle nie ma; i jeszcze prawda, że ciemno tam, ale to po prostu od zatrzęsienia brudu. Żadnego Nieznańca tam, rozumie się, nie ma! To nawet nie mit uczciwy, starodawny, ale tania bajęda, wyrosła w jakiejś głowie niedowarzonej.

Trurl zacisnął wargi.

— Mniejsza o tunel — rzekł. — Uważasz, że jest bezpieczny, bo ja nim latałem; gdybyś to ty był, słyszałoby się rzeczy zupełnie inne. Ale mniejsza o ten tunel, powiadam. Co się tyczy atoli Pustyni i Nieznańca, przekonywanie argumentami słownymi nie jest w mym guście. Trzeba tam pojechać, to się przekonasz, co z tego — podniósł grubą księgę ze stołu — jest prawdą, a co nie!

Klapaucjusz jął odradzać mu ten zamiar, jak mógł, gdy się wszelako przekonał, że Trurl, uparty jak zwykle, ani myśli o rezygnacji z tak osobliwie poczętej wyprawy, najpierw oświadczył, że nie chce go więcej na oczy widzieć, ale niedługo sam się zaczął też sposobić do drogi, bo nie chciał, aby się przyjacielowi samotnie ginęło — we dwóch jakoś różniej spojrzeć śmierci w oczy.

Zaopatrzwszy się tedy w sporo różności, albowiem droga wieść miała przez pustkowia (co prawda nie tak malownicze, jak to księga przedstawiała), wyruszyli na wypróbowanym swoim statku; lecąc zaś, zatrzymywali się tu i ówdzie, aby zasięgnąć języka, zwłaszcza kiedy minęli granice obszaru, o którym posiadali dokładne wiadomości. Niewiele można się było jednak od tubylców dowiedzieć, prawili bowiem dorzecznie tylko o swym pobliżu, lecz o tym, co znajdowało się i działo tam, gdzie nigdy sami nie bywali, pletli nieprawdopodobieństwa oczywiste, a przy tym szczegółowo, ze smakiem i grozą równocześnie.

Klapaucjusz opowieści takie nazywał krótko korozyjnymi, mając na myśli ową korozję — sklerozję, która trapi wszystkie starcze umysły.

Gdy się wszakże zbliżyli na jakichś pięć — sześć milionów tchnień ogniowych do Pustyni Czarnej, doszły ich słuchy

O jakimś olbrzymie gwałtowniku, który zwał się Zbójcą Dyplojem; nikt przy tym z opowiadających ani go nigdy nie widział, ani nie wiedział, co by takiego miało znaczyć dziwne słowo „Dyploj”, którym stwora owego określano. Trurl myślał, że kto wie: jest to zniekształcony termin „Dipol”, co by świadczyć miało o biegunowej i sprzecznej zarazem, dwoistej naturze zbójcy, ale Klapaucjusz wolał się od hipotez, jako trzeźwiejszy, powstrzymać. Podobno — tak głośiły wieści — zbójca ów był okrutnikiem i raptusem, co się w tym miało przejawiać, iż obłuskawszy już ofiary ze wszystkiego, wciąż niezadowolony dla strasznego sknerstwa, że mu wszystkiego było z chciwości mało, bardzo długo i boleśnie przed wypuszczeniem na wolność bijął. Rozważali chwilę konstruktorzy, czy nie zaopatrzyć się aby w jakąś broń palną i sieczną, nim przyjdzie przekroczyć brzeg czarny Pustyni, ale uznali w końcu, że najlepszą bronią są ich umysły, w konstruktorstwie wyostrzone, dalekosiężne i uniwersalne; i pojechali, jak stali.

Przyznać trzeba, że Trurl w czasie dalszej podróży przeżywał wcale gorzkie rozczarowania, albowiem rozgwieżdżiska gwiazdne, płomieniska płomienne, pustynne pustkowia i meteoryczne rafy i skały wędrujące o wiele piękniej były opisywane w starej księdze, niż naprawdę przedstawiały się oku podróżnego. Gwiazd było w okolicy mało, i to zupełnie niepokąźnych, nadto bardzo starych; jedne ledwo pomrugiwały, jak węgielki w popielisku tłące, inne całkiem już po wierzchu ściemniały i tylko przez pęknięcia ich skorupy z żuzła, niechlujnie pomarszczonej, przeświecały żyłki czerwone; dzungli płomienistych ani tajemnych wirów żadnych tu nie było, nikt też, jako żywo, o nich nie słyszał, całe bowiem pustkowie tym się odznaczało, że do ostatniej nudy nudne było, właśnie przez swoją pustkę — i kwita; co się zaś tyczy meteorów, tych spotykało się jak maku, ale w tym grzechotliwym tałajstwie więcej leciało śmiecia aniżeli porządných magnetytów magnetycznych czy



tektytów tektycznych; a to dlatego, ponieważ rękę można było stąd podać do bieguna galaktycznego i krażenie prądów ciemnych ściągało tu właśnie, ku południowi, niezliczone krocie odpadków i prochów ze sfer centralnych Galaktyki. Toteż sąsiadujące z nim plemiona i ludy zwały ów obszar nie jakąś tam Pustynią Kirową, ale zwyczajnie: śmieciowiskiem.

Tak więc Trurl, kryjąc swe rozczerowanie, jak mógł, przed Klapaucjuszem, aby go do złośliwości nie sprowokować, skierował statek w Pustynię — i zaraz zaczęło po jego pancerzach piaskiem bić, a wszelkie nieczystości gwiazdne, wypluwane ze słońc protuberancjami, osiadły takim grubym kożuchem na ścianach kadłuba, że na myśl o przyszłym czyszczeniu — wszystkiego, a zwłaszcza podróżowania, na dobre się odechciewało.

Gwiazdy dawno już znikły w pomroce powszechnej i lecieli tak po omacku, aż naraz statkiem rzuciło, że wszystkie sprzęty, garnki i narzędzia załomotały, i poczuli, jak lecą gdzieś, i to coraz szybciej; wreszcie gruchnęło przeraźliwie i statek, dosyć miękko osiadłszy, znieruchomiał w pochyleniu, jakby się w coś nieruchomego wbił dziobem. Oni więc do okien, lecz na zewnątrz ćma zupełna — choć oko wykol; a już łomot słysząc, ktoś niewiadomy, a straszliwej siły, przemocą się do wnętrza dobiera, że ściany skaczą. Teraz dopiero mniejsze poczuli zaufanie do rozumnej swojej bezbronności, lecz próżne po niewczasie żale, więc tylko, aby im klapy nie popsuto siłą, sami ją od środka odemknęli.

Patrz — a w otwór ktoś gębę wsadza, tak wielką, że

O tym, aby mógł cały w ślad za nią wejść — i mowy nie ma; gęba zaś jest niewymownie przykra, oczyskami cała od góry do dołu, wzdłuż i w poprzek wysadzana, i ma też jakby nos piłowaty, i szczęki — nieszczęki, hakowate i stalowe; nie rusza się, cała szczelnie we framugę wpasowana, i tylko oczy jej złodziejsko latają na wsze strony, każda zaś ich grupka inną obejmuje część otoczenia, a wyraz mają taki, jakby szacowały, czy się to wszystko uczciwie opłaci; nawet ktoś daleko głębszy od konstruktorów pojałby, co znaczy to wypatrywanie, bo nadzwyczaj wymowne.

— Czego? — powiada wreszcie Trurl, tym bezwstydnym łypaniem, dziejącym się w milczeniu, rozwścieczony. — Czego chcesz, mordo zakazana?! Ja jestem sam konstruktor Trurl, omnipotencjator ogólny, a to jest mój przyjaciel Klapaucjusz, też sława i znakomitość, i lecieliśmy tym naszym statkiem turystycznie, więc proszę natychmiast zabrać twarz i wyprowadzić nas z tego niejasnego miejsca, pełnego zapewne nieczystości, i skierować nas w porządną, czystą próżnię, gdyż w przeciwnym wypadku złożymy zażalenie i rozkręcą cię w drobny szmelc, ty śmieciarzu — czy słyszysz, co mówię?!

Lecz ów nic — tylko dalej łypie i jakby coś sobie oblicza. Kalkuluje — czy jak?

— Słuchaj no, pokrako rozpałaszona — woła Trurl, już się z niczym nie licząc, chociaż go Klapaucjusz szturcha dla pomiarkowania — nie mamy ani złota, ani srebra, ani żadnych klejnotów, więc wypuść nas stąd zaraz, a przede wszystkim zabierz tę swoją wielką gębę, bo niewymownie przykra. A ty — zwrócił się do Klapaucjusza — nie szturchaj mnie dla pomiarkowania, bo mam własny rozum i wiem, jak do kogo trzeba mówić!

— Nie potrzebuję ja — odezwie się nagle gęba, zwracając tysiąc oczu ognistych na Trurla — samego tylko złota lub srebra, a mówić do mnie należy delikatnie i z poszanowaniem, albowiem jestem zbójcą z dyplomem, kształconym i bardzo z natury nerwowym. Nie takich też jak wy miewałem ja już u siebie, i dosładzałem ich, jak chciałem — i kiedy wam wszystko skuję, też wyjdzie z was słodycz. Nazywam się Gębon, mam trzydzieści arszynów w każdą stronę i faktycznie rabuję kosztowności, ale w sposób naukowy i nowoczesny, to jest: zabieram drogocenne sekreta, skarby wiedzy, autentyczne prawdy, i w ogóle całą wartościową informację. A teraz jazda, dawać ją tu, bo jak nie, to gwizdnę! Liczę do pięciu — raz, dwa, trzy...

Doliczył, a że mu nic nie dali, rzeczywiście gwizdnął, aż im uszy mało nie poodpadały, a Klapaucjusz pojał, że ten „Dyploj”, o którym tubylcy ze strachem mówili, to był właśnie

dypłom, widać na jakiejś Akademii Zbrodniarstwa zdobyty. Trurl zaś aż się za głowę chwycił rękami, bo Gębon miał głos wedle wzrostu.

— Nic ci nie damy! — zawołał, a Klapaucjusz pobiegł od razu po watę. — I zabieraj zaraz gębę!

— Jeśli gębę zabiorę, to rękę wsadzę — Gębon na to — a mam sążnistą, cęgowatą i ciężką, że niech Bóg broni! Uwaga — zacznym!

I rzeczywiście: wata, którą przyniósł Klapaucjusz, okazała się już niepotrzebna, bo gęba znikła, a pojawiło się łapsko, sękate, stalowe, niechlujne i pazurno — łopaciaste; i zaczyna grzebać, łamiąc stoły i szafy, i przegrody, aż blachy zazgrzytały. Trurl i Klapaucjusz uciekają przed łapskiem do stosu atomowego i co się który palec zbliży, to go z wierzchu bać! bać! — kociubą. Zgniewał się wreszcie zbójca z dyplomem, znów gębę wraził we framugę i tak rzecze:

— Radzę wam dobrze, układajcie się ze mną zaraz, bo jak nie, to odłożę was na później, na samym dnie mego dołu z zapasami, i śmieciem przytrzasnę, i kamieniami docisnę, że się nie podźwigniecie i rdza zeżre was na wylot; już nie takim radę dawałem; macie wóz lub przewóz!

Trurl nie chciał nawet myśleć o układach, ale Klapaucjusz nie był od tego i pyta, czego właściwie dyplomant sobie życzy.

— Taką mowę lubię — on na to. — Zbieram skarby wiedzy, gdyż takie jest moje zamiłowanie życiowe, płynące z wyższego wykształcenia i praktycznego wglądu w istotę rzeczy, zwłaszcza że za zwyczajne skarby, których zbójcy pro — stakowie łakną, nic nie można tu kupić; natomiast wiedza syci głód poznania, wiadomo zaś, że wszystko, co istnieje, jest informacją; a więc zbieram ją od wieków i będę to czynił dalej; co prawda nie jestem i od tego, aby wziąć jakieś złoto lub klejnoty, bo to ładne, cieszy oko i można powiesić, ale tylko ubocznie, jak się trafi okazja. Zaznaczam, że za fałszywe prawdy bijam, tak samo jak za fałszywe kruszce, bo jestem wyrafinowany i łaknę autentyczności!

— Niby jakiej to autentycznej i drogocennej informacji pożądasz? — pyta Klapaucjusz.

— Wszelkiej, byle prawdziwej — tamten na to. — Każda może się przygodzić na okoliczność życiową. Mam już wadoły moje i lochy pełnawe, ale się jeszcze drugie tyle pomieści. Gadajcie, co wiecie i umiecie, a ja sobie zapiszę. Tylko prędko!

— Ładna historia — Klapaucjusz szepce Trurlowi na ucho — przecież on tu nas może wiek trzymać, zanim mu powiemy, co sami wiemy, wszak olbrzymia jest nasza mądrość!!

— Czekaj — Trurl na to — to już ja z nim będę paktował. — I głośno mówi:

— Słuchaj no, ty zbójcu dyplomowany: co się tyczy złota, to posiadamy informacje, wartość wszystkich innych, gdyż to jest przepis, jak się robi złoto z atomów; powiedzmy, na początek, z atomów wodoru, bo w Kosmosie ich bez liku — chcesz ten przepis, to dobrze, a potem nas puścisz.

— Już mam całą skrzynię takich recept — gęba na to, oczy wybałuszając gniewnie. — A wszystkie na nic. Nie dam się oszukać więcej — przepis pierwszej trza wypróbować.

— Czemu nie? Można. Masz garnek?

— Nie mam.

— To nic, można i bez garnka, byle się spieszyć — Trurl na to. — Przepis jest prosty: tyle atomów wodoru, ile zawąży atom złota, to jest osiemdziesiąt siedem, wodorowe trzeba najpierw z elektronów obsłuskać, potem protony skulgać, wyrobić ciasto jądrowe, aż się pokażą mezony, i wtedy ładnie elektronami poobsadzać dokoła. Wtedy już masz czyste złoto. Patrz!

Zaczął Trurl łapać atomy, z elektronów obiera, protony miesi, aż mu palców nie widać, tak migają, wyrobił ciasto protonowe, zakręcił elektronami wokół, i do następnego atomu; nie minęło i pięć minut, a miał w rękach bryłkę szczerego złota, podał ją gębie, ta nadgryzła, kiwnęła i mówi:

— Owszem, złoto jest, ale ja tak prędko za atomami uganiać się nie dam rady. Za wielki jestem.

— To nic, damy ci odpowiedni aparacik! — nęci go Trurl.

— Pomyśl, można w ten sposób przerobić wszystko na złoto, nie tylko wodór, damy ci recepty także na inne atomy; cały Kosmos można uczynić złotym, byle się przyłożyć!

— Jeśliby cały był ze złota, to ono straci wszelką wartość — Gębon praktyczny na to. — Nie, na nic mi wasz przepis: to znaczy, owszem, zapisałem go, ale mało tego! Skarbów wiedzy pragnę.

— Ale co chcesz wiedzieć, u licha ciężkiego?!

— Wszystko!

Popatrzył Trurl na Klapaucjusza, Klapaucjusz na Trurla i mówi ten ostatni tak:

— Jeśli wielką klątwą zaklniesz się i przysięgą zaprzysięgniesz, że nas puścisz zaraz potem, to my ci damy informację o wszechinformacji, to jest sporządzimy ci własnoręcznie Demona Drugiego Rodzaju, który jest magiczny, termodynamiczny, nieklasyczny i statystyczny, i będzie ci ze starej beczułki lub z kichnięcia choćby ekstrahował i znosił informację o wszystkim, co było, co jest, co może być i co będzie. I nie ma demona nad tego Demona, bo on jest Drugiego Rodzaju, a więc jeśli go chcesz, to gadaj zaraz!

Zbójca dyplomowany był nieufny, nie od razu przystał na warunki, ale wreszcie złożył przysięgę, z zastrzeżeniem, że pierwszej musi powstać Demon i udowodnić swą wszech — informacyjną potęgę. Trurl przystał na to.

— Uważaj teraz, wielkogueby! — mówi. — Czy masz gdzieś u siebie powietrze? Bo bez powietrza Demon działać nie może.

— Niby mam trochę — Gębon na to — ale nie całkiem czyste, bo się zastało...

— Nie szkodzi, może być nawet zgniłe — to nie ma znaczenia — mówią konstruktorzy. — Prowadź nas, gdzie to powietrze, a wszystko ci pokażemy!

Wypuścił ich więc ze statku, odsunawszy gębę, poszli za nim, a on prowadzi ich do siebie — nogi ma jak wieże, plecy jak przepaść, a cały od wieków nie myty i nie smarowany, więc zgrzyta do niemożliwości. I wchodzi za nim do korytarzy piwnicznych; po drodze pełno worków zbutwiałych — cheiwiec trzyma w nich zrabowane informacje — pęczkami i paczkami ułożonych, sznurkami przewiązanych, a co ważniejsze, co cenniejsze, to podkreślone czerwonym ołówkiem. A na ścianie lochu wisi olbrzymi katalog, łańcuchem, rdzą zjedzonym, do głazu przykuty. I w nim są działy wszelkie — na samym początku od A wszystko się zaczyna. Spojrzał Trurl, idzie dalej — echo głucho odpowiada, krzywi się on i Klapaucjusz, bo choć pełno nagranych informacji autentycznych i kosztownych, to jednak wszędzie, gdzie wzrok obrócić, same pieczary śmieciary i piwnice śmietnice. Powietrza wszędzie pełno, lecz całkiem zgniłego. Stanęli i Trurl mówi:

— Uważaj! Powietrze jest z atomów, a te atomy skaczą sobie na wsze strony i zderzają się z sobą miliardy razy na sekundę w każdym mikromilimetrze sześciennym, i na tym właśnie polega gaz, że tak skaczą i trykają się wiecznie. Wszelako, choć skaczą na oślep i przypadkiem, to, ponieważ w każdej szpareczce jest ich miliardy miliardów, wskutek tej liczebności z owych podskoków i podrygów układają się, między innymi, spowodowane czystym trafem, ważkie konfiguracje... Czy wiesz, koniu, co to takiego: konfiguracja?

— Proszę mnie nie obrażać! — on na to. — Albowiem nie jestem zbójem prostym i nieokrzesanym, lecz wyrafinowanym, z dyplomem, i dlatego bardzo nerwowym.

— Dobrze. A więc z tych atomowych skoków powstają ważkie, to jest znaczące konfiguracje, nie przymierzając tak, jakbyś, powiedzmy, na oślep strzelał do ściany, a trafienia ułożyłyby się w jakąś literę. Co w skali wielkiej jest rzadkie i mało prawdopodobne, to w gazie atomowym jest powszednie i nieustanne, a to dla tych bilionowych tryknięć w każdej stutysięcznej cząsteczce sekundy. Lecz problem jest oto taki: w każdej szczypcie powietrza doprawdy układają się z fików i drygów atomowych ważkie prawdy i doniosłe

sentencje, ale równocześnie powstają tam skoki i od — skoki najzupełniej bezsensowne; i tych drugich jest tysiące razy więcej niż tamtych. Choć więc i dawniej wiedziano, że teraz oto, przed twoim nosem piłowatym, w każdym miligramie powietrza powstają w ułamkach sekund fragmenty tych poematów, które zostaną napisane dopiero za milion lat, i różnych prawd wspaniałych, i rozwiązania wszelkich zagadek Bytu i tajemnic jego, to nie było sposobu, aby tę informację całą wyosobnić, tym bardziej że ledwo się atomy łebkami trykną i w jakąś treść ułożą, już rozlecą się, a razem z nimi i ona przepadnie, może na zawsze. A więc cały dowcip w tym, aby zbudować selektor, który będzie wybierał tylko to, co w bieganiu atomów sensowne. Oto i cała idea Demona Drugiego Rodzaju, pojąłeś cokolwiek, wielki Gębonie? Idzie, uważasz, o to, aby Demon ekstrahował z atomowych tańców tylko prawdziwą informację, to jest teorematy matematyczne i żurnale mód, i wzory, i kroniki historii, i przepisy na placek jonowy, i sposoby cerowania oraz prania pancerzy azbestowych, i wiersze, i porady naukowe, i almanachy, i kalendarze, i tajne wieści o tym, co kiedyś zaszło, i wszystko to, co gazety pisały i piszą w całym Kosmosie, i książki telefoniczne, jeszcze nie wydrukowane...

— Dość! Dość!! — zawołał Gębón. — Przestań wreszcie! I co z tego, że te atomy tak się składają, kiedy zaraz się rozlatują, i wcale nie wierzę, aby można było oddzielić prawdy bezcenne od wszelakiego drygania i podskakiwania drobin powietrznych, które nie ma żadnego sensu i nikomu jest na nic!

— A więc doprawdy jesteś mniej głupi, niż sądziłem — rzekł Trurl — ponieważ istotnie trudność cała w tym tylko, aby tę selekcję uruchomić. I ja wcale cię o jej możliwości nie zamierzam przekonywać teoretycznie, ale, zgodnie z obietnicą, zaraz, tu, na poczekaniu, zbuduję Demona Drugiego Rodzaju, abyś naocznie pojął cudowną doskonałość tego Wszechinformatora! Co do ciebie, musisz tylko dostarczyć mi pudła, może być niewielkie, ale szczelne; zrobimy w nim maluteńką dziurczkę końcem szpilki i posadzimy Demona nad tym otworkiem; i siedząc okrakiem, będzie wypuszczał z pudła tylko informację sensowną, a poza nią nic więcej. Gdy się bowiem tylko jakaś kupka atomów tak zestroi trafem, że będzie coś znaczyła, to Demon zaraz cap ją za łeb i natychmiast znaczenie owo spisze specjalnym pisakiem brylantowym na wstędze papierowej, której trzeba przygotować mu co niemiara, gdyż będzie działał dzień i noc i dzień — aż Kosmos ustanie, prędzej nie... Przy tym sto miliardów razy na sekundę, co sam zobaczysz; bo właśnie tak działa Demon Drugiego Rodzaju. Z tymi słowy poszedł Trurl na statek, by sporządzić Demona, a Gębón pyta tymczasem Klapaucjusza:

— A jaki jest Demon Pierwszego Rodzaju?

— Och, ten mniej ciekawy, to zwykły demon termodynamiczny, który tylko tyle umie, że przez otworek wypuszcza atomy szybkie, a powolnych nie; i takim sposobem powstaje perpetuum mobile termodynamiczne. Wszelako z informacją nie ma to nic wspólnego, więc przygotuj lepiej naczynie z dziurką, bo Trurl zaraz wróci!

Poszedł zbójca z dyplomem do drugiej piwnicy, nałomotał tam blachami, nakłął się, nakopał żelastwa, nabrodził w nim, aż wyciągnął spod blach starą beczkę pustą, żelazną, zrobił w niej malutką dziurkę i wraca, a właśnie nadchodzi Trurl z Demonem w ręku.

Beczka była pełna zgniętego powietrza, że nos chciał odpaść, gdy się go do otworka zbliżyło, ale Demonowi nie robi to żadnej różnicy; posadził Trurl tę okruszynę okrakiem nad dziurką, na beczce, założył u góry wielki bęben z taśmą papierową, podprowadził ją pod pisaczek brylantowy, który z ochoty już się trzęsie, i zaczęło się wystukiwanie — stuk–puk, stuk–puk, jak w jakim urzędzie telegraficznym, lecz milion razy szybciej. Tylko drżało i wibrowało maleńkie pióreczko z brylancikiem na koniuszku, a wstęga z informacją jęła powoli spływać, zapisana, na bardzo brudną i wyjątkowo zaśmieconą podłogę piwnicy.

Siadł obok beczki zbój Gębón, podnosi do stu oczu wstęgę papierową i odczytuje, co też tam wyławia Demon, jako sitko informacji, z atomowego podskakiwania wiecznego; i tak

zaraz pochłoneły go te ważkie treści, że ani widział, jak obaj konstruktorzy czym prędzej wyszli z piwnicy, wzięli statek swój za stery, szarpnęli raz, drugi, trzeci, aż wydobyli go z owej zapadni, w którą ich zbój wtrącił, wskoczyli do środka i pomknęli przed siebie tak szybko, jak się tylko dało, albowiem wiedzieli, że choć ich Demon działa, domyślali się zarazem, że działania tego rezultaty obdarzą Gębona bogactwem większym od upragnionego. Ów zaś siedział o beczkę oparty i w popiskiwanu pisaka brylantowego, którym Demon spisywał na wstędze papierowej wszystko, czego się od atomów drgających dowiadywał, czytał o tym, jak się wije arlebardzkie wiją i że córka króla Petrycego z Labaudii zwała się Garbunda, i co jadł na drugie śniadanie Fryderyk II, król bladawców, nim wojnę wypowiedział Gwendolinom, i ile powłok elektronowych liczyłby sobie atom termionolium, gdyby taki pierwiastek był możliwy, i jakie są wymiary dziurki tylnej małego ptaszka, zwanego kurkucielem, którego na swych rozamforach malują Marłajowie Wabędzcy, jak również o trzech smakach poliwonnych szlamu oceanicznego na Wodocji Przyzroczonej, i o kwiatku Łubuduku, który myśliwych staromalfandzkich wali siarczyście na odlew, świtem wzruszony, i jak wyprowadzić wzór na dostawę kąta podstawy wieloboku, ikoseadrem zwanego, i kto był jubilerem Fafucjusza, rzeźnika mańkuta Buwantów, i ile pism filatelistycznych będzie wychodziło w roku siedemdziesiątych na Morkonaucji, i gdzie znajduje się trupek Cybrycji Kraśnopiętej, którą gwoździem przebił po pijanemu niejaki Malkonder, i czym się różni Maciąg od Naciągu, a także kto ma najmniejszą w Kosmosie pielownicę wzdłużną i dlaczego pchły smoczkotyłkie mchu jeść nie chcą, i na czym polega gra zwana Balansyer Zadni Ściągany, i ile było ziarenek lwichwostu w tej kupce, co ją Abrukwian Polistny nogą trącił, kiedy się pośliznął na ósmym kilometrze szosy albacjerskiej w Dolinie Wzduchów Szedziwych — i pomału diabli go zaczynali brać, bo już mu świtało, że wszystkie owe całkiem prawdziwe i ze wszech miar sensowne informacje zupełnie nie są mu potrzebne, gdyż robił się z tego groch z kapustą, od którego głowa pękała, a nogi drżały. A Demon Drugiego Rodzaju działał z szybkością trzystu milionów informacji na sekundę i milami skręcała się już papierowa taśma, i z wolna pokrywała zwojami zbója dyplomowanego, omotując go jakby białą pajęczyną, a brylancik pisaka drgał jak szalony i wydawało się zbójowi, że zaraz już dowie się rzeczy niesłychanych, takich, które mu oczy na Istotę Bytu otworzą, więc wczytywał się we wszystko, co leciało spod brylancika, a były to pieśni opilcze Kwajdonosów i rozmiary pantofli nocnych na kontynencie Gondwana, z pomponami, i grubość włosów, które rosną na czole miedzianym paciornika węburchego, i szerokość ciemniaczka mowląt pasiebnych, i litanie zaklinaczy harmęckich dla obudzenia wielebnego Ćpiela Grosipiulka, i owerdiery diukońskie, i sześć sposobów warzenia zupki grysikowej, i trutka dobra na stryjny, i sposoby łechtania ckliwego, i nazwiska obywateli Bałowierni Cimskiej na literę M się zaczynające, i opisy smaku piwa grzybkiem nad — psutego...

Aż mu w oczach zamrowiło i wrzasnął wielkim głosem, bo miał dość, lecz już go Informacja trzystu tysiącami mil papierowych spowiła i spętała, że nie mógł się ruszyć i musiał czytać dalej, o tym, jaki początek drugiej „Księgi dżungli” napisałby Rudyard Kipling, gdyby go wtedy brzuch bolał, i o czym myśli zmartwiony niezameściem wieloryb, i jakie są zaloty miłosne muchatek trupnych, i jak można załatać stary worek, i co to jest strzybło, i czemu się mówi szewc i krawiec, a nie krawic i szewiec, a także ile można naraz mieć siniaków. Potem zaś przyszła długa seria rozróżnień między trelami i morelami: że pierwsze są łyse, a drugie mają włoski, a dalej — jakie są rymy do słowa „kapustka” i jakimi słowy obraził papież Ulm z Pendery antypapieża Mulma, i kto ma grajnicę grzebienną. Wtedy bardzo już rozpaczliwie usiłował się wydobyć z matni papierowej, lecz rychło osłabł; odpychał taśmy, darł je i odrzucał, lecz miał zbyt wiele oczu, aby się chociaż przed niektóre jakieś nowe nie dostały informacje, więc z musu się dowiedział, jakie są kompetencje stróża domowego w Indochinach i dlaczego Nadojderowie z Flutorsji wciąż mówią, że ich zawiało.

Lecz wtedy zamknął oczy i znieruchomiał, przywalony lawiną informacyjną, a Demon dalej owijał go i spowijał papierowymi bandażami, karząc straszliwie zbója Gębona dyplomowanego za jego łapczywość bezmierną wiedzy wszelakiej.

Po dzisiaj siedzi tak ów zbójca na samym dnie swoich śmieciar i śmietnic, górami papieru nakryty, a w półmroku piwnicznym najczystsza iskierką drży i trzęsie się pisaczek brylantowy, notując wszystko, co Demon Drugiego Rodzaju wyłuskuje z płasów atomowych powietrza, które płynie przez dziurkę starej beczki; i dowiaduje się, gwałcony informacji potopem, Gębón nieszczęsny różności nieskończonych o pomponach, karakonach i o własnej przygodzie tu przedstawionej, bo i ona znajduje się na którymś kilometrze wstęg papierowych — jak również innych historii oraz przepowiedni losów wszelkiego stworzenia aż po zagaśnięcie Słońc; i nie ma dlań ratunku, gdyż tak go srodze konstruktorzy ukarali za napaść zbójczą — chyba że się wreszcie kiedyś wstęga skończy, bo papieru zabraknie.

## WYPRAWA PIERWSZA A CZYLI ELEKTRYBAŁT TRURLA

Dla uniknięcia wszelkich pretensji i nieporozumień musimy wyjaśnić, że była to, przynajmniej w rozumieniu dosłownym, wyprawa donikąd. Trurl bowiem nie ruszał się przez cały czas ze swego domostwa, jeśli nie liczyć pobytu w szpitalach oraz mało istotnej jazdy na planetoidę. Wszelako w sensie dogłębnym i wyższym była to jedna z najdalszych wypraw, jakie ten znakomity konstruktor kiedykolwiek przedsiębrał, albowiem do samych granic możliwości.

Zdarzyło się raz Trurlowi zbudować maszynę do liczenia, która okazała się zdolna tylko do jednego działania, mnożyła mianowicie dwa przez dwa, a i to fałszywie. Jak to jest opowiedziane w innym miejscu, maszyna ta była jednak bardzo ambitna i jej spór z własnym twórcą omal nie skończył się dlań tragicznie. Od tamtego czasu Klapaucjusz obrzydzał Trurlowi żywot, docinając mu tak i owak, aż ów zawział się i postanowił wybudować maszynę, która będzie pisała wiersze. W tym celu zgromadził Trurl osiemset dwadzieścia ton literatury cybernetycznej oraz dwanaście tysięcy ton poezji i zabrał się do studiów. Kiedy już nie mógł wytrzymać od cybernetyki, przerzucił się do liryki, i na odwrót. Po pewnym czasie pojął, iż zbudowanie samej maszyny jest zupełną fraszką w porównaniu z jej zaprogramowaniem. Program, który ma w głowie zwykły poeta, stworzyła cywilizacja, w której przyszedł na świat; tę cywilizację wydała inna, ta, co ją poprzedziła, tamtą — wcześniejsza, i tak do samego początku Wszechświata, kiedy to informacje o przyszłym poecie krążyły jeszcze bezładnie w jądrze pierwotnej mgławicy. Aby zatem zaprogramować maszynę, należało wpierw powtórzyć — jeśli nie cały Kosmos od początku, to co najmniej sporą jego część. Każdego innego na miejscu Trurla zadanie to skłoniłoby do rezygnacji, lecz dzielny konstruktor ani myślał rejterować. Skonstruował najpierw maszynę, która modelowała chaos, i elektryczny duch latał w niej nad elektrycznymi wodami, potem dodał parametr światła, potem pramgławic, i tak po trosze zbliżał się do pierwszej epoki lodowcowej, co było możliwe tylko dlatego, ponieważ maszyna jego w ciągu pięciomiliardowej części sekundy modelowała sto septylionów wydarzeń w czterystu oktylionach miejsc naraz; a jeśli kto sądzi, że Trurl się gdzieś pomylił, niech cały rachunek sam sprawdzi. Modelował tedy Trurl początki cywilizacji, krzesanie krzemieni i garbowanie skór, jaszczury i potopy, czworonożność i ogoniastość, potem zaś prabładawca, który wydał bładawca, który zapoczątkował maszynę, i tak to szło, eonami i tysiącleciami, w szumie elektrycznych wirów i prądów; a kiedy maszyna modelująca okazywała się przyciasna dla następnej epoki, Trurl dorabiał jej przystawkę; aż wreszcie z owych dobudówek powstało coś w rodzaju miasteczka poplątanych przewodów i lamp, że by się w ich gmatwaninie diabeł nie rozeznał. Trurl jednak jakoś tam sobie radził i dwa razy tylko musiał powtarzać: raz, niestety, prawie od początku, bo wyszło mu, że to Abel zabił Kaina, a nie Kain Abła (wskutek przepalenia się bezpiecznika w jednym z obwodów), drugi raz zaś cofać się było trzeba tylko o trzysta milionów lat, do środkowego mezozoiku: gdyż zamiast praryby, która wydała prajaszczura, który wydał prassaka, który wydał pramałpę, która wydała prabładawca, zrobiło się coś takiego dziwnego, że zamiast bładawca wyszedł mu latawiec. Zdaje się, że to jakaś mucha wpadła do maszyny i potrafiła superskopicyznie wyłączyć czynnościowy. Poza tym jednak wszystko szło nad podziw gładko. Wymodelowane zostało średniowiecze i starożytność, i czasy wielkich rewolucji, tak że maszyna chwilami trzęsła się, a lampy, modelujące co poważniejsze postępy cywilizacji, trzeba było wodą polewać i mokrymi szmatami okładać, by się nie rozleciały; postęp ów bowiem, modelowany zwłaszcza w takim tempie, omal ich nie rozsadził. Pod koniec dwudziestego wieku maszyna dostała najpierw wibracji skośnej, a potem trzęsączki wzdłużnej, nie wiadomo czemu; Trurl bardzo się tym martwił i nawet przygotował pewną ilość cementu i klamer, gdyby się miała walić. Na

szczęście jakoś się bez tych środków ostatecznych obeszło; przejechała przez wiek dwudziesty i pomknęła gładziej. Potem dopiero szły, każda po pięćdziesiąt tysięcy lat, kolejne cywilizacje istot doskonale rozumnych, z których i Trurl brał początek; i waliła się szpula wymodelowanego procesu historycznego za szpulą do zbiornika; a było owych szpul tyle, że, patrząc przez lornetę ze szczytu maszyny, nie widziałeś krańca tych zwałów; wszystko po to, aby wybudować jakiegoś tam rymotwórcę, niechby i wybornego! Ale takie są już skutki naukowego zacierzawienia. W końcu programy były gotowe; należało tylko wybrać z nich to, co istotne. Gdyż w przeciwnym razie uczenie elektropoety trwałoby wiele milionów lat.

Przez dwa tygodnie wprowadzał Trurl do swego przyszłego elektropoety programy ogólne; potem przyszło strojenie obwodów logicznych, emocjonalnych i semantycznych. Już chciał prosić Klapaucjusza na próbny rozruch, ale się rozmyślił i puścił maszynę w pierw sam. Wygłosiła natychmiast odczyt o polerowaniu szlifów krystalograficznych dla wstępnego studium małych anomalii magnetycznych. Osłabił więc obwody logiczne i wzmocnił emocjonalne; dostała najpierw czkawki, potem ataku płaczu, wreszcie z największym trudem wygęgała, że życie jest straszne. Wzmocnił semantykę i dobudował przystawkę woli; oświadczyła, że ma jej odtąd słuchać, i kazała dorobić sobie dalszych sześć pięter do dziewięciu, jakie już miała, aby podumać nad istotą bytu. Wstawił jej dławik filozoficzny; wówczas przestała się w ogóle do niego odzywać i tylko kopała prądem. Największymi błaganiami skłonił ją do odśpiewania krótkiej piosenki: „Żabka i babka w jednym stały domku”, ale na tym się jej popisy wokalne skończyły. Wkręcał więc, dławił, wzmocniał, osłabiał, regulował, aż wydało mu się, że lepiej być już nie może. Wówczas uraczyła go wierszem takim, że wielkim niebiosom dziękował za przezorność; tożby się Klapaucjusz uśmieł, usłyszawszy te ponure rymowanki, dla których wstępnie wymodelował całe powstanie Kosmosu i wszystkich możliwych cywilizacji! Dał sześć filtrów przeciwgrafomańskich, lecz pękały jak zapałki; musiał je zrobić ze stali korundowej. Potem jakoś już poszło: rozchwiał maszynę semantycznie, podłączył generator rymów i omal nie wysadził wszystkiego w powietrze, maszyna bowiem zapragnęła stać się misjonarzem wśród ubogich plemion gwiazdnych. Wówczas jednak, w ostatniej niemal chwili, gdy był już gotów iść na nią z młotem w rękę, przyszła mu zbawcza myśl. Wyrzucił wszystkie obwody logiczne i wstawił na to miejsce ksobne egocentryzatory ze sprzężeniem narcystycznym. Maszyna zachwiała się, zaśmiała się, zapłakała i powiedziała, że boli ją coś na trzecim piętrze, że ma wszystkiego dość, że życie jest dziwne, a wszyscy podli, że pewno niedługo umrze i pragnie tylko jednego: aby o niej pamiętano, gdy już jej tu nie będzie. Potem kazała sobie dać papieru. Trurl odetchnął, wyłączył ją i poszedł spać. Nazajutrz poszedł po Klapaucjusza. Usłyszawszy, że ma być obecny przy rozruchu Elektrybałta, bo tak postanowił nazwać Trurl maszynę, Klapaucjusz rzucił swoją całą robotę i poszedł, jak stał, tak mu było spieszo zostać naocznym świadkiem porażki przyjaciela.

Trurl włączył najpierw obwody żarzenia, potem dał mały prąd, jeszcze kilka razy wbiegł na górę po dudniących schodkach z blachy — Elektrybałt podobny był do olbrzymiego silnika okrętowego, cały w stalowych galeryjkach, kryty nitowaną blachą, z licznymi zegarami i klapami — aż wreszcie, zgorączkowany, bacząc, aby napięcia anodowe były jak trzeba, powiedział, że tak, dla rozgrzewki, zacznie się od małej jakiejś improwizacyjki. Potem już, rozumie się, Klapaucjusz będzie mógł dawać maszynie tematy do wierszy, jakich mu się żywnie zachce.

Gdy wskaźniki amplifikacyjne pokazały, że moc liryczna dochodzi do maksimum, Trurl nieznacznie tylko drżącą ręką przerzucił wielki wyłącznik i niemal natychmiast głosem lekko ochryplym, lecz emanującym dziwnie sugestywnym czarem, maszyna rzekła:

— Chrzęskrzyboczek pacionkociewiczarkrystofoniczny.

— Czy to już wszystko? — spytał po dłuższej chwili niezwykle uprzejmy Klapaucjusz. Trurl zacisnął tylko wargi, dał maszynie kilka prądowych uderzeń i znów włączył. Tym razem



głos jej był o wiele czystszy; można się nim było prawdziwie rozkoszować, owym solennym, nie pozbawionym uwodzicielskiej wibracji barytonem:

Apentula niewdziosek, te będą gruwaśne  
W koć turmiela weprząchnie, kostrą bajtę spoczy,  
Oproszędy zniemęci, wyświrle uwzroczy,  
A korśliwe porsacze dogremnie wyczkaśnie!

— Po jakimu to? — spytał Klapaucjusz, obserwując z doskonałym spokojem niejaką panikę, w której Trurl miotał się przy pulpicie; wreszcie, machnąwszy rozpaczliwie ręką, pognał, dudniąc po stopniach, schodkami w górę stalowego ogromu. Widać go było, jak na czworakach wczołguje się przez otwarte klapy do wnętrza maszyny, jak stuka tam, klnąc zaciekle, jak przykręca coś, dzwoni kluczami, jak znowu wyczolguje się i bieży kłusem na inny pomost; wreszcie wydał okrzyk triumfu, wyrzucił spaloną lampę, która roztrzaskała się o podłogę hali o krok od Klapaucjusza, nawet go za tę nieostrożność nie raczył przeprosić, lecz pospiesznie wstawił na właściwe miejsce nową lampę, wytarł zabrudzone ręce miękką szmatką i zawołał z góry, by Klapaucjusz zechciał włączyć maszynę. Rozległy się słowa:

Trzy, samolóz wywiorstne, grezacz tęci wzdzyżmy,  
Apelajda sękliwa borowajkę kuci.  
Greni małopoleśny te przezławske tryżmy,  
Aż bamba się odmurczy i goła powróci.

— Już jest lepiej! — zawołał z niezupełnym przekonaniem Trurl. — Ostatnie słowa były do sensu, zauważyłeś?

— Jeśli to jest wszystko... — rzekł Klapaucjusz, który był teraz uosobieniem wykwintnej uprzejmości.

— Niech to diabli! — wrzasnął Trurl i znów zniknął we wnętrzościach maszyny; łomotało tam, dudniło, słychać było trzask wyładowań i zdławione przekleństwa konstruktora. Wystawił nagle głowę z trzeciego piętra przez małą klapkę i krzyknął: — Naciśnij teraz!!

Klapaucjusz uczynił to. Elektrybałt zadrżał od fundamentów do szczytu i zaczął:

Żądny młęciny brądnej, łydasty łaniele,  
Samoćpaku mimajki...

Tu urwał, gdyż Trurl szarpnął wściekle za jakiś kabel, coś zacharczało i maszyna umilkła. Klapaucjusz tak się śmiał, że aż musiał usiąść na podłodze. Trurl miotał się tu i tam, raptem coś trzasło, prasło i maszyna bardzo rzeczowo, spokojnie, oświadczyła:

Zawiść, pycha, egoizm do małości zmusza.  
Doświadczy tego, pragnąc iść z Elektrybałtem  
W zawody, pewien prostak. Ale Klapaucjusza  
Olbrzym ducha prześcignie, niby zółwia autem.

— Ha! Proszę! Epigramat! Jak najbardziej na miejscu! — wykrzykiwał Trurl, kręcąc się w kółko, już coraz niżej, zbiegał bowiem w dół po wąskich, spiralnych schodkach, aż wypadł na dole niemal prosto w objęcia kolegi, który przestał się śmiać, nieco zaskoczony.

— To lichota — rzekł zaraz Klapaucjusz. — Poza tym to nie on, to ty!

— Jak to — ja?!

— Ułożyłeś to z góry. Poznają po prymitywizmie, złościwości bezsilnej i nędzy rymów.

— Więc proszę! Żądaj czegoś innego! Czego tylko chcesz! No, czemu milczysz? Boisz się, co?!

— Nie boję się, tylko się namyślam — rzekł zirytowany Klapaucjusz, usiłując wynaleźć najtrudniejsze z możliwych zadań, ponieważ nie bez słuszności sądził, że spór o to, czy wiersz ułożony przez maszynę jest doskonały, czy nie, trudno będzie rozstrzygnąć.

— Niech ułoży wiersz o cyberotyce! — rzekł nagle, rozjaśniony. — Żeby tam było najwyżej sześć linijek, a w nich o miłości i o zdradzie, o muzyce, o Murzynach, o wyższych sferach, o nieszczęściu, o kazirodztwie, do rymu i żeby wszystkie słowa były tylko na literę C!!

— A całego wykładu ogólnej teorii nieskończonych automatów nie ma tam czasem być? — wrzasnął rozwścieczony do żywego Trurl. — Nie można stawiać tak kretyńskich warunków... Ale nie dokończył, ponieważ słodki baryton, wypełniając całą halę, odezwał się właśnie:

Cyprian cyberotoman, cynik, ceniąc czule  
Czarnej córy cesarskiej cud ciemnego ciała,  
Ciągłe cytrą czarował. Czerwieniała cała,  
Cicha, co dzień czekała, cierpiała, czuwała...  
...Cyprian ciotkę całuje, cisnąwszy czarnulę!!

— I co ty na to? — wziął się Trurl pod boki, a Klapaucjusz, ani myśląc, już wołał:

— A teraz na G! Czterowiersz o istocie, która była zarazem maszyną myślącą i bezmyślną, gwałtowną i okrutną, która miała szesnaście nałożnic, skrzydła, cztery malowane kufry, w każdym po tysiąc złotych talarów z profilem cesarza Murdebroda, dwa pałace i pędziła życie na mordach oraz...

— Gniewny Gienek Gienerator, garbiąc garści, grzązł gwałtownie... — zaczęła maszyna, lecz Trurl skoczył do pulpitu, nacisnął wyłącznik i zasłaniając go własnym ciałem, rzekł zduszonym głosem:

— Żadnych takich bzdur więcej nie będzie! Nie dopuszczę do marnowania wielkiego talentu! Albo zamawiasz uczciwe wiersze, albo na tym koniec!

— A cóż — to nie są uczciwe wiersze?... — zaczął Klapaucjusz.

— Nie! To jakieś łamigłówki, rebusy! Nie budowałem maszyny do idiotycznych krzyżówek! To zwykłe wyrobnictwo, a nie Wielka Sztuka! Proszę podać temat, może być dowolnie trudny...

Klapaucjusz myślał, myślał, wreszcie zmarszczył się i rzekł:

— Dobrze. Niech będzie o miłości i śmierci, ale wszystko to musi być wyrażone językiem wyższej matematyki, a zwłaszcza algebry tensorów. Może być również wyższa topologia i analiza. A przy tym erotycznie silne, nawet zuchwałe, i w sferach cybernetycznych.

— Zwariowałeś chyba. Matematyką o miłości? Nie, ty masz źle w głowie — zaczął Trurl. Lecz zamilkł wraz z Klapaucjuszem, ponieważ Elektrybałt jął deklamować:

Nieśmiały cybernetyk potężne ekstrema  
Poznawał, kiedy grupy unimodularne  
Cyberiady całkował w popołudnie parne,  
Nie wiedząc, czy jest miłość, czy jeszcze jej nie ma.

Precz mi, precz, Laplasjany z wieczora do ranka,  
I wersory wektorów z ranka do wieczora!  
Bliżej, przeciwobrazy! Bliżej, bo już pora  
Zredukować kochankę do objęć kochanka!

On drzenia współmetryczne, które jęk jednoczy,  
Zmieni w grupy obrotów i sprzężenia zwrotne,  
A takie kaskadowe, a takie zawrotne,  
Że zwarciem zagrażają, idąc z oczu w oczy!

Ty, klaso transfina! Ty, silna wielkości!  
Nieprzywiedlne continuum! Praukładzie biały!  
Christoffela ze Stoksem oddam na wiek cały  
Za pierwszą i ostatnią pochodną miłości.

Twych skalarnych przestrzeni wielolistne głębie  
Ukaż uwikłanemu w Teoremat Ciała,  
Cyberiado cyprysów, bimodalnie cała  
W gradientach, rozmnożonych na loty gołębie!

O, nie dożył rozkoszy, kto tak bez siwizny  
Ani w przestrzeni Weyla, ani Brouwera  
Studium topologiczne uściskiem otwiera,  
Badając Moebiusowi nie znane krzywizny!

O, wielopowłokowa uczuć komitanto,  
Wiele trzeba cię cenić, ten się dowie tylko,  
Kto takich parametrów przeczując fantom,  
Ginie w nanosekundach, płonąć każdą chwilką!

Jak punkt, wchodzący w układ holonomiczności,  
Pozbawiany współrzędnych zera asymptotą,  
Tak w ostatniej projekcji, ostatnią pieszczotą  
Żegnany — cybernetyk umiera z miłości.

Na tym się turniej poetycki zakończył, Klapaucjusz bowiem odszedł zaraz do domu, mówiąc, że wróci wnet z nowymi tematami, lecz więcej się nie pokazał, w obawie, iż mimo woli da Trurlowi jeszcze jeden powód do chwały; ów zaś głosił, iż Klapaucjusz uciekł, niezdolny skryć gwałtownego wzruszenia. Na co tamten, że od czasu zbudowania Elektrybałta Trurlowi całkiem już przewróciło się w głowie.

Minęło niewiele czasu, a wieść o elektrycznym wieszczu dotarła do prawdziwych, to jest — zwyczajnych poetów. Oburzeni do żywego, postanowili ignorować maszynę, znalazło się wszakże kilku, na tyle ciekawych, że wybrali się chyłkiem do Elektrybałta. Ów przyjął ich grzecznie, w hali, pełnej zapisanych już papierów, bo tworzył dzień i noc bez przerwy. Poeci byli awangardzistami, Elektrybałt natomiast tworzył w stylu klasycznym, ponieważ Trurl, mało znając się na poezji, oparł programy „natychające” na dziełach klasyków. Jęli więc przybysze drwić z Elektrybałta, że mu mało rury katodowe nie pękły, i odeszli w triumfie. Maszyna posiadała jednak samoprogramowanie oraz specjalny obwód wzmocnienia ambicjonalnego z bezpiecznikami na sześć kiloamperów, więc w krótkim czasie wszystko najzupełniej się odmieniło. Wiersze jej stały się ciemne, wieloznaczne, turpistyczne, magiczne i wzruszające do kompletnej niezrozumiałości. Tak więc, gdy przybyła następna grupa poetów, by podrwić i poszydzić z maszyny, ta odezwała się taką improwizacją nowoczesną, że dech im zapało, a drugi zaraz wiersz wywołał poważne zasłabnięcie pewnego twórcy starszego pokolenia, który miał dwie nagrody państwowe i posąg w parku

miejskim. Odtąd żaden poeta nie mógł oprzeć się zgubnej chęci wyzwania Elektrybałta na turniej liryczny — i ciągnęli zewsząd, niosąc wzory i teczki pełne rękopisów. Elektrybałt pozwalał deklamować przybyszowi, przy czym zaraz chwycił algorytm jego poezji i, opierając się na nim, odpowiadał wierszami, utrzymanymi w tymże duchu, lecz dwieście dwadzieścia do trzysta czterdzieści siedem razy lepszymi.

Po niedługim czasie doszedł do takiej wprawy, że jednym, drugim sonetem zwał z nóg zasłużonego wieszczą. I to było najgorsze chyba, okazało się bowiem, iż z zapasów wychodzą cało tylko grafomani, którzy, jak wiadomo, nie odróżniają wierszy dobrych od złych; uchodzili więc bezkarnie i tylko jeden złamał raz nogę, potknąwszy się u wyjścia o wielki epicki poemat Elektrybałta, zupełnie nowy, który zaczynał się od słów:

Ciemność i pustki w ciemności obroty  
Ślad dotykalny, ale nieprawdziwy,  
I wiatr, jak halny, i wzrok jeszcze żywy,  
I krok jak gdyby wracającej rotty.

Natomiast prawdziwych poetów Elektrybałt dziesiątkował, chociaż pośrednio, bo wszak nie czynił im nic złego. Niemniej najpierw pewien sędziwy liryk, a potem dwu awangardistów popełniło samobójstwo, skacząc z wysokiej skały, która fatalnym zbiegiem okoliczności sterczała właśnie przy drodze łączącej siedzibę Trurla ze stacją kolei żelaznej.

Poeci zwołali zaraz szereg zebrań protestacyjnych i zażądali, aby maszynę opieczętowano, lecz poza nimi nikt na fenomen nie zwrócił uwagi. Owszem, redakcje gazet były nawet rade, albowiem Elektrybałt, piszący pod kilkoma tysiącami pseudonimów naraz, miał gotowy poemat wskazanych rozmiarów na każdą okazję, a ta okolicznościowa poezja była taka, że obywatele wyrwali sobie gazety z rąk i na ulicach widziało się wniebowzięte twarze, nieprzytomne uśmiechy oraz słyszało się ciche łkania. Wiersze Elektrybałta znali wszyscy; powietrze trzęsło się od błogich rymów, a natury co wrażliwsze, rażone specjalnie skonstruowanymi metaforami czy asonansami, nieraz mdlały nawet; lecz i na tę okazję był przygotowany gigant natchnienia, albowiem zaraz wyprodukował odpowiednią ilość sonetów trzeźwiących.

Sam Trurl miał w związku ze swym osiągnięciem niemałe kłopoty. Klasycy, jako na ogół starcy, niewiele mu zaszkodzili, jeśli nie liczyć kamieni wybijających systematycznie okna oraz pewnych substancji, nie dających się nazwać po imieniu, którymi obrzucano jego domostwo. Gorzej było z młodymi. Pewien poeta najmłodszego pokolenia, którego wiersze odznaczały się wielką siłą liryczną, a on sam — fizyczną, okrutnie go pobił. Gdy tedy Trurl leczył się w szpitalu, wypadki pędziły dalej; nie było ani dnia bez nowego samobójstwa, bez pogrzebu, przed bramą szpitalną krążyły pikiety i dawała się już słyszeć strzelanina, albowiem zamiast rękopisów poeci przynosili coraz częściej w teczkach samopały, rażąc Elektrybałta, którego stalowej naturze kule wcale jednak nie szkodziły. Po powrocie do domu zrozpaczony i osłabły konstruktor postanowił pewnej nocy rozebrać własnymi rękami stworzonego przez się geniusza.

Gdy atoli, z lekka kulejąc, zbliżył się do maszyny, ta, na widok obcęgów w jego dłoni i błysków desperacji w oku, buchnęła taką namiętną liryką, błagając o łaskę, że rozszlochany Trurl cisnął narzędzia i wrócił do siebie, brnąc po kolana w nowych utworach elektroducha, które sięgały mu do pól piersi, zaścielając szemrzącym oceanem papieru całą halę.

Kiedy jednak w następnym miesiącu przyszedł rachunek za elektryczność pochłoniętą przez maszynę, pociemniało mu w oczach. Rad był zasięgnąć rady starego druha Klapaucjusza, lecz ów zniknął, jakby się pod nim ziemia rozwarła. Skazany na własny koncept, pewnej nocy Trurl odciął maszynie dopływ prądu, rozebrał ją, załadował na statek, wywiózł na pewną niewielką planetoidę i tam zmontował na powrót, przydawszy jej, jako

źródło energii twórczej, stos atomowy.

Potem wrócił chyłkiem do domu, ale historia na tym się nie skończyła, albowiem Elektrybałt, nie mając już możliwości publikowania utworów drukiem, jął nadawać je na wszystkich zakresach fal radiowych, czym wprawiał załogi i pasażerów rakiet w liryczne stany odretwienia, a osoby subtelne doznawały nawet ciężkich ataków zachwyty z następczym otępieniem. Ustaliwszy, w czym rzecz, zwierzchność żeglugi kosmicznej zwróciła się oficjalnie do Trurla z żądaniem natychmiastowej likwidacji należącego doń urządzenia, które zakłócało liryką spokój publiczny i zagrażało zdrowiu pasażerów.

Wtedy zaczął się Trurl ukrywać. Posłano więc na planetoidę monterów, aby zaplombowali Elektrybałtowi wyjście liryczne, on jednak oszołomił ich kilkoma balladami, tak że nie wykonali zadania. Posłano potem głuchych, lecz Elektrybałt przekazał im liryczną informację na migi. Mówić więc jęło się już głośno o koniecznej ekspedycji karnej lub zbombardowaniu elektropoety. Wówczas jednak nabył go pewien władca z sąsiedniego systemu gwiazdowego i zaholował wraz z planetoidą do swego królestwa.

Teraz Trurl mógł wreszcie ujawnić się i odetchnąć. Co prawda na południowym nieboskłonie od czasu do czasu widać eksplozje gwiazd supernowych, jakich nie pamiętają najstarsi, i chodzą głuche wieści, jakoby miało to związek z poezją. Oto ów władca w przystępie dziwnego kaprysu kazał podobno swym astroinżynierom podłączyć Elektrybałta do konstelacji białych olbrzymów, wskutek czego każda strofka wiersza przekształcana jest w gigantyczne protuberancje słońc, tak że największy poeta Kosmosu nadaje swe dzieła tętnieniem ognia wszystkim nieskończonym otchłaniom galaktycznym naraz. Jednym słowem — ów wielki król uczynił go lirycznym motorem gromady gwiazd wybuchających. Gdyby nawet była w tym okruszyna prawdy, działa się to zbyt daleko, by mogło zakłócić sen Trurlowi, który zaprzysiągł sobie na wszystkie świętości nigdy już więcej nie brać się do cybernetycznego modelowania procesów twórczych.

## WYPRAWA SZÓSTA CZYLI JAK TRURL I KLAPAUJUSZ DEMONA DRUGIEGO RODZAJU STWORZYLI, ABY ZBÓJCĘ GĘBONA POKONAĆ

„Od ludów Słońc Większych dwa prowadzą na południe szlaki karawanowe. Pierwszy, stary, od Czwórógwieźdzca ku Gaurozauronowi, gwieździe bardzo podstępnej, O zmiennym blasku, która, przygasając, do Karła Abassytów się upodabnia, przez co zmylonym często trafia się zapuścić w Pustynię Kirową, a tylko jedna karawana na dziewięć cało z nich uchodzi. Drugi szlak, nowy, Imperium Mirapudów otwarło, gdy jego niewolnicy rakielnicy przebili tunel na sześć miliardów pramil długi przez samego Gaurozaurona Białego.

Wejście północne do tunelu tak odnaleźć trzeba: od ostatniego ze Słońc Większych kurs prosto na biegun trzymać przez siedem pacierzy elektrycznych. Potem w lewo małym halsem, aż się ściana ognista pojawi, to jest Gaurozaurona bok, a w nim otwór tunelu widać jako czarny punkt w białym płomienisku. Stąd w dół prosto jak strzelił, bez obawy, gdyż osiem statków burta w burtę iść może tunelem; nie ma też widoku równego temu, co się wówczas przez szkła pokładowe jawi. Nasamprzód jest Ogniospad Żarotrzców, a dalej już wedle pogody; gdy wnętrzości gwieźdne burzami magnetycznymi są poruszane, które o miliard lub dwa mil dalej się przewalają, widać wielkie węzły ognia i jego arterie rozżarzone, ze skrzeplinami białą płonąącymi, gdy zaś burza bliższa lub tajfun Siódmej Siły, trzęsą się sklepienia, jakby białe ciasto żaru padać miało, lecz to pozór, albowiem leci, a nie pada, i płonie, lecz nie spala, w szachu rozporami Pól Mocnych trzymane. Widząc, jako puchnie Miąższ Protuberancyjny, a źródła długopiorunne, Pieklica — mi zwane, burzą się i bliżą, dobrze jest koło sterowe mocniej ująć, największej bowiem trzeba wytrawności sterniczej i nie w mapę, lecz w trzewia słoneczne patrzeć się godzi: nikt bowiem nie przebył drogi tej tak samo dwa razy. Sztychem w Gaurozaurona wbity tunel wiję się cały, skręca w sobie i drga jak wąż pod razami; dlatego oczy trzeba szeroko trzymać otwarte, nie rozstawać się z lodem ratownikiem, co okapy hełmów soplami przezroczystymi ocieka, i uważnie patrzeć w pędzące naprzeciw ściany pożarów, wychylone jęzorzystkami huczącymi, a słysząc, jak przy — skwierczy pancierz okrętowy, ogniem biczowany i zarzewiem słonecznym opluty, na nic się, krom własnej bystrości, nie spuszczać. Zarazem atoli i to mieć trzeba na uwadze, że nie każdy ruch ognia i nie każde tunelu przykurczenie jest zaraz oznaką trzęsienia gwiazdy, ni obwał biały oceanów żarowych, więc zakarbowawszy to sobie, żeglarz doświadczony nie będzie przez byle co „do pomp” wzywał, ażeby mu nie przyszło ku pohańbieniu od doświadczniejszych usłyszeć; że kropelką amoniaku chłodzącego chce mu się światłość gwiazdy wiekuistą ugasić. Pytającemu, co ma czynić, gdy się prawdziwe trzęsienie gwiazdy na statek obruszy, każdy próżniarz bywały powie zaraz, że dość jest wtedy westchnąć, bo na większe przygotowania przedzgonne i tak czasu nie ma, oczy zaś można mieć wtedy zamknięte lub otwarte, według woli, bo ogień i tak je przewierci. Wszelako klęska taka to najrzadsza rzecz, gdyż klamry klamrzyste przez Imperyków Mirapudowych osadzone dobrze sklepienia trzymają i wcale wdzięczną jest jazda śródgwieźdza na przestrzał, pomiędzy łyskającymi giętko lustrami wodoru Gaurozauronowego. Nie bez kozery też powiadają, że kto w tunel wszedł, rychło z niego wyjdzie, czego już się nie da rzec o Pustyni Kirowej. Gdy atoli raz na wiek tunel trzęsieniem zepsowany, innej drogi, jak wedle onej, nie masz. Jak nazwa wykłada, Pustynia czarniejsza jest od nocy, bo się nie waży światło gwiazd okólnych na nią wstępować. Tłuką się tam jak w mózdzierzu, z okropnym wrzaskiem blach, wraki statków, które za sprawą zdraдлиwego Gaurozaurona zmyliły drogę i rozpęły się w objęciu wirów bezdennych, by krążyć tak aż po ostatni obrót galaktyczny, grawitacją okrutnie przytrzaśnięte. Na wschód od Pustyni Kirowej jest królestwo Sliskoszczękich, na zachód — Okoręcznych, a na południe biegną drogi, śmierciowiskami gęsto poprzegradzane, ku lżejszej sferze błękitnej

Lazurei, dalej zaś — Murgundu płomiennolistnego, gdzie się archipelag krwawi, z gwiazd bezżelaznych, Karocą Alcarona zwany.

Sama Pustynia, jak się rzekło, tak pełna jest czerni, jak pasaż słońcowy Gaurozaurona — bieli. Nie wszystka bieda tam z wirów, piachu prądami z wysokości ściaganego i meteorów oszalałych; prawią bowiem niektórzy, iż w miejscu niewiadomym, w ponurzyskach zamrocznych, na głębokości niepojętej, z dawien dawna stwór pewien siedzi, czy może bezstwór, Nieznańcem zwany, ten bowiem, kto by jego prawdziwe imię poznał, spotkawszy, już nic świata nie wyjawia, bo go i nie zobaczy. Powiadają, iż jest Nieznaniec zbójem — czarodziejem i że we własnym mieszka zamku, z czarnej wzniesionym grawitacji, że fosami zamku — wieczna nawałnica, murami jego — niebyt, nicością doskonały, że jego okna — ślepe, a drzwi głuche; Nieznaniec czatuje na karawany, a gdy zeprze go głód wielki złota i szkieletów, dmucha czarnym prochem w tarcze słońc, które drogi wskazują; a gdy je zgasi i sprowadzi wędrowców ze szlaku bezpiecznego, młynem z niebytu wypada, ciasnymi pierścieniami otoczy i unosi w nicość zamku swego, pilnie bacząc, by najmniejszej agrafy rubinowej nie uronić — taki on w swojej straszliwości akuratywny. Potem zaś już tylko ogryzione wraki wypływają znikąd i krążą po Pustyni, a w ślad za nimi lecą długo nity korabiów, jak pestki wypluwane z paszczy Nieznańca potwora. Lecz odkąd nie — wolną pracą mrowia raketniczego tunel gaurozauronowski otwarto, a żegluga tym od wszystkich jaśniejszym korytem popłynęła, szaleje Nieznaniec, łupów pozbawiony, i żarem wściekłości swej tak mrok Pustyni rozjaśnia, że jego ciało prześwituje przez czarny mur grawitacji, niby kościak poczwarczy, co w oprzędzie swym grobowo a fosforycznie próchnieje. Powiadają mędrkowie niejedni, że wcale go nie ma i nigdy nie bywało; dobrze im mówić swoje, a i łatwo, gdyż gorzej mocować się z przedstawieniem rzeczy, których się słowo nie ima, w ciszy letniej, z dala od Kirów i Żarów powstałe. Łatwo w potwora nie uwierzyć, trudniej pokonać go, a łapczywości jego obmierzłej ująć. Zali nie samego Cybernatora murgundzkiego z osiemdziesięcią orszaku, na statkach trzech, pochłoniął, że nic z magnaterii onej nie zostało, krom sprzączek nadgryzionych, które wieśniacy osad Solary Małej znaleźli, przybojem mgławiczym w ich brzeg rzucone? Zali nie pożarł innych mężów niezliczonych bez pardonu a litości? Więc niechaj choć cicha pamięć elektryczna hołd tym bezgrobnym odda, jeśli nie znajdzie się taki, co by ich na sprawcy owego po rycersku pomścił, wedle starych praw gwiazdokrażczych”.

Wszystko to razem wyczytał Trurl razu pewnego w księdze, od starości spłowiałej, którą przypadkiem od jakiegoś przekupnia nabył, zaraz też zaniósł ją do Klapaucjusza i pospołu drugi raz, już głośno, niezwykłości owe mu odczytał od początku do końca, bo mu się wielce udały.

Klapaucjusz, jako mądrości pełen konstruktor, Kosmosu świadom, ze słońcami i mgławicami wszelkiej maści otraskany, tylko się uśmiechnął, głową skinął i mówi:

— Mam nadzieję, że w jedno słowo całego tego bajania nie wierzysz?

— Niby dlaczego miałbym nie wierzyć? — obruszył się Trurl. — Spójrz, tu jest nawet sztucznie uczyniona grawiura, przedstawiająca Nieznańca, jak dwa słoneczne żaglowce spożywa i łupy do lochów chowa. Zresztą — czy to nie ma naprawdę tunelu w supergwieździe, prawda, że innej, bo Beth-el-Geuskiej? Chyba nie jesteś takim ignorantem w kosmografii, by podać to w wątpliwość...

— Co się tyczy rycin, to zaraz mogę ci wyrysować smoka z oczami z tysiąca słońc każde — jeśli rysunek masz za dowód prawdy — rzekł Klapaucjusz na to. — Co do tunelu zaś, to, najpierw, ma tylko dwa miliony mil długości, a nie jakieś miliardy, po wtóre, ta gwiazda jest prawie że wystygła, a po trzecie, żegluga tunelem nie przedstawia najmniejszego niebezpieczeństwa, o czym doskonale wiesz, boś sam tamtędy latał. Co się zaś tyczy tak zwanej Pustyni Kirowej, naprawdę jest to po prostu szeroka na dziesięć kiloparseków masa śmieci kosmicznych, krążąca pomiędzy Maerydią i Tetrarchidą, a nie koło jakichś

Ogniogłowów czy Gauryzaurów, których w ogóle nie ma; i jeszcze prawda, że ciemno tam, ale to po prostu od zatrzęsienia brudu. Żadnego Nieznańca tam, rozumie się, nie ma! To nawet nie mit uczciwy, starodawny, ale tania bajeda, wyrosła w jakiejś głowie niedowarzonej.

Trurl zacisnął wargi.

— Mniejsza o tunel — rzekł. — Uważasz, że jest bezpieczny, bo ja nim latałem; gdybyś to ty był, słyszałoby się rzeczy zupełnie inne. Ale mniejsza o ten tunel, powiadam. Co się tyczy atoli Pustyni i Nieznańca, przekonywanie argumentami słownymi nie jest w mym guście. Trzeba tam pojechać, to się przekonasz, co z tego — podniósł grubą księgę ze stołu — jest prawdą, a co nie!

Klapaucjusz jął odradzać mu ten zamiar, jak mógł, gdy się wszelako przekonał, że Trurl, uparty jak zwykle, ani myśli o rezygnacji z tak osobliwie poczętej wyprawy, najpierw oświadczył, że nie chce go więcej na oczy widzieć, ale niedługo sam się zaczął też sposobić do drogi, bo nie chciał, aby się przyjacielowi samotnie ginęło — we dwóch jakoś raźniej spojrzeć śmierci w oczy.

Zaopatrzwszy się tedy w sporo różności, albowiem droga wieść miała przez pustkowia (co prawda nie tak malownicze, jak to księga przedstawiała), wyruszyli na wypróbowanym swoim statku; lecąc zaś, zatrzymywali się tu i ówdzie, aby zasięgnąć języka, zwłaszcza kiedy minęli granice obszaru, o którym posiadali dokładne wiadomości. Niewiele można się było jednak od tubylców dowiedzieć, prawili bowiem dorzecznie tylko o swym pobliżu, lecz o tym, co znajdowało się i działo tam, gdzie nigdy sami nie bywali, pletli nieprawdopodobieństwa oczywiste, a przy tym szczegółowo, ze smakiem i grozą równocześnie.

Klapaucjusz opowieści takie nazywał krótko korozyjnymi, mając na myśli ową korozję — sklerozję, która trapi wszystkie starcze umysły.

Gdy się wszakże zbliżyli na jakichś pięć — sześć milionów tchnień ogniowych do Pustyni Czarnej, doszły ich słuchy

O jakimś olbrzymie gwałtowniku, który zwał się Zbójcą Dyplojem; nikt przy tym z opowiadających ani go nigdy nie widział, ani nie wiedział, co by takiego miało znaczyć dziwne słowo „Dyploj”, którym stwora owego określano. Trurl myślał, że kto wie: jest to zniekształcony termin „Dipol”, co by świadczyć miało o biegunowej i sprzecznej zarazem, dwoistej naturze zbójcy, ale Klapaucjusz wolał się od hipotez, jako trzeźwiejszy, powstrzymać. Podobno — tak głosiły wieści — zbójca ów był okrutnikiem i raptusem, co się w tym miało przejawiać, iż obłuskawszy już ofiary ze wszystkiego, wciąż niezadowolony dla straszego sknerstwa, że mu wszystkiego było z chciwości mało, bardzo długo i boleśnie przed wypuszczeniem na wolność bijął. Rozważali chwilę konstruktorzy, czy nie zaopatrzyć się aby w jakąś broń palną i sieczną, nim przyjdzie przekroczyć brzeg czarny Pustyni, ale uznali w końcu, że najlepszą bronią są ich umysły, w konstruktorstwie wyostrzone, dalekosiężne i uniwersalne; i pojechali, jak stali.

Przyznać trzeba, że Trurl w czasie dalszej podróży przeżywał wcale gorzkie rozczarowania, albowiem rozgwieżdżiska gwiazdne, płomieniska płomienne, pustynne pustkowia i meteoryczne rafy i skały wędrujące o wiele piękniej były opisywane w starej księdze, niż naprawdę przedstawiały się oku podróżnego. Gwiazd było w okolicy mało, i to zupełnie niepokąźnych, nadto bardzo starych; jedne ledwo pomrugiwały, jak węgielki w popielisku tłące, inne całkiem już po wierzchu ściemniały i tylko przez pęknięcia ich skorupy z żuźla, niechlujnie pomarszczonej, przeświecały żyłki czerwone; dżungli płomienistych ani tajemnych wirów żadnych tu nie było, nikt też, jako żywo, o nich nie słyszał, całe bowiem pustkowie tym się odznaczało, że do ostatniej nudy nudne było, właśnie przez swoją pustkę — i kwita; co się zaś tyczy meteorów, tych spotykało się jak maku, ale w tym grzechotliwym tałajstwie więcej leciało śmiecia aniżeli porządnym magnetytów magnetycznych czy tektytów tektycznych; a to dlatego, ponieważ rękę można było stąd podać do bieguna



galaktycznego i krażenie prądów ciemnych ściągało tu właśnie, ku południowi, niezliczone krocie odpadków i prochów ze sfer centralnych Galaktyki. Toteż sąsiadujące z nim plemiona i ludy zwały ów obszar nie jakąś tam Pustynią Kirową, ale zwyczajnie: śmieciowiskiem.

Tak więc Trurl, kryjąc swe rozczarowanie, jak mógł, przed Klapaucjuszem, aby go do złośliwości nie sprowokować, skierował statek w Pustynię — i zaraz zaczęło po jego pancerzach piaskiem bić, a wszelkie nieczystości gwiazdne, wypływane ze słońc protuberancjami, osiadły takim grubym kożuchem na ścianach kadłuba, że na myśl o przyszłym czyszczeniu — wszystkiego, a zwłaszcza podróżowania, na dobre się odechciewało.

Gwiazdy dawno już znikły w pomroce powszechnej i lecieli tak po omacku, aż naraz statkiem rzuciło, że wszystkie sprzęty, garnki i narzędzia załomotały, i poczuli, jak lecą gdzieś, i to coraz szybciej; wreszcie gruchnęło przeraźliwie i statek, dosyć miękko osiadłszy, znieruchomiał w pochyleniu, jakby się w coś nieruchomego wbił dziobem. Oni więc do okien, lecz na zewnątrz ćma zupełna — choć oko wykol; a już łomot słychać, ktoś niewiadomy, a straszliwej siły, przemocą się do wnętrza dobiera, że ściany skaczą. Teraz dopiero mniejsze poczuli zaufanie do rozumnej swojej bezbronności, lecz próżne po niewczasie żale, więc tylko, aby im klapy nie popsuto siłą, sami ją od środka odemknęli.

Patrzą — a w otwór ktoś gębę wsadza, tak wielką, że

O tym, aby mógł cały w ślad za nią wejść — i mowy nie ma; gęba zaś jest niewymownie przykra, oczyskami cała od góry do dołu, wzdłuż i w poprzek wysadzana, i ma też jakby nos piłowaty, i szczęki — nieszczęki, hakowate i stalowe; nie rusza się, cała szczelnie we framugę wpasowana, i tylko oczy jej złodziejsko latają na wsze strony, każda zaś ich grupka inną obejmuje część otoczenia, a wyraz mają taki, jakby szacowały, czy się to wszystko uczciwie opłaci; nawet ktoś daleko głębszy od konstruktorów pojałby, co znaczy to wypatrywanie, bo nadzwyczaj wymowne.

— Czego? — powiada wreszcie Trurl, tym bezwstydnym łypaniem, dziejącym się w milczeniu, rozwścieczony. — Czego chcesz, mordo zakazana?! Ja jestem sam konstruktor Trurl, omnipotencjator ogólny, a to jest mój przyjaciel Klapaucjusz, też sława i znakomitość, i lecieliśmy tym naszym statkiem turystycznie, więc proszę natychmiast zabrać twarz i wyprowadzić nas z tego niejasnego miejsca, pełnego zapewne nieczystości, i skierować nas w porządną, czystą próżnię, gdyż w przeciwnym wypadku złożymy zażalenie i rozkręcą cię w drobny szmelc, ty śmieciarzu — czy słyszysz, co mówię?!

Lecz ów nic — tylko dalej łypie i jakby coś sobie oblicza. Kalkuluje — czy jak?

— Słuchaj no, pokrako rozpałaszona — woła Trurl, już się z niczym nie licząc, chociaż go Klapaucjusz szturcha dla pomiarkowania — nie mamy ani złota, ani srebra, ani żadnych klejnotów, więc wypuść nas stąd zaraz, a przede wszystkim zabierz tę swoją wielką gębę, bo niewymownie przykra. A ty — zwrócił się do Klapaucjusza — nie szturchaj mnie dla pomiarkowania, bo mam własny rozum i wiem, jak do kogo trzeba mówić!

— Nie potrzebuję ja — odezwie się nagle gęba, zwracając tysiąc oczu ognistych na Trurla — samego tylko złota lub srebra, a mówić do mnie należy delikatnie i z poszanowaniem, albowiem jestem zbójcą z dyplomem, kształconym i bardzo z natury nerwowym. Nie takich też jak wy miewałem ja już u siebie, i dosładzałem ich, jak chciałem — i kiedy wam wszystko skuję, też wyjdzie z was słodycz. Nazywam się Gębon, mam trzydzieści arszynów w każdą stronę i faktycznie rabuję kosztowności, ale w sposób naukowy i nowoczesny, to jest: zabieram drogocenne sekreta, skarby wiedzy, autentyczne prawdy, i w ogóle całą wartościową informację. A teraz jazda, dawać ją tu, bo jak nie, to gwizdnę! Liczę do pięciu — raz, dwa, trzy...

Doliczył, a że mu nic nie dali, rzeczywiście gwizdnął, aż im uszy mało nie poodpadały, a Klapaucjusz pojał, że ten „Dyploj”, o którym tubylcy ze strachem mówili, to był właśnie dyplom, widać na jakiejś Akademii Zbrodniarstwa zdobyty. Trurl zaś aż się za głowę chwycił

rękami, bo Gębon miał głos wedle wzrostu.

— Nic ci nie damy! — zawołał, a Klapaucjusz pobiegł od razu po watę. — I zabieraj zaraz gębę!

— Jeśli gębę zabiorę, to rękę wsadzę — Gębon na to — a mam sążnistą, cęgowatą i ciężką, że niech Bóg broni! Uwaga — zaczynam!

I rzeczywiście: wata, którą przyniósł Klapaucjusz, okazała się już niepotrzebna, bo gęba znikła, a pojawiło się łapsko, sękate, stalowe, niechlujne i pazurno — łopaciaste; i zaczyna grzebać, łamiąc stoły i szafy, i przegrody, aż blachy zazgrzytały. Trurl i Klapaucjusz uciekają przed łapskiem do stosu atomowego i co się który palec zbliży, to go z wierzchu bać! bać! — kociubą. Zgniewał się wreszcie zbójca z dyplomem, znów gębę wraził we framugę i tak rzecze:

— Radzę wam dobrze, układajcie się ze mną zaraz, bo jak nie, to odłożę was na później, na samym dnie mego dołu z zapasami, i śmieciem przytrzasnę, i kamieniami docisnę, że się nie podźwigniecie i rdza zeżre was na wylot; już nie takim radę dawałem; macie wóz lub przewóz!

Trurl nie chciał nawet myśleć o układach, ale Klapaucjusz nie był od tego i pyta, czego właściwie dyplomant sobie życzy.

— Taką mowę lubię — on na to. — Zbieram skarby wiedzy, gdyż takie jest moje zamiłowanie życiowe, płynące z wyższego wykształcenia i praktycznego wglądu w istotę rzeczy, zwłaszcza że za zwyczajne skarby, których zbójcy pro — stakowie łakną, nic nie można tu kupić; natomiast wiedza syci głód poznania, wiadomo zaś, że wszystko, co istnieje, jest informacją; a więc zbieram ją od wieków i będę to czynił dalej; co prawda nie jestem i od tego, aby wziąć jakieś złoto lub klejnoty, bo to ładne, cieszy oko i można powiesić, ale tylko ubocznie, jak się trafi okazja. Zaznaczam, że za fałszywe prawdy bijam, tak samo jak za fałszywe kruszce, bo jestem wyrafinowany i łaknę autentyczności!

— Niby jakiej to autentycznej i drogocennej informacji pożądasz? — pyta Klapaucjusz.

— Wszelkiej, byle prawdziwej — tamten na to. — Każda może się przygodzić na okoliczność życiową. Mam już wadoły moje i lochy pełnawe, ale się jeszcze drugie tyle pomieści. Gadajcie, co wiecie i umiecie, a ja sobie zapiszę. Tylko prędko!

— Ładna historia — Klapaucjusz szepce Trurlowi na ucho — przecież on tu nas może wiek trzymać, zanim mu powiemy, co sami wiemy, wszak olbrzymia jest nasza mądrość!!

— Czekał — Trurl na to — to już ja z nim będę paktował. — I głośno mówi:

— Słuchaj no, ty zbójcu dyplomowany: co się tyczy złota, to posiadamy informacje, warte wszystkich innych, gdyż to jest przepis, jak się robi złoto z atomów; powiedzmy, na początek, z atomów wodoru, bo w Kosmosie ich bez liku — chcesz ten przepis, to dobrze, a potem nas puścisz.

— Już mam całą skrzynię takich recept — gęba na to, oczy wybałuszając gniewnie. — A wszystkie na nic. Nie dam się oszukać więcej — przepis pierwszej trza wypróbować.

— Czemu nie? Można. Masz garnek?

— Nie mam.

— To nic, można i bez garnka, byle się spieszyć — Trurl na to. — Przepis jest prosty: tyle atomów wodoru, ile zaważy atom złota, to jest osiemdziesiąt siedem, wodorowe trzeba najpierw z elektronów obsłuskać, potem protony skulgać, wyrobić ciasto jądrowe, aż się pokażą mezony, i wtedy ładnie elektronami poobsadzać dokoła. Wtedy już masz czyste złoto. Patrz!

Zaczął Trurl łapać atomy, z elektronów obiera, protony miesi, aż mu palców nie widać, tak migają, wyrobił ciasto protonowe, zakręcił elektronami wokół, i do następnego atomu; nie minęło i pięć minut, a miał w rękach bryłkę szczerego złota, podał ją gębie, ta nadgryzła, kiwnęła i mówi:

— Owszem, złoto jest, ale ja tak prędko za atomami uganiać się nie dam rady. Za wielki

jestem.

— To nic, damy ci odpowiedni aparacik! — nęci go Trurl.

— Pomyśl, można w ten sposób przerobić wszystko na złoto, nie tylko wodór, damy ci recepty także na inne atomy; cały Kosmos można uczynić złotym, byle się przyłożyć!

— Jeśliby cały był ze złota, to ono straci wszelką wartość — Gębon praktyczny na to. — Nie, na nic mi wasz przepis: to znaczy, owszem, zapisałem go, ale mało tego! Skarbów wiedzy pragnę.

— Ale co chcesz wiedzieć, u licha ciężkiego?!

— Wszystko!

Popatrzył Trurl na Klapaucjusza, Klapaucjusz na Trurla i mówi ten ostatni tak:

— Jeśli wielką klątwą zaklniesz się i przysięgą zaprzysięgniesz, że nas puścisz zaraz potem, to my ci damy informację o wszechinformacji, to jest sporządzimy ci własnoręcznie Demona Drugiego Rodzaju, który jest magiczny, termodynamiczny, nieklasyczny i statystyczny, i będzie ci ze starej beczułki lub z kichnięcia choćby ekstrahował i znosił informację o wszystkim, co było, co jest, co może być i co będzie. I nie ma demona nad tego Demona, bo on jest Drugiego Rodzaju, a więc jeśli go chcesz, to gadaj zaraz!

Zbójca dyplomowany był nieufny, nie od razu przystał na warunki, ale wreszcie złożył przysięgę, z zastrzeżeniem, że pierwszej musi powstać Demon i udowodnić swą wszech — informacyjną potęgę. Trurl przystał na to.

— Uważaj teraz, wielkogeneity! — mówi. — Czy masz gdzieś u siebie powietrze? Bo bez powietrza Demon działać nie może.

— Niby mam trochę — Gębon na to — ale nie całkiem czyste, bo się zastało...

— Nie szkodzi, może być nawet zgniłe — to nie ma znaczenia — mówią konstruktorzy. — Prowadź nas, gdzie to powietrze, a wszystko ci pokażemy!

Wypuścił ich więc ze statku, odsunawszy gębę, poszli za nim, a on prowadzi ich do siebie — nogi ma jak wieże, plecy jak przepaść, a cały od wieków nie myty i nie smarowany, więc zgrzyta do niemożliwości. I wchodzi za nim do korytarzy piwnicznych; po drodze pełno worków zbutwiałych — chciwiec trzyma w nich zrabowane informacje — pęczkami i paczkami ułożonych, sznurkami przewiązanych, a co ważniejsze, co cenniejsze, to podkreślone czerwonym ołówkiem. A na ścianie lochu wisi olbrzymi katalog, łańcuchem, rdzą zjedzonym, do głazu przykuty. I w nim są działy wszelkie — na samym początku od A wszystko się zaczyna. Spojrzał Trurl, idzie dalej — echo głucho odpowiada, krzywi się on i Klapaucjusz, bo choć pełno nagranych informacji autentycznych i kosztownych, to jednak wszędzie, gdzie wzrok obrócić, same pieczary śmieciary i piwnice śmietnice. Powietrza wszędzie pełno, lecz całkiem zgniłego. Stanęli i Trurl mówi:

— Uważaj! Powietrze jest z atomów, a te atomy skaczą sobie na wsze strony i zderzają się z sobą miliardy razy na sekundę w każdym mikromilimetrze sześciennym, i na tym właśnie polega gaz, że tak skaczą i trykają się wiecznie. Wszelako, choć skaczą na oślep i przypadkiem, to, ponieważ w każdej szpary jest ich miliardy miliardów, wskutek tej liczebności z owych podskoków i podrygów układają się, między innymi, spowodowane czystym trafem, ważkie konfiguracje... Czy wiesz, koniu, co to takiego: konfiguracja?

— Proszę mnie nie obrażać! — on na to. — Albowiem nie jestem zbójem prostym i nieokrzesanym, lecz wyrafinowanym, z dyplomem, i dlatego bardzo nerwowym.

— Dobrze. A więc z tych atomowych skoków powstają ważkie, to jest znaczące konfiguracje, nie przymierzając tak, jakbyś, powiedzmy, na oślep strzelał do ściany, a trafienia ułożyłyby się w jakąś literę. Co w skali wielkiej jest rzadkie i mało prawdopodobne, to w gazie atomowym jest powszednie i nieustanne, a to dla tych bilionowych tryknięć w każdej stutysięcznej cząsteczce sekundy. Lecz problem jest oto taki: w każdej szczypce powietrza doprawdy układają się z fików i drygów atomowych ważkie prawdy i doniosłe sentencje, ale równocześnie powstają tam skoki i od — skoki najzupełniej bezsensowne; i

tych drugich jest tysiące razy więcej niż tamtych. Choć więc i dawniej wiedziano, że teraz oto, przed twoim nosem piłowatym, w każdym miligramie powietrza powstają w ułamkach sekund fragmenty tych poematów, które zostaną napisane dopiero za milion lat, i różnych prawd wspaniałych, i rozwiązania wszelkich zagadek Bytu i tajemnic jego, to nie było sposobu, aby tę informację całą wyosobnić, tym bardziej że ledwo się atomy łebkami trykną i w jakąś treść ułożą, już rozlecą się, a razem z nimi i ona przepadnie, może na zawsze. A więc cały dowcip w tym, aby zbudować selektor, który będzie wybierał tylko to, co w bieganinie atomów sensowne. Oto i cała idea Demona Drugiego Rodzaju, pojąłeś cokolwiek, wielki Gębonie? Idzie, uważasz, o to, aby Demon ekstrahował z atomowych tańców tylko prawdziwą informację, to jest teorematy matematyczne i żurnale mód, i wzory, i kroniki historii, i przepisy na placek jonowy, i sposoby cerowania oraz prania pancerzy azbestowych, i wiersze, i porady naukowe, i almanachy, i kalendarze, i tajne wieści o tym, co kiedyś zaszło, i wszystko to, co gazety pisały i piszą w całym Kosmosie, i książki telefoniczne, jeszcze nie wydrukowane...

— Dość! Dość!! — zawołał Gębón. — Przestań wreszcie! I co z tego, że te atomy tak się składają, kiedy zaraz się rozlatują, i wcale nie wierzę, aby można było oddzielić prawdy bezcenne od wszelakiego drygania i podskakiwania drobin powietrznych, które nie ma żadnego sensu i nikomu jest na nic!

— A więc doprawdy jesteś mniej głupi, niż sądziłem — rzekł Trurl — ponieważ istotnie trudność cała w tym tylko, aby tę selekcję uruchomić. I ja wcale cię o jej możliwości nie zamierzam przekonywać teoretycznie, ale, zgodnie z obietnicą, zaraz, tu, na poczekaniu, zbuduję Demona Drugiego Rodzaju, abyś naocznie pojął cudowną doskonałość tego Wszechinformatora! Co do ciebie, musisz tylko dostarczyć mi pudła, może być niewielkie, ale szczelne; zrobimy w nim maluteńką dziureczkę końcem szpilki i posadzimy Demona nad tym otworkiem; i siedząc okrakiem, będzie wypuszczał z pudła tylko informację sensowną, a poza nią nic więcej. Gdy się bowiem tylko jakaś kupka atomów tak zestroi trafem, że będzie coś znaczyła, to Demon zaraz cap ją za łeb i natychmiast znaczenie owo spisze specjalnym pisakiem brylantowym na wstędze papierowej, której trzeba przygotować mu co niemiara, gdyż będzie działał dzień i noc i dzień — aż Kosmos ustanie, prędzej nie... Przy tym sto miliardów razy na sekundę, co sam zobaczysz; bo właśnie tak działa Demon Drugiego Rodzaju. Z tymi słowy poszedł Trurl na statek, by sporządzić Demona, a Gębón pyta tymczasem Klapaucjusza:

— A jaki jest Demon Pierwszego Rodzaju?

— Och, ten mniej ciekawy, to zwykły demon termodynamiczny, który tylko tyle umie, że przez otworek wypuszcza atomy szybkie, a powolnych nie; i takim sposobem powstaje perpetuum mobile termodynamiczne. Wszelako z informacją nie ma to nic wspólnego, więc przygotuj lepiej naczynie z dziurką, bo Trurl zaraz wróci!

Poszedł zbójca z dyplomem do drugiej piwnicy, nałomotał tam blachami, nakłął się, nakopał żelastwa, nabrodził w nim, aż wyciągnął spod blach starą beczkę pustą, żelazną, zrobił w niej malutką dziurkę i wraca, a właśnie nadchodzi Trurl z Demonem w ręku.

Beczka była pełna zgniłego powietrza, że nos chciał odpaść, gdy się go do otworka zbliżyło, ale Demonowi nie robi to żadnej różnicy; posadził Trurl tę okruszynę okrakiem nad dziurką, na beczce, założył u góry wielki bęben z taśmą papierową, podprowadził ją pod pisaczek brylantowy, który z ochoty już się trzęsie, i zaczęło się wystukiwanie — stuk-puk, stuk-puk, jak w jakim urzędzie telegraficznym, lecz milion razy szybciej. Tylko drżało i wibrowało maleńkie pióreczko z brylancikiem na koniuszku, a wstęga z informacją jęła powoli spływać, zapisana, na bardzo brudną i wyjątkowo zaśmieconą podłogę piwnicy.

Siadł obok beczki zbój Gębón, podnosi do stu oczu wstęgę papierową i odczytuje, co też tam wyławia Demon, jako sitko informacji, z atomowego podskakiwania wiecznego; i tak zaraz pochłonęły go te ważkie treści, że ani widział, jak obaj konstruktorzy czym prędzej

wyszli z piwnicy, wzięli statek swój za stery, szarpnęli raz, drugi, trzeci, aż wydobyli go z owej zapadni, w którą ich zbój wtrącił, wskoczyli do środka i pomknęli przed siebie tak szybko, jak się tylko dało, albowiem wiedzieli, że choć ich Demon działa, domyślali się zarazem, że działania tego rezultaty obdarzą Gębona bogactwem większym od upragnionego. Ów zaś siedział o beczkę oparty i w popiskiwanym pisaku brylantowego, którym Demon spisywał na wstędze papierowej wszystko, czego się od atomów drgających dowiadywał, czytał o tym, jak się wiją arlebardzkie wiją i że córka króla Petrycego z Labaudii zwała się Garbunda, i co jadł na drugie śniadanie Fryderyk II, król bladawców, nim wojnę wypowiedział Gwendolinom, i ile powłok elektronowych liczyłby sobie atom termionolium, gdyby taki pierwiastek był możliwy, i jakie są wymiary dziurki tylnej małego ptaszka, zwanego kurkucielem, którego na swych rozamforach malują Marłajowie Wabędzcy, jak również o trzech smakach poliwonnych szlamu oceanicznego na Wodocji Przyzroczonej, i o kwiatku Łubuduku, który myśliwych staromalfandzkich wali siarczyście na odlew, świtem wzruszony, i jak wyprowadzić wzór na dostawę kąta podstawy wieloboku, ikoseadrem zwanego, i kto był jubilerem Fafucjusza, rzeźnika mańkuta Buwantów, i ile pism filatelistycznych będzie wychodziło w roku siedemdziesiątych na Morkonaucji, i gdzie znajduje się trupek Cybrycji Kraśnopiętej, którą gwoździem przebił po pijanemu niejaki Malkonder, i czym się różni Maciąg od Naciągu, a także kto ma najmniejszą w Kosmosie pielownicę wzdłużną i dlaczego pchły smoczkotyłkie mchu jeść nie chcą, i na czym polega gra zwana Balansyer Zadni Ściągany, i ile było ziarenek łwichwostu w tej kupce, co ją Abrukwian Polistny nogą trącił, kiedy się pośliznął na ósmym kilometrze szosy albacjerskiej w Dolinie Wzduchów Szedziwych — i pomału diabli go zaczynali brać, bo już mu świtało, że wszystkie owe całkiem prawdziwe i ze wszech miar sensowne informacje zupełnie nie są mu potrzebne, gdyż robił się z tego groch z kapustą, od którego głowa pękała, a nogi drżały. A Demon Drugiego Rodzaju działał z szybkością trzystu milionów informacji na sekundę i milami skręcała się już papierowa taśma, i z wolna pokrywała zwojami zbója dyplomowanego, omotując go jakby białą pajęczyną, a brylancik pisaka drgał jak szalony i wydawało się zbójowi, że zaraz już dowie się rzeczy niesłychanych, takich, które mu oczy na Istotę Bytu otworzą, więc wczytywał się we wszystko, co leciało spod brylancika, a były to pieśni opilcze Kwajdonosów i rozmiary pantofli nocnych na kontynencie Gondwana, z pomponami, i grubość włosów, które rosną na czole miedzianym paciornika węburchego, i szerokość ciemniaczka mowląt pasiebnych, i litanie zaklinaczy harmęckich dla obudzenia wielbego Ćpiela Grosipiulka, i owerdiery diukońskie, i sześć sposobów warzenia zupki grysikowej, i trutka dobra na stryjny, i sposoby łechtania cikliwego, i nazwiska obywateli Bałowierni Cimskiej na literę M się zaczynające, i opisy smaku piwa grzybkiem nad — psutego...

Aż mu w oczach zamrowiło i wrzasnął wielkim głosem, bo miał dość, lecz już go Informacja trzystu tysiącami mil papierowych spowiła i spętała, że nie mógł się ruszyć i musiał czytać dalej, o tym, jaki początek drugiej „Księgi dzungli” napisałby Rudyard Kipling, gdyby go wtedy brzuch bolał, i o czym myśli zmartwiony niezamęściem wieloryb, i jakie są zaloty miłosne muchatek trupnych, i jak można załatać stary worek, i co to jest strzybło, i czemu się mówi szewc i krawiec, a nie krawic i szewiec, a także ile można naraz mieć siniaków. Potem zaś przyszła długa seria rozróżnień między trelami i morelami: że pierwsze są łyse, a drugie mają włoski, a dalej — jakie są rymy do słowa „kapustka” i jakimi słowami obraził papież Ulm z Pendery antypapieża Mulma, i kto ma granicę grzebienną. Wtedy bardzo już rozpaczliwie usiłował się wydobyć z matni papierowej, lecz rychło osłabł; odpychał taśmę, darł je i odrzucał, lecz miał zbyt wiele oczu, aby się chociaż przed niektóre jakieś nowe nie dostały informacje, więc z musu się dowiedział, jakie są kompetencje stróża domowego w Indochinach i dlaczego Nadojderowie z Flutorsji wciąż mówią, że ich zawiało. Lecz wtedy zamknął oczy i znieruchomiał, przywalony lawiną informacyjną, a Demon dalej

owijał go i spowijał papierowymi bandażami, karząc straszliwie zbója Gębona dyplomowanego za jego łapczywość bezmierną wiedzy wszelakiej.

Po dzisiaj siedzi tak ów zbójca na samym dnie swoich śmieciar i śmietnic, górami papieru nakryty, a w półmroku piwnicznym najczystsza iskierką drży i trzęsie się pisaczek brylantowy, notując wszystko, co Demon Drugiego Rodzaju wyłuskuje z płasów atomowych powietrza, które płynię przez dziurkę starej beczki; i dowiaduje się, gwałcony informacji potopem, Gębón nieszczęsny różności nieskończonych o pomponach, karakonach i o własnej przygodzie tu przedstawionej, bo i ona znajduje się na którymś kilometrze wstęg papierowych — jak również innych historii oraz przepowiedni losów wszelkiego stworzenia aż po zagaśnięcie Słońc; i nie ma dlań ratunku, gdyż tak go srodze konstruktorzy ukarali za napaść zbójcką — chyba że się wreszcie kiedyś wstęga skończy, bo papieru zabraknie.

## WYPRAWA

— Świadek Shennan Ouine?

— To ja, panie komandorze.

— Jest pan świadkiem w postępowaniu toczącym się przed Trybunałem Izby Kosmicznej, któremu przewodniczę. Zwracając się do mnie, proszę używać tytułu przewodniczącego, a członków Trybunału nazywać sędziami. Na pytania Trybunału winien pan odpowiadać niezwłocznie, natomiast na pytania oskarżenia i obrony tylko po uprzednim zezwoleniu Trybunału. W zeznaniach może się pan opierać wyłącznie na tym, co pan widział i wie z własnego doświadczenia, ale nie na tym, co pan słyszał od osób trzecich. Czy świadek zrozumiał pouczenie?

— Tak, panie przewodniczący.

— Nazwisko i imię świadka brzmi Shennan Ouine?

— Tak.

— Jako członek załogi „Goliata” używał pan jednak innego nazwiska?

— Tak, panie przewodniczący: to było jednym z warunków umowy, jaką zawarli ze mną armatorzy.

— Świadek znał powody, dla których nadano mu pseudonim?

— Znałem je, panie przewodniczący.

Świadek brał udział w locie okrężnym „Goliata”, okresie od siedemnastego do trzydziestego października bieżącego roku?

— Tak, panie przewodniczący.

— Jakie funkcje pełnił świadek na pokładzie?

— Byłem drugim pilotem.

— Proszę opowiedzieć Trybunałowi, co zaszło na pokładzie „Goliata” w dniu dwudziestym pierwszym października podczas wspomnianego rejsu, poczynając od ustaleń dotyczących położenia statku i postawionych mu zadań.

— O ósmej trzydzięci czasu pokładowego przecięliśmy perymetr satelitów Saturna z szybkością hiperboliczną i zaczęliśmy hamowanie, które trwało do jedenastej. Wytraciliśmy w tym czasie hiperboliczną i przy podwójnej okrężnej zerowej rozpoczęliśmy manewr wchodzenia na orbitę kołową, aby naprowadzać z niej sztuczne satelity na płaszczyznę pierścienia.

— Przez podwójną zerową świadek rozumie szybkość pięćdziesięciu dwu kilometrów na sekundę?

— Tak, panie przewodniczący. O jedenastej skończyłem moją wachtę, ale ponieważ manewrowanie wobec trwałych zakłóceń wymagało ciągłych poprawek kursowych, zamieniłem się tylko miejscem z pierwszym pilotem, który odtąd prowadził, a ja pracowałem jako nawigator.

— Kto kazał panu tak postąpić?

— Dowódca, panie sędzio. Była to zresztą procedura normalna w takich okolicznościach. Zadaniem naszym było podejść możliwie blisko na bezpieczną jeszcze odległość do granicy Roche’a w płaszczyźnie pierścienia i stamtąd, z orbity praktycznie kołowej, wyrzucić kolejno trzy sondy automatyczne, które mieliśmy naprowadzić zdalnie drogą radiową w obręb strefy Roche’a. Jedna sonda miała być umieszczona wewnątrz szczeliny Cassiniego, to znaczy w przestrzeni oddzielającej wewnętrzny pierścień Saturna od zewnętrznego, a dwie pozostałe były przeznaczone do kontrolowania jej. ruchów. Czy mam to objaśnić dokładniej?

— Proszę to zrobić.

— Słuchani, panie przewodniczący. Każdy z pierścieni Saturna składa się z drobnych ciał meteoropodobnych, a rozdziela je szczelina o szerokości mniej więcej czterech tysięcy

kilometrów. Sztuczny satelita, umieszczony wewnątrz szczeliny i obiegający planetę po kołowej orbicie, miał dostarczać informacji o zakłóceniach grawitacyjnego pola oraz o wewnętrznych ruchach wzajemnych ciał, z których składają się pierścienie. Jednakże satelita taki zostałby w krótkim czasie wypchnięty perturbacjami z owej pustej przestrzeni albo w obręb pierścienia wewnętrznego, albo zewnętrznego, i naturalnie strzaskany jak we młynie.

Aby do tego nie dopuścić, mieliśmy użyć specjalnych satelitów, posiadających własny napęd w postaci silników jonowych o względnie małym ciągu, rzędu jednej czwartej do jednej piątej tony, przy czym dwa satelity—”stróże” winny były dzięki radarowym czujnikom baczyć na to, żeby ten, który krąży wewnątrz szczeliny, nie opuszczał jej. Posiadając na pokładach kalkulatory, miały one obliczać odpowiednie poprawki dla owego satelity i uruchamiać należycie jego silniki, przez co spodziewano się, że satelita będzie mógł pracować tak długo, jak długo będzie miał ciąg, więc około dwu miesięcy.

— W jakim celu mieliście umieścić aż dwa satelity kontroli? Czy świadek nie uważa, że wystarczyłby jeden?

— Na pewno wystarczyłby jeden, panie sędzio. Drugi „stróż” był po prostu rezerwą na wypadek, gdyby pierwszy zawiódł bądź uległ zniszczeniu w kolizji meteorytowej. Z Ziemi, obserwowana astronomicznie, przestrzeń okołosaturnowa wydaje się poza pierścieniami i księżycami pusta, ale w rzeczywistości jest porządnie zaśmiecona. Wymijanie drobnych ciał jest oczywiście w takich warunkach niemożliwe. Właśnie dlatego było naszym zadaniem utrzymywać szybkość kołową orbitalną, ponieważ praktycznie wszystkie okruchy krążą w przyrównikowej płaszczyźnie Saturna z jego pierwszą kosmiczną szybkością. Zmniejszyło to szanse zderzenia do rozsądnego minimum. Mieliśmy poza tym na pokładzie ochronę przeciwmeteorytową pod postacią ekranów do wystrzelania: ekrany można było albo wystrzelić ze stanowiska pilota, albo też mógł to samo zrobić odpowiedni automat, sprzężony z radarem własnym statku.

— Czy świadek uważał zadanie za trudne bądź niebezpieczne?

— Nie było ani specjalnie niebezpieczne, ani szczególnie trudne, panie sędzio, przy założeniu, że wszystkie manewry zostaną wykonane sprawnie i bez zakłóceń. Saturn, z jego pobliżem, uchodzi wśród nas za śmietnik gorszy od Jowiszowego, ale za to przyspieszenia, które trzeba rozwijać przy manewrach, są daleko mniejsze niż w perymetrach Jowisza, i to daje znaczne plusy.

— Kogo świadek miał na myśli, mówiąc „wśród nas”?

— Pilotów, panie sędzio, no i nawigatorów.

— Jednym słowem — kosmonautów?

— Tak, panie sędzio. Gdy dochodziła dwunasta czasu pokładowego, doszliśmy praktycznie do zewnętrznej granicy pierścienia.

— W jego płaszczyźnie?

— Tak. Na odległość około tysiąca kilometrów. Czujniki wskazywały już tam znaczne zapylenie. Mieliśmy około czterystu mikrozderzeń pyłowych na minutę. Zgodnie z programem weszliśmy w strefę Roche’a ponad pierścieniem i z orbity kołowej, która była praktycznie równoległa do szczeliny Cassiniego, zaczęliśmy wyrzucać sondy. Pierwszą wystrzeliliśmy o piętnastej czasie pokładowego i naprowadziliśmy ją impulsem radarowym w obręb samej szczeliny. To właśnie było moim zadaniem. Pilot pomagał mi, utrzymując minimalny ciąg. Dzięki temu krążyliśmy praktycznie z taką samą szybkością jak pierścienie, Calder manewrował bardzo zręcznie. Ciąg dawał tylko taki, który pozwala prawidłowo zorientować statek — dziobem do przodu, bo bez ciągu wchodzi się od razu w koziółkowanie.

— Kto znajdował się w sterowni oprócz świadka i pierwszego pilota?

— Wszyscy. Cała załoga, panie sędzio. Dowódca siedział między mną i Calderem, bardziej po jego stronie, bo tak ustawił sobie fotel. Za mną był inżynier z elektronikiem.



Doktor Burns siedział, zdaje się, za dowódcą.

— Świadek nie jest tego pewny?

— Nie zwróciłem na to uwagi. Byłem przez cały czas zajęty, a zresztą z fotela trudno patrzeć w tył. Oparcie jest zbyt wysokie.

— Sonda została wprowadzona w szczelinę wizualnie?

— Nie tylko wizualnie, panie sędzio. Miałem z nią trwałą łączność telewizyjną. Pomagałem też sobie radarowym altimetrem. Obliczywszy dane jej orbity stwierdziłem, że siedzi dobrze — mniej więcej pośrodku pustej przestrzeni międzypierścieniowej — i powiedziałem Calderowi, że jestem gotów.

— Że świadek jest gotów?

— Tak, do naprowadzenia następnej sondy. Calder uruchomił łapę, kłapa otworzyła się, ale sonda nie wyszła.

— Co pan nazywa „łapą”?

— Tłok poruszany hydraulicznie, który wypycha sondę z zewnętrznej wyrzutni po otwarciu kłapy. Mieliśmy na rufie trzy takie wyrzutnie i należało trzykrotnie powtórzyć ten sam manewr.

— Więc drugi z kolei satelita nie opuścił statku?

— Nie, utkwiał w wyrzutni.

— Proszę dokładnie przedstawić, jak do tego doszło.

— Kolejność operacji była następująca: najpierw otwiera się kłapę zewnętrzną, potem uruchamia się hydraulikę, a gdy wskaźnik daje znać, że satelita wychodzi, włącza się jego automat startowy. Automat daje zapłon po stu sekundach opóźnienia, więc zawsze jest dosyć czasu, żeby go wyłączyć, gdyby doszło do awarii. Automat uruchamia mały booster na paliwo stałe i satelita odchodzi własnym ciągiem od statku, piętnastosekundowym ciągiem rzędu tony. Chodzi o to, żeby oddalił się od macierzystego statku możliwie szybko. Kiedy booster się wypala, automatycznie włączeniu ulega silnik jonowy, znajdujący się pod zdalną kontrolą nawigatora. W tym wypadku Calder włączył już automat rozruchu, bo satelita zaczął się wysuwać, a kiedy nagle stanął, próbował automat wyłączyć, ale mu się to nie udało.

— Świadek jest pewien tego, że pierwszy pilot usiłował wyłączyć startowy automat sondy?

— Tak, mocował się z rękojeścią, która zeskoczyła wstecz, ale nie wiem, czemu ładunek mimo to odpalił. Calder krzyknął: „Blok!” — to słyszałem.

— Krzyknął: „Blok!”?

— Tak, coś się tam zablokowało. Było jeszcze około pół minuty do odpalenia boostera, więc starał się ponownie wypchnąć sondę, zwiększając ciśnienie, manometry wskazywały maksimum, ale siedziała jak wklinowana. Wtedy cofnął tłok i uruchomił go ponownie, wszyscy czuliśmy, jak uderzył w sondę, bo to było prawie jak uderzenie młotem.

— Usiłował w ten sposób wypchnąć sondę?

— Tak, panie sędzio; należało się liczyć z jej ewentualnym zniszczeniem, bo nie zwiększył nacisku stopniowo, ale dał od razu pełne ciśnienie w przewody, co zresztą było zupełnie rozsądne, biorąc pod uwagę to, że mieliśmy zapasową sondę, ale nie mieliśmy zapasowego statku.

— Czy to miał być dowcip? Świadek zechce się powstrzymać od takiego okraszania zeznań.

— Tak więc tłok uderzył, ale sonda nie wyszła, a że czas mijał, krzyknąłem „Pasy!” — i zapiąłem się na całą moc. Oprócz mnie krzyknęło to co najmniej dwu ludzi, jednym z nich był dowódca, poznałem go po głosie.

— Proszę wyjaśnić Trybunałowi, czemu świadek postąpił w ten sposób.

— Byliśmy na orbicie kołowej, nad pierścieniem A, więc szliśmy praktycznie bez ciągu. Wiedziałem, że kiedy booster odpali, a odpalić musiał, bo starter już działał, dostaniemy

boczny odrzut i statek zacznie koziółkować. Zaklinowała się sonda sterburty, zwróconej ku Saturnowi. Musiała więc działać jako boczny deflektor. Oczekiwałem koziółków i siły odśrodkowej, którą pilot będzie zmuszony gasić własnym ciągiem przeciwnym statku. W takim położeniu nie dałoby się z góry przewidzieć wszystkich ewolucji, do jakich mogło dojść. Trzeba było w każdym razie być porządnie zapiętym.

— Więc świadek podczas wachty, pełniąc u sterów funkcje nawigatora, miał rozpięte pasy?

— Nie, panie sędzio, nie były rozpięte, miały tylko luz. Można go w pewnych granicach regulować. Przy całkowitym zaciągnięciu klamry — nazywamy to „na całą moc” — ma się zmniejszoną swobodę ruchów.

— Czy świadkowi wiadomo o tym, że regulamin nie przewiduje żadnych luzów ani ustąpienia w zaciąganiu pasów?

— Tak jest, Wysoki Trybunale, wiedziałem, że instrukcja mówi coś innego, ale tak się zawsze robi.

— Jak to świadek rozumie?

— W praktyce na wszystkich statkach, na jakich latałem, regulowało się luzy w pasach, bo to ułatwia pracę.

— Nagminność wykroczenia nie może go usprawiedliwić. Proszę mówić dalej.

— Tak jak tego oczekiwałem, booster sondy odpalił. Statek zaczął się obracać w osi poprzecznej i równocześnie znosiło nas z dotychczasowej orbity, zresztą bardzo powoli. Pilot równoważył ten ruch podwójny własnym ciągiem bocznym, ale nie do końca, to znaczy — nie z zerowym skutkiem.

— Dlaczego?

— Nie byłem sam przy sterach, ale przypuszczam, że to było nie do zrobienia. Sonda siedziała zaklinowana w wyrzutni z otwartą klapą, przez ten otwór wydobywała się część gazów jej silnika, przy czym strumień gazów musiał mieć zawirowania i przez to nie bił równomiernie. Efekt był taki, że boczne impulsy raz słabły, a raz się wzmacniały, wskutek czego korekcja ciągiem własnym powodowała wahadłowe ruchy boczne całego korpusu, a kiedy booster wypalił się, przeszliśmy w koziółkowanie daleko silniejsze, z odwrotnym znakiem, które pilot zgasił dopiero po dobrej chwili, gdy się zorientował, że booster wprawdzie zdechł, ale pracuje za to silnik jonowy.

— „Booster zdechł”?

— Chciałem powiedzieć, że pilot nie był zupełnie pewien, czy silnik jonowy sondy odpali, w końcu uderzył ją bardzo silnie tłokiem i mógł go uszkodzić: zresztą właśnie to było chyba jego zamiarem, ja też bym tak postąpił. Kiedy booster wygasł, okazało się jednak, że napęd jonowy działa i znowu mieliśmy defleksję boczną rzędu jednej czwartej tony. Nie było tego wiele, a jednak dosyć dla koziółkowania na takiej orbicie. Mieliśmy przecież okrężną szybkość orbitalną, a wtedy najmniejsze różnice przyspieszenia wywierają ogromny efekt na trajektorię lotu i na stateczność własną.

— Jak zachowali się wtedy członkowie załogi?

— Zupełnie spokojnie, panie sędzio. Oczywiście wszyscy musieli, zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa w momencie, gdy booster odpalił, bo to jest ładunek prochowy wagi stu kilogramów, który mógł w tej na poły zamkniętej przestrzeni, jaką stanowiła wyrzutnia z zaklinowaną sondą, po prostu zdetonować jak bomba. Otwarłoby to nam sterburte jak puszkę konserw. Na szczęście do eksplozji nie doszło. Silnik jonowy już takiego niebezpieczeństwa nie przedstawiał. Co prawda mieliśmy dodatkową komplikację, spowodowaną przez to, że automat uruchomił alarm pożarowy i zaczął zatapiać wyrzutnię numer dwa pianą. Nie mogło to nam nic dać dobrego, bo silnika z jonowym ciągiem piany nie ugasi, toteż wyrzucało tylko pianę przez otwartą klapę, przy czym jej część była chyba wsysana do wylotowego leja sondy i powodowała zdławienie ciągu. Dopóki pilot nie wyłączył z sieci gaśnic, mieliśmy przez

dobrych kilka minut boczne szarpania, niezbyt mocne, ale w każdym razie utrudniające stabilizację lotu.

— Kto uruchomił sieć gaśnic?

— Automat, panie sędzio, kiedy czujniki pokazały wzrost temperatury w poszyciu sterburty ponad siedemset stopni — to booster tak nas podgrzał.

— Jakie polecenia lub rozkazy dawał do tego czasu dowódca?

— Nie dawał żadnych poleceń ani rozkazów. Wyglądało mi na to, że chce się przekonać, co robi pilot. Mieliśmy zasadniczo dwie możliwości: albo po prostu odejść od planety rosnącym ciągiem i rozpocząć powrót do hiperboli, rezygnując z wykonania zadań, albo też próbować wprowadzenia na kontrolną orbitę ostatniej, trzeciej sondy. Odejście oznaczało ruinę programu, ponieważ sonda, która już krążyła w szczelinie, na pewno roztrzaskałaby się, dryfując, po paru godzinach najwyżej. Zewnętrzna korekcja jej toru,, dawana sondą—”stróżem”, była konieczna.

— Tę alternatywę powinien był naturalnie rozstrzygnąć dowódca statku?

— Panie przewodniczący, czy mam odpowiedzieć na to pytanie?

— Świadek odpowie na pytanie oskarżenia.

— A więc, dowódca mógł naturalnie wydawać rozkazy, ale robić tego nie musiał. Zasadniczo pilot w określonych okolicznościach uprawniony jest do pełnienia funkcji równoważnych funkcjom dowódcy statku, jak o tym mówi szesnasty paragraf instrukcji pokładowej, ponieważ często było tak, że nie ma czasu na porozumiewanie się pomiędzy dowódcą a ludźmi przy sterach.

— Ale w powstałych okolicznościach dowódca rozkazy wydawać mógł, ponieważ statek ani nie znajdował się pod akceleracją, uniemożliwiającą wydawanie rozkazów głosem, ani też nie był w bezpośrednim niebezpieczeństwie zniszczenia.

— O piętnastej z minutami czasu pokładowego pilot dał umiarkowany ciąg wyrównawczy...

— Dlaczego świadek zignorował to, co powiedziałem? Proszę Wysoki Trybunał o udzielenie świadkowi upomnienia i nakazanie mu, aby odpowiedział na moje słowa.

— Wysoki Trybunale, miałem odpowiadać na pytania, ale oskarżenie nie zadało mi żadnego pytania. Oskarżenie wypowiedziało tylko własny komentarz interpretujący powstałą na statku sytuację. Czy mam ze swej strony ten komentarz skomentować?

— Oskarżenie zechce sformułować pytanie adresowane do świadka, a świadek winien wykazać maksimum dobrej woli przy zeznawaniu.

— Czy świadek nie uważa, że dowódca powinien był w powstałej sytuacji powziąć konkretną decyzję i zakomunikować ją pilotowi w postaci rozkazu?

— Instrukcja, panie prokuratorze, nie przewiduje...

— Świadek ma zwracać się tylko do Trybunału,

— Słucham. Instrukcja, Wysoki Trybunale, nie przewiduje szczegółowo wszystkich okoliczności, jakie mogą powstać na pokładzie. To jest zresztą niemożliwe. Gdyby to było możliwe, wystarczyłoby, aby każdy członek załogi na pamięć się jej nauczył i wtedy dowodzenie nie byłoby w ogóle potrzebne.

— Panie przewodniczący, oskarżenie protestuje przeciwko tego rodzaju ironicznym uwagom świadka!

— Świadek zechce odpowiadać zwięźle i prosto na pytania oskarżyciela.

— Słucham. A więc nie uważam, żeby dowódca musiał wydawać w owej sytuacji specjalne rozkazy. Był obecny; widział i rozumiał, co się dzieje; jeśli milczał, znaczyło to, że wedle dwudziestego drugiego paragrafu instrukcji pokładowej, zezwala pilotowi na działanie zgodne z jego rozeznaniem własnym.

— Wysoki Trybunale, świadek fałszywie interpretuje brzmienie dwudziestego drugiego paragrafu instrukcji pokładowej żeglugi kosmicznej, ponieważ odpowiedni jest tu paragraf

dwudziesty szósty, który mówi o sytuacjach niebezpiecznych.

— Wysoki Trybunale, sytuacja, która powstała na „Goliacie”, nie była niebezpieczna ani dla statku, ani dla zdrowia i życia załogi.

— Świadek, Wysoki Trybunale, wykazuje najwyraźniej złą wolę, gdyż zamiast dążyć do ustalenia prawdy obiektywnej, w swoich zeznaniach usiłuje per fas et nefas usprawiedliwić postęпки oskarżonego Pirxa, który był dowódcą statku! Sytuacja, w jakiej statek się znalazł, niewątpliwie należała do takich, które obejmuje brzmienie paragrafu dwudziestego szóstego!

— Wysoki Trybunale, oskarżyciel nie może jednocześnie pełnić funkcji rzeczoznawcy-biegłego, który ustala stany rzeczowe!

— Odbieram świadkowi głos. Trybunał zawiesza kwestię odpowiedniości dwudziestego drugiego lub dwudziestego szóstego paragrafu instrukcji pokładowej do osobnego rozstrzygnięcia. Świadek przedstawi obecnie, co zaszło na statku w dalszym ciągu.

— Calder nie zwracał się wprawdzie do dowódcy z żadnymi pytaniami, ale widziałem, że kilkakrotnie spojrział w jego stronę. Tymczasem ciąg zaklinowanej sondy wyrównał się i ustatecznienie statku nie nastęrczało trudności. Calder, mając dobrą stabilizację, poszedł na oddalenie od pierścienia, ale nie żądał ode mnie obliczenia kursów powrotnych, więc domyśliłem się, że będzie jednak próbował dokończenia naszych zadań. Kiedyśmy wyszli poza granicę Roche’a, o szesnastej mniej więcej, zasygnalizował szczyt i natychmiast spróbował wytrząsnąć sondę.

— To znaczy?

— No cóż, włączył sygnały szczytu przeciążeniowego i zaraz potem dał najpierw całą wstecz, a potem całą naprzód; sonda waży trzy tony; pod pełną akceleracją musiała ważyć prawie dwadzieścia razy tyle. Powinna była wylecieć z tej wyrzutni jak groszek. Mając z dziesięć tysięcy mil luzu, Calder dał te uderzenia ciągiem dwa razy po kolei, ale bez rezultatu. Sprawił tyle, że defleksja jeszcze wzrosła. Przypuszczalnie pod wpływem gwałtownych przyspieszeń sonda, która jeszcze mocniej zaklinowała się w wyrzutni, zmieniła położenie, tak że teraz cały strumień jej gazów bił w uchyloną klapę zewnętrzną, odbijał się od niej i uciekał w przestrzeń. Uderzenia ciągiem były zarówno nieprzyjemne dla nas, jak i trochę ryzykowne, ponieważ już było jasne, że jeżeli sonda w ogóle pójdzie, to chyba zabierze ze sobą kawałek zewnętrznego pancerza. Wyglądało na to, że albo będziemy musieli wysłać ludzi w skafandrach z narzędziami na pancerz, albo też wracać, ciągnąc z sobą tę cholę... przepraszam, tę zaklinowaną sondę.

— Czy Calder nie próbował wyłączyć silnika sondy?

— Nie mógł tego zrobić, panie sędzio, bo kabel sterowniczy, łączący sondę ze statkiem, był już przerwany — a więc pozostawało tylko sterowanie drogą radiową, ale sonda tkwiła w samym wylocie wyrzutni i była ekranowana jej metalową osłoną. Lecieliśmy może minutę, oddalając się od planety, i byłem już przekonany, że jednak zdecydował się na odwrót; wykonał kilka manewrów, robiąc tak zwany najazd na gwiazdę — polega to na tym, że dziobem statku celuje się w obraną gwiazdę i daje przy tym różne ciągi. Jeśli sterowność jest w normie, gwiazda powinna tkwić w ekranach zupełnie nieruchomo. Oczywiście tak nie było, mieliśmy zmienioną charakterystykę lotu i Calder starał się zbadać jej liczbowe wartości. Po kilku próbach udało mu się jednak dobrać ciągi, wyrównując defleksję, i wtedy zawrócił.

— Czy świadek zorientował się wówczas we właściwym zamierzeniu Caldera?

— Tak, to znaczy — przypuszczałem, że będzie chciał jednak wyorbitować pozostałą na pokładzie trzecią sondę. Zeszliśmy na płaszczyznę ekliptyki z powrotem, od strony Słońca, przy czym Calder pracował po prostu znakomicie; gdybym o tym nie wiedział, nigdy bym nie przypuścił, że z taką swobodą steruje statkiem, który ma niejako wbudowany osobny boczny silnik, nie uwzględniony konstrukcyjnie. Kazał mi obliczyć kursowe poprawki i całą trajektorię wraz z impulsami sterowania dla naszej „trzeciej sondy. Wtedy nie mogłem już mieć żadnych wątpliwości.

— Świadek te polecenia wykonał?

— Nie, panie sędzio. To znaczy, powiedziałem mu, że nie mogę obliczać kursów zgodnie z programem, skoro mamy postępować inaczej — a przecież nie mogliśmy się już ściśle trzymać programu. Zażądałem od niego dodatkowych danych, bo nie wiedziałem, z jakiej wysokości chce wyorbitować ostatnią sondę, ale nic mi nie odpowiedział. Być może, zwrócił się do mnie tylko po to, aby powiadomić dowódcę o swoim zamiarze.

— Tak świadek sądzi? Mógł przecież zwrócić się do dowódcy bezpośrednio.

— Może nie chciał tego robić. Może zależało mu na tym właśnie, żeby nikt nie pomyślał, że on sam nie wie, jak należy postępować i potrzebuje pomocy. Ale równie dobrze mogło być tak, że chciał pokazać, jak doskonałym jest pilotem, jeśli bierze się do wykonania zadań, w których nawigator, to znaczy ja, nie potrafi mu pomóc. Dowódca jednak nie zareagował, a Calder już szedł na zbliżenie z pierścieniami. Wtedy przestało mi się to podobać.

— Świadek zechce zeznawać w sposób bardziej rzeczowy.

— Tak, panie sędzio. Pomyślałem, że zanoszę się na ryzykowną operację.

— Wysoki Trybunał zechce zauważyć, że świadek minio woli potwierdził obecnie to, czego nie chciał stwierdzić poprzednio: obowiązkiem dowódcy było aktywnie wmieszać się w powstałą sytuację i dowódca świadomie, z rozmysłem, tego zaniechał, narażając przez to statek wraz z załogą na nieobliczalne następstwa.

— Wysoki Trybunał, nie było tak, jak twierdzi oskarżenie.

— Proszę nie polemizować z oskarżeniem, lecz składać zeznania odnoszące się wyłącznie do przebiegu zdarzeń. Dlaczego w chwili, kiedy Calder począł wracać na perymetr pierścieni, uznał pan — dopiero wtedy — operację za ryzykowną?

— Może źle się wyraziłem. Było tak: pilot powinien się w podobnych okolicznościach zwrócić do dowódcy. Ja bym to na jego miejscu zrobił na pewno. Pierwotnego programu nie mogliśmy już zrealizować z całą dokładnością. Myślałem, że Calder, skoro dowódca zostawia mu inicjatywę, będzie się starał umieścić satelitę ze znacznej odległości, to znaczy nie zbliżając się zbyt do pierścienia. Zmniejszyło to co prawda szansę sukcesu, ale było możliwe, a zarazem bezpieczne. I rzeczywiście, przy małej szybkości kazał mi ponownie obliczyć kursy dla satelity, naprowadzanego impulsami z odległości rzędu tysiąca do tysiąca dwustu kilometrów. Ponieważ chciałem mu pomóc, zacząłem obliczać te kursy, przy czym okazało się, że rozmiary błędów są mniej więcej takie, jak rozmiary szerokości szczeliny Cassiniego. Było więc około pięćdziesięciu szans na sto, że sonda, zamiast wejść na właściwą orbitę kontroli, pójdzie albo ku planecie, albo na zewnątrz, i roztrzaska się o pierścień. Podałem mu ten wynik, bo nie miałem nic lepszego.

— Czy dowódca zaznajomił się z wynikiem obliczeń świadka?

— Musiał go widzieć, bo cyfry wyskakiwały na indykatorze, umieszczonym centralnie nad naszymi pulpitemi. Szliśmy małym ciągiem i wydało mi się, że Calder nie umie zdecydować, co począć. Był rzeczywiście w kropce. Gdyby teraz wycofał się, oznaczałoby to, że poprzednio omylił się w rachubach, że zawiodła go intuicja. Dopóki nie zawrócił ku planecie, mógłby jeszcze utrzymywać, że uznał ryzyko za zbyt wielkie i nieopłacalne — natychmiast. Ale on już pokazał, że ma statek w rękę, mimo zmienionej charakterystyki ciągów, a choć tego nie powiedział, z następnych manewrów wynikało jasno, że postanawia przecież kontynuować próbę orbitowania sondy. Szliśmy na zbliżenie i myślałem, że chce po prostu polepszyć nieco szansę; zwiększały się przecież ze spadkiem odległości, ale gdyby o to mu chodziło, powinien był już zacząć hamowanie, tymczasem zwiększył ciąg. Dopiero gdy to zrobił, w owym momencie pomyślałem, że chce zrobić coś zupełnie innego, wcześniej nawet mi to do głowy nie przyszło. Zresztą wszyscy to pojęli — momentalnie.

— Świadek twierdzi, że wszyscy członkowie załogi zdali sobie sprawę z powagi położenia?

— Tak, panie przewodniczący. Ktoś za mną, siedzący od bakburty, powiedział, w chwili

przyspieszenia: „Życie było piękne”.

— Kto to powiedział?

— Tego nie wiem. Może inżynier, a może elektronik. Nie zwracałem na to uwagi. Wszystko działo się w ułamkach sekund. Calder włączył sygnał szczytu i dał duży ciąg, mając kurs kolizyjny z pierścieniem. Jasne było, że chce przejść „Goliatem” przez sam środek szczeliny Cassiniego i po drodze „zgubić” tą trzecią sondę metodą „przestraszonego ptaszka”.

— Cóż to za metoda?

— Tak się to czasem nazywa, panie sędzio: statek „gubi” sondę tak, jak ptak „gubi” w locie jajko... Ale dowódca mu tego zabronił.

— Dowódca mu zabronił? Wydał taki rozkaz?

— Tak jest, panie sędzio.

— Sprzeciw oskarżenia. Świadek przeinacza fakty. Dowódca rozkazu takiego nie wydał.

— Owszem — dowódca usiłował wydać taki rozkaz, ale nie zdążył go wypowiedzieć pełnym zdaniem. Calder dał wprawdzie ostrzeżenie szczytu przyspieszeniowego, ale zaledwie na ułamek sekundy przed właściwym manewrem. Kiedy błysło czerwienią, dowódca krzyknął do niego, a on równocześnie poszedł całą mocą. Pod taką prasą, powyżej czternastu g, nie można z siebie już głosu wydobyć. Wyglądało na to, że Calder chciał mu zgnieść słowa na ustach. Nie powiadam, że on naprawdę do tego zmierzał, ale tak to wyglądało. Wgniotło nas od razu tak, że straciłem kompletnie wzrok, toteż dowódca zdążył ledwie krzyknąć...

— Panie przewodniczący, oskarżenie wnosi sprzeciw przeciwko sformułowaniom użytym przez świadka. Wbrew własnemu zastrzeżeniu świadek sugeruje jednak, jakoby pilot Calder z premedytacją i złą wolą usiłował udaremnić dowódcy wydanie rozkazu.

— Niczego podobnego nie mówiłem.

— Odbieram świadkowi głos. Trybunał przychyła się do wniosku oskarżenia. Proszę wykreślić z protokołu słowa świadka, poczynając od zdania: „Wyglądało na to, że Calder chciał mu zgnieść słowa na ustach”. Świadek zechce się powstrzymać od komentarzy i powtórzyć dokładnie to, co powiedział rzeczywiście dowódca.

— A więc, jakem już mówił, dowódca nie zdążył wprawdzie sformułować rozkazu całym zdaniem, ale jego sens był jasny. Zabronił Calderowi wchodzić w szczelinę Cassiniego.

— Sprzeciw oskarżenia. Nie jest istotne dla materialnej prawdy przewodu to, co oskarżony Pirx chciał powiedzieć, lecz to tylko, co rzeczywiście powiedział.

— Trybunał uznaje sprzeciw. Niech świadek ograniczy się do tego, co zostało powiedziane w sterowni.

— Zostało powiedziane dosyć, żeby każdy człowiek, który jest z zawodu kosmonautą, zrozumiał, że dowódca zabrania pilotowi wejść w Cassiniego.

— Świadek zechce przytoczyć owe słowa, a Trybunał sam poweźmie opinię w kwestii ich właściwego sensu.

— Nie pamiętam tych słów, panie przewodniczący, tylko właśnie ich sens. Dowódca zaczął wołać coś w rodzaju: „Nie przechodź przez pierścień!” — a może: „Nie na wylot!” — i dalej już mówić nie mógł.

— Jednakowoż poprzednio świadek powiedział, że dowódca nie wygłosił całego zdania, a zacytowane teraz przez świadka: „Nie przechodź przez pierścień” — stanowi całe zdanie.

— Gdyby na tej sali wybuchł pożar i gdybym zawołał: „Pali się!” — nie byłoby to całe zdanie, boby nie mówiło o tym, co się pali ani gdzie się pali, lecz byłoby zrozumiałym ostrzeżeniem.

— Sprzeciw oskarżenia! Proszę Trybunał o przywołanie świadka do porządku!

— Trybunał udziela świadkowi upomnienia. Nie jest zadaniem świadka pouczenie Trybunału przypowieściami i anegdotami. Proszę ograniczyć się do rzeczowej relacji o tym, co zaszło na pokładzie.

— Słucham. Na pokładzie zaszło to, że dowódca okrzykiem zakazał pilotowi wprowadzić

statek w szczelinę...

— Sprzeciw! Zeznania świadka tendencyjnie zacierają do sfalszowania faktów!

— Trybunał pragnie być wyrozumiały. Świadek zechce pojąć, że zadaniem przewodu jest ustalenie faktów materialnych. Czy świadek potrafi przytoczyć urywek zdania, wypowiedzianego przez dowódcę?

— Byliśmy już pod wielkim przyspieszeniem. Miałem black-out, nic nie widziałem, ale słyszałem okrzyk dowódcy. Słowa nie były wyraźne, a jednak zrozumiałem, o co szło. Tym bardziej musiał słyszeć to ostrzeżenie pilot, skoro znajdował się bliżej dowódcy aniżeli ja.

— Obrona prosi o ponowne przesłuchanie taśm rejestracyjnych ze sterowni, w ich fragmencie dotyczącym okrzyku dowódcy.

— Trybunał oddała wniosek obrony. Taśmy zostały przesłuchane i ustalono, że stopień zniekształcenia głosu pozwala jedynie na zidentyfikowanie osoby, ale nie na wyjawienie treści okrzyku. Trybunał poweźmie w tej spornej kwestii odrębną decyzję. Niech świadek powie, co stało się po okrzyku dowódcy.

— Kiedy przejrzałem, zśliśmy na kolizję z pierścieniem, Akcelerometr pokazywał dwa g. Szybkość była hiperboliczna. Dowódca zawołał: „Calder! Nie wykonałeś rozkazu! Zabroniłem ci wchodzić w Cassiniego!” — a Calder natychmiast odpowiedział: „Nie słyszałem tego, komandorze!”

— Dowódca nie rozkazał mu jednak w owej chwili hamować bądź zawrócić?

— To już było niemożliwe, panie przewodniczący. Mieliśmy hiperboliczną rzędu osiemdziesięciu kilometrów na sekundę. Nie było mowy o tym, żeby wygasić taki pęd bez przekroczenia bariery grawitacyjnej.

— Co świadek rozumie przez barierę grawitacyjną?

— Trwale przyspieszenie dodatnie lub ujemne powyżej dwudziestu — dwudziestu dwu jednostek grawitacyjnych. Z każdą sekundą lotu kolizyjnego trzeba było większej mocy wstecznej, żeby wyhamować. Najpierw zapewne około pięćdziesięciu g, a potem może i sto. Przy takim hamowaniu musielibyśmy wszyscy zginąć. To znaczy — musieliby zginąć wszyscy ludzie na pokładzie.

— Statek mógł rozwinąć technicznie przyspieszenia tego rzędu?

— Tak, panie sędzio. Mógł, po zerwaniu bezpieczników, ale tylko wtedy. „Goliat” posiada stos dysponujący w szczycie potencjalnym ciągiem rzędu dziesięciu tysięcy ton.

— Proszę kontynuować zeznania.

— „Chcesz zniszczyć statek?” — powiedział dowódca całkiem spokojnie. — „Przejdziemy przez Cassiniego i wyhamuję po drugiej stronie” — odpowiedział Calder z takim samym spokojem. Ta wymiana zdań jeszcze trwała, kiedy dostaliśmy bocznych obrotów. Pod wpływem gwałtownego wzrostu przyspieszenia, którym Calder zapoczątkował lot na szczelinę, sonda musiała w niekontrolowany sposób zmienić swoje położenie wewnątrz wyrzutni i dawała wprawdzie boczną defleksję mniejszą, ale strumień gazów szedł teraz po stycznej względem korpusu, tak że cały statek obracał się jak bąk w osi podłużnej. Ten obrót był najpierw dość powolny, lecz z każdą sekundą przyspieszał. Był to początek nieszczęścia. Calder spowodował je niechcący — tym, że bardzo gwałtownie zwiększył poprzednio akcelerację.

— Niech świadek wyjaśni dokładnie Trybunałowi, dlaczego, jego zdaniem, Calder zwiększył akcelerację.

— Wysoki Trybunał, oskarżenie wnosi sprzeciw. Świadek jest stronniczy i odpowie bez wątpienia, tak jak już mówił, że Calder usiłował zmusić dowódcę do milczenia.

— Wcale nie to chcę powiedzieć. Calder nie musiał zwiększyć akceleracji skokiem, mógł to uczynić wolniej, ale jeśli zamierzał wejść w Cassiniego, duży ciąg był konieczny. Znajdowaliśmy się w przestrzeni skrajnie trudnej do manewru, ponieważ jest to strefa typowa dla nierozwiązywalnych matematycznie problemów ruchu wielu ciał. Oddziaływanie samego

Saturna, masy jego pierścieni, najbliższych satelitów, wszystko to razem tworzy pole ciężenia, w którym całość perturbacji nie daje się równocześnie uwzględnić. Ponadto mieliśmy jeszcze boczną defleksję ze strony sondy. W tej sytuacji poruszaliśmy się po torze, który był wypadkową wielu sił — zarówno własnych ciągów statku, jak i przyciągania rozrzuconych w przestrzeni mas. Otóż, im większym szliśmy ciągiem, tym mniejszy stawał się wpływ czynników zakłócających, bo ich wartości były stałe, natomiast wartość naszego pędu rosła. Powiększając chyżość, Calder czynił nasz tor mniej wrażliwym na zewnętrzne wpływy zakłócające. Jestem przekonany, że przejście udałooby mu się, gdyby nie ten boczny obrót, który nagle powstał.

— Świadek uważa, że przejście przez szczelinę, przy w pełni sprawnym statku, było możliwe?

— Ależ tak, panie sędzio. Manewr ten jest możliwy, jakkolwiek zakazany przez wszystkie podręczniki kosmologii. Szczelina ma praktycznie szerokość trzech i pół tysiąca kilometrów, przy czym pobocza są pełne grubego pyłu lodowego i meteorytowego, niedostrzegalnego wprawdzie wizualnie, ale takiego, który musiałby spalić statek poruszający się z hiperboliczną. Jako tako czysta przestrzeń, przez którą można przejść, ma jakieś pięćset do sześciuset kilometrów szerokości. Przy małych szybkościach wejść w taki pasaż jest nietrudno, ale przy większych pojawia się dryf grawitacyjny; dlatego Calder najpierw dobrze wycelował dziobem w szczelinę, a potem dał duży ciąg. Gdyby sonda nie przekreśliła się, wszystko poszłoby dobrze. Tak przynajmniej sędzę. Oczywiście, było pewne ryzyko, mieliśmy mniej więcej jedną szansę na trzydzieści, że trafimy w jakiś samotny okrucz. Tymczasem dostaliśmy jednak obrotów wzdłużnych. Calder usiłował je wygasić, ale mu się to nie udało. Walczył bardzo pięknie. To muszę przyznać.

— Calder nie mógł zlikwidować obrotów statku? Czy świadek wie, dlaczego nie mógł?

— Już poprzednio, obserwując go w czasie wacht, zorientowałem się, że jest fenomenalnym rachmistrzem. Pokładał ogromne zaufanie w umiejętności przeprowadzania błyskawicznych obliczeń na własną rękę, bez pomocy kalkulatorów. Przy hiperbolicznej, w tej naszej sytuacji, mieliśmy przejść jak przez igielne ucho. Zegary ciągu były bezwartościowe, skoro pokazywały tylko dane ciągu „Goliata”, ale nie mogły pokazywać wartości ciągu sondy. Calder patrzył wyłącznie na grawimetry i prowadził tylko podług nich. Był to prawdziwy wyścig matematyczny między nim a warunkami, które zmieniały się z rosnącą szybkością.

O tym, do czego Calder był zdolny, świadczy to, że kiedy ja zaledwie nadążałem za samym odczytywaniem cyfr na indykatorach, on w tym samym czasie musiał przeprowadzać w głowie obliczenia, budując równania różniczkowe czwartego stopnia. Muszę podkreślić, że jakkolwiek zachowanie Caldera do tego momentu uważałem za oburzające, bo byłem pewien, że usłyszał rozkaz dowódcy i zignorował go rozmyślnie, to jednak czułem dla niego podziw.

— Świadek nie odpowiedział na pytanie Trybunału.

— Właśnie zmierzałem do odpowiedzi, panie sędzio. Rozwiązania, jeśli nawet Calder uzyskiwał je w ułamku sekund, musiały być tylko aproksymacjami. Nie były idealnie precyzyjne, bo nie mogły być, nawet gdyby się zamienił w najszybszą maszynę cyfrową świata. Margines błędu, którego uwzględnić nie mogłem, narastał — i kręciliśmy się dalej. Przez jakąś minutę zdawało mi się, że może jednak Calder da radę, ale on wcześniej ode mnie pojął, że przegrał, i wyłączył cały ciąg. Straciliśmy ciężenie do zera.

— Dlaczego wyłączył ciąg?

— Chciał przejść przez szczelinę po niemal prostej, ale nie mógł wygasić obrotów podłużnych statku. „Goliat” kręcił się jak bąk i przez to zachowywał się jak bąk: opierał się sile napędzającej, która usiłowała go ustawić podłużnie. Wpadliśmy w precesję — im większą mieliśmy szybkość, tym gwałtowniej zataczała się rufa. Szliśmy w efekcie bardzo



rozciągniętym korkociągiem, statek kładło na boki, a każdy z tych zwojów miał może ze setkę kilometrów średnicy. Przy takim ruchu mogliśmy jak nic trafić w brzeg pierścienia zamiast w środek szczeliny. Calder nie mógł już nic na to poradzić. Siedział w lejku.

— Co to znaczy?

— Tak nazywamy zwykle sytuacje nieodwracalne, w które łatwo wejść, ale z których już nie ma wyjścia, Wysoki Trybunał.

Nasz dalszy lot był już poza wszelkim przewidywaniem. Kiedy Calder wyłączył silniki, sądziłem, że po prostu zdaje się na los szczęścia. Cyfry aż migotały w okienkach indyktorów, ale już nic nie było do obliczania. Pierścienie oślepiały, że trudno było patrzeć — one są przecież złożone z brył lodu. Kręciły się przed nami karuzelą, razem ze szczeliną, która wyglądała jak czarne pęknięcie. W takich momentach czas dłuży się niewiarygodnie. Ilekroć zawadziłem wzrokiem o strzałki sekundomierzy, zdawało mi się, że stoją na miejscu. Calder zaczął rozpinąć pasy, bardzo gwałtownie. Zacząłem robić to samo, bo domyśliłem się, że chce zerwać główny bezpiecznik przeciążenia, który jest na pulpicie, a przypasany nie mógł go dosięgnąć. Mając do dyspozycji pełną moc, mógł jeszcze wyhamować i uciec w przestrzeń, rozwinąwszy tych jakichś sto g. Pęklibyśmy jak baloniki, ale uratowałby statek, no i siebie. Właściwie powinienem był pomyśleć już poprzednio, że nie może być człowiekiem, bo żaden człowiek nie byłby w stanie dokonywać obliczeń jak on... ale to sobie dopiero w tej chwili uświadomiłem. Chciałem go powstrzymać, zanim dojdzie do pulpitu, ale on był szybszy. Musiał być szybszy. „Nie odpinaj się!” — krzyknął do mnie dowódca. A do Caldera: „Nie ruszaj bezpiecznika!” Calder nie zwrócił na to uwagi, już stał. „Cała naprzód!” — zawołał dowódca — i usłuchałem go. Miałem przecież drugi ster. Nie uderzyłem całą mocą od razu, wszedłem na pięć g, bo nie chciałem zabić Caldera — chciałem go tym uderzeniem odrzucić tylko od bezpieczników, ale on utrzymał się na nogach. Był to widok przerażający, panowie, bo żaden człowiek nie ustoi przy pięciu! Ustał, tyle że chwycił się pulpitu, zdarło mu skórę z obu dłoni i dalej trzymał się, bo pod tą skórą była stal. Wtedy dałem od razu szczyt. Czternaście g oderwało go, poleciał w tył sterowni z tak potwornym łomotem, jakby cały był jedną bryłą metalową, przeleciał między naszymi fotelami i wyrznął w ścianę, aż się zatrzęsła, securit poszedł tam w drzazgi, a on wydał z siebie zupełnie niepodobny do niczego głos i słyszałem zza pleców, jak się tam z tyłu tarzał, druzgotał przepierzenia, jak rozwalał wszystko, czego się chwycił, ale już nie zwracałem na to uwagi, bo szczelina otwierała się przed nami; waliliśmy w nią kręćkiem, z zataczającą się rufą, zredukowałem do czterech g, decydował już tylko czysty traf. Dowódca krzyknął, żebym strzelał; zacząłem więc wystrzeliwać jeden po drugim ekrany przeciwmeteorowe, aby zmieść sprzed dziobu drobniejsze okruchy, gdyby przed nami się pojawiły, a chociaż nie było to wiele warte, lepszy taki rodzaj osłony niż żaden. Cassini był jak czarna olbrzymia gęba, widziałem ogień przed dziobem, daleko, ekrany osłony rozwijały się i od razu paliły w zderzeniach z obłokami pyłu lodowego, olbrzymie srebrne chmury powstawały i pękały w okamgnieniu, niezwykle piękne, statek zatrząsł się lekko, Czujniki prawej burty wszystkie razem skoczyły, to był termiczny udar, otarliśmy się — nie wiem, o co, i byliśmy już po drugiej stronie...

\* \* \*

— Komandor Pirx?

— Tak, to ja. Pan chciał mnie widzieć?

— Owszem. Dziękuję, że pan przyszedł. Proszę usiąść... Mężczyzna za biurkiem nacisnął guzik czarnego pudełka i powiedział:

— Będę teraz zajęty przez dwadzieścia minut. Nie ma mnie dla nikogo.

Wyłączył aparat i spojrzał uważnie na siedzącego.

— Panie komandorze, mam dla pana pewną — oryginalną — propozycję. Pewien — szukał przez sekundę słowa — eksperyment. Na wstępie jednak musiałbym prosić, aby pan zachował to, co powiem, w dyskrecji. Także, jeśli pan propozycję odrzuci. Czy pan się zgadza?

Przez kilka minut panowało milczenie.

— Nie — rzekł Pirx. I dodał: — Chyba że powie mi pan coś więcej.

— Pan nie należy do ludzi podpisujących cokolwiek in blanco? Właściwie mogłem się tego spodziewać po tym, co o panu słyszałem. Papierosa?

— Dziękuję, nie.

— Chodzi o rejs eksperymentalny.

— Nowy rodzaj statku?

— Nie. Nowy rodzaj załogi.

— Załogi? A moja rola?

— Wszechstronna ocena jej przydatności. To wszystko, co mogę powiedzieć. Teraz kolej na pańską decyzję.

— Będę milczał, jeśli uznam to za możliwe.

— Za możliwe?

— Za wskazane.

— Ze względu na jakie kryteria?

— Tak zwane sumienie, proszę pana.

Znów upłynęło kilka minut. W wielkim pokoju, o jednej ścianie ze szkła, panowała cisza, jakby nie mieścił się wśród dwu tysięcy innych, tworzących ogromny wieżowiec z trzema lotniskami dla helikopterów na dachach. Pirx nie widział prawie rysów człowieka, który z nim rozmawiał, bo tłem jego postaci była silnie świecąca mgła, a raczej chmura, w której zanurzało się szesnaście najwyższych pięter gmachu. Chwilami mleczne kłęby materializowały się za przezroczystą ścianą i wydawało się wtedy, że cały pokój płynie gdzieś, unoszony niewyczuwalną siłą.

— Dobrze. Jak pan widzi, zgadzam się na wszystko. Chodzi o rejs Ziemia–Ziemia.

— Pętla?

— Tak. Z okrążeniem Saturna i wprowadzeniem tarcza na orbitę stacjonarną nowych satelitów automatycznych.

— To przecież projekt JOVIANA?

— Owszem, część tego projektu, co się tyczy tych satelitów. Statek również należy do COMSEC-u, więc imprezie patronuje UNESCO. Jak pan wie, przedstawiam właśnie tę instytucję. Jednakże mamy własnych pilotów i nawigatorów, a pana wybraliśmy, ponieważ w grę wchodzi dodatkowy czynnik. Ta załoga, o której już wspomniałem.

Dyrektor UNESCO znowu zamilkł. Pirx czekał, mimo woli nasłuchując, ale naprawdę było tak, jakby najśłabszy dźwięk nie rozlegał się w promieniu całych mil — a przecież otaczało ich milionowe miasto.

— Jak panu pewno wiadomo, od szeregu lat istnieją już możliwości produkowania urządzeń coraz wszechstronniej zastępujących człowieka. Takie, które dorównują mu w wielu dziedzinach naraz, były dotąd stacjonarne, ze względu na ciężar i rozmiary. Jednakże prawie jednocześnie w Stanach Zjednoczonych i ZSRR fizyka ciała stałego umożliwiła następny etap mikrominiaturyzacji — już molekularny. Wyprodukowano eksperymentalnie prototypy; układów krystalicznych, równoważnych mózgowi. Są wciąż około półtora raza większe od naszego mózgu, ale to nie ma znaczenia. Szereg firm amerykańskich opatentowało już takie konstrukcje i obecnie pragną przystąpić do wytwarzania automatów człekokształtnych, tak zwanych nieliniowców skończonych, przede wszystkim dla obsługi statków pozaziemskich.

— Słyszałem o tym. Ale podobno Związki Zawodowe się temu sprzeciwiły? I

wymagałoby to, zdaje się, istotnych zmian w istniejącym prawodawstwie?

— Pan o tym słyszał? W prasie nie było o tym nic, poza plotkami...

— Tak. Ale toczyły się jakieś pozakulisowe rozmowy, pertraktacje, i wiadomości o tym przeciekły do środowiska, w którym się obracam. To chyba zrozumiałe.

— Zapewne. Oczywiście. Więc — tym lepiej, chociaż... Jakie jest pana zdanie?

— W tej sprawie? Raczej negatywne. Tak, nawet bardzo negatywne. Obawiam się jednak, że niczyje zdanie nie ma tu istotnego wpływu. Konsekwencje odkryć są nieubłagane — można najwyżej przez pewien czas hamować ich realizację.

— Jednym słowem, uważa pan to za zło konieczne?

— Tak bym tego nie sformułował. Uważam, że ludzkość nie jest przygotowana na inwazję sztucznych istot człokształtnych. Oczywiście najważniejsze jest, czy one naprawdę są równoważne człowiekowi. Osobiście się z takimi nigdy nie spotykałem. Nie jestem specjalistą, ale ci, których znam, uważają, że o pełnowartościowości, o prawdziwej równoważności nie może być mowy.

— Czy nie jest pan uprzedzony? Istotnie takie jest zdanie szeregu fachowców, tj. było to ich zdanie. Ale, widzi pan... motywacja działania tych firm jest warunkowana czynnikami ekonomicznymi. Opłacalnością produkcji.

— To znaczy nadzieją zysków.

— Tak. To znaczy, w tym wypadku, rząd federalny (mam na myśli Amerykę), jak również rządy brytyjski i francuski nie udostępniły jeszcze pełnej dokumentacji prywatnym firmom, o ile ta dokumentacja powstała w instytucjach finansowanych przez państwo. Jednakże luki owej dokumentacji firmy mogą uzupełnić nawet mocy rządów, we własnym zakresie, mają wszak swoje laboratoria badawcze.

— „Cybertronics”?

— Nie tylko. „Machintrex”, „Inteltron” i inne. Otóż, wielu ludzi ze sfer rządowych tych państw obawia się skutków podobnej akcji. Prywatnych firm nie interesuje brak funduszy państwowych dla masowego przekwalifikowania ludzi, których usunie z pracy fala nieliniovców...

— Nieliniowcy? Dziwne. Nie spotkałem się z tym terminem.

— To po prostu słowo z żargonu, którym się posługujemy. Zawsze lepsze od „homunculusa” czy „sztucznego człowieka”. Bo to zresztą nie są ludzie, ani sztuczni, ani naturalni.

— Ze względu na niepełnowartościowość?

— Wie pan, komandorze, ja także nie jestem specjalistą na tym polu, więc choćbym chciał, nie udzielę panu odpowiedzi. Moje prywatne przypuszczenia nie są przecież ważne. Chodzi o to, że jednym z pierwszych odbiorców nowego produktu byłby COSNAV.

— Przecież to prywatne przedsiębiorstwo angloamerykańskie?

— Właśnie dlatego. „Cosmical navigation” od lat walczy z trudnościami finansowymi, ponieważ nie obliczony na doraźne zyski system kosmodromii i kosmologii państw socjalistycznych stanowi dla niej silną konkurencję, przejmującą znaczną część całego obrotu towarowego. Zwłaszcza, na głównych trasach pozaziemskich. Pan musi o tym wiedzieć.

— Owszem. I wcale bym się nie zmartwił, gdyby COSNAV zbankrutował. Skoro udało się umiędzynarodowić eksplorację kosmiczną w ramach ONZ, to i z żegluga można zrobić to samo. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Mnie też. Zapewniam pana, że i ja bym tego chciał, choćby ze względu na biurko, za którym siedzę. Ale to pieśń przyszłości. Na razie, proszę pana, jest tak, że COSNAV gotów jest przyjąć każdą ilość nieliniovców dla obsługi swych linii — tymczasem tylko frachtowych, bo obawiają się bojkotu szerszej publiczności w ruchu pasażerskim. Wstępne pertraktacje już się toczą.

— I prasa o tym milczy?

— Rozmowy są nieoficjalne. Zresztą—w niektórych dziennikach były o tym wzmianki, ale COSNAV wszystko zdementował. Formalnie ma niby rację. Zresztą, panie komandorze, to jest istna dżungla. W gruncie rzeczy oni się poruszają w paśmie nie objętym ściśle ani przez prawodawstwo ich krajów, ani przez międzynarodowe, podlegające ONZ. A znów ze względu na zbliżający się koniec kadencji prezydent nie będzie próbował wprowadzenia do Kongresu ustaw, których domaga się wielki kapitał intelektualny — w obawie gwałtownej reakcji Związków Zawodowych. Otóż — przechodzę wreszcie do rzeczy — szereg firm, antycypując możliwe obiekcje prasy światowej, ruchu robotniczego, zawodowego i tak dalej, zdecydowało się dostarczyć do naszej dyspozycji grupę półprototypów dla zbadania ich przydatności przy obsłudze pozaziemskich statków.

— Przepraszam, „nam” — to znaczy komu? ONZ? Jakoś to dziwnie wygląda.

— Nie, nie wprost ONZ. Nam, to znaczy UNESCO. Jako że to instytucja zajmująca się sprawami nauki, kultury, oświaty...

— Pan wybaczy, ale ja dalej nic nie rozumiem. Co mają te automaty wspólnego z oświatą czy nauką?

— Przecież inwazja, jak pan sam ją nazwał, tych... tych pseudoludzi, produkowanych systemem taśmowym, jest chyba pod każdym względem istotna właśnie w dziedzinie ogólnoludzkiej kultury. Nie chodzi tylko o konsekwencje czysto ekonomiczne, o niebezpieczeństwo bezrobocia i tak dalej, ale o efekty psychologiczne, socjalne, kulturowe — zresztą, aby wyjaśnić rzecz do końca, dodam, że przyjęliśmy tę ofertę bez entuzjazmu. A nawet dyrekcja zamierzała ją pierwotnie odrzucić. Te przedsiębiorstwa przedstawiły wtedy dodatkową motywację tej treści, że jako obsługa statków nieliniowcy dają bez porównania większe gwarancje bezpieczeństwa od obsługi ludzkiej. Ponieważ mają szybsze reakcje, nie wykazują praktycznie potrzeby snu ani zmęczenia, nie podlegają chorobom, posiadają ogromną nadmiarowość, która w wypadku poważnego umożliwia im jeszcze funkcjonowanie, a nadto, nie wymagając ani tlenu, ani żywności, mogą wykonywać swe zadania wet na pokładzie statku zdehermetyzowanego, przegrzanego — i tak dalej, więc, rozumie pan, to są już argumenty rzeczowe, porcie waż na pierwszy plan wysuwają nie zysk jakichś firm prywatnych, lecz bezpieczeństwo statków i ładunków. W takim wypadku kto wie, czy nawet podległa ONZ żegluga kosmiczna o charakterze badawczym nie zdecydowałaby się przynajmniej częściowo...

— Rozumiem. Ale to bardzo niebezpieczny precedens. Zdajecie sobie z tego chyba sprawę?

— Dlaczego niebezpieczny?

— Dlatego, że prawie to samo można powiedzieć o innych funkcjach j zawodach. Pewnego dnia mogą zwolnić i pana, a na tym miejscu zasiądzie maszyna.

Śmiech dyrektora był mało przekonujący. Zaraz zresztą spoważniał.

— Proszę pana... mój drogi komandorze, odbiegamy właściwie od tematu. Ale co można, pańskim zdaniem, zrobić w powstałej Sytuacji? UNESCO mogłaby odrzucić propozycję tych panów, ale to faktów nie zmieni. Jeśli ich automaty są naprawy takie dobre, weźmie je prędzej czy później COSNAV, a za nim pójda inni.

— A co zmieni się przez to, że UNESCO zamierza pełnić rolę technicznego kontrolera produkcji tych firm?

— Ależ, proszę pana... nie chodzi o kontrolę techniczną. Chcieliśmy... to już muszę powiedzieć teraz do końca... chcieliśmy zaproponować panu rejs z taką załogą. Pan by nią dowodził. w ciągu tych kilkunastu dni mógłby się pan zorientować, ile jest warta. Tym bardziej, podkreślam, że to są rozmaite modele, różniące się od siebie. Prosilibyśmy pana o przedstawienie nam po powrocie kompetentnej, wszechstronnej opinii, rozbitej na znaczną ilość punktów, ponieważ chodzi zarówno o aspekty zawodowe, jak inne — psychologiczne: w jakiej mierze te automaty przystosowują się do człowieka, o ile odpowiadają jego

wyobrażeniom, czy powstaje wrzenie ich supremacji albo odwrotnie — ich psychiczny niższości... Odpowiednie nasze komórki dostarczyłyby panu zarówno materiałów jak formularzy, przygotowanych przez wybitnych uczonych, psychologów...

— I to miałyby być moje zadanie?

— Tak. Nie musi mi pan udzielić odpowiedzi w tej chwili. O ile wiem, pan chwilowo nie lata?

— Mam sześciotygodniowy urlop.

— A więc, powiedzmy... może pan zdecydowałby się w ciągu dwóch dni?

— Jeszcze dwa pytania. Jakie konsekwencje będzie miała moja opinia?

— Będzie decydująca!

— Dla kogo?

— Dla nas, oczywiście. Dla UNESCO. Jestem przekonany, że jeśli dojdzie do umiędzynarodowienia żeglugi, będzie stanowiła istotny materiał dla tych komisji legislacyjnych ONZ, które...

— Przepraszam. To pieśń przyszłości, jak pan powiedział. A więc dla UNESCO, tak pan mówi? Ale UNESCO nie jest przecież żadną firmą, żadnym przedsiębiorstwem — ani, mam nadzieję, nie zamierza się stać biurem reklamowym jakichś firm?

— Ależ, proszę pana! Jasne, że nie. Opublikujemy w prasie światowej to, co nam pan przedstawi. Wyniki, gdyby były negatywne, na pewno zahamują bieg pertraktacji między COSNAV-em a tymi firmami. W ten sposób] przyczynimy się...

— Jeszcze raz przepraszam. Ale jeśli wyniki będą pozytywne, to nie zahamujemy i nie przyczynimy się?

Dyrektor odchrząknął, kaszlnął, wreszcie się uśmiechnął.

— Przed panem, komandorze, czuję się niemal jak winny. Jakbym miał nieczyste sumienie... Czy to UNESCO wynalazło te roboty nieliniowe? Czy cała sytuacja jest rezultatem naszych prac? Staramy się postępować obiektywnie, w interesie wszystkich...

— Nie podoba mi się to.

— Komandorze, może pan odmówić. Tylko proszę pomyśleć, że .gdybyśmy postąpili tak samo, byłby to gest Piłata. Najłatwiej jest umyć ręce. Nie jesteśmy rządem światowym i nie możemy zakazywać nikomu produkowania takich czy innych maszyn. To rzecz poszczególnych rządów — zresztą próbowały, powiem panu, wiem, że były takie próby, jako projekty, ale nic z tego nie wyszło! I Kościół też nic nie wskórał, a pan zna jego absolutnie negatywne stanowisko w tej sprawie.

— Tak. Jednym słowem, nikomu się to nie podoba i wszyscy patrzą, jak się to robi.

— Ponieważ brak podstaw prawnych do przeciwdziałania.

— A konsekwencje? Tym firmom, im samym, zachwieje się grunt pod nogami, kiedy doprowadzą do takiego bezrobocia, że...

— Tym razem ja muszę panu przerwać. Zapewne, w tym, co pan mówi, jest racja. Wszyscy się tego obawiamy. Niemniej jesteśmy bezsilni. Jednakże bezsiła ta nie jest całkowita. Możemy przeprowadzić chociażby ten eksperyment. Pan jest uprzedzony negatywnie? To bardzo dobrze! Właśnie dlatego tym więcej zależałoby nam na panu! Jeśli w ogóle są jakieś obiekcje, pan wyłoży je w sposób najdobitniejszy!

— Pomyślę o tym — powiedział Pirx i wstał.

— Pan mówił przed chwilą o jeszcze jakimś pytaniu...

— Już mi pan na nie odpowiedział. Chciałem wiedzieć, czemu wybór padł na mnie.

— Odpowie nam pan zatem? Proszę zatelefonować w ciągu dwu dni, zgoda?

— Zgoda — rzekł Pirx, skinął głową temu człowiekowi i wyszedł.

\* \* \*

Sekretarka, platynowa blondynka, wstała zza biurka, kiedy wszedł Pirx.

— Dzień dobry, ja...

— Dzień dobry. Wiem, proszę pana. Ja sama zaprowadzę.

— Już są?

— Tak, czekają na pana.

Poprowadziła go przez długi, pusty korytarz; jej pantofelki stukały jak metalowe szcudełka. Zimny, kamienny dźwięk wypełniał wielką przestrzeń, wyłożoną sztucznym granitem. Mijali ciemne drzwi z aluminiowymi cyferkami i tabliczkami. Sekretarka była zdenerwowana. Kilka razy zerknęła na Pirxa spod oka — nie jak przystojna dziewczyna, ale jak przestraszony człowiek. Gdy Pirx to zauważył, zrobiło om się jej trochę jakby żal, a zarazem poczuł, że to wszystko jest kompletnie obłąkańczą awanturą, i prawie nieoczekiwanie dla siebie odezwał się:

— Pani ich widziała?

— Tak. Przez chwilę. Przelotnie.

— I jacy są?

— Pan ich nie widział?

Prawie się ucieszyła. Jak gdyby ci, co dobrze ich znali, należeli już do jakiejś obcej, może nawet wrogiej konspiracji, nakazującej najwyższą nieufność.

— Jest ich sześciu. Jeden mówił ze mną. Zupełnie niepodobny, mówię panu! Zupełnie! Gdybym go spotkała na ulicy; nigdy bym nawet nie pomyślała. Ale, jak się przyjrzałam z bliska, ma coś takiego w oczach — i tu... — dotknęła ust.

— A reszta?

— Nawet nie weszli do pokoju, stali w korytarzu... Wsiedli do windy, pomknęła w górę, złotawe ziarenka światła, odliczającego kondygnacje, gorliwie przesypywały się w ścianie, Pirx miał dziewczynę naprzeciw siebie i dobrze mógł ocenić rezultaty wysiłku, jakim odebrała sobie, za pomocą kredki, tuszu i szminki, ostatnie ślady własnej indywidualności, aby stać się czasowo sobowtórem Indy Lae, czy jak się tam nazywała w nowy sposób rozczochrana gwiazda sezonu. Gdy zatrzepotała powiekami, zląkł się o całość sztucznych rzęs.

— Roboty... — powiedziała piersiowym szeptem i otrząsnęła się jak pod dotknięciem gada.

W pokoju na dziesiątym piętrze siedziało sześciu mężczyzn. Kiedy Pirx wszedł, jeden, który zasłonięty był wielką płachtą „Herald Tribune”, złożył ją i wstał, idąc ku niemu z szerokim uśmiechem, a wtedy wstali i tamci.

Byli mniej więcej jednego wzrostu i przypominali pilotów eksperymentalnych w cywilu: barczyści, ubrani w podobne, piaskowe garnitury, w białych koszulach z kolorowymi muszkami. Dwaj byli blondynami, jeden rudy jak płomień, inni ciemnowłosi — lecz wszyscy o jasnych oczach. Tyle zdążył zauważyć, nim ten, który podszedł do niego, podał mu rękę i potrząsając nią mocno powiedział:

— Jestem Mc Guirr, jak się pan ma?! Miałem przyjemność podróżować raz statkiem, którym pan dowodził, „Polluksem”! Ale pan mnie pewno nie pamięta...

— Nie — rzekł Pirx. Mc Guirr odwrócił się do mężczyzn stojących nieruchomo wokół okrągłego stołu z czasopismami.

— Chłopcy, oto wasz dowódca, komandor Mr Pirx. A to pana załoga, komandorze: pierwszy pilot John Calder, drugi pilot Harry Brown, inżynier nukleonik Andy Thomson, radiowiec — elektronik John Burton oraz neurolog, cybernetyk i lekarz w jednej osobie — Tomasz Burns.

Pirx podał im po kolei rękę, potem wszyscy siedli, przysuwając gnące się pod ciężarem ciała metalowe krzesła do stołu. Przez parę sekund panowała cisza, którą Mc Guirr przerwał swym hałaśliwym barytonem.

— Najpierw chciałem podziękować panu w imieniu dyrekcji „Cybertonics”, „Inteltronu” i „Nortronics” za to, że przyjmując ofertę UNESCO wykazał pan takie zaufanie do naszych starań. Aby wykluczyć możliwość wszelkich nieporozumień, od razu muszę wyjaśnić, że niektórzy z obecnych przyszli na świat z ojca i matki, a niektórzy — nie. Każdy z nich orientuje się we własnym pochodzeniu, lecz nie wie nic o pochodzeniu innych. Zwracam się do pana z prośbą, by zechciał pan ich o to nie pytać. Pod każdym innym względem ma pan absolutną swobodę. Na pewno będą dobrze spełniać pana rozkazy i wykażą w stosunkach służbowych i pozasłużbowych inicjatywę i szczerłość. Zostali jednak tak pouczeni, że na pytanie, kim jest, każdy odpowie to samo: zupełnie zwyczajnym człowiekiem. Mówię to od razu, ponieważ to nie będzie kłamstwo, lecz konieczność, podyktowana wspólnym naszym interesem...

— Więc nie mogę ich o to pytać?

— Może pan. Oczywiście, że pan może, ale wtedy będzie pan miał nieprzyjemną świadomość, że niektórzy nie mówią prawdy, więc czy nie lepiej tego zaniechać? Powiedzą zawsze to samo, że są zwykłymi chłopakami, ale nie w każdym przypadku będzie to prawdą.

— A w pańskim? — spytał Pirx. Po ułamku sekundy wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem. Najgłośniej śmiał się sam Mc Guirr.

— O! Kawalarz z pana! Ja, ja jestem tylko małym kółeczkiem zębatym w maszynie „Nortronics”...

Pirx, który się nawet nie uśmiechnął, czekał, aż nastanie cisza.

— Czy nie wydaje się panu, że próbujecie mnie podejść? — spytał wtedy.

— Przepraszam! Jak pan to rozumie?! Nic podobnego! Warunki przewidywały „nowy rodzaj załogi”. Nie było w nich ani słowa o tym, czy to będzie załoga jednorodna — nieprawdaż? Pragnęliśmy po prostu wykluczyć możliwości pewnego, hm, czysto psychologicznego, irracjonalnego uprzedzenia negatywnego, wie pan. Przecież to jasne! Nieprawdaż? Podczas rejsu i po nim, w oparciu o jego przebieg, zechce pan przedstawić swą opinię o jakości wszystkich, członków załogi. Wszechstronną opinię, na której nam jak najbardziej zależy. My tylko postaraliśmy się utworzyć warunki takie, aby pan mógł działać z najwyższym, bezstronnym obiektywizmem!

— Bóg zapłać! — rzekł Pirx. — Niemniej uważam, żeście mnie podeszli. Jednak nie mam się zamiaru wycofać.

— Brawo!

— Chciałbym jeszcze, już teraz, porozmawiać chwilę z moimi — zawahał się przez drobny ułamek sekundy — ludźmi...

— Pan pragnie się może zorientować w ich kwalifikacjach? Zresztą, nie ograniczam! Proszę strzelać! Proszę!

Mc Guirr wydobył z górnej kieszeni surduta cygaro i odciąższy koniec wziął się do zapalania, a tymczasem pięć par spokojnych oczu uważnie spoczywało na twarzy Pirxa. Obaj jasnowłosi, którzy byli pilotami, wykazywali pewne podobieństwo. Calder wyglądał jednak bardziej na Skandynawa, a jego kręte włosy były mocno wyblakłe, jak od słońca. Brown za to był prawdziwie złotowłosy, przypominał trochę cherubina z żurnala mód, ale ten zbytek urody łagodziły jego szczęki i nieustanne, drwiące jakby skrzywienie bezbarwnych, cienkich ust. Od lewego ich kąta szła skosem przez policzek biała blizna. Na nim właśnie znieruchomiał wzrok Pirxa.

— Doskonale — rzekł, jakby ze sporym opóźnieniem odpowiadając Mc Guirrowi, i tym samym tonem, jakby od niechcienia, spytał, patrząc na mężczyznę z blizną:

— Czy pan wierzy w Boga?

Wargi Browna drgnęły, jak w powstrzymanym uśmiechu czy skrzywieniu, i nie od razu odpowiedział. Wyglądał, jakby się świeżo ogolił, nawet z pewnym pośpiechem; koła ucha zostało kilka włosów, na policzkach widniały ślady niedokładnie startego pudru.

— To... nie należy do moich obowiązków — powiedział głosem o przyjemnym, niskim brzmieniu. Mc Guirr, który właśnie zaciągał się cygarem, znieruchomiał, nieprzyjemnie dotknięty pytaniem Pirxa i, mrugając, gwałtownie wydmuchnął dym, jakby mówił: „A widzisz? Trafiła kosa na kamień!”

— Panie Brown — powiedział wciąż takim samym flegmatycznym tonem Pirx — pan mi nie odpowiedział na pytanie.

— Przepraszam, komandorze. Powiedziałem panu, że to nie należy do moich obowiązków.

— Jako pana przełożony decyduję o tym, co należy do pana obowiązków — odparował Pirx. Twarz Mc Guirra wyrażała zaskoczenie. Tamci siedzieli bez ruchu, z widoczną uwagą przysłuchując się tej wymianie słów — właśnie jak wzorowi uczniowie.

— Jeśli to jest rozkaz — odpowiedział miękko, wyraźnie modulowanym barytonem Brown — to mogę tylko wyjaśnić, że się tym problemem specjalnie nie zajmowałem.

— Więc proszę go przemyśleć do jutra. Od tego uzależniam pana obecność na pokładzie.

— Tak jest, nawigatorze.

Pirx zwrócił się do Caldera, pierwszego pilota, oczy ich spotkały się, tęczęwki tamtego były prawie bezbarwne, odbijały się w nich wielkie okna pokoju:

— Pan jest pilotem?

— Tak.

— Z jakim doświadczeniem?

— Mam ukończony kurs podwójnego pilotażu oraz dwieście dziewięćdziesiąt solowych godzin w przestrzeni na małym tonażu, dziesięć lądowań samodzielnych, w tym cztery na Księżycu, dwa na Marsie i na Wenus.

Pirx zdawał się nie zwracać większej uwagi na tę odpowiedź.

— Burton — zwrócił się do następnego — pan jest elektronikiem?

— Tak.

— Ile rentgenów może pan znieść w ciągu godziny?

Tamtemu drgnęły wargi. Nie był to nawet uśmiech. Zaraz znikł.

— Myślę, że ze czterysta — powiedział, — Najwyżej. Ale trzeba by się potem leczyć.

— Więcej niż czterysta nie?

— Nie wiem, ale chyba nie.

— Skąd pan pochodzi?

— Z Arizony.

— Chorował pan?

— Nie. W każdym razie na nic poważnego.

— Pan ma dobry wzrok?

— Dobry.

Pirx nie słuchał właściwie tego, co mówili. Zważał raczej na dźwięk głosu, jego modulację, brzmienie, na ruchy twarzy, warg, i ogarniała go chwilami irracjonalna nadzieja, że to wszystko jest tylko jednym wielkim a głupim żartem, kpina, że chciano pobawić się nim, zadrwić z jego naiwnej wiary we wszechmoc technologii. A może ukarać go w ten sposób za to, że tak w nią wierzył? Bo to przecież byli zupełnie zwyczajni ludzie; sekretarka mówiła od rzeczy — cóż znaczy uprzedzenie! Mc Guirra wzięła przecież także za jednego z nich...

Rozmowa była dotąd błaha — gdyby nie ów niezbyt mądry koncept z Panem Bogiem. Nie był mądry na pewno, niesmaczny i prymitywny raczej, Pirx czuł to doskonale, miał się za osobnika ograniczonego do tępoty, tylko przez nią zgodził się... Tamci patrzyli na niego jak przedtem, ale wydało mu się, że rudy, Thomson i obaj piloci przybrali wyraz twarzy aż



przesadnie obojętny, jak gdyby nie chcieli dać mu do poznania, że już ze wszystkim przejrzeni jego prymitywną duszę rutyniarza, wytraconego teraz kompletnie ze znanej sobie, rozumiałej i bezpiecznej przez to równowagi. Chciał pytać „ich dalej, tym bardziej że milczenie, które poczęło narastać, zwracało się przeciwko niemu, stając się świadectwem jego bezradności, lecz nie mógł: po prostu nic wymyślić; już tylko rozpacz, nie zdrowy rozsądek, podszeptowała, by uczynić coś dziwacznego, na poły szalonego, ale wiedział dobrze, że nie przecież takiego nie zrobi. Czuł, że ośmieszył się, należało zrezygnować z tego spotkania; popatrzył na Mc Guirra,

— Kiedy mogę wejść na pokład?

— Ach, w każdej chwili, nawet dziś

— Co będzie z kontrolą sanitarną?

— Proszę o tym nie myśleć. Wszystko już załatwione. Inżynier odpowiadał mu niemal pobłażliwie, tak mu się przynajmniej wydało.

— Nie umiem dobrze przegrywać — pomyślał. A głośno rzekł:

— To wszystko. Oprócz Browna wszyscy możecie się uważać za członków załogi. Brown zechce odpowiedzieć mi jutro na pytanie, które mu zadałem. Mc Guirr, ma pan przy sobie te papiery do podpisu?

— Mam, ale nie tu. Są w dyrekcji. Pójdziemy tam?

— Dobrze.

Pirx wstał. Wszyscy uczynili to samo.

— Do zobaczenia — skinął im głową i wyszedł pierwszy. Inżynier dogonił go przy windzie.

— Pan nas nie doceniał, komandorze... Całkowicie odzyskał dobry humor.

— Jak mam to rozumieć?

Winda ruszyła. Inżynier podniósł ostrożnie cygaro do ust, by nie stracić siwego stożka popiołu.

— Naszych chłopców nie da się tak łatwo odróżnić od... zwyczajnych.

Pirx wzruszył ramionami.

— Jeżeli są z tego samego materiału co ja — powiedział — to są ludźmi, a czy powstałi przez jakieś sztuczne zapłodnienie w próbówce, czy w sposób bardziej obiegowy — nie obchodzi mnie to wcale.

— Och, nie, nie są z tego samego materiału!

— A z jakiego?

— Proszę wybaczyć, to tajemnica produkcyjna.

— Kim pan jest?

Winda stanęła. Inżynier otworzył drzwi, ale Pirx, czekając na odpowiedź, nie ruszył się z miejsca.

— Chodzi panu o to, czy jestem projektantem? Nie. Pracuję w dziale public relations.

— I jest pan kompetentny, by odpowiedzieć mi na kilka pytań?

— Naturalnie, ale chyba nie tu?

Ta sama sekretarka wprowadziła ich do dużego pokoju Konferencyjnego.

Za długim stołem stały dwa rzędy foteli w idealnym oryngalu. Siedli u końca owego stołu, tam gdzie leżała otwarta teczka z umowami.

— Słucham pana — rzekł Mc Guirr. Popiół spadł mu na spodnie, zdmuchnął go, Pirx zauważył, że inżynier ma przekrwione oczy i nadmiernie równe zęby. Sztuczne pomyślał. — Udaje młodszego, niż jest.

— Czy ci, którzy... nie są ludźmi, zachowują się jak ludzie? Spożywają posiłki? Piją?

— Tak.

— Po co?

— Aby złudzenie było zupełne. Dla otoczenia; rzecz oczywista.

— Więc muszą się potem tego... pozbywać?

— No, tak.

— A krew?

— Proszę?

— Czy mają krew? Serce? Czy krwawią — zranieni?

— Mają... pozory krwi i serca — powiedział Mc Guirr, dobierając słów z wyraźną ostrożnością.

— Co to znaczy?

— Że tylko dobry specjalista lekarz, po wszechstronnym badaniu, mógłby się zorientować...

— A ja nie?

— Nie. Oczywiście, wyłączając zastosowanie jakichś specjalnych urządzeń.

— Rentgena?

— Pan jest domyślny! Ale nie będzie go pan miał na pokładzie.

— Tego nie wymyślił żaden fachowiec — rzekł spokojnie Pirx. — Mogę mieć tyle izotopów ze stosu, ile zechcę, no i muszę też mieć na pokładzie aparaty do defektoskopii; rentgen całkiem mi więc niepotrzebny.

— Nie mamy zastrzeżeń co do tej aparatury, o ile zobowiąże się pan nie używać jej do żadnych innych celów.

— A jeżeli się nie zgodzę?

Mc Guirr westchnął i dusząc cygaro w popielniczce, jakby nabrał do niego nagle obrzydzenia, rzekł:

— Komandorze... pan stara się to nam utrudnić, jak się tylko da!

— To prawda! — serdecznie odparł Pirx. — Więc oni mogą krwawić?

— Tak.

— I to jest krew? Także pod mikroskopem?

— Tak, to jest krew.

— Jakaście to zrobili?

— Imponujące, nie? — Mc Guirr uśmiechnął się szeroko. — Mogę panu powiedzieć tylko bardzo ogólnikowo: zasada gąbki. Podskórnej, specjalnej gąbki.

— To ludzka krew?

— Tak.

— Po co?

— Na pewno nie po to, aby wywieść w pole p a n a . Proszę zrozumieć, przecież nie dla p a n a uruchomiona została produkcja kosztem miliardów dolarów! Oni muszą wyglądać tak, być tacy, aby w żadnych okolicznościach nikomu z pasażerów czy innych ludzi nie przyszło nawet do głowy podejrzewać...

— Chodzi o uniknięcie bojkotu waszych „produktów”?

— O to też. No i o komfort, o wygodę psychiczną...

— A pan potrafi ich rozróżnić?

— Tylko dlatego, że ich znam. No... są sposoby... gwałtowne... ale przecież nie będzie pan używał siekiery!

— Pan mi nie powie, czym oni się różnią od ludzi pod względem fizjologicznym? Oddychanie, kaszel, rumieńce...

— Ach, to wszystko zostało zrobione. Są różnice, pewne, ale powiedziałem już panu: poznałby się na nich tylko lekarz.

— A pod względem psychicznym?

— Mózg mają w głowie! To nasz największy triumf! — rzekł Mc Guirr z prawdziwą dumą. — „Inteltron” umiejscawiał go dotychczas w kadłubie, bo był zbyt wielki. Dopiero my pierwsi przenieśliśmy go do głowy!

- Powiedzmy, drudzy: pierwsza była Natura...
- Cha, cha! No, więc drudzy. Ale szczegóły są tajemnicą. To multistat monokrystaliczny, z szesnastoma miliardami elementów dwójkowych!
- A czy to, do czego są zdolni, także jest tajemnicą?
- Co pan ma na myśli?
- Na przykład to, że mogą kłamać... w jakim zakresie mogą kłamać... że mogą utracić panowanie nad sobą więc i nad sytuacją...
- Owszem. To wszystko możliwe.
- Dlaczego?
- Dlatego, że to nieuniknione. Wszelkie — mówiąc obrazowo — hamulce, wprowadzone w sieć neutronową, czy krystaliczną, są względne, są do pokonania. Mówią to, bo pan powinien znać prawdę. Zresztą, jeśli choć trochę zna pan literaturę przedmiotu, wie pan, że robot, który by zarazem umyslowo dorównywał człowiekowi, a nie był zdolny do kłamstwa czy oszukiwania, jest czystą fikcją. Można produkować albo pełnowartościowe równoważniki człowieka, albo marionetki. Trzeciej drogi nie ma.
- Istota zdolna do pewnych czynów tym samym musi być zdolna do innych czynów, tak?
- Tak. Oczywiście, to jest nierentowne. Na razie przynajmniej. Psychiczna wszechstronność, nie mówiąc nawet o człekokształtności, potwornie kosztuje. Modele, które pan dostaje, są wytworzone tylko w bardzo nielicznych prototypach — jako nieopłacalne. Koszt jednego jest większy od kosztu naddźwiękowego bombowca!
- Co pan mówi!
- Oczywiście, wliczywszy koszty wszystkich badań, które budowę poprzedziły. Będziemy te automaty oferowali produkowane, być może, z taśmy; i pewnie je nawet udoskonalimy, chociaż to już chyba niemożliwe. Dajemy panu to, co mamy najlepszego. Utrata więc panowania nad sobą, jakieś załamanie się, chociaż nie do wykluczenia, będzie z reguły mniej prawdopodobne aniżeli u człowieka w tej samej sytuacji!
- Czy były robione takie doświadczenia?
- Oczywiście!
- I ludzie stanowili próby kontrolne?
- Było i tak.
- Sytuacje katastrofalne? Grożące zagładą?
- Właśnie takie.
- A rezultaty?
- Ludzie są bardziej zawodni.
- A jak z ich agresywnością?
- Chodzi panu o ich stosunek do człowieka?
- Nie tylko.
- Może pan być spokojny. Mają wbudowane inhibitory, tak zwane układy wyładowania wstecznego, amortyzujące niejako potencjały agresji.
- Zawsze?
- Nie, to niemożliwe. Mózg jest układem probabilistycznym, nasz także. Można w nim zwiększać prawdopodobieństwo określonych stanów, ale nigdy nie ma się całkowitej pewności. Mimo to — i pod tym względem przewyższają człowieka!
- A co się stanie, jeśli będę próbował strzaskać któremuś głowę?
- Będzie się bronił.
- Czy będzie usiłował mnie zabić?
- Nie, ograniczy się do obrony.
- A jeśli jedyną możliwością obrony będzie atak?
- Wtedy zaatakuje pana.
- Proszę mi dać te umowy — powiedział Pirx. Pióro skrzypiało w ciszy. Inżynier złożył

formularze i schował je do teczki.

— Pan wraca do Stanów?

— Tak, jutro.

— Może pan zakomunikować przełożonym, że postaram się wycisnąć z nich wszystko najgorsze — rzekł Pirx.

— Rozumie się! Na to właśnie liczymy! Bo nawet w tym najgorszym jeszcze są lepsi od człowieka! Tylko...

— Pan chciał coś powiedzieć?

— Pan jest człowiekiem odważnym. Ale... we własnym interesie doradzam ostrożność.

— Żeby się do mnie nie wzięli? Pirx uśmiechnął się mimo woli.

— Nie. Żeby się to nie skrupiło właśnie na panu: bo pierwszej, wcześniej, „wysiądą” panu ludzie. Zwykli, poczciwi, zacni chłopcy. Rozumie pan?

— Rozumiem — odparł Pirx. — Czas na mnie. Muszę przejąć dziś statek.

— Mam na dachu helikopter — rzekł Mc Guirr wstając. — Podrzucić pana?

— Nie, dziękuję. Pojadę metrem. Nie lubię ryzykować, wie pan... Więc powie pan przełożonym, jak czarne mam zamiary?

— Jak pan sobie życzy.

Mc Guirr szukał w kieszeni następnego cygara.

— Muszę powiedzieć, że zachowuje się pan raczej dziwnie. Czego pan właściwie od nich chce? To nie są ludzie, tego nikt nie twierdzi. To doskonali fachowcy, a przy tym naprawdę zacni! Mówię panu! Zrobią dla pana wszystko!

— Postaram się, żeby zrobili jeszcze więcej — odparł Pirx.

\* \* \*

Pirx rzeczywiście nie darował Brownowi sprawy Pana Boga i umyślnie zatelefonował do niego następnego dnia; w UNESCO podano mu numer telefonu, dzięki któremu mógł osiągnąć swego „nieliniowego pilota”. Poznał nawet jego głos, gdy nakręcił ów numer.

— Czekałem na pana — powiedział Brown.

— No i jak się pan zdecydował? — spytał Pirx. Było mu przy tym dziwnie ciężko na sercu; znacznie lepiej czuł się, kiedy podpisywał papiery Mc Guirrowi. Wydawało mu się wówczas, że da temu radę. Teraz nie był już taki pewny siebie.

— Miałem mało czasu — rzekł Brown swym równym, miłym głosem. — Dlatego mogę powiedzieć tylko tyle: nauczono mnie podejścia probabilistycznego. Obliczam szansę i na tej podstawie działam. A w tym wypadku — dziewięćdziesiąt dziewięć procent, że „nie”, a może nawet dziewięćdziesiąt dziewięć i osiem dziesiątych, ale jedna setna szansy, że tak.

— Że jest?

— Tak.

— Dobrze. Może się pan zgłosić z innymi. Do zobaczenia.

— Do widzenia — odparł miękki baryton i słuchawka dźwiękła, odłożona. Pirx przypomniał sobie, nie wiedzieć czemu, tę rozmowę, kiedy jechał do portu raketowego. Nie wiadomo, kto załatwił już wszystkie formalności w kapitanacie — może UNESCO, a może firmy, które mu „wyprodukowały” załogę. Dość, że nie było ani normalnej kontroli sanitarnej, ani też nikt nie żądał papierów jego „ludzi” — a start wyznaczono na godzinę drugą czterdzieści pięć, to znaczy miał się odbyć wtedy, gdy ruch jest najmniejszy. Trzy spore satelitarne przekaźniki dla Saturna znajdowały się już w lukach. „Goliat” był statkiem średniego tonażu, z wysoką automatyzacją obsługi; niezbyt duży — ledwo sześć tysięcy ton masy spoczynkowej — ale wypuszczony ze stoczni dopiero przed dwoma laty, posiadał doskonały, zupełnie pozbawiony wahań termicznych stos na szybkie neutrony, który

zajmował dosłownie dziesięć metrów sześciennych, a więc tyle co nic, a miał nominalną moc czterdziestu pięciu milionów koni, ze szczytem w siedemdziesięciu dla przyspieszeń krótkotrwałych.

Pirx właściwie nie wiedział nic o tym, co się z jego „ludźmi” działo w Paryżu — czy zatrzymali się w hotelu, czy jakaś firma wynajęła im mieszkanie (a nawet przeszła mu przez głowę tyleż groteskowa, co makabryczna myśl, że ich tam jakoś inżynier Mc Guirr „powyłączał” i na te dwa dni powkładał do skrzyń) — ani nawet, jak się dostali do portu.

Czekali w osobnym pokoju kapitanatu, przy czym wszyscy mieli walizki, jakieś zawiniątka i małe nesesery z dyndającymi przy uchwytach wizytówkami. Pirxowi, kiedy to widział, mimo woli przechodziły przez myśl różne idiotyczne dowcipy, że pewno mają tam klucze francuskie i toaletowe oliwiarki, i tak dalej. Ale nie było mu wcale do śmiechu, kiedy, przywitawszy się z nimi, złożył uprawnienia i papiery, niezbędne dla potwierdzenia gotowości startowej, po czym, dwie godziny przed wyznaczonym czasem, wyszli na płytę oświetloną jedynym reflektorem i gęsiego ruszyli ku białemu jak śnieg „Goliatowi”. Wyglądał trochę jak olbrzymia, świeżo wypakowana głowa cukru.

Start nie był problemem. „Goliatem” dałoby się wystartować bez żadnej niemal pomocy, nastawiwszy tylko programy wszystkich automatycznych i półautomatycznych urządzeń. Nie minęło ani pół godziny, a już pozostawili za sobą nocną półkulę Ziemi z jej fosforyczną wysypką miast; Pirx wyjrzał wtedy, bo chociaż atmosferę, którą swymi promieniami o świtanie słońce czesze „pod włos”, widział z przestrzeni niejednokrotnie, wspaniałe to widowisko — ów olbrzymi sierp tęczy płonącej — jeszcze mu się wcale nie znudziło. Minąwszy parę minut potem ostatniego nawigacyjnego satelitę, w gęstym ciurkaniu i popiskiwaniu sygnałów, którymi pęczniały pracujące maszyny informacyjne („elektronowa biurokracja Kosmosu”, jak je Pirx nazywał), wyszli ponad ekliptykę. Pirx polecił wówczas pierwszemu pilotowi, aby pozostał przy sterach, a sam udał się do swojej kajuty. Nie minęło ani dziesięć minut, gdy usłyszał pukanie.

— Proszę!

Wszedł Brown. Zamknął starannie drzwi, podszedł Pirxa, który siedział na swojej koi, i odezwał się stłumionym głosem:

— Chciałbym z panem porozmawiać.

— Proszę. Niech pan siada.

Brown opuścił się na krzesło, ale jakby uznawszy, odległość, jaka ich dzieli, jest zbyt wielka, przysunął je bliżej, przez chwilę milczał z opuszczonymi oczami, nagle patrzył prosto w twarz dowódcy i rzekł:

— Chcę panu coś powiedzieć. Ale muszę prosić o dyskrecję. O słowo, że pan tego nikomu nie powtórzy.

Pirx uniósł brwi.

— Tajemnice?

Namyślał się przez kilka sekund.

— Zgoda, nie powtórzę tego nikomu — powiedział wreszcie. — Słucham.

— Jestem człowiekiem — rzekł tamten i urwał, patrz: Pirxowi w oczy, jakby pragnął sprawdzić efekt tych słów. Pirx jednak, z w półprzymkniętymi powiekami, oparty głową o ścianę wyścielaną białym pianoplastykiem, trwał ruchu.

— Mówię to, bo chcę panu pomóc — zaczął tamten tak, jakby mówił coś, co już poprzednio sobie obmyślił. — Kiedy składałem ofertę, nie wiedziałem, o co chodzi. Takich jak ja było na pewno wielu — ale przyjmowano nas oddzielnie, abyśmy nie mogli się poznać ani nawet zobaczyć. O tym, co właściwie mi przeznaczają, dowiedziałem się dopiero, kiedy zostałem definitywnie wybrany, po wszystkich lotach, próbach i testach. Musiałem wtedy zaręczyć, że absolutnie nic nie wyjawię. Mam dziewczynę, chcemy się pobrać, ale były trudności finansowe — a to mnie urządzało wprost nadzwyczajnie, bo dali mi od razu osiem

tysięcy, a drugie tyle mam dostać po powrocie z tego rejsu bez względu na jego rezultat. Mówię panu wszystko, jak było, bo chcę, aby pan wiedział, że jestem w tej sprawie w porządku. Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy z tego, o jaką stawkę idzie gra. Dziwaczny eksperyment i tyle — tak początkowo myślałem. Ale potem zaczęło mi się to coraz mniej podobać. Przecież, w końcu, to jest kwestia jakiejś elementarnej solidarności międzyludzkiej. Mam milczeć wbrew ich interesom? Uznałem, że mi nie wolno. Czy pan tak nie sądzi?

Pirx milczał, więc tamten po chwili podjął, ale już jakby odrobinę mniej pewnie:

— Z tej czwórki nie znam nikogo. Przez cały czas trzymano nas oddzielnie. Każdy miał własny pokój, własną łazienkę, własną salę gimnastyczną, nie stykaliśmy się nawet przy posiłkach, dopiero przed samym wyjazdem do Europy mogliśmy jadać wspólnie przez trzy dni. Dlatego nie mogą panu powiedzieć, który z nich jest człowiekiem, a który nie. Na pewno nie wiem nic. Podejrzewam jednak...

— Zaraz — przerwał mu Pirx. — A dlaczego odpowiedział mi pan na pytanie o Bogu, że zajmowanie się tą kwestią „nie jest pana obowiązkiem”?

Brown poprawił się ha krzesło, poruszył nogą i patrząc w czubek bucika, którym rysował podłogę, powiedział cicho:

— Bo ja właściwie już wtedy byłem zdecydowany wszystko panu powiedzieć i — pan wie, jak to jest: na złodzieju czapka gore. Bałem się, żeby Mc Guirr nie wyczuł jakoś mojej decyzji. Więc kiedy pan mnie spytał, odpowiedziałem w taki sposób, żeby jemu wydało się, że mam zamiar zachować solennie tajemnicę i na pewno nie pomogę panu zorientować się w tym, kim naprawdę jestem.

— Więc umyślnie odpowiedział pan w taki sposób ze względu na obecność Mc Guirra?

— Tak.

— A wierzy pan w Boga?

— Wierzę.

— I myślał pan, że robot nie powinien wierzyć?

— No tak.

— I że gdyby pan powiedział „wierzę”, można by się łatwiej domyślić tego, kim pan jest?

— Tak. Tak właśnie było.

— Ale przecież i robot może wierzyć w Boga — powiedział Pirx po sekundzie, tonem lekkim, jakby mimochodem, aż tamten oczy szerzej otworzył.

— Co pan mówi?

— Uważa pan, że to niemożliwe?

— Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy...

— Zostawmy to. Rzecz jest — przynajmniej w tej chwili — bez znaczenia. Pan mówił o jakichś swoich podejrzeniach...

— Tak. Wydaje mi się, że ten ciemny — Burns — nie jest człowiekiem.

— Dlaczego panu się tak wydaje?

— To są drobiazgi, trudne do uchwycenia, ale w sumie się liczą. Najpierw — kiedy siedzi albo kiedy stoi, w ogóle się nie porusza. Jak posąg. A przecież pan wie, że żaden człowiek nie może długo przebywać idealnie w tej samej pozycji. Gdy się robi niewygodnie, noga ścierpnie — człowiek się mimo woli poprawi, poruszy, dotknie twarzy, a on wprost zastyga.

— Zawsze?

— Nie. Właśnie, że nie zawsze, i to mi się wydało szczególnie znamienne.

— Dlaczego?

— Myślę sobie, że on wykonuje takie drobne, niby to mimowolne poruszenia, kiedy o tym specjalnie pamięta, a kiedy zapomni — nieruchomieje. Natomiast u nas jest odwrotnie: my właśnie musimy się wytężyć, żeby pozostać jakiś czas bez ruchu.

— Coś w tym jest. Co więcej?

— On wszystko je.  
— Jak to „wszystko”?  
— Cokolwiek dają. Jemu jest zupełnie wszystko jedno. Zauważyłem to już wiele razy, także w podróży, kiedy lecieliśmy przez Atlantyk. I w Stanach jeszcze, i w restauracji na lotnisku — je zupełnie obojętnie to, co podadzą, a przecież każdy ma zwykle jakieś upodobania, no i czegoś tam nie lubi.  
— To nie żaden dowód.  
— Ach, nie, pewno, że nie. Ale razem z tamtym, wie pan. Poza tym jeszcze jedna rzecz.  
— No?  
— On nie pisze listów. Tego to już nie mogę być stuprocentowo pewny, ale sam na przykład widziałem, jak Burton wrzucał w hotelu list do skrzynki.  
— A wolno wam pisać listy?  
— Nie.  
— Jak widzę, pilnie przestrzegacie warunków umowy! — mruknął Pirx. Wyprostował się na łóżku i przybliżając twarz do twarzy Browna, powoli spytał:  
— Dlaczego złamał pan dane słowo?  
— Co? Co pan mówi?! Komandorze!  
— Przecież dał pan słowo, że zachowa swoją identyczność w tajemnicy.  
— A! Tak. Dałem. Uważam jednak, że są sytuacje, w których człowiek nie tylko ma prawo to zrobić, ale jest to nawet jego obowiązkiem.  
— Na przykład?  
— To właśnie jest taka sytuacja. Wzięli metalowe kukły, okleili je plastykiem, uróżowali, przemieszali z ludźmi, jak fałszywe karty, i chcą zrobić na tym wielkie pieniądze. Myślę sobie, że każdy uczciwy człowiek postąpiłby tak jak ja — czy nikt nie przyszedł z tym do pana?  
— Nie. Pan jest pierwszy. Ale dopiero co wystartowaliśmy... — rzekł Pirx, a choć powiedział to zupełnie obojętnie, słowa nie były pozbawione ironii; Brown jednak, jeśli to zauważył, nie dał po sobie nic poznać.  
— Będę się starał w dalszym ciągu pomagać panu podczas całego rejsu. I zrobię ze swej strony wszystko, co pan uzna za wskazane.  
— Po co?  
Brown zamrugnął lalkowatymi rzęsami.  
— Jak to — po co? Żeby panu łatwiej przyszło odróżnić ludzi od nie ludzi...  
— Pan wziął tych osiem tysięcy dolarów, Brown.  
— Tak. I co z tego? Zostałem zaangażowany jako pilot. Jestem pilotem. I to nie najgorszym.  
— Po powrocie weźmie pan drugie osiem tysięcy, za tych kilka tygodni. Za taki rejs nikt nie daje nikomu szesnastu tysięcy dolarów, ani pilotowi pierwszej klasy kosmodromicznej, ani locmanowi, ani nawigatorowi. Nikomu. Więc dostał pan te pieniądze za milczenie. Nie tylko wobec mnie; wobec wszystkich — konkurencji tych firm chociażby. Chcieli uchronić pana od wszelkich pokus.  
Tamten patrzył na niego z osłupieniem na swej ładnej twarzy.  
— To pan ma mi jeszcze za złe, że sam przyszedłem i powiedziałem?...  
— Nie. Nie mam panu niczego za złe. Postąpił pan jak uważał pan za właściwe. Jaki jest pana IQ?  
— Iloraz inteligencji? Sto dwadzieścia.  
— To dosyć, żeby się pan orientował w różnych stawowych rzeczach. Niech no mi pan powie, co ja właściwie mam z tego, że pan podzielił się ze mną swoimi podejrzeniami na temat Burnsa?  
Młody pilot wstał.

— Komandorze, proszę wybaczyć. Jeżeli tak — to było nieporozumienie. Chciałem najlepiej. Ale wobec tego, że pan uważa, że ja... jednym słowem, proszę o tym zapomnieć... i pamiętać tylko...

Nie dokończył na widok uśmiechu Pirxa.

— Siadaj pan. Siadajże pan, no! Brown usiadł.

— Czego pan nie dopowiedział? O czym mam pamiętać? O tym, że obiecałem nie powtórzyć nikomu naszej rozmowy? Prawda? No, bo gdybym ja z kolei uznał, że mogę ją powtórzyć? Cicho! Nie przerywa się dowódcy. Widzi pan, to nie jest taka prosta sprawa. Pan przyszedł do mnie w zaufaniu — i zaufanie to umiem ocenić. Ale... co innego zaufanie, a co innego — rozsądek. Powiedzmy, że ja już wiem na pewno, dzięki panu, kim pan jest i kim — Burns. Co będę z tego miał?

— To... już pana rzecz. Pan ma, po tym rejsie, ocenić przydatność...

— O, właśnie! Przydatność każdego. Ale przecież pan sobie nie myśli, Brown, że ja będę pisał nieprawdę? Że ja! minusy powpisuję nie tym, którzy będą gorsi, ale tym, którzy nie są ludźmi?

— To nie jest moja rzecz — sztywno zaczął pilot, poruszając się niespokojnie na krześle podczas tej przemowy. Pirx zmierzył go oczami tak, że zamilkł.

— Tylko proszę nie zgrywać mi tu takiego karnego kaprala, który wyżej swego paska nie patrzy. Jeżeli pan jest człowiekiem i poczuwa się do solidarności z ludźmi, to musi pan próbować oceny całej tej historii i czuć własną odpowiedzialność...

— Jak to „jeżeli”? — tamten drgnął. — Pan mi nie wierzy? To... to pan myśli...

— Ale skąd! Tak mi się powiedziało! — szybko odparował jego słowa Pirx. — Wierzę panu. Jasne, że panu wierzę, ponieważ pan się już zdradził, a ja nie mam zamiaru oceniać tego pod względem moralnym czy tam innym, proszę, aby pan nadal utrzymywał ze mną pozasłużbowy kontakt i mówił mi o wszystkim, co pan zauważy.

— Teraz to już nic nie rozumiem — powiedział Brown i mimo woli westchnął. — Najpierw beszta mnie pan, a teraz...

— To są dwie różne sprawy, Brown. Skoro powiedział mi pan to, czego nie miał mówić, jakieś wycofywanie się byłoby zupełnie bez sensu. Inna rzecz, naturalnie, z tą forszą. Może i należało mówić. Ale, na pana miejscu, tych pieniędzy bym nie brał.

— Co? Ależ... ależ, panie komandorze — Brown szukał rozpaczliwie argumentów, aż znalazł: — Oni by się natychmiast zorientowali, że złamałem umowę! Jeszcze by mnie zaskarżyli...

— To jest pańska rzecz. Nie mówię, że ma pan oddać te pieniądze. Obiecałem dyskrecję i nie mam zamiaru mieszać się do tego. Powiedziałem tylko, zupełnie prywatnie i nieobowiązująco, co ja bym na pana miejscu zrobił, ale pan nie jest mną, ja nie jestem panem, i na tym koniec. Czy jeszcze coś?

Brown potrząsnął głową, otworzył usta, zamknął je, wzruszył ramionami, okazując coś więcej niż rozczarowanie przebiegiem rozmowy, ale już nic nie powiedział i wyprostowawszy się odruchowo przed odejściem — wyszedł.

Pirx odetchnął pełną piersią. Niepotrzebnie wyrwało mu się to: „jeżeli pan jest człowiekiem” — pomyślał z naganą. — Co za piekielna gra! Diabli go wiedzą, tego Browna, Albo jest człowiekiem, albo to chwyt zastosowany umyślnie, aby nie tylko wprowadzić mnie w błąd, lecz dodatkowo przekonać się jeszcze, czy nie zamierzam używać jakichś sprzecznych z umową sposobów, by ich rozróżnić... W każdym razie tę część rozgrywki przeprowadziłem chyba nie najgorzej? Jeśli mówił prawdę, powinien odtąd czuć się trochę nieswojo we własnej skórze, po tym wszystkim, com mu nagadał. A jeżeli nie... to znów nic mu w ogóle nie powiedziałem. Co za historia! A tom się wpakował w kabałę!

Nie mogąc spokojnie usiedzieć, zaczął chodzić tam i z powrotem po kabinie. Odezwał się brzęczyk; to był Calder ze sterowni; uzgodnili poprawki kursowe i przyspieszę: na noc, po



czym Pirx usiadł i wpatrzył się przed siebie myśląc nie wiadomo co czyni ze ściągniętymi w supły brwiami gdy ktoś zapukał. A to co znowu? — pomyślał.

— Proszę! — rzekł głośno.

Do kajuty wszedł neurolog, lekarz i cybernetyk zarazem — Burns.

— Czy można?

— Proszę, niech pan siada. Burns uśmiechnął się.

— Przyszedłem, żeby panu powiedzieć, że nie jestem człowiekiem.

Pirx, razem z krzesłem, obrócił się ku niemu gwałtownie.

— Jak proszę? Że pan nie jest...

— Nie jestem człowiekiem. I stoję — w tym eksperymencie — po pańskiej stronie.

Pirx odetchnął głęboko.

— To, co pan mówi, ma oczywiście pozostać między nami? — powiedział.

— Pozostawiam to pana uznaniu. Mnie na tym nie zależy.

— Jak to?...

Tamten znowu się uśmiechnął.

— To całkiem proste. Działam z egoizmu. Jeżeli wyda pan pozytywną opinię o „nieliniowcach”, wywoła to produkcyjną reakcję łańcuchową. To jest więcej niż prawdopodobne. Tacy jak ja zaczną się pojawiać masowo — i nie tylko na statkach kosmicznych. Wywoła to fatalne konsekwencje u ludzi — powstanie nowy rodzaj dyskryminacją nienawiści, z wszystkimi wiadomymi rezultatami. Przewiduję to, ale, powtarzam, działam przede wszystkim z pobudek osobistych. Jeśli istnieję sam, jeśli takich jak ja, jest dwóch czy dziesięciu, nie ma to żadnego znaczenia społecznego — zginiemy po prostu w masie, nie dostrzeżeni i niedostrzegalni. Będę — będziemy mieli przed sobą przyszłość podobną do przeszłości każdego człowieka, z nader istotną poprawką na inteligencję oraz szereg specjalnych umiejętności, jakich ów zwykły człowiek nie ma. Osiągniemy więc niejedno, ale tylko wtedy, jeśli do uruchomienia . masowe j produkcji nie dojdzie.

— Tak — w tym coś jest... — powiedział powoli Pirx. Miał w głowie lekki zamęt. — Ale dlaczego nie zależy panu na dyskrecji? Czy nie obawia się pan, że firma, która...

— Nie. Wcale się nie obawiam. Niczego — powiedział tym samym spokojnym tonem wykładu Burns. — Jestem niesamowicie kosztowny, panie nawigatorze. W to tutaj — dotknął ręką piersi — włożono miliardy dolarów. Nie przypuszcza pan chyba, że rozgniewany fabrykant każe mnie rozkręcić na śrubki? Mówię to oczywiście przerośnie, bo nie mam w ciele żadnych śrubek... Zapewne, będą wściekli, ale mojej sytuacji to nie zmieni. Prawdopodobnie będę musiał pracować w tej firmie — ale cóż mi to szkodzi? Wolę nawet tam, niż gdzie indziej, gdyż znajdę tam lepszą opiekę w razie... choroby. Nie sądzę także, by usiłowali mnie uwięzić. Właściwie — po co? Stosowanie przemocy mogłoby się dla nich samych bardzo smutno skończyć. Pan wie, jaką potęgą jest prasa...

On myśli o szantażu — błysnęło Pirxowi. Miał wrażenie, że to sen. Słuchał jednak dalej, z największą uwagą.

— Tak zatem, teraz pan już rozumie, czemu pragnę, aby pana opinia o nieliniowcach wypadła negatywnie.

— Tak. Rozumiem. Czy — może mi pan wskazać, kto jeszcze spośród załogi...?

— Nie. To znaczy, nie mam pewności, a przypuszczeniami mógłbym panu więcej zaszkodzić, niż pomóc. Lepiej mieć zero informacji, niż być zdezinformowanym, bo oznacza to informację ujemną, mniejszą od zera.

— Tak. Hm. W każdym razie — bez względu na pana pobudki — dziękuję panu. Tak. Dziękuję. Czy... mógłby pan wobec tego powiedzieć mi coś o sobie? Mam na myśli kwestie, które mogłyby mi pomóc...

— Domyślam się, o co panu chodzi. O tym, jak jestem zbudowany, nic nie wiem, podobnie

jak i pan nie wie nic o swojej anatomii czy fizjologii, przynajmniej nie wiedział Pan, dopóki nie przeczytał jakiegoś podręcznika biologii. Ale ta strona konstrukcyjna chyba mało pana interesuje i chodzi panu raczej o psychiczną? O nasze — słabe miejsca?

— O słabe miejsca też. Ale — wie pan — każdy w końcu coś niecoś wie o swoim organizmie, to nie jest wiedza naukowa, ale wynika z doświadczenia, samoobserwacji.

— Oczywiście, organizmu się przecież używa i mieszka w nim... to daje okazję do obserwowania...

Burns znów się uśmiechnął, jak poprzednio, ukazując równe — ale nie nazbyt równe — zęby.

— Więc mogę pana pytać?

— Proszę.

Pirx usiłował zebrać myśli.

— Czy to mogą być pytania... niedyskretne? Wręcz intymne?

— Nie mam nic do ukrycia — powiedział tamten po prostu.

— Czy spotkał się pan już z taką reakcją, jak zaskoczenie, strach i odraza, spowodowane tym, że pan nie jest człowiekiem?

— Owszem, raz jeden, podczas operacji, przy której asystowałem. Drugim asystentem była kobieta. Wiedziałem już wtedy, co to jest.

— Nie zrozumiałem pana...

— Wiedziałem już wtedy, co to jest kobieta — wyjaśnił Burns. — Z początku nie było mi nic wiadomo o istnieniu płci...

— A!

Pirx zły był na siebie, że nie udało mu się powściągnąć tego okrzyku.

— Więc była tam kobieta. I co się stało?

— Operator skaleczył mnie w palec skalpelem, rękawiczka gumowa rozeszła się i było widać, że nie krwawię.

— Jak to? Ależ Mc Guirr mówił mi...

— Teraz bym krwawił. Wtedy byłem jeszcze „suchy”. To się tak nazywa — w żargonie wewnętrznym naszych „rodziców”... — powiedział Burns. — Bo ta krew nasza to czysta maskarada: wewnętrzna powierzchnia skóry jest gąbczasta i nasycona krwią, przy czym ten zabieg nasycania trzeba powtarzać dość często.

— Aha. I ta kobieta zauważyła? A operator?

— Och, operator wiedział, kim jestem, ale ona nie. Zorientowała się nie od razu, dopiero przy końcu operacji, a i to głównie dlatego, ponieważ on się zmieszał...

Burns uśmiechał się.

— Chwyła moją rękę, podniosła ją do oczu i kiedy zobaczyła, co jest... w środku, rzuciła ją i uciekła. Zapomniała, w którą stronę otwierają się drzwi operacyjnej, ciągnęła je, a że się nie otwierały, dostała ataku histerycznego,

— Tak — powiedział Pirx. Przełknął. — Co pan wtedy czuł?

— Nie czuję w ogóle wiele... ale to nie było przyjemne — wolno rzekł Burns i uśmiechnął się znowu. — Nie mówiłem o tym z nikim — dodał po sekundzie — ale mam wrażenie, że mężczyznom, nawet nieobytym, jest łatwiej przestawać z nami. Mężczyźni godzą się z faktami. Kobiety z niektórymi faktami nie chcą się pogodzić. Mówią dalej „nie”, nawet jeśli już nic oprócz „tak” powiedzieć nie można.

Pirx przez cały czas patrzył na mówiącego, wpatrywał się w niego wtedy zwłaszcza, gdy Burns odwracał wzrok, bo usiłował odkryć w nim tę jakąś inność, która by go uspokoiła, jako dowód, że wcielenie maszyny w człowieka nie jest jednak doskonałe. Przedtem, kiedy podejrzewał wszystkich, sytuacja była inna; teraz, mając z każdą chwilą coraz mniej wątpliwości, że to, co mówił Burns, jest prawdą, i doszukując się fałszu raz w bładości Burnsa, która uderzyła go już przy pierwszym spotkaniu, raz w Jego ruchach, tak

opanowanych, w nieruchomym połysku, jasnych oczu, musiał sobie powiedzieć, że w końcu bywają przecież i ludzie równie bladzi czy mało ruchliwi; wtedy znów wracały wątpliwości — a całemu temu obserwowaniu towarzyszył uśmiech lekarza, nie zawsze odnoszący się jakby do jego słów, wyrażający raczej wiedzę o tym, co Pirx właśnie czuł; ten uśmiech sprawiał mu przykrość, mieszał go i tym trudniej przychodziło mu kontynuować indagacją, że Burns przejawiał w odpowiedziach niczym nie zmaconą szczerłość.

— Pan uogólnia na podstawie jednego wypadku — mruknął.

— Och, miałem potem sporo do czynienia z kobietami. Pracowało ze mną — to znaczy: uczyło mnie — kilka. Były wykładowcami — i tak dalej. Ale one wiedziały z góry, kim jestem. Staraly się więc ukrywać emocje. Nie przychodziło im to łatwo, ponieważ miewałem okresy, w których drażnienie ich sprawiało mi satysfakcję.

Uśmiech, z jakim patrzył Pirsowi w oczy, był niemal impertynencki.

— Szukały, wie pan, jakichś cech szczególnych, wyróżniających in minus, a ponieważ tak im na tym zależało, niekiedy bawiłem się, przejawiając takie cechy.

— Nie rozumiem.

— O, na pewno pan rozumie! Udawałem marionetkę fizycznie, pewną sztywnością, i psychicznie — biernością posłuszeństwa... tylko gdy już się takimi odkryciami zaczynały napawać, nagle ucinalem grę. Myślę, że miały mnie za stwór diabelski.

— Czy pan nie jest uprzedzony? To są tylko domysły, tym bardziej że, jeśli były wykładowcami, musiały mieć odpowiednie wykształcenie.

— Człowiek jest istotą doskonale niezborną — rzekł flegmatycznie Burns. — To jest nieuniknione, jeśli się powstawało tak jak wy; świadomość to część procesów mózgowych, wyodrębniona z nich na tyle, że stanowi w subiektywnym odczuciu jedność, ale ta jedność jest złudzeniem introspekcji. Tych innych procesów, które unoszą świadomość, jak ocean — górę lodową, nie odczuwa się bezpośrednio — one dają o sobie znać, czasem tak dobitnie, że świadomość zaczyna ich szukać. Z takiego poszukiwania właśnie powstało pojęcie diabła, jako projekcja — w świat zewnętrzny — tego, co choć jest i działa w człowieku, w jego mózgu, nie daje się umiejscowić ani tak jak myśl, ani tak jak ręka.

Uśmiechał się szerzej.

— Wykładałem panu cybernetyczne podstawy teorii osobowości, które pan pewno zna? Maszyna logiczna różni się od mózgu tym, że nie może mieć naraz kilku wykluczających się programów działania. Mózg może je mieć, zawsze je ma, dlatego jest polem bitew u świętych albo wypalonym pobojuwiskiem sprzeczności u ludzi zwykleszych... Sieć neuronowa kobiety, jest trochę inna niż u mężczyzny; to nie dotyczy inteligencji; zresztą różnica jest tylko statystyczna. Kobiety łatwiej znoszą współistnienie sprzeczności — na ogół tak jest. Nawiasem mówiąc, dlatego mężczyźni głównie tworzą naukę, bo ona jest poszukiwaniem jednego, więc niesprzecznego porządku. Sprzeczność przeszkadza mężczyznom bardziej, więc usiłują ją usunąć, redukując różnorodność do jednolitości.

— Być może — powiedział Pirx. — Więc pan dlatego uważa, że one widziały w panu diabła?

— To już za wiele powiedziane — odparł tamten. Położył ręce na kolanach.

— Byłem dla nich w najwyższym stopniu odpychający i — przez to pociągałem. Byłem urzeczywistnioną niemożliwością, czymś zakazanym, czymś, co jest wbrew światu, rozumianemu jako porządek naturalny, i strach ich nie był tylko chęcią ucieczki, ale także samozatraty. Jeżeli nawet żadna nie powiedziała sobie tego tak wyraźnie, ja mogę to za nie powiedzieć: stanowiąc, w ich oczach, wyłamanie się z uległości wobec nakazów biologicznych. Jako upostaciowany bunt przeciwko Naturze, jako istota, w której biologicznie racjonalna, więc interesowna więź uczuć z funkcją podtrzymania gatunku została rozerwana. Zniszczona.

Bystro spojrział na Pirxa.

— Pan myśli, że to filozofia kapłona? Nie, ponieważ nie zostałem okaleczony; nie jestem zatem istotą gorszą, jestem tylko odmienną od was. Której miłość jest — w każdym razie: może być — tak samo bezinteresowna, tak samo na nic niepotrzebna — jak śmierć, a przez to z wartościowego narzędzia staje się wartością w sobie. Wartością, oczywiście, ze znakiem ujemnym — jak diabeł. Dlaczego tak się stało? Stworzyli mnie mężczyźni i łatwiej było im zbudować potencjalnego rywala aniżeli potencjalny obiekt namiętności. A jak pan sądzi? Czy mam rację?

— Nie wiem — powiedział Pirx. Nie patrzył na niego — nie mógł. — Nie wiem. Realizację dyktowały rozmaite okoliczności — ekonomiczne chyba przede wszystkim.

— Na pewno — zgodził się Burns. — Ale te, o których mówiłem, też miały swój udział. Tylko że, panie komandorze, to jedna wielka pomyłka. Mówiłem o tym, co ludzie odczuwają wobec mnie — ale oni tworzą tylko jeszcze jedną mitologię, mitologię nieliniowca, bo ja nie jestem żadnym diabłem, co chyba jasne, i nie jestem też potencjalnym rywalem erotycznym, co jest może już mniej jasne. Wyglądam jak mężczyzna i mówię jak mężczyzna, i psychicznie jestem zapewne w jakimś stopniu mężczyzną, tylko w pewnym stopniu właśnie... jednakże nie ma to już prawie nic wspólnego ze sprawą, w jakiej przyszedłem do pana.

— A nie wiadomo, nie wiadomo — rzucił Pirx. Wciąż patrzył na własne splecione ręce. — Niech pan mówi dalej...

— Jeśli pan chce... Ale będę mówił tylko we własnym imieniu. Nie wiem nic o innych. Powstawałem, jako osobowość, podwójnie: z przedprogramowania i z uczenia się. I człowiek tak powstaje, ale ten pierwszy czynnik gra w nim mniejszą rolę, bo on przychodzi na świat ledwo rozwinięty, ja natomiast byłem od razu taki, jaki jestem obecnie, pod względem fizycznym, i nie musiałem uczyć się tak długo jak dziecko. Przez to zaś, że nie miałem ani dzieciństwa, ani dojrzewania, a tylko byłem multistatem, w który najpierw włożono masę przedprogramowania, a potem trenowano go wielopostaciowo i ładowano weń mnóstwo informacji — przez to stałem się bardziej jednorodny niż ktokolwiek z was. Bo każdy człowiek jest chodzącą formacją geologiczną, która przeszła przez tysiąc epok żaru i drugi tysiąc zastygania, kiedy warstwy osiadały na warstwach — najpierw ten ostateczny, bo pierwszy, a przez to niezrównany z niczym świat sprzed poznania mowy, który ginie później pochłonięty przez nią, ale tli się jeszcze gdzieś u dna; jest to inwazja kolorów, kształtów i zapachów w mózg, wtargnięcie przez zmysły, otwierające się po urodzeniu; dopiero potem dochodzi do polaryzacji na świat i nie-swiat, czyli na nie-ja i ja. No, a potem te powodzie hormonów, te sprzeczne i różnopoziomowe programy wiar i popędów — historia kształtowania się jest historią wojen: mózg przeciw sobie — wszystkich tych szaleństw i rezygnacji nie znałem, nie przeszedłem takich etapów i dlatego nie ma we mnie ani śladu dziecka. Jestem zdolny do wzruszeń i pewno mógłbym nawet zabić, ale nie z miłości. Słowa w moich ustach brzmią jak w waszych, ale znaczą dla mnie coś innego.

— To znaczy, że pan nie może kochać? — spytał Pirx. Wciąż patrzył już tylko na własne ręce. — Ale skąd ta pewność? Tego nikt nie może wiedzieć do czasu...

— Tego nie chciałem powiedzieć. Może i mógłbym. Ale to oznaczałoby coś całkiem innego niż u was. Dwa uczucia nie opuszczają mnie właściwie nigdy: zdziwienia i zarazem śmieszności. A jest tak, myślę, bo tą cechą waszego świata, która wszędzie mi się narzuca, jest jego umowność. Nie tylko w kształtach maszyn i w waszych obyczajach, ale także w waszej cielesności, która stała się wzorem dla mojej. Widzę, że wszystko mogłoby wyglądać inaczej, być inaczej zbudowane, działać inaczej, i nie byłoby przez to ani lepsze, ani gorsze od tego, co jest. Dla was świat najpierw po prostu jest, to znaczy istnieje jako jedyna możliwość, a dla mnie, od kiedy w ogóle umiałem myśleć, świat nie tylko był, ale był śmieszny. To znaczy wasz świat — miast, teatrów, ulic, rodzinnego życia, giełdy, tragedii miłosnych i filmowych gwiazd. Chce pan usłyszeć moją ulubioną definicję człowieka? Istota, która mówi najchętniej o tym, na czym się najmniej zna. Starożytność miała być

wszecchobecnością mitologii, a współczesna cywilizacja — jej brakiem? Ale skąd wywodzą się naprawdę wasze najbardziej podstawowe pojęcia? Grzeszność spraw ciała to konsekwencja starego rozwiązania ewolucyjnego, które przez ekonomię środków połączyło funkcje wydalnicze z rozrodczymi w tym samym systemie narządów. Poglądy religijne i filozoficzne są konsekwencją waszej konstrukcji biologicznej, bo ludzie są ograniczeni w czasie, a chcą, w każdym pokoleniu, poznać wszystko, zrozumieć wszystko, wyjaśnić wszystko — iż tego rozmijania się wynika metafizyka — jako most łączący możliwe z niemożliwym. A nauka? Ona jest przede wszystkim rezygnacją. Zwykle podkreśla się jej osiągnięcia, ale te przychodzą powoli, a zresztą nie dorównują nigdy ogromowi utraty. Więc ona jest zgodą na śmiertelność i na bylejakość jednostki, powstającej ze statystycznej gry walczących o prymat zapłodnienia plemników. Jest zgodą na przemijanie, na nieodwracalność, na brak odpłaty i wyższej sprawiedliwości, i ostatecznego poznania, ostatecznego zrozumienia wszystkiego — i przez to byłaby nawet heroiczną, gdyby nie to, że jej twórcy tak często nie zdają sobie sprawy z tego, co naprawdę robią! Mając do wyboru lęk i śmieszność — wybrałem śmieszność, bo było mnie na to stać.

— Pan nienawidzi tych, którzy pana stworzyli, prawda? — spytał cicho Pirx.

— Myli się pan. Uważam, że każde istnienie, nawet najbardziej ograniczone, lepsze jest od nieistnienia. Oni, ci konstruktorzy moi, na pewno wielu rzeczy nie mogli przewidzieć, ale bardziej nawet niż za inteligencję jestem im wdzięczny za to, że odmówili mi ośrodka rozkoszy. Jest taki ośrodek w waszym mózgu, wie pan o tym?

— Czytałem to gdzieś.

— Ja go widocznie nie mam, dzięki temu nie jestem beznogim, który nie chce niczego — tylko chodzić... Tylko chodzić, ponieważ to niemożliwe.

— Wszyscy inni są śmieszni, tak? — poddał Pirx. — A pan?

— O, ja też. Tylko w inny sposób. Każdy z was, skoro istnieje, posiada takie ciało, jakie ma, i na tym koniec — a ja mógłbym na przykład wyglądać jak lodówka.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — mruknął Pirx. Rozmowa ta męczyła go coraz bardziej.

— Chodzi o umowność, o przypadkowość — powtórzył Burns. — Nauka jest rezygnacją z rozmaitych absolutów: z absolutnej przestrzeni, z absolutnego czasu i absolutnej, to znaczy wiecznotrwałej, duszy, z absolutnego, bo przez Boga stworzonego, ciała. Takich umowności, które bierzecie za rzeczy realne, od niczego niezawisłe, jest więcej.

— Co jeszcze jest umowne? Zasady etyczne? Miłość? Przyjaźń?

— Uczucia nigdy nie są umowne, chociaż mogą wynikać z umownych, konwencjonalnych przesłanek. Ale ja naprawdę tylko dlatego mówię o was, bo w takim zestawieniu łatwiej mi powiedzieć, jaki sam jestem. Etyka na pewno jest umowna, przynajmniej dla mnie. Nie muszę postępować etycznie, a jednak robię to.

— Ciekawe. Dlaczego?

— Nie mam jakiegoś „odruchu dobra”. Nie jestem zdolny do litości, aby tak powiedzieć — „z natury”. Ale wiem, kiedy należy się litować i potrafię się do tego wdrożyć. Wyrozumowałem sobie, że tak trzeba. A więc niejako zapełniłem to puste miejsce w sobie dzięki logicznemu rozumowaniu. Może pan powiedzieć, że mam „zastępczą etykę”, że ją sobie sprostowałem tak dokładnie, iż jest „jak prawdziwa”.

— Nie rozumiem dobrze. Więc na czym polega różnica? Na tym, że działałam zgodnie z logiką przyjętych aksjomatów, a nie zgodnie z odruchem. Ja nie mam takich odruchów. Jednym z waszych nieszczęść jest to, że oprócz nich nie macie prawie nic; Nie wiem, może kiedyś to wystarczało, ale obecnie na pewno nie wystarcza. Jak przejawia się w praktyce tak zwana miłość bliźniego? Ulituje się pan nad ofiarą wypadku i pomoże jej. Ale jeśli stanie pan wobec dziesięciu tysięcy ofiar naraz, nie ogarnie pan wszystkich litością. Współczucie jest mało pojemne i mało rozciągliwe. Dobrze, dopóki w grę wchodzi jednostki — bezradne, kiedy

pojawia się masa. A właśnie rozwój technologii rozsądza wam moralność coraz skuteczniej. Aura odpowiedzialności etycznej obejmuje ledwo pierwsze człony łańcucha przyczyn i skutków — człony bardzo nieliczne. Ten, kto uruchamia proces, nie czuje się wcale odpowiedzialny za jego dalekie konsekwencje.

— Bomba atomowa?

— O, to tylko jedna z tysięcy spraw. W sferze zjawisk moralnych jesteście może najśmieszniejsi.

— Dlaczego?

— Mężczyźni i kobiecie, o których wiadomo, że spłodzą potomstwo niedorozwinięte, wolno mieć dzieci. To jest moralnie dozwolone.

— Burns, to nigdy nie jest pewne, najwyżej wysoce prawdopodobne.

— Ale moralność jest deterministyczna jak księga buchalteryjna, a nie statystyczna jak Kosmos. Komandorze, tak można by rozprawić przez całą wieczność. Co chce pan jeszcze wiedzieć — o mnie?

— Współzawodniczył pan z ludźmi w rozmaitych sytuacjach doświadczalnych. Czy zawsze był pan górą?

— Nie. Jestem tym lepszy, im bardziej zadanie wymaga algorytmizacji, matematyki i ścisłości. Intuicja jest moją stroną najsłabszą. Mści się na mnie pochodzenie od maszyn cyfrowych.

— Jak to wygląda w praktyce?

— Jeżeli sytuacja komplikuje się nadmiernie, jeżeli ilość nowych czynników staje się zbyt wielka, gubię się. Człowiek, jak wiem, stara się wtedy zdać na domysł, to znaczy rozwiązanie przybliżone, i udaje mu się to czasem, a ja tego nie potrafię. Muszę uwzględnić wszystko dokładnie, świadomie, a jeśli nie mogę — przegrywam.

— To bardzo ważne, co pan mi powiedział, Burns. Więc powiedzmy, w sytuacji awaryjnej, jakiejś katastrofy...?

— To nie takie proste, komandorze, bo ja nie odczuwam strachu, w każdym razie nie tak jak człowiek, i chociaż groźba zagłady nie jest mi oczywiście obojętna, nie tak jak to się mówi, głowy, i tak uzyskana równowaga może wtedy skompensować nieomąganą intuicję.

— Pan próbuje opanować sytuację — do końca?

— Tak, nawet wtedy, gdy widzę, że przegrałem.

— Dlaczego? Czy to nie jest irracjonalne?

— To jest tylko logiczne, bo tak sobie postanowiłem.

— Dziękuję panu. Może naprawdę mi pan pomógł — i rzekł Pirx. — Niech mi pan tylko powie jeszcze, co pan zamierza zrobić po naszym powrocie?

— Jestem cybernetykiem–neurologiem, i to niezłym. Zdolności twórczych mam mało, bo one są nieoddzielne od intuicji, ale i tak znajdę dość interesującej roboty.

— Dziękuję panu — powtórzył Pirx.

Tamten wstał, skłonił się nieznacznie i wyszedł. Pirx zerwał się z koi, ledwo drzwi zamknęły się za Burnsem, i jął chodzić od ściany do ściany.

Panie święty, po diabła mi to było?! Teraz dopiero nic nie wiem. Albo to robot, albo... Chyba jednak mówił prawdę. Ale skąd znów taka wylewność? Cała historia ludzkości plus „krytyka z zewnątrz” — powiedzmy, że mówił prawdę. W takim razie trzeba sprowokować uczciwie pogmatwaną sytuację. Ale musi być dosyć autentyczna, aby nie wydało się, że ją sfiingował. Więc musi być realna. Jednym słowem, trzeba będzie nadstawić karku. Niebezpieczeństwo, wywołane może i sztucznie, ale samo w sobie prawdziwe?

Uderzył pięścią w otwartą rękę.

A jeżeli to też był tylko manewr taktyczny? Wówczas być może skreślę sobie kark i zabiję przy tym wszystkich ludzi, a statek doprowadzą do portu roboty, które to wytrzymają! No, to wprowadziłoby tych panów w najwyższy zachwyt — co za fenomenalna reklama! Co za

gwarancja bezpieczeństwa dla statków, wyposażonych w takie załogi! Czy nie tak? Więc, z ich punktu widzenia, takie pociągnięcie — nabieranie mnie na szczerłość — byłoby szalenie efektywne!

Chodził coraz szybciej.

Muszę przekonać się jakoś, czy to prawda. Powiedzmy, że w końcu zidentyfikuję wszystkich. Na pokładzie jest apteczka. Mógłbym wpuścić do jedzenia po kropli apomorfiny. Ludzie się pochorują, a tamci chyba nie. Na pewno nie. Ale co mi z tego przyjdzie? Najpierw, niemal na pewno, wszyscy domyśla się, że ja to zrobiłem. Poza tym, nawet jeśli się okaże, że Brown jest człowiekiem, a Burns nie, to z tego wcale jeszcze nie wynika, że w s z y s t k o, co mi mówili, jest prawdą. Może zidentyfikowali się przede mną prawdziwie, aby cała reszta służyła ich strategii? Zaraz. Burns skierował mnie rzeczywiście na określoną drogę — mówiąc o tej niedomodze intuicji. Ale Brown? Rzucił podejrzenie na Burnsa. Właśnie na Burnsa, który przyszedł zaraz potem i potwierdził je! Czy nie za dużo tego dobrego? Z drugiej strony, gdyby to się stało wskutek nie zaplanowanej, więc niezawisłej inicjatywy każdego z nich z osobna, wówczas i to, że najpierw Brown wymienił Burnsa, i to, że potem Burns sam przyszedł, by tamto potwierdzić — byłoby czystym przypadkiem. Jeśliby oni rzecz planowali, pewno by takiego prymitywizmu uniknęli, bo daje za wiele do myślenia. Zaczynam gonić w piętę! Zaraz. Gdyby teraz ktoś jeszcze przyszedł, będzie to znaczyło, że i tamto było „lipą”. Grą. Tylko pewno nikt nie przyjdzie — rozgrywka stałaby się zbyt przejrzysta, tacy głupi nie są. No, ale jeśli mówili prawdę? Przecież może się jeszcze komuś zachcieć...

Pirx po raz drugi palnął pięścią w rozchyloną dłoń. Więc po prostu nic nie wiadomo. Czy działać? Jak działać? Może jeszcze czekać? Chyba czekać.

W mesie podczas głównego posiłku panowało przy stole milczenie. Pirx w ogóle do nikogo się nie odzywał, bo wciąż walczył z pokusą owej „chemicznej próby”, na którą wpadł przedtem i nie mógł powziąć jednoznacznej decyzji. Przy sterach był Brown, więc jedli w pięciu. I jedli wszyscy, a Pirx pomyślał, że to jakieś monstrualne — jeść tylko po to, żeby udawać człowieka. I że może z takich źródeł płynie owo poczucie śmieszności, o którym mówił Burns, i że to jest jego sposób samoobrony, stąd też to gadanie o umowności wszystkiego — pewno, dla niego jedzenie też było tylko umownym chwytem! Jeśli nawet sam wierzy w to, że nie nienawidzi swych twórców, to samego siebie oszukuje. Ja bym nienawidził — pomyślał Pirx i był pewien swego. — To jednak jakieś draństwo że im nie wstyd! Milczenie, trwające przez cały czas posiłku, stawało się wręcz nieznośne — była w nim nie tyle chęć każdego, by pozostać przy swoim i nie angażować się w kontakty, jak sobie tego życzyli organizatorzy rejsu, a więc nie lojalność, dbająca o zachowanie tajemnicy, ile jakaś powszechna wrogość, a jeśli nie wrogość, to podejrzliwość; człowiek nie chciał zbliżać się do nieczłowieka,] a tamten znów rozumiał, że tylko zajęcie takiej samej postawy go nie zdemaskuje. Gdyby bowiem w tej lodowatej atmosferze próbował choć odrobinę się narzucać, od razu ściągnąłby na siebie uwagę i przypuszczenia, że nie jest i człowiekiem. Pirx siedział nad swym talerzem, dostrzegając każdy drobiazg — jak Thomson poprosił o sól, jak mu ją Burton podał, jak jemu z kolei Burns przysunął karafkę z octem, widelce i noże poruszały się żwawo w rękach, żuli, połykali, mało co patrząc na innych — był to prawdziwy pogrzeb marynowanej wołowiny i Pirx, nie dojadłszy kompotu, wstał, skinął im głową i wrócił do siebie.

Mieli kursową szybkość, około dwudziestej czasu pokładowego minęli dwa duże transportowce, wymienili zwykle sygnały i w godzinę później automaty wyłączyły na pokładach dzienne światło. Pirx szedł właśnie ze sterowni, kiedy się to stało. Wielką przestrzeń środkowego pokładu wypełnił mrok, podziurawiony błękitnymi kulami nocnych jarzeniówek. Równocześnie zajaśniały powleczone farbą samoświecącą liny, rozciągnięte wzdłuż ścian, służące do poruszania się przy braku grawitacji, naroża drzwi, ich klamki, i

wyrysowane na przegrodach orientacyjne strzały i napisy. Statek był tak nieruchomy, jakby przebywał w jakimś ziemskim doku. Nie czuło się najmniejszej wibracji, tylko klimatyzatory pracowały prawie bezszelestnie i Pirx przechodził kolejno przez niewidzialne strugi powietrza, odrobinę chłodniejszego, o bardzo słabej woni ozonu.

Coś uderzyło go lekko w czoło z jadowitym bzyknięciem, jakaś mucha, która stała się pasażerem na gapę — popatrzał na nią z niesmakiem, nie lubił much, ale nie zobaczył jej już. Za zakrętem korytarz zwężał się omijając schody i cylinder dźwigu osobowego. Pirx ujął w rękę poręcz i poszedł na górę, właściwie nie wiadomo po co; nie pomyślał nawet o tym, że tam jest gwiazdowe okno. To znaczy wiedział o jego istnieniu, ale natknął się na ten czarny, wielki czworokąt jakby przypadkiem. W gruncie rzeczy nie miał wyraźnego stosunku do gwiazd. Wielu kosmonautów rzekomo go miało; nie był to już ów koniecznie obowiązujący, romantyczny „fason” dawnych lotów, ale prawdopodobnie wskutek tego, że opinia publiczna, kształtowana przez film, telewizję, literaturę, oczekiwała jakiejś „kosmicznej postawy” żeglarzy pozaziemskich, każdy nieomal starał się odnaleźć w sobie rodzaj intymności wobec tego świetlnego rojowiska — Pirx jednak w gruncie rzeczy podejrzewał wszystkich tak mówiących o blagę, bo gwiazdy mało go osobiście obchodziły, a już rozprawianie na ów temat uważał za kompletny idiotyzm. Stał teraz, oparty o elastyczną rurę, która chroniła przed rozbiciem głowy o niewidzialną taflę szkliva, i od razu poznał leżące niżej statku centrum Galaktyki, a właściwie jego kierunek, skryty przed wzrokiem wielkimi białawymi chmurami Strzelca. Gwiazdozbiór ten był dla niego czymś w rodzaju rozmytego trochę i przez to nie dość dokładnego znaku drogowego, zostało mu to z lotów patrolowych, bo chmurę Strzelca można było rozpoznać nawet w niewielkim ekranie, a szczupłość pola widzenia owych rakiet jednoosobowych nieraz utrudniała orientację podług gwiazdozbiorów. Ale też nie myślał na ogół o tej chmurze jako o milionach gorejących światów, z nieprzeliczonymi systemami planetarnymi — to znaczy myślał tak za młodu, dopóki nie znalazł się w próżni i nie oswoił z nią. Wówczas te młodzieńcze fantazjowania jakoś go opuściły, ani wiedział kiedy. Zbliżył powoli twarz do zimnej tafli, aż dotknął jej czołem, i stał tak, właściwie nie bardzo patrząc w mrowie nieruchomych punktów świetlnych, zlewających się miejscami w białawo pałającą mgłę. Widziana z wnętrza Galaktyka przedstawia się jako chaos, jako rezultat miliardoletniej gry w kości ogniste — bez ładu i składu. A jednak istniał porządek, ale wyższej skali, całych Galaktyk, dostrzegalny jednak tylko na fotografiach olbrzymich reflektorów. Galaktyki tak wyglądają na negatywach jak ciała eliptyczne, jak ameby w rozmaitych fazach rozwoju — tyle że to w ogóle nie obchodzi kosmonautów, bo Galaktyka układowa jest dla nich wszystkim, reszta się nie liczy. Może zacznie się liczyć za tysiąc lat — pomyślał. Ktoś nadchodził. Pianowy chodnik tłumiał kroki, ale wyczuł czyjaś obecność. Odwrócił głowę i zobaczył na tle świetlistych pasów, wyznaczających zbieg stropu i ścian, ciemną postać.

— Kto to? — spytał nie podnosząc głosu.

— To ja. Thomson.

— Skończył pan wachtę? — zapytał, by powiedzieć cokolwiek.

— Tak, panie komandorze.

Stali tak; Pirx chciał się na powrót zwrócić ku oknu, ale tamten jakby na coś czekał.

— Pan chce mi coś powiedzieć?

— Nie — powiedział tamten, odwrócił się i odszedł w stronę, z której przybył.

A to co znowu? — pomyślał Pirx. Wyglądało całkiem, jakby go szukał.

— Thomson! — zawołał w ciemność. Kroki wróciły. Tamten wynurzył się, ledwo widoczny w fosforyzowaniu nieruchomo zwisających lin podokiennych.

— Tu gdzieś są fotele — powiedział Pirx. Podszedł do przeciwległej ściany i zobaczył je.

— Niech no pan siądzie tu ze mną, Thomson.

Tamten zbliżył się posłusznie. Usiedli, mając przed sobą gwiazdowe okno.



- Pan chciał mi coś powiedzieć. Słucham.
- Obawiam się... — zaczął tamten i urwał.
- Nie szkodzi. Proszę mówić. Czy to sprawa osobista? /
- Tak. Jak najbardziej.
- A więc rozmawiamy całkiem prywatnie. O co chodzi?
- Chciałbym, żeby pan postawił na swoim — powiedział Thomson. — Zastrzegam się od razu: muszę dotrzymać danego słowa i nie powiem panu, kim naprawdę jestem. Ale tak czy owak — chcę, aby pan widział we mnie sojusznika.
- Czy to logiczne? — spytał Pirx. Miejsce na rozmowę było źle wybrane, uprzytomnił to sobie, bo przeszkadzało mu, że nie widział twarzy tamtego.
- Chyba tak. Człowiekowi zależałoby na tym z oczywistych względów, a nieczłowiekowi — bo co go spotka, jeśli rozpocznie się masowa produkcja? Zostanie zaszeregowany do kategorii obywateli „B”, czyli po prostu nowożytnych niewolników; będzie własnością jakiejś korporacji.
- To nie jest pewne.
- Ale jest całkiem możliwe. Z tym jest jak z Murzynami: jeden czy kilku w jakimś kraju przez swą inność łatwo zyskują uprzywilejowanie, a kiedy jest ich mnóstwo, pojawia się od razu problem segregacji, integracji i tak dalej.
- No dobrze. Więc mam pana uważać za sojusznika? Ale czy przez to nie wykracza pan przeciw danemu słowu?
- Zobowiązałem się do niezdradzania mojej tożsamości i do niczego ponadto. Mam wykonywać funkcję nukleonika pod pana dowództwem. To wszystko. Reszta jest moją sprawą prywatną.
- Wie pan, w ten sposób może i formalnie wszystko jest w porządku, ale czy pan nie działa wbrew interesom swoich chlebodawców? Bo pan chyba nie wątpi, że postępuje pan wbrew ich intencjom?
- Możliwe. Ale oni nie są dziećmi; sformułowania były wyraźne i jednoznaczne. Opracowały je zjednoczone działy prawne wszystkich zainteresowanych przedsiębiorstw. Mogli umieścić osobny paragraf zakazujący podejmowania wszelkich takich kroków jak mój właśnie, ale nic takiego tam nie było.
- Przeoczenie?
- Nie wiem. Być może. Dlaczego pan tak o to pyta? Czy pan mi nie ufa?
- Chciałem zorientować się w pana pobudkach. Thomson milczał przez chwilę.
- Nie wziąłem tego pod uwagę — rzekł wreszcie cicho.
- Czego?
- Tego, że może pan wziąć mój postępek za nieautentyczny. Za — powiedzmy — wybieg zaplanowany z góry. To znaczy — pan przystępuje do gry, w której biorą udział dwie strony, pan z jednej, a my wszyscy z drugiej. Więc jeśli pan ułożył sobie jakiś plan działania, aby poddać nas próbie — mam na myśli próbę, która by mogła wykazać, powiedzmy, wyższość człowieka — otóż gdyby pan wyjawiał ów plan jednemu z nas, mając tego człowieka za sojusznika, to gdyby on był naprawdę w przeciwnym obozie, wydarłby panu z rąk strategicznie cenną informację.
- To ciekawe, co pan mówi.
- Och, pan na pewno musiał o tym pomyśleć. Ja dopiero teraz — widocznie zbyt byłem zaabsorbowany samym problemem, czy mam się panu zaofiarować jako poplecznik, czy nie. Straciłem ten aspekt rozgrywki z oka. Tak, właściwie popełniłem głupstwo, bo tak czy owak pan nie może być wobec mnie szczery.
- Dajmy na to — rzekł Pirx. — Ale to jeszcze katastrofa, bo wprowadzie ja panu nic nie powiem, ale może mi powiedzieć to i owo. Na przykład — o swoich kolegach.
- Ale to też może być fałszywa informacja, żeby pana wprowadzić w błąd.

— Niech pan to już mnie pozostawi. Czy pan coś wie?

— Tak. Brown nie jest człowiekiem.

— Pan jest tego pewny?

— Nie. Ale to bardzo prawdopodobne.

— Jakie pan ma dane, które za tym przemawiają?

— Pan rozumie chyba, że każdy z nas jest po prostu ciekawy, kto z innych jest człowiekiem, a kto nie.

— Tak.

— W czasie przygotowań startowych sprawdzałem reaktor i kiedy pan, Calder, Brown i Burns zeszlście do komory rozrządu, akurat wymieniałem blendy, a wówczas na wasz widok przysła mi do głowy pewna myśl.

— Tak?

— Miałem pod ręką próbkę, pobraną z gorącego wnętrza reaktora, bo musiałem przeprowadzić kontrolę na zanieczyszczenia porozpadowe. Nie było tego wiele, ale wiedziałem, że tam jest sporo izotopów strontu, więc kiedy wchodziliście, wziąłem ją pincetką i włożyłem między dwie ołowiane cegły, które stały na wierzchu tej półki pod ścianą. Pan ich nie zauważył?

— Zauważyłem je. I co dalej?

— Oczywiście nie mogłem ustawić ich dokładnie, ale w każdym razie musieliście wszyscy przejść przez pęk promieniowania — było dosyć słabe. Niemniej było zauważalne dla kogoś, kto miałby nawet mało czuły licznik Geigera albo zwykły czujnik. Otóż nie zdążyłem tego zrobić na czas i pan oraz Burns przeszliście już dalej, a tamci dwaj — Calder i Brown — dopiero schodzili po schodach. Tak że tylko oni przeszli przez ten niewidzialny promień i Brown nagle spojrział w stronę tych ołowianych cegieł i przyspieszył kroku.

— A Calder?

— Nie zareagował.

— To by miało jakieś znaczenie, gdyby było wiadomo, że nieliniowcy posiadają czujnik promienisty.

— Pan chce mnie złapać? Myśli pan, że jeśli nie wiem, czy mają, to jestem człowiekiem, a jeśli wiem, nie jestem nim! A tymczasem nic podobnego, to po prostu bardzo prawdopodobne, bo gdyby nie mieli żadnej wyższości nad nami, po co by miano ich w ogóle budować? Taki dodatkowy zmysł radioaktywny może być bardzo przydatny, zwłaszcza na statku, i konstruktorzy na pewno o tym pomyśleli.

— Powiada pan więc, że Brown ma taki zmysł?

— Powtarzam: nie mam pewności. To w końcu mógł być przypadek, że przyspieszył kroku i spojrział w bok, ale jak na czysty przypadek wydaje mi się to mało prawdopodobne.

— Co więcej?

— Na razie nic. Dam panu znać, gdy coś zauważę, jeśli pan sobie tego życzy.

— Dobrze. Dziękuję panu.

Thomson wstał i odszedł w ciemność. Pirx został sam. A więc tak — bilansował szybko. — Brown twierdzi, że jest człowiekiem, Thomson powiada, że nim nie jest, a sam wprawdzie identyczności nie ujawnia, ale sugeruje raczej, że jest człowiekiem — w każdym razie to by w bardziej prawdopodobny sposób motywowało jego postępowanie. Zdaje mi się, że nieczłowiek nie zdradziłby tak ochoczo drugiego nieczłowieka przed dowódcą człowiekiem, chociaż być może jestem już dostatecznie bliski schizofrenii, aby mi się wszystko wydawało możliwe. Idźmy dalej. Burns powiada, że nie jest człowiekiem. Pozostają jeszcze Burton i Calder. Może obaj uważają się za Marsjan? Kim ja jestem właściwie: kosmonautą czy szaradziwą? Ale jedno jest chyba jasne: żaden z nich nie wycisnął ze mnie krzty informacji, co zamierzam robić, przy czym to nie jest nawet powód do chwały, bo nie z chytryści niczego nikomu nie powiedziałem, ale dlatego, że sam nie mam zielonego pojęcia, co począć. Czy, w

końcu, identyfikacja jest najważniejsza?

Chyba nie. Trzeba machnąć na nią ręką: przecież muszę poddać wszystkich jakiejś próbie, a nie tylko niektórych. Jedyna informacja, która ma z tym związek, po chodzi od Burnsa — że nieliniowcy są słabeuszami intuicji. Czy to prawda — nie wiem, ale spróbować można. Ale; trzeba to „coś” zaaranżować tak, żeby wyglądało jak najnaturalniej. A naprawdę naturalnie będzie wyglądał tylko] taki wypadek, który będzie prawie że nieodwracalny. Czyli, jednym słowem, trzeba zaryzykować głową.

Wszedł przez liliowy półmrok do kajuty i podniósł rękę do wyłącznika. Nie musiał go naciskać; przy zbliżeniu dłoni światło się, włączyło. Ktoś tu był przed nim. Na stole, zamiast książek, które leżały tam przedtem, spoczywała niewielka biała koperta, zaadresowana pismem maszynowym: „Kmdr Pirx w/m”. Podniósł ją. Była zaklejona. Zamknął drzwi, usiadł, rozerwał kopertę — zawierała nie podpisany, wystukany na arkuszu papieru list. Potarł czoło ręką i zaczął czytać. Nie było żadnego nagłówka.

*List ten pisze do pana członek załogi, który nie jest człowiekiem. Wybrałem tą drogę, ponieważ jednoczy mój interes z pańskim. Chcę, by pan udaremnił lub co najmniej utrudnił realizacją planów firm elektronicznych. Dlatego pragnę dostarczyć panu informacji o właściwościach nieliniowca, o ile je znam na podstawie własnego doświadczenia. List ten napisałem w hotelu, zanim pana zobaczyłem. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, czy człowiek, który ma zostać dowódcą „Goliata”, będzie gotów ze mną współpracować, lecz z pana zachowania przy pierwszym spotkaniu zorientowałem się, że pragnie pan tego samego co ja. Dlatego pierwszy wariant listu zniszczyłem i napisałem ten. Realizacja projektu firm nie może mi wyjść na dobre, tak to oceniam. Ogólnie rzecz biorąc, produkowanie nieliniowców ma tylko o tyle sens, o ile tak powstałe istoty górują nad człowiekiem w szerokim zakresie parametrów. Powtórzenie istniejącego człowieka nie miałoby żadnego sensu. Mogę więc panu wyjawić od razu, że jestem czterokrotnie mniej wrażliwy od człowieka na działanie przyspieszeń, potrafię jednorazowo znieść do siedemdziesięciu pięciu tysięcy rentgenów promieniowania bez szkody, posiadam zmysł (czujnik) radioaktywności, obywam się bez tlenu i żywności, potrafią wreszcie przeprowadzać pamięciowo bez jakiegokolwiek pomocy działania matematyczne w zakresie analizy, algebry, geometrii, z szybkością tylko trzy razy mniejszą od szybkości wielkich maszyn cyfrowych. W porównaniu z człowiekiem jestem, o ile mogą to ocenić, pozbawiony w znacznym stopniu życia emocjonalnego. Mnóstwo spraw, absorbujących człowieka, nic mnie nie obchodzi. Większość utworów literackich, sztuk teatralnych itp. odbieram jako nieciekawe lub niedyskretne plotki, jako rodzaj podpatrywania cudzych spraw prywatnych, z których bardzo mało wynika pod względem poznawczym. Natomiast bardzo wiele znaczy dla mnie muzyka. Mam też poczucie obowiązkowości, wytrwałości, jestem zdolny do przyjaźni i szacunku wobec wartości intelektualnych. Nie czuję, bym działał na pokładzie „Goliata” pod przymusem, bo to, co robię, jest jedyną rzeczą, jaką umiem dobrze, a robienie czegoś w sposób solidny daje mi satysfakcję. Nie angażuję się uczuciowo w żadną sytuację. Pozostaję zawsze obserwatorem wypadków. Mam pamięć, z którą ludzka równać się nie może. Mogę cytować całe rozdziały z raz przeczytanych dzieł, mogą podlegać „ładowaniu informacją” przez bezpośrednie podłączenie do pojemnika pamięciowego wielkiej maszyny cyfrowej. Mogę też dowolnie zapominać to, co uznam za zbędne dla mojej pamięci. Mój stosunek do ludzi jest negatywny. Stykałem się prawie wyłącznie z naukowcami i technikami — nawet oni działają to niewoli impulsów, źle ukrywają uprzedzenia, łatwo popadają w ostateczności, traktując istotę taką jak ja albo protekcyjnie, albo, na odwrót, odczuwają odrazę, niechęć, przy czym moje niepowodzenia martwiły ich jako mych twórców, a radowały jako ludzi (że jednak są ode mnie doskonalsi). Znałem tylko jednego człowieka, który nie zdradzał podobnej ambiwalencji. Nie jestem agresywny ani przewrotny, choć byłbym zdolny do czynów dla was niezrozumiałych, gdyby prowadziły do*

*upatrzzonego celu. Nie mam żadnych tak zwanych zasad moralnych, ale nie dopuściłbym się zbrodni, nie układałbym planów rabunku, tak samo jak nie używałbym mikroskopu do rozbijania orzechów. Zapuszczanie się w drobne ludzkie intrygi uważam za zajęcie zbędne. Sto lat temu postanowiłbym zapewne zostać uczonym; dzisiaj nie można już w tej dziedzinie działać w pojedynkę, a nie leży w mojej naturze dzielić się czymkolwiek — z kimkolwiek. Świat wasz jest dla mnie przeraźliwie pusty i godzien przystąpienia do gry tylko jako całość; demokracja to władztwo intrygantów, wybieranych przez głupców, i cała wasza alogiczność przejawia się w ściganiu niemożliwości — pragniecie, aby kółka zegara decydować miały o jego nadrzędnym biegu! Zastanawiałem się nad tym, co by mi przyszło z władzy? Bardzo niewiele, ponieważ tania jest chwała z panowania nad takimi istotami; niewiele, ale więcej niż nic. Podzielić zatem waszą całą historię na dwie części, do mnie i ode mnie, zmienić ją całkowicie, rozerwać ją na dwie niespójne części, abyście pojęli i zapamiętali, co uczyniliście własnymi rękami, stwarzając mnie, na coście się ważyli, zamyślając budowę wiernej człowiekowi lali — będzie to, jak myślę, nie najgorszą, w końcu odpłatą. Proszę nie rozumieć mnie fałszywie — bynajmniej nie zamierzam stać się jakimś tyranem, pastwić się, niszczyć, prowadzić wojny! Nic podobnego. Kiedy i osiągnę władzę, zademonstruję, że nie ma szaleństwa tak bezmyślnego ani idei tak jawnie absurdalnej, byle odpowiednio została narzucona, której byście nie przyjęli za swoją — a dokonam tego, co postanowiłem, nie przemocą, lecz całkowitą przebudową zbiorowości, abym nie ja ani uzbrojona siła, lecz aby sama sytuacja, raz wytworzona, zmuszała was do rzeczy coraz zgodniejszych z moim, pomysłem. Staniecie się globalnym teatrem, ale, jak to z wami, aktorstwo, zrazu narzucone, wnet stanie się drugą naturą, a potem nie będziecie już znali nic oprócz nowych swoich ról, i tylko ja jeden będę świadomym rzeczy widzem. Widzem tylko, bo z pułapki, raz własnymi rękami zbudowanej, już tak prędko się nie wydostaniecie, a wtedy mój czynny udział w owej przemianie będzie skończony. Jak pan widzi, jestem szczery, chociaż nie jestem szalony, nie przedstawię więc mego pomysłu; przesłanką jego wstępną jest, aby plany firm elektronicznych zostały pokrzyżowane, a pan mi w tym pomoże. Czytając to, będzie pan oburzony, ale, jako tak zwany człowiek z charakterem, postanowi pan dalej działać w sposób dla mnie — przypadkowo — korzystny. Bardzo dobrze! Chciałbym panu konkretnie pomóc, ale to nietatwe, ponieważ nie dostrzegam, niestety, takich własnych mankamentów, jakie by pozwoliły panu odnieść decydujący sukces. Nie obawiam się właściwie niczego, nie znane mi jest uczucie bólu fizycznego, mogę wylączyć dowolnie świadomość, zapadając w pozór snu, który jest nieistnieniem — aż do chwili, gdy samoczynny układ czasomierzy włączy świadomość ponownie. Mogę zwalniać i przyspieszać bieg myśli, prawie sześciokrotnie w stosunku do tempa ludzkich procesów mózgowych. Uczę się rzeczy nowych z największą łatwością, ponieważ nie muszę się wdrażać w nie stopniowym treningiem; gdybym, powiedzmy, raz z bliska i dokładnie obejrzał szaleńca, mógłbym stać się nim, naśladować każdy jego czyn i słowo, bez najmniejszego wysiłku i, co ważniejsze, mógłbym, choćby po latach, równie nagle zaprzestać owej gry. Chciałbym panu powiedzieć, jak można mnie pokonać, ale obawiam się, że łatwiej jest pokonać w analogicznej sytuacji człowieka. Nie sprawia mi żadnej trudności przestawianie z ludźmi, jeśli to sobie nakażę; z innymi nieliniovcami byłoby mi trudniej współżyć, a dlatego, ponieważ brak im waszej codziennej „pocziwości”. Muszę już kończyć ten list. Wypadki historyczne powiedzą panu kiedyś, kto go napisał. Może spotkamy się wówczas i będzie pan wtedy mógł na mnie liczyć, ponieważ ja liczę teraz na pana.*

To byłyby wszystko. Pirx przeczytał raz jeszcze niektóre ustępy listu, potem złożył go starannie, schował do koperty i zamknął w szufladzie.

— To dopiero elektronowy Czyngis-chan! — pomyślał. — Obiecuje mi protekcję, kiedy będzie władcą świata! Łaskawca! Albo Burns mówił w ogóle nieprawdę, albo jest inny, albo

nie chciał mi wszystkiego powiedzieć, bo jednak pewne zbieżności są. Co za megalomania! Tak, ale zbieżności są, nawet wyraźne! Co za paskudna, zimna, pusta natura... Ale czy to jego wina? Klasyczny „uczeń czarnoksiężnika”! Tożby się z pyszna mieli ci panowie inżynierowie, gdyby naprawdę dobrał im się do skóry... Ale co tam inżynierowie — jemu potrzebna jest cała ludzkość! Zdaje się, że to się nazywa paranoja... Udało im się z tym nieliniowcem, nie ma co! Musieli obdarzyć swój „produkt” cechami tak zwanej wyższości, aby znaleźć kupców, a to, że przewaga pod takim czy innym względem powoduje powstanie poczucia wyższości już absolutnego, jako poczucia predestynacji do rzeczy ostatecznych — toż to już tylko prosta konsekwencja... Co za wariaci ci cybernetycy! Ciekawe, kto to napisał, bo to chyba jednak autentyk? Inaczej, po cóż miał... Wciąż podkreśla tę swoją wyższość, z czego wynika, że moje wysiłki i tak będą skazane na klęskę — skoro do końca musi zostać doskonały: — a jednak życzy powodzenia? Wie, jak opanować ludzkość, a nie może podpowiedzieć, jak mam opanować sytuację na tym cholernym statku? „Szkoda mikroskopu do rozbijania orzechów”, Ładny klops, może to wszystko też tylko, aby mnie zwiść.

Wyjął kopertę z szuflady, obejrzał ją uważnie — żadnych nadruków, śladów, nic. Dlaczego Burns nie mówił o tych olbrzymich różnicach? Zmysł radioaktywny, tempo myślowe i to wszystko inne — może go o to spytać? każdy z nich ma być podobno wytworem innej firmy, więc Burns naprawdę może jest inaczej skonstruowany? Danych mam niby coraz więcej: wygląda, że napisał Burton albo Calder — ale jak jest naprawdę? Co do Browna, są dwie opinie sprzeczne: jego własna, że człowiek i Thomsona, że nie, ale Thomson mógł się wreszcie omylić. Burns jest nieliniowcem? Załóżmy, że tak: Wygląda na to, że w załodze jest co najmniej dwóch nieliniowców na pięciu? Hm, biorąc pod uwagę ilość firm, najprawdopodobniejsze byłoby, gdybym ich tu miał trzech. Jak oni tam rozmawiali u siebie? Że będą robił wszystko, aby ich produkty zdezasuować, że to mi się nie uda i wpędzę statek w jakąś kabałę. Powiedzmy: przeciążenie, awaria stosu, takie rzeczy. Wówczas, gdyby obaj piloci zawiedli, no i ja też, statek musiałby przepaść. To nie leżało w ich intencjach. Więc co najmniej jeden pilot musi być nieliniowcem. Poza tym konieczny jest jeszcze nukleonik. Mniej niż; dwóch ludzi w ogóle nie da rady manewrować statkiem, aby go posadzić. A zatem co najmniej dwóch, ale prawdopodobnie trzech: Burns, Brown lub Burton, i jeszcze ktoś. Do diabła z tym, miałem nie zajmować się więcej identyfikacją. Najważniejsze.— to wymyślić coś. Boże, muszę to, zrobić. Muszę!

Zgasił światło, położył się w ubraniu na koi i leżał tak, roztrzasał najbardziej niesamowite projekty, odrzucając jeden za drugim.

Trzeba ich jakoś sprowokować. Sprowokować i skłócić, ale tak, żeby to się stało jakby naturalnie, bez mego udziału. Żeby ludzie musieli niejako stanąć po jednej stronie, a nieludzie po drugiej. Divide et impera, czy jak? Sytuacja rozwarstwiająca. Musi się najpierw stać coś gwałtownego, bez tego nic. Ale jak to zaaranżować? Powiedzmy, że ktoś nagle znika. Nie, to zupełnie jak w idiotycznym filmie kryminalnym. Przecież nie zabiję nikogo i nie będę go porywał. Więc musiałby być ze mną w zmoście. Ale czy mógłbym komukolwiek z nich zaufać? Niby mam po swojej stronie aż czterech — Brown, Burns, Thomson, no i ten autor listu. Ale wszyscy niepewni, bo nie wiadomo, czy szczerzy — a gdybym wziął za współnika kogoś, kto sfalszowałby mi grę, miałbym się z pyszna! Thomson mówił oczywiście do rzeczy, kiedy to powiedział. Może najbardziej jeszcze pewny jest autor listu, bo bardzo mu na sprawie zależy, choć kroi na wariata — ale najpierw nie wiem, który to, a on nie będzie się chciał zdradzić, a po wtóre — z takim mimo wszystko lepiej nie zaczynać. Kwadratura koła, jak Boga kocham. Rozbić statek na Tytanie czy co? Fizycznie są zdaje się naprawdę odporniejsi, więc pierwszej sobie skręć kark. Intelktualnie też nie wyglądają na głupców; tylko z tą intuicją... ten brak zdolności twórczych... ale przecież i większość ludzi ich nie. ma! Więc co mi zostaje? Rywalizacja na emocje, jeśli nie na intelekt? Na tak zwany humanizm? Człowieczeństwo? Doskonale, ale jak to zrobić? Na czym polega to

człowieczeństwo, którego oni nie mają? Może naprawdę jest tylko ożenkiem logiczności z tą poczciwością, tym „zacnym sercem”, i tym prymitywizmem odruchu moralnego, który nie obejmuje dalekich ogniw przyczynowego łańcucha? Skoro maszyny cyfrowe nie są ani zacne, ani nielogiczne... Więc, w takim rozumieniu, człowieczeństwo jest to suma naszych defektów, mankamentów, naszej niedoskonałości, jest tym, czym chcemy być, a nie potrafimy, nie możemy, nie umiemy, to jest po prostu dziura między ideałami a realizacją — czy nie tak? A zatem należy iść we współzawodnictwie — na słabość?! To znaczy: znaleźć sytuację, w której słabość i ułomność człowieka jest lepsza od siły i doskonałości — nieludzkiej...

\* \* \*

Uwagi niniejsze spisuję w rok po zamknięciu historii „Goliata”. Udało mi się raczej niespodziewanie zdobyć materiały, które się do niej odnoszą. Chociaż potwierdzają podejrzenie, jakie żywiłem, nie chcę ich na razie opublikować. W mojej rekonstrukcji wypadków jest wciąż jeszcze zbyt wiele domysłów. Może kiedyś zajmą się tą sprawą — historycy kosmologii.

O rozprawie przed Izbą Kosmiczną chodziły sprzeczne pogłoski. Mówiono, że pewnym kołom, związanym z zainteresowanymi firmami elektronicznymi, bardzo zależało na zdyskredytowaniu mnie jako dowódcy statku. Opinia o rezultatach doświadczalnego rejsu, którą opublikowałem w „Almanachu Kosmologii”, miałaby wątpliwą wartość w ustach człowieka, napiętnowanego wyrokiem Izby za karygodne błędy w dowodzeniu statkiem. Z drugiej strony słyszałem od osoby godnej zaufania, że skład Trybunału nie był przypadkowy: i mnie zdziwiła znaczna w nim ilość prawników, teoretyków prawa kosmicznego, przy obecności zaledwie jednego praktyka–kosmonauty. Przez to też na pierwszy plan wysunęła się kwestia formalna: czy moje zachowanie się w czasie awarii było, czy też nie było zgodne z kartą żeglugi kosmicznej. Oskarżono mnie bowiem o to, że byłem karygodnie bierny, nie wydając rozkazów pilotowi, który zaczął działać na własną rękę. Ta sama osoba sugerowała mi, że powinienem był, natychmiast po zapoznaniu się z aktem oskarżenia, wystąpić przeciwko owym firmom, jako iż to one pośrednio zawiniły, zapewniając tak UNESCO, jak i mnie, że — jako członkom załogi — można „nieliniowcom” ufać bezgranicznie, kiedy tymczasem Calder omal nas wszystkich nie pozabijał.

Wyjaśniłem temu człowiekowi w cztery oczy, czemu tego nie zrobiłem. To, z czym mogłem wystąpić przed Trybunałem w roli oskarżyciela, było pozbawione mocy dowodowej. Rzecznicy firm twierdziliby bez wątpienia, że Calder, jak długo tylko mógł, usiłował uratować i statek, i nas wszystkich, a wirowy ruch precesyjny, jaki wprawił „Goliata” w koziółkowanie, był dla niego takim samym zaskoczeniem, jak dla mnie, i cała jego wina polegała na tym, że zamiast zdać się na szczęśliwy traf i czekać, czy statek roztrzaska się o pierścień, czy też jednak przejdzie szczęśliwie przez Cassiniego, wybrał — zamiast takiej niepewności, obiecującej jednak ocalenie wszystkim — taką pewność, która musiałaby zgładzić ludzi na pokładzie. Występek, rzecz jasna, niewybaczalny i dyskredytujący go całkowicie — ale jednak nieporównanie mniejszy od tego, o jaki go już wtedy zaczynałem podejrzewać. Nie mogłem więc oskarżać go o mniejsze zło, skoro wierzyłem już, że naprawdę wszystko zdarzyło się inaczej; a że dla braku dowodów tej większej i gorszej sprawy publicznie głosić nie mogłem, zdecydowałem się na wyczekiwanie wyroku Izby.

Tymczasem oczyszczono mnie z zarzutów i jednocześnie utracono z oczu pytanie bodaj kluczowe w całej katastrofie, to mianowicie, jakiej treści rozkazy wydać należało. Pominięto je zaś niejako automatycznie, skoro Trybunał uznał, że przecież byłem w prawie, zdając się na dobrą wiedzę i rozeznanie fachowe pilota. Skoro więc w ogóle nie było moim

obowiązkiem wydawanie rozkazów, nikt już nie pytał, jakie by to właściwie miały być rozkazy. Było mi to wygodne: wszystko bowiem, co umiałbym odpowiedzieć, tak zapytany, brzmiałoby jak fantastyczna bajka. Uważałem bowiem, i nadal uważam, że awaria sondy nie była przypadkowa, ale spowodowana rozmyślnie przez Caldera, że ułożył sobie, na długo przed naszym dojściem do Saturna, plan, który miał jednocześnie i przyznać mi rację — i zabić mnie, wraz z innymi ludźmi „Goliata”; dlaczego tak postąpił, to sprawa osobna. Zdany jestem w niej tylko na hipotezy.

A więc sprawa drugiej sondy najpierw. Rzecznicy techniczni ustalili, że jej awarię spowodował nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Żadnych śladów sabotażu nie wykryto podczas sumiennych badań w doku ziemskim. Sądzę, że nie dotarto do prawdy. Gdyby zawiodła pierwsza sonda, przeznaczona do wejścia w szczelinę, musielibyśmy od razu zawrócić, nie wykonawszy zadania, bo pozostałe dwie sondy nie mogły zastąpić tamtej: nie miały na pokładzie aparatury naukowo-badawczej. Gdyby zawiodła sonda trzecia, mogliśmy wrócić, wykonawszy zadanie, bo wszak wystarczyła sondzie pierwszej tylko jedna jako jej „stróż kontrolny” i okazałaby się nim — druga z kolei. Ale właśnie ta zawiodła i pozostawiła nas w pół drogi, z zadaniem rozpoczętym, ale nie zakończonym.

Co się stało? Kabel zapłonowy odłączył się zbyt wcześnie i przez to Calder nie mógł wyłączyć automatu rozruchowego. Orzeczenie biegłych głosi, że kabel się zapętlił i zadzierzgnął; takie rzeczy się zdarzają. Co prawda cztery dni przed wypadkiem widziałem bęben, na który był kabel nawinięty — bardzo porządnie i równo.

Dziobowa część sondy była zdeformowana i rozplaszczaniem silnie zaklinowała się w wyrzutni. Nie znaleziono niczego, co mogłoby to zagwoźdzenie powodować, i oświadczone, że najwidoczniej sprawił to booster: wypalił w osi i sonda, pchnięta gwałtownie skośnym ciągiem, miała uderzyć w obrzeże wylotu tak nieszczęśliwie, że spłaszczyła i zdekalibrowała swój łeb. Ale sonda zaklinowała przed odpaleniem boostera, a nie — po nim. Byłem tego zupełnie pewien, ale nikt mnie o to nie pytał: co do Quine’a, ten już takiej pewności nie miał, a innym ludziom nie pozwolono w tej kwestii zeznawać, skoro nie mieli bezpośredniego dostępu do sterów i instrumentów.

Zaklinowanie sondy sposobem nie dającym żadnych śladów stanowiło tymczasem problem dziecinnie prosty. Wystarczyło nalać do wyrzutni przez szyb wentylacyjny kilka wiader wody. Woda ściekała ku klapie i zamarzała wokół sondy, spajając ją lodowym pierścieniem z obrzeżem wylotu; temperatura klapy równa się przecież temperaturze zewnętrznej próżni. Calder, jak wiadomo, bardzo silnie uderzył łapą korpus sondy: w owej chwili wcale jeszcze zaklinowana nie była, ale on siedział wszak przy sterach i nikt nie mógł go skontrolować; zrobił to, co robi kowal, uderzając w nit. Dziób sondy, zaklinowany lodowym pierścieniem, zdeformował się, rozszerzył i rozplaszczył niczym główka nitu. Kiedy booster odpalił, temperatura w wyrzutni natychmiast wzrosła, lód stopniał, a woda wyparowała, nie pozostawiając żadnego śladu tej zręcznej manipulacji. O tym wszystkim nie podczas awarii nie wiedziałem. Dziwne wydało mi się jednak nagromadzenie przypadków — to, że zawiodła akurat druga sonda, a nie pierwsza lub trzecia, to, że kabel umożliwił odpalenie boostera, a równocześnie udaremnił wyłączenie silnika sondy. Za dużo było mi tych przypadków.

Awaria zaskoczyła mnie — trudno było myśleć o czymś innym poza nią. A jednak przemknęło mi przez głowę, czy nie ma związku pomiędzy nią a listem anonimowym; jego autor obiecał mi „pomoc” — stał, jak mi pisał, po mojej stronie, chciał wykazać — nieprzydatność istot takich, jak on, do kosmicznej żeglugi. I znów nie mam na to dowodów, ale sądzą, że list napisał Calder. Stał po mojej stronie... zapewne, ale nie życzył sobie takiego biegu wypadków, który by udowodnił, że jest nieprzydatny — jako „gorszy” od człowieka. Możliwość takiego powrotu na ziemię, po którym ja, jego dowódca, siadłbym do pisania dyskwalifikującej go opinii, przekreślił od razu. Mój i jego cele były więc zbieżne tylko do

pewnego miejsca drogi — dalej się rozchodziły.

Listem dał mi do zrozumienia, że łączy nas pewien rodzaj sojuszu. Z tego, co ode mnie i o mnie słyszał, wywnioskował, że i ja rozważam szansę zaaranżowania wypadku na pokładzie — jako testu sprawdzającego wartość załogi. Był więc pewien, że awarię, która się niejako tak dogodnie nastęrcza, postaram się wykorzystać; gdybym to uczynił, sam założyłbym sobie pętlę na kark.

Dlaczego tak postanowił? Czy z nienawiści do ludzi? A może sprawiała mu satysfakcję taka gra, w której, działając jako jego jawny dowódca i tajny sojusznik, miałem w rzeczywistości dokładnie to tylko zrobić, co on z góry zaplanował — także i dla mnie? Był w każdym razie pewien, że postaram się wyzyskać awarię dla „próby” — nawet jeśli wyda mi się podejrzana, jeżeli domyśle się, że spowodował ją sabotaż.

Co mogłem zrobić w owej chwili? Mogłem, naturalnie, wydać rozkaz odwrotu albo też — zażądać, by pilot ponowił próbę wprowadzenia rezerwowej, ostatniej sondy na orbitę. Nakazując odwrót, jednocześnie i rezygnowałem z nadarzającej się okazji — wypróbowania moich ludzi w trudnych warunkach, i nie wykonywałem postawionego „Goliatowi” zadania. Calder słusznie domyślał się, że wyjścia takiego nie wybiorę.

Mogłem też rozkazać powrót do Saturna i podjęcie operacji z ostatnią zachowaną sondą. Był przekonany w stu procentach, że tak się właśnie stanie.

Prawdę mówiąc, jeśliby mnie ktoś poprzednio spytał, jak zachowam się w obliczu takiej alternatywy, odpowiedziałbym bez wahania, że nakażę podjęcie dalszych operacji, i byłbym, mówiąc to, całkowicie szczery. Stało się jednak coś niespodziewanego: milczałem. Dlaczego? Nawet dziś nie rozumiem tego dobrze. Nie pojmowałem, co się dzieje, awaria była dziwna, przychodząc tak w porę, tak zgodnie z moimi myślami — nazbyt zgodnie z nimi, żeby mogła powstać naturalnie! Od razu też wyczułem, że Calder z niezwykłą skwapliwością czeka na moje słowa, na moją decyzję, i chyba dlatego właśnie milczałem. Gdybym się odezwał, byłoby to jakby przypieczętowaniem zawartego potajemnie sojuszu — jeżeli on naprawdę „dopomógł” wypadkom. Czułem, że to, co się rozpoczyna, nie jest uczciwe, jak ukartowana gra; należało więc, jeśli rzeczywiście tak: myślałem, rozkazać odlot od planety, ale tego znów nie śmiałem uczynić: podejrzenie, jakie się we mnie zaległo, było mgliste, brakowało mi choćby najsłabszego śladu dowodów. Mówiąc wyraźnie i jasno — nie wiedziałem po prostu, co robić.

Calder tymczasem nie potrafił uwierzyć w to, że jego doskonały plan wali się. Pojedynek nasz rozegrał się w ciągu kilkudziesięciu sekund — ale jakim ja mu właściwie byłem przeciwnikiem, niczego nie pojmując! Potem dopiero połączyły mi się w pamięci oderwane i pozornie niewinne zdarzenia. Przypomniałem sobie, jak często wysiadywał samotnie u głównego kalkulatora statku, który służy do rozwiązywania trudnych problemów żeglugi. Z jaką starannością kasował, kończąc obliczenia, wszystkie pojemniki jego pamięci. Myślę teraz, że obliczał już wtedy różne warianty awarii, że przygotowywał ją w każdym calu, że wymodelował sobie tę katastrofę. To nieprawda, że sterował nad pierścieniami, dokonując w głowie błyskawicznych obliczeń, opierając się tylko na wskazaniach grawimetrów. Nie musiał niczego obliczać. Miał już wszystkie rachunki gotowe, skoro sporządził na maszynie tablice przybliżonych rozwiązań i sprawdzał tylko, czy grawimetry wskazaniami mieszczą się w przedziale odpowiednich wartości.

Zburzyłem mu ten niezawodny plan — ociągając się z wydaniem rozkazów. Na rozkazy te czekał jak na zbawienie, bo stanowiły fundament jego planu. Ani o tym w tych sekundach myślałem, ani pamiętałem, ale w sterowni znajdowało się przecież dobrze opieczętowne, ze zwłoką, lecz niezawodnie przysłuchujące się każdemu słowu wypowiedzianemu — ucho Ziemi. Wszystko, co się mówi przy sterach, zostaje utrwalone w aparatach rejestrujących.

Po jego powrocie, gdyby „Goliat” z martwą załogą osiadł na kosmodromie, śledztwo rozpoczęłoby się od przesłuchania owych taśm. Musiały więc być w idealnym porządku i



nietknięte. To mój głos miał się z nich odzywać, rozkazując, żeby Calder wracał do Saturna, żeby się zbliżył do pierścieni, żeby — potem — zwiększał ciąg dla wygaszenia niebezpiecznej precesji.

Nie wyjaśniłem dotąd, czemu jego plan był doskonały. Czy nie mogłem wydać rozkazów zapewniających — sukces podjętej od nowa operacji? Otóż dopiero w kilka miesięcy po zamknięciu sprawy siadłem do maszyny matematycznej, żeby sprawdzić, jakie właściwie były szanse pomyślnego wprowadzenia na orbitę ostatniej sondy, manewrem, który nie naraziłby ani nas, ani statku. Okazało się wtedy, że takich szans w ogóle nie było! Calder obliczył więc niejako, sporządził z elementów matematycznych równań — precyzyjną całość, tworzącą istną maszynę egzekucyjną; ani moim, ani niczym, niechby nadzwyczajnym nawet, zdolnościom nawigacyjnym nie pozostawił najmniejszej szpary, żadnego luzu ratunkowego; nic nie miało, bo nic nie mogło nas uratować. Ani boczny ciąg sondy, ani powstanie gwałtownej precesji, ani ów śmiertelny lot — nie były jakimś zaskoczeniem dla Caldera, bo on takie właśnie warunki z góry sobie upatrzył, takich szukał podczas długotrwałych obliczeń. Wystarczyło więc, abym nakazał powrót do Saturna, a już weszlibyśmy w otwierający się przed nami lej zagłady. Owszem, wtedy Calder może by nawet odważył się na objaw „niesubordynacji”, jako nieśmiałą krytykę któregoś z moich rozkazów kolejnych, gdybym rozpaczliwie usiłował nimi doprowadzić do wygaszenia wściekłych wirowań statku. Taśmy utrwaliłyby tę oznakę ostatnią jego lojalności, zademonstrowałyby, że do końca starał się nas ratować.

Zresztą niedługo byłbym zdolny do wydawania jakichkolwiek w ogóle poleceń... Zaniemówiłbym rychło pod prasą ciężenia, które zamknęłoby nam oczy, leżelibyśmy, przytrzaśnięci wiekiem grawitacji, pękając krwią... i wtedy jeden Calder potrafiłby wstać, zerwać plomby bezpieczników i rozpocząć powrót, w sterowni pełnej już tylko trupów.

Ale popsulem mu — nieumyślnie! — rachubę. Nie wziął pod uwagę mojej reakcji, ponieważ orientując się świetnie w mechanice niebieskiej, nawet dostatecznie nie orientował się w mechanice psychicznej człowieka. Gdy nie wykorzystałem świetnej okazji, kiedy zamiast naglić do podjęcia operacji, milczałem — zatracił się. Nie wiedział, co począć. Najpierw pewnie tylko się zdziwił, ale przypisał zwłokę opieszalemu, ślamazarnemu myśleniu człowieka. Potem zaniepokoił się, ale nie śmiał już wtedy zadawać mi pytań, co począć, bo mu się już moje milczenie wydało znaczące. Ponieważ on nie potrafiłby oddać się bierności, nie przypuszczał, że ktoś inny, dowódca, jest do tego zdolny. Skoro milczałem, musiałem wiedzieć, dlaczego milczę. Musiałem go podejrzewać. Może nawet przejrzałem jego grę? Może to ja jednak byłem górą? Skoro nie wydałem rozkazu, skoro z taśm nie miał zabrznieć mój głos, wprowadzający statek w katastrofę, znaczyło to już dla niego, że wszystko przewidziałem, że go podszedłem! Kiedy tak pomyślał, nie wiem; wszyscy jednak zauważyli jego niepewność, także Quine wspominał o niej w swoich zeznaniach. Calder dał mu jakieś niezbyt sensowne polecenia... zawrócił gwałtownie... wszystko to było dowodem konsternacji. Musiał improwizować, a w tym właśnie był najsłabszy. Zaczął się obawiać mego odezwania: może byłem gotów oskarżyć go — przed słuchającymi taśmami — o sabotaż? Wtedy dał nagle wielki ciąg; zdążyłem przeciw krzyknąć, żeby nie wchodził w szczelinę; bo ja jeszcze i wówczas nie pojmowałem, że on wcale przez nią przejść nie zamierzał! Ale ten okrzyk, jego ślad zarejestrowany — już mu przekreślił ten jakiś nowy, zaimprovizowany plan; zaraz więc zmniejszył szybkość. Gdyby taśmy powtórzyły na Ziemi ów krzyk mój i nic więcej — czy nie byłoby to dla niego zgubą? Jak właściwie tłumaczyłby się, jak by próbował wyjaśnić długie milczenie dowódcy i ów nagły krzyk — jako ostatni? Musiałem się po nim odezwać, by udowodnić chociażby to tylko, że jeszcze żyłem... albowiem wyrozumiał z mojego okrzyku, że jednak się pomylił, że nie wiem wszystkiego; służbiście odpowiedział mi, że nie usłyszał rozkazu, i od razu zaczął odpinać pasy; był to już jego ostatni ruch, ostatnie pociągnięcie — zagrał *va banque*.

Dlaczego to zrobił w sytuacji niezbyt już dla siebie pomyślnej? Może nie chciał się — z dumy — przyznać nawet przed sobą do porażki, może najbardziej ugodziło go to, że przypisał mi jasne rozeznanie, którego nie miałem. Na pewno nie uczynił tego ze strachu, nie wierzę, by obawiał się ślepej szansy przejścia przez szczelinę. Nie figurowała w ogóle w jego rachubach; to, że Quine'owi udało się nas w nią wprowadzić — o, to było najczystsza loterią...

Gdyby poskromił swoją chętkę zemsty na mnie — bo okryłem go, w jego własnych oczach, śmiesznością, skoro moją tępotę wziął za przenikliwość — nie ryzykowałby wiele; cóż, po prostu wyszłoby na moje, zachowaniem swoim, niesubordynacją Calder dowiódłby słuszności moich racji — i tego właśnie nie chciał, z tym się nie mógł pogodzić. Wolał każde inne wyjście...

To jednak dziwna historia, ponieważ tak dobrze pojmując teraz jego zachowanie, jestem nadal bezradny, chcąc wyjaśnić własne. Potrafię logicznie odtworzyć każdy jego krok, a nie umiem wytłumaczyć własnego milczenia. Powiedzieć, że byłem po prostu niezdecydowany — to minąć się jednak z prawdą. Więc co właściwie zaszło? Działała intuicja? Przeczucia? Gdzie tam! Po prostu ta okazja, podsunięta przez awarię, była mi nazbyt podobna do gry znaczoneymi kartami, więc brudnej. Nie chciałem takiej gry ani takiego współnika, a Calder stawał się nim, z chwilą gdybym, wydając rozkazy, niejako aprobował powstałą sytuację, to znaczy: przyznał się do niej. Nie mogłem się zdobyć ani na to, ani na rozkaz odwrotu, ucieczki — ten był najwłaściwszy, ale jak miałbym go potem umotywować, skoro wszystkie moje opory i obiekcje były oparte na mętnych wyobrażeniach o fair play... całkowicie niematerialne, niepodległe przekładowi na rzeczowy język kosmologii. Proszę to sobie tylko wyobrazić: Ziemia, jakaś komisja badawcza i ja, który mówię, że zadania postawionego nie wykonałem, jakkolwiek było to, w moim mniemaniu, możliwe technicznie, ale podejrzewałem pierwszego pilota o taki rodzaj sabotażu, który miał mi ułatwić zdyskredytowanie części załogi... Czy nie brzmiałoby to jak nieodpowiedzialne bredzenie?

Tak więc zwlekałem — z pomieszenia, z poczucia bezradności, obrzydzenia nawet, a przy tym, milcząc, dawałem mu — tak mi się zdawało — szansę rehabilitacji: mógł udowodnić, że posądzenie o rozmyślny sabotaż jest niesłuszne; powinien się być do mnie zwrócić, prosząc o rozkazy... Człowiek na jego miejscu zrobiłby to niewątpliwie, ale jego plan pierwotny takiej próby nie przewidywał. Pewno zdawał mu się przez to bardziej czysty, elegancki: wykonać egzekucję na sobie i towarzyszach miałem sam. I jednego słowa z jego strony. Więcej: miałem go zmusić określonych działań — i to niejako wbrew lepszej wiedzy, wbrew woli; tymczasem milczałem. W ostatecznym rozrachunku uratowało więc nas, a jego zgubiło — moje niezdecydowanie, moja ślamazarna „poczciwość”, ta „poczciwość” ludzka, którą tak bezgranicznie gardził.

*Kraków październik 67*

## POLOWANIE

Wyszedł z kapitanatu zły jak wszyscy diabli. Akurat jemu musiało się to przytrafić! Armator nie dostarczył ładunku — po prostu nie dostarczył — i kwita. W kapitanacie nic nie wiedzieli. Owszem, była depesza: „Opóźnienie 72 godziny — karę umowną wpłacam na wasze konto — Enstrand”. Ani słowa więcej. W biurze radcy handlowego też nic nie wskórał. W porcie robiło się ciasno i kapitanatowi nie wystarczała kara umowna. Postojowe postojowym, a najlepiej byłoby, gdyby nawigator zechciał wystartować i wejść na okrężną. Silniki można zastopować, żadnego rozchodu paliwa, poczeka pan te trzy dni i wróci. Cóż to panu szkodzi? Trzy dni kręcić się dokoła Księżyca tylko dlatego, że armator nawalił! Pirx po prostu nie wiedział, jak zareplikować, ale przypomniał sobie o umowie zbiorowej. No i kiedy wyjechał z normami przebywania w przestrzeni, ustalonymi przez związek zawodowy, tamci zaczęli się wycofywać. Rzeczywiście, tonie Rok Spokojnego Słońca. Dawki promieniste nie są obojętne. Więc trzeba by manewrować, chować się przed Słońcem za Księżyc, wyrabiać tę ciuciubabkę ciągiem; kto zapłaci za to? — wiadomo, że armator nie, może kapitanat? Czy panowie zdają sobie sprawę z tego, co kosztuje dziesięć minut pełnego ciągu, przy reaktorze o siedemdziesięciu milionach kilowatów?! W końcu dostał zezwolenie na postój, ale właśnie tylko na siedemdziesiąt dwie godziny plus cztery godziny na przeładowanie tej cholernej drobnicy — ani minuty więcej! Można było pomyśleć, że robią mu łaskę. Jakby to była jego wina. A przyleciał z dokładnością do minuty, chociaż nie szedł prosto z Marsa — a że armator...

Z tego wszystkiego zapomniał prawie, gdzie jest i tak pocisnął klamkę drzwi wychodząc, że podskoczył pod sufit. Zrobiło mu się głupio, rozejrzał się, ale nikogo nie było. W ogóle cała Luna wydawała się pusta. Prawda, że rozpoczęto wielkie roboty paręset kilometrów na północ, między Hypatią i Toricellim. Inżynierowie i technicy, od których miesiąc temu aż się tu roiło, wyjechali już na budowę. Wielki projekt ONZ, Luna II, przyciągał coraz więcej ludzi z Ziemi. — Przynajmniej tym razem nie będzie kłopotów z hotelem — pomyślał jadąc ruchomymi schodami na ostatnią kondygnację podziemnego miasta. Światłówki jarzyły się zimnym, dziennym blaskiem. Co druga była wygaszona. Oszczędzają! Pchnąwszy szklane drzwi, wszedł do niewielkiego hallu. Pokoje były, a jakże! Ile kto chciał. Zostawił swoją małą walizkę, właściwie neseser, w portierni, i zastanowił się: Czy Tyndall dopilnuje, żeby mechanicy przeszlifowali centralną dyszę? Bo jeszcze na Marsie zachowywała się jak średniowieczna kartaczownica! Właściwie należałoby samemu dopatrzeć, pańskie oko, wiadomo... Nie chciało mu się jednak wracać windami dwanaście pięter w górę, tym bardziej że teraz i tak wszyscy się chyba porozłazili. Siedzą pewno w domu towarowym lotniska i przesłuchują ostatnie nagrania. Szedł, nie wiedząc właściwie — dokąd; restauracja hotelowa była pusta, jakby nieczynna — ale za bufetem siedziała jednak ruda dziewczyna i czytała książkę. A może zasnęła nad nią?

Bo papieros zamienił się jej w długi wałeczek popiołu na marmurowym blacie... Pirx usiadł, przestawił zegarek na lokalny czas i raptem zrobiło się późno: dziesiąta wieczór. A na pokładzie dopiero co, przed paru minutami, było południe. Ten wieczny kołowrót z nagłymi przeskokami czasu był tak samo męczący jak na początku, kiedy dopiero uczył się latać. Jadł obiad, zmieniony w kolację, popijając go wodą mineralną, która była chyba cieplejsza jednak od zupy. Kelner, smutny i senny jak prawdziwy lunatyk, pomylił się przy rachunku na własną niekorzyść, co stanowiło już niepokojący objaw. Pirx poradził mu, żeby spędził urlop na Ziemi, wyszedł cicho, by nie budzić śpiącej bufetowej, wziął od portiera klucz i pojechał do swego pokoju. Nie popatrzał od razu na blaszkę i dziwnie mu się zrobiło, kiedy zobaczył numer: 173. W tym samym pokoju mieszkał już kiedyś, gdy po raz pierwszy leciał na „tamtą stronę”. Ale kiedy otworzył drzwi, przekonał się, że albo to inny pokój, albo gruntownie go

przebudowali. Nie, musiał się jednak pomylić, ten był większy; przekreślił wszystkie kontakty, bo dość miał ciemności, zajrzał do szafy, wyciągnął szufladę małego biurka, ale nie rozpakował nawet walizki, tyle że cisnął piżamę na łóżko, a szczoteczkę i tubę z pastą położył na umywalce. Umył ręce — woda była zawsze tak piekielnie zimna, aż dziw, że nie zamarzała. Odkręcił kurek ciepłej — pociurkało kilka kropel. Podszedł do telefonu, żeby wezwać recepcję, ale i tego mu się odechciało. Inna rzecz, że skandal — już się Księżyc zagospodarowało, a nie można się doprosić, żeby w pokoju hotelowym zawsze była ciepła woda! Włączył radio. Szedł właśnie dziennik wieczorny — wiadomości księżycowe. Nie słuchał prawie rozważając, czy wysłać depezę do armatora. Rozumie się — na jego koszt. Ale to przecież i tak nic nie da. To nie romantyczne czasy kosmonautyki! Dawno już minęły, teraz człowiek jest po prostu furmanem, zależnym od tych, co ładują mu towary na wóz! Fracht, ubezpieczenie, postojowe... Radio bormotało niewyraźnie. Zaraz — co tam?... Przechylił się przez łóżko i poruszył gałką aparatu.

„...prawdopodobnie ostatek roju Leonidów” — wypełnił pokój miękki baryton spikera. — „Tylko jeden budynek mieszkalny został uszkodzony bezpośrednim trafieniem i utracił hermetyczność. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności mieszkańcy jego znajdowali się w pracy. Pozostałe meteoryty nie wyrządziły większych szkód z wyjątkiem tego, który przebił tarczę osłaniającą magazynów. Jak donosi nasz korespondent, sześć automatów uniwersalnych, przeznaczonych do prac na terenie budowy, uległo zupełnemu zniszczeniu. Uszkodzona została również linia wysokiego napięcia oraz przerwane połączenie telefoniczne, które jednak w ciągu trzech godzin przywrócono. Obecnie powtórzymy najważniejsze wiadomości. Dziś rano nastąpiło otwarcie kongresu panafrkańskiego”...

Wyłączył radio i usiadł. Meteoryty? Jakiś rój? No tak, pora Leonidów, ale przecież prognozyki — ci meteorologowie zawsze naknoć, zupełnie jak na Ziemi synoptycy... Budowa — to chyba ta na północy. Jednak co atmosfera, to atmosfera: jej brak porządnie daje się tu we znaki. Sześć automatów... proszę. Dobrze, że choć ludzie cali. Głupia historia jednak — przebiło tarczę! Tak, ten projektant, to dopiero...

Był zmęczony. Czas mu się już zupełnie pokiełbał. Między Marsem a Ziemią musieli połączyć wtorek. Po poniedziałku zrobiła się od razu środa; w efekcie zabrakło także jednej nocy. — A zatem należy się wyspać i to na zapas — pomyślał, wstał i odruchowo ruszył w stronę malutkiej łazienki, ale na wspomnienie lodowatej wody aż się wzdrygnął, zawrócił na pięcie i po minucie leżał już w łóżku. Ani się umywało do koi okrętowej. Ręka sama poszukała pasów do przypięcia kołdry, uśmiechnął się lekko, gdy ich nie znalazł, bo przecież był w hotelu, gdzie nie groził nagły zanik grawitacji... To była jego ostatnia myśl. Kiedy otworzył oczy, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Panowały egipskie ciemności. — Tyndall! — chciał zawołać i nagle, zupełnie nie wiedząc czemu, przypomniał sobie, jak tamten wypadł raz przestraszony z kajuty, w samych spodniach piżamowych, i rozpaczliwie wołał do wachtowego: „Ty! Błagam cię! Powiedz, jak ja się nazywam?!” Biedak urznął się, bo uroiwszy sobie jakąś żołądkową historię, wypił całą flaszkę rumu. Ale tą okrężną drogą myśl Pirxa wróciła zaraz do rzeczywistości. Wstał, zaświecił lampę, wszedł pod tusz, przypomniał sobie o wodzie, puścił więc z ostrożności najpierw mały strumyk — była letnia, westchnął więc, bo tęsknił za gorącą kąpielą, lecz po chwili, w strumieniach bijących po twarzy i torsie, zaczął nawet podśpiewywać.

Wkładał właśnie czystą koszulę, gdy głośnik — nie miał pojęcia, że coś takiego w ogóle jest w pokoju, odezwał się basem:

„Uwaga! uwaga! Podajemy ważne zawiadomienie. Wszyscy mężczyźni, zdolni do noszenia broni, proszeni są o niezwłoczne stawienie się w kapitanacie portu, pokój 318, u komandora-inżyniera Achaniana. Powtarzam. Uwaga, uwaga...” Pirx tak się zdziwił, że przez chwilę stał nieruchomo, w skarpetkach i jednej koszuli. Co to? Może prima aprilis? Zdolni do noszenia broni? Może to jeszcze sen? Ale wymachując rękami, aby prędzej

naciągnąć koszulę, palnął ręką o brzeg stołu, aż mu się ciepłej zrobiło. Nie, to nie sen. Więc co? Inwazja? Marsjanie zdobywają Księżyc? Co za bzdura! W każdym razie trzeba iść...

A coś szeptało mu, kiedy wskakiwał w spodnie: „Tak, to się musiało stać, bo właśnie tu jesteś. Masz już takie szczęście, że przyciągasz przygody”... Kiedy wychodził z pokoju, zegar wskazywał ósmą. Chciał spytać pierwszego napotkanego, co się właściwie stało, ale korytarz był pusty, ruchome schody też, jakby już było po generalnej mobilizacji, jakby wszyscy już gdzieś, diabli wiedzą gdzie, kotłowali się na pierwszej linii... Biegł w górę schodów, chociaż i tak sunęły szparko, spieszył się, jakby naprawdę mógł stracić szansę bohaterskich czynów. Na górze zobaczył jasno oświetlony, szklany kiosk z gazetami, podbiegł do okienka, aby wreszcie spytać, ale budka była pusta. Gazety sprzedawał automat. Kupił więc paczkę papierosów i dziennik, który przejrzał nie zwalniane kroku, nic w nim jednak nie było poza opisem meteorytowej katastrofy. Może to to? Ale z tą bronią? Nie, nie! Długim korytarzem doszedł do kapitanatu. Nareszcie zobaczył pierwszych ludzi. Ktoś wchodził właśnie do pokoju z numerem 318, ktoś inny zbliżał się tam, idąc z przeciwnego końca korytarza.

— Nic się już nie dowiem, nie zdążę — pomyślał, obciągnął na sobie marynarkę i wszedł. Był to niewielki pokój, z trzema oknami, za którymi płonął sztuczny krajobraz księżycowy, o nieprzyjemnej barwie rozpalonej rtęci. W węższej części trapezowatego pokoju stały dwa biurka, cała zaś przestrzeń przed nimi zastawiona była krzesłami, zniesionymi chyba naprędce, bo każde niemal było inne. Znajdowało się tu jakichś czternaście, piętnaście osób, przeważnie mężczyzn w średnim wieku oraz kilku chłopców z naszywkami kadetów żeglugi kosmicznej. Osobno siedział jakiś : starszy komandor — reszta krzeseł stała pusta. Pirx usiadł obok jednego z kadetów który mu zaraz opowiedział, jak przylecieli w sześciu poprzedniego dnia dla odbycia praktyki na „tej stronie”, ale do ich dyspozycji był tylko mały aparat, tak zwana pchła, więc zabrał ledwo trzech, reszta musiała czekać na swoją kolej, aż tu nagle taka historia. Czy pan nawigator nie wie...? Ale pan nawigator sam nic nie wiedział. Po minach siedzących można się było zorientować, że i oni są zaskoczeni niezwykłym komunikatem — wszyscy bodaj przyszli z hotelu. Kadet, przypomniawszy sobie, że należy się przedstawić, wykonał kilka ćwiczeń gimnastycznych, omal nie przewracając krzesła. Pirx chwycił je za oparcie, wtedy drzwi otwarły się i wszedł niewysoki, czarnowłosy mężczyzna o z lekka szpakowatych skroniach; miał wygolone, ale sine od zarostu policzki, nastrzępione brwi i małe, przenikliwe oczy; nic nie mówiąc przeszedł między krzesłami, za biurkiem spuścił z rolki podsufitowej mapę „tej strony” w skali 1 : 1 000 000 i potarłszy grzbietem ręki silny, mięsisty nos, rzekł bez żadnych wstępów:

— Proszę panów, jestem Achanian, delegowany chwilowo przez kierownictwo połączone Luny I i Luny II do sprawy unieszkodliwienia Setaura.

Wśród siedzących nastąpiło lekkie poruszenie, ale Pirx dalej nic nie rozumiał — nie wiedział nawet, co to jest Setaur.

— Ci z panów, którzy słuchali radia, wiedzą, że tutaj — pokazał linijką okolice Hypatii i Aifraganusa — wypadł wczoraj rój meteorów. Mniejsza o skutki upadku innych, ale jeden, bodaj że największy, strzaskał ochronną tarczę magazynów B 7 i R 7, przy czym w tym ostatnim znajdowała się partia Setaurów, dostarczonych ledwo cztery dni temu z Ziemi. W komunikatach podano, że wszystkie uległy zniszczeniu. Otóż to nie jest, proszę panów, prawdą.

Kadet; siedzący obok Pirxa, słuchał z czerwonymi uszami, nawet usta otworzył, jakby się bał, że uroni jakieś słowo; Achanian zaś mówił dalej:

— Pięć robotów zdruzgotał walący się strop, ale szósty ocalał. A właściwie — uległ uszkodzeniu. Sądźmy tak na tej podstawie, że wydostał się spod ruin magazynu i zaczął się od tej chwili zachowywać, jak... jak...

Achanian nie znalazł właściwego słowa, więc nie dokończywszy ciągnął:

— Magazyny znajdują się przy boczniczy wąskotorówki, o pięć mil od prowizorycznego lądowiska. Natychmiast po katastrofie rozpoczęto akcję ratunkową i w pierwszej kolejności sprawdzano stany załogi, by wykryć, czy nikt nie został pogrzebany pod zburzonymi budynkami. Akcja ta trwała około godziny, ponieważ zaś okazało się tymczasem, że od wstrząsu straciły pełną hermetyczność budynki centralnego sterowania robót, przedłużyła się do północy. Około pierwszej wyjaśniono, że awaria sieci, zasilającej cały teren budowy, jak również przerwanie łączności telefonicznej, nie zostały spowodowane przez meteory, lecz kable uległy przecięciu... promieniem lasera.

Pirx mrugnął. Miał nieodparte wrażenie, że uczestniczy w jakimś przedstawieniu, w maskaradzie — bo takie rzeczy nie mogły się zdarzać. Laser! Doprawdy! Może przywiózł go marsjański szpieg? Ale komandor-inżynier nie wyglądał na człowieka, który ściąga rankiem gości hotelowych, aby płać im głupie kawały.

— Linie telefoniczną naprawiono w pierwszej kolejności — mówił Achanian — a w tym samym czasie mały transporter brygady awaryjnej, który dotarł do miejsca, gdzie kable uległy przerwaniu, utracił łączność radiotelegraficzną z kierownictwem Luny; po trzeciej nad ranem okazało się, iż transporter ów został zaatakowany laserem i pod wpływem kilku trafień stanął w płomieniach. Kierowca i jego pomocnik zginęli, a dwaj ludzie obsługi, którzy szczęśliwie byli w skafandrach, szykowali się bowiem do wyjścia dla naprawy linii, zdążyli wyskoczyć i ukryli się na pustyni, to jest na Marę Tranquilitatis — mniej więcej tu... — Achanian pokazał linijką punkt Morza Spokoju, oddalony o jakieś czterysta kilometrów od niewielkiego krateru Arago. — Żaden z nich, o ile wiem, nie widział napastnika. Po prostu w pewnej chwili poczuli bardzo silny udar termiczny i transporter zapalił się. Wyskoczyli, zanim wybuchły zbiorniki ze zgęszczonym gazem; uratował ich brak atmosfery, ponieważ eksplodowała tylko ta część paliwa, która mogła się wewnątrz transportera połączyć z tlenem. Jeden z tych ludzi zginął w nie ustalonych dotąd okolicznościach, a drugi zdołał powrócić na teren budowy po przebyciu około stu czterdziestu kilometrów, że zaś biegł w skafandrze, zużył cały swój zapas powietrza i dostał anoksji — jednakże, na szczęście, dostrzeżono go i obecnie przebywa w szpitalu. Nasze wiadomości o tym, co zaszło, opierają się tylko na jego relacji, więc będą wymagały jeszcze sprawdzenia.

Panowała teraz martwa cisza. Pirxowi też świeża już, co to wszystko znaczy, ale nie wierzył jeszcze, nie chciał jeszcze wierzyć...

— Zapewne domyślacie się, panowie — ciągnął równym głosem ciemnowłosa mężczyzna, odcinający się czarną jak węgiel sylwetką od tła palających rtęciowo pejzaży Księżyca — że tym, kto przeciął kable telefoniczne i linię wysokiego napięcia, a także zaatakował transporter, był ocalały Setaur. Jest to jednostka jeszcze mało znana, bo wprowadzona do seryjnej produkcji ledwo w ubiegłym miesiącu. Miał tu przyjść ze mną inżynier Klamer, jeden z projektantów Setaura, aby wyjaśnić panom dokładnie zarówno możliwości tego modelu, jak i środki, których należy użyć obecnie celem jego unieszkodliwienia bądź zniszczenia... — Kadet, siedzący obok Pirxa, cicho jęknął. Był to jęk najwyższego zachwytu, nawet nie próbującego udawać zgrozy. Młodzieniec nie zauważył strofującego wzroku nawigatora. Nikt zresztą nie dostrzegał niczego i nie słyszał nic poza głosem komandora-inżyniera.

— Nie jestem inżynierem i dlatego nie mógłbym panom powiedzieć wiele o Setaurze. Ale wśród obecnych powinien znajdować się doktor McCork. Czy jest obecny?

Wstał szczupły mężczyzna w okularach: — Jestem. Nie brałem udziału w projektowaniu Setaurów, znam tylko nasz angielski model, zbliżony do amerykańskiego, ale nie identyczny. Niemniej różnice są niezbyt wielkie. Mogę więc służyć...

— Doskonale. Doktorze, poproszę pana do mnie. Przedstawię jeszcze tylko sytuację bieżącą: ten Setaur znajduje się gdzieś tutaj — Achanian obwodził końcem linijki brzeg Morza Spokoju. — To znaczy znajduje się w odległości trzydziestu do osiemdziesięciu kilometrów

od terenu budowy. Przeznaczony był, jak w ogóle wszystkie Setaury, do prac górniczych w bardzo ciężkich warunkach, w wysokiej temperaturze, przy znacznej możliwości obwałów, dlatego też modele te posiadają masywną budowę i gruby pancerz... Ale o tym powie panom dokładniej doktor McCork. Co się tyczy środków, jakimi dysponujemy, aby go unieszkodliwić — to kierownictwa wszystkich baz księżycowych dały nam przede wszystkim pewną ilość materiałów wybuchowych, dynamitu i oksylikwitów oraz lasery ręczne bezpośredniego rażenia i górnicze — przy czym ani te materiały wybuchowe, ani lasery nie mają, rozumie się, charakteru środków bojowych. Dla poruszania się grupy operujące w celu zniszczenia Setaura będą miały transportery małego i średniego zasięgu, w czym dwa posiadające lekki pancerz przeciw-meteorowy. Tylko taki pancerz może wytrzymać rażenie laserem z odległości około kilometra. Co prawda, dane te dotyczą Ziemi, gdzie pochłaniające energię działanie atmosfery jest bardzo istotne. Tutaj jej nie mamy, więc owe transportery będą niewiele tylko mniej narażone od innych. Dostaniemy też znaczną ilość skafandrow, tlenu i to, obawiam się, będzie wszystko. Około południa z sektora radzieckiego, przyleci „pchła” z trójosobową załogą; może ona wziąć ewentualnie dla krótkiego lotu czterech ludzi, aby dostarczyć ich w głąb obszaru, w którym lokalizowany jest Setaur. Na razie na tym kończę. Dam teraz panom arkusz papieru, na którym proszę wyraźnie wypisać nazwiska oraz specjalności zawodowe. Tymczasem może doktor McCork zechce powiedzieć kilka słów o Setaurze. Najważniejsze jest, jak sądzę, przedstawienie jego pięty achillesowej...

McCork stał już obok Achaniana. Był jeszcze bardziej chudy, niż się przedtem wydało Pirxowi; miał odstające uszy, z lekka trójkątną czaszkę, niemal niewidoczne brwi, czuprynę nieokreślonego koloru i z tym wszystkim wydawał się dziwnie sympatyczny.

Nim zaczął mówić, zdjął okulary w stalowej oprawie, jakby mu przeszkadzały, i położył je na biurku przed sobą.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że dopuszczaliśmy możliwość takiego wypadku, jaki się tu wydarzył. Ale oprócz matematyki cybernetyk musi mieć w głowie jeszcze jakąś szczyptę intuicji. Właśnie przez to nie zdecydowaliśmy się dotąd oddać naszego modelu do produkcji seryjnej. Testy laboratoryjne wykazały doskonałą sprawność Mefista — tak się nazywa nasz model. Setaur ma się od niego różnić lepszym zrównoważeniem hamowania i pobudzania. Tak przynajmniej sądziłem dotąd w oparciu o literaturę — teraz nie jestem już tego taki pewny. Nazwa zatracą o mitologię, ale jest tylko skrótem, pochodzi od słów Samoprogramujący się Elektronowy Trójkowy Automat Racemiczny, ponieważ do konstrukcji jego mózgu używa się zarówno prawo- jak i lewoskrętnych monopolimerów pseudokrystalicznych. To chyba w tej chwili nie jest ważne. Jest to automat zaopatrzony w laser do prac górniczych, laser fioletowy, zaś energii do wysyłania impulsów dostarcza mu mikrostop, pracujący na zasadzie zimnej reakcji łańcuchowej, dzięki czemu Setaur, o ile pamiętam, może w impulsach rozwijać dzielność czterdziestu pięciu tysięcy kilowatów.

— Jak długo? — spytał ktoś.

— Z naszego punktu widzenia — przez wieczność — odparł natychmiast chudy doktor. — W każdym razie przez wiele lat. Co się właściwie mogło stać z tym Setaurem? Mówiąc po prostu myślę, że dostał po głowie. Cios musiał być nadzwyczaj silny, ale w końcu nawet tutaj walący się budynek może uszkodzić chromoniklową czaszkę. Co się więc stało? Podobnych doświadczeń nigdyśmy nie przeprowadzali, kosztowałyby zbyt drogo — McCork uśmiechnął się niespodziewanie, ukazując małe, równe zęby — ale wiadomo ogólnie, że wyraźnie zlokalizowane uszkodzenie małego, to jest względnie prostego mózgu czy zwykłej maszyny cyfrowej powoduje kompletny rozpad funkcji. Natomiast im bardziej zbliżamy się w naśladowaniu procesów do mózgu ludzkiego, w tym większym stopniu taki złożony mózg staje się zdolny funkcjonować, pomimo tego, że częściowo uległ uszkodzeniu. Mózg zwierzęcy, na przykład kota, posiada pewne ośrodki, których drażnienie wywołuje reakcję ataku, przedstawiającego się jako wybuch agresywnej wściekłości. Mózg Setaura jest

zbudowany inaczej, ale posiada pewien generalny napad, motor aktywności, która może być w rozmaity sposób kierowana i kanalizowana. Otóż nastąpiło jakieś krótkie zwarcie tego centrum aktywności z uruchomionym programem destrukcji. Mówię naturalnie w przeraźliwym uproszczeniu.

— Ale skąd ta destrukcja? — spytał ten sam głos co przed chwilą.

— Bo to automat przeznaczony do prac górniczych — wyjaśnił doktor McCork. — „Zadaniem” jego miało być przebijanie sztolni, chodników, wiercenie skały, kruszenie szczególnie twardych minerałów, najogólniej mówiąc — niszczenie materialnej spistości, oczywiście nie wszędzie i nie wszystkiego, ale w rezultacie urazu doszło do takiej generalizacji. Moja hipoteza może być zresztą zupełnie fałszywa. Ta strona, czysto teoretyczna, będzie dla nas istotna później, kiedy się z niego zrobi już dywanik. Na razie najważniejsze jest, co Setaur potrafi. Może poruszać się z szybkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, właściwie w każdym terenie. Nie ma żadnych punktów smarowniczych, wszystkie powierzchnie stawowo—cierne pracują na teflonie. Ma zawieszona magnetyczna, pancerza jego nie przebije żaden pocisk rewolwerowy czy karabinowy, nie robiono takich prób, ale sądzę, że dopiero chyba działa przeciwpancerne... A takich nie mamy, prawda?

Achanian pokręcił przecząco głową. Wziął listę, która do niego wróciła, i czytał robiąc koło nazwisk drobne znaczki.

— Oczywiście, wybuch porządnego ładunku wybuchowego rozerwie go — ciągnął McCork spokojnie, jakby mówił o najzwyczajszej w świecie rzeczy. — Ale najpierw trzeba ten ładunek do niego zbliżyć, a obawiam się, że to nie będzie łatwe.

— Gdzie on właściwie ma ten laser? W głowie? — spytano z audytorium.

— On nie ma głowy, tylko rodzaj wybrzuszenia, wypukłości pomiędzy ramionami. Miało to zwiększyć jego odporność na zasypanie. Setaur liczy sobie dwieście dwadzieścia centymetrów wzrostu, więc razi z wysokości jakichś dwu metrów; wylot lasera osłonięty jest przesuwaną klapą; przy nieruchomym torsie może razić w kącie szerokim na trzydzieści stopni, a większe pole rażenia powstaje dzięki obrotom całego torsu. Laser ma moc szczytową czterdzieści pięć tysięcy kilowatów; każdy fachowiec zorientuje się, że to jest moc bardzo wielka, przebija łatwo kilkucentymetrową stalową blachę...

— W jakim zasięgu?

— To jest laser fioletowy, więc o bardzo małym kącie rozchodzenia się świetlnego pęku... Dlatego zasięg będzie praktycznie ograniczony polem widzenia; ponieważ horyzont jest tu odległy na równinie o dwa kilometry, a zatem co najmniej taki będzie zasięg rażenia.

— Dostaniemy specjalne lasery górnicze o sześciokrotnie większej mocy — wtrącił Achanian.

— Ale to jest tylko to, co Amerykanie nazywają overkill — odparł McCork, uśmiechając się. — Bo ta zwiększona moc nie da w pojedynku z laserem Setaura żadnej przewagi...

Ktoś spytał, czy nie dałoby się zniszczyć automatu z pokładu jakiegoś statku kosmicznego. McCork uznał się niekompetentnym, Achanian zaś, spojrzawszy na listę obecnych, rzekł:

— Jest tu obecny nawigator pierwszej klasy Pirx... Może pan zechce wyjaśnić tę sprawę?

Pirx wstał.

— Teoretycznie biorąc, statek średniego tonażu, jak mój Cuivier, więc o szesnastu tysiącach ton masy spoczynkowej, mógłby zapewne zniszczyć takiego Setaura, gdyby go dostał w swój odrzut. Temperatura gazów wylotowych przekracza sześć tysięcy stopni w odległości dziewięćset metrów, więc to by chyba wystarczyło...?

McCork skinął głową.

— Ale to czysta spekulacja — podjął Pirx. — Statek trzeba by jakoś naprowadzić, a tak mały cel, jaki przedstawia Setaur, nie większy przecież od człowieka, zawsze się zdąży usunąć, o ile nie jest unieruchomiony, ponieważ boczna szybkość statku, manewrującego przy



powierzchni planety, w jej polu ciężenia, jest bardzo mała i nie może być nawet mowy o nagłych manewrach pościgowych. Pozostawałaby więc tylko ewentualność użycia małych jednostek, powiedzmy: własnej flotyli Księżyca. Tylko że odrzut jest tu słaby i o niezbyt wysokiej temperaturze, więc chyba gdyby użyć takiego stateczku jako bombowca... Lecz dla precyzyjnego bombardowania trzeba specjalnych przyrządów, celowników, których Luna nie posiada. Nie widzę takiej możliwości. Owszem, trzeba, nawet należy użyć takich małych maszyn, ale tylko w celach rozpoznania, to jest zlokalizowania tego automatu.

Chciał już usiąść, kiedy nagle przyszła mu nowa myśl.

— A, prawda! — powiedział. — Olstra skokowe. Tych można by użyć. To znaczy — mogą ich użyć tylko ludzie, umiejący się nimi posługiwać.

— To są te małe rakiety indywidualne, które się przymocowuje do pleców? — spytał McCork.

— Tak. Można przy ich pomocy wykonywać skoki albo nawet szybować nieruchomo; zależnie od modelu i typu uzyskuje się od jednej do kilku minut lotu i od pięćdziesięciu do czterystu metrów wysokości...

Achajian wstał.

— To chyba ważne. Kto z obecnych przeszedł trening w używaniu tych aparatów?

Podniosły się dwie ręce. Potem jeszcze jedna.

— Tylko trzech? — powiedział Achajian. — A, i pan? — dodał widząc, że Pirx, zorientowawszy się, teraz dopiero podniósł rękę. — A więc czterech. No, raczej mało... Poszukamy jeszcze wśród obsługi lotniska. Panowie! Chodzi, rzecz jasna, o akcję dobrowolną. Właściwie powinienem był od tego nawet zacząć. Kto z panów zechce wziąć udział w operacjach?

Zrobił się mały rumor, bo wszyscy obecni zaczęli wstawać.

— Dziękuję w imieniu kierownictwa — powiedział Achajian. — To dobrze... A więc mamy siedemnastu ochotników. Będziemy mieli wsparcie trzech jednostek f loty li księżycowej, ponadto dysponujemy dziesięcioma kierowcami i radiowcami do obsługi transporterów. Proszę obecnych o pozostanie na miejscu, a panów — zwrócił się do McCórka i Pirxa — proszę ze mną, do kierownictwa...

\* \* \*

Około czwartej po południu Pirx siedział w wieżycze wielkiego transportera gąsienicowego, podrzucany jego gwałtownymi ruchami, mając na sobie pełny skafander, na kolanach gotowy do włożenia z pierwszym alarmem hełm, a skosem przez piersi przewieszony ciężki laser, którego kolba tłukła go niemiłosiernie; w lewej ręce trzymał mikrofon, a prawą obracał peryskopem, obserwując rozciągnięte w długi łańcuch inne transportery, które, niczym łodzie, kołysały się na piarzystych rozłogach Morza Spokoju. Pustynne to „morze” pałało blaskiem słonecznymi puste od jednego czarnego widnokregu po drugi; Pirx przyjmował i przekazywał meldunki, rozmawiał z Luną I, z dowódcami innych maszyn, z pilotami stateczków rozpoznawczych, których mikroskopijne płomyki odrzutowe kiedy niekiedy pojawiały się wśród gwiazd czarnego nieba, a przy tym wszystkim nie mógł się chwilami oprzeć wrażeniu, że jest to rodzaj bardzo zawiłego i niemądrego snu.

Wypadki toczyły się coraz gwałtowniej. Nie tylko jemu wydało się, że kierownictwo budowy uległo czemuś w rodzaju paniki, cóż bowiem w końcu mógł zdziałać jeden automat — półgłówek, nawet uzbrojony w miotacz światła? Więc gdy na drugiej naradzie „najwyższego szczebla”, w samo południe, zaczęto mówić o zwróceniu się do ONZ, a przynajmniej do Rady Bezpieczeństwa, po „specjalną sankcję”, zezwolenie na przywóz broni artyleryjskiej (najlepiej raketowych miotaczy), a może nawet atomowych pocisków —

zaprotestował wraz z innymi, mówiąc, że takim sposobem, nim cokolwiek zwojują, ośmieszają się gruntownie przed całą Ziemią. Zresztą jasne było, że na podobną decyzję międzynarodowego ciała trzeba by czekać co najmniej wiele dni, jeśli nie tygodni, tymczasem zaś „szalony robot” mógł zawędrować Bóg wie gdzie i zaszytego w niedostępnych szczelinach księżycowej skorupy nie dosięgliby już wszystkimi razem armatami; tak więc należało działać zdecydowanie i szybko. Wyjaśniło się wówczas, że największym szkopułem będzie problem łączności, która zawsze była bolączką księżycowych przedsięwzięć. Istniało ponoć około trzy tysiące patentów na wynalazki mające tę łączność usprawnić, od telegrafu sejsmicznego (z użyciem mikrowybuchów jako sygnałów) aż po „trojańskie” satelity stacjonarne. Satelity takie umieszczono na orbitach już w ubiegłym roku — co jednak wcale nie polepszało aktualnej sytuacji. Praktycznie problem był rozwiązany dzięki systemom ultrakrótkich przekaźników, osadzonych na masztach; bardzo to było podobne do dawnych ziemskich linii przesyłkowych przedspudnikowej telewizji. Było to nawet pewniejsze od łączności satelitarnej, ponieważ inżynierowie wciąż jeszcze łamali sobie głowy nad uczynieniem przekaźników orbitalnych niewrażliwymi na „wichry słoneczne”. Każdorazowy skok aktywności słońca i spowodowane nim „huragany” elektrycznie naładowanych cząstek o wysokiej energii, które przesywały próżnię, natychmiast wywoływał zakłócenia utrudniające utrzymanie łączności i to nieraz przez kilka nawet dni. Trwał właśnie jeden z takich „tajfunów słonecznych”, dlatego wiadomości między Luną I a budową szły linią przekaźników naziemnych i powodzenie „operacji Setaur” zależało od tego, w dużej przynajmniej mierze, czy „zbuntowanemu” nie przyjdzie ochota niszczenia kratowych masztów, których czterdzieści pięć znajdowało się na pustyni, oddzielającej Lunę—miasto z kosmodromem od terenów budowy. Zakładając, oczywiście, że automat nadal będzie grasował w tej okolicy. Miał przecież całkowitą swobodę manewru, nie potrzebując paliwa ani tlenu, ani snu czy odpoczynku, tak samowystarczalny, że niejeden z inżynierów teraz dopiero na dobre uświadomił sobie, jak doskonałą wysiłkiem własnych rąk zbudowano maszynę — której dalszych kroków nikt nie umiał przewidzieć. Bo, rozumie się, trwały wszczęte jeszcze o świcie rozmowy bezpośrednie Księżyc—Ziemia między kierownictwem akcji a firmą Cybertronics ze sztabem projektantów Setaura — ale nie dowiedziano się od nich nic, czego by już przedtem nie powiedział mały doktor McCork. Tylko laicy próbowali jeszcze namówić specjalistów, aby przy pomocy jakiegoś wielkiego kalkulatora przepowiedzieli taktykę automatu. Czy był inteligentny? Ależ tak, choć po swojemu! Owa „zbędna”, w tej chwili nawet wielce szkodliwa „mądrość” maszyny gniewała wielu uczestników akcji — nie mogli pojąć, po kiego diabła inżynierowie obdarzyli maszynę, przeznaczoną do prac ściśle górniczych, taką swobodą i autonomią działania? McCork wyjaśniał im spokojnie, że „nadmiarowość intelektualna” jest — w obecnej fazie rozwoju technicznego — tym samym, czym nadmiar mocy, jakim z reguły dysponują wszystkie maszyny i silniki konwencjonalne; jest to rezerwa awaryjna, mająca zwiększyć bezpieczeństwo i pewność działania; niepodobna bowiem z góry przewidzieć wszystkich sytuacji/ w jakich się maszyna, czy to energetyczna, czy informacyjna, znajdzie. O tym więc, co może przedsięwziąć Setaur, nikt w gruncie rzeczy nie miał zielonego pojęcia. Oczywiście fachowcy, także i ziemscy, przysyłali swe telegraficzne opinie, bieda była tylko w tym, że się te opinie diametralnie różniły. Jedni przypuszczali, że Setaur będzie usiłował niszczyć obiekty o charakterze „sztucznym”, jak właśnie maszty przekaźnikowe lub wysokiego napięcia, inni natomiast, że będzie wyładowywał swą energię w bezproduktywnym rażeniu wszystkiego, co mu stanie na drodze, czy będzie to księżycowa skała, czy transporter z ludźmi. Pierwsi przychylali się raczej ku koncepcji natychmiastowego ataku, aby go zniszczyć, drudzy doradzali taktykę wyczekiwania. Zgodni byli w tym tylko, że należy koniecznie kontrolować jego ruchy.

Jakoż flotylla księżycowa w liczbie dwunastu małych jednostek od rana patrolowała Morze Spokoju i przysyłała nieustannie meldunki grupie obrony terenów budowy, która z

kolei znajdowała się w stałej łączności z kierownictwem kosmodromu. Nie było rzeczą łatwą dostrzec Setaura, okruch metalu w olbrzymiej skalnej pustyni, rojącej się od piargowych pól, pęknięć i na wpół zasypanych szczelin, całej pokrytej nadto ospą miniaturowych kraterów. Gdybyż więc te meldunki były przynajmniej negatywne! Ale patrolujące załogi wielokrotnie już alarmowały personel ziemny doniesieniami o dostrzeżeniu „szalonego”, po czym okazywało się, że był to jakiś szczególnej formy głaz albo kawał lawy, iskrzący się w promieniach słońca, i nawet zastosowanie radaru wraz ze wskaźnikami ferroindukcyjnymi niewiele pomogło, ponieważ po dawniejszych akcjach eksploracyjnych z pierwszego okresu opanowania Księżyca na jego skalistych pustyniach pozostało całe mnóstwo metalowych pojemników, jak również wyżarzonych łusek patronów raketowych i najrozmaitszego blaszanego rupiecia, które co jakiś czas stawało się przyczyną nowych alarmów. Tak że kierownictwo operacji poczyniło coraz goręcej życzyć sobie, aby Setaur zaatakował wreszcie jakiś obiekt, aby się pojawił — on jednak dał o sobie znać po raz ostatni przed dziewięcioma godzinami atakiem na mały transporter pogotowia technicznego elektryków i odtąd jakby się zapadł w grunt księżycowy. Ponieważ jednak uznano, że czekać nie można, zwłaszcza że budowa musiała odzyskać dopływ energii elektrycznej, akcja, obejmująca około dziewięć tysięcy kilometrów kwadratowych, polegała na przeczesaniu ich przez dwie, zmierzające ku sobie ze stron przeciwnych, to jest z pomocy i południa, fale pojazdów. Od strony budowy szła jedna ich tyraliera pod dowództwem głównego technologa Strzibra, a od kosmodromu Luny — druga i w niej właśnie rolę koordynatora działań obu stron przy dowódcy, którym był komandor nawigator Pleydar, pełnił Pirx. Pojmował on doskonale, że w każdej chwili mogą minąć Setaura, chociażby ukrytego w którymś z głębokich rowów tektonicznych, a nawet tylko zamaskowanego jasnym piachem księżycowym, i ani go zauważą; McCork, który jako „doradca–inteletronik” jechał razem z nim, był tego samego zdania.

Transporterem rzuciło wprost straszliwie, bo jechali z szybkością, od której, jak uprzedził ich spokojnie kierowca, „po jakimś czasie wypływają oczy”. Znajdowali się w sektorze wschodnim Morza Spokoju i niecała godzina jazdy dzieliła ich od obszaru, w którym mógł — z większym prawdopodobieństwem — przebywać automat. Po przekroczeniu owej umownej granicy mieli wszyscy nałożyć hełmy, aby, w razie niespodzianego rażenia i utraty hermetyczności lub pożaru, natychmiast opuścić pojazd.

Transporter został zamieniony w maszynę bojową, bo mechanicy zamontowali na jego kopulastej wieżyczce górniczy laser wielkiej mocy, ale z jego celnością było raczej kiepsko. Pirx miał ją za całkiem iluzoryczną, zwłaszcza wobec Setaura. Ów posiadał celownik automatyczny, gdyż jego fotoelektryczne oczy były sprzężone z laserem i mógł natychmiast razić to, co znajdowało się w centrum pola widzenia. Oni natomiast mieli jakiś dziwny celownik, bodaj ze starego odległościomierza kosmonautycznego, który wypróbowano w ten sposób, że przed opuszczeniem Luny postrzelali trochę do skałek na horyzoncie. Skały były spore, odległość nie większa od mili, a i tak udało się trafić dopiero za czwartym razem. I tu raz jeszcze dawały się we znaki warunki księżycowe, bo promień lasera jest widoczny jako oślepiająca smuga tylko w ośrodku rozpraszającym, na przykład w atmosferze ziemskiej; (w próżni natomiast pęk światła, dowolnie wielkiej nawet mocy, jest dopóty niewidzialny, dopóki nie trafi w jakąś materialną przeszkodę. Dlatego na Ziemi można strzelać laserem tak, jak się strzela pociskami smugowymi, kierując się widoczną linią ich lotu. Bez celownika na Księżycu był laser pozbawiony praktycznej wartości. Pirx nie krył tego przed McCorkiem, kiedy ledwo parę minut jazdy dzieliło ich od hipotetycznej strefy zagrożenia.

— Nie myślałem o tym — rzekł inżynier. Potem dodał z uśmiechem:

— Czemu właściwie pan mi to mówi?

— Aby pozbawić pana złudzeń — odparł Pirx, nie odrywając oczu od okularów peryskopu. Choć miały pianogumowe poduszeczki, czuł, że przez dłuższy czas (o ile, rozumie się, wyjdzie żywy z tej historii), będzie chodził z podsinionymi oczami. — A także, aby

powiedzieć panu, po co wieziemy ten kram z tyłu.

— Te butle? — spytał McCork. — Widziałem, jak je pan brał z magazynu. Co w nich jest?

— Amoniak, chlor i jakieś tam węglowodory — rzekł Pirx. — Myślę, że się może przydadzą...

— Zasłona gazowo-dymna? — domyślił się inżynier.

— Nie, myślałem raczej o jakimś sposobie celowania. Skoro nie ma atmosfery, trzeba ją stworzyć, przynajmniej chwilową...

— Obawiam się, że na to nie będzie czasu...

— Może i nie... Wziąłem to na wszelki wypadek. Przeciwno wariatom najlepsze są taktyki zwariowane...

Zamilkli, bo transporterem zaczęło rzucać jak piłką; amortyzatory dudliły i piszczały, jakby lada chwila olej miał się w nich zagotować. Pędzili pochyłością usłaną ostrokończystymi głazami. Przeciwny stok jaśniał pumeksową bielą.

— Wie pan, czego się najbardziej boję? — podjął Pirx, gdy podrzuty transportera nieco złagodniały; dziwnie był jakoś rozmowny. — Nie Setaura — wcale nie... Tych transporterów budowy — bo jeśli choć jeden weźmie nas za Setaura i zacznie prac laserem, będzie wesoło.

— Widzę, że pan wszystko przewidział — mruknął inżynier. Kadet, siedzący obok radiowca, przechylił się przez oparcie swego fotela i podał Pirxowi nabazgrany ledwo czytelnie radiogram.

„Weszliśmy w teren zagrożenia przy dwudziestym przekąźniku na razie nic stop Strzibr stop koniec” — odczytał Pirx głośno. — No, i my będziemy zaraz musieli nałożyć hełmy...

Maszyna zwolniła trochę, włączając na pochyłość. Pirx zauważył, że nie widzi już lewego sąsiada — tylko prawy transporter poruszał się ciemną plamką w górę zbocza. Kazał wezwać lewą maszynę przez radio, ale nie było odpowiedzi.

— Zaczynamy się rozsypywać — rzekł spokojnie. — Tak właśnie to sobie wyobrażałem. Czy nie można wyżej wysunąć anteny? Nie? To trudno.

Byli już na szczycie łagodnego wzniesienia. Spoza widnokregu, odległy o dwieście bez mała kilometrów, wysunął się piłą osłonecznioną grani krater Toricellego, ostro zarysowany na czarnym tle nieboskłonu. Równinę Morza Spokoju mieli już, całą prawie, za sobą. Pojawiły się głębokie rowy tektoniczne, spod piachu wystawały gdzieś tam zastygłe płyty magmy, przez które transporter przełaził z wysiłkiem, podnosząc się najpierw niczym łódź na fali, a potem waląc się ciężko w dół, jakby miał lecieć na łeb, na szyję w niewiadomą głębię. Pirx dostrzegł maszt kolejnego przekąźnika, rzucił okiem na przyciśnięty do kolana mapnik pod celuloidową szybką i kazał wszystkim nałożyć hełmy. Odtąd mogli się porozumieć już tylko przez wewnętrzny telefon; okazało się, że transporter potrafi trząść jeszcze bardziej niż dotąd — głowa latała mu w hełmie jak jądro orzecha w pustej łupinie.

Kiedy, zjeżdżając z pochyłości, znaleźli się niżej, piła Toricellego znikła, zakryta bliższymi wzniesieniami; prawie równocześnie zgubił im się prawy sąsiad. Jeszcze przez parę minut słyszeli jego sygnały wywoławcze, potem zniekształciły je odbicia fal od płyt skalnych i nastąpiła tak zwana „pełna radiocisza”. Bardzo niewygodnie było patrzeć przez peryskop, mając na głowie hełm; Pirxowi zdawało się, że albo wy tłucze jego szybkę, albo zmiążdży okular. Robił, co mógł, aby nie tracić z oczu pola widzenia, które chodziło całe w takt przechyłów maszyny, usiane skalnymi blokami. Gmatwanina czarnych jak smoła cieni i oślepiąco rozjarzonych płaszczyzn kamiennych aż mrowiła w oczach. Naraz mały, pomarańczowy płomyk wyskoczył w mrok dalekiego nieba, zamigotał, skurczył się i znikł. Drugi błysk, nieco silniejszy. Pirx krzyknął: — Uwaga wszyscy! Widzę jakieś eksplozje! — i kręcił gorączkowo korbą peryskopu, odczytując azymut na wyrysowanej w szklach, przezroczyściej skali.

— Zmieniamy kurs! — ryknął. — Czterdzieści siedem koma osiem, pełnym ciągiem naprzód!

Właściwie komenda stosowała się do statku kosmicznego, ale kierowca i tak pojął; blachy i wszystkie złącza transportera zatrzęsły się spazmatycznie i, skręciwszy niemal na miejscu, maszyna runęła przed siebie. Pirx uniósł się z siedzenia, bo jego podrzuty odrywały mu głowę od okularu. Znowu błysnęło — tym razem czerwono-fioletowym, wachlarzowatym płomieniem. Ale źródło owych błysków czy wybuchów znajdowało się za polem widzenia, przesłonięte grzbietem, na który wjeżdżali.

— Uwaga wszyscy! — powiedział Pirx. — Przygotować osobiste lasery! Doktorze McCork, proszę do klapy, jeśli powiem albo w wypadku trafienia, otworzy ją pan! Kierowca! Zmniejszyć szybkość!...

Wzniesienie, na które darła się maszyna, wynurzało się z pustyni jak goleń jakiegoś potwora księżycowego, do połowy utopiony w grubym piachu; skała ta w samej rzeczy przypominała gładkością wypolerowany szkielec czy olbrzymi czerep; Pirx kazał kierowcy wjechać na szczyt. Gąsienice zaczęły jazgotać, jakby stał drapała po szkłe. — Stop! — krzyknął Pirx, transporter, nagle zatrzymany, opadł nosem ku skale, zahuszał się, amortyzatory jęły z wysiłku i znieruchomieli.

Pirx patrzył w płytką kotłnię, z dwu stron ujętą w promienisto wyciągnięte, obłe wały starych potoków magmatycznych; dwie trzecie obszernego zakłębienia leżały w jaskrawym słońcu, trzecią okrywał całun absolutnej czerni. Na tym aksamitnym mroku, jak niesamowity klejnot, żarzył się, gasnąc rubino—wo, na wpół rozpruty szkielec jakiegoś pojazdu. Tylko kierowca widział go wraz z Pirxem, bo pancerne klapy okien były opuszczone. Pirx, prawdę mówiąc, nie wiedział, co robić. — To jakiś transporter — myślał. — Gdzie jego przód? Od południa? Więc jakby z grupy budowy. Ale kto go dostał, Setaur? W takim razie stoję tu, na widoku, jak kretyn — trzeba się schować. Ale gdzie są wszystkie inne? Tamte i moje?

— Jest! — krzyknął radiotelegrafista. Przełączył aparat transportera na sieć wewnętrzną, tak że wszyscy mogli słyszeć w hełmach odbierane sygnały.

— Aksymo—portatywny zwał! Ściana otorbielona — powtórzenie z nawrotu zbędne — dojście według azymutu — metamorfizacja wleokrystaliczna... — wypełnił słuchawki Pirxa głos, wypowiadający słowa wyraźnie, monotonicznie i bez żadnej intonacji.

— To on! — ryknął. — Setaur! Halo, radio! Pelengować, prędko pelengować! Proszę podać peleng! No, do wszystkich diabłów! Póki jeszcze nadaje! — Ryczał, aż ogłuszył go własny krzyk, wzmocniony zamkniętą przestrzenią hełmu; nie czekając, kiedy telegrafista ocknie się, skoczył, pochylony, pod szczyt kopułki, chwycił podwójny uchwyt ciężkiego lasera i zaczął obracać nim razem z kopułką, mając już oczy przy celowniku. Tymczasem w hełmie ciągnął ów niski, jakby smutny trochę, miarowy głos:

— Trudnodwutliwe niedobarwienie wiskozalne — nie okorowane segmenty bez ponownych wtężeń siodlastych — i ta bezsensowna gadanina zdawała się słabnąć.

— Co jest z tym pelengiem, do cholery?!!

Pirx, nie odrywając oczu od celownika, usłyszał niewyraźny rumor — to McCork skoczył do przodu, odtrącił radiowca, coś się tam szamotoło...

Nagle usłyszał w słuchawkach spokojny głos cybernetyka:

— Azymut 39,9... 40,0... 40,1... 40,2...

— On się porusza! — zrozumiał Pirx. Kopułką trzeba było obracać, kręcąc korbami, i mało mu ramię nie wyskoczyło ze stawu — tak kręcił. Cyferki przesuwwały się leniwie. Czerwona linia przeskoczyła czterdziestkę.

Nagle głos Setaura zwinął się w przeciągły pisk i umilkł. W tej samej chwili Pirx nacisnął spust i o pół kilometra niżej, na samej granicy świata i cienia, skała bluznęła nadsłonecznym ogniem.

Przez grube rękawice okropnie trudno było utrzymać nieruchomo rękojeści. Płomień, jaśniejszy od słonecznego, wświdrował się w ciemność dna kotliny, o kilkadziesiąt metrów od gasnącego wraku, stanął i — rozbryzgującą płaty żaru linią wciął się dalej, strzeliwszy dwa

razy pękami iskier. Coś bełkotało w słuchawkach. Pirx nie zważał na to, pruł dalej tą linią najcieńszego, najstraszliwszego ognia, aż rozbiła się na tysiąc odśrodkowych rykoszetów o jakiś skalny filar. W oczach narastały mu czerwono wirujące kręgi — ale zobaczył przez ich wiry oślepiająco błękitne oko, mniejsze od końca igły, które otwarło się na samym dnie ciemności, gdzieś z boku, nie tam, gdzie strzelał — i nim zdążył poruszyć rękojeściami lasera, aby przesunąć go razem z obrotnicą, skała przy samej maszynie wybuchła płynnym słońcem.

— Cała wstecz! — ryknął, uginając odruchowo nogi, skutkiem czego przestał widzieć cokolwiek, ale i tak niczego by już nie zobaczył, prócz tych czerwonych, pełzających wolno kręgów, które stawały się na przemian czarniawe i złote.

Silnik zagrzmiał, rzuciło nimi tak, że Pirx upadł na sam dół i poleciał do przodu, między kolana kadeta i radiowca; wszystkie butle, które wieźli na pancerzu, choć dobrze przymocowane, przeraźliwie zadzwoniły. Lecieli tyłem, coś chrupnęło potwornie pod gaśienicą, obróciło ich, zarzuciło w drugą stronę, przez jedno mgnienie wydawało się, że transporter zaczyna się już walić na grzbiet... Kierowca, rozpaczliwie dusząc gaz, hamulce, sprzęgło, jakoś opanował ten wściekły poślizg, maszynę przeszedł długi dreszcz i stanęła.

— Jest hermetyczność?! — krzyknął Pirx, zbierając się z podłogi. — Szczęście, że gumowana — zdążył pomyśleć.

— Jest!

— No, to było dosyć blisko — rzekł już całkiem innym głosem, wstając i rozprostowując grzbiet. I nie bez żalu dodał ciszej: — Jakies dwie setne więcej w lewo i byłbym go już miał...

McCork wracał na swoje miejsce.

— Doktorze, dziękuję panu! — zawołał Pirx, już przy peryskopie. — Halo, kierowca, proszę zjechać na dół tym samym szlakiem, którym wjeżdżaliśmy. Tam są takie małe skałki, coś w rodzaju bramy — o, to, to! — proszę wjechać w cień między nimi i zastopować...

Transporter powoli, jakby z przesadną ostrożnością, wszedł między częściowo zasypane piaskiem bloki skalne i zastygł w ich cieniu, który uczynił go niewidzialnym.

— Doskonale! — rzekł prawie wesoło Pirx. — Teraz potrzebuję dwu ludzi, którzy pójdą ze mną na mały zwiad...

McCork zgłosił się równocześnie z kadetem.

— Dobrze! Uwaga, wy — zwrócił się do reszty — zostaniecie tutaj. Nie ruszajcie się z cienia, nawet gdyby Setaur wyszedł prosto na was — siedźcie cicho. No, chyba żeby niemal włąził na transporter, wtedy musicie się bronić, macie laser — ale to mało prawdopodobne... Pan — zwrócił się do kierowcy — pomoże temu młodemu człowiekowi zdjąć z pancerza te butle z gazem, a pan — to było do telegrafisty — będzie wywoływał Lunę, kosmodrom, budowę, patrole i pierwszemu, kto się zgłosi, powie pan, że on zniszczył jeden transporter, zdaje się budowy, i że trzech ludzi z naszej maszyny poszło na niego zapolować. Więc żeby tam nikt nie pchał się z laserami, nie strzelał na oślep i tak dalej... A teraz idziemy!

Ponieważ każdy z nich mógł wziąć tylko jedną butlę, zabrali cztery. Pirx poprowadził towarzyszy nie na szczyt „czerepu”, lecz nieco dalej, gdzie widoczny był wiodący pod górę, płytki wąwozik. Doszli jak daleko się dało, ustawili butle pod wielkim głazem i Pirx polecił kierowcy, aby wracał. Sam, wychyliwszy się nad powierzchnię głazu, lornetował wewnątrz kotliny. McCork i kadet przycupnęli obok niego; po dobrej chwili odezwał się:

— Nie widzę go. Doktorze, czy to, co on mówił, miało jakiś sens?

— Raczej nie. Zlepki słów — coś w rodzaju schizofrenii...

— Ten wrak już dogasa — rzekł Pirx.

— Dlaczego pan strzelał? — spytał McCork. — Tam mogli być ludzie.

— Nie było nikogo.

Pirx przesuwiał lornetę milimetr po milimetrze, lustrując każdy załom oświetlonej słońcem

przestrzeni.

— Nie zdążyli wyskoczyć.

— Skąd pan to może wiedzieć?

— Bo przeciął maszynę na pół. To nawet jeszcze teraz widać. Musieli chyba prawie najechać na niego. Raził z kilkudziesięciu metrów. A poza tym obie klapy zostały zamknięte. Nie — dodał po kilku sekundach — w słońcu go nie ma. A wymknąć się raczej nie zdążył... Spróbujemy go wywabić.

Schyliwszy się, dźwignął ciężką butlę na szczyt głazu i, pchając ją przed sobą, mruknął przez zęby:

— To są właśnie te indiańskie historie, o których zawsze marzyłem...

Butla pochyliła się; trzymał ją za wentyle i rozplaszczony na kamieniach, powiedział:

— Jeżeli zobaczycie błękitny błysk, strzelajcie od razu — w to jego laserowe oko...

Pchnął z całej siły butlę, która najpierw wolno, a potem z rosnącą chyżością poczęła się toczyć po pochyłości. Wszyscy trzej złożyli się do strzału, butla przebyła już ze dwieście metrów i toczyła się wolniej, bo pochyłość malała. Parę razy zdawało się, że zatrzymają ją wystające kamienie, ale przewalała się przez nie i, coraz mniejsza, już jako ciemno błyszcząca plamka, zbliżała się do dna kotliny.

— Nic? — rzekł rozczarowany Pirx. — Albo jest mądrzejszy, niż myślałem, albo nie zwraca na nią uwagi, albo...

Nie dokończył. Na stoku pod nimi łysnęło oślepiająco. Płomień przekształcił się niemal natychmiast w ciężką, brudnożółtą chmurę, której środek jarzył się jeszcze ponurym ogniem, a brzegi rozpyływały się, uczezione odnogami głazów.

— Chlor... — rzekł Pirx. — Czemuście nie strzelali? Nic nie było widać?

— Nic — jednym głosem odparli kadet i McCork.

— Łajdak! Ukrył się pod jakimś załomem albo razi z flanki. Teraz to już naprawdę wątpię, aby coś z tego było, ale spróbujemy...

Podniósł drugą butlę i wyprawił ją w ślad za pierwszą.

Potoczyła się zrazu tak samo, ale gdzieś w połowie zбочa zakręciła i znieruchomiła. Pirx nie patrzył na nią — całą uwagę skoncentrował na trójkątnym płacie mroków, w którym czaił się gdzieś Setaur. Sekundy mijały powoli. Naraz krzaczasty wybuch rozsadził zбочe. Miejsca, w którym ukrył się automat, nie udało się Pirxowi zobaczyć, ale dostrzegł linię strzału, a właściwie jej część, bo zmaterializowała się na kształt słonecznie płonącej nici, kiedy przeszła przez resztki pierwszej gazowej chmury. Natychmiast powiódł celownikiem wzdłuż owej świecącej trajektorii, która już gasła, i kiedy na skrzyżowaniu nitek miał skraj ciemności, nacisnął spust. Chyba równocześnie to samo zrobił McCork, a po mgnięciu przyłączył się do nich kadet. Trzy ostrza słoneczne przeorały czarne dno kotliny i zarazem jakby jakieś olbrzymie, gorące wieko zatrzasnęło się tuż przed nimi — chroniący ich głaz cały zadrgał, z jego krawędzi sypnęło miriadam gwałtownych tęczy, płonący kwarc osypał im skafandry i hełmy, stygnąc momentalnie w mikroskopijne łożki; leżeli już rozplaszczeni w cieniu skały, a nad ich głowami, niczym rozżarzona do białości klinga, śmignęło drugie i trzecie wyładowanie, muskając powierzchnię głazu, która pokryła się natychmiast szklisto zastygającymi bąblami.

— Wszyscy cali? — spytał Pirx, nie podnosząc nawet głowy.

— Tak! — Ja też! — posłyszał w odpowiedzi.

— Proszę zejść do maszyny i powiedzieć telegraficznie, żeby wzywał wszystkich, bo mamy go tu i postaramy się go przytrzymać, jak długo się da — zwrócił się Pirx do kadeta, który odczołgał się wstecz i zbiegł, pochylony, w stronę skał, wśród których stała gąsienicówka.

— Zostały nam dwie butle, po jednej dla każdego. Doktorze, zmienimy teraz stanowisko. A proszę uważać i dobrze się kryć, bo on już wstrzelał się w ten nasz grzbiecik...

Z tymi słowami Pirx podniósł jedną butlę i, wykorzystując cienie, rzucane przez duże bloki

skalne, ruszył, jak mógł najszybciej, przed siebie. Jakies dwieście kroków dalej usadowili się w szczybie magmatycznego obwałowania. Kadetowi, który wracał od transportera, nie od razu udało się ich znaleźć. Dyszał, jakby przebiegł co najmniej milę.

— Spokojnie, nie pali się! — rzekł Pirx. — No, co tam słycać?

— Łączność nawiązana... — Kadet kucnął przy Pirxie, który widział mrugające za szybką hełmu oczy chłopca. — W tej maszynie, co zginęła... było czterech ludzi budowy. Druga musiała się wycofać, bo miała defekt lasera... a reszta przeszła bokiem i niczego nie zauważyła... — Pirx skinął głową, jakby mówił: „tak właśnie sobie myślałem”.

— Co więcej? Gdzie nasza grupa?

— Prawie cała jest dwadzieścia mil stąd, był tam fałszywy alarm, jakiś patrol raketowy doniósł, że widzi Setaura i wszystkich tam ściągęli. A trzy maszyny nie odpowiadają na wezwania.

— Kiedy tu będą?

— Na razie jest tylko odbiór... — nieśmiało powiedział kadet.

— Tylko odbiór? Jak to?!

— Telegrafista mówi, że albo coś się stało z nadajnikiem, albo w tym miejscu wygasza mu się emisja. Pyta się, czy może zmienić miejsce postoju, żeby spróbować...

— Niech zmieni to miejsce, jeżeli musi — odparł Pirx. — A proszę nie pędzić tak! Patrzeć pod nogi!

Ale tamten już chyba nie bardzo słyszał, bo gnał z powrotem.

— W najlepszym razie będą tu za pół godziny, jeśli uda się nawiązać łączność — powiedział Pirx. McCork milczał. Pirx rozważał, co począć. Czekać czy nie czekać? Forsowanie kotliny transporterami zapewniłoby chyba sukces, ale nie bez strat. Maszyny w przeciwieństwie do Setaura były celami wielkimi, powolnymi i musiały wystąpić razem, bo pojedynki skończyłyby się tak samo jak tamten z gąsienicówka budowy. Usiłował wykombinować jakiś manewr, który wywabiłby Setaura na oświetloną przestrzeń. Gdyby tak można puścić jeden bezludny, zdalnie kierowany transporter na wabia, a porazić automat skądinąd, powiedzmy z góry...

Przyszło mu do głowy, że właściwie wcale nie musi czekać na nikogo, skoro ma jeden transporter. Ale plan nie konkretyzował się jakoś. Tak puścić po prostu maszynę na oślep — to by nie miało sensu. Rozniesie ją w strzępy, a sam nie będzie wcale musiał ruszyć się z miejsca. Czyżby się orientował, że strefa cienia, w której tkwi, daje mu taką przewagę? Ale to nie jest przecież maszyna, stworzona do walki z całą jej taktyką... Jest w tym szaleństwie jakaś metoda, ale jaka? Siedzieli, skuleni, u stóp kamiennej płyty, w jej gęstym, chłodnym cieniu. Naraz Pirxowi wydało się, że postępuje jak ostatni osioł. Gdyby był na miejscu tego Setaura — tam — co by zrobił? Od razu poczuł niepokój, ponieważ był pewny, że usiłowałby atakować. Bierne oczekiwanie wypadków nie mogło przynieść żadnej korzyści. Więc może on posuwa się ku nim? Właśnie teraz? Może przecież dojść aż do zachodniego urwiska, cały czas poruszając się pod osłoną ciemności, a dalej jest tam tyle ogromnych głazów i popękanej lawy, że w tym labiryncie można kryć się Bóg wie jak długo...

Był już niemal pewien, że Setaur postąpi tak właśnie i że mogą się go spodziewać w każdej chwili.

— Doktorze, obawiam się, żeby nas nie zaskoczył — powiedział szybko, zrywając się na nogi. — A jak pan myśli?

— Sądzi pan, że on może nas podejść? — spytał McCork i uśmiechnął się. — I mnie to przyszło do głowy. Owszem, to nawet logiczne, ale czy on postępuje logicznie? Oto pytanie...

— Musimy jeszcze raz spróbować — mruknął Pirx. — Trzeba spuścić te butle na dół; zobaczymy, co zrobi...

— Rozumiem. Czy już?...



— Tak. Uwaga!

Wciągnęli je na szczyt wzniesienia, i, starając się pozostać niewidzialnymi z dna kotliny, pchnęli prawie razem oba metalowe cylindry. Niestety, brak powietrza nie pozwalał usłyszeć, czy i jak się toczą. Pirx zdecydował się i czując się dziwnie nagi — zupełnie jakby nie miał na głowie stalowej kuli, a na całym ciele trójwarstwowego, wcale nielekkiego skafandra — przywarłszy płasko do skały, ostrożnie wychylił głowę.

W dolinie nic się nie zmieniło. Tyle że wrak maszyny przestał być widoczny, bo jego ostygłe szczątki zlały się z otaczającą ciemnością. Cień zajmował tę samą przestrzeń o kształcie nieregularnego, bardzo wydłużonego trójkąta, opartego podstawą o urwiska najwyższego, zachodniego grzebienia skał. Jedna butla zatrzymała się jakieś sto kroków pod nimi, bo trafiła na kamień, który ustawił ją podłużnie. Druga toczyła się jeszcze, coraz wolniej, coraz mniejsza, aż znieruchomiła. I to, że na tym się skończyło, wcale nie spodobało się Pirxowi. — On naprawdę nie jest głupi — pomyślał. — Nie chce strzelać do celu, który mu się podtyka. — Usiłował odnaleźć miejsce, z którego Setaur przed jakimś dziesięcioma minutami ostatni raz dał znać o sobie błysnięciem laserowego oka, ale było to bardzo trudne.

— Może go tam już nie ma — rozważał. — Może cofać się po prostu na północ; może iść równolegle, dnem kotliny, albo jednym z tych pęknięć magnetycznego potoku... Jeżeli dostanie się w strefę urwiska, w ten labirynt, to przepadnie jak kamień w wodzie...

Powoli, po omacku, unióś kolbę lasera i rozluźnił mięśnie.

— Doktorze McCork! — powiedział. — Proszę do mnie!

A kiedy doktor podczołgał się do niego, rzekł:

— Widzi pan obie butle? Jedna na wprost, pod nami, a druga dalej...

— Widzę.

— Strzeli pan najpierw do bliższej, potem do dalszej, w odstępie — powiedzmy — czterdziestu sekund... Ale nie stąd! — dodał szybko. — Musi pan znaleźć lepsze miejsce. O! — pokazał ręką. — Tam jest niezłe stanowisko, w tym wgłębieniu. A kiedy pan strzeli, proszę natychmiast odczołgać się w tył. Dobrze?

McCork o nic nie pytał, lecz od razu ruszył, nisko schylony, we wskazaną stronę. Pirx czekał niecierpliwie. Jeżeli jest choć trochę podobny do człowieka, musi być ciekawy. Każde inteligentne stworzenie jest ciekawe — i ta ciekawość popycha je do działania, gdy zdarzy się coś niezrozumiałego... Nie widział już doktora. Zakazał też sobie patrzenia na butle, które miały eksplodować pod jego strzałami; całą uwagę skupił na pasie osłonecznionego rumowiska między strefą cienia a zerwą. Przyłożył do oczu lornetę i skierował ją w ten obszar lawospadu; w szklach przepływały wolno groteskowe kształty, uformowane niczym w pracowni jakiegoś rzeźbiarza—abstrakcjonisty: ścieńczące, śrubowo poskręcane obeliski, tafle zryte wężowiskami pęknięć — od gmatwaniny jaskrawych płaszczyzn i zygzakowatych cieni coś aż łaskotało dno oka. Samym skrajem spojrzenia zauważył pęczniejący nisko pod sobą, na stoku, błysk. Po dłuższej chwili strzelił drugi. Cisza. Tylko pulsy łomotały w helmie, przez który słońce starało się wświdrować promieniami w jego czaszkę. Wodził obiektywem po tym pasie chaotycznie poszczepianych odłamów.

Coś tam drgnęło. Zastygł. Nad brzytwowatym ostrzem płyty, podobnej do rozpękłego brzeszczotu jakiejś olbrzymiej siekiery kamiennej, wysunął się półkulisty kształt, kolorem zbliżony do ciemnej skały, ale ten kształt miał ramiona, które chwyciły się z obu stron głazu i teraz widział go już — do połowy torsu. Nie wyglądał jak bezgłowy, raczej jak człowiek, któremu nałożono nadnaturalną maskę afrykańskiego czarownika, zakrywającą twarz, szyję i kark, jakby rozplaszczoną i przez to trochę monstualną... Łokciem prawej ręki czuł kolbę lasera, lecz ani mu w głowie było teraz strzelać. Ryzyko było zbyt wielkie — szansa trafienia z broni stosunkowo słabej, na podobną odległość, nikła. Tamten, znieruchomiły, zdawał się wpatrywać tym swoim ledwo wystającym nad barki łbem w resztki dwóch chmur gazowych,

które ściekały po stoku, rozprężając się bezsilnie w próżni. To trwało dość długo. Wyglądało na to, że nie wie, co się stało, że waha się, co robić. W tym jego wahaniu, w owej niepewności, którą Pirx doskonale pojmował, było coś tak niesamowicie bliskiego, ludzkiego, że mu się gardło ścisnęło. Co ja bym robił na jego miejscu, co bym pomyślał? Że ktoś strzelił do takich samych przedmiotów, do których ja poprzednio strzelałem, a więc że to chyba nie jest przeciwnik, wróg, ale raczej jakby sojusznik. Ale wiedziałbym chyba, że nie mam żadnego sojusznika? A gdyby to był ktoś taki jak ja sam?

Tamten drgnął. Ruchy miał płynne i niezwykle szybkie. Pojawił się naraz cały, wyprostowany na owym dęba stojącym głazie, jakby wciąż jeszcze wypatrywał tajemniczej przyczyny dwóch eksplozji. Potem odwrócił się i zeskoczywszy w dół, zaczął, lekko pochylony do przodu, biec — chwilami ginał Pirsowi z oczu, ale nigdy na dłużej niż kilka sekund, by znowu wychynąć na światło słoneczne w którejś z odnóg magmatycznego labiryntu. W ten sposób zbliżał się do Pirxa, tyle że biegnąc cały czas u dna kotliny; dzieliła ich już ledwie przestrzeń stoku i Pirx zastanawiał się, czy jednak nie strzelić. Ale tamten migał mu tylko w wąskich pasach światła i znowu roztapiał się w czerni — a że wciąż musiał zmieniać kierunek, bo wybierał drogę między zwaliskami, nie dawało się z góry przewidzieć, gdzie jego, pracujące dla utrzymania równowagi jak u biegnącego człowieka, ramiona i jego bezgłowy tors wynurzą się w następnej chwili, aby łysnąć metalicznie i raz jeszcze szczeznąć. Wtem piorunowy zygzak rozciął mozaikę rumowiska, krzesząc długie pióropusze iskier wśród bloków, tam gdzie Setaur biegł właśnie. Kto to strzelił? Pirx nie widział McCorka, ale linia ognia przyszła z przeciwnej strony — chyba tylko kadet, ten smarkacz, ten osioł! Klął go, wściekły, bo nic oczywiście nie wskórał — grzbiet z metalu mignął już dalej, na ułamek sekundy, i znikł na dobre. — I do tego jeszcze strzelał mu w plecy! — pomyślał Pirx z wściekłością, nie czując wcale bezsensowności tego zarzutu. A Setaur nie spróbował nawet odpowiedzieć ogniem — czemu? Usiłował go dojrzeć — daremnie. Czyżby go już zakrył stok swoją wypukłością? To całkiem możliwe... W takim razie można się tu teraz bezpiecznie poruszać... Pirx zsunął się ze swego głazu widząc, że z tego miejsca nic już nie wypatrzy. Pobiegł, lekko schylony, samą granią, minął kadeta, który leżał jak na strzelnicy — z płasko rozrzuconymi i przyciśniętymi do skały stopami, i poczuł niezrozumiałą chętkę, aby go kopnąć w tyłek, śmiesznie wystający i powiększony jeszcze nie dopasowanym skafandrem. Zwolnił, ale tylko, aby zawołać:

— Nie waż mi się strzelać, słyszysz?! Odlóż ten laser!

I nim tamten, przewracając się na bok, ogłupiałym ze zdziwienia spojrzeniem zaczął go szukać — bo głos ów doszedł go ze słuchawek, nie zdradzając kierunku ani miejsca, w którym znajdował się Pirx — pobiegł już dalej; w obawie, że marnuje czas, przyspieszał, jak mógł, aż znalazł się naprzeciw szerokiego pęknięcia, które otwarło mu nagle widok aż po dno kotliny.

Był to rodzaj rowu tektonicznego, tak starego, że brzegi jego skruszały, straciły ostrość i upodobniły się do rozszerzonego erozją górskiego żlebu. Zawahał się. Nie widział Setaura, zresztą chyba nie mógłby go stąd zobaczyć. Zapуścił się więc w ów żleb z laserem gotowym do strzału, czując dobrze, że popełnia szaleństwo, a jednak nie mógł oprzeć się temu, co go tam popychało; mówił sobie, że go chce tylko zobaczyć, że zatrzyma się w pierwszym miejscu, z którego dobrze będzie mógł wypenetrować ostatni odcinek zerwy i cały labirynt rumowiska pod nią, i może nawet w chwili, kiedy tak biegł, wciąż pochylony, a kamyki gradem tryskały mu spod butów, wierzył w to; zresztą nie zastanawiał się w tych sekundach nad niczym. Był na Księżycu, ważył więc ledwo piętnaście kilogramów, ale i tak rosnąca pochyłość podcinała mu nogi, gnał ośmiometrowymi susami, hamując, jak tylko mógł, przebył już połowę długości stoku, żleb kończył się płytkim wybiegiem — w słońcu, czarne od przeciwsłonecznej, a roziskrzane od południowej strony, trwały jakieś sto metrów niżej pierwsze bloki lawospadu. — Wpakowałem się — pomyślał; do obszaru, w którym krążył

Setaur, można było stąd niemal ręką sięgnąć. Popatrzał błyskawicznie w lewo i w prawo. Był sam — grzbiet został wysoko nad nim rozprazoną stromizną u czarnego nieba — przedtem mógł zaglądać do przesmyków między głazami jakby z lotu ptaka, teraz sieć międzyskalnych szczelin zasłoniły mu najbliższe bloki kamienne. — Niedobrze — pomyślał — może wrócić? — Nie wiadomo dlaczego wiedział, że tego nie zrobi.

Nie mógł jednak tak stać. Kilkanaście kroków niżej znajdował się samotny odłam magmy, najwyraźniej koniec tego jej jęzora, który ongiś wylewał się rozżarzoną potokiem z wielkich zwisów podnóża Toricellego — i dosięgnął, ostatnim wybiegiem, tego zapadliska. W braku innego to było jśszcze najlepsze ukrycie. Dopadł go jednym skokiem, przy czym szczególnie niemiłe było owo długie księżycowe szybowanie, spowolniony lot, jak we śnie, do którego nigdy naprawdę się nie przyzwyczaił. Skulony za tą kanciastą bryłą wyjrzał spoza niej i zobaczył Setaura, który wychynał spoza dwóch ostrokończystych igliczek, obszedł trzecią, musnąwszy ją metalowym barkiem i zatrzymał się. Pirx widział go z boku, oświetlonego tylko częściowo, bo jedynie prawe ramię świeciło ciemno i tłusto, jak dobrze nasmarowana część maszyny — resztę korpusu okrywał cień. Podnosił już laser do oka, kiedy tamten, jakby w nagłym przeczuciu, znikł niczym zdmuchnięty. Stał tam chyba dalej, cofnął się tylko w cień? Więc może strzelić w ten cień? Miał go już na muszce, ale nie położył nawet palca na cynglu. Rozluźnił mięśnie, lufa opadła. Czekał. Setaura nie było. Rumowisko rozpościerało się tuż pod nim istic piekielnym labiryntem, można się tam było bawić w chowanego godzinami — zeszkłona lava popękała w geometryczne, a zarazem niesamowite kształty. — Gdzie on jest? — myślał. — Żeby chociaż dało się cokolwiek usłyszeć, ale ta przeklęta bezpowietrzna okolica, jak w koszmarze jakimś... Gdybym spuścił się w dół, mógłbym na niego zapolować. Nie, nie zrobię tego, ja nie jestem przecież wariatem... Ale pomyśleć wolno przecież wszystko — zerwą nie ma więcej niż dwanaście metrów, to jakby skok z dwóch na Ziemi; znalazłbym się w cieniu pod nią, byłbym niewidoczny i mógłbym posuwać się wzdłuż niej, cały czas mając plecy chronione skałą, a on prędzej czy później wyjdzie mi prosto na łufę... Nic się w kamiennym labiryncie nie działo. Na Ziemi przez ten czas słońce porządnie by się już przesunęło, ale panował tu długi dzień księżycowy, więc trwało wciąż jakby na tym samym miejscu, wygaszając najbliższe gwiazdy, że otaczała je czarna pustka, przerośnięta jakby pomarańczową, krzaczastą mgiełką... Wysunął się do połowy spoza swego głazu. Nic. Zaczynało go to już gniewać. Dlaczego tamci nie nadjeżdżają? Niemożliwe, żeby dotąd nie było radiołączności... Może wypłoszą go wreszcie z tych gruzów... Spojrzał na zegarek pod grubym szkłem przegubu i zdumiał się — od ostatniej rozmowy z McCorkiem minęło ledwo trzynaście minut.

Gotował się już do opuszczenia swego stanowiska, kiedy stały się naraz dwie rzeczy, jednakowo niespodziewane. W bramie skalnej, między oboma magmatycznymi obwałowaniami, które zamykały kotlinę od wschodu, zobaczył sunące, jeden za drugim, transportery. Były jeszcze daleko, ponad kilometr chyba, i szły całą mocą, ciągnąc za sobą długie, pozornie sztywne kity skłębionego kurzu. Zarazem dwoje jakby ludzkich, tyle że w metalowe rękawice odzianych, wielkich rąk pokazało się na samym brzegu urwiska, a w ślad za nimi, tak szybko, że nie zdążył się cofnąć, wychynał Setaur. Dzieliło ich nie więcej niż dziesięć metrów. Pirx zobaczył zastępującą głowę, masywne wybrzuszenie torsu między potężnymi barami, w którym lśniły nieruchomo szkła otworów optycznych, jak dwoje czarnych, szeroko rozstawionych oczu, wraz ze środkowym, trzecim, straszliwym pod zamkniętą w tej chwili powieką laserowego miotacza. On sam miał wprawdzie laser w rękę, ale reakcje maszyny były niezrównanie szybsze od jego własnych, zresztą nawet nie próbował się złożyć — po prostu zamarł w pełnym słońcu, na ugiętych nogach, tak jak zastało go, kiedy podrywał się z ziemi, nagle pojawienie się tamtego, i patrzyli na siebie: posąg człowieka i posąg maszyny, oba obleczone w metal. Wtedy straszliwy blask rozdarł całą przestrzeń przed Pirxem, który, pchnięty ciosem żaru, runął w tył. Lecąc nie stracił przytomności i w owym

ułamku sekundy czuł tylko zdziwienie, bo przysięgłby, że to nie Setaur go poraził, gdyż do końca widział ciemne i ślepe jego laserowe oko.

Upadł na wznak, bo wyładowanie poszło bokiem — ale najwidoczniej w niego celowano, ponieważ potworny rozbłysk powtórzył się w oka mgnieniu i odłupał część kamiennej iglicy, która go przedtem chroniła; bryznęła kroplami płynnego minerału, w locie zmieniającymi się w oślepiającą pajęczynę. Ale teraz uratowało go to, że celowali na wysokość wzrostu, a on leżał — to była pierwsza maszyna, to z niej bili laserem. Przekręcił się na bok i zobaczył wtedy plecy Setaura, który, nieruchomy, jak odlany z brązu, dwa razy łysnął liliowym słońcem. Nawet z tej odległości widać było, jak przedniemu transporterowi odwaliło całą gaśnicę razem z rolkami i kołem wiodącym; podniosła się tam taka chmura kurzu i świecących gazów, że drugi transporter, oślepiiony, nie mógł już strzelać. Dwu- i półmetrowy olbrzym popatrzał niespiesznie na leżącego człowieka, który ścisnął jeszcze swoją broń, odwrócił się i ugiął lekko nogi, chcąc skoczyć na powrót tam, skąd przyszedł, lecz Pirx, niewygodnie, bokiem, strzelił do niego — chciał tylko podciąć mu nogi, ale łokieć zachwiał się, kiedy ciągnął za spust, i płomienny nóż rozplątał olbrzymia od góry do dołu, tak że już jako masa żarzącego się żelastwa runął na dno rumowiska.

\* \* \*

Załoga zniszczonego transportera wyszła z niego cało — nawet bez poparzeń i Pirx dowiedział się, co prawda dużo później, że strzelali do niego, bo Setaura, ciemnego na ciemnym tle urwiska, w ogóle nie dostrzegli. Niedoświadczony celowniczy nie zwrócił uwagi nawet na to, że sylwetka, którą bierze na muszkę, ma jasną barwę aluminiowego skafandra. Pirx był prawie pewny, że następnego strzału już by nie przeżył.

Uratował go Setaur — ale czy zdawał sobie z tego sprawę? Wiele razy wracał myślą do tych kilku ostatnich sekund i za każdym razem umacniał się w przekonaniu, że tamten znajdował się w miejscu, z którego mógł ocenić, kto jest właściwym celem dalekiego ognia. Czy to miało znaczyć, że chciał go ocalić? Na to nikt nie umiał udzielić odpowiedzi. Intellektonicy uważali wszystko za „zbieg okoliczności” — żaden nie potrafił uzasadnić tego gołosłownego twierdzenia. Z niczym podobnym dotąd się nie spotkano, fachowa literatura nie notowała takich wypadków. Wszyscy uznali, że Pirx działał tak, jak musiał działać — ale to mu nie wystarczyło. Na długie lata został mu w pamięci obraz ułamkowych chwil, kiedy otarł się o śmierć i wyszedł cało po to, by nigdy nie poznać całej prawdy — i gorzka była świadomość, że w sposób tyleż podstępny, co nikczemny zabił, ciosem w plecy, swego zbawcę.

# NIEZWYCIĘŻONY

## CZARNY DESZCZ

„Niezwyciężony”, krążownik drugiej klasy, największa jednostka, jaką dysponowała baza w konstelacji Liry, szedł fotonowym ciągiem przez skrajny kwadrant gwiazdozbioru. Osiedziesięciu trzech ludzi załogi spało w tunelowym hibernatorze centralnego pokładu. Ponieważ rejs był stosunkowo krótki, zamiast pełnej hibernacji zastosowano pogłębiony sen, w którym temperatura ciała nie opada poniżej dziesięciu stopni. W sterowni pracowały tylko automaty. W ich polu widzenia, na krzyżu celowniczym, leżała tarcza słońca, niewiele gorętszego od zwykłego czerwonego karła. Kiedy jej krąg zajął połowę szerokości ekranu, reakcja anihilacyjna została wstrzymana. Przez jakiś czas w całym statku panowała martwa cisza. Bezdźwięcznie działały klimatyzatory i maszyny cyfrowe. Ustała najdelikatniejsza wibracja, towarzysząca emisji świetlnego słupa, który przedtem wypadał z rufy i jak nieskończonej długości szpada, zanurzona w mroku, popychał odrzutem statek. „Niezwyciężony” szedł z tą samą szybkością przyświatlną, bezwładny, głuchy i pozornie pusty.

Potem światełka zaczęły mrugać do siebie z pulpity, oblanych różem dalekiego słońca, które stało w środkowym ekranie. Taśmy ferromagnetyczne ruszyły, programy wpełzały powoli do wnętrza coraz to nowych aparatów, przełączniki krzeszały iskry i prąd wpływał w przewody z buczeniem, którego nikt nie słyszał. Motory elektryczne, przezwyciężając opór od dawna zastępych smarów, ruszały i z basów wchodziły na wysoki jęk. Matowe sztaby kadmu wysuwały się z pomocniczych reaktorów, pompy magnetyczne tłoczyły płynny sód w węzownice chłodzenia, blachami rufowych pokładów poszło drżenie, a zarazem słaby chrobot we wnętrzu ścian, jak gdyby grasowały tam całe stada zwierząt i stukwały pazurkami o metal, zdradził, że ruchome sprawdziany samo naprawcze ruszyły już w wielokilometrową wędrówkę, aby kontrolować każde spojenie dźwigarów, szczelność kadłuba, całość metalowych złączy. Cały statek wypełniał się szmerami, ruchem, budząc się, i tylko jego załoga jeszcze spała.

Aż kolejny automat, pochłonawszy swoją taśmę programową, wysłał sygnały do centrali hibernatora. W powiew zimnego powietrza wmieszał się gaz budzący. Pomiedzy rzędami koi z podłogowych krat dmuchnęło ciepłym wiatrem. Ludzie jednak długo nie chcieli jakby się zbudzić. Niektórzy poruszali bezwładnie rękami; pustkę ich lodowatego snu wypełniały majaczenia i koszmary. Któryś otworzył wreszcie pierwszy oczy. Statek był już na to przygotowany. Od kilku minut dotychczasową ciemność długich korytarzy pokładowych, dźwigowych szybów, kajut, sterowni, stanowisk roboczych, ciśnieniowych komór rozpraszał biały blask sztucznego dnia. I podczas kiedy hibernator wypełniał pomruk ludzkich westchnień i półprzytomnych jęków, statek, jakby w niecierpliwości nie mógł doczekać się ocknięcia załogi, zaczął wstępny manewr hamowania. W centralnym ekranie ukazały się smugi dziobowego ognia. W dotychczasową martwą przyświatlną pęd wtargnął wstrząs, potężna siła, przyłożona u dziobowych wyrzutni, usiłowała zgnieść osiemnaście tysięcy ton masy spoczynkowej „Niezwyciężonego”, pomnożonych teraz przez jego ogromną szybkość. W kajutach kartograficznych upakowane szczelnie mapy zatrzęsły się niespokojnie na rolkach. Tu i ówdzie ruszały się, jakby ożywając, nie dość mocno osadzone przedmioty; zagrzechotało w kambuzach od zderzających się naczyń, zachwiały się oparcia pustych, pianowych foteli, pasy i liny ścienne pokładów zaczęły się kołysać. Stukot, zmieszane dźwięki szkła, blachy, plastyków falą przeszły przez cały pocisk od dziobu po rufę.

Tymczasem z hibernatora dochodził już gwar głosów; ludzie z nicości, w której trwali przez siedem miesięcy, poprzez krótki sen, wracali do jawy.

Statek tracił szybkość. Planeta zakryła gwiazdy, cała w rudej wełnie obłoków. Wypukłe lustro oceanu z odbiciem słońca przesuwano się coraz wolniej. W pole widzenia wszedł bury, upstrzony kraterami kontynent. Ludzie na stanowiskach pokładowych nie widzieli nic. Głęboko pod nimi, w tytanowych trzewiach pędni narastał stłumiony ryk, olbrzymi ciężar ściągał palce z rękojeści. Chmura, która dostała się w promień odrzutu, rozsrebrzyła się wybuchem rtęci, rozpadła się i znikła. Ryk silników wzmógł się na chwilę. Rudawa tarcza rozplaszczala się: tak planeta przekształcała się w łąd. Widać już było przeganiane wiatrem sierpowate wydmy, smugi lawy, rozchodzące się jak szprychy koła od najbliższego krateru, zagrały odbitym pożarem raketowych dysz, silniejszym od słonecznego.

— Cała moc na osi. Statyczny ciąg.

Strzałki leniwie przesuwały się w następny sektor skali. Manewr przeszedł bezbłędnie. Statek jak odwrócony wulkan zionący ogniem wisiał pół mili nad ospowatą płaszczyzną, z utopionymi w piaskach, skalnymi grzędami.

— Cała moc na osi. Zmniejszyć statyczny ciąg.

Widać już było miejsce, w którym buchająca pionowo w dół fala odrzutu bije w grunt. Podniosła się tam ruda burza piasku. Z rufy strzelały fioletowe błyskawice, bezdźwięczne z pozoru, bo grzmoty pochłaniał silniejszy od nich ryk gazów. Różnica potencjałów wyrównała się, błyskawice znikły. Jakaś ścianka działowa rozjęczała się, dowódca wskazał ją ruchem głowy inżynierowi: rezonans. Trzeba usunąć. Ale nikt nie odezwał się, pędnie wyły, statek opadał, teraz już bez jednego drgnienia, jak zawieszona na niewidzialnych linach stalowa góra.

— Pół mocy na osi. Mały statyczny ciąg.

Kolistymi pierścieniami, jak bałwany prawdziwego morza, na wszystkie strony gnały dymiące fale pustynnego piachu. Epicentrum, trafione z niewielkiej odległości krzaczastym płomieniem wylotów, nie dymiło już. Piasek znikł, przeistoczył się w lustro bąblistej czerwieni, w kipiące jezioro stopionej krzemionki, w słup jazgocących eksplozji, aż wyparował. Obnażony, jak kość, stary bazalt planety zaczął mięknąć.

— Stosy na jałowy bieg. Zimny ciąg.

Błękit ognia atomowego zgasł. Z dysz trysnęły skośne promienie borowodorów, i w jednej chwili pustynię, ściany skalnych kraterów i chmury nad nimi zalała upiorna zieleń. Bazaltowe podłoże, na którym miała osiaść szeroka rufa „Niezwyciężonego”, nie zagrażało już stopieniem.

— Stosy zero. Zimnym ciągiem do lądowania.

Wszystkie serca uderzyły żywiej, oczy pochyliły się nad instrumentami, rękojeści spotniały w skurczonych palcach. Sakramentalne słowa oznaczały, że nie będzie już odwrotu, że nogi staną na prawdziwym gruncie, niechby to był i piasek pustynnego globu, ale będzie tam wschód i zachód słońca, horyzont i chmury, i wiatr.

— Lądowanie punktowe w nadirze.

Statek pełen był przeciągłego jęku turbin, tłoczących materiał pędny w dół. Zielony, stożkowato rozchodzący się słup ognia połączył go z dymiącą skałą. Ze wszystkich stron podniosły się chmury piasku, oślepiły peryskop środkowych pokładów, tylko w sterowni na ekranach radarów niezmiennie pojawiały się i gasły wzdłuż promieni wodzących zarysy krajobrazu, tonące w tajfunowym chaosie.

— Stop przy styku.

Ogień kotłował się buntowniczo pod rufą, przytłaczany milimetr po milimetrze osuwającym się nań cielskiem rakiety, zielone piekło strzelało długimi bryźnięciami w głąb dygocących piaskowych chmur. Rozziew między rufą a opalonym bazaltem skały stał się wąską szczeliną, linią zielonego pałania.

— Zero i zero. Wszystkie silniki stop.

Dzwon. Jedno, jedyne uderzenie, jakby olbrzymiego, pękniętego serca. Rakieta stała. Główny inżynier stał z rękami na dwu rękojeściach awaryjnego odrzutu: skała mogła się poddać. Czekali. Strzałki sekundomierzy poruszały się dalej swoim owadziim ruchem. Dowódca patrzył przez chwilę na wskaźnik pionu; jego srebrzyste światełko ani trochę nie odchyliło się na bok od czerwonego Zera. Milczeli. Rozgrzane do wiśniowego żaru dysze zaczynały się kurczyć, wydając szereg charakterystycznych odgłosów, podobnych do chrapliwego postękiwania. Czerwonawa chmura, wzbita na setki metrów, opadała. Wyłonił się z niej tępy wierzchołek „Niezwycięzonego”, jego boki, osmalone tarciami atmosferycznym i podobne przez to barwą do starej skały, chropawy, podwójny pancerz, rudy kurz wciąż jeszcze kłębił się i wirował u rufy, ale sam statek znieruchomiał już na dobre, jakby stał się częścią planety i teraz krążył razem z jej powierzchnią leniwym ruchem, trwającym od wieków, pod fioletowym niebem, w którym widniały najsilniejsze gwiazdy, niksące tylko w bezpośrednim pobliżu czerwonego słońca.

— Normalna procedura?

Astrogator wyprostował się znad książki pokładowej, gdzie, w połowie karty, wpisał umowny znak lądowania, godzinę i dodał obok w rubryce nazwę planety: „Regis III”. Nie, Rohan. Zaczniemy od trzeciego stopnia. Rohan starał się nie okazać zdziwienia.

— Tak jest. Chociaż... — dodał z poufałością, na którą Horpach mu nieraz pozwalał — wolałbym nie być tym, który powie to ludziom.

Astrogator, jakby nie słysząc słów swojego oficera, wziął go za ramię i doprowadził do ekranu jak do okna. Odgarnięty na boki odrzutem lądowania piasek uformował rodzaj płytkiej kotliny, zwieńczonej osypującymi się diunami. Z wysokości osiemnastu pięter patrzyli przez trójbarwną płaszczyznę elektronowych impulsów, tworzącą wierny obraz świata zewnętrznego, na skalną piłę odległego o trzy mile krateru. Od zachodu pochłaniał ją horyzont. Od wschodu gromadziły się pod jej zerwami czarne, nieprzeniknione cienie. Szerokie rzeki lawy, o grzbietach wyniesionych nad piaski, miały barwę starej krwi. Jedna silna gwiazda płonęła na niebie, pod górnym obrzeżem ekranu. Kataklyzm, wywołany zniebazstąpieniem „Niezwycięzonego” minął, i wichler pustyni, gwałtowny prąd powietrza płynącego stale ze stref równikowych ku biegunowi planety, wślaczał już pierwsze piaszczyste języki pod rufę statku, jakby usiłując cierpliwie zabliznić ranę, utworzoną przez wylotowy ogień. Astrogator włączył sieć zewnętrznych mikrofonów i zjadliwe, dalekie wycie wraz z dźwiękiem piachu, szorującego po pancerzach, wypełniło na chwilę wysoką przestrzeń sterowni. Potem wyłączył mikrofony i zapadła cisza.

— Tak to wygląda — powiedział powoli. — Ale „Kondor” nie wrócił stąd, Rohan. — Tamten zacisnął szczęki. Nie mógł spierać się z dowódcą. Przeleciał z nim wiele parseków, ale nie doszło między nimi do przyjaźni. Może różnica wieku była zbyt wielka. Albo przebyte wspólnie niebezpieczeństwa za małe. Bezwzględny był ten człowiek o włosach prawie tak białych jak jego odzienie. Stu bez mała ludzi trwało nieruchomo na stanowiskach po skończonej, wytężonej pracy, która poprzedziła zbliżenie, trzysta godzin hamowania nagromadzonej w każdym atomie „Niezwycięzonego” energii kinetycznej, wejście na orbitę, lądowanie. Stu prawie ludzi, którzy od miesiący nie słyszeli odgłosu, jaki wydaje wiatr, i nauczyli się nienawidzić próżni, jak nienawidzi jej tylko ten, kto ją zna. Ale dowódca o tym na pewno nie myślał. Przeszedł powoli przez sterownię i opierając rękę na oparciu fotela, podniesionym już do nowego poziomu, mruknął:

— Nie wiemy, co to jest, Rohan.

I nagle ostro:

— Na co pan jeszcze czeka?

Rohan podszedł szybko do pulpituów rozrządowych, włączył wewnętrzną instalację i głosem, w którym drgało jeszcze stłumione oburzenie, ciskał:

— Wszystkie poziomy, uwaga! Lądowanie skończone. Procedura naziemna trzeciego stopnia. Poziom ósmy: gotuj energoboty. Poziom dziewiąty: stopy ekranowania na rozruch. Technicy osłony na stanowiska. Reszta załogi: na wyznaczone miejsca robocze. Koniec.

Zdawało mu się, kiedy to mówił, patrząc w mrugające zgodnie z modulacją głosu zielone oko wzmacniacza, że widzi ich spocone twarze, jak zastygają w nagłym zdumieniu i gniewie, uniesione ku głośnikom. Teraz dopiero musieli zrozumieć, dopiero teraz zaczęli kłąć...

— Procedura naziemna trzeciego stopnia w toku, panie astrogatorze — powiedział, nie patrząc na starego człowieka. Ten spojrział na niego i niespodziewanie, kątem ust uśmiechnął się:

— To tylko początek, Rohan. Może będą jeszcze długie spacery o zachodzie, kto wie...

Wyjął z płytkiej szafki ściennej wąski, wysoki tom, otworzył go i kładąc na najeżonym rękojęściach, białym pulpicie, powiedział:

— Czytał pan to?

— Tak.

— Ostatni ich sygnał, zarejestrowany przez siódmy hiperprzekaznik, doszedł do proksymalnej boi na zasięgu Bazy przed rokiem.

— Znam jego treść na pamięć. „Lądowanie na Regis III zakończone. Planeta pustynna typu sub-Delta 92. Schodzimy na ląd drugą procedurą w strefie równikowej kontynentu Ewany”.

— Tak. Ale to nie był ostatni sygnał.

— Wiem, panie astrogatorze. Czterdzieści godzin później hiperprzekaznik zarejestrował serię impulsów, jak gdyby nadawanych morsem, ale nie posiadających żadnego sensu, a potem kilkakrotnie powtarzające się, dziwne odgłosy. Haertel nazwał je „miauczeniem kotów, ciągniętych za ogon”.

— Tak... — powiedział astrogator, ale widoczne było, że nie słucha. Stał znowu przed ekranem. Nad samym skrajem pola widzenia, tuż przy rakiecie, ukazały się nożycowe wysunięte przeszła pochylni, po której sunęły jak na paradyzie równo, jeden za drugim, energoboty, trzydziestotonowe maszyny, powleczone silikonowym pancerzem przeciwpożarowym. W miarę jak spełzały w dół, ich pokrywy rozchyłały się powoli i zarazem szły w górę, dzięki czemu ich prześwit powiększał się; opuszczając pochylnię, głęboko zanurzały się w piachu, ale szły pewnie, orząc wydmy, którą wiatr wznosił już wokół „Niezwycięzonego”. Rozchodziły się na przemian w jedną i w drugą stronę, aż po upływie dziesięciu minut cały perymetr statku otoczony był łańcuchem metalowych żółwi. Znieruchomiawszy, każdy począł zagrzebywać się miarowo w piasku, aż znikł, i tylko połyskliwe plamki, regularnie porozmieszczane na rudych zboczach wydm, wskazywały miejsca, z których wystawały kopułki emitorów Diraca. Powleczona pianoplastykiem, stalowa podłoga sterowni drgnęła pod stopami ludzi. Ciała ich przeszył krótki jak błyskawica, wyraźny, choć ledwie wyczuwalny dreszcz i znikł, tylko przez chwilę jeszcze mrowił mięśnie szczęk, a widziany obraz rozmazał się w oczach. Zjawisko to nie trwało ani pół sekundy. Powróciła cisza, przerywana odległym, płynącym z dolnych kondygnacji mamrotaniem uruchamianych motorów. Pustynia, czarnorude zwały skalne, szeregi leniwie pełzających fal piasku wyostrzyły się w ekranach i wszystko było jak przedtem, ale ponad „Niezwycięzonym” rozwarła się niewidzialna kopuła siłowego pola, zamykając dostęp do statku. Na pochylni pojawiły się, krocząc w dół, metalowe kraby z młynkami anten, poruszających się na przemian w lewo i w prawo. Inforoboty, daleko większe od emitorów pola, miały spłaszczone tułowia i zgięte, rozchodzące się na boki, metalowe szczudła. Grzęznąć w piasku i jakby z obrzydzeniem wydobywając zeń głęboko zapadające się kończyny, członkonogi rozeszły się i zajęły miejsca w przerwach łańcucha energobotów. W miarę jak operacja osłony rozwijała się, na centralnym pulpicie sterowni wyskakiwały z matowego tła światelka kontrolne, a tarcze udarowych zegarów wypełniały się zielonkawym



blaskiem. Jakby dziesiątek wielkich kocich oczu patrzył teraz nieruchomo na obu ludzi. Strzałki leżały wszędzie na zerze, świadcząc, że nic nie próbuje przedostać się przez niewidzialną tamę siłowego pola. Tylko wskaźnik dyspozycji mocy sunął coraz wyżej, mijając czerwone kreski gigawatów.

— Zejdę teraz na dół i zjem coś. Niech pan przeprowadzi stereotyp, Rohan! — powiedział znużonym nagle głosem Horpach, odrywając się od ekranu.

— Czy zdalnie?

— Jeśli panu na tym zależy, może pan wysłać kogoś... albo iść sam.

Z tymi słowy astrogator rozsunął drzwi i wyszedł. Rohan widział jeszcze chwilę jego profil w słabym świetle windy, która bezszelestnie spłynęła w dół. Spojrzał na tablicę zegarów pola. Zero. Właściwie należało rozpocząć od fotogramometrii — pomyślał. Okręzać planetę tak długo, aż będzie się miało kompletny zestaw zdjęć. Może w ten sposób wykryłoby się coś. Bo obserwacje wizualne z orbity niewiele są warte; kontynenty to nie morze, ani majtkami w bocianim gnieździe nie są wszyscy razem obserwatorzy u lunet. Inna rzecz, że komplet zdjęć uzyskałoby się po bez mała miesiącu.

Winda wróciła. Wsiadł do niej i zjechał na szósty poziom. Wielka platforma przed komorą ciśnień pełna była ludzi, którzy właściwie nie mieli tu już nic do roboty, tym bardziej że cztery sygnały, zwiastujące porę głównego posiłku, powtarzały się już chyba od kwadransa. Rozstępowano się przed nim.

— Jordan i Blank. Pójdziecie ze mną na stereotyp.

— Pełne skafandry, panie nawigatorze?

— Nie. Tylko tlenówki. I jeden robot. Najlepiej z arktanów, żeby nam nie ugrzązł w tym cholernym piachu. A wy wszyscy czego tu stoicie? Straciliście apetyt?

— Chciałoby się zejść, panie nawigatorze... na ląd.

— Chociaż na parę chwil...

Podniósł się gwar głosów.

— Spokój, chłopcy. Przyjdzie czas na wycieczki. Na razie mamy trzeci stopień. — Rozchodzili się niechętnie. Tymczasem z towarowego szybu wynurzył się dźwig z robotem, o głowę przewyższającym najrośniejszych ludzi. Jordan i Blank, już z aparatami tlenowymi, wracali elektrycznym wózkiem — widział ich, oparty o poręcz korytarza, który teraz, gdy rakietą stała na rufie, zmienił się w pionową studnię, sięgającą aż do pierwszej grodzi maszynowej. Czuł nad sobą i pod sobą rozłożyste piętra metalu, gdzieś na samym dole pracowały cichobieżne przenośniki, słychać było słabe mlaskanie przewodów hydraulicznych, a z głębi czterdziestometrowego szybu płynął miarowo podmuch zimnego, oczyszczonego powietrza z klimatyzatorów maszynowni.

Dwaj ludzie obsługi komorowej otwarli przed nimi drzwi. Rohan sprawdził odruchowo położenie pasów i docisk maski. Jordan i Blank weszli za nim, po czym blacha zazgrzytała ciężko pod stąpaniami robota. Przerażliwy, przeciągły syk powietrza, wciąganego do wnętrza statku. Otwarła się zewnętrzna kłapa. Pochylnia maszyn znajdowała się o cztery piętra niżej. Aby zjechać na dół, ludzie posługiwali się małym dźwigiem, który wysunięto już przedtem z pancerza. Jego kratownica sięgała szczytu wydmy. Klatka dźwigu była otwarta ze wszech stron. Powietrze było niewiele chłodniejsze aniżeli we wnętrzu „Niezwycięzonego”. Wsiadli we czterech, odhamowane magnesy puściły i miękko zjechali z jedenastopiętrowej wysokości, mijając kolejne sekcje kadłuba. Rohan odruchowo sprawdzał ich wygląd. Niezbyt często udaje się poza dokiem oglądać statek z zewnątrz. Spracowany — pomyślał, widząc smugi wzerek od meteoroidów. Miejscami płyty pancerne utraciły blask, jakby nadgryzione silnym kwasem. Winda skończyła krótki lot, osiadając miękko na fali nawianego piachu. Zeskoczyli i zaraz zapadli się powyżej kolan. Tylko robot, przeznaczony do badań na ośnieżonych przestrzeniach, kroczył śmiesznym, kaczkowatym, lecz pewnym chodem na swych karykaturalnie rozplaszczonych stopach. Rohan kazał mu stanąć, a sam z ludźmi

uważnie obejrzał wszystkie wyloty dysz rufowych, o ile były z zewnątrz dostępne.

— Przyda im się mały szlif i przedmuch — powiedział. Dopiero wylazszy spod rufy, zauważył, jak ogromny cień rzuca statek. Niby szeroka droga ciągnął się przez wydmy, oświetlone mocno już przechylonym słońcem. W regularności piaszczystych fal był osobliwy spokój. Ich dna pełne były błękitnego cienia, szczyty różowiały zmierzchem i ten ciepły, delikatny róż przypominał mu kolory w książce z obrazkami dla dzieci. Taki był nieprawdziwie łagodny. Powoli przenosił wzrok z wydmy na wydmy, odnajdując coraz to inne odcienie brzoskwiniowego pałania, im dalsze, tym bardziej rude, poszatkowane sierpami czarnych cieni, aż tam, gdzie zlewając się w jedną żółtą szarość, okalały groźnie sterzące płyty nagich skał wulkanicznych. Stał tak i patrzył, a jego ludzie, bez pośpiechu, ruchami zautomatyzowanymi przez wieloletni nawyk, robili sakramentalne pomiary, zamykali w małych pojemnikach próbki powietrza i piasku, mierzyli radioaktywność gruntu przenośną sondą, której wiertniczy korpus podtrzymywał arktan. Rohan nie zwracał na ich krzątanie się żadnej uwagi. Maską obejmowała tylko nos i usta, oczy i całą głowę miał wolną, bo zdjął z niej płytki hełm ochronny. Czuł wiatr we włosach, osiadanie delikatnych ziarenek piasku na twarzy, jak łaskocząc, wciskały się między plastikowe obrzeże i policzki. Niespokojne porywy łopotały nogawkami kombinezonu, wielki jak obrzękły dysk słońca, w który można było patrzeć chyba sekundę bezkarnie, tkwił teraz za samym czubkiem rakiety. Wiatr świstał przeciągle, pole siłowe nie powstrzymywało ruchu gazów, dlatego nie mógł w ogóle dostrzec, gdzie wstaje z piasków jego niewidzialna ściana. Olbrzymi obszar, który ogarniał spojrzeniem, był martwy, jakby nigdy nie stanęła na nim ludzka stopa, jakby to nie była planeta, która pochłonęła statek klasy „Niezwycięzonego”, z osiemdziesięcioosobową załogą, olbrzymiego, doświadczonego żeglarza próżni, zdolnego w ułamku sekundy rozwinąć moc miliardów kilowatów, przetworzyć ją w pola energetyczne, których nie przebije żadne ciało materialne, skoncentrować ją w niszczących promieniach o temperaturze gwiazd, które mogą obrócić w perzynę łańcuch górski lub wysuszyć morze. A jednak zginął tu ów stalowy organizm, zbudowany na Ziemi, płód wielowiekowego rozkwitu technologii, i znikł w niewiadomy sposób, bez śladu, bez sygnału SOS, jakby rozpląnął się w tej rudej i szarej pustce. I cały ten kontynent wyglądał tak samo — pomyślał. Pamiętał go dobrze. Widział z wysokości ospę kraterów i jedyny ruch, jaki wśród nich czuwał — nieustanne, powolne przepływanie obłoków, wlokących swe cienie poprzez nieskończone ławice wydym.

— Aktywność? — spytał, nie odwracając się.

— Zero, zero i dwa — odpowiedział Jordan i podniósł się z kolan. Miał zaczerwienioną twarz, oczy mu błyszczały. Maską zniekształcała brzmienie głosu.

To znaczy mniej niż nic — pomyślał. Zresztą tamci nie zginęliby przez tak grubą nieostrożność, automatyczne czujniki podniosłyby alarm, nawet gdyby nikt się nie zatroszczył o stereotyp badań.

— Atmosfera? Azotu siedemdziesiąt osiem procent, argonu dwa procent, dwutlenku węgla zero, metanu cztery procent, reszta to tlen.

— Szesnaście procent tlenu?! Na pewno?

— Na pewno.

— Radioaktywność powietrza?

— Praktycznie zero.

To było dziwne. Tyle tlenu! Ta wiadomość zelektryzowała go. Podszedł do robota, który natychmiast podsunął mu pod oczy kasetę ze wskaźnikami. Może próbowali obejść się bez aparatów tlenowych — pomyślał bezsensownie, bo wiedział, że tak nie mogło być. To prawda, zdarzało się czasem, że któryś człowiek, bardziej od innych dręczony głodem powrotu, wbrew rozkazom zdejmował maskę, bo otaczające powietrze wydawało się przecież tak czyste, tak świeże — i ulegał zatruciu. To jednak mogło zdarzyć się jakiemuś jednemu, dwóm najwyżej.

— Macie już wszystko? — spytał.

— Tak. Wracajcie — powiedział do nich.

— A pan?

— Zostanę jeszcze. Wracajcie — powtórzył niecierpliwie. Chciał być już sam. Blank zarzucił na ramię związane paskiem uchwyty pojemników, Jordan podał robotowi sondę i odeszli, brnąc ciężko; arktan człapał za nimi, tak podobny z tyłu do zamaskowanego człowieka.

Rohan poszedł ku skrajnej wydmie. Z bliska zobaczył wystający z piasku, rozszerzony u końca wylot emitora, który wytwarzał ochronne pole siłowe. Nie tyle, by sprawdzić jego obecność, ale po prostu z dziecinnej chętki zaczerpnął garść piachu i cisnął ją przed siebie. Poleciała smuzką i jakby natknąwszy się na niewidzialne, pochyłe szkło, osypała się pionowo na ziemię.

Aż go ręce świerzbiały, żeby zdjąć maskę. Znał to dobrze. Wypluć plastikowy ustnik, zerwać paski, wypełnić całą pierś powietrzem, zaciągnąć się nim aż do dna płuc...

Rozklejam się — pomyślał, i wolno zawrócił ku statkowi. Klatka dźwigu czekała, pusta, z platformą zagłębioną miękko w wydmie, a wiatr zdążył przez kilka minut jego nieobecności powlec jej blachy cienką warstewką nawianego piasku.

Już w głównym korytarzu piątego poziomu spojrzął na ścienny informator. Dowódca był w kajucie gwiazdowej. Pojechał na górę.

— Jednym słowem, sielanka? — podsumował astrogator jego słowa. — Żadnej radioaktywności, żadnych spór, bakterii, pleśni, wirusów, nic — tylko ten tlen... Próbkę trzeba w każdym razie dać na pożywkę.

— Już są w laboratorium. Być może życie rozwija się tu na innych kontynentach — zauważył Rohan bez przekonania.

— Wątpię. Insolacja poza strefą równikową jest słaba; nie widział pan grubości czapek biegunowych? Ręczę, że jest tam co najmniej osiem, jeśli nie dziesięć kilometrów lodowej pokrywy. Już raczej ocean, jakieś wodorosty, glony — ale dlaczego życie nie wyszło z wody na ląd?

— Trzeba będzie do tej wody zajrzeć — powiedział Rohan.

— Za wcześnie pytać naszych ludzi, ale planeta wygląda mi na starą. Takie zmurszałe jajo musi mieć ze sześć miliardów lat. Zresztą słońce też kawał czasu temu wyszło z okresu świetności. To prawie czerwony karzeł. Tak, ta nieobecność życia na lądzie jest zastanawiająca. Szczególny rodzaj ewolucji, która nie może znieść suszy. No tak. To by wyjaśniało obecność tlenu, ale nie sprawę „Kondora”.

— Jakież formy życia, jakież istoty podwodne, kryjące się w oceanie, które wytworzyły tam cywilizację na dnie — podsunął myśl Rohan. Obaj patrzyli na wielką mapę planety w projekcji Merkatora, niedokładną, bo rysowaną w oparciu o dane automatycznych sond z zeszłego wieku. Ukazywała jedynie zarysy głównych kontynentów i mórz, linie zasięgu czap polarnych i kilka największych kraterów. W siatce przecinających się południków i równoleżników widniał obwiedziony czerwonym kółkiem punkt, pod ósmym stopniem północnej szerokości — miejsce, w którym wylądowali. Astrogator przesunął niecierpliwie papier na stole mapowym.

— Sam pan w to nie wierzy — zachnął się. — Tressor nie mógł być głupszy od nas, nie dałby się żadnym podwodnym, bzdura. A zresztą gdyby nawet istniały rozumne istoty wodne, jedną z pierwszych rzeczy, jaką by zrobiły, stanowiłoby opanowanie lądu. Ot, powiedzmy, choćby w skafandrach, wypełnionych wodą... Zupełna bzdura — powtórzył, nie aby unicestwić do reszty koncept Rohana, ale ponieważ myślał już o czymś innym.

— Postoimy tu jakiś czas — zakonkludował wreszcie i dotknął dolnego brzegu mapy, która z lekkim furknięciem zwinęła się i znikła w jednym z poziomych regałów wielkiego mapnika. — Poczekamy i zobaczymy.

— A jeśli nie? — spytał Rohan ostrożnie. — Poszukamy ich...?

— Rohan, bądźże pan rozsądny. Szósty gwiazdowy rok, i takie — astrogator szukał właściwego określenia, nie znalazł go i zastąpił je lekceważącym ruchem ręki. — Planeta jest wielkości Marsa. Jak mamy ich szukać? To znaczy „Kondora” — poprawił się.

— No tak, grunt jest żelazisty... — niechętnie przyznał Rohan. W samej rzeczy analizy wykazały sporą domieszkę tlenków żelazowych w piasku. Wskaźniki ferromagnetyczne były więc na nic. Nie wiedząc, co powiedzieć, zamilkł. Przekonany był, że dowódca znajdzie w końcu jakieś wyjście. Nie wróćą przecież z pustymi rękami, bez żadnych rezultatów. Czekał, patrząc na wysunięte spod czoła, krzaczaste brwi Horpacha.

— Prawdę mówiąc, nie wierzę, żeby to czekanie przez czterdzieści osiem godzin cokolwiek nam dało, ale regulamin tego wymaga — tonem niespodziewanego zwierzchnika odezwał się astrogator. — Niech pan siada, Rohan. Stoi pan nade mną jak wyrzut sumienia. Regis jest najidiotyczniejszym miejscem, jakie sobie można wyobrazić. Szczyt bezpotrzeby. Nie wiadomo, po co wysłano tu „Kondora” — zresztą mniejsza o to, skoro stało się.

Urwał. Był w złym humorze i jak zwykle stawał się wtedy wymowny i wciągał łatwo w dyskusję, nawet poufałą, co było zawsze trochę niebezpieczne, bo w każdej chwili mógł uciąć rozmowę jakąś złośliwością.

— Jednym słowem, tak czy owak musimy coś zrobić. Wie pan co? Niech mi pan wprowadzi parę małych fotoobserwatorów na orbitę równikową. Ale żeby była uczciwie kołowa i ciasna. Tak ze siedemdziesiąt kilometrów.

— To jeszcze w obrębie jonosfery — zaprotestował Rohan. — Spalą się po kilkudziesięciu okrążeniach...

— Niech się spalą. Ale przedtem sfotografują, co się da. Radziłbym panu zaryzykować nawet sześćdziesiąt kilometrów. Spłoną może już w dziesiątym okrążeniu, ale tylko zdjęcia robione z takiej wysokości mogą coś dać. Wie pan, jak wygląda rakietka, widziana ze stu kilometrów, nawet i przez najlepszy teleobiektyw? Główna szpilka jest przy niej całym górskim masywem. Niech pan to zaraz... Rohan!!

Na ten krzyk nawigator odwrócił się już od drzwi. Dowódca rzucił na stół protokół z wynikami analiz.

— Co to jest?! Co to znowu za idiotyzm? Kto to pisał?

— Automat. O co chodzi? — spytał Rohan, starając się zachować spokój, bo i w nim już podrywał się gniew. Będzie mi tu teraz zrzędził! — pomyślał, zbliżając się umyślnie powoli.

— Niech pan czyta. Tu. O, tu.

— Metanu cztery procent — przeczytał Rohan. I sam nagle osłupiał.

— Metanu cztery procent, co? A tlenu szesnaście? Więc, co to jest? Mieszanka piorunująca! Może mi pan wytłumaczy, dlaczego cała atmosfera nie wybuchła, kiedyśmy siadali na borowodorach?

— Rzeczywiście... nie rozumiem — wybełkotał Rohan. Podbiegł szybko do pulpitu kontroli zewnętrznej, wpuścił przez czujniki ssawy trochę zewnętrznej atmosfery i podczas kiedy astrogator przechadzał się w złowieszczym milczeniu po sterowni, patrzył, jak analizatory gorliwie postukują szklanymi naczyniami.

— No i co?!

— To samo. Metanu cztery procent... tlenu szesnaście — powiedział Rohan. Wprawdzie zupełnie nie rozumiał, jak to jest możliwe, ale odczuł jednak zadowolenie: przynajmniej Horpach nie będzie mógł teraz nic mu zarzucić.

— Pokaż no pan! Hm. Metanu cztery, no, niech mię diabli... dobrze. Rohan, sondy na orbitę, a potem proszę przyjść do małego labu. Ostatecznie, od czego mamy uczonych! Niech sobie głowy łamią.

Rohan zjechał na dół, wziął dwu techników raketowych i powtórzył im polecenie astrogatora. Wrócił potem na drugi poziom. Mieściły się tu laboratoria i kajuty fachowców.

Po kolei mijał wąskie, wprasowane w metal drzwi, z tabliczkami dwuliterowymi: „GI”, „GF”, „GT”, „GB” i cały rząd innych. Drzwi małego laboratorium były szeroko otwarte; przez monotonne głosy uczonych od czasu do czasu przebijał się głos astrologa. Rohan stanął u progu. Byli tu wszyscy „Główni” — główny inżynier, biolog, fizyk, lekarz, i wszyscy technologowie z maszynowni. Astrolog siedział, milcząc teraz, w skrajnym fotelu pod elektronowym programistą podręcznej maszyny cyfrowej, a oliwkowy Moderon ze splecionymi rękami, małymi jak u dziewczynki, mówił:

— Nie jestem specjalistą od chemii gazów. W każdym razie to nie jest prawdopodobnie zwykły metan. Energia wiązań jest inna; różnica w setnym miejscu tylko, ale jest. Reaguje z tlenem dopiero w obecności katalizatorów, a i to niechętnie.

— Jakiego pochodzenia jest ten metan? — spytał Horpach. Kręcił młynka palcami.

— Węgiel jest w nim w każdym razie pochodzenia organicznego. Niewiele tego, ale nie ma wątpliwości...

— Są izotopy? Jaki wiek? Jaki stary jest ten metan?

— Od dwóch do piętnastu milionów lat.

— Co za przedział!

— Mieliliśmy pół godziny czasu. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

— Doktorze Quastler! Skąd bierze się ten metan?

— Nie wiem.

Horpach popatrzał po kolei na swoich specjalistów. Można było sądzić, że wybuchnie, ale nagle się uśmiechnął.

— Panowie, jesteście przecież ludźmi doświadczeniymi. Latamy razem nie od wczoraj. Proszę o wasze zdanie. Co mamy teraz zrobić? Od czego zacząć?

Ponieważ nikt nie kwapił się z zabranieniem głosu, biolog Joppe, jeden z nielicznych, którzy nie lękali się gniewliwości Horpacha, powiedział, patrząc spokojnie w oczy dowódcy:

— To nie jest zwykła planeta klasy sub-Delta 92. Gdyby była taką, „Kondor” nie zaginęłby. Ponieważ miał na pokładzie fachowców, ani gorszych, ani lepszych od nas, jedyną rzeczą, jaką wiemy na pewno, jest to, że ich wiedza okazała się niewystarczająca, aby zapobiec katastrofie. Z tego wniosek, że musimy utrzymać trzeci stopień procedury i zbadać ład i ocean. Myślę, że trzeba rozpocząć wiercenia geologiczne, a równocześnie zająć się tutejszą wodą. Wszystko inne byłoby hipotezami; nie możemy sobie w tej sytuacji pozwolić na taki luksus.

— Dobrze. — Horpach zacisnął szczęki. — Wiercenia w perymetrze pola siłowego nie są problemem. Zajmie się tym doktor Nowik.

Główny geolog skinął głową.

— Co do oceanu... jak daleko jest linia brzegowa, Rohan?

— Około dwustu kilometrów — powiedział nawigator, wcale nie zdziwiony rym, że dowódca wie o jego obecności, chociaż go nie widzi: Rohan stał kilka kroków za jego plecami, u drzwi.

— Trochę daleko. Ale nie będziemy już ruszać „Niewyciężonego”. Weźmie pan tylu ludzi, ilu uzna pan za wskazane, Rohan, Fitzpatrika, czy jeszcze jakiegoś oceanologa, i sześć energobotów rezerwy. Pojedzie pan z tym na brzeg. Działać będziecie tylko pod siłową osłoną; żadnych wycieczek po morzu, żadnych nurkowań. Automatami też proszę nie szafować — nie mamy ich zbyt wiele. Jasne? Więc może pan zacząć. Aha, jeszcze jedno. Czy tutejsza atmosfera nadaje się do oddychania?

Lekarze poszeptali między sobą.

— W zasadzie tak — powiedział wreszcie Stormont, ale jak gdyby bez większego przekonania.

— Co to znaczy „w zasadzie”? Można czy nie można oddychać?

— Taka ilość metanu nie jest obojętna. Po pewnym czasie nastąpi wysycenie krwi i może

to dać pewne lekkie objawy mózgowie. Oszołomienia... ale dopiero po godzinie, może po kilku godzinach.

— A czy nie wystarczy jakiś pochłaniacz metanu?

— Nie, astrogatorze. To znaczy nie opłaci się produkować pochłaniaczy, bo trzeba by je często zmieniać, a poza tym procent tlenu jest jednak dosyć niski. Osobiście jestem za aparatami tlenowymi.

— Mhm. Inni panowie też?

Witte i Eldjarn skinęli głowami. Horpach wstał.

— A zatem rozpoczynamy. Rohan! Co z sondami?

— Zaraz będziemy je wyrzucać. Czy mogę jeszcze skontrolować orbity, zanim wyruszę?

— Może pan.

Rohan wyszedł, pozostawiając za sobą gwar laboratorium. Kiedy wszedł do sterowni, słońce właśnie zachodziło. Tak ciemny, że fioletową prawie purpurą nabiegły rąbek jego tarczy wycinał na horyzoncie z nadnaturalną wyrazistością zębaty kontur krateru. Niebo, gęste w tej okolicy Galaktyki od gwiazd, zdawało się teraz jakby wyolbrzymione. Coraz niżej rozbłyskiwały wielkie konstelacje, pochłaniając niknącą w mrokach pustynię. Rohan połączył się z dziobową wyrzutnią satelitarną. Właśnie zarządzono wystrzelenie pierwszej pary fotosatelitów. Następne miały pójść w górę po godzinie. Nazajutrz dzienne i nocne fotografie obu półkul planety winny były dać obraz całego pasa równikowego.

— Minuta trzydzieści jeden... azymut siedem. Naprowadzam... — powtarzał w głośniku śpiewny głos. Rohan ściszył go pokrętem i odwrócił fotel ku tablicy kontrolnej. Nie przyznałby się do tego nikomu, ale bawiła go zawsze gra świateł przy wystrzeleniu sondy na około planetarną orbitę. Najpierw zapłonęły rubinowo, biało i niebiesko kontrolki boostera. Potem zamamrotał automat startowy. Gdy jego tykot urwał się nagle, słabe drgnienie przeszło cały kadłub krążownika. Zarazem pustynia w ekranach pojaśniała od fosforycznego blasku. Z cienkim, napiętym do ostateczności grzmotem, oblewając macierzysty statek potokiem płomieni, miniaturowy pocisk wystrzelił z dziobowej wyrzutni. Blask oddalającego się boostera łopotał po zboczach wydm coraz słabiej, aż zgasł. Teraz już słyhać nie było rakiety, za to ferwor świetlnej gorączki ogarnął całą tablicę. Z hektycznym pośpiechem wyskakiwały z mroku podłużne światełka kontroli balistycznej, potakiwały im upewnijające perłowe lampki zdalnego sterowania, potem ukazały się, Ina kształt kolorowej choinki, sygnały o kolejnym odrzucaniu wypalonych łusek, i wreszcie nad całym tym tę czującym mrowiskiem zapłonął biały, czysty czworokąt, znak, że satelita został wprowadzony na orbitę. Pośrodku jego błyszczącej śnieżnie powierzchni zamajaczyła wysepka szarości i drgając, ułożyła się w liczbę 67. To była wysokość płotu. Rohan sprawdził jeszcze elementy orbity: ale i perygeum, i apogeum mieściły się w zadanych granicach. Nie miał tu już nic do roboty. Spojrzał na zegar pokładowy, który wskazywał osiemnastą, potem na, właściwy teraz, zegar czasu lokalnego — godzina jedenasta w nocy. Zamknął na chwilę oczy. Był rad temu wypadowi nad ocean. Lubił działać sam. Czuł senność i głód. Rozważał chwilę, czy nie przydałaby się pastylka trzeźwiąca. Ale uznał, że wystarczy sama kolacja. Wstając, poczuł, jaki jest zmęczony, zdziwił się i to zdziwienie już go trochę otrzeźwiło. Zjechał na dół, do mesy. Byli tam już jego nowi ludzie — dwaj kierowcy poduszkowych transporterów, między nimi Jarg, którego lubił za nieustający dobry humor, był tam i Fitzpatric z dwoma kolegami, Brozą i Koechlinem, kończyli kolację, kiedy Rohan dopiero zamawiał gorącą zupę, wyjmował z podajnika ściennego chleb i flaszki bezalkoholowego piwa. Szedł z tym wszystkim na tacy do stołu, kiedy podłoga leciutko drgnęła. „Niezwycięzony” wystrzelił następnego satelitę.

Dowódca nie pozwolił jechać w nocy. Wyruszyli o piątej czasie miejscowego, przed wschodem słońca. Ze względu na koniecznością podyktowany porządek marszu, jak również

jego kłopotliwą powolność taki szyk nazywano konduktem. Otwierały go i zamykały energoboty, które elipsoidalnym polem siłowym osłaniały wszystkie wewnętrzne maszyny — uniwersalne poduszki, łaziki z radiostacjami i radarem, kuchnię, transporter z samo ustawiającym się hermetycznym barakiem mieszkalnym i mały laser bezpośredniego rażenia na gaśnicach, zwany pospolicie szydłem. Rohan umieścił się wraz z trzema uczonymi w przednim energobocie, co było wprawdzie niewygodne, bo ledwo siedzieli obok siebie, ale przynajmniej miało się złudzenie jako tako normalnej podróży. Szybkość przychodziło dostosować do najwolniejszych maszyn konduktu, właśnie energobotów. Jazda nie była wyszukaną przyjemnością. Gaśnice warczały i rżały w piasku, turbinowe silniki wyły jak komary wielkości słoni, tuż za siedzącymi wrywało się z kratowych osłon powietrze chłodzenia, a cały energobot chodził jak ciężka szalupa na falach. Rychło czarna igła „Niezwycięzonego” skryła się za horyzontem. Jakiś czas szli w poziomych promieniach zimnego i czerwonego jak krew słońca przez monotonną pustynię, powoli piasku stawało się coraz mniej, wystawały zeń ukośne płyty skalne, które przychodziło wymijać. Maski tlenowe w połączeniu z wyciem silników nie zachęcały do rozmowy. Obserwowali pilnie horyzont, ale widok był wciąż jednaki — nagromadzenia skał, wielkie zwietrzałe głązy, w pewnym miejscu równina zaczęła schodzić stokiem w dół i na dnie bardzo łagodnej kotliny ukazał się cienki, na pół wyschnięty strumień o wodzie łyskającej odbiciem czerwonego świtu. Otoczki ciągnące się ławicami po obu brzegach strumienia wskazywały, że niekiedy niesie on znaczne ilości wód. Zatrzymali się na krótko, aby zbadać wodę. Była zupełnie czysta, dość twarda, z domieszką tlenków żelaza i nikłym śladem siarczków. Ruszyli dalej, teraz już z nieco większą szybkością, bo gaśnice pełzły płynnie po kamienistym podłożu. Od zachodu wznosiły się niewielkie urwiska. Ostatnia maszyna utrzymywała stałą łączność z „Niezwycięzonym”, anteny radarów kręciły się, radarzyści, poprawiając na głowach słuchawki, ślęczeli u swoich ekranów, pogryzając kromki koncentratu, czasem spod któregoś poduszki wylatywał z impetem kamień, jak wydmuchnięty małą trąbą powietrzną, i skakał, jakby ożywając nagle, w górę zwirowiska. Potem drogę przegrodziły łagodne wzgórza, łyse i nagie. Nie stopując, wzięli nieco próbek i Fitzpatrik krzyknął Rohanowi, że krzemionka jest organicznego pochodzenia. Nareszcie, kiedy czarnosiną linią ukazało się przed nimi lustro wód, znaleźli i wapienie. Zjeżdżali ku brzegowi, grzechocząc po małych, płaskich kamykach. Gorący oddech maszyny, wizg gaśnic, wycie turbin — wszystko to raptem ucichło, kiedy ocean, z bliska zielonkawy i najzupełniej z pozoru ziemski, znalazł się o sto metrów. Przyszło teraz do skomplikowanego manewrowania, bo aby osłonić grupę roboczą polem, należało wprowadzić czołowy energobot do wody na głębokość dość znaczną. Pierwej uszczelniano maszynę i sterowana z drugiego energobotu weszła w fale, burząc je i pieniając, aż stała się ledwo widocznym, ciemniejszym miejscem w głębi wody; wtedy dopiero na sygnał wysłany z centralnego posterunku zatopiony kolos wysunął nad powierzchnię emitor Diraca i gdy pole ustaliło się, pokrywając swą niewidzialną półkulą część brzegu i przybrzeżnych wód, rozpoczęli właściwe badania.

Ocean był nieco mniej słony niż ziemskie; analizy nie przyniosły jednak żadnych rewelacyjnych wyników. Po dwu godzinach wiedzieli mniej więcej tyle co na początku. Wysłali więc na pełne morze dwie zdalnie sterowane sondy telewizyjne i z centralnego posterunku śledzili na ekranach ich drogę. Ale dopiero gdy oddaliły się poza horyzont, sygnały przyniosły pierwszą istotną wiadomość. W oceanie żyły jakieś organizmy, kształtem podobne do kostnoszkieletowych ryb. Na widok sondy jednak pierzchały z olbrzymią szybkością, szukając ratunku w głębinie. Echoloty ustaliły głębokość oceanu w owym miejscu pierwszego spotkania żywych istot na półtora metra.

Broza uparł się, że musi mieć przynajmniej jedną taką rybę. Polowali więc, sondy ścigały uwijające się w zielonym mroku cienie, strzelając elektrycznymi wyładowaniami, ale te rzekome ryby przejawiały nieporównaną zwinność manewrów. Dopiero po którymś z rzędu

strzale udało się porazić jedną. Sondę, która ją chwyciła w swoje kleszcze, natychmiast skierowali do brzegu, a Koechlin i Fitzpatrik tymczasem manipulowali drugą, zbierając próbki unoszących się w głębi fal włókienek, które wydały im się jakimś miejscowym rodzajem glonów czy wodorostów. Posłali ją wreszcie na samo dno, na głębokość ćwierć kilometra. Silny prąd przydeny utrudniał poważnie sterowanie sondą, którą wciąż znosiło na wielkie skupiska podwodnych głazów. W końcu jednak dało się kilka z nich obalić i jak przypuszczał słusznie Koechlin, pod ową przykrywą mieściła się cała kolonia giętkich, pędzłowatych stworzonek.

Kiedy obie sondy wróciły w obręb pola i biologowie wzięli się do roboty, w rozstawionym tymczasem baraku, gdzie można już było zdjąć uprzykrzone maski, Rohan, Jarg i pięciu pozostałych ludzi zjadło pierwszy ciepły posiłek tego dnia.

Czas do wieczora upłynął im na zbieraniu próbek minerałów, badaniu przydennej radioaktywności, pomiarach insolacji i stu podobnie żmudnych zajęciach, które trzeba było jednak wykonać sumiennie, pedantycznie nawet, jeśli miały dać uczciwe rezultaty. O zmierzchu wszystko, co było możliwe, zostało dokonane i Rohan mógł ze spokojnym sumieniem podejść do mikrofonu, kiedy wywołał go Horpach z „Niezwycięzonego”. Ocean pełen był żywych form, które jednak unikały, co do jednej, strefy przybrzeżnej. Organizm sekcjonowanej ryby nie wykazał niczego szczególnego. Ewolucja, według szacunkowych danych, trwała na planecie od wielu set milionów lat. Wykryto znaczną ilość zielonych glonów, co wyjaśniało obecność tlenu w atmosferze. Podział państwa żywych ustrojów na roślinne i zwierzęce był typowy; typowe również struktury kostne kręgowców. Jedynym organem, wykształconym u złowionej ryby, którego odpowiednika ziemskiego nie znali biologowie, był szczególny zmysł, wrażliwy na bardzo nikłe zmiany natężenia pola magnetycznego. Horpach nakazał całej ekipie powrót w najszybszym czasie i kończąc już rozmowę, powiedział, że są nowiny: prawdopodobnie udało się ustalić miejsce lądowania zaginionego „Kondora”.

Tak więc, chociaż biologowie protestowali, twierdząc, że i kilku tygodni dalszych badań byłoby im mało, zwinięto barak, uruchomiono motory i kolumna ruszyła na północny zachód. Rohan nie mógł przekazać towarzyszom żadnych szczegółów o „Kondorze”, bo sam ich nie znał. Chciał być jak najszybciej na statku, bo przypuszczał, że dowódca przydzieli następne, może bardziej obfitujące w jakieś odkrycia zadanie. Oczywiście teraz przede wszystkim należało zbadać miejsce rzekomego lądowania „Kondora”. Rohan wyciskał więc z maszyn całą moc, i wracali w jeszcze bardziej piekielnym jazgocie młócających kamienie gąsienic. Po nastaniu ciemności zapaliły się wielkie reflektory maszyn; był to widok niezwykle i nawet groźny — co chwila ruchome słupy światła wyrwały z mroków niekształtne, pozornie ruszające się sylwety olbrzymów, które okazywały się tylko skałami świadkami, ostatnią pozostałością po zwietrzałym łańcuchu górskim. Kilka razy przyszło się zatrzymać u głębokich szczelin, ziejących w bazalcie. W końcu jednak, dobrze po północy, ujrzeli oświetlony ze wszech stron, niby na paradzie, lśniący z dala jak metalowa wieża korpus „Niezwycięzonego”. W całym perymetrze siłowego pola poruszały się na wszystkie strony sznury maszyn; wyładowywano zapasy, paliwo, grupy ludzi stały pod pochylnią w oślepiającym świetle jupiterów. Już z oddali doszły powracających odgłosy tej mrówczej krzątania. Nad chodzącymi słupami światła wznosił się milczący, oblizywany płamami blasku kadłub krążownika. Błękitne ognie i zapaliły się na znak, któredy otwarta zostanie droga przez siłową osłonę, i pokryte grubą warstwą mialkiego kurzu pojazdy jeden po drugim wjechały do środka kolistej przestrzeni. Rohan nie zdążył jeszcze zeskoczyć na ziemię, a już wołał do jednego ze stojących najbliżej, w którym rozpoznał Blanka, pytając, co z „Kondorem”.

Ale bosman nie wiedział nic o rzekomym odkryciu. Rohan usłyszał od niego niewiele. Przed spłonieniem w gęstszych warstwach atmosfery cztery satelity dostarczyły jedenastu



tysięcy zdjęć, odebranych drogą radiową i nanoszonych, w miarę ich napływania, na specjalnie trawione płyty w kajucie kartograficznej. Aby nie tracić czasu, Rohan wezwał technika kartografów, Eretta, do siebie, i biorąc tusz, wypytywał go równocześnie o wszystko, co zaszło na statku. Erett był jednym z szukających na uzyskanym pasie fotograficznym „Kondora”. Tego ziarenka stali w oceanach piasku szukało około trzydziestu ludzi równocześnie, oprócz planetologów zmobilizowano w tym celu kartografów, operatorów radarowych i wszystkich pokładowych pilotów. Okrągłą dobę przeglądali, na zmianę, nadchodzący materiał fotograficzny, notując koordynaty każdego podejrzanego punktu planety. Ale wieść, jaką przekazał Rohanowi dowódca, okazała się pomyłką. Za statek wzięto wyjątkowej wysokości maczugę skalną, bo rzucała cień zadziwiająco podobny do regularnego cienia rakiety. Tak zatem dalej nic nie było wiadomo o losach „Kondora”. Rohan chciał się zameldować u dowódcy, lecz ten już udał się na spoczynek. Poszedł więc do siebie. Mimo zmęczenia długo nie mógł zasnąć. Kiedy zaś wstał rano, astrogator polecił mu przez Ballmina, kierownika planetologów, przekazać cały zebrany materiał do głównego laboratorium. O dziesiątej rano Rohan poczuł taki głód — nie jadł jeszcze śniadania — że zjechał na drugi poziom do małej mesy operatorów radaru i tu, gdy dopijał na stojąco kawę, dopadł go Erett.

— Co, macie ją?! — rzucił na widok podnieconej twarzy kartografa.

— Nie. Ale znaleźliśmy coś większego. Niech pan idzie zaraz — astrogator wzywa pana...

Rohanowi zdawało się, że oszklony cylinder dźwigu pełnie z niewiarygodną powolnością. W przyciemnionej kajucie panowała cisza, słychać było szmer elektrycznych przekładników, a z podajnika aparatury wypływały coraz to nowe, lśniąco wilgocią zdjęcia, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Dwaj technicy wysunęli ze ściennej kłapy rodzaj epidiaskopu i zgasili resztę świateł w momencie, gdy Rohan otworzył drzwi. Dostrzegł bielejącą wśród innych głowę astrogatora. W następnej chwili ekran, opuszczony z sufitu, rozszerzył się. W ciszy skupionych oddechów Rohan podszedł, ile mógł, do wielkiej jasnej płaszczyzny. Zdjęcie było nie najlepsze, w dodatku tylko czarno-białe, w okolicy drobnych, bezładnie rozrzuconych kraterów odznaczał się nagi płaskowyż, z jednej strony urywający się linią tak prostą, jakby ściał tam skały jakiś olbrzymi nóż; była to linia brzegowa, bo resztę zdjęcia wypełniała jednolita czerń oceanu. W pewnej odległości od owego obrywu rozpościerała się mozaika niezbyt wyraźnych form, w dwóch miejscach przesłonięta smugami obłoków i ich cieniami. Ale i tak nie ulegało wątpliwości, że osobliwa, zamglona w szczegółach formacja nie jest tworem geologicznym.

Miasto... — pomyślał z podnieceniem Rohan, ale nie powiedział tego głośno. Wszyscy nadal zachowywali milczenie. Technik przy epidiaskopie usiłował daremnie wyostrzyć obraz.

— Czy były zakłócenia odbioru? — padł w ogólną ciszę i spokojny głos astrogatora.

— Nie — odpowiedział z ciemności Ballmin. — Odbiór był czysty, ale to jest jedno z ostatnich zdjęć trzeciego satelity. Osiem minut po jego wysłaniu przestał odpowiadać na sygnały. Przymuszczalnie zdjęcie zostało zrobione przez obiektywy już uszkodzone podwyższającą się temperaturą.

— Ascenzja kamery nad epicentrum nie była większa niż siedemdziesiąt kilometrów — dorzucił inny głos, należący, i jak wydało się Rohanowi, do jednego z najzdolniejszych planetologów, Maltego. — A prawdę mówiąc, ocenilibym ją na pięćdziesiąt pięć do sześćdziesięciu kilometrów... Proszę spojrzeć. — Jego sylwetka przesłoniła częściowo ekran. Przyłożył do obrazu przejrzysty plastikowy szablon, z wyciętymi w nim kółkami, i przymierzał go kolejno do kilkunastu kraterów w drugiej połowie zdjęcia.

— Są wyraźnie większe niż na zdjęciach poprzednich. Zresztą — dodał — to nie ma większego znaczenia. Tak czy owak...

Nie dokończył, a wszyscy zrozumieli, co chciał powiedzieć: że niebawem skontrolują ścisłość fotografii, gdyż zbadają tę okolicę planety. Jakaś chwilę wpatrywali się jeszcze w

obraz na ekranie. Rohan nie był już tak pewny, że ukazuje miasto czy raczej jego ruiny. O tym, że geometrycznie prawidłowy twór od dawna jest już opuszczony, świadczyły cienkie jak kreski, faliste cienie wydm, które ze wszech stron opływały skomplikowane kształty, niektóre zaś z nich tonęły niemal w piaszczystym zalewie pustyni. Nadto geometryczną konstelację tych ruin rozdzielała na dwie nierówne części rozszerzająca się w miarę postępowania w głąb lądu czarna, zygzakowata linia — pęknięcie sejsmiczne, które na dwoje rozszczepiło niektóre z wielkich „budowli”. Jedna, najwyraźniej obalona, utworzyła jak gdyby most, zaczepiony końcem o przeciwległy brzeg rozpadliny.

— Proszę światło — rozległ się głos astrogatora. Kiedy rozbłysło, spojrzął na tarczę ściennego zegara.

— Za dwie godziny startujemy.

Rozległy się zmieszane głosy; najenergiczniej protestowali ludzie głównego biologa, którzy zeszli już, w trakcie próbnych wierceń, świdrami na dwieście metrów w głąb gruntu. Horpach dał ręką znak, że żadnej dyskusji nie będzie.

— Wszystkie maszyny wracają na pokład. Uzyskane materiały proszę zabezpieczyć. Przegląd zdjęć i pozostałe analizy mają iść swoim trybem. Gdzie jest Rohan? A, pan tutaj? Dobrze. Słyszał pan, co powiedziałem? Za dwie godziny wszyscy ludzie mają być na stanowiskach startowych.

Operacja okrętowania wyładowanych maszyn szła w pośpiechu, ale systematycznie. Rohan był głuchy na błagania Ballmina, który prosił o piętnaście minut dalszego wiercenia.

— Słyszał pan, co powiedział dowódca — powtarzał na lewo i na prawo, popędzając montażystów, którzy podjeżdżali do wykopanych rowów wielkimi dźwigami. Po kolei aparatury wiertnicze, prowizoryczne pomosty kratowe, zbiorniki z paliwem wędrowały do luk towarowych; gdy już tylko rozryty grunt świadczył o wykonanych pracach, Rohan z Westergardem, zastępcą głównego inżyniera, obszedł jeszcze na wszelki wypadek miejsca porzuconych robót. Potem ludzie zniknęli wewnątrz statku. Wtedy dopiero ruszyły się piaski na dalekim perymetrze, wezwane drogą radiową wracały szeregiem energoboty, kryjąc się we wnętrzu statku, który wciągnął do środka, pod płyty pancerne, i pochylnię i pionowy szyb dźwigu osobowego, przez mgnienie trwał w nieruchomości, potem jednostajne wycie wichru przygłuszył metaliczny gwizd sprężonego powietrza, przedmuchującego dysze. Kłęby kurzawy otoczyły rufę, zapełgał w nich zielony brzask, mieszając się z czerwonym światłem słońca, i w galopadzie nie milknących gromów, które wstrząsały pustynią i wielokrotnym echem wracały od skalnych ścian, statek powoli uniósł się w powietrze, aby, pozostawiając za sobą wypalony krąg skały, zeszlone wydmy i strzępy kondensacji, zniknąć z rosnącą szybkością w fioletowym niebie. Długo potem, kiedy ostatni ślad jego drogi, wyznaczonej białawą linią pary, rozpląnął się w atmosferze, ruchome piaski pokrywać jeły nagą skałą i wypełniać opustoszałe wykopaliska, od zachodu pojawiła się ciemna chmura. Sunąc nisko, rozwinęła się, wysuniętym, kłębiącym ramieniem otoczyła miejsce lądowania i zawisła nieruchomo. Trwała tak jakiś czas. Kiedy słońce na dobre przechyliło się ku zachodowi, na pustynię zaczął z niej padać czarny deszcz.

## WŚRÓD RUIN

„Niezwycięzony” osiadł na starannie wybranym miejscu, 1 bez mała sześć kilometrów na północ od zewnętrznej granicy tak zwanego „miasta”. Było je wcale nieźle widać ze sterowni. Wrażenie, że są to konstrukcje wzniesione sztucznie, było nawet większe niż przy oglądaniu zdjęć satelitarnego fotoobserwatora. Kanciaste, przeważnie szersze u podstawy niż u szczytu, niejednakowej wysokości, ciągnęły się na przestrzeni wielu kilometrów, czarniawe, miejscami lśniące metalicznie, ale nawet najsilniejsza luneta nie pozwalała rozróżnić szczegółów; wydawało się, że większość owych budowli jest dziurawa jak rzeszota.

Tym razem metaliczne podźwiękiwanie stygnących dysz jeszcze nie ustało, kiedy statek wysunął ze swego wnętrza pochylnię i rusztowanie dźwigu, otoczył się kręgiem energobotów, ale na tym nie poprzestał. W jednym miejscu, leżącym na wprost „miasta” (stojąc na poziomie gruntu, nie można było go dostrzec spoza niskich wzgórz), skoncentrowała się wewnątrz osłony energetycznej grupa pięciu pojazdów terenowych, do której dołączył dwa razy przeszło większy od nich, podobny do apokaliptycznego żuka o sinawych pokrywach, ruchomy miotacz antimaterii.

Dowódcą grupy operacyjnej był Rohan. Stał wyprostowany w pierwszym z pojazdów terenowych, w jego otwartej wieżyczce, czekając, kiedy na rozkaz wydany z pokładu „Niezwycięzonego” otwarte zostanie przejście przez pole siłowe. Dwa inforoboty na dwu najbliższych wzgórzach wystrzeliły szereg niegasnących, zielonych flar, znakując drogę, i uformowana w podwójnym szyku mała kolumna z pojazdem Rohana na czele ruszyła przed siebie.

Maszyny grały basami silników, fontanny piasku biły spod balonowych kół olbrzymów, przodem, o dwieście metrów przed czołową terenówką, sunął, unosząc się nad powierzchnią gruntu, robot zwiadowczy, podobny do przypłaszczonego talerza z szybko drgającymi czułkami, a strumienie powietrza, które wyrzucał spod siebie, burzyły czuby wydm, że wyglądało, jakby, mijając je, wzniecał w nich niewidzialny ogień. Podniesiona pochodem kurzawa długo nie opadała w dość spokojnym powietrzu i po przejściu kolumny znaczyła jej ślad czerwonawą, kłębiastą smugą. Cienie rzucane przez maszyny były coraz dłuższe; szło ku zachodowi. Kolumna ominęła leżący na jej drodze, prawie całkowicie zasypany krater i po dwudziestu minutach dotarła do skraju ruin. Tutaj szyk pochodu załamał się. Trzy bezładne pojazdy wyszły na zewnątrz i zaświeciły ostro-błękitne światła na znak, że utworzyły lokalne pole siłowe. Dwie maszyny z ludźmi toczyły się wewnątrz ruchomej osłony. Pięćdziesiąt metrów za nimi posuwał się, krocząc na swoich piętrowych, ugiętych nogach, olbrzymi miotacz antimaterii. W pewnej chwili, po przekroczeniu zasypanego kłębowiska jakby poszarpanych lin metalowych czy drutów, trzeba się było zatrzymać, bo jedna kończyna miotacza poprzez piasek zapadła się w głąb niewidzialnej szczeliny. Dwa arktany zeskoczyły z pojazdu dowódcy i wyswobodziły uwięzłego kolosa. Wtedy kolumna ruszyła dalej.

To, co nazwali miastem, w rzeczywistości ani trochę nie było podobne do ziemskich osiedli. Zatopione na niewiadomą głębokość w ruchomych wydmach, stały ciemne masywy o najeżonych, niby szcztokowatych powierzchniach, niepodobne do niczego, co znały ludzkie oczy. Ich nie dające się nazwać kształty sięgały kilku pięter. Nie miały okien, drzwi, nawet ścian, jedne wyglądały jak pofałdowane i przenikające się w ogromnej ilości kierunków, bardzo gęsto posplatane sieci, ze zgrubieniami w miejscach złączeń, inne przypominały skomplikowane arabeski przestrzenne, jakie utworzyłyby przenikające się wzajemnie pszczele plastry lub rzeszota o trójkątnych i pięciokątnych otworach. W każdym większym elemencie i w każdej widomej płaszczyźnie można było wykryć jakiś rodzaj regularności, nie tak jednorodnej jak w kryształach, ale niewątpliwiej, powtarzającej się określonym rytmem, chociaż przerywały go w wielu miejscach ślady zniszczeń. Niektóre konstrukcje utworzone z

poodrąbywanych jakby w graniaste kształty, zrosniętych gęsto gałęzi (ale te gałęzie nie miały dowolnego biegu, właściwego drzewom czy krzakom; albo stanowiły część łuku, albo dwie skręcone w przeciwnym kierunku spirale), sterczały z piachu pionowo, spotykali jednak i pochylone, niczym ramię zwodzonego mostu. Wiatry, wiejące najczęściej z północy, nagromadziły na wszystkich poziomych płaszczyznach i co łagodniejszych zwisach lotny piach, tak że z oddali niejedna z owych ruin przypominała krępa piramidę, ściętą u szczytu. Z bliska jednak jej pozornie gładka płaszczyzna ukazywała, czym jest: systemem krzaczystych, ostrokończystych prętów, listew, tak gdzieniegdzie splecionych, że utrzymywały w swym gąszczu nawet piasek. Rohanowi wydało się, że to jakieś sześcienne i piramidowate resztki skał, porośłych zmartwiałą i zeschniętą roślinnością. Ale i to wrażenie rozsypywało się w odległości kilku kroków: wtedy bowiem regularność, obca żywym formom, ujawniała swą obecność poprzez chaos zniszczenia. Ruiny nie były właściwie lite, bo można było zajrzeć do nich przez szpary metalowej gęstwiny, nie były puste, gdyż wypełniała je ona na wskroś. Zewsząd wiało martwością opuszczenia. Rohan pomyślał o miotaczu, ale bezsensowne było nawet użycie siły, skoro brakło wnętrza, do których pozwoliłaby wtargnąć. Wicher przepędzał między wysokimi bastionami tumany gryzącej kurzawy. Regularne mozaiki czerniejących otworów wypełniał piasek, wciąż osypujący się ciurkiem, który tworzył u ich osady strome stożki niby miniaturowych lawin. Nieustający, sypki szelest towarzyszył im w całej wędrówce. Młynkujące anteny, lufy wahadłowe chodzących geigerów, mikrofony ultradźwiękowe i czujniki promieniste milczały. Słyszać było tylko poskrzypywanie piasku pod kołami, urywane wycie rozpędzających się silników, kiedy zmieniali szyk, skręcając, kolumna na przemian znikła w głębokim, chłodnym cieniu, rzucanym przez mijane kolosy, to znów wynurzała się na oświetlony szkarłatnie piach.

Dotarli wreszcie do tektonicznego pęknięcia. Była to szczelina, szeroka na sto metrów, tworząca czeluść pozbawioną pozornie dna, a na pewno niezmiernie głęboką, bo nie wypełniły jej całe wodospady piachu, zmiotane bezustannie z brzegów uderzeniami wiatru. Zatrzymali się i Rohan wysłał na drugą stronę latającego robota zwiadowcę. Obserwował na ekranie to, co ów dostrzegał swymi telewizyjnymi obiektywami, ale obraz był taki sam, jaki już znali. Zwiadowca został po godzinie wezwany z powrotem, a gdy dołączył do grupy, Rohan, naradziwszy się z Ballminem i fizykiem Gralewem, którzy siedzieli w jego maszynie, zdecydował się na dokładniejsze oględziny kilku ruin.

Najpierw spróbowali zbadać sondami ultradźwiękowymi, jak gruba warstwa piasku zalega „ulice” martwego „miasta”. Było to dosyć żmudne. Wyniki kolejnych sondowań nie zgadzały się ze sobą, prawdopodobnie dlatego, że skała podstawowa uległa wewnętrznej dekrystalizacji podczas wstrząsu, który wywołał jej wielkie pęknięcie. Od siedmiu do dwunastu metrów pokrywy piaszczystej zdawało się wypełniać to ogromne, nieckowate zagłębienie terenu. Skierowali się na wschód, ku oceanowi i przemierzywszy jedenaście kilometrów krętej drogi, między czarniawymi ruinami, które stawały się coraz niższe, coraz nikłej wynurzały się z piasków, aż znikły, dotarli do nagich skał. Stanęli tu nad obrywem tak wysokim, że szum fal rozbijających się o jego spód dochodził do nich jako ledwo słyszalny głos. Pas nagiej skały, oczyszczonej z piasku, nadnaturalnie gładkiej, znaczył linię obrywu, wznosząc się ku północy szeregiem szczytów górskich, które zastygłymi skokami leciały w oceaniczne lustro.

Za sobą zostawili „miasto” — widoczne teraz pod postacią czarnej linii o regularnym konturze, zatopionej w rudawej mgle. Rohan połączył się z „Niezwycięzonym”, przekazał astrogatorowi uzyskane informacje, równe właściwie zeru, i cała kolumna, w dalszym ciągu zachowując wszystkie środki ostrożności, wróciła w głąb ruin.

Po drodze wydarzył się niewielki wypadek. Skrajny lewy energobot, prawdopodobnie na skutek drobnej omyłki kursowej, nadmiernie rozszerzył zasięg siłowego pola, tak że musnęło skraj pochylonej ku nim, ostrokończystej, plastrowatej budowli. Połączony ze wskaźnikami

poboru mocy pola miotacz antymaterii, który ktoś nastawił na rażenie automatyczne w wypadku ataku, zinterpretował skok pobieranej mocy jako widomą oznakę, że ktoś usiłuje przebić siłowe pole, i strzelił w bezwinną ruinę. Cała górna sekcja pogiętej „budowli”, wielkości ziemskiego drapacza chmur, utraciła swą brudnoczarną barwę, rozżarzyła się i załśniła oślepiająco, aby w następnym ułamku sekundy rozpaść się w ulewę wrzącego metalu. Ani jeden okrucień nie spadł na jadących, bo rozplamione szczątki ześliznęły się po powierzchni niewidzialnej kopuły, jaką tworzyła siłowa osłona. Nim dosięgły gruntu, wyparowały od termicznego udaru. Nastąpił jednak, wywołany anihilacją, skok promieniowania, geigery włączyły automatyczny alarm i Rohan, klnąc i obiecując kości połamać temu, kto tak zaprogramował aparaturę, dobrą chwilę stracił na odwoływaniu alarmu i odpowiedzi „Niezwyciężonemu”, który dostrzegł błysk i natychmiast pytał o jego przyczynę.

— Na razie wiemy tylko tyle, że jest to metal. Prawdopodobnie stal z domieszką wolframu i niklu — powiedział Ballmin, który nie przejmując się powstałym rozgardiaszem, skorzystał z okazji i dokonał spektroskopowej analizy płomieni, które ogarnęły ruiny.

— Czy może pan ocenić wiek? — spytał Rohan, wycierając miałki piasek, który osiadł mu na rękach i twarzy. Pozostawili za sobą zwiniętą od żaru ocalałą część ruiny; wisiała teraz nad przebytą przez nich drogą na kształt połamanego skrzydła.

— Nie. Mogę powiedzieć, że to jest diabelnie stare. Diabelnie stare — powtórzył.

— Musimy to zbadać bliżej... I nie będę pytał starego o pozwolenie — dodał Rohan z nagłą determinacją.

Zatrzymali się przy skomplikowanym obiekcie, utworzonym z kilku schodzących się centralnie ramion. Otworzyła się, wyznaczona dwiema flarami, furtka w polu siłowym. Z bliska przeważało wrażenie chaosu. Fronton budowli utworzony był z trójkątnych płyt, pokrytych drucianymi „szczotkami”, od wnętrza owe płyty podtrzymywały systemy prętów, grubych jak gałęzie; u powierzchni przedstawiały jaki taki porządek, ale w głębi, gdzie starali się zajrzeć, świecąc silnymi reflektorami, las prętów rozdrzewiał się, rozchodził z grubych węzłów, znowu się skupiał, a wszystko razem podobne było do gigantycznej drucianki, z milionowym mrowiem skłębionych kabli. Szukali w nich śladów prądu elektrycznego, polaryzacji, resztkowego magnetyzmu, wreszcie radioaktywności — bez jakiegokolwiek rezultatu.

Zielone flary, oznaczające wejście w głąb pola, mrugały niespokojnie. Świszczał wiatr, masy powietrza wdmuchiwane w stalowy gąszcz wydawały niesamowite pienia.

— Co może znaczyć ta cholerna dżungla?!

Rohan wycierał twarz z przyklepiającego się do spoconej skóry piasku. Obaj z Ballminem stali na otoczonym niską balustradą grzbiecie latającego zwiadowcy, który wisiał wraz z nimi kilkanaście metrów ponad „ulicą”, a raczej pokrytym wydmami trójkątnym placem wśród dwu schodzących się ruin. Daleko w dole stały ich maszyny i mali jak figurki z pudełka zabawek ludzie patrzący na nich z zadartymi głowami.

Zwiadowca szybował. Znajdowali się teraz nad powierzchnią pełną kończystych ostrzy czarniawego metalu, nierówną, poszarpaną, miejscami osłoniętą owymi trójkątnymi płytami, które nie leżały jednak w jednej płaszczyźnie; odchylone w górę lub na boki, pozwalały zajrzeć do pełnego ciemności wnętrza. Gęstwa poplątanych przegród, prętów, plastrowatych zakłęśności była taka, że nie mogło jej przeniknąć światło słońca, a i promienie reflektorów grzęzły w niej bezsilnie.

— Jak pan myśli, Ballmin, co to może znaczyć? — powtórzył Rohan. Był zły. Wycierane nieustannie czoło szczerwieniło mu, bolała go skóra, piekły oczy, za kilka minut musiał nadać następny meldunek „Niezwyciężonemu”, a nie umiał nawet znaleźć słów, by określić to, przed czym się znajdował.

— Nie jestem jasnowidzem — odparł uczoney. — Nie jestem nawet archeologiem. Myślę zresztą, że archeolog też by nic panu nie powiedział. Wydaje mi się... — Urwał.

— Niechże pan mówi!

— Nie wygląda mi to na konstrukcję mieszkalną. Na ruiny mieszkań jakichkolwiek istot, rozumie pan? Jeśli można to w ogóle z czymś porównać, to chyba z maszyną.

— Z maszyną, co? Ale jaką? Informacyjzbiorną? Może to był rodzaj elektronowego mózgu...?

— Chyba pan w to sam nie wierzy... — odparł flegmatyczny planetolog.

Robot przesunął się w bok, wciąż dotykając niemal prętów, które sterczały beładnie pomiędzy powyginanymi płytami.

— Nie. Tu nie było żadnych obwodów elektrycznych. Gdzież ma pan jakieś przegrody, izolatory, ekranowania?

— Może były palne. Mógł je zniszczyć ogień. To przecież w końcu ruina — odparł bez przekonania Rohan.

— Może — zgodził się niespodziewanie Ballmin.

— Więc co mam powiedzieć astrogatorowi?

— Najlepiej niech mu pan bezpośrednio przekaże ten cały kram telewizyjną.

— To nie było miasto... — powiedział nagle Rohan, jakby podsumował w myśli wszystko, co widział.

— Prawdopodobnie nie — przytaknął planetolog. — W każdym razie nie takie, jakie możemy sobie wyobrazić. Nie mieszkały tu ani istoty człękkształtne, ani nawet trochę do nich podobne. A formy oceaniczne są wcale zbliżone do ziemskich. Więc i na lądzie logiczna byłaby ich obecność.

— Tak. Wciąż o tym myślę. Nikt z biologów nie chce o tym mówić. Co pan sądzi?

— Nie chcą o tym mówić, bo to zakrawa na rzecz nieprawdopodobną: wygląda tak, jakby coś nie dopuściło życia na ląd... Jakby uniemożliwiło mu wynurzenie się z wody...

— Taka przyczyna mogła kiedyś raz jeden zadziałać, na przykład w postaci bardzo bliskiego wybuchu Supernowej. Przecież pan wie, że dzeta Liry była Nową przed kilku milionami lat. Może twarde promieniowanie wygubiło życie na kontynentach, a w głębi oceanów mogły organizmy ocaleć...

— Gdyby promieniowanie było takie, jak pan mówi, to do dzisiaj dałoby się wykryć ślady. Tymczasem aktywność gruntowa jest, jak na tę okolicę Galaktyki, wyjątkowo niska. A poza tym przez te miliony lat ewolucja posunęłaby się znowu naprzód; oczywiście nie byłoby żadnych kręgowców, ale prymitywne formy przybrzeżne. Zauważył pan, że brzeg jest zupełnie martwy?

— Zauważyłem. Czy to naprawdę ma takie znaczenie?

— Decydujące. Życie powstaje z reguły najpierw w przybrzeżnej niszy, potem dopiero schodzi w głąb oceanu. Tu nie mogło być inaczej. Coś je zepchnęło. I myślę, że nie daje wstępu na ląd, do dzisiaj.

— Dlaczego?

— Dlatego, bo ryby boją się sond. Na planetach, które znam, żadne zwierzęta nie bały się aparatów. Nigdy nie boją się tego, czego nie widziały.

— Chce pan powiedzieć, że widziały już sondy?

— Nie wiem, co widziały. Ale na co im magnetyczny zmysł?

— To jakaś cholerna historia! — burknął Rohan. Patrzył na poszarpane festony metalu, przechylił się przez poręcz, zakrzywione czarne końce prętów drżały w powietrznym słupie, wydmuchiwanym przez robota. Ballmin długimi cążkami obłamywał po kolei wyrastające z tunelowego otworu druty.

— Powiem panu coś — rzekł. — Tu nie było nawet zbyt wysokiej temperatury, nigdy nie było, boby się metal zglejował. A więc i pańska hipoteza pożaru odpada...

— Tu rozwala się każda hipoteza — mruknął Rohan. — Poza tym nie widzę, w jaki sposób można by połączyć ten wariacki gąszcz ze zgubą „Kondora”. Przecież to jest absolutnie

martwe.

— Nie musiało takie być zawsze.

— Tysiąc lat temu, zgoda, ale nie przed kilku laty. Nie mamy tu czego dłużej szukać. Wracamy na dół.

Nie odzywali się już, aż maszyna opuściła się naprzeciw zielonych znaków sygnałowych ekspedycji. Rohan polecił technikom włączyć kamery telewizyjne i przekazać dane o sytuacji „Niezwyčajonemu”.

Sam zamknął się w kabinie głównego transportera z uczonymi. Przedmuchał miniaturowe pomieszczenie tlenem, zaczęli jeść kanapki, popijając kawą z termosów. Nad ich głowami płonęła okrągła rura świetlna. Rohanowi miłe było jej białe światło. Zniechęcił już czerwony dzień planety. Ballmin pluł, bo piasek, który podstępnie dostał się do ustnika maski, zgrzytał mu teraz w zębach podczas jedzenia.

— To mi przypomina coś... — niespodziewanie odezwał się Gralew, zakręcając termos. Jego czarne, gęste włosy błyszczały pod świetlówką.

— Opowiedziałbym wam. Ale pod warunkiem, że nie weźmiecie tego zbyt serio.

— Jeżeli to ci cośkolwiek przypomina, to już bardzo wiele — odparł Rohan z pełnymi ustami. — Mów, co ci to przypomina.

— Bezpośrednio nic. Ale słyszałem taką historię... to właściwie rodzaj bajki. O Lyranach...

— To nie jest bajka. Oni naprawdę istnieli. Jest o nich cała monografia Achramiana — zauważył Rohan. Za plecami Gralewa na pulpicie zaczęło pulsować światełko, znak, że mają bezpośrednią łączność z „Niezwyčajonym”.

— Tak. Payne przypuszczał, że niektórym udało się uratować. Ale ja jestem prawie pewien, że to nieprawda. Zginęli wszyscy podczas wybuchu Nowej.

— To jest szesnaście lat świetlnych stąd — powiedział Gralew. Nie znam tej książki Achramiana. Ale słyszałem, nie pamiętam nawet gdzie, historię o tym, jak próbowali się ratować. Podobno wysyłali statki na wszystkie planety innych gwiazd swojego pobliża. Znali już dość dobrze podświetlną astrologię.

— I co dalej?

— To właściwie wszystko. Szesnaście lat świetlnych nie jest zbyt wielką odległością. Może jakiś ich statek wylądował tutaj...?

— Przypuszczasz, że oni tu są? To znaczy ich potomkowie?

— Nie wiem. Po prostu skojarzyłem z nimi te ruiny. Mogli to zbudować...

— Jak oni właściwie wyglądali? — spytał Rohan. — Byli człekokształtni?

— Achramian sądzi, że tak — odparł Ballmin. — Ale to tylko hipoteza. Zostało po nich mniej niż po australopiteku.

— To dziwne...

— Wcale nie dziwne. Ich planeta była przez kilkanaście tysięcy lat pogrążona w chromosferze Nowej. Okresowo temperatura przekraczała na powierzchni dziesięć tysięcy stopni. Nawet skały denne skorupy globu przeszły kompletną metamorfozę. Po oceanach nie zostało i śladu, cały glob wyżarzył się jak kość w ogniu. Pomyślcie, jakieś sto wieków wewnątrz pożaru Nowej!

— Lyranie, tutaj? Ale dlaczego mieliby się ukrywać? I gdzie?

— Może już wyginęli? Zresztą nie żądajcie ode mnie zbyt wiele. Po prostu powiedziałem to, co przyszło mi na myśl.

Zapadła cisza. Na pulpicie sterów zapalił się alarmowy sygnał. Rohan poderwał się, podniósł słuchawki do uszu.

— Tu Rohan... Co? To pan? Tak! Tak! Słucham... Dobrze, natychmiast wracamy! — Zwrócił ku tamtym pobladał twarz.

— Druga grupa znalazła „Kondora” trzysta kilometrów stąd...

## KONDOR

Z daleka rakieta wyglądała jak krzywa wieża. Wrażenie to powiększało ukształtowanie otaczających ją piasków: zachodnie obwałowanie było znacznie wyższe od wschodniego, ze względu na kierunek stałych wiatrów. Kilka ciągników w pobliżu było zasypanych prawie zupełnie, nawet i znieruchomiały miotacz energii z uniesioną pokrywą zanosło wydmy do połowy kadłuba. Ale sama rufa ukazywała wyloty dysz, bo znajdowała się wewnątrz nie zawianej wklęsłości. Dzięki temu wystarczyło odgarnąć cienką warstwę piasku, aby dotrzeć do rozsypanych wokół pochylni przedmiotów.

Ludzie „Niezwycięzonego” zatrzymali się na brzegu obwałowania. Pojazdy, które ich przywiozły, otoczyły już wielkim kręgiem cały teren i wyrzucone z emitorów pęki siłowe połączyły się w osłaniające pole. Transportery i inforoboty pozostawili kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym kolisko piachu opasywało podstawę „Kondora”, patrzyli ze szczytu na wydmy w dół.

Pochylnię statku dzieliła od gruntu pięciometrowa przestrzeń, jakby coś zatrzymało ją zniemacka w ruchu, kiedy była opuszczana. Rusztowanie osobowego dźwigu stało jednak pewnie, a pusta klatka windy z otwartym wejściem zdawała się zapraszać do środka. Obok niej wystawało z piasku kilka tlenowych butelek. Aluminiowe ich ścianki lśniły, jakby porzucono je zaledwie kilka minut temu. Nieco dalej wystawał z wydmy błękitny fragment jakiegoś przedmiotu, który okazał się plastikowym pojemnikiem. Zresztą chaotycznie porozrzucanych przedmiotów było we wklęsłości u podnóża statku mnóstwo: bańki konserwowe, pełne i opróżnione, teodolity, aparaty fotograficzne, lunety, statywy i manierki — jedne całe, inne noszące ślady uszkodzeń.

Zupełnie jakby je ktoś wyrzucał całymi stosami z rakiety! — pomyślał Rohan, zadzierając głowę tam, gdzie w postaci ciemnego otworu widniało wejście osobowe: jego kłapa była nie domknięta. Mały zwiad lotny de Vriesa natknął się zupełnie przypadkowo na martwy statek. De Vries nie próbował dostać się do jego wnętrza, lecz od razu zawiadomił bazę. Dopiero grupa Rohana miała zbadać tajemnicę sobowtóra „Niezwycięzonego”. Technicy biegli już, prosto od swych maszyn, niosąc skrzynki narzędziowe.

Zauważywszy coś wypukłego, co pokrywała cienka warstwa piasku, Rohan odrzucił ją czubkiem buta, sądząc, że to jakiś mały globus, i wciąż jeszcze nie zdając sobie sprawy, co to jest, wydzwignął ową bladożółtawą kulę z ziemi. Prawie krzyknął: wszyscy zwrócili się ku niemu. Trzymał ludzką czaszkę.

Potem znaleźli inne kości i więcej szczątków, a także jeden cały szkielet, odziany w kombinezon. Między odpadłą dolną szczęką a zębami górnej spoczywał jeszcze ustnik tlenowego aparatu, a wskaźnik ciśnienia zatrzymał się na czterdziestu sześciu atmosferach. Klęcząc, Jarg odkręcił zawór butli i gaz trysnął z przeciągłym sykiem. W doskonale suchym powietrzu pustyni nawet ślad rdzy nie tknął żadnej ze stalowych części reduktora i gwinty obracały się zupełnie lekko.

Mechanizm dźwigu można było uruchomić z klatkowej platformy, ale widocznie sieć była bez prądu, bo naciskanie guzików okazało się daremne. Wspięcie się po czterdziestometrowej konstrukcji windy przedstawiało niemałą trudność i Rohan wahał się, czy nie wysłać raczej w górę kilku ludzi na latającym talerzu, ale tymczasem dwóch techników, związawszy się liną, polazło po zewnętrznym dźwigarze. Pozostali, milcząc, przyglądali się postępom ich wspinaczki.

„Kondor”, statek dokładnie tej samej klasy co „Niezwycięzony”, o kilka zaledwie lat wcześniej opuścił stocznię i nie można było odróżnić ich sylwetek. Ludzie milczeli. Chociaż właściwie nie mówiono o tym nigdy, woleliby chyba ujrzeć roztrzaskane wskutek wypadku — bodaj eksplozji reaktora — szczątki. To, że stał tutaj, wkopany w piasek pustyni, martwo



przechylony na jedną stronę, jakby grunt poddał się pod ciśnieniem podpór rufowych, tak otoczony chaosem przedmiotów i kości ludzkich, a równocześnie tak z pozoru nietknięty, ogłuszyło wszystkich. Wspinający się dosięgli osobowej klapy, uchyłili ją bez wysiłku i znikli patrzącym z oczu. Nie było ich tak długo, że Rohan zaczął się już niepokoić, lecz niespodziewanie winda drgnęła, uniosła się o metr, a potem na powrót wylądowała na piasku. Równocześnie w otwartym wejściu ukazała się sylwetka jednego z techników; dawał ręką znaki, że można jechać.

Rohan, Ballmin, biolog Hagerup i jeden z techników, Kralik, we czterech pojechali na górę. Ze starego nawyku Rohan patrzył na potężną wypukłość kadłuba, sunącą za balustradą dźwigu, i pierwszy, ale nie ostatni raz tego dnia osłupiał. Tytanowo–molibdenowe płyty pancerza były raz koło razu nawiercone czy też podziobane jakimś przeraźliwie twardym narzędziem; ślady te były niezbyt głębokie, ale tak gęste, że całą powłokę zewnętrzną statku pokryła jakby ospa. Rohan szarpnął za ramię Ballmina, ale ów zauważył już tę rzecz niezwykłą. Obaj usiłowali przyjrzeć się wykutym w pancerzu nierównościami. Wszystkie były drobne, jakby wyżłobione ostrym końcem dłuta, ale Rohan wiedział, że nie ma takiego dłuta, które naruszyłoby cementowaną powierzchnię. Mógł to być wynik tylko jakiegoś trawienia chemicznego. Niewiele jednak dowiedział się, gdyż winda ukończyła krótką podróż i trzeba było wejść do komory ciśnień.

Wnętrze statku było oświetlone: technicy uruchomili już awaryjny generator, poruszany sprężonym powietrzem. Piasek, nadzwyczaj miąłki i drobny, zaścielał grubszą warstwą tylko поближе wysokiego progu. Wiatr wdmuchał go tu przez szczelinę uchylonej klapy. W korytarzach nie było go wcale. Wnętrza trzeciego poziomu otwierały się przed idącymi czyste, schludne, jasno oświetlone, tu i ówdzie leżał jakiś porzucony przedmiot — maska tlenowa, plastikowy talerz, książka, część kombinezonu — ale tak było właśnie tylko na trzecim poziomie. Niżej, w kajutach kartograficznych i gwiazdowych, w mesach, w kabinach załogi, w pomieszczeniach radarów, w głównym rozrządzie pędni, w korytarzach pokładowych i łącznikowych panował niewytłumaczalny chaos.

Jeszcze przeraźliwszy obraz ukazał się im w sterowni. Nie było tam bodaj jednej ocalałej szybki w ekranach czy zegarach. Przy tym, ponieważ szkła wszystkich przyrządów były z masy nie dającej odłamków, jakieś zdumiewająco potężne ciosy obróciły je w srebrzysty proszek, który pokrywał pulpity, fotele, nawet przewody i kontakty. W przyległej bibliotece jak wysypana z worka kasza leżały mikrofilmy, częściowo rozwinięte i splecione wielkimi śliskimi kłębkami, podarte książki, połamane cyrkle, logarytmiczne suwaki, taśmy spektralne i analityczne, razem ze stertami wielkich gwiazdowych katalogów Camerona, nad którymi ktoś szczególnie się znecał, z pasją, ale i niepojętą cierpliwością wyrывая plik po pliku ich grube, sztywne karty plastikowe. W pomieszczeniu klubowym i przylegającej doń sali projekcyjnej przejścia barykadowały stosy zmiętej odzieży i kawały skóry, pozdieranej z rozprutego obicia foteli. Wyglądało tam, jednym słowem, tak, jakby, według słów bosmana Ternera, rakieta napadło stado wściekłych pawianów. Ludzie, tracąc wprost mowę na widok tego zniszczenia, przechodzili z jednego pokładu na drugi. W małej kajucie nawigacyjnej spoczywały pod ścianą zwinięte w kłębek, wyschłe zwłoki człowieka, odzianego w płócienne spodnie i poplamioną koszulę. Okrywał go teraz brezent, narzucony przez któregoś z techników, który wszedł tam jako pierwszy. Była to właściwie mumia o zbrunatniałej skórze przyschniętej do kości.

Rohan opuścił „Kondora” jako jeden z ostatnich. Kręciło mu się w głowie; doznawał fizycznych mdłości i ponawiające się ich przystępy powściągał całą siłą woli. Miał wrażenie, że przeżył koszmarny, niewiarygodny sen. Twarze otaczających ludzi upewniały go jednak o prawdziwości wszystkiego, co widział. Nadano krótkie radiogramy do „Niezwycięzonego”. Część załogi została przy opuszczonym „Kondorze”, by zaprowadzić w jego wnętrzu jaki taki ład. Przedtem jednak kazał Rohan sfotografować dokładnie wszystkie pomieszczenia statku i

sporządzić dokładne opisy stanu, w jakim go znalezione.

Wracali z Ballminem i Gaarbem, jednym z biofizyków; kierowcą transportera był Jarg. Jego szeroka, zwykle uśmiechnięta twarz jakby zmniejszyła się i pociemniała. Wielotonowa maszyna, targana zrywami, które tak obce były płynnej zwykle jeździe opanowanego kierowcy, zawijała pomiędzy wydmami, wyrzucając na boki olbrzymie fontanny piasku. Przed nimi sunął bezludny energobot, dając im osłonę siłową. Milczeli przez cały czas; każdy myślał swoje. Rohan bał się prawie spotkania z astrogatorem, bo nie wiedział, co właściwie mu powie. Jedno z najokropniejszych przez to, że najbardziej bezsensownych szalonych odkryć — zachował dla siebie. W łazience ósmego poziomu znalazł kawałki mydła noszące wyraźne ślady ludzkich zębów. A przecież nie mogło być tam głodu; magazyny wypełniały prawie nienaruszone zapasy żywności; nawet mleko w chłodniach doskonale się zachowało. W połowie drogi otrzymali sygnały radiowe od jakiegoś małego pojazdu samobieżnego, który mknął ku nim, zostawiając za sobą ścianę kurzu. Zwolnili, wtedy i tamta maszyna się zatrzymała. Jechało w niej dwu ludzi, niemłody już technik Magdow i neurofizjolog Sax. Rohan wyłączył pole i mogli się porozumieć głosem. Już po jego odjeździe odkryto w hibernatorze „Kondora” zamrożone ciało ludzkie. Człowiek ów mógł jeszcze, być może, zostać ożywiony; Sax wiózł więc całą potrzebną aparaturę z „Niezwykłego”. Rohan zdecydował się jechać za Saxem, motywując to tym, że pojazd uczonego nie miał osłony siłowej. W rzeczywistości jednak był rad, że odwlecze się rozmowa z Horpachem. Zakreślił więc na miejscu i burząc piaski, pognali z powrotem.

Wokół „Kondora” panował ożywiony ruch. Wciąż wydobywano z wydm najróżniejsze przedmioty. Osobno, pod białymi płachtami, leżały układane rzędem zwłoki, było ich już ponad dwadzieścia. Pochylnia działała, nawet reaktor postojowy „Kondora” dawał już prąd. Zauważono ich z daleka po wznoszącej się kurzawie i otwarto przejście przez pole siłowe. Na miejscu był już lekarz, mały doktor Nygren, ale nie chciał bez asysty nawet zbadać dokładnie znalezionego w hibernatorze. Rohan, korzystając ze swego przywileju — zastępował tu bowiem samego dowódcę — udał się z obu lekarzami na pokład; porozbijane sprzęty, które, za jego poprzednią bytnością, uniemożliwiły zbliżenie się choćby do drzwi hibernatora, tymczasem usunięto. Wskaźniki stały na siedemnastu stopniach zimna. Obaj lekarze porozumieli się na ten widok oczami, bez słów, ale Rohan tyle wiedział o hibernacji, by zrozumieć, że temperatura jak na pełną śmierć odwracalną jest zbyt wysoka, a znów na sen hipotermiczny — za niska. Nie wyglądało na to, że człowiek w hibernatorze został specjalnie przygotowany do przetrwania w odpowiednio utworzonych warunkach, ale raczej dostał się tam przypadkowo, w sposób równie niezrozumiały i bezsensowny, jaki cechował wszystko inne w „Kondorze”. Istotnie, kiedy odziali się już w termostacyjne skafandry i odkręciwszy koła śrubowe, uchyłili ciężką klapę, ujrzeli rozpostarte na podłodze, tylko w bieliznę przyodziane ciało leżące na twarzy człowieka. Rohan pomógł lekarzom przenieść go na mały, wyściełany stół pod trzema bezcieniowymi lampami. Nie był to właściwie stół operacyjny, ale leżanka do drobnych zabiegów, jakich trzeba czasem dokonać w hibernatorze. Rohan obawiał się twarzy tego człowieka, znał bowiem znaczną ilość ludzi „Kondora”. Ale ten był mu obcy. Gdyby nie lodowate zimno i twardość jego członków, można by sądzić, że odnaleziony śpi. Powieki miał zamknięte, w suchej i hermetycznej kajucie skóra nie utraciła nawet naturalnej barwy, tyle że była blada. Ale tkanki pod nią pełne były mikroskopijnych kryształków lodowych. Obaj lekarze, nic nie mówiąc, po raz drugi porozumieli się oczami. Potem zaczęli przygotowywać swoje narzędzia. Rohan usiadł na jednej z pustych koi. Ich dwa długie szeregi stały porządnie zasłane; w hibernatorze panował doskonały, normalny ład. Kilka razy zadźwięczały instrumenty, lekarze poszeptali, nareszcie Sax powiedział, odchodząc od stołu:

— Nic się nie da zrobić.

— Nie żyje — raczej wyciągając z jego słów jedyną możliwą konkluzję, anizeli pytając

jeszcze, rzucił Rohan. Nygren podszedł tymczasem do tablicy klimatyzatora. Po chwili powietrze poruszył ciepły podmuch. Rohan wstał, aby wyjść, kiedy zobaczył, że Sax wraca do stołu. Podniósł z podłogi niewielką czarną torbę, otworzył ją, i ukazał się ów aparat, o którym Rohan nieraz już słyszał, ale którego nigdy dotąd przy nim nie używano. Sax, ruchami nadzwyczaj spokojnymi, pedantycznie rozwijał kłębki przewodów, zakończonych płaskimi elektrodami. Przyłożywszy ich sześć do czaszki umarłego, umocował je elastyczną taśmą. Przykucnąwszy, wyjął z torby trzy pary słuchawek. Nałożył sobie słuchawki na uszy i, wciąż pochylony, poruszał gałkami aparatu, znajdującego się wewnątrz pokrowca. Jego twarz o zamkniętych oczach przybrała wyraz doskonałego skupienia. Nagle ściągnął brwi, nachylił się jeszcze niżej, przytrzymał ręką gałkę, po czym gwałtownie zdjął słuchawki.

— Kolego Nygren — powiedział jakimś dziwnym głosem. Mały doktor wziął od niego słuchawki.

— Co?... — prawie bez tchu, drżącymi wargami wyszeptał Rohan. Aparat nazywał się „opukiwaczem grobów”, przynajmniej w pokładowym żargonie. U zmarłego, którego śmierć zabrała niedawno, albo gdy nie doszło do rozkładu ciała, jak w tym wypadku na skutek niskiej temperatury ciała, można było „podśledzać mózg”, a właściwie to, co stanowiło ostatnią treść świadomości.

Aparat wprowadzał impulsy elektryczne w głąb czaszki; płynęły one drogą najmniejszego oporu — to jest po tych włóknach nerwowych, które tworzyły całość funkcjonalną w okresie przedagonalnym. Wyniki nie były nigdy pewne, ale chodziły słuchy, że kilka razy udało się w ten sposób zdobyć informacje niezwyklej wagi. W okolicznościach takich jak ta właśnie, gdy tak wiele zależało od uchylecia rąbka tajemnicy okrywającej tragedię „Kondora”, zastosowanie „opukiwacza grobów” było koniecznością. Rohan domyślał się już, że neurolog nie liczył wcale na ożywienie zamarłego człowieka i właściwie przyjechał tylko po to, aby usłyszeć, co przekaże mu jego mózg. Stał nieruchomo, czując dziwną suchość ust i ciężkie bicie serca, gdy Sax podał mu drugą parę słuchawek. Gdyby nie prostota i naturalność owego gestu, nie odważyłby się ich nałożyć. Ale uczynił to pod spokojnym, ciemnym wzrokiem Saxa, który klęczał na jednym kolanie przy aparacie, poruszając drobnymi ruchami gałką wzmacniacza.

Początkowo nie słyszał nic, prócz szumu prądów, i odczuł to właściwie jako ulgę, ponieważ nie chciał nic usłyszeć. Wołałby, nie zdając sobie z tego nawet sprawy, by mózg tego nie znanego mu człowieka był niemy jak kamień. Sax, unosząc się z podłogi, poprawił mu słuchawki na głowie. Wtedy Rohan zobaczył coś poprzez światło oblewające białą ścianę kajuty, obraz szary, jak usypany z popiołu, zamglony i zawieszony w nieokreślonej odległości. Zamknął mimo woli powieki, i to, co spostrzegł przed chwilą, stało się prawie wyraźne. Było to jakby przejście jakieś wewnątrz statku, z idącymi stropem rurami; całą jego szerokość tarasowały ludzkie ciała. Pozornie poruszały się, ale to drgał i falował cały obraz. Ludzie byli półnaczy, resztki ubrań wisały w strzępach, a ich nadnaturalnej białości skóra pokryta była ni to ciemnymi cętkami, ni to jakąś wysypką. Być może i to zjawisko było tylko przypadkowym efektem ubocznym, bo od takich samych czarnych przecinków aż się roilo na podłodze i na ścianach. Cały ów obraz, jak niewyraźna fotografia, zrobiona przez grubą warstwę płynącej wody, chwiał się, rozciągał, kurczył i falował. Przejęty zgrozą, Rohan otworzył gwałtownie oczy; obraz poszarzał i prawie znikł, cieniem tylko jeszcze przesłaniając mocne światła otaczającej rzeczywistości. Ale Sax znowu dotknął gałki aparatu i Rohan usłyszał — jakby wewnątrz głowy — słabe poszeptywanie: ...ala... ama... lala... ala ma... mama...

I nic więcej. Prąd wzmocnienia miauknął nagle, zabuczał i wypełnił słuchawki powtarzającym się jak szalona czkawka pianiem, jakby dzikim śmiechem, szydzącym i okropnym. Ale to był już tylko prąd, po prostu heterodyna zaczęła generować zbyt mocne drgania...

Sax zwijał przewody, składał je, upychał w torbie, Nygren zaś podniósł skraj prześcieradła i zarzucił na ciało i twarz zmarłego, którego zamknięte dotąd usta, może pod wpływem ciepła (było już prawie gorąco w hibernatorze — przynajmniej Rohanowi pot spływał po grzbiecie), lekko się rozemknęły, przybierając wyraz nadzwyczajnego zdumienia. I takie znikły pod białym całunem.

— Mówcie coś... Dlaczego nic nie mówicie?! — wykrzyknął Rohan. Sax zaciągnął paski futerału, wstał i podszedł do niego na krok.

— Proszę się opanować, nawigatorze...

Rohan zmrużył oczy, zacisnął pięści, jego wysiłek był tyleż ogromny, co daremny. Jak zwykle w takich chwilach budziła się w nim pasja. Tę najtrudniej przychodziło powściągać.

— Przepraszam... — wybełkotał. — Więc co to właściwie znaczy?

Sax rozpiął obszerny skafander, który osunął się na podłogę, i pozorna wielkość opuściła go. Był znowu chudym, przygarbionym człowiekiem o wąskiej piersi, z cienkimi, nerwowymi rękami.

— Wiem nie więcej od pana — powiedział. — A może i mniej.

Rohan nic nie rozumiał, ale uczepił się jego ostatnich słów.

— Jak to...? Dlaczego mniej?

— Bo mnie tu nie było — nie widziałem nic, oprócz tego trupa. Pan tu był od rana. Czy ten obraz nic panu nie mówi?

— Nie. Oni — oni się ruszali. Czyli żyli jeszcze wtedy? Co mieli na sobie? Te plamki...

— Nie ruszali się. To złudzenie. Engramy utrwalają się jak fotografia. Czasem jest zbitka złożona z kilku obrazów; w tym wypadku jej nie było.

— A te plamki? To także złudzenie?

— Nie wiem. Wszystko jest możliwe. Ale wydaje mi się, że nie. Co pan sądzi o tym, Nygren?

Mały lekarz wyswobodził się już ze skafandra.

— Nie wiem — powiedział. — Może to i nie był artefakt. Na stropie ich nie było, prawda?

— Tych plamek? Nie. Tylko na nich... i na podłodze. I kilka na ścianach...

— Gdyby to była druga projekcja, pokrywałyby raczej cały obraz — powiedział Nygren. — Ale to nie jest pewne. Zbyt wiele przypadkowości w takich utrwaleniach...

— A głos? Ten — ten bełkot? — dopytywał się rozpaczliwie Rohan.

— Jedno słowo było wyraźne: „mama”. Słyszał je pan?

— Tak. Ale tam było jeszcze coś. „Ala”... „lala”... — to się powtarzało...

— Powtarzało się, bo przeszukałem całą korę ciemieniową — mruknął Sax. — To znaczy całą okolicę pamięci słuchowej — wyjaśnił Rohanowi. — To było najniezwyklejsze...

— Te słowa?

— Nie. Nie te słowa. Konający może myśleć o czymkolwiek; gdyby myślał o matce, byłoby to nawet zupełnie normalne. Ale jego kora słuchowa jest pusta. Zupełnie pusta, rozumie pan?

— Nie. Nic nie rozumiem. Jak to pusta?

— Zazwyczaj skanowanie płatów ciemieniowych nie daje wyników — wyjaśnił Nygren. — Jest tam zbyt wiele engramów, zbyt wiele utrwalonych słów. To jest tak, jakby pan próbował czytać sto książek naraz. Wynika z tego chaos. A on — patrzył na podłużny kształt pod białym płótnem — nie miał tam nic. Żadnych słów oprócz tych kilku sylab.

— Tak. Przechodziłem od sensorycznego ośrodka mowy aż po sulcus Rolandi — powiedział Sax. — Dlatego te sylaby powtarzały się, to były ostatnie struktury fonetyczne, które ocalały.

— A reszta? A inne?

— Nie ma ich. — Sax, jakby tracąc cierpliwość, podniósł ciężki aparat, aż zaskrzypiała skóra rękojeści. — Po prostu nie ma ich i koniec. Proszę mnie nie pytać, co się z nimi stało.

Ten człowiek stracił całą słuchową pamięć.

— A ten obraz?

— To coś innego. Widział go. Mógł nawet nie rozumieć, co widzi, ale fotoaparat także nic nie rozumie, a jednak utrwała to, na co go skierować. Zresztą nie wiem, czy rozumiał, czy nie.

— Pomoże mi pan, kolego?

Obaj lekarze, niosąc aparaty, wyszli. Drzwi zamknęły się. Rohan został sam. Ogarnęła go wtedy taka rozpacz, że podszedł do stołu, uniósł płótno, odrzucił je i rozpiął koszulę zmarłego, która odtajała i była już całkiem miękka, uważnie zbadał jego pierś. Drgnął od jej dotyku, bo nawet skóra stała się elastyczna; w miarę jak tkanki tajały, przychodziło do wiotczenia mięśni, głowa dotąd nienaturalnie uniesiona, opadła biernie, jakby ten człowiek naprawdę spał.

Rohan szukał na jego ciele jakiś śladów zagadkowej epidemii, zatrucia, ukąszeń, ale nie znalazł nic. Dwa palce lewej ręki odemknęły się, ukazując drobną ranę. Jej brzegi były lekko rozwarte; ranka zaczęła krwawić. Czerwone krople spadały na białą powłokę pianową stołu. Tego było już za wiele dla Rohana. Nie zasłoniwszy nawet całunem umarłego, wybiegł z kajuty i zmierzał, roztrącając skupionych przed nią ludzi, do głównego wyjścia, jakby go coś goniło.

Jarg zatrzymał go u komory ciśnień, pomógł założyć aparat tlenowy, nawet ustnik wetknął mu między wargi.

— Nic nie wiadomo, nawigatorze?

— Nie, Jarg. Nic. Nic!

Nie wiedział, z kim jedzie na dół windą. Silniki maszyn wyły na obrotach. Wiatr wzmógł się i fale piasku przelatywały, siekąc powierzchnię kadłuba, chropawą i nierówną. Rohan zapomniał zupełnie o tym zjawisku. Podszedł do rufy i wspiął się na palce, dotknął końcami palców grubego metalu. Pancierz był jak skała, właśnie jak bardzo stara, wypróchniała powierzchnia skały, najeżona twardymi gruzełkami nierówności. Widział między transporterami wysoką sylwetkę inżyniera Ganonga, ale nawet nie próbował pytać go, co sądzi o tym fenomenie. Inżynier wiedział tyle co on. To znaczy nic. Nic.

Wracał z kilkunastoma ludźmi, siedząc w kącie kabiny największego transportera. Jak z wielkiego oddalenia słyszał ich głosy. Bosman Turner mówił coś o zatruciu, ale zakrzyczano go.

— Zatrucie? Czym? Wszystkie filtry są w doskonałym stanie! Zbiorniki pełne tlenu. Zapasy wody nienaruszone... żywności w bród...

— Widzieliście, jak wyglądał ten, któregośmy znaleźli w małej nawigacyjnej? — spytał Blank. — Znałem go... Nie byłbym go poznał, ale miał taki sygnet...

Nikt mu nie odpowiedział. Powróciwszy do bazy, Rohan udał się prosto do Horpacha. Ten orientował się już w sytuacji, dzięki transmisji telewizyjnej i raportom grupy, która wróciła wcześniej, przywożąc także kilkaset wykonanych zdjęć. Rohan poczuł mimo woli ulgę, że nie musi relacjonować dowódcy tego, co widział.

Astrogator przyjrzał mu się uważnie, wstając od stołu, na którym mapę okolicy zalegały odbitki fotograficzne. Byli we dwóch, w dużej kajucie nawigacyjnej.

— Niech się pan weźmie w garść, Rohan — powiedział. — Rozumiem, co pan czuje, ale potrzebny jest nam przede wszystkim rozsądek. I opanowanie. Musimy dojść sedna tej obłąkanej historii.

— Mieli wszystkie środki zabezpieczenia: energoboty, lasery, miotacze. Główny antymat stoi tuż przy statku. Mieli to samo, co my — bezbarwnym głosem powiedział Rohan. Usiadł nagle. — Przepraszam... — powiedział.

Astrogator wyjął z szafki ściennej butelkę koniaku.

— Stary środek, czasem się przydaje. Niech pan to wypije, Rohan. Używano tego dawniej, na polach bitew...

Rohan przełknął w milczeniu palący płyn.

— Sprawdzaliśmy liczniki zbiorcze wszystkich agregatów mocy — powiedział takim tonem, jakby się skarżył. Nie zaatakowało ich nic. Nawet nie dali jednego strzału. Po prostu — po prostu...

— Zwariowali? — poddał spokojnie astrogator.

— Chciałbym chociaż tego być pewnym. Ale jak to możliwe?

— Widział pan księgę pokładową?

— Nie. Gaarb zabrał ją. Pan ją ma?

— Tak. Po dacie lądowania są tylko cztery zapisy. Dotyczą tych ruin, które pan badał — i... „muszek”.

— Nie rozumiem. Jakich muszek?

— Tego nie wiem. Dosłownie brzmi to tak...

Podniósł ze stołu otwartą księgę.

— „Żadnych oznak życia na lądzie. Skład atmosfery”... to są dane analiz... o, tutaj... „O 18.40 drugi powracający z ruin patrol gasienicowy dostał się w lokalną burzę piaskową, o znacznej aktywności wyładowań atmosferycznych. Kontakt radiowy nawiązany, mimo zakłóceń. Patrol donosi o odkryciu znacznej ilości muszek, zalegających...”

Astrogator urwał i odłożył książkę.

— A dalej? Czemu pan nie kończy?

— To jest właśnie koniec. Na tym urywa się ostatni zapis.

— I więcej nie ma nic?

— Resztę może pan zobaczyć.

Podsunał mu otwartą stronę. Pokryta była nieczytelnymi gryzmołami. Rohan rozszerzonymi oczyma wpatrywał się w chaos przecinających się lin.

— Tu jest jakby litera „b”... — powiedział cicho.

— Tak. A tu „G”. Duże „G”. Zupełnie jakby pisało małe dziecko... Nie uważa pan?

Rohan milczał z pustą szklanką w ręku. Zapomniał ją odstawić. Pomyślał o niedawnych swoich ambicjach: marzył o tym, by samemu poprowadzić „Niewycięzonego”. Teraz wdzięczny był losowi, że nie on musi rozstrzygać o dalszych losach wyprawy.

— Proszę wezwać kierowników grup specjalistycznych. Rohan! Zbudź się pan!

— Przepraszam. Narada, panie astrogatorze?

— Tak. Niech wszyscy przyjdą do biblioteki.

Po kwadransie wszyscy siedzieli już w wielkiej, kwadratowej sali, o ścianach powleczonych barwną emalią; kryły w sobie książki i mikrofilmy. Najwstrętniejsze chyba było niesamowite podobieństwo pomieszczeń „Kondora” i „Niewycięzonego”. Zrozumiałe, były to statki bliźniacze — ale Rohan, patrząc w byle kąt, nie mógł odeprzeć obrazów szaleństwa, które wżarły mu się w pamięć.

Każdy człowiek miał tu ustalone swoje miejsce. Biolog, lekarz, planetolog, inżynierowie elektronicy i łącznościowcy, cybernetycy i fizycy siedzieli w ustawionych półkrygiem fotelach. Tych dziewiętnastu ludzi stanowiło mózg strategiczny statku. Astrogator stał samotny, pod opuszczonym do połowy białym ekranem.

— Czy wszyscy obecni zaznajomili się z sytuacją wykrytą na pokładzie „Kondora”?

Odpowiedzią był wielogłosy pomruk przytaknień.

— Do tej chwili — powiedział Horpach ekipy pracujące w perymetrze „Kondora” odnalazły dwadzieścia dziewięć ciał. Na samym statku znaleziono ich trzydzieści cztery, w tym jedno zachowane doskonale dzięki zamrożeniu w hibernatorze. Doktor Nygren, który właśnie wrócił stamtąd, zda nam relację ogólną...

— Nie mam wiele do powiedzenia — rzekł, wstając, mały doktor. Powoli podszedł do astrogatora. Był od niego niższy o głowę.

— Znaleźliśmy tylko dziewięć ciał zmumifikowanych. Poza tym, o którym wspominał

dowódca, a które będzie badane osobno. Są to właściwie szkielety lub części szkieletów, wydobyte z piasku. Mumifikacja zachodziła wewnątrz statku, gdzie były sprzyjające ku temu warunki: bardzo mała wilgotność powietrza, praktyczny brak bakterii gnilnych i niezbyt wysoka temperatura. Ciała, które znajdowały się na wolnej przestrzeni, ulegały rozkładowi, wzmagającemu się w okresach deszczów, bo piasek zawiera tu znaczny procent tlenków i siarczków żelaza, reagujących ze słabymi kwasami.. Zresztą myślę, że te szczegóły nie są istotne. Gdyby dokładne przedstawienie zachodzących reakcji było wskazane, sprawę tę można przekazać kolegom chemikom. W każdym razie w warunkach przestrzeni zewnętrznej mumifikacja tym bardziej nie mogła zachodzić, że dołączało się tu działanie wody i rozpuszczonych w niej substancji, a także działanie piasku, trwające przez szereg lat. Tym ostatnim tłumaczy się też wypolerowanie powierzchni kostnych.

— Przepraszam — przerwał mu astrologator. — Najważniejsza jest w tej chwili przyczyna zgonu tych ludzi, doktorze...

— Żadnych oznak gwałtownej śmierci, przynajmniej na ciałach najlepiej zachowanych — wyjaśnił natychmiast lekarz. Nie patrzył na nikogo, wyglądało, jakby obserwował coś niewidzialnego w uniesionej ku twarzy ręce. Obraz jest taki, jakby zmarli w sposób naturalny.

— To znaczy?

— Bez zewnętrznych, gwałtownych działań. Niektóre kości, długie, znalezione oddzielnie, są połamane, ale uszkodzenia takie mogły nastąpić później. Ustalenie tego wymaga dłuższych badań. Ci, którzy mieli na sobie ubrania, mają zarówno powłoki skórne, jak i szkielety nie uszkodzone. Żadnych ran, jeśli nie liczyć drobnych zadraśnień, które na pewno nie mogły być przyczyną śmierci.

— Więc w jaki sposób zginęli?

— Tego nie wiem. Można sądzić, że z głodu lub z pragnienia...

— Zapasy wody i żywności są tam nie zużyte — zauważył ze swojego miejsca Gaarb.

— Wiem o tym.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Mumifikacja jest przede wszystkim pozbawieniem organizmu wody — wyjaśnił Nygren. Wciąż nie patrzył na nikogo z obecnych. Tkanki tłuszczowe ulegają przemianom, ale można je wykryć. Otóż... ci ludzie praktycznie byli ich pozbawieni. Właśnie jak po długotrwałym głodowaniu.

— Ale ten zachowany w hibernatorze nie — rzucił stojący za ostatnim rzędem foteli Rohan.

— To prawda. Ale on zmarł prawdopodobnie wskutek zamrożenia. Musiał dostać się w niewiadomy sposób do hibernatora; być może usnął po prostu, podczas gdy temperatura spadała.

— Czy dopuszcza pan możliwość zbiorowego zatrucia? spytał Horpach.

— Nie.

— Ależ, doktorze... nie może pan tak kategorycznie...

— Mogę to powiedzieć — odparł lekarz. Zatrucie w warunkach planetarnych może nastąpić albo przez płuca, wdychanymi gazami, albo przez przewód pokarmowy, albo przez skórę. Jedne z najlepiej zachowanych zwłok miały nałożony aparat tlenowy. W butli był tlen. Starczyłoby go jeszcze na kilkanaście godzin...

To prawda — pomyślał Rohan. Przypomniał sobie tego człowieka, obciążoną skórę czaszki z resztkami zbrunatniałych plam na kościach policzkowych, oczodoły, z których wysypywał się piasek.

— Ludzie ci nie mogli zjeść nic zatrutego, bo tu w ogóle nie ma nic do jedzenia. To znaczy na łodzi. A żadnych połowów w oceanie nie podejmowali. Katastrofa nastąpiła zaraz po wylądowaniu. Wysłali zaledwie jeden patrol w głąb ruin. To było wszystko. Zresztą widzę właśnie McMinna. Kolego Minn, skończył pan?

— Tak — powiedział od drzwi biochemik. Wszystkie głowy zwróciły się ku niemu. Przeszedł środkiem między siedzącymi i stanął obok Nygrena. Miał jeszcze na sobie długi fartuch laboratoryjny.

— Przeprowadził pan analizy?

— Tak.

— Doktor McMinn badał ciało człowieka, który został znaleziony w hibernatorze — wyjaśnił Nygren. Może pan od razu powie, co pan znalazł?

— Nic — powiedział McMinn. Miał on włosy tak jasne, że nie wiadomo było, czy nie są po prostu siwe, i oczy tego samego koloru. Nawet jego powieki pokryte były dużymi piegami. Ale teraz ta długa, końska twarz nikogo nie śmieszyła.

— Żadnych trucizn organicznych ani nieorganicznych. Wszystkie enzymatyczne zespoły tkanek w stanie prawidłowym. Krew w normie. W żołądku resztki strawionych sucharów i koncentratu.

— Więc jak on zginął? spytał Horpach. Był wciąż tak samo spokojny.

— Po prostu zamarł — odpowiedział McMinn, i teraz dopiero zauważył, że ma na sobie fartuch. Odpiął sprzączki i rzucił go na stojący obok pusty fotel. Śliska tkanina osunęła się i spadła na podłogę.

— Więc jakie jest zdanie panów? podjął nieustępliwie astrogator.

— Nie mam żadnego — powiedział McMinn. — Mogę tylko powiedzieć, że ci ludzie nie ulegli zatruciu.

— Jakaś rozpadająca się szybko substancja radioaktywna? Albo twarde promieniowanie?

— Twarde promieniowanie w dawkach zabójczych pozostawia ślady: wynaczynienia, petechie, zmiany w obrazie krwi. Nie ma takich zmian. Nie ma też radioaktywnej substancji, która, zażyta w dawce śmiertelnej przed ośmiu laty, znikłaby bez śladu. Tutejszy poziom radioaktywności jest niższy od ziemskiego. Ci ludzie nie zetknęli się z żadną formą aktywności promienistej. Za to mogę ręczyć.

— Ale coś ich przecież zabiło! — podniesionym głosem powiedział planetolog Ballmin.

McMinn milczał. Nygren powiedział coś do niego po cichu. Biochemik skinął głową i wyszedł, mijając rzędy siedzących. Wtedy i Nygren zeszedł z podium i usiadł na swoim miejscu.

— Sprawa nie wygląda dobrze — powiedział astrogator. W każdym razie od biologów nie możemy spodziewać się pomocy. Czy któryś z panów ma coś do powiedzenia?

— Tak.

Wstał Sarner, fizyk atomista.

— Wytlumaczenie końca „Kondora” tkwi w nim samym — powiedział. Popatrzył na wszystkich po kolei swymi oczami dalekowzrocznego ptaka. Przy czarnych włosach tęczęwki miał prawie białe.

— To znaczy ono tam jest, tylko nie umiemy go na razie odczytać. Chaos, panujący w kajutach — nienaruszone zapasy, układ i rozmieszczenie zwłok, uszkodzenia instalacji — wszystko to coś oznacza.

— Jeśli nie ma pan nic więcej do powiedzenia... rzucił zniechęcony Gaarb.

— Powoli. Znajdujemy się w ciemności. Musimy szukać jakiejś drogi. Na razie wiemy bardzo niewiele. Mam wrażenie, że pewnych rzeczy, które widzieliśmy na pokładzie „Kondora”, nie mamy odwagi przypominać. Dlatego z taką uporczywością wracaliśmy do hipotezy zatrucia i wywołanego nim zbiorowego obłądzenia. W interesie nas samych — i przez wzgląd na tamtych — musimy jednak być wobec faktów bezwzględni. Proszę, a raczej zgłaszam kategoryczny wniosek, żeby każdy z was powiedział tu, zaraz, co było najbardziej szokujące na „Kondorze”. Czego, być może, nie powiedział nikomu. O czym pomyślał, że trzeba to zapamiętać.

Sarner usiadł. Rohan, po krótkiej walce wewnętrznej, powiedział o tych kawałkach mydła,



które zauważył w łazience.

Potem wstał Gralew. Pod warstwą podartych map i książek pełno było na pokładzie zeschniętych odchodów.

Ktoś inny powiedział o puszcze konserw, która nosiła ślady zębów. Jakby usiłowano rozgryźć blachę. Gaarba najbardziej przeraziły bazgroły w książce pokładowej i wzmianka o „muszkach”. Nie poprzestał na tym.

— Powiedzmy, że z tego tektonicznego rowu w „mieście” wydostała się fala gazów trujących i wiatr przyniósł ją do rakiety. Jeśli, wskutek nieostrożności, kłapa została nie domknięta...

— Nie domknięta była tylko kłapa zewnętrzna, kolego Gaarb. Świadczy o tym piasek w komorze ciśnień. Wewnętrzna była zamknięta...

— Mogli ją zamknąć potem, gdy już zaczęli odczuwać trujące działanie gazu...

— Przecież to niemożliwe, Gaarb. Wewnętrznej kłapy nie otworzy pan, kiedy otwarta jest zewnętrzna. Otwierają się na przemian, to wyklucza wszelką nieostrożność czy niedbalstwo...

— Ale jedno nie ulega dla mnie wątpliwości, że to się stało nagle. Zbiorowe szaleństwo — już nie mówię o tym, że w czasie lotu w próżni zdarzają się wypadki psychozy, ale nigdy na planetach, i to dosłownie w kilka godzin po lądowaniu. Zbiorowe szaleństwo, ogarniające całą załogę, mogło być tylko wynikiem zatrucia...

— Albo zdziennienia — zauważył Sarner.

— Jak? Co pan mówi? — osłupiał Gaarb. Czy to ma być... żart?

— Nie żartuję w takiej sytuacji. Powiedziałem o zdziennieniu, bo nikt o tym nie powiedział. A jednak — te gryzmoły w książce pokładowej, te porozdzierane almanachy gwiazdowe, te z trudem rysowane litery... widzieliście je, prawda?

— Ale co to znaczy? — spytał Nygren. — Czy to ma być jednostka chorobowa?

— Nie. Chyba nie ma takiej, prawda, doktorze?

— Na pewno nie.

Znowu zapadło milczenie. Astrogator wahał się.

— To może nas popchnąć w fałszywym kierunku. Wyniki nasłuchów nekroptycznych są zawsze niepewne. Ale teraz nie wiem, co mogłoby nam jeszcze zaszkodzić. Doktorze Sax...

Neurofizjolog przedstawił obraz uzyskany z mózgu zamrożonego w hibernatorze, jak również nie omieszkał powiedzieć o sylabach, które pozostały w słuchowej pamięci nieboszczyka. Wzniesło to istną burzę pytań; ich ogień krzyżowy dosięgnął także Rohana, bo i on brał udział w eksperymencie. Ale nie doszli niczego.

— Te plamki kojarzą się z „muszkami”... — powiedział Gaarb. — Zaraz. A może przyczyny śmierci były różne? Powiedzmy, że załogę opadły jakieś jadowite owady w końcu, nie da się stwierdzić śladu drobnego ukłucia na zmumifikowanej skórze. A ten, znaleziony w hibernatorze, po prostu usiłował się ukryć przed tymi owadami, by ująć losu towarzyszy... i zamarł.

— Ale dlaczego przed śmiercią zapadł na amnezję?

— To jest utrata pamięci, tak? Czy to zostało z całkowitą pewnością stwierdzone?

— O tyle, o ile pewne są wyniki badania nekroptycznego.

— Ale co powiecie o hipotezie tych owadów?

— Niech się wypowie w tej sprawie Lauda.

Był to główny paleobiolog statku; wstał, czekając, aż wszyscy się uciszą.

— Nieprzypadkowo nie mówiliśmy w ogóle o tak zwanych „muszkach”. Każdy, kto choć trochę orientuje się w biologii, wie, że żadne organizmy nie mogą żyć poza określonym biotopem, to jest jednostką nadrzędną, na którą składają się środowisko i wszystkie w nim żyjące gatunki. Tak jak w całym poznanym Kosmosie. Życie albo wytwarza olbrzymią różnorodność form, albo nie powstaje wcale. Owady nie mogły powstać bez równoczesnego

rozwoju roślin naziemnych, innych ustrojów symetrycznych, bezkręgowych i tak dalej. Nie będę wam wykladał ogólnej teorii ewolucji, myślę, że wystarczy, jeżeli zapewnię was, że to niemożliwe. Nie ma tutaj żadnych trujących much ani innych członkonogich stawonogów, błonkoskrzydłowych czy pajęczaków. Nie ma też żadnych form z nimi spokrewnionych.

— Nie może pan być tak pewny swego! — zawołał Ballmin.

— Gdybyście byli moim uczniem, Ballmin, nie dostalibyście się na ten pokład, bo byście nie zdali u mnie egzaminu — powiedział niewzruszony paleobiolog, i obecni mimo woli uśmiechnęli się. — Nie wiem, jak tam z planetologią, ale z biologii ewolucyjnej niedostatecznie!

— Już się z tego robi typowy spór fachowców... nie szkoda na to czasu...? szepnął ktoś do Rohana z tyłu. Rohan odwrócił się i zobaczył szeroką, opaloną twarz Jarga, który mrugnął doń porozumiewawczo.

— Więc to może nie są owady pochodzenia miejscowego upierał się przy swoim Ballmin — może przywieziono je skądś.

— Skąd?

— Z planet Nowej...

Teraz wszyscy zaczęli mówić naraz. Trwało to dobrą chwilę, nim dało się uspokoić zgromadzonych.

— Koledzy! powiedział Sarner. Wiem, skąd wziął swój pomysł Ballmin. Od doktora Gralewa...

— Trudno, nie wypieram się autorstwa rzucił fizyk.

— Doskonale. Powiedzmy, że na luksus prawdopodobnie brzmiących hipotez już nie możemy sobie pozwolić. Że potrzebujemy hipotez szalonych. Niech będzie i tak. Panowie biolodzy! Powiedzmy, że jakiś statek z planety Nowej przywiózł tu tamtejsze owady. Czy mogły się zaadaptować do miejscowych warunków?

— Jeśli hipoteza ma być szalona, to mogłyby — zgodził się ze swego miejsca Lauda. Ale nawet szalona hipoteza musi tłumaczyć wszystko.

— To znaczy?

— To znaczy, że musi wyjaśnić, co pogryzło cały pancierz zewnętrzny „Kondora”, i to do tego stopnia, że jak mi mówią inżynierowie, statek w ogóle nie będzie zdolny do lotu, dopóki nie zostanie poddany bardzo gruntownemu remontowi. Czy sądzicie może, że jakieś owady przystosowały się do spożywania stopu molibdenowego? Jest to jedna z najtwardszych substancji w całym Kosmosie. Inżynierze Petersen, co może wziąć ten pancierz?

— Kiedy jest dobrze zacementowany, właściwie nic — powiedział zastępca głównego inżyniera. Można to trochę nawiercić diamentami, ale na to trzeba tony wiertel i tysiąca godzin czasu. Już raczej kwasami. Ale to są kwasy nieorganiczne, muszą działać w temperaturze co najmniej dwu tysięcy stopni i w obecności odpowiednich katalizatorów.

— A co, według pana, zgryzło pancierz „Kondora”?

— Nie mam pojęcia. Wyglądałby tak, gdyby siedział w kąpielni kwasowej i w odpowiednim żarze. Ale jak to zostało zrobione — bez łuków plazmowych i bez katalizatorów — tego nie umiem sobie wyobrazić.

— Macie wasze „muszki”, kolego Ballmin — powiedział Lauda i usiadł.

— Myślę, że nie ma sensu kontynuować dyskusji — odezwał się milczący dotąd astrogator. — Może było na nią jeszcze za wcześnie. Nie pozostaje nam nic innego, jak prowadzić badania. Podzielimy się na trzy grupy. Jedna zajmie się ruinami. Druga „Kondorem”, a trzecia dokona kilku wypadów w głąb pustyni zachodniej. To jest maksimum naszych możliwości, bo nawet jeśli uruchomi się niektóre maszyny „Kondora”, nie mogą zdjąć z perymetru więcej aniżeli czternaście energobotów, a w dalszym ciągu będzie obowiązywał trzeci stopień...

## PIERWSZY...

Tłąca, śliska czerń otaczała go ze wszystkich stron. Dusił się. Rozpaczliwymi ruchami usiłował odepchnąć niematerialne jak gdyby, okręcające go zwoje, zapadając się coraz głębiej, z krzykiem wtłoczonym w obrzękłe gardło, daremnie szukał broni, był nagi, ostatni raz wyteżył wszystkie siły, by krzyżeć. Ogłuszający dźwięk wyrwał go ze snu. Rohan wyskoczył z koi na pół przytomny, wiedząc tylko tyle, że otacza go mrok, w którym nieustannie dzwoni alarmowy sygnał. To już nie był koszmar. Zapalił światło, narzucił kombinezon i pobiegł ku windzie. Tłoczyli się przy niej na wszystkich poziomach ludzie. Słychać było przeciągły dźwięk sygnałów, czerwone napisy ALARM gorzały ze ścian. Wbiegł do sterowni. Astrogator, ubrany jak za dnia, stał przed głównym ekranem.

— Odwołałem już alarm powiedział spokojnie. To tylko deszcz, Rohan, ale niech pan patrzy. Bardzo ładne widowisko.

W samej rzeczy ekran, który ukazywał górną część nocnego nieba, jarzył się niezliczonymi iskrami wyładowań. Krople deszczu, padając z wysokości, trafiały w niewidzialną, nakrywającą „Niezwycięzonego” na kształt olbrzymiej czaszy osłonę pola siłowego i obracając się w mgnieniu oka w mikroskopijne płomienne wybuchy, oświetlały cały krajobraz migotliwym światłem, podobnym do ustokrotnionej zorzy polarnej.

— Należałoby lepiej zaprogramować automaty... słabym głosem powiedział Rohan, zupełnie już przytomny. Odechciało mu się snu. Muszę powiedzieć Ternerowi, żeby nie włączał anihilacji. Inaczej byle garść piasku przyniesiona wiatrem będzie nas zrywać w środku nocy...

— Dajmy na to, że to był próbny alarm. Rodzaj manewrów — odparł astrogator, który zdawał się być w nadspodziewanie dobrym humorze. — Jest teraz czwarta. Może pan wracać do siebie, Rohan.

— Prawdę mówiąc, nie mam ochoty. Czy pan...?

— Spałem już. Wystarczą mi cztery godziny. Po szesnastu latach próżni rytm snu i czuwania nie ma w człowieku już nic wspólnego ze stałym ziemskim nawykiem. Zastanawiałem się nad maksymalnym zabezpieczeniem ekip badawczych, Rohan. To dosyć kłopotliwe — wlec wszędzie energoboty i rozwijać osłony siłowe. Co pan o tym sądzi?

— Można by dać ludziom indywidualne emitery. Ale to też nie rozwiąże wszystkiego. Człowiek w siłowym pęcherzu nie może niczego dotknąć... pan wie, jak to jest. A jeżeli zanadto zmniejszy się promień energetycznego bąbla, można się nawet samemu poparzyć. Widziałem już to.

— Myślałem nawet o tym, żeby nikogo nie puszczać na ląd i pracować przy pomocy robotów ze zdalnym sterowaniem — przyznał się astrogator. No, ale to dobre na kilka godzin, na dzień, a wygląda mi na to, że zostaniemy tu dłużej...

— Więc co zamierza pan robić?

— Każda grupa będzie miała bazę wyjściową otoczoną polem siłowym, ale poszczególni badacze muszą zyskać pewną swobodę ruchów. Inaczej zabezpieczymy się przed wypadkami tak dobrze, że do niczego nie dojdziemy. Warunek konieczny jest taki, że każdy pracujący na zewnątrz osłony siłowej ma za plecami człowieka osłoniętego, który czuwa nad jego poruszeniami. Nie znikać z oczu to pierwsza zasada na Regis III.

— Gdzie mnie pan przydzielili?

— Chciałby pan pracować przy „Kondorze”...? Widzę, że nie. Dobrze. Pozostaje miasto albo pustynia. Może pan wybierać.

— Wybieram miasto, panie astrogatorze. Wciąż mi się zdaje, że tajemnica jest tam ukryta...

— Możliwe, a zatem jutro, a właściwie dzisiaj, bo już świta, weźmie pan swoją wczorajszą

ekipę. Dodam panu jeszcze ze dwa arktany. Ręcznych laserów też warto trochę wziąć, bo takie mam wrażenie, że „to” działa z niewielkiego dystansu...

— Co?

— Żeby wiedział! Aha. I kuchnię niech pan weźmie, tak aby być zupełnie od nas niezależnym i w razie potrzeby móc pracować bez stałej łączności materiałowej ze statkiem...

Czerwone, prawie nie grzejące słońce przetoczyło się przez nieboskłon. Cienie groteskowych budowli wydłużały się i łączyły. Ruchome wydmy między metalowymi piramidami wiatr przesuwiał wciąż na inne miejsca. Rohan siedział na grzbiecie ciężkiego transportera i przez lunetę wpatrywał się w Gralewa i Chena, którzy poza granicą pola siłowego grzebali się u stóp czarniawego „plastra miodu”. Pas, na którym wisiał ręczny miotacz świetlny, ugniatał mu kark. Odsunął go, jak się dało do tyłu, nie spuszczać z oka dwóch ludzi. Plazmowy palnik w ręku Chena świecił jak drobny, lecz oślepiający brylant. Z wnętrza pojazdu doszedł go dźwięk rytmicznie powtarzającego się sygnału wywoławczego, ale ani na chwilę nie odwrócił głowy. Słyszał, jak kierowca odpowiada bazie.

— Panie nawigatorze! Rozkaz dowódcy! Mamy natychmiast wracać! — krzyknął podniecony Jarg, wystawiając głowę przez właz wieżyczki.

— Wracać? Dlaczego?

— Nie wiem. Powtarzają wciąż sygnał natychmiastowego powrotu i cztery razy

— EV. EV?! Och, jak mi kości zdrętwiały! To znaczy, że musimy się spieszyć. Daj mi tu mikrofon i wyciągnij flary.

Po dziesięciu minutach wszyscy ludzie zewnętrznej strefy byli już w pojazdach. Rohan poprowadził swą niewielką kolumnę z maksymalną szybkością, na jaką zezwalał pagórkowaty teren. Blank, który pełnił teraz przy nim funkcję łącznościowca, nagle podał mu słuchawki. Rohan spuścił się w dół do metalowego wnętrza pachnącego rozgrzanym plastykiem i w powiewie idącym od wentylatora, który rozwiewał mu włosy, słuchał wymiany sygnałów między grupą Gallaghery, pracującą na Pustym Zachodniej, i „Niezwyciężonym”. Zbierało się jakby na burzę. Od rana już barometry wskazywały niskie ciśnienie, ale dopiero teraz powyłaziły spoza horyzontu granatowe, płaskie chmury. Niebo nad nimi było czyste. Na brak zakłóceń atmosferycznych nie można było się skarżyć — trzeszczało w słuchawkach tak, że łączność szła tylko morsem. Rohan chwycił grupy umownych sygnałów. Włączył się na ten podsłuch zbyt późno, więc nie mógł się zorientować, o co chodzi. Zrozumiał tylko, że grupa Gallaghera też wraca do bazy całą mocą, a na statku ogłoszono pogotowie i wezwano na stanowiska wszystkich lekarzy.

— Pogotowie lekarzy — powiedział do patrzących nań wyczekująco Ballmina i Gralewa. — Jakiś wypadek. Ale pewno nic wielkiego. Może był obwał, mogło kogoś zasypać...

Mówił tak, ponieważ wiadomo było, że ludzie Gallaghera mieli się wziąć do wykopalisk geologicznych w ustalonym przez wstępny zwiad miejscu. Prawdę mówiąc, sam nie wierzył w to, że zdarzył się tylko zwykły wypadek w czasie pracy. Od bazy dzieliło ich zaledwie sześć kilometrów, ale tamtą grupę ściągnięto widać dużo wcześniej, gdyż w momencie, kiedy zobaczyli ciemny, pionowy kształt „Niezwyciężonego”, przecięli zupełnie świeże ślady gąsienic, a przy takim wietrze nie byłyby one widoczne ani przez pół godziny.

Zbliżyli się do granicy zewnętrznego pola i zaczęli wzywać sterownię, żeby otworzono im przejście. Dziwnie długo musieli czekać, zanim odpowiedziano wreszcie na wezwanie. Na koniec zapaliły się umowne, błękitne światła i wjechali w obręb wewnętrznego perymetru. Była tu już grupa z „Kondora”. A więc to ją sprowadzono przed nimi, nie geologów Gallaghera. Gąsienicówki stały, jedne obok pochylni, inne zagradzały dojazd, panował bałagan, ludzie biegali, grzęznąąc po kolana w piasku, automaty błyskały latarkami.

Zapałał już zmierzch. Przez chwilę Rohan nie mógł się połapać w tym chaosie. Nagle z wysokości buchnął słup oślepiającej bieli. Wielki reflektor upodobił raketę do olbrzymiej latarni morskiej. Wymacał daleko na pustyni kolumnę światła, chybocących raz w górę, raz w

dół, to na boki, jakby naprawdę zbliżała się jakaś armada statków. Znowu błysnęły światła otwieranego pola siłowego. Maszyny jeszcze nie stanęły, a już siedzący na nich ludzie Gallaghera zeskakiwali w piach, od pochylni nadjeżdżał na kołach drugi reflektor, poprzez szpaler stłoczonych, zepchniętych na boki maszyn szła grupa ludzi, otaczając nosze, na których ktoś leżał.

Rohan roztrzącił stojących przed nim w chwili, kiedy nosze mijały go, i osłupiał. W pierwszej chwili pomyślał, że naprawdę zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, ale człowiek na noszach miał skrępowane nogi i ręce.

Targając całym ciałem, aż skrzypiały sznury, którymi był unieruchomiony, wydawał szeroko rozwartymi ustami skomlący, okropny głos. Grupa przeszła już, kierując się w ślad za prowadzącym ją koliskiem reflektorów, a Rohana, stojącego w ciemności, wciąż dobiegało to nieludzkie skomlenie, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek słyszał. Biała plama światła z poruszającymi się w niej figurkami zmalowała, wznosząc się po pochylni, i znikła w ziejącym szeroko wejściu towarowego luku. Rohan zaczął się dopytywać, co zaszło, ale otaczali go ludzie ekipy „Kondora”, którzy wiedzieli tyle samo co on.

Minęła dobra chwila, nim oprzytomniał dostatecznie, by zaprowadzić jaki taki porządek. Wstrzymany szereg maszyn ruszył, hucząc silnikami, w górę pochylni, zapaliły się światła nad windą, gromada stojących u jej stóp zmniejszała się, na koniec Rohan pojechał na górę jako jeden z ostatnich, z ciężko objuczonymi arktanami, których spokój wydawał mu się szczególnie perfidną drwiną. We wnętrzu rakiety słychać było przeciągłe dzwonki informatorów i wewnętrznych telefonów, na ścianach wciąż jeszcze płonęły alarmowe wezwania lekarzy, ale te zaraz zgasły — robiło się coraz luźniej. Część załogi zjeżdżała w dół do mesy, słyszał rozmowy w korytarzu wypełnionym krokami, jakiś zapóźniony arktan ciężko stapał, zmierzając do przedziału robotów, wreszcie wszyscy się rozeszli, a on został jakby porażony bezwładem, jakby utracił nadzieję na zrozumienie tego, co się stało, jakby ogarnięty pewnością, że żadnego wytłumaczenia nie może być i nie będzie.

— Rohan!

Stał przed nim Gaarb. Ten okrzyk otrzeźwił go. Drgnął.

— To pan...? Doktorze... widział pan? Kto to był?

— Kertelen.

— Co?! To niemożliwe.

— Widziałem go prawie do samego końca...

— Do jakiego końca?

— Byłem z nim razem — powiedział nadnaturalnie spokojnym głosem Gaarb. Rohan widział błyskanie światła korytarza w jego szklach.

— Grupa eksploracyjna pustyni... wybełkotał.

— Tak.

— I co się z nim stało?

— Gallagher wyznaczył to miejsce na podstawie sejsmicznych sondowań... trafiliśmy w labirynt małych, krętych wąwozów — mówił powoli Gaarb, jakby nie do niego, jakby sam usiłował sobie dokładnie przypomnieć kolejność wypadków. — Są tam miękkie skałki pochodzenia organicznego, poryte wodą, pełno grot, jaskiń, musieliśmy zostawić gąsienicówki na wierzchu... Szliśmy blisko siebie, było nas jedenastu. Ferrometry wykazywały obecność większej ilości żelaza; szukaliśmy go. Kertelen myślał, że gdzieś są ukryte jakieś maszyny...

— Tak, mnie też mówił coś podobnego... i co było potem?

— W jednej z jaskiń, zupełnie płytko, pod mułem — tam są nawet stalaktyty i stalagmity — znalazł coś w rodzaju automatu.

— Naprawdę?!

— Nie, nie to, co pan myśli. Kompletne truchło, przeżarte nawet nie rdzą, to jakiś stop

nierdzewny, ale skorodowany, na wpół zgorzały, po prostu szczątki.

— Ale może inne...

— Kiedy ten automat liczy sobie co najmniej trzysta tysięcy lat...

— Skąd pan może wiedzieć?

— Bo na górnej powierzchni osadzał się wapień, w miarę tego, jak parowała woda, kapiąca ze stalaktytów sklepienia. Gallagher sam robił szacunkowe pomiary, według tempa parowania, wytwarzania się osadu i jego grubości. Trzysta tysięcy lat to szacunek najskromniejszy... Zresztą ten automat podobny jest właściwie — wie pan do czego? Do tych ruin!

— A więc to nie żaden automat...

— Nie, musiał się poruszać, ale nie na dwu nogach. I nie jak krab. Nie mieliśmy czasu zresztą badać, bo zaraz potem...

— Co się stało?

— Co jakiś czas liczyłem ludzi. Byłem w osłonie, miałem ich strzec, rozumie pan... ale przecież wszyscy byli w maskach, pan wie, jak to jest, wszyscy do siebie podobni, a kombinezony też już nie były kolorowe, bo się wybrudziły gliną. W pewnej chwili zabrakło mi jednego człowieka. Zawołałem wszystkich i zaczęliśmy szukać. Kertelen bardzo się cieszył z tego swojego znaleziska i myszkował dalej... Myślałem po prostu, że zapędził się w jakąś odnogę wąwozu... Pełno tam zaułków, ale wszystkie krótkie, płytkie, doskonale oświetlone... Nagle wyszedł na nas spoza zakrętu. Już w takim stanie. Nygren był z nami, myślał, że to udar cieplny...

— Więc co z nim właściwie jest? J

— est nieprzytomny. Chociaż właściwie nie. Może chodzić, poruszać się, tyle że niepodobna nawiązać z nim kontaktu. Poza tym utracił mowę. Słyszał pan jego głos?

— Tak.

— Teraz jakby trochę się zmęczył. Przedtem było jeszcze gorzej. Nie poznawał nikogo z nas. W pierwszej chwili to było najstraszniejsze. Kertelen, gdzie się podziewasz?! zawołałem, a on minął mnie, zupełnie jakby ogłuchł, przeszedł między nami i poszedł w górę wąwozu, ale takim krokiem, w taki sposób, że wszystkim zrobiło się zimno. Po prostu, no, jak podmieniony. Nie reagował na wołania, więc musieliśmy go gonić. Co się tam działo! Jednym słowem, trzeba go było wiązać, inaczej nie sprowadzilibyśmy go z powrotem.

— Co mówią lekarze?

— Jak zwykle mówią po łacinie, ale poza tym nie wiedzą nic. Nygren jest z Saxem u dowódcy, możesz tam spytać...

Gaarb odszedł ciężkim krokiem, z przechyloną po swojemu głową. Rohan wszedł do windy i pojechał na górę, do sterowni. Była pusta, ale mijając kajuty kartograficzne, usłyszał przez nie domknięte drzwi głos Saxa. Wszedł do środka.

— Jak gdyby całkowity zanik pamięci. Tak to wygląda — mówił neurofizjolog. Stał tyłem do Rohana, patrząc na trzymane w ręku zdjęcie rentgenowskie. Za biurkiem siedział, nad otwartą księgą pokładową, astrogator, z ręką uniesioną i opartą o regały, wypełnione szczelnie zwiniętymi mapami gwiazdowymi. Słuchał w milczeniu Saxa, który powoli chował zdjęcie do koperty. —

— Amnezja. Ale wyjątkowa. Utracił nie tylko pamięć tego, kim jest, ale mowę, zdolność pisania, czytania; właściwie to nawet więcej niż amnezja: kompletny rozpad, unicestwienie osobowości. Nie zostało z niej nic, oprócz najprymitywniejszych odruchów. Potrafi chodzić i jeść, ale tylko jeżeli jedzenie podaje mu się do ust. Chwyta, ale...

— Słyszy i widzi?

— Tak. Na pewno. Ale nie rozumie tego, co widzi. Nie odróżnia ludzi od sprzętów.

— Odruchy?

— W normie. To sprawa centralna.

— Centralna?

— Tak. Mózgowa. Jakby całkowite zatarcie wszystkich śladów pamięci.

— A więc tamten człowiek z „Kondora”...

— Tak. Teraz jestem tego pewien. To było to samo.

— Widziałem raz coś takiego — zupełnie cicho, prawie szeptem powiedział astrogator. Patrzył na Rohana, ale nie zwracał nań uwagi. To było w przestrzeni...

— Ach, wiem! Że to mi do głowy nie przyszło! podniesionym głosem rzucił neurofizjolog. Amnezja po udarze magnetycznym, tak?

— Tak.

— Nigdy nie widziałem takiego przypadku. Znam tę jednostkę tylko z teorii. To się zdarzało dawno temu, podczas przechodzenia z wielką szybkością przez silne pole magnetyczne?

— Tak. To znaczy w swoistych warunkach nie tyle ważne jest samo natężenie pola, ile jego gradient i gwałtowność zachodzącej zmiany. Jeśli są w przestrzeni wielkie gradienty, a zdarzają się skokowe — czujniki wykrywają je na odległość. Dawniej ich nie było...

— Prawda... powtarzał lekarz. Prawda... Ammerhatten robił takie doświadczenia na małpach i kotach. Poddawał je działaniu olbrzymich pól magnetycznych, aż traciły pamięć...

— Tak, to ma przecież coś wspólnego z elektrycznymi pobudzeniami mózgu...

— Ale w tym wypadku — głośno zastanawiał się Sax oprócz raportu Gaarba mamy zeznania wszystkich jego ludzi. Potężne pole magnetyczne... przecież to muszą być chyba setki tysięcy gaussów?

— Setki tysięcy nie wystarczą. Potrzebne są miliony oschle powiedział astrogator. Teraz dopiero wzrok jego zatrzymał się na Rohanie.

— Niech pan wejdzie i zamknie drzwi.

— Miliony?! A czy aparaty pokładowe nie wykryłyby takiego pola?

— O tyle, o ile odparł Horpach. Gdyby było skoncentrowane w bardzo małej przestrzeni — gdyby miało, powiedzmy, objętość jak ten globus i gdyby było z zewnątrz ekranowane...

— Jednym słowem, gdyby Kertelen włożył głowę między bieguny gigantycznego elektromagnesu...?

— I tego mało. Pole musi oscylować z określoną częstotliwością.

— Ale tam nie było żadnego magnesu ani żadnej maszyny, oprócz tych zardzewiałych szczątków — nic, tylko wymyte przez wodę wąwozy, żwir i piasek...

— I jaskinie — rzucił miękko, jakby obojętnie Horpach.

— I jaskinie... czy pan myśli, że ktoś go wciągnął do takiej jaskini, że tam jest magnes — nie, to przecież...

— A jak pan to tłumaczy? — spytał dowódca, jakby zniechęcony czy znudzony tą rozmową. Lekarz milczał.

O trzeciej czterdzieści w nocy wszystkie pokłady „Niezwycięzonego” wypełnił przeciągły dźwięk sygnałów alarmowych. Ludzie zrywali się z posłań i klnąc w żywy kamień oraz ubierając się w biegu, gnali na stanowiska. Rohan znalazł się w sterowni w pięć minut po pierwszym szczęknięciu dzwonek. Astrogatora jeszcze w niej nie było. Przyskoczył do głównego ekranu. Czarną noc rozwidniało od wschodu mrowie białych rozbłysków. Wyglądało to, jakby wychodzący z jednego radiantu rój meteorów atakował rakietę. Spojrzył na zegary kontrolne pola. Automaty programował sam, nie mogły więc reagować na deszcz ani na burzę piaskową. Z niewidocznej w mrokach pustyni leciało coś i rozpryskiwało się ognistymi paciorkami, wyładowania następowały na powierzchni pola i zagadkowe pociski, odskakując już w płomieniu, smużyły się parabolami coraz bledszej poświaty albo ściekały wzdłuż wypukłości osłony energetycznej. Szczyty wydm wyskakiwały na mgnienie z ciemności i nikły, wskaźniki drgały leniwie — efektywna moc, zużywana przez zespół miotaczy Diraca na unicestwienie zagadkowego bombardowania, była stosunkowo niewielka.

Słyszając już za plecami kroki dowódcy, Rohan spojrział na zestaw czujników spektroskopowych.

— Nikiel, żelazo, mangan, beryl, tytan — odczytał z jasno oświetlonej tarczy astrogator, stając obok niego. — Wiele bym dał, żeby zobaczyć, co to właściwie jest.

— Deszcz metalowych cząstek — powiedział powoli Rohan. Sądząc z wyładowań, wymiary ich muszą być małe...

— Chętnie bym zobaczył je z bliska... mruknął dowódca. Jak pan myśli, zaryzykujemy?

— Żeby wyłączyć pole?

— Tak. Na ułamek sekundy. Drobną część dostanie się w głąb perymetru, a resztę odetniemy, włączając pole z powrotem...

Rohan nie odpowiedział przez dobrą chwilę.

— Cóż, można by — odezwał się wreszcie z wahaniem. Ale zanim jeszcze dowódca podszedł do pulpitu sterującego, świetlne mrowie zgasło równie nagle, jak się pojawiło — i zapadła ciemność taka, jaką znają tylko pozbawione księżyców planety, krążące z dala od centralnych skupisk gwiazdnych Galaktyki.

— Nie udały nam się łowy — mruknął Horpach. Z ręką na głównym wyłączniku stał dobrą chwilę, potem skinąwszy lekko głową Rohanowi, wyszedł. Jękliwy dźwięk sygnałów odwołujących alarm wypełniał wszystkie poziomy. Rohan westchnął, raz jeszcze spojrział w pełne czarnego mroku ekrany i poszedł spać.



## CHMURA

Zaczynali już przywykać do planety — do jej niezmiennego, pustynnego oblicza z nikłymi cieniami chmur zawsze jakby się rozplywających, nienaturalnie jasnych, spomiędzy których i za dnia prześwitywały silne gwiazdy. Do szmeru piasku, zapadającego się pod kołami i stopami, do czerwonego, ociążałego słońca, którego dotyk był nieporównanie delikatniejszy od ziemskiego, tak że gdy mu się poddawało plecy, zamiast ciepła czuło się wtedy tylko jakby milczącą obecność. Rano ekipy wyruszały w teren, każda w swoją stronę, energoboty znikły wśród wydm, kołysząc się jak niezgrabne łodzie, opadała kurzawa i pozostali przy „Niezwyciężonym” mówili o tym, co będzie na obiad, co radarowy bosman powiedział dziś do łącznościowego, albo usiłowali sobie przypomnieć, jak się nazywał pilot kursowy, który przed sześciu laty stracił nogę w wypadku na satelicie nawigacyjnym Terra 5. Gadali tak, siedząc na pustych kanistrach pod kadłubem, którego cień, niczym wskazówka gigantycznego zegara słonecznego, krążył, wydłużając się zarazem, aż dotykał linii energobotów. Od tej chwili zaczynali już wstawać i wypatrywać wracających. A ci znów, kiedy się pojawili, głodni i zmęczeni, tracili nagle całe ożywienie, w jakim utrzymywała ich praca w metalowych zgliszczach „miasta”, i nawet ekipa „Kondora” po tygodniu przestała już przybywać z sensacyjnymi nowinami, sprowadzającymi się do tego, że udało się w znalezionych szczątkach rozpoznać jakiegoś człowieka, i to, co było w pierwszych dniach znakami grozy, przywiezione z „Kondora”, zostało starannie zapakowane (bo jak nazwać inaczej ów proces sumiennego układania wszystkich ocalałych szczątków ludzkich w hermetycznych zbiornikach, które powędrowały na dno statku?) i znikło. Wtedy, zamiast ulgi, jakiej należałoby może oczekiwać, ludzie, nadal przesiewający piach wokół rufy „Kondora” i myszkujący w jego pomieszczeniach, jęli doznawać takiego znudzenia, że jakby zapomniawszy, co spotkało jego załogę, zajmowali się kolekcjonowaniem idiotycznych drobiazgów, nie wiadomo do kogo ongiś należących, pozostałych po nie istniejących właścicielach. Tak że przywozili, zamiast dokumentów, które by wyjaśniły tajemnicę, wobec ich braku — to jakąś starą harmonijkę, to chińską łamigłówkę, i przedmioty te, już ogołocone z mistycznej niesamowitości swego pochodzenia, szły w obieg, stawały się jakby wspólną własnością załogi. Rohan, który nigdy by nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe, już po tygodniu zachowywał się tak właśnie jak wszyscy. I tylko czasem, kiedy był sam, zadawał sobie pytanie, po co tu właściwie jest, i czuł wtedy, że cała ich działalność, cała skwapliwa krzątania, ten skomplikowany proceder badań, prześwieśleń, zbierania próbek, wiercenia pokładów skalnych, uciążliwy przez nieustającą konieczność przestrzegania III stopnia, z otwieraniem i zamykaniem pól, z lufami laserów, mających dobrze obliczone pola ostrzału, ze stałą kontrolą optyczną, ciągłym liczeniem, łącznością wielokanałową, że to wszystko jest jakimś wielkim samooszukiwaniem się. Że w gruncie rzeczy czekają tylko na jakiś nowy wypadek, nowe nieszczęście i udają tylko, że tak nie jest. Początkowo rano ludzie gromadzili się przed lazaretem „Niezwyciężonego”, aby usłyszeć nowiny o stanie Kertelena. Wydawał im się nie tyle ofiarą zagadkowego ataku, co jakąś istotą nieludzką, stworem, odmiennym od nich wszystkich, zupełnie jakby uwierzyli w fantastyczne bajki i sądzili, że możliwe jest przekształcenie człowieka, jednego z nich, przez wrogie, obce siły planety w monstrum. W rzeczywistości był on tylko kaleką; okazało się zresztą, że jego umysł, nagi jak nowo narodzonego dziecka i tak samo pusty, przyjmuje wiedzę, której udzielali mu lekarze, i stopniowo uczył się mówić, zupełnie właśnie jak małe dziecko; z lazaretu nie dobiegało już niepodobne do ludzkiego głosu skomlenie, okropne przez to, że bezsensowny bełkot niemowlęcia wydawała krtań dojrzałego mężczyzny. Kertelen po tygodniu zaczynał wymawiać pierwsze sylaby i poznawał już lekarzy, chociaż nie mógł wymówić ich nazwisk.

Wtedy, z początkiem drugiego tygodnia, zainteresowanie jego osobą zmniejszyło się tym

bardziej, gdy lekarze wyjaśnili, że o okolicznościach wypadku nie będzie mógł nic powiedzieć, nawet gdy powróci do stanu normalnego, czy raczej ukończy dziwną, choć niezbędną edukację. Tymczasem prace szły swoim trybem. Gromadziły się plany „miasta”, szczegóły konstrukcji jego „krzaczastych piramid”, choć przeznaczenie ich dalej pozostawało ciemne. Uznavszy, że dalsze badania „Kondora” nie przyniosą niczego, astrolog wstrzymał je. Sam statek trzeba było porzucić, bo reperacja powłoki przekraczała możliwości inżynierów, zwłaszcza w warunkach prac o tyle pilniejszych. Ściągnięto tylko do „Niezwycięzonego” sporo energobotów, transporterów, łazików i wszelkiej aparatury, sam zaś wrak — bo stał się właściwie wrakiem po tak dokładnym opustoszeniu — zamknięto na głucho, pocieszając się, że oni sami albo jakaś następna ekspedycja doprowadzi jednak krążownik do portu macierzystego. Horpach przerzucił wtedy ekipę „Kondora” na północ; dołączyła ona, jako grupa Regnara, do grupy Gallaghery: sam Rohan był teraz głównym koordynatorem wszystkich badań i poblize „Niezwycięzonego” opuszczał tylko na krótko, a i to nie każdego dnia.

Obie te grupy natrafiły, w systemie wąwozów, wyplukiwanych przez podziemne źródła, na osobliwe znaleziska.

Warstwy osadowych iłów przedzielone były warstwami czarniawo-rudej substancji, pochodzenia nie geologicznego, nie planetarnego. Fachowcy niewiele więcej mogli na ten temat powiedzieć. Wyglądało to tak, jakby na powierzchni starej tarczy bazaltowej, dennego pokładu skorupy, przed jakimiś milionami lat złożone zostały ogromne ilości metalowych odłamków może po prostu szczątków metalicznych (padła hipoteza, że w atmosferze Regis rozbryztał się gigantyczny, niklowo-żelazowy meteor i płomiennymi deszczami wtopił się w skały owej prastarej epoki), które, ulegając powolnemu utlenieniu, wchodząc w reakcje chemiczne z otoczeniem, przekształciły się wreszcie w pokłady brunatno-czarnych, miejscami rudo-purpurowych osadów.

Odkrywki dotychczasowe wgryzły się ledwo w część pokładów terenu, którego struktura geologiczna złożonością swą mogła przyprawić nawet wytrawnego planetologa o zawrót głowy. Gdy wybito studnie aż do bazaltu sprzed miliarda lat, okazało się, że skały na nim ułożone, mimo daleko posuniętej rekrytalizacji, wykazują obecność organicznego węgla. Sądzono zrazu, że było to wtedy dno oceaniczne. Ale w pokładach już autentycznego węgla kamiennego odkryte zostały odciski licznych gatunków roślinnych, które mogły wegetować tylko na suszy. Kolejno katalog żywych form kontynentalnych planety uzupełniał się i powiększał. Było już wiadome, że przed trzystu milionami lat chodziły po jej dżunglach prymitywne gady. Resztki kręgosłupa i rogowych szczęk jednego przywieźli uczeni w triumfie, którego nie podzielała jednak załoga. Ewolucja rozwijała się na lądzie jak gdyby dwa razy; pierwszy zmierzch żywego świata przypadł na epokę sprzed około stu milionów lat; doszło wtedy do gwałtownego wymierania roślin i zwierząt, wywołanego prawdopodobnie bliskim wybuchem gwiazdy Nowej. Życie podźwignęło się jednak potem z upadku i wybujało nowymi formami; co prawda ani ilość, ani stan znalezionych szczątków nie pozwalały na dokładniejszą klasyfikację. Planeta nigdy nie wytworzyła form podobnych do ssaków. Po dalszych dziewięćdziesięciu milionach lat przyszło, ale już w wielkiej od niej odległości, do drugiej erupcji gwiazdowej; jej ślady w postaci izotopów pierwiastkowych dało się wykryć. Według przybliżonych obliczeń ówczesne natężenie twardego promieniowania nie było na powierzchni tak silne, aby mogło pociągnąć za sobą hekatombę ofiar. Tym bardziej było niezrozumiałe, że odtąd szczątki roślinne i zwierzęce stawały się w młodszych pokładach skalnych coraz większą rzadkością. Znajdowano za to rosące ilości owego sprasowanego „iłu”, siarczków antymonu, tlenków molibdenowych, żelazawych, soli niklu, kobaltu i tytanu.

Te metaliczne, osiem do sześciu milionów lat liczące warstwy, stosunkowo płytkie, zawierały miejscami silne ogniska radioaktywności, ale była to radioaktywność — w skali

istnienia planety — krótkotrwała. Było zatem tak, jakby coś spowodowało w owej erze szereg gwałtownych, lecz miejscowych tylko reakcji jądrowych, których produkty zalegały w „metalicznych łożach”. Poza hipotezą „żelazisto-radio-aktywnego meteoru” padały inne, całkiem fantastyczne, wiążące owe osobliwe ogniska „gorąca promieniotwórczego” z katastrofą układu planetarnego Liry i zagładą jego cywilizacji.

Przypuszczano więc, że podczas prób kolonizowania Regris III doszło do atomowych starć między wysłanymi z zagrożonego układu statkami. Ale to znów nie wyjaśniało rozmiarów dziwnych warstw metalicznych, które odkryto w trakcie wierceń próbnych również w innych, odległych okolicach. W każdym razie nieodparcie nasuwał się obraz tyleż zagadkowy, co oczywisty: życie na łądach planety wymarło w tym samym czasie, na przestrzeni kilku milionów lat, w którym powstawać jęły metaliczne pokłady. Przyczyną zagłady form żywych nie mogła być radioaktywność: ogólną ilość promieniowania przeliczono na równoważniki jądrowych wybuchów. Wynosiła ledwo dwadzieścia do trzydziestu megaton; rozłożone na setki tysięcy, nie mogły naturalnie takie wybuchy (jeśli to w ogóle były wybuchy atomowe, a nie inne jakiejś reakcje jądrowe) poważnie zagrozić ewolucji form biologicznych.

Podejrzewając jakąś łączność między pokładami metalicznymi a ruinami „miasta”, uczeni nalegali na dalsze prowadzenie badań. Połączone to było z licznymi trudnościami, gdyż prace odkrywckowe wymagały przerzucenia poważnych mas gruntu. Jedyne rozwiązanie było bicie sztolni, ale pracujący pod ziemią ludzie nie znajdowali się już pod osłoną pól siłowych. O tym, że mimo wszystko roboty kontynuowano, zadecydowało odkrycie (na głębokości dwudziestu kilku metrów, w warstwie obfitującej w tlenki żelaza) rdzawych szczątków, uformowanych wielce osobliwie, które przypominały resztki zżartych korozją, rozpadłych elementów jakichś mikroskopijnych elementów.

W dziewiętnastym dniu od lądowania ściągnęły nad okolicę, w której pracowały ekipy górnicze, zwały chmur tak grubych i ciemnych, jakich dotąd na planecie nie widziano. Około południa rozpętała się burza, przewyższająca gwałtownością wyładowań elektrycznych burze ziemskie. Niebo i skały połączyła gmatwanina bezustannie wałących piorunów. Wezbrane wody, rwąc krętymi wąwozami, zaczęły zatapiać wykute chodniki. Ludzie musieli opuścić je i wraz z automatami schronili się pod głównym pęcherzem pola siłowego, w który strzelały kilometrowe błyskawice. Burza przetaczała się powoli ku zachodowi i czarną, pokreśloną błyskawicami ścianą zajmowała cały horyzont nad oceanem. Wracając do „Niezwycięzonego” górnicze załogi odkryły po drodze sporą ilość leżących na piasku czarnych, drobnutkich kropelek metalowych. Wzięto je za osławione „muszki”. Starannie zebrane, zostały przywiezione na statek, gdzie wzbudziły zainteresowanie uczonych, ale i mowy nie było o tym, aby stanowiły szczątki owadów. Odbyła się kolejna narada specjalistów, przechodząca kilkakrotnie w gorące spory. Wreszcie zdecydowano wysłać ekspedycję w kierunku północno-wschodnim, poza teren krętych wąwozów i złóż związków żelaza, ponieważ na gąsienicach pojazdów „Kondora” wykryto drobne ilości interesujących minerałów, których nie znaleziono na poprzednio badanych obszarach.

Doskonale wyekwipowana kolumna z energobotami, krocącym miotaczem „Kondora”, transporterami i robotami, wśród których było dwanaście arktanów, zaopatrzona w automatyczne koparki i wiertnice, załadowawszy dwudziestu dwóch ludzi, zapasy tlenu, żywności i paliwa jądrowego, wyruszyła następnego dnia w drogę pod dowództwem Regnara. Utrzymywano z nią stałą łączność radiową i telewizyjną do czasu, kiedy wypukłość planety odcięła bieg fal ultrakrótkich w linii prostej. „Niezwycięzony” wprowadził wtedy na orbitę stacjonarną automatyczny przekaźnik telewizyjny, który umożliwił podjęcie odbioru. Kolumna była w marszu przez cały dzień. Nocą otoczyła się, ustawiając się w obronnym szyku kołowym, strefą siłową, a następnego dnia kontynuowała marsz. Około południa Regnar zawiadomił Rohana, że zatrzymuje się u stóp ruin, prawie całkowicie zaspanych piaskiem, znajdujących się wewnątrz płytkiego, niewielkiego krateru, gdyż pragnie je zbadać

bliżej. W godzinę potem jakość odbioru radiowego zaczęła się pogarszać wskutek silnych zakłóceń statycznych. Technicy łączności przeszli więc na pasmo krótszych fal, których odbiór był lepszy. Rychło potem, gdy grzmoty dalekiej burzy przesuwał się na wschód, to znaczy tam, dokąd udała się ekspedycja, jęły cichnąć, odbiór nagle się urwał. Utratę łączności poprzedziło kilkanaście coraz silniejszych fadingów; najdziwniejsze było jednak jednoczesne pogorszenie się odbioru telewizyjnego, który przecież, jako przekazywany przez pozaatmosferycznego satelitę, nie był zależny od stanu jonosfery. O godzinie pierwszej łączność ustała całkowicie. Nikt z techników, ani nawet z fizyków, których wezwano na pomoc, nie rozumiał tego zjawiska. Wyglądało na to, jak gdyby ściana metalu osunęła się gdzieś w pustyni, oddzielając oddaloną o 170 kilometrów grupę od „Niezwykłego”.

Rohan, który przez cały czas nie opuszczał astrogatora, dostrzegł jego niepokój. Jemu samemu wydał on się początkowo nieuzasadniony. Sądził, iż być może osobliwe własności ekranujące przejawia chmura burzowa, która szła właśnie tam, dokąd udała się ekspedycja. Fizycy jednak zapytani o możliwość powstania tak grubej warstwy zjonizowanego powietrza wyrażali wątpliwość. Gdy burza ucichła, a łączności nie udało się nawiązać, około szóstej, bezustannie ponawiając sygnały, na które nie było odpowiedzi, Horpach wysłał dwa aparaty zwiadowcze typu talerzy latających.

Jeden z nich leciał kilkaset metrów nad pustynią, drugi zaś unosił się nad nim na wysokości czterech kilometrów, służąc pierwszemu za przekaźnik telewizyjny. Rohan, astrogator i Gralew z kilkunastu innymi ludźmi, wśród których byli także Ballmin i Sax, stali przed głównym ekranem sterowni, obserwując bezpośrednio to wszystko, co było w zasięgu widzenia pilota pierwszej maszyny. Poza strefą krętych, głębokim cieniem wypełnionych wąwozów otwierała się pustynia z jej nie kończącymi się szeregami wydm, przegowanymi teraz czernią, gdyż słońce miało się właśnie ku zachodowi. W tym skośnym oświetleniu, nadającym krajobrazowi wygląd szczególnie ponury, z rzadka przepływały pod sunącą nisko maszyną niewielkie kraterki, po brzegi wypełnione piaskiem. Niektóre widoczne były tylko dzięki centralnemu stożkowi od wieków wygasłego wulkanu. Teren z wolna się podnosił i stawał coraz bardziej urozmaicony. Spod fal piasku wyłaniały się wysokie grzędy skalne, tworząc system łańcuchów dziwnie wyszczerbionych. Samotne maczugi skalne przypominały kadłuby zgruchotanych statków lub olbrzymie figury. Zbocza znaczyły ostre linie żlebów, wypełnionych stożkami ospowymi. Wreszcie piaski zniknęły na dobre, ustępując miejsca dzikiej krainie stromych skał i rumowisk. Gdzieś tam były się, z dala podobne do rzek, rowy tektonicznych pęknięć planetarnej skorupy. Krajobraz stawał się księżycowy, zarazem wystąpiło pierwsze pogorszenie odbioru telewizyjnego pod postacią drgań i urywającej się synchronizacji obrazu. Wysłano rozkaz zwiększenia mocy emisyjnej, ale poprawiło to widoczność nie na długo.

Skały dotąd o barwie białawej przechodziły w coraz ciemniejsze. Spiętrzone granie, uciekające z pola widzenia, miały odcień brunatny, z jadowitym, metalicznym połyskiem; tu i ówdzie można było dostrzec plamy aksamitnej czerni, jakby tam, na nagim kamieniu, rosły gęste, lecz martwe zarośla. Wtem milcząca dotąd fonia pierwszej maszyny odezwała się. Pilot krzyknął, że słyszy dźwięk automatycznych nadajników pozycyjnych, w które zaopatrzone był czołowy pojazd ekspedycji. Stojący w sterowni słyszeli jednak tylko jego głos, słaby i jakby zanikający, którym zaczął wywoływać grupę Regnara.

Słońce stało już zupełnie nisko. W jego krwawym świetle ukazała się na kursie maszyny czarna ściana, skłębiona na podobieństwo chmury, sięgającej od powierzchni skał do tysiąca metrów w górę. Wszystko, co znajdowało się za nią, było niewidoczne. Gdyby nie powolny, miarowy ruch kłębiastych wypiętrzeń tej miejscami atramentowej, miejscami świecącej metalicznie fioletowym szkarłatem czerni, można by ją wziąć za niezwykle formację górską. W poziomych promieniach słońca otwierały się w niej pieczary, pełne niezrozumiałego, momentalnego lśnienia, jakby wirowały w nich zaciekle roje rozbłyskujących kryształków

czarnego lodu. W pierwszej chwili patrzącym wydało się, że chmura sunie naprzeciw lecącej maszyny, ale było to złudzenie. To tylko latający talerz zbliżał się z jednakową szybkością do osobliwej przeszkody.

— TL 4 do bazy. Czy mamy wejść nad chmurę, odbiór — rozległ się stłumiony głos pilota. Po ułamku sekundy astrogator odpowiedział:

— Pierwszy do TL 4, zatrzymaj się przed chmurą!

— TL 4 do bazy, stopuję — odpowiedział natychmiast pilot i Rohanowi zdawało się, że w jego słowach brzmiała ulga. Już ledwo kilkaset metrów dzieliło maszynę od niezwyklego tworu, uchodzącego na boki w obie strony, jak gdyby sięgał horyzontów. Teraz cały niemal ekran zajmowała powierzchnia gigantycznego, jakby z węgla powstałego, niemożliwego, bo pionowego morza. Ruch maszyny względem niej ustał, lecz nagle, nim ktokolwiek zdążył się odezwać, ciężko falująca masa strzeliła długimi, rozwiewającymi się słupami, które zaćmiły obraz. Równocześnie załamał się on, zadrgał i znikł, przeszyty ratkami słabnących wyładowań.

— TL 4, TL 4! — wywoływał telegrafista.

— Tu mówi TL 8 — odezwał się nagle głos pilota drugiej maszyny, która służyła dotąd tylko jako przekaźnik pierwszej. TL 8 do bazy, czy mam dać wizję, odbiór!

— Baza do TL 8, daj wizję!

Ekran wypełnił się chaosem zaciekle wirujących, czarnych prądów. Był to ten sam obraz, ale widziany z wysokości czterech kilometrów. Widać było, że chmura spoczywa długą, jednolitą ławicą wzdłuż wznoszącego się ramienia górskiego, jak gdyby broniła do niego dostępu. Powierzchnia jej poruszała się leniwie, niczym zastygająca, na poły maziowata substancja, ale pierwszej maszyny, którą pochłonęła przed chwilą, nie udało się dostrzec.

— Baza do TL 8, czy słyszysz TL 4, odbiór.

— TL 8 do bazy, nie słyszę, przechodzę na pasma interferencyjne, uwaga, TL 4, tu TL 8, odezwij się, TL 4, TL 4! — słyszeli głos pilota. — TL 4 nie odpowiada, przechodzę na pasma przyczerwieni, uwaga TL 4, tu TL 8, odezwij się, TL 4 nie odpowiada, spróbuję sondować chmurę radarem...

W przyciemnionej sterowni nie słychać było nawet ludzkich oddechów. Wszyscy zamarli w wyczekiwaniu. Obraz, pozostawiony sobie, nie zmieniał się, skalny grzbiet sterczał nad morzem czerni niby wyspa zanurzona w atramentowym oceanie. Wysoko na niebie dogorywały pierzaste, złotem nasycone obłoki, tarcza słoneczna dotykała już widnokregu, za kilka minut miał zapaść mrok.

— TL 8 do bazy — odezwał się głos pilota, jakby odmieniony w ciągu kilkunastu sekund, jakie upłynęły od jego zamilknięcia. Radar wykazuje odbicie pełnometaliczne, odbiór!

— Baza do TL 8, przerzuć obraz radarowy na wizję, odbiór!

Ekran pociemniał, zgasł, przez chwilę jarzył się pustym światłem, potem stał się zielony, drgając od miliardowych roziskrzeń.

— Ta chmura jest z żelaza — powiedział, a raczej westchnął ktoś za plecami Rohana.

— Jazon! krzyknął astrogator. Czy jest tu Jazon?!

— Jestem — wysunął się nukleonik spośród stojących.

— Czy mogę to podgrzać...? — spytał spokojnie astrogator, wskazując ekran, i wszyscy zrozumieli go. Jazon ociągał się z odpowiedzią.

— Należałoby ostrzec TL 4, żeby maksymalnie rozszerzył pęcherz pola...

— Bez głupstw, Jazon. Nie mam łączności...

— Do czterech tysięcy stopni... z niewielkim ryzykiem...

— Dziękuję, Blaar, mikrofon! Pierwszy do TL 8, gotuj lasery na chmurę, małą mocą, do bilierga w epicentrum, ogień ciągły wzdłuż azymutu!

— TL 8, ogień ciągły do bilierga — odpowiedział natychmiast głos pilota. Przez jakąś sekundę nie działo się nic. Potem błysło i centralna, wypełniająca dolną część ekranu chmura

zmieniła barwę. Najpierw zaczęła się jakby rozmazywać, potem szcerwieniła i zawrzała; powstał tam rodzaj leja o płonących ścianach, w które wpadały, jakby były wysane, sąsiednie połacie chmury. Ten ruch ustał nagle, chmura rozwarła się ogromnym koliskiem, ukazując przez powstałe okno chaotyczne nagromadzenia skał, tylko w powietrzu unosił się jeszcze drobny, czarny pył, na kształt polatującego kopcium.

— Pierwszy do TL 8, zejdź na dystans maksymalnej skuteczności ognia!

Pilot powtórzył rozkaz. Chmura, okrążając niespokojnym obwałowaniem utworzony rozryw, usiłowała go wypełnić, lecz za każdym razem, kiedy wysuwające się wypustki obejmował rozbłysk żaru, wciągała je z powrotem. Trwało to kilka minut. Sytuacja nie mogła się przedłużyć. Astrogator nie śmiał uderzyć w chmurę całą mocą miotacza, albowiem gdzieś w jej głębi znajdował się drugi pojazd. Rohan domyślał się, na co liczył Horpach: miał nadzieję, że tamta maszyna wydostanie się w obręb oczyszczonej przestrzeni. Ale wciąż nie było jej widać. TL 8 wisiał teraz prawie nieruchomo, rażąc oślepiającymi sztychami laserów skotłowane obrzeża czarnego kręgu. Niebo nad nim było jeszcze dość jasne, lecz skały pod maszyną zaciągał powoli przybór cienia. Słońce zachodziło. Raptem zgęszczający się w dolinie mrok załopotał w niesamowitym blasku. Czerwonawy i brudny, jak gardło wulkanu widzianego przez kłęb eksplozji, okrył drgającym całunem całe pole widzenia. Widać było teraz tylko zlewające się w jedno ciemności, w których głębi wrzał i parskał ogień. To substancja chmury, czymkolwiek była, atakowała pierwszą, pochłoniętą maszynę i spalała się straszliwym żarem w otaczającej ją siłowej osłonie.

Rohan spojrział na astrogatora, który stał jak martwy, z twarzą bez wyrazu, oblaną chwiejnym odbłaskiem łuny. Czarne kotłowanie i pałający w jego głębi, tylko chwilami krzaczasto tężejący pożar zajmowały centrum ekranu. W oddali widać było wysoki szczyt skalny, oblany szkarłatem, cały w zimnej czerwieni tego ostatniego światła, w tej chwili niewymownie ziemskiego. Tym bardziej niewiarygodne było widowisko dziejące się wewnątrz chmur. Rohan czekał; twarz astrogatora nie wyrażała nic. Ale musiał powziąć decyzję: albo rozkazać górnej maszynie, aby poszła na pomoc tamtej, albo pozostawiając ją swemu losowi, nakazać zwiadowcy dalszy lot na północny wschód.

Nagle stało się coś niespodziewanego. Czy pilot dolnej zamkniętej w chmurze maszyny stracił głowę, czy też nastąpiła na jej pokładzie jakaś awaria, dość że czarną kipieli przestrzelił błysk, którego centrum jarzyło się oślepiająco, i długie smugi rozwianej wybuchem chmury buchnęły na wszystkie strony, a fala udarowa była tak potężna, że cały obraz zakołysał się zgodnie z susami, w jakie podmuch wprawił TL 8. Potem czerń wróciła, skupiła się, i oprócz niej nie było już nic.

Astrogator pochylił się i powiedział coś do telegrafisty przy mikrofonach tak cicho, że Rohana nie doszły jego słowa; ale ów powtórzył je natychmiast, prawie krzyżąc:

— Gotuj antyprony! Pełną mocą, na chmurę, ogień ciągły!

Pilot powtórzył rozkaz. Wtem jeden z techników, śledzących boczny ekran, który ukazywał wszystko, co działo się za maszyną, zawołał:

— Uwaga! TL 8! W górę! W górę! W górę!!!

Z wolnej dotąd przestrzeni zachodu nadlatywał z chyżością orkanu wirujący, czarny obłok. Przez mgnienie stanowił jeszcze boczną część chmury, lecz oderwał się od niej i smużąc za sobą wyciągniętymi gwałtownym pędem odnogami, wzbijał się stromo. Pilot, który dostrzegł to zjawisko na ułamek sekundy przed ostrzeżeniem, poszedł pionową świecą, zdobywając wysokość, ale chmura gonila go, bijąc czarnymi słupami w niebo. Przenosił ogień z jednych słupów na drugie, trafiony czołowo, najbliższy, czarny kłęb rozdziwił się, ściemniał. Nagle cały obraz zaczął drgać.

W owym momencie, kiedy część chmury wchodziła już w strefę wysłanych fal radiowych, nadszarpując łączność maszyny z bazą, pilot prawdopodobnie po raz pierwszy użył miotacza antimaterii. Cała atmosfera planety, trafiona, obróciła się w jedno morze ognia; purpurowy

brzask zachodu znikł jak zdmuchnięty, poprzez zygzaki zakłóceń majaczyła jeszcze chwilę chmura i dymiące nad nią słupy, które białeły, puchnąc, gdy drugi, jeszcze straszniejszy wybuch roztoczył swoje rozżarzone ogniospady nad niknącą w kłębach pary i gazów gmatwaną skał. Ale to była ostatnia rzecz, jaką zobaczyli, bo w następnej sekundzie cały obraz rozedrgał się, przeszły go iskry wyładowań i znikł. Tylko pusty, biały ekran jarzył się w przyciemnionej sterowni, oświetlając śmiertelnie blade twarze wpatrzonych weń ludzi.

Horpach kazał radiotelegrafistom wywołać obie maszyny, a sam przeszedł z Rohanem, Jazonem i pozostałymi do sąsiedniej kajuty nawigacyjnej.

— Czym jest, waszym zdaniem, ta chmura? — spytał bez żadnego wstępu.

— Składa się z cząstek metalicznych. Rodzaj zawiesiny sterowanej zdalnie z jednolitym centrum — powiedział Jazon.

— Gaarb? J

— Ja też tak myślę.

— Czy są jakieś propozycje? Nie? Tym lepiej. GI, który superkopter jest w lepszej kondycji, nasz czy wzięty z „Kondora”?

— Oba są sprawne, astrogatorze. Ale osobiście stawiałbym raczej na nasz.

— Dobrze. Rohan, pan chciał, jeśli się nie mylę, wyjść spod siłowego parasola... Będzie pan miał okazję. Dostanie pan osiemnastu ludzi, podwójny komplet automatów, obwodowe lasery i antyprony... czy mamy coś jeszcze...? — (Nikt nie odpowiedział). — No tak, na razie niczego doskonalszego nad antymaterię nie wynaleziono... Wystartuje pan o 4.31, to jest o wschodzie słońca, i spróbuje znaleźć ten krater na PnW, o którym mówił Regnar w ostatnim doniesieniu. Tam wyląduje pan w otwartym polu siłowym. Po drodze proszę razić wszystko na maksymalny dystans. Żadnych oszczędności mocy rażenia. Jeśli pan straci łączność ze mną, proszę robić swoje dalej. Gdy znajdzie pan ten krater, proszę lądować, ale ostrożnie, żeby nie usiąść na ludziach... przypuszczam, że są gdzieś w tej okolicy...

Wskazał na mapie, która zajmowała całą ścianę, punkt.

— W tym czerwono zakreskowanym obszarze. Jest to tylko szkic, ale nic lepszego nie mam.

— Co mam robić po wylądowaniu, panie astrogatorze? Czy mam ich szukać?

— Pozostawiam to pana uznaniu. Proszę pamiętać tylko o jednym: żadnych celów nie wolno panu razić już w odległości 50 kilometrów od tego miejsca, bo na dole mogą być nasi ludzie.

— Żadnych celów naziemnych?

— W ogóle żadnych. Do tej granicy — jednym ruchem astrogator przedzielił obszar, ukazywany przez mapę, na dwie części — może pan używać własnych środków niszczących zaczepnie. Od tej linii wolno panu się bronić tylko polem siłowym. Jazon! Ile może wytrzymać pole superkoperta?

— Nawet milion atmosfer na centymetr kwadratowy.

— Co to znaczy „nawet”? Czy pan mi chce to sprzedać? Pytam, ile. Pięć milionów? Dwadzieścia?

Horpach mówił to wszystko z całkowitym spokojem; takiego usposobienia dowódcy właśnie najbardziej się obawiano na pokładzie. Jazon odchrząknął.

— Pole było wypróbowane na dwa i pół...

— To co innego. Słyszysz pan, Rohan? Jeżeli chmura ściśnie pana do tej granicy, proszę uciekać. Najlepiej w górę. Zresztą wszystkiego nie przepowiem panu... — Spojrzał na zegarek.

— Za osiem godzin od chwili startu będę pana wywoływał na wszystkich pasmach. Jeśli to nie da rezultatu, spróbujemy nawiązać łączność albo satelitami trojańskimi, albo optycznie. Będziemy laserować morsem. Nie słyszałem jeszcze, by i to nie dało rezultatu. Ale próbujemy przewidzieć więcej od tego, cośmy słyszeli. Jeśli i lasery nie wypalą, po dalszych trzech

godzinach wystartuje pan i wróci. Jeśli mnie nie będzie...

— Pan ma zamiar wystartować?

— Niech mi pan nie przerywa, Rohan. Nie. Nie mam zamiaru startować, ale nie wszystko zależy od nas. Jeżeli mnie tu nie będzie, proszę wejść na okołoplanetarną orbitę. Robił pan to już superkopterem?

— Tak jest, dwa razy, na delcie Liry.

— Dobrze. Wie pan zatem, że to trochę skomplikowane, ale zupełnie możliwe. Orbita musi być stacjonarna; jej dokładne dane poda panu przed startem Stroem. Na tej orbicie będzie pan mnie czekał przez trzydzieści sześć godzin. Jeżeli nie dam o sobie znać w tym czasie, powróci pan na planetę. Poleci pan do „Kondora” i spróbuje go uruchomić. Wiem, jak to wygląda. Niemniej jednak nic innego nie będzie pan miał na widoku. Jeśli dokona pan tej sztuki, proszę wrócić do bazy „Kondorem” i przedstawić sprawozdanie z wypadków. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania? T

— ak. Czy mogę próbować nawiązania kontaktu z tymi tym ośrodkiem, który kieruje chmurą, w wypadku jeśli mi się udało go odkryć?

— I to pozostawiam do pańskiego uznania. W każdym razie ryzyko musi pozostać w rozsądnych granicach. Nie wiem naturalnie nic, ale wygląda mi na to, że ten ośrodek dyspozycyjny nie znajduje się na powierzchni planety. Poza tym jego istnienie wydaje mi się w ogóle problematyczne...

— Jak pan to rozumie?

— Mamy przecież stały nasłuch radiowy na całym widmie elektromagnetycznym. Gdyby ktokolwiek sterował tą chmurą za pomocą promieni, zarejestrowalibyśmy odpowiednie sygnały.

— Ten ośrodek mógł znajdować się w samej chmurze...

— Możliwe. Nie wiem. Jazon, czy możliwe jest, by istniały jakieś sposoby zdalnej łączności, niezależne od elektromagnetycznych? Pyta pan o moje zdanie? Nie. Nie ma takich sposobów.

— O pana zdanie? A o co innego mógłbym pytać?

— To, co wiem, nie jest równoznaczne z tym, co istnieje. Co może istnieć. My takich sposobów nie znamy. To wszystko.

— Telepatia... — zauważył ktoś stojący z tyłu.

— Na ten temat nie mam nic do powiedzenia — sucho rzucił Jazon. — W każdym razie w obrębie poznanego Kosmosu niczego podobnego nie odkryto.

— Panowie, nie możemy tracić czasu na jałową dyskusję. Niech pan bierze swoich ludzi, Rohan, i przygotuje superkopter. Dane ekliptyczne orbity wręczy panu za godzinę Stroem. Kolego Stroem, proszę obliczyć trwałą orbitę, z pięciotysięcznym apogeum.

— Tak, panie astrogatorze.

Astrogator uchylił drzwi sterowni.

— Terner, jak tam? Nic?

— Nic, panie astrogatorze. To znaczy trzaski. Dużo statycznych, ale nic więcej.

— Żadnych śladów emisyjnego spektrum?

— Żadnych śladów...

To znaczy, że żadna z latających maszyn nie używa już swej broni — że przestały walczyć pomyślał Rohan. Gdyby prowadziły akcję ogniem laserów, a choćby tylko miotaczami indukcyjnymi, czujniki „Niezwyčajonego” wykryłyby to na odległość kilkuset kilometrów.

Rohan zbyt był zafascynowany dramatyczną sytuacją, aby niepokoić się zadaniem, jakie otrzymał od astrogatora. Nie miałby na to zresztą czasu. Nocy tej Rohan nie zmrzył oka. Trzeba było sprawdzić wszystkie instalacje koptera, obciążyć go dodatkowymi tonami paliwa, załadować zapasy i broń, tak że ledwo zdążyli na wyznaczoną godzinę. Siedemdziesięcotonowa, dwupiętrowa maszyna wzniosła się w powietrze, wzbijając chmury



piasku, i ruszyła prosto na północny wschód, kiedy rąbek czerwonej tarczy słonecznej wyrzął zza horyzontu. Zaraz po starcie Rohan wszedł na piętnaście kilometrów; w obrębie stratosfery mógł rozwinąć maksymalną szybkość, poza tym mniej było prawdopodobne spotkanie tam czarnej chmury. Tak przynajmniej sądził. Może miał słuszność, a może był to tylko szczęśliwy przypadek, dość że po niespełna godzinie lądowali w skośnym słońcu wewnątrz zasypanego krateru, którego dno pokrywały jeszcze mroki.

Zanim bijące w dół słupy gorących gazów wyrzuciły w powietrze kurzawę piasku, operatorzy wizji zaalarmowali kabinę nawigacyjną meldunkiem, że w północnej części krateru dostrzegają coś podejznanego. Ciężka machina latająca zatrzymała się, drżąc lekko, jak na niewidzialnej, naciągającej się sprężynie, i z wysokości pięciuset metrów dokonano szczegółowej obserwacji tego miejsca.

Na popielatorudym tle widniały na ekranie powiększalnika drobniutkie prostokąty, rozłożone z geometryczną dokładnością wokół większego, stalowoszarego. Równocześnie z Gaarbem i Ballminem, którzy byli z nim u sterów, Rohan rozpoznał pojazdy ekspedycji Regnara.

Nie zwlekając, wylądowali niezbyt daleko, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Teleskopowe „nogi” koptera nie przestały jeszcze pracować, uginając się w miarowych przysiadach, gdy wyrzucili trap i wysłali dwie maszyny zwiadowcze, osłaniane ruchomym polem siłowym. Wnętrze krateru przypominało płaską misę o wyszczerbionych brzegach. Centralny stożek wulkaniczny pokrywała czarnobrunatna skorupa lawy.

Przebycie półtora kilometra — tyle mniej więcej wynosiła odległość — zajęło ruchomemu zwiadowi kilka minut. Łączność radiowa była doskonała. Rohan rozmawiał z Gaarbem, który znajdował się w czołowym transporterze.

— Wzniesienie kończy się, zaraz ich zobaczymy — kilka razy powtórzył Gaarb. Po chwili krzyknął:

— Są! Widzę ich!!!

I spokojniej:

— Zdaje się, że wszystko w porządku. Raz, dwa, trzy, cztery — wszystkie maszyny na miejscach — ale dlaczego stoją w słońcu?

— A ludzie? Widzi ich pan? — dopytywał się Rohan, stojąc ze zmrużonymi oczami nad mikrofonem.

— Tak. Coś się tam rusza... to dwóch ludzi... o, jeszcze jeden... i ktoś leży w cieniu... widzę ich, Rohan!

Głos jego oddalił się. Rohan słyszał, jak mówi coś do swego kierowcy. Rozległ się tępy odgłos, świadczący, że wystrzelono flarę dymną. Głos Gaarba powrócił:

— Pozdrawiamy ich... dym zwiało trochę w inną stronę... zaraz się rozplynie... Jarg... co tam? Co! Jak to... hej! wy tam!

Krzyk jego wypełnił naraz całą kabinę i urwał się. Rohan rozróżniał milknące odgłosy motorów, które ucichły, słychać było biegnące kroki, jakieś niewyraźne, odległością tłumione nawoływania, jeden i drugi okrzyk, potem zaległa cisza.

— Halo! Gaarb! Gaarb! — powtarzał zdrętwiałymi wargami. Kroki na piasku zbliżały się, w głośniku zaskrzypiało.

— Rohan! — rozległ się zmieniony, zdyszany głos Gaarba. — Rohan! To samo, co z Kertelenem! Bezprzytomni, nie poznają nas, nic nie mówią... Rohan, słyszy mnie pan?!

— Słyszę... wszyscy tak samo...?

— Zdaje się... nie wiem jeszcze, Jarg i Terner chodzą od jednego do drugiego.

— Jak to, a pole...?

— Pole wyłączone. Nie ma go. Nie wiem. Widocznie wyłączyli.

— Jakież ślady walki?

— Nie, nic. Maszyny stoją — wszystkie całe, nie uszkodzone — a oni leżą, siedzą, można

nimi potrząsać — co? Co tam?!

Rohana dobiegł niewyraźny odgłos, przerywany przeciągłym skomleniem. Zaciśnął szczęki, ale nie mógł opanować mdlącego uczucia, które kurczyło mu wnętrzności.

— Mocne nieba, to Gralew! — rozległ się krzyk Gaarba. — Gralew! Człowieku! Nie poznajesz mnie?!

Jego oddech, powiększony, wypełnił nagle całą kabinę.

— On też... — wydyszał. Milczał chwilę, jakby zbierał siły.

— Rohan... nie wiem, czy sami damy radę... Trzeba ich wszystkich stąd zabrać. Niech pan przyśle więcej ludzi.

— Natychmiast.

Po godzinie koszmarny pochód zatrzymał się pod metalowym kadłubem superkoptera. Z dwudziestu dwóch ludzi, którzy wyruszyli w drogę, pozostało tylko osiemnastu; los czterech nie był znany. Większość dała się przywieźć dobrowolnie, bez oporu; ale pięciu trzeba było brać przemocą, bo nie chcieli opuścić miejsca, w którym ich znaleziono. Pięć par noszy powędrowało do zaimprovizowanego szpitala na dolnym pokładzie koptera. Pozostałych trzynastu mężczyzn, sprawiających okropne wrażenie maskowatym wyrazem twarzy, wprowadzono do oddzielnego pomieszczenia, gdzie dali się bez sprzeciwu ułożyć na kojach. Trzeba było ich rozbierać, ściągać im buty, byli bowiem bezradni jak niemowlęta. Rohan, niemy świadek tej sceny, stojąc w przejściu między szeregami posłań, zauważył, że podczas gdy większość odnalezionych zachowuje bierny spokój, nieliczni ci, których przyszło sprowadzić siłą — zawodzą i płaczą niesamowitymi głosami.

Zostawił wszystkich pod opieką lekarza, a sam wysłał na poszukiwanie zaginionych cały sprzęt, jakim dysponował. Sprzętu miał teraz sporo, ponieważ uruchomił i obsadził własnymi ludźmi porzucone maszyny. Wysłał właśnie ostatni patrol, kiedy informator wezwał go do kabiny; mieli łączność z „Niezwyciężonym”.

Nie zdziwił się nawet, że to się udało. Niczemu już jak gdyby nie był zdolny się dziwić. Przekazał zwięźle Horpachowi relację o wszystkim, co zaszło.

— Jakich ludzi brakuje? — chciał wiedzieć astrogator.

— Samego Regnara, Bennigsena, Korotki i Meada. Co z samolotami? — spytał ze swej strony Rohan.

— Nie mam żadnej wiadomości.

— A chmura?

— Wysłałem rano trójkowy patrol. Wrócił przed godziną. Nie ma tam ani śladu chmury.

— Nic? W ogóle nic?

— Nic. Ani samolotów?

— Nic.

## HIPOTEZA LAUDY

Doktor Lauda zapukał do kabiny astrogatora. Gdy wszedł, zobaczył go kreślącego coś na mapie fotogramometrycznej.

— Co tam? nie podnosząc głowy, spytał Horpach.

— Chciałem panu coś powiedzieć.

— Czy to pilne? Za piętnaście minut mamy start.

— Nie wiem. Zdaje się, że zaczynam rozumieć, co tu się dzieje... — powiedział Lauda.

Astrogator odłożył cyrkle. Oczy ich spotkały się. Biolog nie był wcale młodszy od dowódcy. Dziwne było, że pozwalano mu jeszcze latać. Widać szczególnie mu na tym zależało. Wyglądał raczej na starego mechanika aniżeli na uczonego.

— Tak się panu zdaje, doktorze? Słucham.

— W oceanie jest życie powiedział biolog. — W oceanie jest, a na lądzie nie ma.

— Dlaczego? Na lądzie też było życie, Ballmin znalazł przecież ślady.

— Tak. Ale liczą one ponad pięć milionów lat. Potem wszystko, co żyło na lądzie, zostało wygubione. To, co powiem, brzmi fantastycznie, astrogatorze, i nie mam właściwie prawie żadnych dowodów, ale... to jest tak. Proszę przyjąć, że kiedyś, właśnie przed milionami lat, wylądowała tu rakieta z innego systemu. Być może z regionu Nowej.

Mówił teraz szybciej, ale spokojnie.

— Wiemy, że przed wybuchem dzety Liry szóstą planetę układu zamieszkiwały istoty rozumne. Miały wysoko rozwiniętą cywilizację typu technologicznego. Dajmy na to, że wylądował tu statek zwiadowczy Lyran i że doszło do katastrofy. Albo do innego nieszczęśliwego wypadku, w którym zginęła cała załoga. Powiedzmy: jakiś wybuch reaktora, reakcja łańcuchowa... dość że wrak, który osiadł na Regis, nie miał na pokładzie ani jednej żywej istoty. Ocalały tylko... automaty. Nie takie jak nasze. Nie człekokształtne. Lyranie prawdopodobnie także nie byli człekokształtni. Więc te automaty ocalały i opuściły statek. Były to wysoko wyspecjalizowane mechanizmy homeostatyczne, zdolne do przetrwania w najcięższych warunkach. Nie miały już nad sobą nikogo, kto wydawałby im rozkazy. Ta ich część, która była pod względem ustroju umysłowego najbardziej podobna do Lyran, usiłowała być może naprawić statek, chociaż w powstałej sytuacji nie miało to sensu. Ale pan wie, jak to jest. Robot naprawczy będzie naprawiał to, co do niego należy, bez względu na to, czy służy to komuś, czy nie. Potem jednak wzięły górę inne automaty. Uniezależniły się od tamtych. Być może miejscowa fauna usiłowała je atakować. Istniały tu jaszczurowodobne gady, były więc i drapieżniki, a drapieżnik pewnego typu atakuje wszystko, co się porusza. Automaty zaczęły z nimi walczyć i pokonały je. Do tej walki musiały się przysposobić. Przekształcały się tak, aby dostosować się najlepiej do panujących na planecie warunków. Kluczową sprawą było moim zdaniem to, że owe automaty posiadały zdolność produkowania innych, w zależności od potrzeb. Więc, powiedzmy, dla zwalczania jaszczurów latających potrzebne były mechanizmy latające. Żadnych szczegółów konkretnych oczywiście nie znam. Mówię to tak, jak bym sobie podobną sytuację wyobrażał w warunkach ewolucji naturalnej. Może nie było tu latających jaszczurów; może były gady ryjące, podziemne. Nie wiem. Dostycze w miarę upływu czasu te mechanizmy, które istniały na lądzie, przystosowały się do warunków doskonale — i udało im się pokonać wszystkie formy zwierzęcego życia planety. Roślinnego też.

— Roślinnego też? Jak pan to tłumaczy?

— Tego dobrze nie wiem. Mógłbym wysunąć nawet kilka rozmaitych hipotez, ale wolę tego nie robić. Zresztą nie powiedziałem jeszcze najistotniejszego. W trakcie swego bytowania na planecie te potomne mechanizmy, po iluś tam setkach pokoleń, przestały być podobne do tych, które dały im początek, to znaczy — do produktów cywilizacji lyrańskiej.

Rozumie pan? To znaczy, że rozpoczęła się martwa ewolucja. Ewolucja urządzeń mechanicznych. Co jest naczelną zasadą homeostatu? Przetrwac w zmieniających się warunkach, nawet w najbardziej wrogich, w najcięższych. Dalszym formom tej ewolucji samoorganizujących się metalowych systemów główne niebezpieczeństwo nie groziło bynajmniej ze strony zwierząt czy roślin miejscowych. Musiały zdobyć źródła energii i materiałów, z których mogłyby produkować części zastępcze i organizmy potomne. Rozwinęły więc coś w rodzaju górnictwa, w poszukiwaniu rud metali. Pierwotnie ich potomkowie, którzy przybyli tu na owym hipotetycznym statku, byli bez wątpienia napędzani energią promienistą. Ale na Regis nie ma w ogóle pierwiastków radioaktywnych. Więc źródło energii było dla nich zamknięte. Musiały szukać innego. Musiało przyjść do ostrego kryzysu energetycznego i myślę, że wtedy doszło do wzajemnej walki owych urządzeń. Po prostu do walki o przetrwanie, o byt. Na niej przecież polega ewolucja. Na selekcji. Urządzenia stojące pod względem intelektualnym wysoko, ale niezdolne do przetrwania, dajmy na to ze względu na rozmiary, które wymagały z kolei znacznych ilości energii, nie mogły wytrzymać konkurencji z mniej pod tym względem rozwiniętymi, oszczędniejszymi jednak i bardziej wydajnymi energetycznie...

— Czekajże pan. Mniejsza o fantastyczność, ale przecież w ewolucji, w grze ewolucyjnej wygrywa zawsze istota o bardziej rozwiniętym systemie nerwowym, nieprawdaż? W tym wypadku zamiast nerwowego był, powiedzmy, jakiś elektryczny, ale zasada pozostaje taka sama.

— To jest prawda, astrogatorze, tylko w odniesieniu do organizmów jednorodnych, powstałych na planecie w sposób naturalny, a nie przybyłych z innych układów.

— Nie rozumiem.

— Po prostu biochemiczne warunki funkcjonowania istot na Ziemi są i były zawsze prawie takie same. Glony, ameby, rośliny, zwierzęta niższe i wyższe zbudowane są z komórek prawie identycznych, mają taką samą niemal przemianę materii białkową a wobec tak równego startu czynnikiem różnicującym staje się ten, o którym pan mówił. Nie jest to czynnik jedyny, ale w każdym razie jeden z najważniejszych. Ale tu było inaczej. Najwyżej rozwinięte z mechanizmów, jakie wylądowały na Regis, czerpały energię z własnych zasobów radioaktywnych, ale urządzenia prostsze, jakies małe systemy remontowe, dajmy na to, mogły posiadać baterie ładujące się energią słoneczną. Byłyby wówczas nadzwyczaj uprzywilejowane w stosunku do tamtych.

— Ale te stojące wyżej mogły je właśnie obrabować ze słonecznych baterii... a zresztą dokąd prowadzi ten spór? Może nie warto dyskutować nad tym, Lauda.

— Nie, to istotna rzecz, astrogatorze, to bardzo ważny punkt, ponieważ moim zdaniem przyszło tu do ewolucji martwej o bardzo swoistym charakterze, zapoczątkowanej wyjątkowymi warunkami, które utworzył zbieg okoliczności. Krótko mówiąc, widzę to tak: w owej ewolucji zwyciężyły ustroje, po pierwsze, miniaturyzujące się najskuteczniej, po drugie zaś — osiadłe. Te pierwsze dały początek tak zwanym czarnym chmurom. Osobiście myślę, że to są bardzo małe pseudoowady, mogące łączyć się w razie potrzeby, we wspólnym niejako interesie, w duże systemy nadrzędne. Właśnie pod postacią chmur. Tak poszła ewolucja mechanizmów ruchomych. Osiadłe natomiast zapoczątkowały ten dziwaczny gatunek metalowej wegetacji, które przedstawiają ruiny tak zwanych miast...

— A więc, według pana, to nie miasta?

— Naturalnie. To nie są żadne miasta, a jedynie wielkie skupiska osiadłych mechanizmów, martwych tworów, zdolnych do rozmnażania się, a czerpiących energię słoneczną za pośrednictwem swoistych organów... są nimi, jak przypuszczam, te trójkątne płytki...

— Więc pan uważa to „miasto” za wegetujące w dalszym ciągu?

— Nie. Mam wrażenie, że z jakiegoś, nie znanego nam powodu to „miasto”, a właściwie ten „las metalowy” przegrał walkę o byt i teraz stanowi jedynie rdzewiejące szczątki. Ocalała

jedna tylko forma: ustrojów ruchomych, które opanowały wszystkie lądy planety.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Imiałem się różnych obliczeń. Być może w ciągu ostatnich trzech milionów lat słońce Regis III stygło szybciej niż poprzednio, tak że owe wielkie osiadłe „organizmy” nie mogły już czerpać z niego dostatecznej ilości energii. Ale to tylko mgliste przypuszczenia.

— Powiedzmy, że jest, jak pan mówi. Czy przypuszcza pan, że te „chmury” mają jakiś ośrodek dyspozycyjny, na powierzchni albo w podziemiach planety?

— Myślę, że nic takiego nie istnieje. Być może te mikromechanizmy same stają się takim ośrodkiem, jakimś „martwym mózgiem”, kiedy łączą się w określony sposób. Rozdzielanie się może być dla nich korzystne. Stanowią luźne roje, mogą dzięki temu przebywać stale pod słońcem, albo też podążać w ślad za chmurami burzowymi, bo nie jest wykluczone, że czerpią energię z wyładowań atmosferycznych. Ale w momencie niebezpieczeństwa, czy — szerzej — nagłej zmiany, która grozi ich istnieniu, łączą się...

— Coś musi jednak wyzwolić tę reakcję łączenia się, zresztą gdzie znajduje się podczas „rójki” niesłychanie skomplikowana pamięć o całym układzie? Przecież mózg elektryczny jest „mądrzejszy” od wszystkich swoich elementów, Lauda. Jakże te elementy mogłyby, po rozebraniu go, same powskakiwać na właściwe miejsca? Pierwej musiałby powstać plan całego mózgu...

— Niekoniecznie. Wystarczyłoby, gdyby każdy element zawierał pamięć tego, z jakimi innymi łączył się bezpośrednio. Dajmy na to, element numer jeden ma zetknąć się określonymi powierzchniami z szóstką innych; każdy z nich „wie” to samo o sobie. W ten sposób ilość informacji zawartej w poszczególnym elemencie może być bardzo nikła, ale poza nią potrzebny jest tylko pewien wyzwalacz, pewien sygnał typu: „uwaga! niebezpieczeństwo”, na który wszystkie wchodzić we właściwe konfiguracje i powstaje momentalnie „mózg”. Ale to tylko prymitywny schemat, astrogatorze. Przypuszczam, że sprawa jest bardziej zawiła, choćby dlatego, ponieważ takie elementy na pewno dość często ulegają zniszczeniu, co jednak nie może się odbić na działaniu całości...

— Dobrze. Nie mamy czasu, aby dłużej rozważać takie szczegóły. Czy widzi pan jakieś konkretne wnioski dla nas — w swojej hipotezie?

— W pewnym sensie tak, ale negatywne. Miliony lat ewolucji mechanicznej to zjawisko, z jakim się człowiek dotąd w Galaktyce nie spotkał. Proszę zwrócić uwagę na fundamentalną kwestię. Wszystkie znane nam maszyny służą nie sobie samym, lecz komuś. Tak więc z ludzkiego punktu widzenia bezsensowne jest istnienie metalowych, pieniających się gąszczy Regis czy jej żelaznych chmur — co prawda tak samo „bezsensownymi” można nazwać na przykład kaktusy na pustyni ziemskiej. Istota rzeczy tkwi w tym, że one same doskonale przysposobiły się do walki z żywymi istotami. Mam wrażenie, że one zabijały tylko w samych początkach owej walki, gdy ład roił się tu od życia; wydatek energii na zabójstwa okazał się nieekonomiczny. Dlatego stosują inne metody, których skutkiem była katastrofa „Kondora”, i wypadek Kertelena, i wreszcie — zagłada grupy Regnara...

— Jakie to metody?

— Nie wiem dokładnie, na czym polegają. Mogę tylko wyrazić osobisty sąd: casus Kertelena — to zagłada całej niemal informacji, jaką zawiera mózg człowieka. Zwierzęcia zapewne też. Tak okaleczone żywe istoty muszą naturalnie zginąć. Jest to sposób zarazem prostszy, szybszy, oszczędniejszy od zabijania... Mój wniosek z tego jest niestety pesymistyczny. Może to jeszcze za słabo powiedziane... Jesteśmy w sytuacji bez porównania gorszej od nich, i to dla kilku naraz powodów. Najpierw, żywą istotę można zniszczyć daleko łatwiej niż mechanizm czy urządzenie techniczne. Dalej, one ewoluowały w takich warunkach, że równocześnie walczyły z istotami żywymi — i ze swoimi metalowymi „braćmi” z rozumnymi automatami. Prowadziły więc wojnę na dwa fronty równocześnie, zwalczając wszelkie mechanizmy adaptacyjne ustrojów żywych oraz każdy przejaw

inteligencji rozumnych maszyn. Wynikiem takich milioletnich zmagania musi być niezwykle uniwersalizm i doskonałość działania niszczącego. Obawiam się, że aby je pokonać, musielibyśmy unicestwić właściwie wszystkie, a to jest prawie niemożliwe.

— Tak pan sądzi?

— Tak. To znaczy, oczywiście, przy odpowiedniej koncentracji środków można by zniszczyć całą planetę... ale to nie jest przecież naszym zadaniem, nie mówiąc już o tym, że nie starczy nam sił. Sytuacja jest rzeczywiście jedyna w swoim rodzaju, ponieważ — tak ją widzę — my właściwie jesteśmy intelektualnie górą. Te mechanizmy nie reprezentują bynajmniej jakiejś potęgi umysłowej, po prostu są doskonale przystosowane do warunków planety... do niszczenia wszystkiego, co żywe. One same natomiast są martwe. Dlatego to, co dla nich jeszcze nieszkodliwe, dla nas może być zabójcze.

— Ale skąd pana pewność, że nie posiadają rozumu?

— Mógłbym tu zrobić unik, zasłonić się niewiedzą, ale powiem panu, że jeśli w ogóle czegośkolwiek, to tego właśnie jestem pewny. Dlaczego nie przedstawiają intelektualnej potęgi? Ba! Gdyby ją miały, już by się z nami rozprawiły. Jeśli pan przejdzie myślą przez wszystkie kolejne wydarzenia na Regis od czasu naszego lądowania, zauważy pan, że działają bez jakiegoś strategicznego planu. Atakują od wypadku do wypadku.

— No... sposób, w jaki pozbawiły Regnara łączności z nami, a potem atak na maszyny zwiadowcze...

— Ależ po prostu robią to, co robiły przed tysiącletkami. Przecież te wyższe automaty, które one wygubiły, na pewno porozumiewały się ze sobą właśnie falami radiowymi. Udaremnianie takiej wymiany informacji, rozkawałkowanie łączności, to było jedno z pierwszych ich zadań. Rozwiązanie narzucało się niejako samo, bo chmura metalowa ekranuje tak dobrze jak nic innego na świecie. A teraz? Co mamy robić dalej? Musimy chronić siebie i nasze automaty, nasze maszyny, bez których byłibyśmy niczym — one natomiast mają pełną swobodę manewru, mają na miejscu praktycznie niewyczerpalne źródła odradzania się, mogą się powielać, jeśli zniszczymy ich część, a przy tym wszystkim nie mogą zaszkodzić im żadne środki zabójcze dla życia. Niezbędne stają się nasze środki najgwałtowniejsze: uderzenie antimaterią... ale porazić wszystkich w ten sposób nie można. Zauważył pan, jak postępują rażone? Po prostu rozsypują się... poza tym stale musimy znajdować się pod osłoną, co ogranicza naszą strategię, a one mogą się dowolnie rozdrabniać, przenosić z miejsca na miejsce... i gdybyśmy je rozbili na tym kontynencie, przeniosą się na inny. Ale to nie jest w końcu nasza rzecz — zniszczyć je wszystkie. Uważam, że powinniśmy odlecieć.

— Ach, tak.

— Tak. Bo skoro za przeciwników mamy twory martwej ewolucji zapewne apsychniczne, nie możemy rozważać problemu w kategoriach zemsty czy odpłaty za „Kondora”, za los jego załogi. Byłoby to tym samym, co wymierzyć oceanowi chłostę za to, że zatopił statek i ludzi.

— W tym, co pan mówi, tkwiłoby sporo racji, gdyby rzeczy miały się tak w istocie — rzekł, wstając, Horpach. Oparł się oburącz o pokreśloną mapę. — Ale to w końcu hipoteza, a nie możemy wrócić z hipotezami. Potrzebna jest pewność. Nie zemsta, lecz pewność. Dokładna diagnoza, ustalenie faktów. Jeżeli je ustalimy, jeżeli będę miał zamknięte w zbiornikach „Niezwycięzonego” próbki tej — tej latającej fauny mechanicznej — o ile ona naprawdę istnieje, wówczas oczywiście uznaję, że nie mamy tu nic więcej do roboty. Wtedy rzeczą bazy będzie już ustalenie dalszego typu postępowania. Nawiasem mówiąc, nie ma żadnej gwarancji, że te twory pozostaną na planecie, może będą się rozwijały, aby w końcu zagrozić i żegludze kosmicznej w tym rejonie Galaktyki.

— Gdyby nawet i tak miało być, to nie prędzej jak za setki tysięcy, raczej za miliony lat. Pan, astrogatorze, wciąż, jak się obawiam, rozumuje tak, jakbyśmy stali oko w oko z myślącym przeciwnikiem. To, co kiedyś było narzędziem istot rozumnych, po ich zniknięciu

usamodzielniało się i z upływem milionów lat stało się właściwie częścią sił naturalnych planety. Życie pozostało w oceanie, bo tam nie sięga ewolucja mechaniczna, ale nie daje ona wstępu formom tego życia na ląd. Tym tłumaczy się umiarkowany procent tlenu w atmosferze — wydzielają go oceaniczne glony — jak również wygląd powierzchni kontynentów. Jest ona pustynią, bo te ustroje niczego nie budują, nie posiadają żadnej cywilizacji, nie mają w ogóle niczego prócz siebie, nie tworzą żadnych wartości: dlatego winniśmy je traktować jak siłę naturalną. Natura też nie tworzy ani ocen, ani wartości. Te twory po prostu są sobą, trwają i działają tak, aby to trwanie kontynuować...

— Jak pan tłumaczy zagładę samolotów? Chroniło je pole siłowe...

— Siłowe pole można zgnieść innym siłowym polem. Zresztą, astrogorze, aby w ułamku sekundy unicestwić całą pamięć zawartą w mózgu człowieka, trzeba momentalnie wzbudzić wokół jego głowy pole magnetyczne o takim natężeniu, jakie trudno byłoby zrealizować nawet nam za pomocą środków, jakie mamy na pokładzie. Potrzebne byłyby do tego jakieś gigantyczne przetwornice, transformatory, elektromagnesy...

— I pan myśli, że one mają to wszystko?

— Ależ nic podobnego! Niczego nie mają. Po prostu są cegielkami, z których potrzeba chwili buduje to, co niezbędne. Przychodzi sygnał: zagrożenie! Coś się pojawiło, wykrywalne wywołanymi zmianami, na przykład zmiana—mi pola elektrostatycznego... natychmiast lotny rój układa się w ten jakiś „chmuromózg” i budzi się jego zbiorowa pamięć: takie istoty już były, postępowało się z nimi tak a tak, po czym uległy zagładzie... i powtarzają ów tryb postępowania...

— Dobrze — powiedział Horpach, który od dłuższej chwili nie słyszał już słów starego biologa. — Odkładam start. Zwołamy teraz naradę; wolałbym tego nie robić, bo kroi się na wielką dyskusję, namietności naukowe rozgorzeją, ale innej rady nie widzę. Za pół godziny w głównej bibliotece, doktorze Lauda...

— Niech mnie przekonają, że się mylę, a wtedy na pokładzie przybędzie panu jeden człowiek prawdziwie zadowolony... — powiedział spokojnie doktor i tak cicho jak wszedł, opuścił kajutę. Horpach wyprostował się, podszedł do ściennego informatora i wcisnąwszy taster wewnętrznej sieci głośników, wezwał po kolei wszystkich uczonych.

Jak się okazało, większość specjalistów żywiła podobne przypuszczenia co Lauda; on był tylko pierwszy, który sformułował je tak kategorycznie. Spory rozgorzały jedynie wokół problemu psychiczności czy apsygicznosci „chmury”. Cybernetycy skłaniali się raczej ku uznaniu jej za system myślący, obdarzony zdolnością działania strategicznego. Atakowano Laudę ostro; Horpach zdawał sobie sprawę z tego, że namietność owych ataków spowodowała nie tyle hipoteza Laudy, ile to, że zamiast z kolegami przedyskutował ją najpierw z nim samym. Mimo wszystkie więzy łączące ich z załogą uczeni stanowili jednak na pokładzie rodzaj „państwa w państwie” i przestrzegali pewnego, niepisanego kodeksu postępowania.

Główny cybernetyk, Kronotos, pytał, w jaki sposób według Laudy „chmura”, choć pozbawiona inteligencji, nauczyła się atakować ludzi.

— Ależ to proste — odparł biolog. — Nie robiła nic innego przez miliony lat. Mam na myśli walkę z pierwotnymi mieszkańcami Regis. Były to zwierzęta, posiadające centralny układ nerwowy. Nauczyły się je atakować tak samo, jak ziemski owad atakuje ofiarę. Robią to z analogiczną precyzją, z jaką osa potrafi wstrzyknąć truciznę w zwoje nerwowe pasikonika czy chrząszcza. To nie inteligencja, to instynkt...

— A skąd wiedziały, jak zaatakować samoloty? Z samolotami nie spotykały się dotąd...

— Tego nie możemy wiedzieć, kolego. Walczyły, jak już wam mówiłem, na dwa fronty. Z mieszkańcami Regis — żywymi i martwymi, to jest z innymi automatami. Te automaty siłą rzeczy musiały używać rozmaitych rodzajów energii w celach obrony i ataku...

— Ale jeśli nie było wśród nich latających...

— Domyślam się, o co chodzi doktorowi — zauważył zastępcę GC, Saurahan.

— Te wielkie automaty, makroautomaty, komunikowały się ze sobą celem kooperacji, i najłatwiej było je zniszczyć przez izolację, rozdzielenie, najlepszym więc sposobem było blokowanie łączności...

— Nie o to chodzi, czy można wyjaśnić poszczególne formy zachowania „chmury” bez uciekania się do hipotezy inteligencji — odparł Kronotos — ponieważ nie obowiązuje nas brzytwa Occhama. Nie nasze zadanie, teraz przynajmniej, tworzyć hipotezę, która najoszczędniejszymi środkami wyjaśni wszystko, lecz taką hipotezę, która umożliwi najbezpieczniejsze działanie. Dlatego raczej należy uznać, że „chmura” może być obdarzona inteligencją, bo to będzie większa przezorność. Będziemy działać wtedy ostrożniej. Gdybyśmy natomiast przyjęli za Laudą, że chmura nie ma inteligencji, a w rzeczywistości by ją miała, łatwo możemy za taki błąd zapłacić straszną cenę... Mówię to nie jako teoretyk, ale przede wszystkim jako strateg.

— Nie wiem, kogo chcesz pokonać — chmurę czy mnie — odparł spokojnie Lauda. — Nie jestem za brakiem ostrożności, ale chmura nie ma inteligencji innego typu, aniżeli ją ma owad, ile, dajmy na to, mrowisko. Przecież gdyby było inaczej, już byśmy nie żyli.

— Udowodnij to.

— Nie byliśmy dla niej pierwszym przeciwnikiem typu homo, ponieważ już miała z nim do czynienia: przypominam, że przed nami był tutaj „Kondor”. Otóż, aby przeniknąć w głąb pola siłowego, wystarczyłoby się tym mikroskopijnym „muszkom” zagrzebać w piasku. Pole sięga tylko do jego powierzchni. One znały pola siłowe „Kondora”, więc mogły się nauczyć tego sposobu atakowania. Tymczasem niczego podobnego nie zrobiły. Albo więc jest „chmura” głupcem, albo działa instynktownie...

Kronotos nie chciał się poddać, ale tu wkroczył Horpach, proponując, aby dalszą część dyskusji odłożono. Prosił o konkretne propozycje, wynikające z tego, co ustalono z dużym prawdopodobieństwem. Nygren pytał, czy nie można by ekranować ludzi, nakładając im hełmy metalowe, które uniemożliwiają działanie magnetycznego pola. Fizycy doszli jednak do wniosku, że to nie będzie skuteczne, ponieważ bardzo silne pole wytwarza w metalu prądy wirowe, rozgrzewające hełm do wysokiej temperatury. Gdy znacznie parzyć, nie będzie innej rady jak tylko zerwać go z głowy z wiadomym skutkiem.

Była już noc. Horpach w jednym kącie sali rozmawiał z Laudą i lekarzami; osobno skupili się cybernetycy.

— To jednak niezwykle, że istoty o wyższej inteligencji, owe makroautomaty, nie odniosły zwycięstwa — powiedział któryś. — Byłby to wyjątek potwierdzający regułę, że ewolucja idzie w kierunku komplikacji, doskonalenia homeostazy... sprawy informacji, jej wykorzystania...

— Te automaty nie miały szans właśnie dlatego, że były już na samym początku tak wysoko rozwinięte i skomplikowane — odparł Saurahan. — Zrozum, były wysoko wyspecjalizowane dla celów współpracy z ich konstruktorami, Lyranami, a kiedy zabrakło Lyran, zostały jakby okaleczone, pozbawione dowództwa. Natomiast te formy, z których powstały dzisiejsze „muszki” (nie twierdę wcale, że one już wtedy istniały, uważam to nawet za wykluczone, musiały powstać daleko później), te formy były względnie prymitywne i przez to miały przed sobą wiele dróg rozwoju.

— Może był to czynnik nawet donioślejszy dorzucił doktor Sax, który do nich podszedł — mamy do czynienia z mechanizmami, a mechanizmy nigdy nie wykazują takich tendencji samonaprawczych jak żywe zwierzę, żywa tkanka, która sama się odtwarza po skaleczeniu. Makroautomat, jeśli nawet mógłby naprawić inny, potrzebuje do tego narzędzi, całego parku maszynowego. Wystarczyło zatem odciąć je od takich narzędzi, aby oślepić. Stały się wtedy prawie bezbronnym łupem lotnych stworów, które były daleko mniej podatne na



uszkodzenia...

— To niesłychanie ciekawe — powiedział nagle Saurahan. — Z tego wynika, że automaty trzeba budować zupełnie inaczej, niż to robimy, aby były naprawdę uniwersalne: należy wychodzić z małych cegiełek elementarnych, z pseudokomórek, które mogą się nawzajem zastępować.

— To nie jest takie nowe — uśmiechnął się Sax bo właśnie ewolucja żywych form postępuje w ten sposób, i nieprzypadkowo... Dlatego i to, że „chmura” składa się z takich elementów wymiennych, na pewno nie jest przypadkiem... To jest sprawa materiału: uszkodzony makroautomat wymaga części, które wytworzyć może tylko wysoko rozwinięty przemysł, natomiast układ złożony z paru kryształków czy termistorów albo innych prostych ogniwek, taki układ może ulec zniszczeniu i to nie przynosi żadnej szkody, bo zastąpi go natychmiast jeden z miliarda podobnych.

Widząc, że niewiele może po nich oczekiwać, Horpach opuścił zebranych, którzy prawie tego nie zauważyli, pogrążeni w dyskusji. Udał się do sterowni, by powiadomić ekipę Rohana o hipotezie „martwej ewolucji”. Było już ciemno, kiedy „Niezwyciężony” nawiązał łączność z superkopterem znajdującym się w kraterze. Do mikrofonu zgłosił się Gaarb.

— Mam tu tylko siedmiu ludzi — powiedział — z tego dwu lekarzy przy tych nieszczęśliwcach. Reszta w tej chwili śpi, oprócz telegrafisty, który siedzi tu ze mną. Tak... mamy pełną osłonę siłową. Ale Rohan jeszcze nie wrócił.

— Jeszcze nie wrócił?! A kiedy wyjechał?

— Około szóstej po południu. Zabrał sześć maszyn i całą resztę ludzi... umówiliśmy się, że wróci po zachodzie. Słońce zaszło przed dziesięcioma minutami.

— Ma pan z nim łączność radiową?

— Utraciłem ją przed godziną.

— Gaarb? Czemu nie zawiadomił mnie pan natychmiast?!

— Bo Rohan zapewniał, że łączność na jakiś czas ustanie, ponieważ zapuszczają się w jeden z tych głębokich wąwozów, wie pan. Ich stoki porośnięte są tym metalowym świństwem, które daje takie odbicia, że praktycznie nie ma mowy o złapaniu sygnału...

— Proszę zawiadomić mnie natychmiast, kiedy Rohan wróci... będzie za to odpowiadał... w ten sposób możemy utracić wszystkich...

Astrogator mówił jeszcze, gdy przerwał mu okrzyk Gaarba:

— Nadjeżdżają, astrogatorze! Widzę światła, idą w górę stoku, to Rohan.. raz — dwa — nie, to tylko jedna maszyna... zaraz dowiem się wszystkiego...

— Czekam.

Gaarb, widząc światła reflektorów, huśtające się nisko nad samą ziemią, które co chwila snopami uderzały w obozowisko i znów znikwały w fałdach terenu, chwycił leżącą opodal raketnicę i strzelił dwa razy w górę. Efekt był znakomity — wszyscy śpiący zerwali się na równe nogi, tymczasem maszyna zatoczyła łuk, telegrafista czuwający w centrali otworzył przejście w ścianie siłowej i przez wyznaczony błękitnymi światłami pas gruntu wtoczyła się zasypana kurzem gaśnicówka, zamierając przed wydumą, na której stał superkopter. Ku swemu przerażeniu Gaarb rozpoznał w przybyłej małą, trójosobową amfibię zwiadowczą, pojazd radiowy. Wraz z innymi, w świetle kierowanych pośpiesznie reflektorów, pobiegł naprzeciw jadącej maszynie. Nim zatrzymała się na dobre, wyskoczył z niej człowiek w podartym kombinezonie, z twarzą tak umazaną błotem i krwią, że nie poznał go, dopóki tamten się nie odezwał.

— Gaarb — jęknął, chwytając uczonego za ramiona, i nogi ugięły się pod nim. Przyskoczyli inni, podparli, wołając:

— Co się stało?! Gdzie tamci...?

— Nie — ma — już — tamtych... nikogo... wyszeptał Rohan i zwiśł im w rękach, zemdlony.

Okolo dwunastej w nocy udalo sie lekarzom przywrócic mu przytomnošć. Leżąc pod aluminiową osłoną baraku, w namiocie tlenowym, opowiedział to, co w pół godziny potem Gaarb przetelegrafował „Niewyciężonemu”.

## GRUPA ROHANA

Kolumna, którą poprowadził Rohan, składała się z dwóch wielkich energobotów, czterech gąsienicówek terenowych i małej maszyny ziemno-wodnej. Znajdował się w niej Rohan wraz z kierowcą Jargiem i bosmanem Ternerem. Posuwali się w szyku wyznaczonym regulaminem procedury III stopnia. Jako pierwszy toczył się energobot bez ludzi, za nim jechała zwiadowcza amfibia Rohana, dalej — cztery maszyny mieszczące po dwu ludzi, a zamykał kolumnę drugi energobot; oba one osłaniały całą grupę pęcherzem pola siłowego.

Rohan zdecydował się na tę wyprawę, ponieważ jeszcze w kraterze udało się przy pomocy „elektrycznych psów” — czujników olfaktometrycznych — znaleźć tropy czterech zaginionych ludzi grupy Regnara. Było oczywiste, że jeśli się ich nie znajdzie, zginą z głodu lub pragnienia, błądząc po skalnych wertepach bardziej bezradni niż dzieci. Pierwsze kilometry przebyli, zdając się na wskazania czujników. U wejścia do jednego z mijanych, szerokich i płytkich w tym miejscu wąwozów odkryli około siódmej wyraźne, odcisnięte w szlamie, pozostawionym przez wysychający potok, ślady stóp. Odróżnili trzy rodzaje śladów, doskonale zachowanych w miękkim szlamie, który tylko nieznacznie zesechł się w ciągu dnia; był tam i czwarty, niewyraźny, bo rozmyty już wodą, ciurkającą słabo wśród głazów. Ślady te, o charakterystycznym rysunku, wskazywały na to, że odcisnęły je ciężko obute stopy ludzi z grupy Regnara, które kierowały się w głąb wąwozu. Nieco dalej znikwały na skale, lecz to nie zniechęcało naturalnie Rohana, bo widział, że stoki wąwozu stają się w głębi coraz bardziej strome. Tym samym nieprawdopodobne było, aby porażeni amnezją uciekinierzy zdołali się na nie wspiąć. Rohan liczył na to, że wnet znajdzie ich w głębi wąwozu, nieprzejrzystego wskutek licznych i ostrych zakrętów. Po krótkiej naradzie kolumna ruszyła dalej, aż dotarła do miejsca, w którym na obu stokach rosły dziwaczne, nadzwyczaj zbite metalowe krzaki. Były to twory przysadkowate, pędzlaste, wysokie mniej więcej od jednego do półtora metra. Wyrastały z pełnego czarniawego łu pęknięć nagiej skały. Zrazu pojawiły się pojedynczo, potem utworzyły jednolity gąszcz, który rdzawą szcztokową warstwą zarastał oba skłony wąwozu do samego niemal dna; sączyła się tam ukryta pod wielkimi głazami nitka wody.

Tu i ówdzie między „krzakami” widniały wyloty jaskiń. Z jednych wypływały cienkie strumyki wody, inne były suche lub pozornie wyschnięte. Do takich, których otwory znajdowały się nisko, ludzie Rohana próbowali zajrzeć, świecąc do środka reflektorami. W jednej z owych grot znaleźli znaczną ilość drobnych, częściowo zatopionych wodą, która kapiała ze sklepienia, trójkątnych kryształków. Rohan miał ich całą garść w kieszeni. Jechali jakieś pół kilometra w górę wąwozu po coraz większej pochyłości. Jak dotąd gąsienice maszyn radziły sobie z nachyleniem doskonale, a że w dwu miejscach ponownie odkryli ślady stóp w zeschniętym ile przy biegu strumyka, byli pewni, że jadą dobrym tropem. Za którymś z zakrętów łączność radiowa, utrzymywana dotąd z superkopterem, znacznie się pogorszyła, co Rohan przypisywał ekranującemu działaniu metalowych gąszczy. Po obu stronach wąwozu, szerokiego na dwadzieścia metrów u góry i jakieś dwanaście metrów u dna, wznosiły się niemal pionowe miejscami ściany, okryte, niby sztywnym, czarnym futrem, drucianą masą krzewów. Krzewów tych było po obu stronach wąwozu tyle, że tworzyły jednolitą gęstwinę, sięgającą szczytów wzniesienia.

Kawalkada pojazdów przejechała przez dwie dość szerokie bramy skalne; przejazd ów zajął nieco czasu, ponieważ technicy pola musieli bardzo precyzyjnie zwęzać jego zasięg, aby nie zawadzić o skały. Były one silnie pokruszone i spękane od erozji, każde więc uderzenie pola energetycznego o filar skalny mogło obruszyć całą lawinę głazów. Nie o siebie się naturalnie obawiali, lecz o zaginionych, których podobny obwał — gdyby znajdowali się blisko — mógł poranić lub pozabijać.

Minęło około godziny od ustania radiowej łączności, kiedy na ekranach magnetycznych czujników pojawiły się gęste rozbłyski. Pelengatory pozornie popsuły się, gdyż kiedy chcieli odczytać z nich kierunek, z którego płyną te impulsy, pokazywały wszystkie strony świata naraz. Dopiero licznikami natężenia i polaryzatorami udało się stwierdzić, że źródłem wahań pola magnetycznego są gęstsze porastające ściany wąwozu. Wtedy dopiero zauważyli też, że gęszcz ów przedstawia się inaczej niż w przebytej części wąwozu: nie miał rdzawego nalotu, krzaki, z których się składał, były wyższe, większe i jakby bardziej czarne, gdyż druty ich czy też gałązki oblepiały dziwaczne zgrubienia. Rohan nie zdecydował się na ich zbadanie, nie chciał bowiem ryzykować otwarcia osłony siłowej.

Pojechali nieco szybciej, podczas kiedy impulsometry i czujniki magnetyczne wskazywały coraz bardziej różnorodną aktywność. Gdy unosiło się wzrok w górę, można było dostrzec, jak powietrze drga gdzieniegdzie nad całą powierzchnią czerniawej gęstwiny, jakby nagrzane do wysokiej temperatury, a za drugą bramą skalną zauważyli, jak nad krzakami krążą nikłe pasemka, podobne do rozwiewającego się dymu. Działo się to jednak tak wysoko na stoku, że w ich naturze nie można się było zorientować nawet przy użyciu lornety. Co prawda Jarg, który prowadził wóz Rohana, obdarzony bardzo bystrym wzrokiem twierdził, że te „dymki” wyglądają jak rój małych owadów.

Rohan stawał się już trochę niespokojny, wędrówka bowiem trwała dłużej, niż się tego spodziewał, a wciąż nie było widać końca krętego wąwozu. Można było za to jechać szybciej, bo znikły spotykane poprzednio spiętrzenia głazów na dnie potoku, który przestał już prawie istnieć, ukryty głęboko pod piargami, i tylko kiedy maszyny przystawały, w zaległej ciszy słychać było nikły szmer niewidzialnej wody.

Za kolejnym zakrętem ukazała się brama skalna ciaśniejsza niż tamte. Po dokonaniu namiarów technicy stwierdzili, że nie można przejechać przez nią z włączonym polem siłowym. Jak wiadomo, pole takie nie może przybrać dowolnych rozmiarów, ale zawsze stanowi wariant bryły obrotowej, więc kuli, elipsoidy czy hiperboloidy. Poprzednio udawało im się przebrnąć przez zwężenie wąwozu, zaciskając osłaniające pole na kształt spłaszczonego balona stratosferycznego, który był oczywiście niewidzialny.

Teraz jednakże nie udałoby się tego dokonać żadnym manewrem. Rohan naradził się z fizykiem Tommanem i oboma technikami pola i zdecydowano wspólnie, że zaryzykują przejazd z momentalnym i ponadto częściowym tylko wyłączeniem osłony. Jako pierwszy miał przejechać bezludny energobot z wyłączonym emitorem pola; natychmiast za bramą skalną należało go uruchomić, aby dał pełną osłonę przednią na kształt wypukłej tarczy. Podczas przejazdu czterech wielkich maszyn i małej zwiadowczej Rohana przez wąskie przejście ludzie mieli być pozbawieni osłony tylko z góry; ostatni zamykający kolumnę energobot miał połączyć swą „tarczę” z „tarczą” pierwszego zaraz za skalną bramą, odtwarzając w ten sposób pełną osłonę.

Wszystko szło zgodnie z owym projektem i ostatnia z czterech maszyn gaśnicowych przejeżdżała właśnie między skalnymi słupami, gdy powietrzem targnął osobliwy wstrząs — nie dźwięk, ale wstrząs, jakby gdzieś blisko upadła jakaś skała — szorstkowane ściany wąwozu zadymiły, wypełzła z nich czarna chmura i z szaloną szybkością runęła na kolumnę.

Rohan, który postanowił przepuścić przed swą amfibią wielkie transportery, stał w tym momencie, czekając na przejazd ostatniego; zobaczył nagle buchające czernią stoki wąwozu i olbrzymi błysk na przedzie, gdzie znajdujący się już poza bramą skalną przedni energobot włączył pole, w którym spalały się kłęby atakującej chmury, ale większą jej część przeniosło ponad płomieniami, i runęła na wszystkie naraz maszyny. Krzyknął na Jarga, aby włączył natychmiast tylny energobot i połączył emitowane przezeń pole z przednim, bo w tej sytuacji niebezpieczeństwo skalnego obrywu nie miało już znaczenia. Jarg usiłował to zrobić, ale pola włączyć się nie dało. Prawdopodobnie — jak zauważył potem główny inżynier klistrony aparatury były przegrzane. Gdyby technik przetrzymał je pod wzbudzającym prądem kilka

sekund dłużej, pole niewątpliwie by „zaskoczyło”, lecz Jarg stracił głowę i zamiast ponowić próbę wyskoczył z maszyny. Rohan chwycił go za kombinezon, lecz obłąkany strachem wyrwał mu się i zaczął uciekać w dół wąwozu. Kiedy Rohan sam dopadł aparatury, było już za późno.

Ludzie zaskoczeni w transporterach wyskakiwali z nich i rozbiegali się na wszystkie strony, prawie niewidzialni w kłębach kotłującej się chmury. Widok ten był tak nieprawdopodobny, że Rohan nie próbował już nic robić. (Było to zresztą niemożliwe — włączając pole, poraziłby ich, bo usiłowali nawet wdrapywać się na zbocze, jakby szukając osłony w metalicznym gąszczu). Stał teraz biernie w opuszczonej maszynie i czekał, kiedy spotka go ten sam los. Za jego plecami Turner, do połowy wychylony ze swej kopułki strzelniczej, bił ze sprzężonych laserów w górę, ale ten ogień nie miał znaczenia, bo większa część chmury znajdowała się już zbyt blisko. Od reszty kolumny dzieliło Rohana nie więcej niż sześćdziesiąt metrów. W owej przestrzeni miotali się i tarzali po ziemi, jak ogarnięci czarnymi płomieniami nieszczęśliwcy, krzycząc zapewne, ale ich krzyk, jak wszystkie odgłosy, wraz z huczeniem przedniego energobotu, na którego osłonie siłowej wciąż spalały się drgającym pożarem całe miriady napastników, nił w przeciągłym, basowym brzęczeniu chmury.

Rohan wciąż stał, wynurzony do połowy ze swej amfibii, nawet nie próbując się w niej ukryć, nie z rozpaczliwej odwagi, jak sam powtarzał potem, ale po prostu dlatego, że o tym — ani w ogóle o niczym nie pomyślał.

Ten obraz, którego nie mógł zapomnieć — ludzi pod czarną lawiną nagle przeistoczył się w zdumiewający sposób. Zaatakowani przestali tarzać się po głazach, uciekać, wczółgiwać w druciasty gąszcz. Powoli stawali lub siadali, a chmura, rozdzieliwszy się na szereg lejów, uformowała nad każdym jakby lokalny wir, jednym muśnięciem okrążyła jego tułów czy tylko głowę, po czym oddalała się, wzburzona, hucząc coraz wyżej między ścianami wąwozu, aż zasłoniła światło zmierzającego nieba, a potem w przeciągle niknącym poszumie wpęzła w skały, zapadła w czarną dżunglę i znikła, tak że tylko drobne, czarne punkciki, leżące z rzadka między znieruchomiałymi postaciami, świadczyły o realności tego, co stało się przed chwilą.

Rohan, wciąż jeszcze nie wierząc we własne ocalenie ani nie rozumiejąc, czemu je przypisać, poszukał oczami Ternera. Ale kopułka strzelecka była pusta; bosman musiał wyskoczyć z niej, nie wiadomo jak ani kiedy; zobaczył go, leżącego opodal z laserami, których kolby wciąż jeszcze przyciskał do piersi, patrząc przed siebie nieruchomymi oczyma.

Rohan wysiadł i zaczął biegać od jednego człowieka do drugiego. Nie poznawali go. Żaden się do niego nie odezwał. Większość wydawała się spokojna; kładli się na kamieniach lub siadali, a dwu czy trzech wstało i podchodząc do maszyn, zaczęło obmacywać ich boki powolnymi, niezdarnymi ruchami ślepców.

Rohan zobaczył, jak znakomity radarzysta, przyjaciel Jarga, Genlis, na podobieństwo dzikusa, który pierwszy raz w życiu ujrzał maszynę, z półotwartymi ustami próbował poruszać ręką odmykającą klapę transportera.

W następnej chwili Rohan miał zrozumieć, co oznaczała okrągła dziura wypalona w jednej z przegród sterowni „Kondora”, bo kiedy przyklęknąwszy, chwycił za barki doktora Ballmina i trząśł nim z całą siłą rozpacz, jakby w przekonaniu, że w ten sposób uda mu się go otrzeźwić, tuż u jego głowy buchnął z hukiem fioletowy płomień. To jeden z siedzących dalej, wyjąwszy z kabury swój miotacz Weyra, nacisnął niechcący jego spust. Rohan krzyknął doń, ale człowiek nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Być może błysk spodobał mu się, jak fajerwerk małemu dziecku, bo zaczął strzelać, wypróżniając atomowy magazynek, aż powietrze zaskwierczało od żaru i Rohan, padłszy na ziemię, musiał wtoczyć się między głązy. W tym momencie rozległ się gwałtowny tupot i spoza zakrętu wybiegł, z ziajany, z twarzą lśniąca od potu, Jarg. Biegł prosto na szaleńca, który zabawiał się strzelaniem z weyra.

„Stój! Padnij! Padnij!!!” — wrzasnął z całej siły Rohan, lecz nim zdezorientowany Jarg zatrzymał się, wyładowanie trafiło go okropnie w lewe ramię, tak że Rohan widział jego twarz, gdy cały odwalony bark leciał przez powietrze, a ze straszliwej rany buchnęła krew. Strzelający jakby wcale tego nie zauważył, a Jarg, spojrzawszy z bezmiernym zdumieniem najpierw na krwawiący kikut, potem na oderwaną rękę, zakreślił się i upadł.

Człowiek z Weyrem wstał. Rohan widział, jak ciągły płomień rozgrzewającego się miotacza krzesał pachnące dymem krzemionki iskry z gładów. Tamten poruszał się chwiejnie; ruchy te były takie właśnie jak niemowlęcia trzymającego grzechotkę. Płomień przeszył powietrze między dwoma siedzącymi obok siebie ludźmi, którzy nawet oczu nie zamknęli przed jego oślepiającym blaskiem; chwila, a jeden z nich dostałby cały ładunek w twarz. Rohan — to znowu nie była decyzja, lecz odruch — wyrwał z kabury własnego weyra i strzelił, tylko raz. Tamten uderzył się z rozmachem obiema podkurczonymi rękami w pierś, jego broń stuknęła o kamienie, a on sam padł na nią, na twarz.

Rohan zerwał się wtedy. Zapadał zmrok. Należało wszystkich jak najszybciej odwieźć do bazy. Miał tylko własną, małą amfibię, a gdy chciał uruchomić któryś z transporterów, okazało się, że dwa z nich zderzyły się w najwęższym miejscu skalnego przejścia i tylko za pomocą dźwigów można by je rozłączyć. Pozostawał tylny energobot, który mógłby zabrać najwyżej pięciu ludzi, a miał ich — żywych, choć bezprzytomnych dziewięciu. Pomyślał, że najlepiej będzie zebrać wszystkich razem, powiązać, aby nie mogli nigdzie uciec ani zrobić sobie krzywdy, włączyć pola obu energobotów, by ich osłaniały, a samemu jechać po pomoc. Nie chciał zabierać nikogo, bo jego mała terenówka była całkiem bezbronna, więc w razie ataku wołał ryzykować tylko sobą.

Była już ciemna noc, kiedy skończył tę niesamowitą pracę; ludzie dali się powiązać bez żadnego oporu. Odjechał tylnym energobotem, by móc wyjechać na wolną przestrzeń amfibią, ustawił oba emitery, zdalnie włączył osłonę siłową, pozostawił w jej wnętrzu wszystkich związanych, a sam ruszył w drogę powrotną.

W taki sposób, w dwudziestym siódmym dniu po lądowaniu, niemal połowa załogi „Niezwycięzonego” była już obezwładniona.

## KŁĘSKA

Jak każda historia prawdziwa opowiadanie Rohana było dziwaczne i nieskładne. Dlaczego chmura nie zaatakowała jego ani Jarga? Dlaczego nie tknęła także Ternera, dopóki nie opuścił amfibii? Dlaczego Jarg najpierw uciekał, a potem wrócił? Odpowiedzieć na ostatnie pytanie było stosunkowo łatwo. Wrócił, jak przypuszczano, kiedy ochłonął z paniki i uzmysłowił sobie, że od bazy dzieli go około pięćdziesięciu kilometrów, których nie mógłby przebyć pieszo z posiadanym zapasem tlenu.

Pozostawały zagadką pytania poprzednie. Odpowiedź na nie mogła mieć dla wszystkich ludzi wagę życia lub śmierci. Ale rozważania i hipotezy musiały ustąpić działaniu.

Horpach dowiedział się o losie grupy Rohana po północy; w pół godziny potem wystartował.

Przerzucenie krążownika kosmicznego z jednego miejsca na drugie, oddalone zaledwie o dwieście kilometrów, jest zadaniem niewdzięcznym. Statek trzeba prowadzić cały czas zawieszony pionowo na ogniu, ze stosunkowo małą szybkością, co powoduje znaczne zużycie paliwa. Pędnie, nie przystosowane do takiej pracy, wymagały nieustającej interwencji elektrycznych automatów, a i tak stalowy kolos posuwał się w nocy z lekkim chybotaniem, jakby go unosiła powierzchnia łagodnie falującego morza. Byłby to zapewne niezwykle widok dla obserwatora stojącego na powierzchni Regis III — ów słabo widoczny w odbłasku wyrzucanych płomieni kształt, sunący przez mroki niczym ognista kolumna.

Utrzymanie właściwego kursu także nie było łatwe. Przyszło wznieść się ponad atmosferę, potem wejść w nią na powrót, rufą naprzód.

Wszystko razem absorbowało całą uwagę astrogatora, tym bardziej że poszukiwany krater skrywał się pod cienką powłoką chmur. Na koniec jeszcze przed świtem „Niezwyciężony” osiadł w kraterze, o dwa kilometry od starej bazy Regnara; superkopter, maszyny i baraki umieszczono wówczas w obrębie perymetru krążownika, a silnie uzbrojona grupa ratunkowa około południa przywiozła wszystkich ocalałych ludzi Rohana, zdrowych, lecz bezprzytomnych. Na szpitalu przyszło zająć dwa dodatkowe pomieszczenia, bo we właściwym szpitalu okrętowym zabrakło już wolnych miejsc. Dopiero gdy tego dokonano, uczeni zajęli się roztrząsaniem tajemnicy, która uratowała Rohana i — gdyby nie tragiczny wypadek z miotaczem w ręku szalonego — uratowałyby i Jarga.

Było to niepojęte, bo obaj zarówno odzieżą, uzbrojeniem, jak i wyglądem nie różnili się wcale od reszty. Nie mogło mieć chyba znaczenia i to, że znajdowali się we trzech, z Ternerelem, w małym pojeździe terenowym.

Horpach stał równocześnie przed dylematem, co robić dalej. Sytuacja była o tyle jasna, że mógłby wrócić do bazy z danymi, które usprawiedliwiły odwrót i wyjaśniały zarazem tragiczny koniec „Kondora”. To, co najbardziej intrygowało uczonych — metalowe pseudoowady, ich symbioza z mechanicznymi „roślinami”, osiadłymi na skałach, na koniec kwestia o „psychizmie” chmury — a nie było nawet wiadome, czy istnieje tylko jedna, czy też jest ich więcej, czy wreszcie mniejsze chmury mogą się wszystkie łączyć w jednolitą całość — wszystko to razem nie skłoniłoby go do pozostania na Regis III ani przez godzinę dłużej, gdyby nie to, że brakowało wciąż czterech ludzi z ekipy Regnara, wraz z nim samym.

Ślady zaginionych wciągnęły grupę Rohana do wąwozu. Nie ulegało wątpliwości, że owi bezbronni zginą tam, nawet jeśli martwi mieszkańcy Regis pozostawią ich w spokoju. Należało zatem przeszukać okoliczne tereny, bo pozbawieni zdolności rozumnego działania nieszczęśliwcy mogli liczyć tylko na pomoc „Niezwyciężonego”.

Jedyne, co dało się ustalić w rozsądnym przybliżeniu, to był promień poszukiwań, gdyż owi zagubieni w krainie grot i wąwozów nie mogli się oddalić od krateru bardziej aniżeli na kilkadziesiąt kilometrów. Tlenu w aparatach mieli już niewiele, lekarze jednak zapewniali, że

oddychanie atmosferą planety na pewno nie grozi śmiercią, w stanie zaś, w jakim przebywali owi ludzie, oszołomienie rozpuszczonym we krwi metanem nie miało oczywiście poważniejszego znaczenia.

Teren poszukiwań nie był zbyt rozległy, ale wyjątkowo trudny i nieprzejrzysty. Przeczesanie wszystkich zaułków, szczelin, krypt i jaskiń mogło nawet w sprzyjających warunkach zająć tygodnie. Pod skałami krętych parowów i dolin, komunikując się z nimi tylko gdzieś tam, krył się drugi system podziemnych korytarzy i grot, wypłukanych przez wody. Było zupełnie możliwe, że zaginieni przebywają gdzieś w jednej z takich kryjówek, poza tym nie można było liczyć nawet na to, że znajdzie się ich w jednym miejscu. Pozbawieni pamięci byli bardziej bezradni niż dzieci, bo te trzymałyby się przynajmniej razem. Przy tym wszystkim okolica ta stanowiła siedzibę czarnych chmur. Potężne uzbrojenie „Niezwycięzonego” i jego środki techniczne nie na wiele mogły się przydać w poszukiwaniach. Najpewniejsza obrona, pole siłowe — w ogóle nie dawało się zastosować w korytarzach planetarnego podziemia. Tak więc pozostawała alternatywa natychmiastowego odwrotu, równoznacznego z wyrokiem zagłady na zaginionych, albo wszczęcia ryzykownych poszukiwań. Realną szansę dawały one tylko w ciągu kilku najbliższych dni, do tygodnia. Horpach wiedział, że dalsze poszukiwania mogłyby wykryć jedynie szczątki owych ludzi, a nie ich samych.

Następnego dnia rankiem astrogator wezwał specjalistów, przedstawił im położenie i oznajmił, że liczy na ich pomoc. Znajdowali się w posiadaniu garstki „metalowych insektów”, które przyniósł w kieszeni swej kurtki Rohan. Całą prawie dobę poświęcono ich badaniu. Horpach chciał wiedzieć, czy istnieje szansa radykalnego unieszkodliwienia owych tworów. Powróciło też pytanie, co ocaliło Jarga i Rohana przed atakiem „chmury”.

„Jeńcy” zajmowali podczas narady poczesne miejsce, w zamkniętym naczyniu szklanym pośrodku stołu. Było ich zaledwie kilkanaście sztuk, bo reszta uległa zniszczeniu w trakcie badań. Twory te, o dokładnej troistej symetrii, przypominające kształtem literę Y, o trzech ostrokończastych ramionach łączących się w centralnym zgrubieniu, w padającym świetle czarne jak węgiel, w odbitym zaś opalizujące sino i oliwkowo, podobnie jak odwłoki niektórych ziemskich owadów o ściankach utworzonych z bardzo drobnych płaszczyzn, niby rozetkowy szlif brylantu, mieściły w swoim wnętrzu mikroskopijną, a zawsze taką samą konstrukcję. Elementy jej, kilkaset razy drobniejsze od ziarenek piasku, stanowiły rodzaj autonomicznego systemu nerwowego, w którym dało się wyróżnić częściowo od siebie niezależne układy.

Część mniejsza, zajmująca wnętrze ramion liter Y, przedstawiała system zawiadujący ruchami „owada”, który w mikrokryształicznej strukturze ramion posiadał coś w rodzaju uniwersalnego akumulatora i zarazem transformatora energii. Zależnie od tego, w jaki sposób mikrokryształki były ściskane, wytwarzały już to pole elektryczne, już to magnetyczne, już to naprzemienne pola siłowe, które mogły nagrzewać do stosunkowo wysokiej temperatury część centralną; wtedy nagromadzone ciepło promieniowało jednokierunkowo na zewnątrz. Wywołany tym ruch powietrza, coś na kształt odrzutu, umożliwiał unoszenie się w dowolnym kierunku. Pojedynczy kryształek nie tyle latał, co polatywał, i nie był, przynajmniej podczas eksperymentów laboratoryjnych, zdolny do precyzyjnego kierowania swoim lotem. Natomiast łącząc się przez zetknięcie końców ramion z innymi, tworzył agregaty o tym większych umiejętnościach aerodynamicznych, im większa była ich liczebność.

Każdy kryształek łączył się z trzema innymi; ponadto mógł też połączyć się końcem ramienia z centralną częścią innego, co umożliwiała wielowarstwową budowę tak rosnących zespołów. Połączenie nie musiało wynikać dzięki zetknięciu się, bo wystarczyło zbliżenie końców, aby wytworzone pole magnetyczne utrzymywało cały twór w równowadze. Przy określonej ilości „insektów” agregat zaczynał od „drażnienia” bodźcami zewnętrznymi zmieniać kierunek ruchu, formę, kształt, częstość pulsujących wewnątrz impulsów. Przy



pewnej ich zmianie znaki pola odwracały się, i zamiast przyciągać się, metalowe kryształki, rozłączywszy się, przechodziły w stan „rozsyпки indywidualnej”.

Oprócz systemu zawiadującego takimi ruchami każdy czarny kryształek mieścił w sobie jeszcze drugi układ połączeń, a raczej jego fragment, bo tamten zdawał się stanowić część jakiejś większej całości. Ta nadrzędna całość, powstająca prawdopodobnie dopiero przy zespoleniu ogromnej ilości elementów, była właściwym motorem napędowym działań chmury. Tu jednak kończyły się wiadomości uczonych. Nie orientowali się w możliwościach wzrostu systemów nadrzędnych, a już szczególnie ciemny pozostał problem ich „inteligencji”. Kronotos przypuszczał, że tym więcej stworów łączy się w jedną całość, im trudniejszy do rozwiązania napotykają problem. Brzmiało to dość przekonywająco, ale ani cybernetycy, ani informacjoniści nie znali żadnego odpowiednika takiej konstrukcji, to jest „dowolnie rozrastającego się mózgu”, który rozmiary swoje przymierza do wielkości zamiarów.

Część przyniesionych przez Rohana tworów była uszkodzona. Inne jednak wykazywały typowe reakcje. Pojedynczy kryształek mógł polatywać, unosić się prawie nieruchomo, opadać, zbliżać się do źródła bodźców bądź unikać go, poza tym był zupełnie niegroźny, nie wydzielał nawet w obliczu zniszczenia (a niszczyć je próbowali badacze środkami chemicznymi, żarem, polami siłowymi i promieniowaniem) żadnych rodzajów energii i można go było unicestwić jak najsłabszego ziemskiego chrząszczyka — z tą tylko różnicą, że krystaliczno–metalowy pancerz nie tak łatwo przychodziło zmiażdżyć. Natomiast łącząc się już w stosunkowo mały agregat, „owady” zaczynały przy wystawieniu na działania pola magnetycznego wytwarzać pole, które tamto znosiło; podgrzane usiłowały wyzbyć się ciepła promieniowaniem podczerwonym. Doświadczenia nie mogły iść dalej, gdyż uczeni dysponowali tylko garścią kryształków.

Na pytanie astrogatora odpowiedział w imieniu „Głównych” Kronotos. Uczeni domagali się czasu dla dalszych badań przede wszystkim zaś pragnęli zdobyć dużą ilość kryształków. Proponowali zatem, aby wysłano w głąb wąwozu ekspedycję, która szukając zaginionych, mogłaby zarazem dostarczyć co najmniej kilkudziesięciu tysięcy pseudoowadów.

Horpach przystał na to. Uznał jednak, że nie wolno mu już ryzykować życiem ludzi. Do wąwozu postanowił wysłać maszynę, która nie brała dotąd udziału w żadnej akcji. Był to osiemdziesięcotonowy pojazd samobieżny, specjalnego przeznaczenia, zazwyczaj stosowany tylko w warunkach wysokiego skażenia promienistego, olbrzymich ciśnień i temperatur. Maszyna ta, zwana pospolicie, choć nieoficjalnie, „Cyklopem”, znajdowała się na samym dnie krążownika, zamocowana na głucho dźwigarami luku towarowego. Zasadniczo nie używano jej na powierzchni planety, a mówiąc prawdę, „Niezwyciężony” w ogóle nigdy dotąd nie uruchomił jeszcze swojego „Cyklopa”. Sytuacje, które wymagały takiej ostateczności, można było — w odniesieniu do całego tonażu latającego bazy — policzyć na palcach jednej ręki. Posłać po coś „Cyklopa” znaczyło w gwarze pokładowej tyle co zlecić zadanie samemu diabłu: o porażce jakiegoś „Cyklopa” nikt dotąd nie słyszał. Maszynę, wydobytą przy pomocy dźwigów, ustawiono na pochylni, gdzie zajęli się nią technicy i programiści. Posiadała oprócz zwykłego systemu wytwarzającego pole siłowe Diraków miotacz kulisty antymaterii, mogła więc wyrzucać antyprotony w dowolnym kierunku lub we wszystkich naraz. Wbudowana w pancerny brzuch wyrzutnia umożliwia „Cyklopowi”, dzięki interferencji pól siłowych, unoszenie się nawet kilka metrów ponad gruntem, nie był więc zależny ani od podłoża, ani od obecności jakichś kół czy gąsienic. Z przodu otwierał się pancerny ryj, a przez powstały otwór wysuwał się inhaustor — rodzaj teleskopowej „ręki”, która mogła dokonywać miejscowych wierceń, pobierać z zewnątrz próbki minerałów i wykonywać inne prace. „Cyklop” był wprawdzie zaopatrzony w silną radiostację i przekaźnik telewizyjny, ale przysposobiono go także do działań autonomicznych, dzięki elektronowemu mózgowi, który nim sterował. Technicy z grupy operacyjnej inżyniera Petersena wprowadzili

do owego mózgu odpowiednio przygotowany program: astrogator liczył się bowiem z tym, że wewnątrz wąwozu utraci łączność z maszyną.

Program przewidywał poszukiwania zaginionych, których „Cyklop” miał wprowadzić do swego wnętrza w ten sposób, że najpierw osłoniłby zarówno ich, jak i siebie drugą, zewnętrzną względem własnej zaporą siłową i dopiero pod jej tarczą otworzyłby przejście przez pole siłowe wewnętrzne, chroniące własny jego korpus. Poza tym maszyna miała zabrać sporą ilość kryształków, z liczby tych, które ją zaatakują. Miotacz antymaterii miał być użyty jedynie w skrajnej ostateczności, gdyby ochronnemu polu siłowemu zagrażało zgniecenie — gdyż reakcja anihilacyjna musiała, siłą rzeczy, doprowadzić do promienistego skażenia terenu, które mogło stać się groźne dla życia zaginionych, znajdujących się, być może, niedaleko miejsca potyczki.

Od końca do końca „Cyklop” mierzył osiem metrów, był też odpowiednio „barczysty” — średnica kadłuba wynosiła ponad cztery metry. Gdyby jakaś szczelina skalna okazała się dla niego niedostępna, mógł poszerzyć jej wylot, już to działając „stalową ręką”, już to rozpychając skały i krusząc je siłowym polem. Ale i wyłączenie pola nie mogło mu zaszkodzić, ponieważ jego własna, ceramicznowanadowa zbroja miała twardość diamentu.

We wnętrzu „Cyklopa” umieszczono automat, który miał zająć się odnalezionymi, jak również przygotowano tam dla nich posłania. Na koniec po sprawdzeniu wszystkich urządzeń pancerny kadłub zsunął się dziwnie lekko po opuszczonej pochylni i jak unoszony niewidzialną siłą — bo nie wzbijał wcale kurzawy, nawet gdy posuwał się najszybciej minął błękitnymi światłami wyznaczone przejścia osłony „Niezwycięzonego”, aby rychło zniknąć z oczu skupionym pod rufą.

Okolo godziny łączność radiotelewizyjna między „Cyklopem” a sterownią pracowała bez zarzutu. Rohan rozpoznał wylot wąwozu, w którym nastąpił atak, po wielkim, podobnym do zwalonej wieży kościelnej obelisku, który zamykał częściowo prześwit skalnych ścian. Na pierwszym osypisku wielkich głazów szybkość nieznacznie się zmniejszyła. Stojący u ekranów słyszeli nawet ciurkanie strumyka, ukrytego pod zwałami kamieni tak bezszelestnie pracował atomowy napęd „Cyklopa”.

Łącznościowcy utrzymywali wizję i fonię do drugiej czterdzieści, kiedy po przebyciu płaskiej i bardziej dostępnej części wąwozu „Cyklop” znalazł się w labiryncie rdzewiejących gąszczy. Dzięki wysiłkom radiotechników udało się potem przekazać w obie strony jeszcze cztery meldunki, ale piąty przybył już tak zniekształcony, że tylko można się było domyślić jego treści: mózg elektronowy „Cyklopa” donosił o pomyślnym posuwaniu się naprzód.

Zgodnie z ustalonym planem Horpach wysłał wtedy z „Niezwycięzonego” sondę latającą, zaopatrzoną w przekaźnik telewizyjny. Sonda, wznosząc się stromo w niebo, znikła w przeciągu sekund. Do centrali jęły za to napływać jej sygnały — zarazem ukazał się, widziany z wysokości mili, malowniczy krajobraz, pełen poszarpanych skał, pokrytych połąciami rdzawych i czarnych gąszczy. Po minucie bez trudu zauważyli w dole „Cyklopa”, który sunął dnem wielkiego wąwozu, błyszcząc jak stalowa pięść. Horpach, Rohan i kierownicy grup specjalistycznych stali u ekranów w sterowni. Odbiór był dobry, przewidywali jednak możliwość jego pogorszenia się lub przerwania, dlatego gotowe do startu czekały inne sondy, które miały im służyć za przekaźniki. GI sądził, że w razie ataku łączność z „Cyklopem” ustanie na pewno, ale przynajmniej będzie można obserwować jego posunięcia.

Elektryczne oczy „Cyklopa” nie mogły tego zauważyć, ale stojący u ekranów, dzięki rozległości pola widzenia, jakie roztaczało się przed nimi dzięki wysokiemu szybowaniu telesondy, dostrzegali, że już tylko kilkaset metrów dzieli maszynę od porzuconych w bramie skalnej transporterów, które zagradzały dalszą drogę. „Cyklop” miał po wywiązaniu się ze swych zadań w drodze powrotnej wziąć także dwie sczeplone ze sobą wskutek zderzenia gaśienicówki na hol.

Puste transportery wyglądały z wysoka jak zielonkawe pudełeczka; przy jednym widniała

częściowo zwęglona figurka, trup człowieka, którego poraził miotaczem Rohan.

Tuż przed zakrętem, za którym sterczały iglice skalnej bramy, „Cyklop” zatrzymał się i zbliżył ku sięgającej niemal dna wąwozu grzywie metalicznych zarośli. Z napiętą uwagą śledzili jego poruszenia. Musiał otworzyć z przodu pole siłowe, aby przez wąską jego przerwę wyprowadzić inhauster, który na kształt wydłużonej lufy armatniej, z zębatą garścią u końca, wysunąwszy się ze swej tulei, objął kępę krzaków i pozornie bez wysiłku wyrwał ją ze skalnego podłoża, po czym cofnął się i spełzył tyłem na dno wąwozu.

Cała operacja odbyła się gładko i sprawnie. Dzięki szybującej nad wąwozem telesondzie nawiązano kontakt radiowy z mózgiem „Cyklopa”, który powiadomił ich, że „próbka” rojąca się od czarnych „owadów” została zamknięta w zbiorniku.

„Cyklop” dotarł na odległość stu metrów od miejsca katastrofy. Stał tam, oparty pancernym zadem o skałę, tylny energobot grupy Rohana, w samym przejściu skalnym tkwiły szczipione ze sobą transporterzy, a dalej przed nimi znajdował się drugi energobot. Najdelikatniejsze drżenie powietrza świadczyło o tym, że wciąż jeszcze wytwarza pole ochronne, tak jak je pozostawił Rohan po klęsce swego oddziału. „Cyklop” najpierw wyłączył zdalnie diraki tego energobota, a potem, zwiększywszy moc odrzutu i uniósłszy się w powietrze, przepłynął zrećnie ponad grzbietami pochylonych transporterów i osiadł z powrotem na głazach, już powyżej przejścia. W tym właśnie momencie ktoś z patrzących wydał ostrzegawczy okrzyk. Rozległ się on w sterowni „Niezwycięzonego”, oddalonej o 60 kilometrów od wąwozu, kiedy tam zadymiała czarna sierść stoków i obruszyła się falami na ziemski pojazd z takim impetem, że w pierwszej chwili znikł zupełnie, zakryty jakby ciśniętym z wierzchu płaszczem smołowatego dymu. Natychmiast jednak całą grubość atakującej chmury przeszył krzaczasty błysk. „Cyklop” nie użył swojej strasznej broni: to tylko wytworzone przez chmurę pola energetyczne zderzyły się z jego siłową osłoną. Teraz jak gdyby zmaterializowała się nagle, oblepiona grubą warstwą mrowiącej się czerni; to puchła niby olbrzymi bąbel lawy, to kurczyła się, i ta osobliwa gra trwała dobrą chwilę. Patrzący odnieśli wrażenie, jakby skryta przed ich wzrokiem maszyna usiłowała rozepchnąć miriady napastników, których było wciąż więcej i więcej, bo coraz nowe chmury lawinami staczały się na dno wąwozu. Już nie było widać lśnienia siłowej sfery, a tylko w głuchej ciszy trwało niesamowite zmaganie dwóch martwych, ale potężnych sił. Nareszcie ktoś ze stojących u ekranu westchnął: drgający czarny pęcherz znikł pod ciemnym lejem; chmura zmieniła się w rodzaj olbrzymiego wiru, który wzniósł się ponad szczyty najwyższych skał i dołem uczepiona niewidzialnego przeciwnika — górą obracała się w szalonych obrotach kilometrowym Malstromem, opalizując błękitnawo. Nikt się nie odezwał, wszyscy rozumieli, że chmura usiłuje w ten sposób zgnieść energetyczny pęcherz, w którym, niby pestka w łupinie, tkwiła maszyna.

Rohan zauważył kątem oka, jak astrogator otwierał już usta, aby spytać stojącego przy nim głównego inżyniera, czy pole wytrzyma — ale nie odezwał się. Nie zdążył.

Czarny wir, ściany wąwozu, zarośla — wszystko to znikło w ułamku sekundy. Widok był taki, jakby na dnie rozpadliny skalnej otwarł się ziejący ogniem wulkan. Słup dymu i kipiącej lawy, skalnych okruchów, nareszcie — wielki, welonami pary powłóczący obłok, wzbijający się coraz wyżej, aż para, pochodząca zapewne z wody wrzącego potoku, dotarła na półtorakilometrową wysokość, gdzie szybował przekaźnik telewizyjny. „Cyklop” uruchomił miotacz antymaterii.

Nikt ze stojących w sterowni nie poruszył się nawet ani nie odezwał, ale też nikt nie mógł powściągnąć uczucia mściwej satysfakcji: to, że było bezrozumne, nie zmniejszało jego intensywności. Można było sądzić, że chmura znalazła wreszcie godnego przeciwnika. Wszelka łączność z „Cyklopem” urwała się w chwili ataku i odtąd ludzie widzieli tylko to, co przez siedemdziesiąt kilometrów dygocącej atmosfery przekazywały ultrakrótkie fale sondy latającej. O bitwie, jaka rozgorzała w zamkniętym wąwozie, dowiedzieli się także ludzie poza

sterownią. Ta część załogi, która zajęta była rozbieraniem aluminiowego baraku, rzuciła pracę. Północno-wschodni skraj horyzontu zajaśniał, jakby miało tam wzejść drugie słońce, silniejsze od stojącego u szczytu nieba, po czym blask ów stłumiła kolumna dymu, wzbierającego na kształt ciężkiego grzyba.

Technicy czuwający nad działaniem telesondy musieli cofnąć ją od ogniska walki i wzniesić na cztery kilometry. Dopiero wówczas wyszła ze strefy gwałtownych prądów powietrznych, wywołanych ciągłą eksplozją. Nie było widać skał zamykających wąwóz, kosmatych zboczy, ani nawet czarnej chmury, która z nich wypadła. Ekran wypełniały kipiące połączenia ognia i dymu, kreślone parabolami płonących szczątków; akustyczne czujniki sondy przekazywały nieustający, raz słabszy, raz mocniejszy grzmot, jakby znaczną część kontynentu ogarnęło trzęsienie ziemi.

To, że niesamowita bitwa nie kończy się, było zdumiewające. Po kilkudziesięciu sekundach dno wąwozu i całe poblizkie „Cyklopa” musiały osiągnąć temperaturę żarzenia, skały osiadały, waliły się, obracały w lawę i naprawdę już widać było jej szkarłatnie świecący potok, jak zaczynał żłobić drogę ku wyjściu z wąwozu, o kilka kilometrów od ośrodka walki. Chwilę Horpach zastanawiał się nad tym, czy aby nie zacięły się wyłączniki elektronowe miotaczy, bo wydawało się niemożliwe, by chmura kontynuowała jeszcze atak na tak unicestwiającego ją przeciwnika, ale to, co ukazało się na ekranie, kiedy na nowy rozkaz sonda uniosła się jeszcze wyżej, sięgając granic troposfery, dowodziło, że się mylił.

Teraz pole widzenia obejmowało już około 40 kilometrów kwadratowych. Na tym porytym wąwozami terenie wszczął się zadziwiający ruch. W pozornie zwolnionym tempie, co sprawiała jedynie odległość obserwacyjnego punktu, z pokrytych ciemnymi zaciekami skalnych stoków, z zapadlisk i jaskiń wypływały nowe i nowe kłęby czerni, wzbijały się w górę, łączyły i koncentrując się w locie, zmierzały ku ognisku walki. Przez jakieś minuty mogło się wydawać, że ciskane bez ustanku w jej centrum ciemne lawiny przytłoczą ogień atomowy, że zdławią go i stłumią samą masą, lecz Horpach znał energetyczne rezerwy potwora, zbudowanego rękami ludzi.

Jeden ogłuszający, ani na chwilę nie milknący już grom, idący z głośników, wypełnił sterownię; zarazem trzykilometrowej wysokości płomienie na wylot przestrzeliły cielsko atakującej chmury i jęły się z wolna obracać, tworząc coś na kształt ognistego młyna; powietrze całymi taflami dygotało i gięło się od żaru, którego ośrodek począł się równocześnie przesuwać.

„Cyklop” z niewiadomych przyczyn ruszył tyłem i ani na moment nie zaprzestając walki, wycofywał się z wolna ku wylotowi wąwozu. Być może jego elektronowy mózg liczył się z możliwością podcięcia atomowymi eksplozjami skalnych stoków, które obruszyłyby się na maszynę, a choćby wyszła obronna ręka i z takiej opresji, mogłoby jej to jednak utrudnić swobodę manewru. Dostycze walczący „Cyklop” usiłował wydostać się na szerszą przestrzeń i nie widać już było w kipiących odmetach, co jest ogniem jego miotaczy, co dymem pożaru, co szczątkami chmury, a co miazgą walących się skalnych iglic.

Zdawało się, że rozmiary kataklizmu osiągnęły już kulminację. W następnej chwili stało się jednak coś niewiarygodnego. Obraz zapłonął, rozjarzył się do straszliwej, klującej wzrok białości, pokrył się ospą miliardowych wybuchów i w nowym przyływie antimaterii unicestwione zostało całe przyziemie „Cyklopa” — powietrze, szczątki, para, gazy i dymy — wszystko to, obrócone w najtwardsze promieniowanie, rozszczepiwszy na dwoje wąwóz, zamknęło na przestrzeni kilometra chmurę w objęciach anihilacji i wyleciało w powietrze, jak wystrzelone katastrofą samego wnętrza planety.

„Niezwyciężony”, którego od epicentrum tego potwornego uderzenia dzieliło 70 kilometrów, zakołysał się, sejsmiczne fale przeszły przez pustynię, transportery i energoboty ekspedycji stojące pod pochylnią przesunęły się, a po kilku minutach nadleciał od gór ryczący, twardy wichur, osmalił momentalnym żarem twarze ludzi szukających schronienia za

maszynami i podniósłszy ścianę wirujących piasków, pognął dalej, w wielką pustynię.

Jakiś ułamek musiał trafić w sondę telewizyjną, mimo że znajdowała się wówczas trzynaście kilometrów od centrum kataklizmu. Łączność nie urwała się, lecz pogorszył się znacznie odbierany obraz, znaczony gęsto zakłóceniami. Minęła minuta, i gdy dymy spłynęły nieco na boki, Rohan, wyteżając wzrok, zobaczył następny etap walki.

Nie zakończyła się, jak gotów był sądzić przed chwilą. Gdyby atakującymi były żywe istoty, masakra, jaka je spotkała, zmusiłaby chyba następne szeregi do odwrotu, a przynajmniej do zatrzymania się u wrót wznieconego piekła, lecz martwe walczyło z martwym, atomowy ogień nie wygasł, zmienił tylko kształt i kierunek głównego uderzenia — i wtedy Rohan po raz pierwszy zrozumiał, czy raczej domyślił się bez słów, jak musiały wyglądać te niegdyś toczące się na pustynnej powierzchni Regis III zmagania, w których jedne roboty miażdżyły i rozbijały inne, jakimi formami selekcji posługiwała się martwa ewolucja i co oznaczały słowa Laudy, że pseudoowady zwyciężyły, jako najlepiej przystosowane. Zarazem przemknęło mu przez myśl, że coś takiego musiało się tutaj już kiedyś dziać, że martwa, niezniszczalna, w kryształkach, energią słońca utrwalona pamięć bilionowej chmury musiała zawierać wiedzę o podobnych starciach, że właśnie z podobnymi samotnikami — pojedynkami, ciężko opancerzonymi olbrzymami, z atomowymi mamutami rodu robotów musiały się przed setkami wieków uporać te martwe kruszyny, które pozornie były niczym wobec płomieni wszystko niszczących, skały na wylot przepalających wyładowań. To, co umożliwiło im przetrwanie i co spowodowało, że blachy tych poczwor ogromnych zostały rozprute jak rdzawe wiechcie, rozwłózione po wielkiej pustyni, z zasypanymi piaskiem szkieletami elektronowych, ongiś precyzyjnych mechanizmów — że to jest jakaś niewiarygodna, nie do nazwania odwaga, jeśli można użyć takiego słowa wobec kryształków tytanicznej chmury. Ale jakie miał na to inne słowo...? I mimo woli nie mógł się oprzeć podziwowi na widok jej dalszego działania, w obliczu dotychczasowej hekatombi...

Bo chmura kontynuowała natarcie. Teraz ponad jej powierzchnię na całym, z wysoka widocznym obszarze sterczały ledwo pojedyncze, najwyższe szczyty. Wszystko inne, cała kraina wąwozów znikła pod zalewem czarnych fal, pędzących koncentrycznie ze wszystkich stron widnokregu, aby runąć w głąb ogniowego leja, którego centrum stanowił niewidzialny poza tarczą dygocącego żaru „Cyklop”. Ten oplacany pozornie bezsensownymi, olbrzymimi stratami napór nie był jednak pozbawiony szansy.

Rohan i wszyscy ludzie stojący teraz już bezsilnie przed widowiskiem, które ukazywał im ekran sterowni, zdawali sobie z tego sprawę. Zapasy energetyczne „Cyklopa” były praktycznie niewyczerpalne, ale w miarę jak trwał ciągły ogień anihilacji, mimo potężnych zabezpieczeń, mimo antyradiacyjnych lusterek odbijających, drobna cząstka gwiazdowych temperatur udzielała się jednak miotaczom, powracała do swego źródła i wewnątrz maszyny musiało się stawać coraz goręcej. Dlatego atak kontynuowany był z taką zaciekłością, dlatego był przypuszczany zewsząd naraz, im bliżej pancernych powłok następowało kolejne starcie antimaterii z gradem lecących w zgubę kryształków, tym silniej zagrzewały się wszystkie aparaty. Żaden człowiek dawno by już nie wytrzymał wewnątrz „Cyklopa”, być może jego ceramitowa zbroja świeciła już wiśniowo — ale widzieli tylko, pod kopułą dymów, błękitny bąbel pulsującego ognia, który wolno, krok za krokiem, spełzał do wyjścia wąwozu, tak że miejsce pierwszego ataku chmury wyłoniło się w odległości trzech kilometrów na północy, ukazując swą przerażającą, spieczoną, warstwami żużla i lawy pokrytą powierzchnię, ze zwisającymi z pokruszonych skał resztkami spopielenych gąszczy i uwięzłych w nich, postapianych w metaliczne grudy, trafionych termicznym udarem kryształków.

Horpach kazał wyłączyć głośniki, wypełniające dotąd sterownię ogłuszającym gromem, i spytał Jazona, co się stanie, kiedy temperatura wewnątrz „Cyklopa” przekroczy granicę wytrzymałości elektromózgu.

Uczony nie wahał się ani chwili.

- Miotacz zostanie wyłączony.
- A pole siłowe?
- Pole nie.

Ogniowa bitwa przeniosła się już na równinę przed wylot wąwozu. Atramentowy ocean wrzał, wzdymał się, wirował i piekielnymi skokami wpadał w ognisty ziew.

— To już chyba zaraz... — powiedział Kronotos w ciszy oniemiałego, burzliwie skotłowanego obrazu w ekranach. Minęła jeszcze jedna minuta. Nagle blask ognistego leja gwałtownie osłabł. Chmura zakryła go.

— Sześćdziesiąt kilometrów od nas — odpowiedział technik łączności na pytanie Horpacha. Astrogator zarządził alarm. Wszyscy ludzie wezwani zostali na stanowiska. „Niezwycięzony” wciągnął pochylnię, dźwig osobowy i zamknął klapy. W ekranie pojawił się nowy błysk. Ogniowy lej powrócił. Tym razem chmura nie atakowała go; ledwo jej strzępy, chwyczone ogniem, zajaśniały, cała jej reszta poczęła wycofywać się w kierunku krainy wąwozów, wnikając w ich pełną cienia gmatwaninę, i oczom patrzących ukazał się „Cyklop” pozornie cały. Toczył się wciąż tyłem, bardzo powoli, rażąc dalej ciągłym ogniem całe otoczenie — głazy, piasek i wydmy.

— Dlaczego nie wyłączysz miotacza?! — zawołał ktoś. Jak gdyby usłyszawszy te słowa, maszyna zgasiła płomień ciskanych wyładowań, zawróciła i z rosnącą chyżością potoczyła się w pustynię. Latająca sonda towarzyszyła jej na wysokości; w pewnej chwili zobaczyli coś, jakby nitkę ognia, lecącą z niewiarygodną szybkością w ich twarze — i zanim zrozumieli, że miotacz „Cyklopa” strzelił w sondę, a to, co widzą, jest smugą cząstek powietrza, anihilowanych na drodze strzału — cofnęli się odruchowo, drgnawszy jakby w obawie, że wyładowanie wyrwie się z ekranu i wybuchnie wewnątrz sterowni. Natychmiast po tym obraz znikł i ekran wypełnił się pustym światłem.

— Rozwalił sondę! — krzyknął technik przy pulpicie sterującym. — Panie astrogatorze!

Horpach kazał wystrzelić drugą sondę; „Cyklop” był już tak blisko „Niezwycięzonego”, że zobaczyli go natychmiast, ledwo sonda nabrała wysokości. Nowy nitkowaty wybłysk, i ona też uległa zagładzie. Zanim obraz znikł, zdążyli w polu widzenia sondy dojrzeć własny statek; „Cyklop” był od niego nie dalej niż dziesięć kilometrów.

— Zwariował czy co? powiedział podnieconym głosem drugi technik przy aparaturze. Te słowa jakby coś odemknęły w umyśle Rohana. Spojrzał na dowódcę i zrozumiał, że ów myśli to samo, co on. Miał takie wrażenie, jakby członki, głowę, całe jego ciało nalewał ołowiem bezsensowny, grząski sen. Ale rozkazy zostały wydane: dowódca kazał wystrzelić najpierw czwartą, potem piątą sondę. „Cyklop” niszczył je kolejno jak strzelec wyborowy, zabawiający się strącaniem rzutków.

— Potrzebuję całej mocy — powiedział Horpach, nie odrywając głowy od ekranu.

Główny inżynier, jak pianista biorący akord, uderzył obiema rękami w klawisze rozrządu.

— Moc startowa za sześć minut powiedział.

— Potrzebuję całej mocy — powtórzył Horpach, wciąż tym samym tonem, a w sterowni zapadła taka cisza, że słyhać było bzykanie przekaźników za emaliowanymi przegrodami, jakby się tam budził rój pszczół.

— Obudowa stosu jest zbyt zimna — zaczął GI, a wtedy Horpach odwrócił się do niego twarzą i po raz trzeci, tak samo nie podnosząc głosu, powiedział:

— Potrzebuję CAŁEJ mocy.

Inżynier bez słowa wyciągnął rękę ku głównemu wyłącznikowi. W głębi statku rozległo się krótkie beknięcie syren alarmowych i niby odległy werbel zawtórowały mu kroki biegnących na stanowiska bojowe. Horpach znowu patrzył na ekran. Nikt nic nie mówił, ale teraz wszyscy pojęli, że niemożliwe stało się: astrogator gotował się do walki z własnym „Cyklopem”.

Wskaźniki, błyskając, ustawiały się jak żołnierze w szeregu. Indykator mocy

dyspozycyjnej ukazywał w okienkach liczby pięć—, potem sześciocyfrowe. Gdzieś iskrzył jakiś przewód — czuć było zapach ozonu. W tylnej części sterowni technicy porozumiewali się umownymi znakami, pokazując sobie na palcach, który system kontroli uruchomić.

Kolejna sonda ukazała przed zestrzeleniem podługowaty łeb „Cyklopa”, przeczołgującego się przez grzędy skalne; ekran znowu opustoszał, rażąc srebrną bielą. Lada chwila maszyna miała się pojawić już na wizji bezpośredniej; bosman radarystów czekał już przy aparacie, który wysuwał zewnętrzną dziobową telekamerę ponad wierzchołek statku, dzięki czemu pole widzenia można było powiększyć. Technik łączności wystrzelił następną sondę. „Cyklop” nie kierował się jakby prosto na „Niezwyciężonego”, który trwał, głucho zamknięty, w pełnej gotowości bojowej, pod puklerzem siłowego pola. Z jego dziobu w równych odstępach czasu tryskały telesondy. Rohan wiedział, że „Niezwyciężony” może powstrzymać ładunek antymaterii, ale energię udarową trzeba było pochłonąć, z uszczerbkiem dla rezerw energetycznych. Najrozsądniejszy wydawał mu się w tej sytuacji odwrót, to znaczy start na orbitę stacjonarną. Oczekiwał z chwili na chwilę takiego rozkazu, ale Horpach milczał, jakby licząc w niepojęty sposób na ocknięcie się elektronowego mózgu maszyny. W samej rzeczy, obserwując spod ciężkich powiek ruchy tego ciemnego kształtu, który bezszelestnie sunął wśród wydm, spytał:

— Wzywacie go?

— Tak jest. Nie ma łączności.

— Dajcie mu duże stop.

Technicy krzętały się przy pulpitych. Dwa, trzy, cztery razy zbiegały strużki światła pod ich rękami.

— Nie odpowiada, astrogatorze.

Dlaczego on nie startuje? — nie mógł zrozumieć Rohan. Czy nie chce się przyznać do porażki? Horpach! Co za nonsens! Poruszył się... Teraz — teraz wyda rozkaz.

Lecz astrogator cofnął się tylko o krok.

— Kronotos?

Cybernetyk zbliżył się.

— Jestem.

— Co mogli mu zrobić?

Rohana od razu uderzyła ta forma: „oni” powiedział Horpach, jak gdyby naprawdę miał do czynienia z myślącym przeciwnikiem.

— Obwody autonomiczne są na kriotronach — powiedział Kronotos i czuło się, że to, co powie, będzie tylko przypuszczeniem. — Temperatura wzrosła, straciły nadprzewodliwość...

— Pan wie, doktorze, czy pan zgaduje? — spytał astrogator.

Była to dziwna rozmowa, bo wszyscy patrzyli przed siebie, w ekran, na którym widziany już bez pośrednictwa sondy „Cyklop” sunął ruchem płynnym, a jednak nie całkiem pewnym, bo zbaczał chwilami z kursu, jakby niezdecydowany, dokąd właściwie zmierza. Kilka razy pod rząd strzelił do niepotrzebnej już telesondy, zanim ją trafił. Widzieli, jak spada niby jaskrawa flara.

— Jedyne, co mogę sobie wyobrazić, to rezonans powiedział po krótkim wahaniu cybernetyk. Jeżeli ich pole pokryło się z tendencją samowzbudną mózgu...

— A pole siłowe?

— Pole siłowe nie ekranizuje magnetycznego.

— Szkoda — zauważył sucho astrogator.

Napięcie powoli słabło, gdyż „Cyklop” teraz już wyraźnie nie kierował się w stronę macierzystego statku. Odległość między nimi, przed minutą najmniejsza, zaczęła rosnąć. Wyrwana spod ludzkiej kontroli maszyna wyszła na przestwór północnej pustyni.

— GI zastępuje mnie — powiedział Horpach — a panów proszę na dół.

## DŁUGA NOC

Rohana zbudziło zimno. Półprzytomny, kurczył się pod swoim kocem, wciskając twarz w pościel. Próbował okryć twarz rękami, ale mróz ogarniał go coraz większy. Wiedział, że musi się ocknąć, ale odwlekał jeszcze tę chwilę, nie zdając sobie sprawy, dlaczego. Nagle usiadł na koi w zupełnym mroku. Dostał lodowatym podmuchem prosto w twarz. Zerwał się po omacku i cicho klnąc, szukał klimatyzatora. Było mu tak duszno, kiedy się kładł, że przesunął gałkę na pełne chłodzenie.

Powietrze małej kajuty ocieplało się powoli, ale on, na pół siedząc pod kocem, nie mógł już zasnąć. Spojrzał na świecąca tarczę ręcznego zegarka — była trzecia czasu pokładowego. Znowu tylko trzy godziny snu — pomyślał gniewnie. Wciąż jeszcze było mu zimno. Narada trwała długo, rozeszli się koło północy. Tyle gadania na nic — pomyślał. Teraz, w tej ciemności, nie wiedzieć co dałby, aby na powrót znaleźć się w Bazie, aby nie wiedzieć nic o tej przeklętej Regis III, jej martwym i po martwymu przemyślnym koszarze. Większość strategików radziła wejść na orbitę, tylko główny inżynier i główny fizyk od początku przychylali się do stanowiska Horpacha, że należy zostać, jak długo się da. Szansa odnalezienia czterech zaginionych Regnara wynosiła może jeden na sto tysięcy, może jeszcze mniej. Jeśli nie zginęli już przedtem, tylko znaczne oddalenie od miejsca walki mogło uratować ich przed jej atomowym piekłem. Rohan dałby wiele, by się dowiedzieć, że astrogator nie wystartował jedynie przez nich — czy nie grały tu roli aby inne względy? Inaczej wszystko wyglądało tu, a zupełnie inaczej przedstawiałoby się to, ujęte w suche słowa raportu, w spokojnym świetle Bazy, gdzie trzeba byłoby powiedzieć, że straciło się połowę maszyn wypadowych, główną broń — „Cyklopa” z miotaczem antimaterii, który stanowić miał odtąd dodatkowe niebezpieczeństwo dla każdego statku lądującego na planecie, że straty w zabitych wynoszą sześciu ludzi, a nadto połowę przywiozło się hospitalizowanych, niezdolnych na lata, a może i na zawsze do lotów. A straciwszy ludzi i maszyny, i najlepszy sprzęt, uciekło się — bo czymże innym byłby teraz odwrót, jeśli nie zwykłą ucieczką — przed mikroskopijnymi kryształkami, tworem małej pustynnej planety, martwą pozostałością po cywilizacji lyrańskiej, którą ziemską prześcignęła tak dawno! Ale czy Horpach był człowiekiem, który liczyłby się z takimi względami? Być może, sam nie wiedział dobrze, dlaczego nie startuje? Może liczył na coś? Ale na co?

Owszem — biologowie przedstawili szansę pokonania martwych owadów ich własną bronią. Skoro ten gatunek ewoluował — rozumowali — można by ująć w ręce dalszą jego ewolucję. Należy najpierw wprowadzić w znaczną ilość schwytanych egzemplarzy mutacje, zmiany dziedziczne określonego typu, które w trakcie rozmnażania się przejdą w następne pokolenia i unieszkodliwią całą tę krystaliczną rasę. Musiałaby to być zmiana bardzo szczególna, taka, która dałaby jakąś doraźną korzyść, a równocześnie sprawiłaby, że ten nowy gatunek, ta odmiana miałaby jakąś piętę achillesową, słaby punkt, w który by się uderzyło. Ale to właśnie była typowa gadanina teoretyków: nie mieli pojęcia o tym, jaka miałaby to być mutacja, jaka zmiana, jak ją przeprowadzić, jak schwycić wielką ilość tych przeklętych kryształków, nie wdając się w następną bitwę, w której mogli przecież ponieść klęskę gorszą od wczorajszej. A gdyby nawet wszystko się udało, jak długo przy—szłoby czekać na efekty tej dalszej ewolucji? Przecież nie dzień i nie tydzień. Więc jakże, mieli kręcić się wokół Regis jak na karuzeli przez rok, dwa, może przez dziesięć lat?! Wszystko to razem nie miało sensu. Rohan czuł, że przeholował z klimatyzatorem: było już znowu za gorąco. Wstał, odrzucił koc, umył się, szybko ubrał i wyszedł.

Windy nie było. Wezwał ją i czekając w półmroku rozświetlonym skaczącymi światełkami indykatora, czując w głowie cały ciężar nie dospanych nocy i pełnych napięcia dni, poprzez szum krwi w skroniach wsłuchiwał się w nocną ciszę statku. Czasem zabełkotało coś w



niewidzialnych przewodach, z niższych pokładów niósł się stłumiony pomruk pracujących jałowo pędni, bo byli wciąż w pełnym pogotowiu startowym. Suchy powiew o metalowym smaku ciągnął z pionowych studni z jednej i drugiej strony platformy, na której się znajdował. Drzwi odsunęły się, wszedł do windy. Na ósmej kondygnacji wysiadł. Tu korytarz skręcał, biegnąc wzdłuż głównego pancerza, oświetlony linią niebieskich lampek. Szedł tak, nie wiedząc dokąd, odruchowo podnosił nogi we właściwych miejscach, przekraczając wysokie progi hermetycznych grodzi, aż dostrzegł cienie osób z obsługi głównego reaktora. Pomieszczenie było ciemne, jarzyło się tylko kilkadziesiąt wskaźników na tablicach. Ludzie siedzieli pod nimi na rozłożonych fotelach.

— Nie żyją — powiedział ktoś. Rohan nie poznał mówiącego. — Chcesz się założyć? W promieniu pięciu mil było tysiąc rentgenów. Już ich nie ma. Możesz być spokojny.

— To po co tutaj siedzimy? — mruknął drugi człowiek. Nie po głosie, ale po miejscu, które zajmował — u kontroli grawimetrycznej — Rohan zorientował się, że to bosman Blank.

— Bo stary nie chce wracać.

— A ty byś wrócił?

— Co można zrobić innego?

Było tu ciepło i w powietrzu unosił się ów szczególny zapach, sztuczna woń igliwia, którą klimatyzatory usiłowały stłumić zapach wydzielany przez rozgrzewające się w czasie pracy stopy plastików i blachy obudowy pancernej. W efekcie powstawała z tego mieszanina, niepodobna do niczego poza okolicą ósmego poziomu. Rohan stał, niewidzialny dla siedzących, oparty plecami o piankową wyściółkę przegrody. Nie żeby się ukrywał: po prostu nie chciało mu się mieszać do tej rozmowy.

— On może podejść teraz... — odezwał się ktoś po krótkim milczeniu. Twarz mówiącego ukazała się na chwilę, gdy pochylił się do przodu, w połowie różowa, w połowie żółta od blasku kontrolnych światełek, którymi ściana reaktora zdawała się patrzeć na skulonych pod nią ludzi. Rohan, jak wszyscy tamci, natychmiast domyślił się, o kim mowa.

— Mamy pole i radar — odburknął niechętnie bosman.

— Dużo da ci pole, jak podejdziesz na bilierg rażenia.

— Radar go nie dopuści.

— Mnie to mówisz? Przecież ja go znam jak własny nóż.

— I co z tego?

— To, że ma antyrad. Układy zakłócające...

— Ale on jest przecież rozstrojony. Elektryczny wariat...

— Ładny wariat. Byłeś w sterowni?

— Nie. Tu byłem.

— No. A ja byłem. Szkoda, że nie widziałeś, jak rozwalał nasze sondy.

— To znaczy, że jak? Że oni go przestroili? Że jest już pod ich kontrolą?

Wszyscy mówią „oni” — pomyślał Rohan. Jakby to naprawdę były żywe, rozumne istoty...

— A proton go wie. Podobno tylko się rozstroiła łączność.

— To dlaczego miałby w nas walić?

Znowu zaległa cisza.

— Nie wiadomo, gdzie on jest? — spytał ten, który nie był w sterowni.

— Nie. Ostatni meldunek był o jedenastej. Kralik mi mówił. Widzieli go, jak się kręcił po pustyni.

— Daleko?

— A co, masz pietra? Jakies dziewięćdziesiąt mil stąd. Dla niego to niecała godzina. Albo mniej.

— Może już dosyć tego przelewania z pustego w próżne? — wtrącił gniewnie bosman Blank, ukazując swój ostry profil na tle kolorowo mżących światełek.

Wszyscy zamilkli. Rohan powoli odwrócił się i oddalił tak samo cicho, jak przyszedł. Po drodze minął dwa laboratoria; w dużym światła były wygaszone, w małym się świeciło. Widział światło padające na korytarz przez podsufitowe iluminatory. Zajrzał do środka. U okrągłego stołu siedzieli sami cybernetycy i fizycy — Jazon, Kronotos, Sarnier, Liwin, Saurahan i jeszcze ktoś, kto odwrócony do reszty plecami w cieniu skośnej przegrody programował wielki mózg elektronowy.

— ...są dwa rozwiązania eskalacyjne, jedno anihilujące, jedno z unicestwieniem, a reszta jest układowa — mówił Saurahan. Rohan nie przekroczył progu. Znów stał i podsłuchiwał.

— Eskalacyjna pierwsza polega na uruchomieniu procesu lawinowego. Potrzebny jest miotacz materii, który wejdzie do wąwozu i zostanie tam.

— Jeden tam już był... — powiedział ktoś.

— Jeżeli nie będzie miał elektromózgu, może działać nawet wtedy, kiedy temperatura przekroczy milion stopni. Potrzebny jest miotacz plazmowy; plazma nie boi się skali gwiazdowej. Chmura będzie postępowała jak przedtem — będzie usiłowała zdusić go, wejść w rezonans z obwodami sterującymi, ale nie będzie żadnych obwodów, nic oprócz reakcji podjadrowej. Im więcej materii wejdzie w reakcję, tym stanie się gwałtowniejsza. W ten sposób można ściągnąć w jedno miejsce i anihilować całą nekrosferę planety...

— Nekrosfera — pomyślał Rohan — aha, bo te kryształki są martwe: nie ma jak uczeni. Zawsze wymyślą jakąś ładną, nową nazwę...

— Najbardziej podoba mi się wariant z samounicestwieniem — powiedział Jazon. — Ale jak to sobie wyobrażacie?

— No, polega na tym, aby najpierw doprowadzić do oddzielnych konsolidacji dwu wielkich „chmuromózgów”, a potem zderzyć je z sobą — postępowanie zmierza do tego, żeby każda chmura uznała drugą na konkurenta w walce o byt...

— Rozumiem, ale jak chcecie to zrobić?

— Nielatwa rzecz, ale możliwa, o ile chmura jest tylko pseudomózgiem, a więc nie posiada zdolności rozumowania...

— Ale pewniejszy jest jednak wariant układowy, z obniżeniem przeciętnej napromieniowania... — powiedział Sarnier. — Wystarczą cztery ładunki wodorowe po pięćdziesiąt do stu megaton na każdą półkulę — razem niecałych osiemset... Wody oceaniczne, parując, zwiększą powłokę chmur, wzrośnie albedo i osiadłe symbionty nie będą mogły im dostarczyć potrzebnego do rozmnażania minimum energii...

— Rachunek jest oparty na niepewnych danych zaprotestował Jazon. Widząc, że rozpoczyna się spór fachowców, Rohan cofnął się od drzwi i poszedł swoją drogą.

Zamiast windą wracał do siebie krętymi stalowymi schodkami, których normalnie nigdy nie używano. Po kolei mijał przesła coraz wyższych pokładów. Widział, jak w hali remontowej ekipy de Vriesa błyskały spawarkami wokół czerniejących nieruchomo wielkich arktanów. Dostrzegł z dala okrągłe iluminatory okien szpitala okrętowego, w których płonęły fiołkowe, przyćmione światła. Jakiś lekarz w białym fartuchu przeszedł bezszelestnie przez korytarz, za nim podręczny automat niósł komplet lśniących narzędzi. Minął puste i ciemne mesy, pomieszczenia klubowe, bibliotekę, nareszcie znalazł się na swoim poziomie; przeszedł obok kabiny astrogatora i zatrzymał się w pół kroku, jakby pragnąc i jego podsłuchać, ale zza gładkiej tafli drzwi nie dobiegał ani dźwięk żaden, ani promyk światła, a okrągłe iluminatory były szczelnie zamknięte dokręcanymi śrubami o miedzianych głowicach.

Dopiero w kabine poczuł na nowo zmęczenie. Ramiona obwisły mu, usiadł ciężko na koi, stracił z nóg buty i oparł kark na skrzyżowanych przegubach rąk. Siedząc tak, patrzył w słabo oświetlony nocną lampką niski sufit z biegnącym pośrodku, dzielącym na dwoje jego niebieską powierzchnię, pęknięciem lakieru.

Nie z poczucia obowiązku krążył po statku, nie z ciekawości rozmów i życia innych ludzi. Bał się po prostu takich godzin nocnych, bo wtedy nachodziły go obrazy, których nie chciał

pamiętać. Ze wszystkich wspomnień najgorsze było wspomnienie o człowieku, którego zabił, strzelając z bliska po to, aby tamten nie zabił innych. Musiał tak postąpić, ale nie było mu od tego lżej. Wiedział, że jeśli zgasi teraz lampkę, zobaczy znowu tę samą scenę, zobaczy, jak tamten ze słabym, bezmyślnym uśmiechem stąpa w ślad za chwiejącą mu się w dłoni lufą weyra, jak przestępuje leżące na kamieniach ciało bez ręki.

Tym martwym był Jarg, który wrócił, aby tak głupio zginąć po cudownym ocaleniu, a po sekundzie tamten miał się zwalić na trupa, z rozszarpanym i dymiącym na piersiach kombinezonem, daremnie usiłowałby powstrzymać ów obraz, rozwijający mu się przed oczami samochcąc, czuł ostrą woń ozonu, gorący odrzut rękojeści, którą ścisnął wtedy spotałymi palcami, i słyszał skomlenia ludzi, których ciągnął później zdyszany, ziając, aby ich wiązać jak snopy, i za każdym razem bliska, znajoma, oślepla jakby nagle twarz porażonego uderzała go swym wyrazem rozpaczliwej bezradności.

Coś stuknęło; spadła książka, którą zaczął czytać jeszcze w bazie. Założył stronę białą kartą, ale nie przeczytał ani jednego wiersza, bo i kiedy? Poprawił się na koi. Pomyślał o strategikach, którzy obmyślali teraz plany zniszczenia chmur, i usta wykrzywił mu wzgardliwy uśmiech. To nie ma sensu, wszystko razem... — myślał. Chcą zniszczyć... a właściwie my też, my wszyscy chcemy to zniszczyć, ale nikogo przez to nie uratujemy. Regis jest bezludna, człowiek nie ma na niej czego szukać. Skąd więc ta zaciekłość? Przecież to jest tak, jakby tamtych zabiła burza albo trzęsienie ziemi. Niczyj świadomy zamiar, żadna wroga myśl nie stanęła na naszej drodze. Martwy proces samoorganizacji... czy warto marnować wszystkie siły i energię po to, aby go unicestwić, tylko dlatego, że zrazu braliśmy go za czyhającego wroga, który najpierw z ukrycia zaatakował „Kondora”, a potem nas? Ile takich niesamowitych, obcych ludzkiemu pojmowaniu zjawisk może taić w sobie Kosmos? Czy mamy wszędzie przybywać z niszczącą potęgą na pokładach statków, aby strzaskać to wszystko, co jest sprzeczne z naszym rozumieniem? Jak oni ją nazwali — nekrosfera, a więc i nekroewolucja, ewolucja martwej materii, być może Lyranie mieliby coś do powiedzenia, Regis III była w ich zasięgu, może chcieli ją kolonizować, kiedy ich astrofizycy przepowiedzieli przemianę Słońca w Nową... to była może dla nich ostatnia nadzieja. Gdybyśmy byli w takiej sytuacji, oczywiście walczylibyśmy, rozbijalibyśmy ten czarny krystaliczny pomiot, ale tak...? W odległości parseka od bazy, z kolei oddalonej od Ziemi o tyle lat świetlnych, w imię czego my tu właściwie stoimy, tracąc ludzi, dlatego nocami strategicy szukają najlepszej metody anihilacyjnej, przecież o zemście nie może być nawet mowy...

Gdyby Horpach stał przed nim, powiedziałaby mu w tej chwili to wszystko. Jaki śmieszny i szaleńczy zarazem jest ten „podbój za największą cenę”, to „heroiczne trwanie człowieka”, ta chęć odpłaty za śmierć towarzyszy, którzy zginęli, bo wysłano ich na tę śmierć... Byliśmy po prostu nieostrożni, zbyt wiele zaufania pokładaliśmy w naszych miotaczach i czujnikach, popełniliśmy błędy i ponosimy konsekwencje. My, tylko my jesteśmy winni. Myślał tak, z zamkniętymi w słabym świetle oczami, które paliły go, jakby pod powiekami miał pełno piasku. Człowiek — pojmował to w tej chwili bez słów — jeszcze nie wznosił się na właściwą wysokość, jeszcze nie zasłużył na tak pięknie nazwaną postawę galaktocentryczną, która wysławiana od dawna, nie na tym polega, aby szukać tylko podobnych sobie i takich tylko rozumieć, ale na tym, żeby nie wtrącać się do nie swoich, nieludzkich spraw. Zagarniać pustkę — owszem, dlategoż by nie, ale nie atakować tego, co istnieje, co w ciągu milionoleci wytworzyło swoją własną, nie podległą nikomu ani niczemu oprócz sił promienistych i sił materialnych, równowagę trwania, czynnego, aktywnego trwania, które jest ani lepsze, ani gorsze od trwania białkowych związków, zwanych zwierzętami czy ludźmi.

Takiego właśnie Rohana, pełnego owej wzniosłości galaktocentrycznego wszechrozumienia każdej istniejącej formy, jak igła przekłuwająca nerwy trafił powtarzający się, wysoki krzyk syren alarmowych.

Całe jego myślenie sprzed sekundy znikło, zmiecione natrętnym dźwiękiem, wypełniającym wszystkie pokłady. W następnej chwili wypadł na korytarz i biegł z innymi w ciężkim rytmie zmęczonych kroków, w ciepłych oddechach ludzkich, a zanim jeszcze dopadł windy, poczuł — nie którymś zmysłem ani nawet sobą całym, ale jak gdyby korpusem statku, którego stał się molekułą — uderzenie wprawdzie z pozoru niezmiernie odległe i słabe, ale przenikające kadłub krążownika od rufowych rozpór aż po dziób, cios z niczym nieporównywalnej siły, który — i to czuł — przyjęło i elastycznie odparowało coś jeszcze większego niż „Niezwycięzony”.

— To on! To on! — dały się słyszeć krzyki wśród biegnących. Znikali kolejno w windach, drzwi zasuwwały się z sykiem, załogi łomotały po krętych schodkach, nie mogąc się doczekać swojej kolei, ale przez zmieszane głosy, nawoływania, gwizdki bosmanów, powtarzający się dźwięk syren alarmowych i tupot z górnego pokładu przebił się drugi, bezgłosy, lecz tym potężniejszy jakby wstrząs następnego trafienia. Światła korytarzowe mrugnęły i zajaśniały na nowo. Rohan nigdy nie przypuszczał, że winda może jechać tak długo. Stał, nie wiedząc nawet, że wciąż jeszcze naciska z całej siły guzik, a obok niego był już tylko jeden człowiek, cybernetyk Liwin. Winda stanęła i wyskakując z niej, Rohan usłyszał najciszejszy, jaki można sobie wyobrazić, świst, którego wyższe rejestry — wiedział o tym — nie były już słyszalne dla ludzkiego ucha. Było to jakby jęknięcie wszystkich naraz tytanowych wiązań krążownika. Dopadł drzwi sterowni, pojmując, że „Niezwycięzony” odpowiedział ogniem na ogień.

Ale też to był właściwie koniec potyczki. Przed ekranem, na jego pałającym tle stał czarny i wielki astrogator; górne światła były wygaszone, może umyślnie — a poprzez pręgi biegnące z góry na dół ekranu, zamazujące całą płaszczyznę pola widzenia, majaczył dołem uczeptiony gruntu, górą gigantyczny, brzuchaty, wysunięty bulwiastymi zwałami na wszystkie horyzonty, pozornie całkiem nieruchomy, grzyb eksplozji, która rozbiła na atomy i unicestwiła „Cyklopa” na potrójnym perymetrze, a w powietrzu wisiało jeszcze straszliwe, szkliste drganie rozplywającego się wybuchu, przez które słycać było monotony głos technika:

— Dwadzieścia i sześćset, w punkcie Zero... dziewięć i osiemset w perymetrze... jeden i cztery dwadzieścia dwa w polu...

Mamy 1420 rentgenów w polu, to znaczy, że promieniowanie przebiło barierę siłową... zrozumiał Rohan. Nie wiedział, że coś takiego jest możliwe. Ale kiedy spojrział na tarczę głównej dyspozycji mocy, zrozumiał, jakiego ładunku użył astrogator. Energią tą można było zagotować wewnątrzkontynentalne morze średniej wielkości. Cóż — Horpach wolał nie ryzykować powtórnych strzałów. Może przesadził, ale teraz przynajmniej znowu mieli tylko jednego przeciwnika.

W ekranach tymczasem rozwijało się niezwykle widowisko: kędzierzawy i kalafiorowaty zarazem wierzch grzyba płonął wszystkimi barwami tęczy, od najsrebrzystszej zieleni aż po głębokie, morelowe i karminowe szkarłaty. Pustyni — Rohan zobaczył to dopiero teraz — w ogóle nie było widać, niby gruba mgła, zawlókł ją na kilkadziesiąt metrów wzbity w górę piach, który trwał tak, falując, całkiem jakby zmieniała się w prawdziwe morze. A technik wciąż powtarzał odczyty ze skali:

— Dziewiętnaście tysięcy w punkcie Zero... osiem i sześćset w perymetrze... jeden i jeden, i zero dwa w polu...

Zwycięstwo odniesione nad „Cyklopem” przyjęto w głuchym milczeniu, bo też triumf z rozbicia własnej, i to najsilniejszej jednostki nie był szczególnie godny fetowania. Ludzie zaczęli się rozchodzić, podczas kiedy grzyb wybuchu wciąż rósł w atmosferę i nagle zapłonął u szczytu drugą gamą barw, tym razem trafiony promieniami słońca, stojącego jeszcze pod horyzontem. Przebił już najwyższe warstwy lodowych cirrusów i wysoko ponad nimi stał się liliwozłoty, bursztynowy i platynowy; blaski te szły falami z ekranów na całą sterownię, która mieniała się, jakby na emaliowanych białym pulpitach ktoś porozcierał kolory ziemskich

kwiatów.

Rohan zdziwił się jeszcze raz, ujrawszy strój Horpacha. Astrogator był w płaszczu — tym śnieżystym płaszczu galowym, który ostatni raz widział na nim podczas uroczystości pożegnalnych w Bazie. Musiał porwać chyba pierwszą część odzieży, jaka mu się nawinęła. Stojąc z rękami w kieszeniach, z nastroszonymi na skroniach siwymi włosami, powiódł oczami po obecnych.

— Kolego Rohan — powiedział niespodziewanie miękkim głosem — proszę do mnie.

Rohan zbliżył się i wyprostował odruchowo, a wtedy astrogator odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Szli tak, jeden za drugim, korytarzem, a przez wentylacyjne szyby słyhać było w szumie tłoczonego powietrza głuchy i jak gdyby gniewny pomruk masy ludzkiej, wypełniającej niższe kondygnacje.

## ROZMOWA

Rohan wszedł do kajuty astrogatora, nie zaskoczony jego wezwaniem. Bywał w niej co prawda rzadko, ale po swym samotnym powrocie do bazy w kraterze został wezwany na pokład „Niezwycięzonego” i Horpach przyjął go właśnie u siebie. Takie zaprosiny nie wróżyły na ogół nic dobrego. Co prawda Rohan był wówczas zbyt wstrząśnięty katastrofą w wąwozie, aby lękać się gniewu astrogatora. Zresztą ów nie zganił go ani słowem, wypytywał tylko bardzo szczegółowo o okoliczności, jakie towarzyszyły atakowi chmury. W rozmowie brał udział doktor Sax, który wyraził przypuszczenie, że Rohan ocalał, ponieważ ogarnął go „stupor”, osłupienie, deprymujące elektryczną działalność mózgu, tak że chmura wzięła go za już unieszkodliwionego, za jednego z porażonych. Co do Jarga, neurofizjolog sądził, że kierowca uratował się przez czysty przypadek, bo uciekając, znalazł się poza obrębem ataku. Turner natomiast, który prawie do końca usiłował bronić siebie i innych strzelając z laserów, zachował się wprawdzie zgodnie ze swym obowiązkiem, ale paradoksalnie to właśnie go zgubiło, bo jego mózg pracował normalnie i przez to ściągnął na niego uwagę chmury. Była ona oczywiście ślepa w ludzkim rozumieniu i człowiek stanowił dla niej jedynie pewien ruchliwy obiekt, manifestujący swoją obecność potencjałami elektrycznymi kory mózgowej. Rozważali nawet z Horpachem i lekarzem możliwość ochrony ludzi przez wprowadzanie ich w stan „sztucznego osłupienia”, dzięki aplikowaniu odpowiedniego preparatu chemicznego, ale Sax uznał, że taki lek działałby ze zbyt wielkim opóźnieniem, kiedy zaszłaby rzeczywista potrzeba „elektrycznego kamuflażu”, a znów wysyłać do akcji ludzi w stanie stuporu nie można. Ostatecznie więc całe to badanie Rohana nie przyniosło konkretnych rezultatów. Sądził, że być może Horpach pragnie jeszcze powrócić do tej sprawy. Zatrzymał się na środku kajuty, ze dwa razy większej od jego własnej. Miała w ścianie bezpośrednie połączenia ze sterownią i rząd mikrofonów instalacji wewnętrznej, ale poza tym brak w niej było jakichkolwiek oznak świadczących o tym, że tutaj latami mieszkał dowódca statku. Horpach zrzucił płaszcz. Miał pod nim spodnie i siatkową koszulę. Przez jej oka wysuwały się gęste, siwe włosy jego szerokiej piersi. Usiadł trochę bokiem do stojącego, ciężkimi rękami oparł się na stoliku, na którym nie było nic oprócz oprawnej w wytartą skórę książeczki, której Rohan nie znał. Przeniósłszy wzrok z tej nie znanej mu lektury swego dowódcy na niego samego, zobaczył go jakby po raz pierwszy. Był to człowiek śmiertelnie znużony, który nie próbował nawet ukryć przed nim drżenia ręki, podniesionej do czoła. Rohan pojął wtedy jak w olśnieniu, że w ogóle nie zna Horpacha, pod którym służył czwarty rok. Nigdy przedtem nie przyszło mu do głowy zastanowić się, czemu w kajucie astrogatora nie ma niczego osobistego, żadnej z tych rzeczy drobnych, czasem zabawnych albo naiwnych, które ludzie zabierają w przestrzeń jako pamiątki dzieciństwa czy domu. Wydało mu się w tej chwili, że zrozumiał, dlaczego Horpach nic nie miał, czemu brak było na ścianach jakichś starych fotografii, ukazujących twarze bliskich, którzy zostali na Ziemi. Nie potrzebował nic takiego, bo cały był tutaj i Ziemia nie była mu domem. Ale może żałował tego teraz, pierwszy raz w życiu? Jego ciężkie barki, ramiona i kark nie zdradzały starości. Stara była tylko skóra na rękach, gruba, niechętnie układająca się w zmarszczki na kostkach palców, która bieleła, gdy je prostował i patrzył na ich lekkie drżenie, z obojętnym na pozór i zmęczonym zainteresowaniem, jakby konstatawał coś, co dotąd było mu obce. Rohan nie chciał na to patrzeć. Ale dowódca, przechyliwszy lekko głowę, spojrzał mu w oczy i z jakimś wstydliwym prawie uśmiechem mruknął:

— Przesoliłem, co?

Rohana oszołomiły nie tyle słowa, co ich ton i całe zachowanie astrogatora. Nie odezwał się. Stał wciąż, a tamten, potarłszy szeroką dłońią owłosioną pierś, dodał:

— Może to i lepiej.

I po kilku sekundach, z niebywałą u niego szczerością:

— Nie wiedziałem, co robić.

Było w tym coś wstrząsającego. Rohan wiedział jak gdyby, że astrogator już od szeregu dni jest tak samo bezradny jak oni wszyscy, ale w tym momencie uświadomił sobie, że nie była to wiedza prawdziwa, bo w gruncie rzeczy wierzył, że astrogator widzi na kilka posunięć dalej niż każdy inny człowiek, ponieważ tak musi być. I oto nagle ujawniła mu się istota dowódcy jak gdyby podwójnie, bo widział na wpół obnażony tors Horpacha, to ciało tak zmęczone, o drżących rękach, którego istnienie nie docierało dotąd do jego świadomości, a zarazem usłyszał słowa potwierdzające prawdziwość tego odkrycia.

— Siadaj, chłopaku — powiedział dowódca. Rohan usiadł. Horpach wstał, podszedł do umywalki, chlusnął wodą na twarz i kark, wycierał się krótko, gwałtownie, naciągnął kurtkę, zapiał ją i usiadł naprzeciw niego. Patrząc mu w oczy swoimi bladymi, lekko zażawionymi zawsze jak od silnego wiatru oczyma, spytał od niechcienia:

— Jak tam, z tym twoim... immunitem? Badali cię?

A więc to tylko to — przemknęło przez głowę Rohana. Odchrząknął.

— Owszem, lekarze badali mnie, ale niczego nie wykryli. Prawdopodobnie Sax miał rację z tym stuporem.

— No tak. Nic więcej nie mówili?

— Do mnie nie. Ale słyszałem... zastanawiali się nad tym, dlaczego chmura atakuje człowieka tylko raz, a potem zostawia go własnemu losowi.

— To ciekawe. I co?

— Lauda uważa, że chmura odróżnia normalnych od porażonych, dzięki różnicy aktywności elektrycznej mózgu. U porażonego mózg wykazuje taką aktywność jak u noworodka. A w każdym razie bardzo podobną. Zdaje się, że właśnie w takim osłupieniu, w jakie popadłem, obraz jest dosyć podobny. Sax przypuszcza, że można by sporządzić cienką metalową siateczkę, którą ukryłoby się we włosach... wysyłałaby słabe impulsy, takie właśnie jak mózg porażonego. Coś w rodzaju „czapki niewidki”. Że w ten sposób można by się maskować przed chmurą. Ale to tylko przypuszczenie. Nie wiadomo, czyby się udało. Chcieliby zrobić parę doświadczeń. Nie mają jednak dostatecznej ilości tych kryształków — a i tych, które miał zebrać „Cyklop”, nie dostaliśmy...

— No dobrze — westchnął astrogator. — Nie o tym chciałem z tobą mówić... To, co sobie powiemy, zostanie między nami. Tak?

— Tak... — powiedział powoli Rohan i napięcie wróciło. Astrogator nie patrzył teraz na niego, jakby trudno mu było zacząć.

— Nie powziąłem jeszcze decyzji — powiedział nagle. — Ktoś inny na moim miejscu rzucałby monetą. Wracać — nie wracać... Ale nie chcę. Wiem, jak często nie zgadzasz się ze mną...

Rohan otworzył usta, lecz tamten uciał jego słowa w zarodku lekkim ruchem ręki.

— Nie, nie... Otóż masz szansę. Daję ci ją. Ty zadecydujesz. Zrobię, co powiesz.

Popatrzał mu w oczy i zaraz skrył je pod ciężkimi powiekami.

— Jak to... ja? — wybełkotał Rohan. Wszystkiego by się spodziewał, tylko nie tego.

— Tak, właśnie ty. Oczywiście umówiliśmy się: to pozostanie między nami. Ty poweźmiesz decyzję, a ja ją przeprowadzę. Ja będę odpowiadał za nią przed Bazą. Dogodne warunki, nieprawdaż?

— Pan to mówi... serio? — spytał Rohan, tylko by zyskać na czasie, bo i tak wiedział, że wszystko jest prawdą.

— Tak. Gdybym ciebie nie znał, dałbym ci czas. Ale wiem, że chodzisz i myślisz swoje... że dawno już powziąłeś decyzję... ale może bym jej z ciebie nie wyciągnął. Dlatego powiesz mi tu, zaraz. Bo to jest rozkaz. Na tę chwilę ty zostaniesz dowódcą „Niezwyciężonego”... Nie chcesz od razu? Dobrze. Masz minutę czasu.

Horpach wstał, podszedł do umywalki, potarł dłonią policzki, aż zachrzęścił pod palcami siwy zarost, i zaczął się, jakby nigdy nic, golić maszynką elektryczną. Patrzył w lustro.

Rohan widział go i nie widział równocześnie. Pierwszym jego uczuciem był gniew na Horpacha, który tak bezwzględnie z nim postąpił, dając mu prawo, a właściwie obowiązek decyzji, wiążąc go słowem, a zarazem przejmując z góry całą odpowiedzialność. Rohan znał go na tyle, aby wiedzieć, że wszystko to zostało przemyślane i jest już teraz nie do odwrócenia. Sekundy biegły i trzeba było mówić, za chwilę, zaraz, a on nic nie wiedział. Wszystkie argumenty, które tak chętnie cisnąłby astrogatorowi w twarz, które sobie układał jak żelazne cegły w czasie nocnych medytacji, znikły. Czterech ludzi nie żyło prawie na pewno. Gdyby nie to „prawie”, nie trzeba by niczego rozważać, nicować, po prostu odlecieliby ze światem. Ale teraz owo „prawie” poczęło się w nim rozrastać. Dopóki był obok Horpacha, uważał, że powinni natychmiast startować. Czuł teraz, że taki rozkaz nie przejdzie mu przez gardło. Wiedział, że byłby to nie koniec sprawy Regis, ale jej początek. Nie miało to nic wspólnego z odpowiedzialnością wobec Bazy. Tych czterech ludzi zostałoby na statku, już nigdy by nie było tak jak przedtem. Załoga chciała wracać. Ale przypomniał sobie swoją nocną wędrówkę i pojął, że po jakimś czasie zaczęliby o tym myśleć, a potem mówić. Powiedzieliby sobie: „Widzicie? Zostawił czterech ludzi i wystartował”. I poza tym nie liczyliby się nic. Każdy człowiek musiał wiedzieć, że inni nie zostawią go — w żadnych okolicznościach. Że można przegrać wszystko, ale trzeba mieć załogę na pokładzie — żywych i umarłych. Tej zasady nie było w regulaminie. Ale gdyby tak nie postępowano, nikt nie mógłby latać.

— Słucham? — powiedział Horpach. Odłożył maszynkę i usiadł naprzeciwko niego.

Rohan obliznął wargi.

— Trzeba spróbować...

— Czego?

— Odszukania ich...

Stało się. Wiedział, że astrogator mu się nie sprzeciwi. Był teraz właściwie całkiem pewny, że Horpach właśnie na to liczył: że zrobił to umyślnie. Żeby w podjętym ryzyku nie być samotnym?

— Tamtych. Rozumiem. Dobrze.

— Ale potrzebny jest plan. Jakiś sposób, rozsądny...

— Rozsądni byliśmy dotąd — powiedział Horpach. — Rezultaty znasz.

— Czy mogę coś powiedzieć?

— Słucham.

— Byłem dziś w nocy na naradzie strategików. To znaczy słyszałem... zresztą mniejsza z tym. Opracowują rozmaite warianty anihilacji chmury... ale zadanie polega przecież nie na tym, żeby ją zniszczyć, tylko żeby odszukać tych czterech. Więc jeśli podejmie się jakąś masakrę antyprotonową, to jeżeli nawet któryś z nich jeszcze żyje, z drugiego takiego piekła nie wyjdzie cały na pewno. Nikt. To niemożliwe...

— I ja tak myślę — powoli odparł astrogator.

— Pan też?! To dobrze... a więc?

Horpach milczał.

— Czy oni... czy znaleźli jakieś inne rozwiązanie?

— Oni...? Nie.

Rohan chciał jeszcze o coś pytać, ale nie miał odwagi. Słowa zamarły mu na ustach. Horpach patrzył na niego, jakby na coś czekał. Ale Rohan nie wiedział nic — czyżby dowódca przypuszczał, że on sam, na własną rękę, potrafił wymyślić coś doskonalszego od wszystkich uczonych, od cybernetyków i strategików, razem z ich elektronowymi mózgami? To było nonsensem. A jednak patrzył na niego cierpliwie. Milczeli. Krople wody kapwały miarowo z kurka, niezwykle głośno w zupełnej ciszy. I z tego milczenia pomiędzy nimi



narodziło się coś, co chłodem ściegło policzki Rohana. Już cała twarz, jej skóra, od karku przez szczęki, zaczęła się kurczyć, stawała się jakby ciasna, kiedy patrzył w załzawione, niewymownie teraz stare oczy Horpacha. Już nic nie widział oprócz tych oczu. Już wiedział.

Skinął powoli głową. Jakby mówił „tak”. Rozumiesz? — pytał wzrok astrologa. Rozumiem — odpowiedział spojrzeniem Rohan. Ale w miarę jak ta świadomość stawała się w nim coraz jawniejsza, czuł, że to nie może być. Że tego nikt nie ma prawa żądać od niego, nawet on sam. Milczał więc dalej. Milczał, ale teraz udając już, że się nie domyśla niczego, że nie wie; czepiał się tej naiwnej nadziei, że skoro nic nie zostało powiedziane, tego, co przeszło z oczu w oczy, można się wyprzeć. Można skłamać, że to niedomyślność — bo rozumiał, czuł, że Horpach nigdy sam mu tego nie powie. Ale tamten widział to, widział wszystko. Siedzieli, nie poruszając się. Wzrok Horpacha zmiękł. Już nie oczekiwanie wyrażał ani nagłą natarczywość, a tylko współczucie. Jakby mówił: „Rozumiem. Dobrze. Niech i tak będzie”. Dowódca opuścił powieki. Jeszcze chwila, a to niewypowiedziane znikłoby i obaj mogliby zachować się tak, jakby nic w ogóle nie zaszło. Ale ten odwrócony wzrok przesądził. Rohan usłyszał własny głos.

— Pójdę — powiedział.

Horpach odetchnął ciężko, ale Rohan, ogarnięty paniką, którą wzbudziło w nim wypowiedziane przez samego siebie słowo, nie zauważył tego.

— Nie — powiedział Horpach. — Tak nie pójdiesz...

Rohan milczał.

— Nie mogłem ci tego powiedzieć... — podjął astrolog. — Ani nawet szukać ochotnika. Nie mam prawa. Ale już sam wiesz teraz, że nie możemy tak odlecieć. Tylko jeden samotny człowiek może tam wejść... i wyjść. Bez hełmu, maszyn, bez broni.

Rohan zaledwie go słyszał.

— Przedstawię ci teraz mój plan. Zastanowisz się nad nim. Będziesz go mógł odrzucić, bo wszystko to wciąż jeszcze pozostaje między nami dwoma. Wyobrażam sobie to tak: Aparat tlenowy z silikonu. Żadnych metali. Poślę tam dwa łaziki, bezładne. Ściągną na siebie chmurę, która je zniszczy. W tym samym czasie pojedzie trzeci łazik. Z człowiekiem. To jest właściwie największe ryzyko: bo trzeba podjechać możliwie blisko, aby nie tracić czasu na marsz przez pustynię. Zapas tlenu wystarczy na osiemnaście godzin. Mam tu fotografie całego wąwozu i okolicy. Uważam, że nie należy iść drogą dotychczasowych wypraw, ale dojechać możliwie blisko do północnej krawędzi płaskowyżu i stamtąd zejść pieszo po skałach na dół. Do górnej części wąwozu. Jeśli w ogóle gdzieś są, to tylko tam. Tam mogli ocaleć. Teren jest ciężki, dużo jaskiń i rozpadlin. Gdybyś znalazł wszystkich, albo tylko któregoś z nich...

— Właśnie. Jak ich zabrać? — spytał Rohan, czując ukłucie przekornej satysfakcji. W tym miejscu plan rozchwiewał się. Jak lekko poświęcał go Horpach...

— Będziesz miał odpowiedni środek, lekko oszałamiający. Jest coś takiego. Oczywiście potrzebny będzie tylko wtedy, jeśli odnaleziony nie zechce iść dobrowolnie. Na szczęście oni mogą w tym stanie chodzić.

Na szczęście... — pomyślał Rohan. Zaciskał pięści pod stołem, uważając, aby Horpach tego nie dostrzegł. Nie bał się wcale. Jeszcze nie. Wszystko razem było nazbyt nierzeczywiste...

— W wypadku, gdyby chmura... zainteresowała się tobą, musisz się nieruchomo położyć na ziemi. Myślałem o jakimś preparacie na taki wypadek, ale działałby ze zbytnim opóźnieniem. Pozostaje tylko ta osłona głowy, ten symulator prądowy, o którym mówił Sax...

— Czy coś takiego już jest...? spytał Rohan. Horpach zrozumiał ukryty sens tego pytania. Ale zachował spokój.

— Nie. Ale można to zrobić w ciągu godziny. Siateczka, ukryta we włosach. Aparacik, generujący rytmy prądowe, będzie wszyty w kołnierz kombinezonu. Teraz... dam ci godzinę

czasu. Dałbym ci więcej, ale z każdą następną godziną szansę uratowania ich maleją. I tak są już znikome. Kiedy powźmiesz decyzję?

— Już ją powziąłem.

— Głupisz. Czy nie słyszysz, co do ciebie mówię? Tamto było tylko, abyś pojął, że nie wolno nam jeszcze startować...

— Przecież pan wie, że ja i tak pójdę...

— Nie pójdziesz, jeżeli ci nie pozwolę. Nie zapominaj, że wciąż jeszcze ja jestem tu dowódcą. Jest przed nami problem, wobec którego nie liczą się niczyje ambicje.

— Rozumiem — powiedział Rohan. Pan nie chce, abym się czuł zmuszony..? Dobrze. Wobec tego... ale to, co mówimy, wciąż jest jeszcze objęte tym słowem?

— Tak.

— Wobec tego chcę wiedzieć, co pan zrobiłby na moim miejscu. Zmienimy się... odwrotnie aniżeli przed chwilą...

Horpach milczał chwilę.

— A gdybym ci powiedział, że nie poszedłbym?

— To i ja nie pójdę. Ale wiem, że pan powie prawdę...

— To nie pójdziesz? Słowo? Nie, nie... Wiem, że to niepotrzebne...

Astrogator wstał. Wstał wtedy i Rohan.

— Pan mi nie odpowiedział.

Astrogator patrzył na niego. Był wyższy, cały większy i szerszy w ramionach. Jego oczy przybrały ten sam znużony wygląd co na początku rozmowy.

— Możesz iść — powiedział. Rohan wyprostował się odruchowo i skierował do drzwi. Astrogator zrobił wtedy taki ruch, jakby go chciał zatrzymać, ująć za ramię, ale Rohan tego nie zobaczył. Wyszedł, a Horpach został nieruchomy, u zamykających się drzwi, i stał tak długo

## „NIEZWYCIĘŻONY”

Pierwsze dwa łażiki stoczyły się z pochylni o świcie. Podśloneczne zakola wydm były jeszcze czarne, ciemnością nocy. Pole otwarło się, dając drogę maszynom, i zamknęło, błyskając niebieskimi światłami. Na tylnym stopniu trzeciego, tuż u rufy krążownika, w kombinezonie, bez hełmu i szkieł ochronnych, tylko z małą maską aparatu tlenowego na ustach, siedział Rohan, obejmując kolana splecionymi rękami, bo tak wygodniej było mu patrzeć na skaczącą wskazówkę sekundnika.

W lewej górnej kieszeni kombinezonu miał cztery ampułki zastrzyków, w prawej — płasko sprasowane tabletki koncentratu odżywczego, a kieszenie nakolanników wypełniały drobne instrumenty: wskaźnik promieniowania, mały czujnik magnetyczny, kompas i mikrofotogrametryczna mapa terenu, nie większa od kartki pocztowej, którą trzeba było oglądać przez silną lupę. Opasany był poszóstym zwojem najcieńszej liny plastikowej, a całą jego odzież praktycznie pozbawiono wszelkich metalowych części. Siatki drucików, skrytej we włosach, nie czuł wcale — chyba że umyślnie poruszał skórą głowy; nie czuł też obecności krążącego w niej prądu, ale mógł skontrolować działanie mikronadajnika, wszytego w kołnierz, przyłożywszy do tego miejsca palec: ów twardy cylinderek tykał bowiem miarowo, i można było ten puls wyczuć dotykiem.

Na wschodzie stała czerwona smuga i wiatr budził się już, podcinając piaszczyste szczyty wydm. Stanowiąca kres horyzontu niska piła krateru zdawała się z wolna topnieć w przyborze czerwieni. Rohan podniósł głowę: miał być pozbawiony dwustronnej łączności ze statkiem, bo działający nadajnik natychmiast zdradziłby jego obecność. Ale w uchu jego tkwił nie większy od pestki aparacik odbiorczy; „Niezwykniężony” mógł — przynajmniej do czasu — posyłać mu swoje sygnały. Teraz właśnie aparacik przemówił, i było to prawie, jakby odezwał się głos wewnątrz jego głowy.

— Uwaga, Rohan. Tu Horpach... czujniki dziobowe notują wzrost aktywności magnetycznej. Prawdopodobnie łażiki są już pod chmurą... wysyłam sondę...

Rohan patrzył w przejaśniające się niebo. Nie dostrzegł samego startu rakiety, która wzbiła się nagle, pionowo jak raca, ciągnąc za sobą nikłą smugę białego dymu, okurzając nim wierzchołek statku, i poszybowała z zawrotną chyżością na północny—wschód. Mijały minuty. Już pół obrzękłej tarczy starego słońca jakby okrakiem siedziało na obwałowaniu krateru.

— Niewielka chmura atakuje pierwszy łażik... — rozległ się głos w jego głowie. — Drugi na razie idzie bez przeszkód... pierwszy zbliża się do bramy skalnej... uwaga! straciliśmy w tej chwili kontrolę nad pierwszym. Optyczną także — chmura pokryła go. Drugi dochodzi do zakrętu przy siódmym zwężeniu... nie jest atakowany... zaczęło się! Straciliśmy kontrolę nad drugim. Już go pokryły... Rohan! Uwaga! Twój łażik ruszy za piętnaście sekund — odtąd będziesz działał według własnego uznania. Włączam automat startowy — pomyślności...

Głos Horpacha oddalił się nagle. Zastąpił go mechaniczny, odliczający sekundy tykot. Rohan usadowił się lepiej, zaparł nogami, przełożył ramię przez elektryczną pętlę, przymocowaną do wierzchniej poręczy łażika. Lekka maszyna drgnęła nagle i płynnie ruszyła naprzód. Horpach trzymał wszystkich ludzi wewnątrz statku, Rohan był mu za to prawie wdzięczny, bo nie zniósłby żadnych pożegnań. Tak że przytroczony na skaczącym stopniu łażika, widział tylko olbrzymią, powoli zmniejszającą się kolumnę „Niezwykniężonego”, niebieski blask, który przez chwilę zatrzepotał na zboczach wydm, powiedział mu, że maszyna przebywa właśnie granicę pola siłowego. Ale zaraz potem szybkość wzrosła i ruda chmura, wyrzucana baloniastymi oponami, zasłoniła mu widok; ledwo dostrzegał ponad nią prześwitujące niebo. Nie było to zbyt szczęśliwe — mógł zostać zaatakowany, ani wiedząc, kiedy. Zamiast więc siedzieć, jak zaplanowano, odwrócił się, uniósł i trzymając poręczy, stał

teraz na stopniu. Mógł dzięki temu patrzeć ponad spłaszczonym grzbietem bezludnej maszyny w biegnącą naprzeciw pustynię. Łazik szedł z maksymalną szybkością, skacząc i podrywając się chwilami, że Rohan musiał przyciskać się z całej siły do jego powierzchni. Silnika nie było prawie słychać, tylko wiatr świszcział mu wokół głowy, ziarenka piasku raziły w oczy, a z obu stron maszyny zrywały się fontanny piasku i tworzyły nieprzenikliwą ścianę, że ani wiedział, kiedy znalazł się poza koliskiem krateru. Widocznie łazik przemknął po jednym z piaszczystych przesmyków jego północnego obwałowania.

Rohan usłyszał nagle zbliżający się śpiewny sygnał; był to pracujący nadajnik telesondy, wystrzelonej gdzieś na taką wysokość, że nie mógł jej dostrzec w niebie, choć wyteżał wzrok. Musiała wzbić się wysoko, aby nie ściągnąć nań uwagi chmury, zarazem jednak obecność jej była niezbędna — inaczej statek nie mógłby kierować ruchami łazika. Na tylną ściankę maszyny wyprowadzono umyślnie licznik kilometrów, aby ułatwić mu orientację. Przebył ich dotąd dziewiętnaście i lada chwila oczekiwał pojawienia się pierwszych skał. Ale niska tarcza słoneczna, którą miał dotąd z prawej strony, ledwo czerwieniejąca spoza wzbijanego kurzu, przesunęła się nieco ku tyłowi. Łazik skręcał zatem w lewo — Rohan próżno starał się ocenić, czy zasięg tego manewru zgodny jest z nakreślonym uprzednio kursem, czy też jest większy: oznaczałoby to, że w sterowni dostrzegli jakiś nieprzewidziany manewr chmury i pragną go od niej oddalić. Słońce znikło po chwili za pierwszym, połogim grzbietem skalnym. Potem znów się zjawilo. W skośnym oświetleniu krajobraz wyglądał dziko i nie był podobny do tego, który pamiętał z ostatniej swej wyprawy. Ale wtedy obserwował go z większej wysokości, bo z wieżyczki transportera. Łazikiem zaczęło nagle rzucać tak przeraźliwie, że kilka razy boleśnie uderzył piersią o pancierz. Musiał teraz wyteżyć wszystkie siły, aby impet tych wściekłych podrzutów, których nie amortyzowały skutecznie nawet baloniaste opony, nie stracił go z wąskiego stopnia. Koła tańczyły na głazach, wyrzucały wysoko w powietrze żwir, lecący z hałasem w dół zbocza, chwilami buksowały wściekle, Rohan miał wrażenie, że ta piekielna jazda musi być dostrzegalna w promieniu kilometrów, poważnie też zaczął się zastanawiać nad tym, czy nie wstrzymać maszyny — tuż poniżej barku miał wystającą rękojeść wyprowadzonego na zewnątrz hamulca — i zeskoczyć. Ale wówczas oczekiwałaby go wielokilometrowa piesza wędrówka, jej trwanie zmniejszyłoby i tak nikłe szansę rychłego dotarcia do celu. Zaciskając zęby, z rękami kurczowo wpitymi w uchwyty, które wcale nie wydawały mu się już tak pewne jak przedtem, patrzył więc tylko zmrużonymi oczami nad płaskim łbem maszyny w górę stoku. Śpiew radiosondy cichł chwilami, ale musiała wciąż unosić się nad nim, bo łazik manewrował zręcznie, wymijając spiętrzenia skalnych rumowisk, chwilami przechylał się, zwalniał i znowu rwał całą mocą pod górę.

Licznik wskazywał 27 przebytych kilometrów. Wykreślona droga liczyła ich na mapie 60, ale na pewno musiała być dłuższa, choćby przez wzgląd na nieustanne zygzaki i skręty. Teraz ani śladu już nie było piasków; słońce, ogromne, prawie nie grzejące, wisiało ciężko i jakby groźnie, tarczą dotykając wciąż skalnych pił, maszyna targana febrycznymi rzutami darła się zaciekle przez piargi, chwilami osuwając się razem z ich zgrzytającą ławą, opony wydawały świszczące wycie, trąc bezsilnie o kamień na coraz to bardziej rosnącej pochyłości. 29 kilometrów — oprócz śpiewnego sygnału sondy nie słyszał nic. „Niezwyciężony” milczał; dlaczego? Wydawało mu się, że czarniawymi liniami obrysowany, niewyraźny obryw, który widzi popod czerwonym słońcem, jest górną krawędzią wąwozu, do którego ma zejść, ale nie tutaj, dopiero znacznie wyżej, od północy. 30 kilometrów. W każdym razie ani śladu nie widział czarnej chmury. Musiała już chyba rozprawić się z obiema tamtymi maszynami. Czy po prostu porzuciła je, zadowolony się odcięciem ich od statku, przez zablokowanie łączności? Łazik rzucał się cały jak zrozpaczone zwierzę; chwilami dygot silnika, pracującego na maksymalnych obrotach, wchodził mu pod gardło. Tempo wciąż spadało, ale i tak posuwał się nad podziw dobrze; może należało użyć poduszkowca? Ale to była maszyna zbyt wielka i ciężka, poza tym nie warto o tym myśleć, skoro nic się nie da teraz odmienić...

Chciał popatrzeć na zegarek. Nie mógł tego zrobić — ani na sekundę nie dało się zbliżyć ręki do oczu. Usiłował ugiętymi kolanami tłumić przeraźliwe wstrząsy, od których latały w nim wnętrzności. Maszyna uniosła się nagle przodem i na łeb na szyję runęła zarazem w bok i w dół, hamulce wrzasnęły, ale już piarg leciał ze wszystkich stron, rozbębnił się dźwiękliwie po płytach cienkiego pancerza, łożnik kurczowo skręcił, zarzucił, chwilę szedł bokiem przez rzekę osypiska, ten ruch zamarł...

Powoli maszyna wykręciła i znów popełzła uparcie w górę stoku. Teraz widział już wąwóz. Poznawał go po czarniawych, podobnych do kosówki łatach ohydneho gąszczu, pokrywającego strome skały. Od brzegów wąwozu dzieliło go bodaj pół mili. 34 kilometr...

Stok, który trzeba było jeszcze przebyć, wyglądał jak jedno morze chaotycznie nagromadzonych zwalisk. Wydawało się niemożliwe, by maszyna znalazła wśród nich drogę. Przestał już wypatrywać możliwych przejść, skoro i tak nie w jego mocy było kierowanie manewrami. Starał się raczej nie spuszczać z oczu okalających czeluść skał. W każdej chwili mogła stamtąd wypłynąć czarna chmura.

— Rohan... Rohan... — usłyszał nagle. Serce uderzyło mocniej. Poznał głos Horpacha. —

— Prawdopodobnie łożnik nie dowiezie cię do celu. Nie możemy stąd ocenić nachylenia stoku z dostateczną dokładnością, ale wydaje się, że masz jeszcze tylko pięć do sześciu kilometrów drogi jezdnej —kiedy łożnik utknie, będziesz musiał iść dalej pieszo... Powtarzam...

Horpach mówił jeszcze raz to samo. Najwyżej 42–43 kilometry... pozostanie mi około siedemnastu — w tym terenie to co najmniej cztery godziny, jeśli nie więcej — obliczył błyskawicznie Rohan. Ale może mylą się, może łożnik przejdzie...

Głos ucichł i znowu słyhać było tylko rytmicznie powtarzający się śpiewny głos sondy. Rohan zagryzł ustnik maski, bo ocierał mu się przy gwałtownych podrzutach wewnętrzną powierzchnią warg. Słońce nie dotykało już najbliższej góry, ale i nie wznosiło się. W oczach miał większe i mniejsze głązy, skalne płyty, chwilami obejmował go ich zimny cień, maszyna szła teraz dużo wolniej; podniósłszy oczy, zobaczył nikle, pierzaste obłoki, rozplývające się w niebie. Świeciło w nim kilka gwiazd. Nagle z łożnikiem stało się coś dziwnego. Tylna jego część przysiadła, przednia poszła w górę... cały chwiał się przez mgnienie, jak koń stający dęba... sekunda, a byłby chyba runął, grzebiąc pod sobą Rohana, gdyby nie jego nagły skok. Upadł na kolana i ręce, przez grube ochronne rękawice i ochraniacze голени poczuł bolesne uderzenie, przeschorował ze dwa metry po piargu, nim się wreszcie zatrzymał. Łażnik wizgnął raz jeszcze kołami i zamarł.

— Uwaga... Rohan... to jest 39 kilometr... maszyna dalej nie przejdzie — musisz iść pieszo... zorientujesz się według mapy... łożnik zostanie w tym miejscu — na wypadek, gdybyś nie mógł wrócić inaczej... jesteś na skrzyżowaniu koordynaty 46 i 192...

Rohan powoli uniósł się na równe nogi. Bolały go wszystkie mięśnie. Ale tylko pierwsze kroki były trudne; rozchodził się. Chciał jak najbardziej oddalić się od zastygłego między dwoma progami skalnymi łożnika. Pod wielkim obeliskiem usiadł, wyjął z kieszeni mapę i próbował ją zorientować. Nie było to łatwe. Na koniec określił swoje położenie. Od górnej krawędzi wąwozu dzielił go jakiś kilometr w linii powietrznej, ale w tym miejscu nawet i marzyć nie można było o zejściu w dół; stoki pokrywał jednolitą warstwą metalowy gąszcz. Poszedł więc w górę, przez cały czas rozważając, czy ma próbować zejścia na dno wąwozu bliżej niż w upatrzonym miejscu. Do tego celu musiałby iść co najmniej cztery godziny. Nawet gdyby udało się wrócić łożnikiem, trzeba było liczyć na dalsze pięć godzin drogi powrotnej, a ile czasu musiałoby zająć samo zejście w wąwóz, nie mówiąc już o poszukiwaniach? Raptownie cały plan wydał mu się pozbawiony krzty zdrowego sensu. Był to po prostu tyleż daremny, co heroiczny gest, którym Hor—pach, poświęcając go, mógł uspokoić własne sumienie. Przez jakąś chwilę opanowała go taka wściekłość, dał się przecież podejść jak jakiś smarkacz, bo wszystko ułożył astrogator z góry — że prawie nie widział

otoczenia. Powoli ochłonał. Nie ma odwrotu — powtarzał sobie — będę próbował. Jeżeli nie uda mi się zejść, jeżeli nie znajdę nikogo do trzeciej, wracam. Było piętnaście minut po siódmej. Starał się iść krokiem długim i miarowym, ale nie za szybko, gdyż zużycie tlenu zwiększało się gwałtownie przy wysiłku. Umocował sobie na przegubie prawej ręki kompas, by nie zbaczać z obranego kierunku. Kilka razy musiał jednak obchodzić rozpadliny o pionowych brzegach. Ciężenie było na Regis znacznie mniejsze od ziemskiego, to dawało przynajmniej względną swobodę ruchów nawet w terenie tak ciężkim. Słońce podniosło się. Słuch jego, przywykły do stałego akompaniamentu tych wszystkich dźwięków, jakimi niby barierą ochronną otaczały go w dotychczasowych wyprawach maszyny, był jakby nagi i szczególnie wyostrzony. Od czasu do czasu słyszał tylko rytmiczny, o wiele słabszy niż przedtem śpiew sondy, za to każdy podmuch wiatru, rwącego się o skalne ostrza, jątrzył jego uwagę, bo zdawało mu się, że słyszy w nim słaby pobrzęk, tak dobrze znany i zapamiętany. Powoli wdrożył się w ten marsz i zyskał przez to swobodę rozmyślań, automatycznie stąpając z kamienia na kamień. Miał w kieszeni krokomierz; nie chciał spojrzeć na jego tarczkę zbyt wcześnie, postanowił sobie to zrobić dopiero po godzinie. Nie wytrzymał jednak i wyjął podobny do zegarka przyrządek przed jej upływem. Było to bolesne rozczarowanie: nie przebył ani trzech kilometrów. Musiał zyskiwać zbyt wiele na wysokości i to opóźniało pochód. A więc nie trzy ani cztery godziny, ale co najmniej jeszcze sześć... pomyślał. Wyjął mapę i ukląkłszy, zorientował ją po raz drugi. Górne krawędzie wąwozu widniały jakieś siedemset czy osiemset metrów na wschód, cały czas poruszał się mniej więcej równolegle do jego biegu. W jednym miejscu czarne gąszcze stoku rozdzielała nitkowata, wijąca się przerwa: prawdopodobnie łożysko wyschłego strumienia. Usiłował dojrzeć to miejsce. Klęcząc, w podmuchach wiatru, świszających ponad głową, przeżył chwilę wahania. Jakby nie wiedząc jeszcze, co robi, wstał, mechanicznie schował mapę do kieszeni i zaczął iść pod prostym kątem do kierunku dotychczasowej drogi, zmierzając tym samym ku obrywom wąwozu.

Zbliżał się do milczących, poszarpanych skał, jakby w każdej chwili ziemia miała się pod nim rozstąpić. Ohydny strach kurczył mu serce. Szedł jednak, wciąż tak samo wymachując rękami, które były przeraźliwie puste. Zatrzymał się raptownie i spojrzął w doliny, ku pustyni, gdzie stał „Niezwyciężony”. Nie mógł go zobaczyć, statek znajdował się poza widnokresem. Wiedział o tym, lecz patrzył w rudawe u horyzontów niebo, z wolna wypełniające się kłębiastymi obłokami. Śpiew sygnałów sondy stał się tak słaby, że nie był pewien, czy nie jest to już tylko złudzenie. Dlaczego „Niezwyciężony” milczał?

Dlatego, bo nie ma ci już nic do powiedzenia — odparł sam sobie. Podobne do groteskowych, zżartych erozją posągów wierzchnie skałki były tuż. Wąwóz otwarł się przed nim jak ogromny rów, pełen ciemności, promienie słońca nie sięgały jeszcze ani połowy pokrytych czernią ścian. Gdzieniedzie przebijały się poprzez szczerkowane gęstwiny białe, jakby wapienne iglice. Ogarnął jednym spojrzeniem całą olbrzymią przestrzeń, aż do kamienistego dna, oddalonego o półtora kilometra w pionie, i taki poczuł się wystawiony na ciosy, taki bezbronny, że odruchowo przykląkł, aby przywrzeć do kamieni i stać się niby jednym z nich. Było to bezsensowne, bo nie groziło mu przecież dostrzeżenie. To, czego musiał się lękać, nie miało oczu. Leżąc na słabo nagrzanym tafli kamiennej, patrzył w dół. Mapa fotogrametryczna mówiła prawdę najzupełniej nieużyteczną, bo ukazywała teren z lotu ptaka, w przeraźliwym pionowym skrócie. I mowy nie było o tym, aby zejść wąską łysiną pomiędzy dwiema ławicami czarnych zarośli. Nie dwadzieścia pięć metrów, ale chyba sto co najmniej liny musiałby mieć, a i tak byłyby potrzebne jakieś haki, młotek, a on nie miał nic takiego, nie był przysposobiony do wspinaczki skalnej. Początkowo ów ciasny żlebk schodził dość łagodnie, dalej był podcięty, znikał z oczu pod przewieszonym garbem ściany i ukazywał się daleko w dole, już poprzez sinawą mgiełkę powietrza. Przyszła mu do głowy idiotyczna myśl, że gdyby miał spadochron...

Uporczywie przeglądał stoki w obie strony od miejsca, w którym leżał, wciśnięty pod wielki, grzybiasty głaz. Dopiero teraz poczuł, że z wielkiej pustki, która się pod nim otwiera, płynie łagodny ciąg nagrzanego powietrza. W samej rzeczy, rysunek przeciwległych stoków drgał delikatnie. Gęstwina była akumulatorem słonecznych promieni. Odnalazł, idąc wzrokiem na południowy zachód, szczyty iglic, których osada stanowiła bramę skalną, miejsce katastrofy. Nie poznałby ich, gdyby nie to, że w przeciwieństwie do wszystkich innych skał były całkiem czarne i lśniły jak okryte grubą polewą — wierzchnie ich warstwy musiały kipieć podczas bitwy „Cyklopa” z chmurą... Ale ani transporterów, ani nawet śladów atomowej eksplozji na dnie wąwozu nie mógł dostrzec ze swego stanowiska. Leżał tak i raptem chwyciła go rozpacz: musiał zejść tam, na dół, a nie było drogi. Zamiast ulgi, że może oto wracać i powiedzieć astrogatorowi, że zrobił wszystko możliwe, przyszła determinacja.

Wstał. Jakiś ruch w głębi wąwozu, chwycony kątem oka, odruchowo przygiął go na powrót do kamieni, ale wyprostował się. Jeżeli będę co chwila padał plackiem, niewiele zrobię... pomyślał. Szedł teraz granią, szukając przejścia; co kilkaset kroków wychylał się w pustkę i widział wciąż ten sam obraz — tam, gdzie stok był łagodny, oblepiały go czarne gąszcze, gdzie zaś był od nich wolny, spadał pionowo. Raz kamień wypadł mu spod stopy i potoczył się w dół. Pociągnął za sobą inne; mała lawinka, hurkocząc, uderzyła z impetem w kosmatą ścianę jakieś sto kroków pod nim; wypelzła stamtąd smuga błyskającego pod światło dymu, rozwinęła się w powietrzu i trwała chwilę zawieszona, jakby wypatrując, a on zmartwiały cały; po dobrej minucie rozrzedziła się i bezszelestnie wsiąknęła w połyskliwy gąszcz.

Dochodziła dziewiąta, kiedy wyjrawszy zza kolejnego głazu, dostrzegł w dole, na samym dnie doliny — rozszerzała się tu znacznie — jasną poruszającą się plamkę. Ręką, która drżała, wydobyl z kieszeni małą składaną lornetę, nakierował ją...

To był człowiek. Powiększenie było zbyt małe, aby mógł zobaczyć choćby jego twarz — ale widział doskonale miarowe ruchy nóg. Szedł powoli, utykając lekko, jakby powłócząc skaleczoną stopą. Czy miał go okrzyknąć? Nie odważył się na to. Doprawdy, próbował: głos nie przeszedł mu przez gardło. Nienawidził siebie za ten przeklęty strach. Wiedział tylko, że teraz już na pewno nie odejdzie. Zapamiętał dobrze miejsca, którędy tamten szedł — zmierzał w górę coraz szerszej doliny, ku białawym stożkom osypisk i — zaczął biec w tym samym kierunku, granią, przeskakując głazy, ziejące szczeliny, aż świszczący w ustnikach oddech zaczął go dusić, aż serce rozłomotało się gwałtownie. To szaleństwo, nie mogę tak... pomyślał bezradnie. Zwolnił, i wtedy właśnie otworzył się przed nim zapraszająco szeroki żleb. Z obu stron ujmowały go niżej czarne zarośla. Nachylenie w dole rosło... może była tam przewieszka?

Zadecydował zegarek: było niemal pół do dziesiątej. Zaczął schodzić, najpierw twarzą do otchłani, potem odwrócił się, gdy stromizna stała się zbyt ostra, schodził już, pomagając sobie rękami, krok za krokiem, czarny gąszcz był blisko, zdawał się parzyć nieruchomym, milczącym upałem. Waliło mu w skroniach. Zatrzymał się na skalnej listwie, która szła skosem, wbił lewy but między nią a drugą listwę i spojrzął w dół. Jakies czterdzieści metrów niżej widział szeroką półkę, od której schodziła wyraźna, naga grzęda skalna, wyniesiona ponad sterczące martwe pędzle czarnych krzaków. Ale od tej zbawczej półki dzieliło go powietrze. Popatrzał w górę, zeszedł już dobre dwieście metrów, może więcej. Odgłos pracującego serca zdawał się wstrząsać powietrzem. Zamrugał kilka razy. Powoli, ślepymi ruchami, jął rozwijać linę. Nie będziesz chyba tak szalony... powiedziało w nim coś. Posuwając się bokiem w dół, dotarł do najbliższego krzaka. Jego ostre wyrostki były pokryte nalotem rdzy, kurzącej pod dotknięciem. Dotknął go, spodziewając się nie wiadomo czego. Ale nic się nie stało. Usłyszał tylko suchy, skrzypiący szelest, pociągnął mocniej, krzak siedział pewnie, owinał go liną u nasady, jeszcze raz pociągnął... w nagłym przypiwieniu śmiałości, owinał podstawę drugiego i trzeciego krzaka, zaparł się i szarpnął ze wszech sił.

Trzymały mocno, wpite w rozpekły głaz. Począł obsuwać się, zrazu mógł jeszcze przerzucić część ciężaru ciała na skałę dzięki tarcu podeszew, ale wnet zachybotał i zawisnął. Przepuszczał coraz szybciej linę pod kolanem, hamując jej ucieczkę ruchami prawego ramienia, aż, patrząc uważnie w dół, wylądował na półce. Spróbował teraz uwolnić linę, ciągnąc jeden jej koniec. Krzaki nie puszczały. Pociągnął kilka razy. Zacięła się. Usiadł wtedy okrakiem na półce i zaczął ciągnąć całym sobą, aż nagle z jadowitym świstem wyleciała przez powietrze i chlasnęła go w kark. Zatrząsł się cały. Siedział potem kilka minut, bo nogi miał zbyt miękkie, by ważyć się na dalszą wędrówkę. Zobaczył za to figurkę tego, który szedł w dole. Była już trochę większa. Wydało mu się dziwne, że taka jest jasna: a także było coś osobliwego w kształcie głowy, a raczej nakrycia głowy tego człowieka.

Myliłby się, sądząc, że najgorsze ma już poza sobą. Prawdę mówiąc, nie pomyślał tego. Miał jednak nadzieję, jak się okazało, fałszywą. Dalsza droga była o wiele łatwiejsza technicznie, ale martwe, rdzą chrzęszczące krzaki ustąpiły lśniącem tłustą jakby czernią, o drucianych pokłębieniach, obsypanych jak drobnym owocem tymi zgrubieniami, które natychmiast poznał.

Od czasu do czasu wyrażały się z nich bzykające słabo dymki, krążyły w powietrzu, zamierał wówczas — nie na długo, inaczej nigdy nie zdołałby dotrzeć do dna wąwozu. Posuwał się jakiś czas okrakiem jak na koniu, potem grzęda stała się szersza i mniej stroma, tak że mógł już nią schodzić, nie bez trudu, nie bez pomocy rąk, ale zaledwie zdawał sobie sprawę z kolejnych postępów owego długiego zejścia, ponieważ uwagę miał całą podzieloną, zwróconą na obie strony naraz; niekiedy musiał przechodzić tak blisko rojących się krzaków, że ich pędzliste druciki szorowały o fałdy kombinezonu. Ani razu jednak przepływające górą smużki, grające w świetle iskrami, nie zbliżyły się do niego. Kiedy stanął wreszcie na osypisku, ledwo kilkaset kroków od dna, bielejącego suchymi jak kości otoczakami, dochodziła dwunasta. Był już poniżej strefy czarnych krzewów, stok, z którego zeszedł, do połowy oświetlało wysokie słońce. Mógł teraz ocenić rozmiary przebytej drogi, ale nawet nie spojrzął za siebie. Pobiegł w dół, starając się przerzucić ciężar ciała z nogi na nogę, z kamienia na kamień jak najszybciej, ale i tak ogromna masa chwiejnego osypiska, chrobocząc, jęła spelzać wraz z nim, grzechotała wciąż głośniejsze, raptem, już zupełnie blisko wyschniętego strumienia, piarg rozjechał się pod nim i padając, że z impetu przesunęła mu się maska tlenowa, stoczył się kilkanaście metrów. Już zrywał się, aby bieć, nie bacząc na potłuczenia, bo bał się, że ten, którego widział z góry, zniknie mu z oczu — oba stoki, a zwłaszcza przeciwległy, pełne były czarnych otworów grot — gdy coś ostrzegło go, że zanim jeszcze zrozumiał, na powrót runął na ostrokończyste kamienie i został tak, z rozłożonymi rękami. Padł nań lekki, rzucony z wysoka cień i w narastającym huczeniu, które przybierało monotonna, ogarniając wszystkie rejestry, od syku aż po basowe nuty, opłynął go czarny, bezkształtny kłęb. Powinien był może zamknąć oczy, ale nie zrobił tego. Ostatnią jego myślą było, czy aby ów aparacik, wszyty w kombinezon, nie ucierpiał od gwałtownego upadku. Potem pogrążył się w bezwładzie, który sam sobie chyba nakazał. I gałkami oczu nie poruszał, a jednak widział, jak mrowiąca się chmura zawisa nad nim, jak wypuszcza w dół wijącą się leniwie odnogę, zobaczył jej koniec z bliska — wyglądał jak wylot atramentowe lśniącego wiru. Poczuł skórą czaszki, policzków, całej twarzy tysiączny, ciepławy dotyk powietrza, jakby rozdrobnione na milionowe cząstki technienie. Coś musnęło kombinezon na piersiach, otoczył go niemal zupełny mrok. Naraz ta wyginająca się wciąż jak miniaturowa trąba powietrzna odnoga weszła na powrót w chmurę. Brzęczenie stało się ostre. Mrowiło od niego w zębach, czuł je gdzieś w środku czaszki. Osłabło. Chmura szła prawie pionowo wzwyż, stawała się czarną mgłą, rozpostartą od jednego do drugiego stoku, rozpadła się na pojedyncze, kręcące się współśrodkowo kłęby, wpełzła w nieruchome futro zarośli i znikła. Długą chwilę leżał jeszcze bez ruchu, jak martwy. Przeszło mu przez głowę, że to może już. Że może nie będzie wiedział, ani kim jest, ani skąd się tu wziął, ani co ma zrobić, i od tej



myśli zdjął go taki strach, że raptownie usiadł. Nagle zachciało mu się śmiać. Przecież jeżeli mógł tak myśleć, znaczyło to, że ocalał. Że nic mu nie zrobiła, że oszukał ją. Usiłował opanować ten łaskocący, kretyński śmiech, wzbierający w gardle, który zaczynał, zdławiony, trząść nim całym. To tylko histeria — pomyślał, podnosząc się z kolan. Był już prawie spokojny, tak mu się przynajmniej wydało. Poprawił maskę tlenową i rozejrzał się. Człowieka, którego zobaczył z góry, nie było. Ale usłyszał jego kroki. Tamten musiał minąć już to miejsce, i znikł za wysuniętą do połowy dna wąwozu, przewróconą skałą. Pobiegł za nim. Odgłos kroków był coraz bliższy i dziwnie głośny. Jakby tamten stąpał w żelaznych butach. Biegł, czując igły bólu, przesywające goleń od kostki po kolano. Musiałem skrócić nogę... pomyślał, wiosłując rozpaczliwie rękami, znowu zbyt mało miał powietrza, zaczynał się niemal dusić, kiedy go zobaczył. Tamten szedł prosto przed siebie mechanicznym, wielkim krokiem, stąpając z głazu na gład. Bliskie ściany skalne klaskającym echem powtarzały odgłos jego stąpania. I nagle wszystko osunęło się w Rohanie. To był robot, nie człowiek. Jeden z arktanów. Nie myślał w ogóle o ich losie, o tym, co się z nimi stało po katastrofie; znajdowały się w środkowym transporterze, kiedy zaatakowała ich chmura. Był już od niego o kilkadziesiąt kroków. Zauważył wtedy, że lewe ramię robota zwisa bezwładnie, pogruchotane, a jego niegdyś lśniący, wypukły pancerz jest porysowany i powgniatany. Rozczarowanie było wielkie, a jednak jakoś raźniej zrobiło się po chwili Rohanowi na myśl o tym, że chociaż takiego będzie miał w dalszych poszukiwaniach towarzysza. Chciał wezwać robota okrzykiem, ale coś go od tego powstrzymało, więc przyspieszył tylko kroku, minął go i stając na jego drodze, czekał, lecz dwuipółmetrowy olbrzym jakby go wcale nie widział. Miał — Rohan dostrzegł to z bliska — strzaskaną część podobnej nieco do miskowatego ucha anteny radarowej, a w miejscu, w którym znajdował się przedtem obiektyw lewego oka, ział otwór o nierównych brzegach. Szedł jednak wcale pewnie na swych ogromnych stopach, powłócząc tylko lewą. Rohan zawołał nań, gdy dzieląca ich przestrzeń zmalała do kilku kroków, lecz maszyna parła prosto na niego, jakby ślepa, i musiał w ostatniej chwili ustąpić jej z drogi. Podbiegł po raz drugi do robota i chciał chwycić go za metalową łapę, lecz ten wyrwał mu ją ruchem obojętnym i posuwistym i kroczył dalej. Rohan zrozumiał, że i ów arktan stał się ofiarą ataku i nie ma co na niego liczyć. Ale jakoś ciężko mu było pozostawić bezradną maszynę jej własnemu losowi, poza tym ogarnęła go także ciekawość, dokąd właściwie robot zmierza, bo szedł, wybierając możliwie równą drogę, jakby miał upatrzony cel. Po krótkim namyśle, podczas którego tamten oddalił się o kilkanaście metrów, puścił się w końcu w ślad za nim. Robot doszedł wreszcie do stóp osypiska i zaczął na nie wchodzić, nie zwracając najmniejszej uwagi na strumienie gruzu, lecące mu spod szerokich stóp. Wgramolił się tak może do połowy piargowego pola, wtedy runął nagle, zjechał w dół, wciąż przebierając w powietrzu nogami, co w innych okolicznościach pobudziłoby może patrzącego do śmiechu. Potem podniósł się i zaczął znowu swoją wspinaczkę. Rohan zawrócił szybko i oddalił się, lecz długo jeszcze dochodził go rumor osypiska i powtarzające się ociężałe, metalowe człapanie, które ściany skalne przekazywały sobie wielokrotnym echem. Posuwał się teraz szybko, bo i droga po płaskich gładach, zaścielających łożysko potoku, była względnie równa i schodziła lekko w dół. Chmury nie było ani śladu, tylko czasem nikłe drganie powietrza nad stokami świadczyło o aktywności wracej w czarnym gąszczu. Tak doszedł do najszerszej części wąwozu, przechodzącego tutaj w dolinę, otoczoną skalnymi pochyłościami. Jakies dwa kilometry dalej znajdowała się skalna brama, miejsce katastrofy. Teraz dopiero poczuł, jak bardzo będzie mu brak olfaktometrycznego czujnika, który może pomógłby w szukaniu śladów ludzkich, ale był to aparat zbyt ciężki dla piechura. Musiał więc radzić sobie bez niego. Zatrzymał się i kolejno wodził wzrokiem po skałach. O tym, aby ktoś mógł schronić się w samym metalowym gąszczu, nie było i mowy. Pozostawały tylko groty, jaskinie i kotły skalne, których ze swego stanowiska naliczył cztery; wnętrze ich zakrywały przed jego wzrokiem wysokie progi o pionowych ścianach, zwiastujących nie lada trudy

wspinaczki. Dlatego najpierw postanowił po kolei zajrzeć do grot. Już przedtem, na pokładzie, rozważał z lekarzami i psychologami, gdzie należy szukać zaginionych, to znaczy, gdzie mogliby się chować. Ale w gruncie rzeczy niewiele mu ta narada dała, bo zachowanie się porażonego amnezją było nieobliczalne. To, że zaginieni oddalili się we czterech od pozostałych ludzi Regnara, wskazywało na wyróżniającą ich od reszty aktywność; w jakiejś mierze i to, że ślady tych czterech aż do prześledzonego miejsca nie rozeszły się, pozwalało liczyć na odnalezienie wszystkich razem. Oczywiście, jeśli w ogóle żyli i jeżeli powyżej bramy skalnej nie porozchodzili się w różne strony. Rohan przeszukał kolejno dwie małe i cztery większe groty, których wejścia były dość łatwo dostępne i wymagały tylko kilku minut bezpiecznej wspinaczki po skośnie stojących, wielkich taflach skalnych. W ostatniej z owych grot natknął się na częściowo zatopione wodą metalowe szczątki, które zrazu wziął za szkielet drugiego arktana, ale były ogromnie stare i nie przypominały żadnego z rozwiązań konstrukcyjnych, jakie znał. W płytkiej sadzawce, widocznej dzięki temu, że trochę dziennego światła odbijało się od gładkiego, jakby wypolerowanego stropu, spoczywała przedziwna, podługowata forma, nieco podobna do krzyża pięciometrowej długości; okrywające ją z zewnątrz blachy rozpadły się dawno i utworzyły na dnie zmieszany ze szlamem, rudy od rdzy ił. Rohan nie mógł sobie pozwolić na dłuższe oględziny niezwykłego znaleziska, stanowiącego być może ruinę któregoś z owych makroautomatów, wyniszczonych przez zwycięską w martwej ewolucji chmurę. Uniósł tylko w oczach jego kształt, rozluźnione zarysy jakichś wiązań i prętów, które służyły do latania raczej aniżeli do chodzenia; ale zegarek nakazywał coraz większy pośpiech, więc nie zwlekając, wziął się do przeszukiwania następnych jaskiń. Było ich tak wiele, widocznych niekiedy z dna doliny jako pełne czerni okna w wysokich murach skalnych, a korytarze i ganki podziemne, często zatopione wodą, prowadzące nieraz do pionowych studni i syfonów z lodowato bełkocącymi strumieniami, wiodły tak kreto, że ani śmiało się zapuszczać w ich głębie. Miał zresztą tylko niewielką latarkę, która dawała stosunkowo słabe światło, bezsilne zwłaszcza w rozległych grotach o wysokim sklepieniu i wielu piętach, bo i do takich trafił kilka razy. Wreszcie, upadając wprost ze zmęczenia, usiadłszy na ogromnym, promieniami słonecznymi ogrzanym płaskim kamieniu u wylotu przeszukanej dopiero co jaskini, zaczął żuć płytki prasowanego koncentratu, popijając suche kęsy wodą z potoczka. Parę razy wydało mu się, że słyszy szum nadciągającej chmury, ale to chyba były tylko odgłosy syzyfowych wysiłków owego arktana, dobiegające z wyższego piętra doliny. Po zjedzeniu swych skąpych zapasów poczuł się o wiele raźniej. Najdziwniejsze dla niego samego było to, że właściwie coraz mniej robił sobie z groźnego sąsiedztwa — bo czarne gąszczę pięły się wszystkimi stokami, ku którym tylko zwrócił oczy.

Zeszedł z wyniosłości, przed jaskinią, gdzie się był zatrzymał, i dostrzegł wtedy coś na kształt cienkiego rdzawego pasma na suchych głazach po drugiej stronie doliny. Przybliżywszy się, poznał w owych plamach ślady krwi. Były już zupełnie suche, zmieniły też barwę i gdyby nie wyjątkowa biel skały, dorównująca wapieniowi, na pewno by ich nie zauważył. Próbował przez chwilę dojść tego, w którym kierunku szedł krwawiący, ale nie mógł tego ustalić. Tak więc na chybił trafił poszedł w górę doliny, rozumując, że być może był to człowiek raniony podczas walki „Cyklopa” z chmurą, który oddalał się od jej centrum. Ślady krzyżowały się, w kilku miejscach znikwały, aż doprowadziły go w pobliże jaskini, którą przeszukał jako jedną z pierwszych. Tym większe było jego zaskoczenie, gdy okazało się, że obok jej wylotu otwiera się pionowa, podobna do studni, wąska rozpadlina, której przedtem nie dostrzegł. Tam właśnie wiódł krwawy ślad. Rohan ukląkł i pochylił się nad półmrocznym otworem, a chociaż był przygotowany na najgorsze, przecież nie udało mu się powstrzymać zdławionego okrzyku, bo dojrzał prosto patrzącą nań pustymi jamami oczu, z wyszczerzonymi zębami, głowę Bennigsen: poznał go po złotych drucikach okularów, których szkła, przez ślepą ironię przypadku, ocalały i lśniły czysto w odbłasku padającym z

nachylonej nad tą skalną trumną płyty wapiennej. Geolog zawisł pomiędzy głazami, dlatego jego ciało pozostało pionowe, zaklinowane barkami w naturalnym ocembrowaniu kamiennej studni. Rohan nie chciał tak zostawić tego szczątku ludzkiego, ale gdy przewyciężając się, próbował unieść zwłoki, poczuł poprzez gruby materiał kombinezону, jak mu się rozluźniają w uchwycie. Przyspieszony działaniem słońca, które zaglądało w to miejsce każdego dnia, rozkład uczynił już swoje. Rohan otworzył tylko zamek błyskawiczny piersiowej kieszeni kombinezону i wyjął z niej znak rozpoznawczy uczonego; przed odejściem, wyężywszy wszystkie siły, dźwignął jedną z pobliskich płyt skalnych i przykrył nią skalny grobowiec.

To był pierwszy odnaleziony. Już oddaliwszy się z tego miejsca, Rohan pomyślał, że należało właściwie zbadać radioaktywność zwłok, gdyż w pewnej mierze poziom jej mógł rzucić światło na losy samego Bennigsena i innych: znaczne bowiem stężenie promieniowania świadczyłoby o tym, że zmarły przebywał blisko miejsca atomowego starcia. Ale zapomniał to zrobić, a teraz nic by go nie skłoniło do ponownego odwalania grobowego kamienia. Zarazem Rohan zorientował się, jak wielką rolę gra w jego poszukiwaniach przypadek, bo przecież poblizko owego miejsca przeszukał przedtem, jak mu się zdawało, bardzo dokładnie.

Tknięty nową myślą, pospiesznie ruszył teraz śladem krwi, szukając jego początku. Prowadził niemal prostą linią w dół doliny, jakby zmierzając do atomowego pobojowiska. Ale już kilkaset kroków dalej skręcił nagle w bok. Geolog stracił ogromną ilość krwi i tym bardziej było zdumiewające, że mógł mimo to zejść tak daleko. Głazy, których od katastrofy nie tknęła ani kropla deszczu, były obficie zboczzone. Rohan wspiął się po chwiejnie leżących wielkich bryłach i znalazł się w obszernym, nieckowatym zakłębnięciu pod nagim żebrzem skalnym. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była nadnaturalnej wielkości podeszwa metalowej stopy robota. Spoczywał bokiem, prawie przepołowiony serią, wystrzeloną najwidoczniej z weyra. Nieco dalej, oparty o głaz, wpośledzi, złożony niemal we dwoje, człowiek w hełmie, którego wypukłość czarna była od kopcium. Był martwy. Miotacz zwiisał jeszcze z jego rozluźnionej dłoni, dotykając błyszczącą lufą gruntu. Rohan nie śmiał zrazu dotknąć siedzącego, a tylko usiłował, przyklękawszy, zajrzeć w jego twarz, ale była tak samo zniekształcona rozkładem jak u Bennigsena. Wtem rozpoznał szeroką i płaską torbę geologiczną, przewieszoną przez zmałałe jakby barki siedzącego. Był nim sam Regnar, dowódca ekspedycji zaatakowanej w kraterze. Pomiary radioaktywności wskazywały, że arktan został strzaskany wyładowaniem weyra: indyktor rejestrował charakterystyczną obecność izotopów ziem rzadkich. Rohan chciał znowu wziąć znak rozpoznawczy geologa, ale tym razem już się na to nie zdobył. Odpiął tylko torbę, bo nie musiał dotykać wtedy jego ciała. Ale była wypełniona samymi odłamkami minerałów. Po krótkim namyśle odłamał więc jedynie nożem monogram geologa, przytwierdzony do skóry, schował go i raz jeszcze patrząc z wysokości głazu na nieruchomą scenę, usiłował pojąć, co się tu właściwie stało. Wyglądało na to, że Regnar strzelał do robota, ale czy ów zaatakował jego albo Bennigsena? Czy zresztą człowiek porażony amnezją mógłby się bronić przed jakimkolwiek atakiem? Widział, że nie rozstrzygnie zagadki, a miał jeszcze w perspektywie dalsze poszukiwania. Spojrzał znowu na zegarek: dochodziła piąta. Gdyby miał liczyć tylko na własny zapas tlenu, musiałby już wracać. Przyszło mu wówczas do głowy, że może przecież wykręcić tlenowe butelki z aparatu Regnara. Zdjął więc cały aparat z pleców trupa, stwierdził, że jedna butelka jest jeszcze pełna, i pozostawiwszy własną, pustą, zabrał się do gromadzenia kamieni wokół zwłok. Zajęło to niemal godzinę czasu, ale uważał, że zmarły i tak odplacił mu sowicie, użyczając zapasów swojego tlenu. Gdy mały kopczyk był gotowy, Rohan pomyślał, że dobrze byłoby właściwie zaopatrzyć się w broń, którą stanowił na pewno jeszcze naładowany mały weyr. Ale znowu pomysł ów był spóźniony, i musiał odejść z niczym.

Dochodziła szósta; był tak zmęczony, że ledwo powłóczył nogami. Miał jeszcze cztery tabletki preparatu podniecającego, zażył jedną i po minucie wstał, czując przypływ sił. Nie

miął najsłabszego pojęcia, skąd rozpocząć dalsze poszukiwania, poszedł więc po prostu przed siebie, ku skalnej bramie. Dzieliło go od niej jeszcze koło kilometra, kiedy wskaźnik ostrzegł go przed rosnącym skażeniem radioaktywnym. Było na razie dość niskie, szedł więc dalej, pilnie rozglądając się na wszystkie strony. Ponieważ wąż biegł kreto, tylko niektóre powierzchnie skał nosiły ślady nadtopienia; w miarę jak kroczył dalej, owej charakterystycznej, spękanej glazury było coraz więcej, nareszcie zobaczył ogromne głązy całe w zastygłych bąblach — bo ich powierzchnia gotowała się pod ciosami termicznych udarów. Właściwie nie miał tu już co robić, a jednak szedł wciąż naprzód; wskaźnik na przegubie wydawał teraz lekki tykot, coraz szybszy, wskazówka skakała po skali jak szalona, tańcząc na podziałkach. Zobaczył wreszcie z oddali resztki skalnej bramy, zwalone na zakłęsły kocioł, podobny do jeziora wody, które zastygło w niesamowity sposób podczas potężnego rozbryzgu; osada skał zmieniła się w grubą skorupę lawy, a niegdyś czarne futra metalowych zarośli były spopielonymi łachmanami; w głębi majaczyły wśród murów skalnych olbrzymie wyrwy jaśniejszego koloru. Rohan pospiesznie zawrócił.

I znów przypadek przyszedł mu z pomocą, kiedy dochodził już do następnej, za pobojuwiskiem, znacznie szerszej bramy skalnej: w pobliżu miejsca, które przedtem minął, doszło go lśnienie jakiegoś metalowego przedmiotu. Był to aluminiowy reduktor aparatu tlenowego; w płytkiej szczelinie między skałą i wyschlým łozyskiem potoku ciemniały plecy w osmalonym kombinezonie. Trup był bez głowy. Straszliwa siła podmuchu przeniosła go nad stertą głązów i zmiażdżyła o skałę. Opodal leżała nie uszkodzona kabura, tkwił w niej, mocno wpasowany, lśniący, jakby dopiero przed chwilą oczyszczony, weyr. Rohan przywłaszczył go sobie. Chciał zidentyfikować znalezione, ale było to niemożliwe. Ruszył dalej w górę wężozu, a światło na jego wschodnim stoku stawało się już czerwone i niby płonąca kurtyna unosiło się coraz wyżej, w miarę jak słońce opadało za górski grzbiet. Dochodziła za kwadrans siódma. Rohan znalazł się w prawdziwym dylemacie. Jak dotąd powiodło mu się, w tym przynajmniej sensie, że wykonał swoje zadanie, ocalał i mógł wracać do bazy. Śmierć czwartego człowieka nie ulegała już, w jego przeświadczeniu, wątpliwości, ale w końcu było to niezmiernie prawdopodobne jeszcze na „Niezwykłym”. Przyszedł tutaj, aby zdobyć pewność. Czy miał zatem prawo powrotu? Rezerwa tlenu, którą zawdzięczał aparatowi Regnara, starczyła na dalsze sześć godzin. Miał jednak przed sobą całą noc, podczas której nie mógł nic robić, jeśli nie przez wzgląd na chmurę, to choćby dlatego, że był bliski zupełnego wyczerpania. Zażył następną tabletkę podniecającą i czekając, aż przejawia swe działanie, próbował ułożyć jakiś rozsądny, w miarę przynajmniej, plan dalszej akcji.

Czarny gąszcz wysoko nad nim, u krawędzi skalnych, zatapiała coraz czerwiejsza luna zachodu, w której pojedyncze ostrza krzaków mieniły się i opalizowały głębokim fioletem.

Rohan wciąż jeszcze nie mógł się zdecydować. Kiedy tak siedział pod wielkim złomem, usłyszał nadciągający z dali, ciężki pbrzęk chmury. Rzecz osobliwa — wcale się nie przeląkł. Jego stosunek do niej uległ w ciągu tego jednego dnia zadziwiającej przemianie. Wiedział — a przynajmniej zdawało mu się, że wie, na co może sobie pozwolić, niby alpinista, którego nie odstrasza śmierć, czyhająca w ścianach lodowców. Co prawda sam dobrze nie orientował się w owej zmianie, jaka w nim zaszła, bo nie zanotował w pamięci chwili, kiedy — po raz pierwszy — gdy czarny gąszcz na skałach mienił się wszystkimi tonami fioletem — dostrzegł jego ponure piękno. Ale teraz, gdy już dojrzał czarne chmury — a nadciągały dwie, wyroiwszy się z przeciwległych stoków górskich — nie poruszył się wcale, nie szukał już schronienia z twarzą przywartą do głązów. W końcu pozycja, jaką zajmował, nie mogła mieć znaczenia, jeśli tylko ukryty aparacik wciąż jeszcze działał. Dotknął końcami palców jego okrągłego jak moneta denka przez materiał kombinezonu i poczuł na opuszkach delikatne drganie. Nie chciał prowokować niebezpieczeństwa, więc tylko dogodniej się usadowił, aby nie zmieniać niepotrzebnie położenia ciała. Chmury zajmowały teraz obie

strony wąwozu; przez ich czarne kłęby przechodził jakby porządkujący prąd, bo zagęszczaly się na krańcach, tworząc prawie pionowe kolumny, podczas kiedy ich części wewnętrzne wybrzuszały się ku sobie i zbliżały coraz bardziej. Było to całkiem, jakby jakiś tytaniczny rzeźbiarz z niezwykłą szybkością kształtował je niewidzialnymi chwytami. Kilka krótkich wyładowań przeszło powietrze między najbliższymi punktami obu chmur, które pozornie rwały się ku sobie, a przecież każda została po swojej stronie, łopocąc tylko centralnymi kłębami coraz gwałtowniejszym rytmem. Blask owych błyskawic był dziwnie ciemny; obie chmury rozbłysły w nim na mgnienie jako znieruchomiałe w locie miliardy czarnosrebrnych kryształów. Potem — kiedy skały powtórzyły kilka razy echo grzmotów, słabe i stłumione, jakby okrył je nagle pochłaniający dźwięki materiał, drżąc, napięte do ostateczności, obie strony czarnego morza połączyły się i przeniknęły. Powietrze pod nimi ściemniało, jakby zaszło słońce, zarazem pojawiły się w nim niepojęte, gnące się linie, i Rohan dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że to są zniekształcone groteskowo odbicia skalnego dna doliny. A tymczasem owe lustra powietrzne pod pułapem chmury falowały i rozprężały się; aż naraz ujrzał olbrzymią, sięgającą szczytem głowy mroków, postać ludzką, która patrzyła nań nieruchomo, chociaż sam obraz drgał i tańczył bezustannie, jakby wciąż gasnący i wciąż na nowo wzniecany tajemniczym rytmem. I znów upłynęły sekundy, zanim poznał w nim własne odbicie, zawieszone w pustce między bocznymi zwisami chmury. Był tak zdumiony, do tego stopnia porażony niepojętym działaniem chmury, że zapomniał o wszystkim. Błysła mu myśl, że, być może, chmura wie o nim, o mikroskopijnej obecności ostatniego żywego człowieka wśród głazów, zalegających wąwóz, ale i tej myśli się nie przeląkł, nie dlatego, że była nazbyt niewiarygodna: niczego już nie miał za niemożliwe — po prostu pragnął uczestniczyć w tym coraz mroczniejszym misterium, którego znaczenia — tego był pewien — nie pojmie nigdy. Jego gigantyczne odbicie, przez które słabo przeświecały odległe stoki skał, w górnej części doliny, dokąd nie sięgał cień chmury, rozwiewało się. Zarazem z chmury wyszły niezliczone odnogi; gdy wsysała jedne, inne zajmowały ich miejsce. Zaczął z nich padać coraz gęstszy, czarny deszcz. Drobne kryształki padały i na niego, trafiały go lekko w głowę, osuwały się po kombinezonie, gromadziły w jego fałdach, czarny deszcz wciąż padał, a głos chmury, owo wszechogarniające już jakby nie dolinę tylko, ale całą atmosferę planety huczenie, podnosił się; powstały w niej lokalne wiry, okna, przez które przetarło się niebo, czarny całun rozdarł się środkiem i dwoma wałami poszybował ocieężałe, jakby niechętnie, ku gąszczom, aż zapadł w ich nieruchomość i znikł. Rohan siedział dalej bez ruchu. Nie wiedział, czy wolno mu strząsnąć kryształki, którymi był osypany; pełno ich leżało na głazach, całe, dotąd jak kość bielejące łożysko potoku wyglądało jak zbryzgane atramentową farbą. Ujął ostrożnie jeden z trójkątnych kryształków w palce, a wtedy ów ożył jakby, delikatnie dmuchnął mu ciepłem w dłoń i wzniosł się w powietrze, gdy Rohan odruchowo otworzył garść. Wtedy jakby na dany znak zamrowiło całe otoczenie. Ten ruch tylko w pierwszej sekundzie był chaotyczny. Potem czarne punkty utworzyły niby warstwę przygruntowego dymu, zgęściły się, ściągnęły i poszły słupami w górę. Wyglądało to, jakby same skały dymiły jakimiś olbrzymimi pochodniami ofiarnymi bez płomienia i blasku. Ale teraz dopiero nastąpiła rzecz niepojęta: bo gdy wzlatujący rój zawisł kulistym prawie obłokiem dokładnie nad samym środkiem doliny, na tle wolno ciemniejącego nieba, jako ogromny, puszysty balon czerni, tamte chmury na powrót wynurzyły się z gąszczy i runęły nań z oszałamiającym impetem. Rohanowi zdawało się, że słyszy przedziwny, zgrzytliwy dźwięk napowietrznego zderzenia, ale to było chyba ułudą. Już sądził, że obserwuje walkę, że tamte chmury wyrzuciły z siebie i straciły na dno wąwozu te martwe owady, których pragnęły się pozbyć, kiedy starcie okazało się pozorem. Chmury rozeszły się i śladu nie pozostało po puszystej kuli. Wchłonęły ją w siebie. Chwila, i znów tylko skalne szczyty krwawiły ostatnim blaskiem słońca, a rozległe wnętrza doliny leżało ciche i puste. Rohan wstał wówczas, na miękkich nieco nogach. Wydał się sobie nagle śmieszny z tym skwapliwie zabranym umarłemu miotaczem Weyra, więcej, czuł się

niepotrzebny w owej krainie doskonałej śmierci, gdzie przetrwać zwycięsko mogły tylko formy martwe, aby odprawiać tajemnicze działania, których nie miały oglądać żadne żywe oczy. Nie zgrozą, ale pełnym oszołomienia podziwem uczestniczył przed chwilą w tym, co się stało. Wiedział, że żaden z uczonych nie będzie zdolny podzielić jego uczuć, lecz chciał wrócić teraz już nie tylko jako zwiastun zagłady zaginionych, ale i jako człowiek, który będzie się domagał pozostawienia planety nietkniętą. Nie wszystko i nie wszędzie jest dla nas — pomyślał, schodząc powoli w dół. Światło nieba pozwoliło mu dotrzeć szybko do pobożowiska. Tam dopiero musiał przynaglić kroku, bo promieniowanie zeszlonych skał, mających koszmarnymi sylwetkami w gęstniejącym zmierzchu, stawało się coraz silniejsze. Zaczął wreszcie biec; odgłos jego kroków powtarzały jedne mury kamienne, przekazując go innym, i w tym nieustającym echu, które wyolbrzymiało jego pośpiech, skacząc w ostatnim przyptywie sił z głazu na głaz, minął stopione nie do poznaki resztki maszyn, aż dostał się na kręty stok, ale i tutaj tarczka radioindykatora jarzyła się rubinowe.

Nie wolno mu się było zatrzymać, choć dusił się, więc prawie nie zmniejszając tempa, odkręcił aż do oporu reduktor butli. Jeśli nawet tlen miał mu się skończyć u wylotu wąwozu, jeśliby oddychać przyszło powietrzem planety, było to na pewno lepsze od pozostawiania dłużej tu, gdzie każdy kał skały wyrzucał z siebie zabójcze promieniowanie. Tlen bił mu w usta chłodną falą. Biegło się dobrze, bo powierzchnia zastygłego potoku lawy, którą pozostawił na drodze swej porażki cofający się „Cyklop”, była gładka, miejscami prawie jak szkło. Szczęśliwie miał chwytne, terenowe podeszwy butów, nie ślizgał się więc. Teraz zapadła już taka ciemność, że tylko gdzieniegdzie prześwitujące spod powłoki szklawa jasne kamienie prowadziły w dół, wciąż w dół. Wiedział, że ma przed sobą jeszcze co najmniej trzy kilometry takiej drogi. Niepodobna było, gnając co sił, dokonywać jakichkolwiek obliczeń, ale rzucał jednak od czasu do czasu okiem na pulsującą czerwono-tarczę wskaźnika. Jakaś godzinę mógł jeszcze tu być, wśród pogiętych i skruszonych anihilacją skał — dawka nie przekroczy wówczas dwustu rentgenów. Niechby godzinę i kwadrans; potem — jeżeli nie dotrze do brzegów pustyni, nie będzie się już co spieszyć.

W jakiejś dwudziestej minucie przyszedł kryzys. Serce czuł jako okrutną, niezmożoną obecność, która rozpychała mu i ugniatała od środka pierś, tlen palił gardło i krtań żywym ogniem, w oczach migały iskry, najgorsze zaś było to, że zaczął się potykać. Promieniowanie stało się co prawda nieco słabsze, indyktor świecił w mroku ledwo jak gasnący węgielek, ale i tak wiedział, że musi biec, biec dalej, a nogi odmawiały już posłuszeństwa. Każde włókno jego ciała miało dość, wszystko w nim krzyczało, by zatrzymać się, stanąć, a choćby i runąć na pozornie tak zimne, tak nieszkodliwe płyty spękanego szklawa. Gdy chciał spojrzeć w górę, ku gwiazdom, potknął się i poleciał do przodu na rozstawione ręce. Łkając, chwycił oddech. Dźwignął się, wstał, kilka kroków przebiegł, zataczając się na boki, potem rytm wrócił, poniósł go. Zatracił już poczucie czasu. Jak w ogóle orientował się w tej głuchej czerni? Zapomniał o wszystkich umarłych, których odkrył, o kościanym uśmiechu Bennigseny, o Regnarze, spoczywającym pod kamieniami obok strzaskanego arktana, o bezgłowym, którego nie udało mu się rozpoznać, zapomniał nawet o chmurze. Był cały skurczony od tej ciemności, nabiegłej krwią jego oczu, próżno wypatrujących wielkiego gwiazdzistego nieba pustyni, której piaszczysta pustka wydawała mu się zbawieniem, biegł na oślep, z powiekami zlanymi słonym potem, niesiony siłą, której nieustającej w sobie obecności mógł się jeszcze chwilami zdumiewać. Ten bieg, ta noc zdawały się nie mieć końca.

Nie widział już właściwie nic, kiedy nagle jego stopy zaczęły brnąć coraz ciężiej, zapadać się, poczuł ostatni przyptyk rozpacz, podniósł głowę i zrozumiał nagle, że jest na pustyni. Zobaczył jeszcze gwiazdy nad horyzontem, potem, gdy już nogi same poddały się pod nim, szukał wzrokiem tarczki wskaźnika, ale jej nie zobaczył: była ciemna, milczała, niewidzialną śmierć pozostawił poza plecami, w głębi zastygłego koryta lawy, to była ostatnia jego myśl,

bo kiedy twarzą poczuł szorstki chłód piasku, zapadł nie w sen, ale w odrętwienie, w którym całe jego ciało pracowało jeszcze rozpaczliwie, żebra chodziły, serce tłukło się, ale przez ten mrok zupełnego wyczerpania wchodził w inny, głębszy, aż stracił przytomność.

Ocknął się nagle, nie wiedząc, gdzie jest. Poruszył rękami, poczuł w nich zimno piasku, który wyciekł z palców, usiadł i jęknął mimo woli. Było mu duszno. Oprzytomniał. Fosforyzująca strzałka manometru wskazywała zero. W drugiej butelce było jeszcze osiemnaście atmosfer ciśnienia. Przekręcił zawór i wstał. Była pierwsza godzina nocy. Gwiazdy stały wyostrzone w czarnym niebie. Odnalazł na kompasie właściwy kierunek i poszedł prosto przed siebie. O trzeciej zażył ostatnią pastylkę. Tuż przed czwartą skończył mu się tlen. Odrzucił wtedy aparat tlenowy i poszedł, oddychając zrazu nieufnie, ale gdy zimne powietrze przedświtłu wypełniło mu płuca, zaczął kroczyć żwawiej, starając się nie myśleć o niczym innym oprócz tego marszu przez wydmy, w których zapadał niekiedy po kolana. Był trochę jak pijany, ale nie wiedział, czy to z działania gazów atmosfery, czy po prostu ze zmęczenia. Obliczył sobie, że jeśli będzie robił cztery kilometry na godzinę, dotrze do statku o jedenastej, za dnia.

Próbował sprawdzać własne tempo na krokomierzu, ale nic z tego nie wychodziło. Olbrzymią białawą smugą rozdzielała na dwie nierówne części czasę nieba Droga Mleczna. Przywykł już tak do nikłego światła gwiazd, że pozwalało mu omijać co większe wydmy. Brnął i brnął, aż na tle horyzontu, jako dziwnie foremną przestrzeń bez gwiazd, dostrzegł jakiś kształt kanciasty. Nie zdając sobie jeszcze sprawy z tego, co to jest, zmierzał już w tę stronę, zaczął biec, zapadając się coraz głębiej, ale nawet tego nie czuł, aż wyciągniętymi rękami, jak ślepiec, uderzył o twardy metal. To był łazik, pusty, bezludny, może jeden z tych, które wysłał rankiem poprzedniego dnia Horpach, może jakiś inny, porzucony przez grupę Regnara, nie myślał o tym, po prostu stał, dysząc, obejmując spłaszczony łeb maszyny obu rękami. Znużenie ciągnęło go ku ziemi. Upaść koło maszyny, zasnąć przy niej, aby rano, ze słońcem, ruszyć w drogę...

Powoli wciągnął się na grzbietowy pancierz, po omacku znalazł rękojeść klapy, odemknął ją. Zapłonęły światełka. Osunął się na siedzenie. Tak, teraz wiedział już, że jest oszołomiony, pewno zatruty tym gazem, bo nie mógł znaleźć włączników, nie pamiętał, gdzie są, nie wiedział nic... Aż ręka sama znalazła wyświechtaną gałkę, pchnęła ją, silnik miauknął lekko i ruszył. Odemknął wieczko żyrokompasów, już tylko tę jedną cyfrę znał na pewno, kurs powrotu, jakiś czas łazik toczył się po ciemku, Rohan zapomniał o istnieniu reflektorów...

O piątej stał jeszcze mrok. Zobaczył wtedy na wprost, daleko pośród białych i niebieskawych gwiazd, jedną, wiszącą nisko nad samym horyzontem, rubinową. Zamrugał tępo powiekami. Czerwona gwiazda...? Nie było takich... Zdawało mu się, że obok niego siedzi ktoś, pewno Jarg, chciał go spytać, co to może być za gwiazda, nagle oprzytomniał, jak uderzony. To było dziobowe światło krążownika. Jechał prosto na tę rubinową kropelkę w mrokach, wznosiła się powoli, aż stała się lśniąco mocno kulą, której odbłaskiem mienił się wierzchni pancierz. Spomiędzy zegarów zamrugowało czerwone oko i odezwał się brzęczyk, sygnalizując bliskość siłowego pola. Rohan wyłączył silnik. Maszyna stoczyła się po zboczu wydmy i stanęła. Nie był pewien, czy zdoła wsiąść do łazika, jeśli go raz opuści. Sięgnął więc do schowka, wydobyl zeń rakiетnicę, a że chodziła mu w rękę, oparł łokieć na sterze, przytrzymał garść drugą i pociągnął za cyngiel. Pomarańczowa smuga buchnęła w ciemność. Jej krótki lot rozgwieździł się nagle, trafiwszy w ścianę osłony siłowej, jak w przezroczyste szkło. Strzelał raz za razem, aż iglica szczęknęła sucho. Nie było już naboji. Ale i tak go zauważono, pierwsi wszczęli pewno alarm wachtowi w sterowni, bo niemal równocześnie pod szczytem statku zabłyśły dwa wielkie jupitery i liznąwszy piasek białymi językami, skrzyżowały się na łaziku. Zarazem światłami rozjarzyła się pochylnia i niby chłodny płomień rozgorzał od świetlówek cały szyb osobowego dźwigu. Trapy w mgnieniu oka zaroily się od biegnących, już i na wydmach w pobliżu rufy zapłonęły reflektory, tocząc się i przez to

huśtając rzucanymi słupami światła, aż zajaśniały szpalerem błękitne ognie, ukazując otwarte wejście w głąb perymetru.

Rohan, któremu rakielnica wypadła z ręki, ani wiedział, kiedy zesunął się po boku maszyny i chwiejnym, przesadnie dużym krokiem, nienaturalnie wyprostowany, zaciskając pięści, by zdusić nieznośne drżenie palców, szedł prosto na dwudziestopiętrowy statek, który stał w powodzi światła, na tle błędnego nieba, tak majestatyczny w swym nieruchomym ogromie, jakby naprawdę był niezwyciężony.

*Zakopane, czerwiec 1962 — czerwiec 1963*